

REWELACYJNE DOKUMENTY O NAJWIĘKSZYCH SKANDALACH
WATYKANU!

JAK WYGLĄDAŁBY KOŚCIÓŁ KATOLICKI, GDYBY NIE ZAMORDOWANO
POPZEDNIKA KAROLA WOJTYŁY?

ŚLEDZTWO W SPRAWIE ZAMORDOWANIA JANA PAWŁA I

DAVID YALLOP

W IMIENIU BOGA?

Tłumaczył Jerzy Hernik

Tytuł oryginału IN GOD'S NAME

...Ta książka nie jest atakiem na przekonania religijne milionów wierzących katolików.

To, co uważają oni za święte, jest zbyt ważne, by mogło być powierzone mężczyznom, którzy przysięgli się, aby wdeptać w błoto posłanie Chrystusa, i w realizacji swego spisku osiągnęli sukces o rozmiarach budzących trwogę...

...Watykan kłamał twierdząc, że postanowienia prawa kościelnego zabraniają przeprowadzania sekcji zwłok. Watykan kłamał twierdząc, że nie przeprowadzono jeszcze sekcji zwłok żadnego ze zmarłych papieży. Zagubiony testament papieża.

Fałszywie przedstawiony stan zdrowia papieża. Pośpiesznie wyznaczony termin zabalsamowania jego ciała. Tajemnicze, nocne badanie zwłok w noc poprzedzającą pogrzeb. Wszystkie te sprawy Watykan okrył zasłoną kłamstw...

DAVID YALLOP

jest najwybitniejszym specjalistą od wyświatlenia spraw okrytych mgłą tajemnicy. Każda jego książka przynosiła sensacyjne wyniki. Pierwsza spowodowała wznowienie zamkniętego od ćwierćwiecza śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa. Kolejną zrehabilitował pośmiertnie gwiazdora z okresu filmu niemego, a przy okazji rozwikłał zagadkę morderstwa sprzed pół wieku. W rezultacie jego trzeciej książki pewien człowiek, skazany na dożywocie w Nowej Zelandii, został zwolniony z więzienia i dostał odszkodowanie w wysokości miliona dolarów. Kolejna książka Yallopa zaowocowała uwięzieniem prawdziwego „Wampira z Yorkshire”. *W imieniu Boga?* to wynik trzyletniego śledztwa autora, przeprowadzonego na zlecenie pewnych osób w Watykanie, a dotyczącego zamordowania poprzednika Karola Wojtyły w stolicy apostolskiej. Tym razem podsądny, a więc Kościół katolicki, nabrał wody w usta. Ciekawe, na jak długo?

Książkę tę poświęcam mojej matce, Unyie Norah Stanton za lata, które minęły, a także Fletcherowi i Lucy, dzieciom miłości.

Przedmowa

Książka ta, będąca wynikiem prawie trzyletnich, szczegółowych dociekań, nie powstałaby bez aktywnego poparcia i współdziałania znacznej liczby osób i organizacji. Wiele z nich uczyniło wstępnym warunkiem swej pomocy absolutną poufność. Respektuję to życzenie, tak jak czyniłem to przy wcześniejszych książkach, które powstały w podobnych warunkach. Zachowanie anonimowości moich informatorów jest w tym przypadku bardziej konieczne niż kiedykolwiek, gdyż wiele wątków, które usiłuję w tej książce rozplatać i rozwinąć, kończy się przecież zamordowaniem człowieka. Znaczna liczba tych morderstw jest niewyjaśniona do dziś. Nie ma w zasadzie wątpliwości, że ludzie odpowiedzialni za te czyny są gotowi popełnić nowe morderstwa. Aktem zbrodniczego braku odpowiedzialności byłoby podanie nazwisk mężczyzn i kobiet, którzy mi pomogli, udzielając decydujących wskazówek, i tym samym narazili się na poważne ryzyko. Ludziom tym należy się ode mnie szczególne podziękowanie. Ich gotowość udzielania najróżnorodniejszych informacji wynikała z odmiennych i indywidualnie zróżnicowanych motywów, jednak zawsze słyszałem jedno zdanie: *Prawda musi wyjść na jaw; jeżeli chce pan ją wyjawić, to niech tak będzie*. Im wszystkim, jak również niżej wymienionym, których z pełnym szacunkiem nazwałbym wierzchołkiem góry lodowej moich świadków, wyrażam głębokie podziękowanie:

Profesor Amedeo Alexandre, profesor Leonardo Ancona, William Aronwald, Linda Attwell, Josephine Ayres, Alan Bailey, dr Shamus Banim, dr Derek Barrowcliff, Pia Basso, ojciec Aldo Belli, kardynał Giovanni Benelli, Marco Borsa, Vittore Branca, David Buckley, ojciec Roberto Busa, dr Renato Buzzonetti, Roberto Calvi, Emilio Cavaterra, kardynał Mario Ciappi, brat Clemente, Joseph Coffey, Annaloe Copps, Rupert Cornwell, monsignore Ausilio Da Rif, dr Antonio Da Ros, Maurizio De Luca, Daniele Doglio, monsignore Mafeo Ducoli, ojciec Francois Evain, kardynał Pericle Felici, ojciec Mario Ferrarese, profesor Luigi Fontana, Mario di Francesco, dr Carlo Frizziero, profesor Piero Fucci, ojciec Giovanni Gennari, monsignore Mario Ghizzo, ojciec Carlo Gonzales, ojciec Andrew Greeley, Diane Hall, dr John Henry, ojciec Thomas Hunt, William Jackson, John J. Kenney, Peter Lemos, dr David Levison, ojciec Diego Lorenzi, Eduardo Luciani, William Lynch, Ann McDiarmid, ojciec John Magee, Sandro Magister, Alexander Manson, profesor Viñcenzo Masini, ojciec Francis Murphy, monsignore Giulio Nicolini, Anna Nogara, ojciec Gerry O'Collins, ojciec Romeo Panciroli, ojciec Gianni Pastro, Lena Petri, Nina Petri, profesor Pier Luigi Prati, profesor Giovanni Rama, Roberto Rosone, profesor Fausto Rovelli, profesor Vincenzo Rulli, Ann Ellen Rutherford, monsignore Tiziano Scalzotto, monsignore Mario Senigaglia, Arnaldo Signoracci, Ernesto Signoracci, ojciec Bartolomeo Sorg, Lorana Sullivan, ojciec Francesco

Taffarel, siostra Vincenza, profesor Thomas Whitehead, Phillip Willan. Jestem wdzięczny również następującym instytucjom: Augustinum, Rzym; Banco San Marco; Bank of England; Bank Rozliczeń Międzynarodowych, Bazylea; Bank Włoski; Centralna Biblioteka Katolicka; Katolickie Towarzystwo Prawdy; Miejska Policja Londyńska; Brytyjskie Ministerstwo Handlu; Statistics and Market Intelligence Library; English College, Rzym; Federal Bureau of Investigation (**FBI**); Uniwersytet Gregoriański, Rzym; Oddział Toksykologiczny New Cross Hospital; Opus Dei; Brytyjskie Towarzystwo Farmaceutyczne; Tribunal of the Ward of Luxembourg; Departament Stanu USA; Sąd Okręgowy dla dzielnicy Nowy Jork — Południe; Watykańskie Biuro Prasowe i Radio Watykańskie.

Do tych, którym nie mogę publicznie wyrazić podziękowania, należą żyjące i działające w Watykanie osoby, które przed trzema laty zgłosiły się do mnie i dały impuls moim dociekaniom w sprawie wydarzeń związanych ze śmiercią papieża Jana Pawła I, Albino Lucianiego. To, że mężczyźni i kobiety żyjący w samym centrum kościoła rzymskokatolickiego nie mogą publicznie wyznać tego, co mają do powiedzenia, daje wymowne świadectwo stosunkom panującym w Watykanie.

Książka ta niewątpliwie spotka się z ostrą krytyką ze strony niektórych osób, inni przyjmą ją z lekceważeniem lub jej nawet nie dostrzegą. Ten czy ów dopatrzy się w niej ataku na katolicyzm w szczególności, a na chrześcijaństwo generalnie. Nic z tych rzeczy. Jeżeli stawia ona kogoś pod pręgierzem, to pewną liczbę osób, które mogą być wprawdzie po katolicku ochrzczone, ale nigdy nie były chrześcijanami.

Ta książka nie jest atakiem na przekonania religijne milionów wierzących katolików. To, co uważają oni za święte, jest zbyt ważne, by mogło być powierzone mężczyznom, którzy przysięgli się, by wdeptać w błoto posłanie Chrystusa, i w realizacji swego spisku osiągnęli sukces o rozmiarach budzących trwogę.

Z wymienionych wyżej przyczyn nie jest możliwe wskazanie w tekście na źródła poszczególnych stwierdzeń i danych, dlatego też w znacznym stopniu z tego zrezygnowałem. Dokładne informacje o tym, kto i co mi powiedział, na razie muszą pozostać tajemnicą. Mogę jednak zapewnić czytelnika, że wszystkie szczegóły sprawdzono i potwierdzono, niezależnie od tego, z jakiego źródła pochodziły. Jeżeli jednak tekst zawiera błędy, to ja jestem za nie odpowiedzialny.

Krytyczne uwagi z pewnością wywoła fakt, że od czasu do czasu informuję o rozmowach między osobami, które już nie żyły w chwili, gdy rozpoczynałem moje dochodzenia. Skąd wiem na przykład, co rozegrało się między Albino Lucianim i kardynałem Villotem w dniu, w którym dyskutowali nad sprawą kontroli urodzeń? Otóż w Watykanie nie

istnieją audiencje prywatne w tak ścisłym sensie, by z tego, o czym przy tej okazji mówiono, nic nie przedostało się na zewnątrz. Obaj wypowiadali się potem wobec osób trzecich o tym, co się wydarzyło. U podstaw mojej rekonstrukcji leży właśnie te wypowiedzi z trzecich ust, nacechowane niekiedy w najwyższym stopniu odmiennymi poglądami na temat spraw rozważanych przez papieża i jego sekretarza stanu. Żaden z odtworzonych w tej książce dialogów, ani inne wydarzenia, nie są zmyślane.

David A. Yallop kwiecień 1984 r.

Prolog

Duchowy zwierzchnik niemal jednej piątej ludności świata dysponuje niesłychaną władzą. Nie wtajemniczony obserwator przyglądający się początkowi pontyfikatu Albino Lucianiego jako papieża Jana Pawła I z trudnością mógł sobie wyobrazić, że ten człowiek ucieleśniał tak potężną władzę. Skromność i pokora, jakimi promieniował ten mały, spokojny 65-letni Włoch, skłaniały do przypuszczeń, że jego pontyfikat nie przyniesie wielu rzeczy godnych uwagi. Tylko wtajemniczeni byli lepiej zorientowani: Albino Luciani miał rewolucyjne plany.

Dwudziesty ósmy września 1978 r. był 33. dniem jego pontyfikatu. W ciągu okresu niewiele dłuższego niż miesiąc papież zapoczątkował różne procesy, które — gdyby były doprowadzone do końca — mogłyby wyrzucić dynamiczny, bezpośrednio dotyczący nas wszystkich skutek. Wydawało się pewne, że większość przyjęłaby jego decyzje z aplauzem; mniejszość zareagowałaby z oburzeniem. Człowiek, do którego szybko przyłgnęła etykieta „uśmiechniętego papieża”, przygotowywał na następny dzień coś, co mogło sprawić, że wielu ludziom odeszłaby chęć do uśmiechu.

Wieczorem 28 września Albino jadł kolację w jadalni położonej na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego w państwie watykańskim. Towarzyszyli mu obaj sekretarze; ojciec Diego Lorenzi, który przez dwa lata był bliskim współpracownikiem Lucianiego w Wenecji, gdzie jako kardynał piastował godność patriarchy oraz ojciec John Magee, którego Albino Luciani sprowadził do siebie, kiedy został już papieżem. Luciani pod czujnym spojrzeniem prowadzących papieskie gospodarstwo zakonnice zajął się spożywaniem prostego posiłku, złożonego z bulionu, cielęciny, świeżej fasolki i odrobiny sałaty. Od czasu do czasu małymi łyżkami popijał wodę ze szklanki. Zastanawiał się nad wydarzeniami dnia i podjętymi przez siebie decyzjami. Nie walczył o ten urząd ani nie zabiegał o głosy uczestników konklawe. Teraz jednak siedział już na papieskim tronie i musiał przyjąć na siebie ogromną odpowiedzialność.

Trzej mężczyźni obsługiwani przez siostry Vincenzę, Assuntę, Clorindę i Gabriellę słuchali informacji nadawanych przez telewizję; w tym samym czasie, gdzie indziej, inni mężczyźni z oznakami najwyższego niepokoju śledzili poczynania Albino Lucianiego.

Piętro niżej pod pomieszczeniami mieszkalnymi papieża, w Banku Watykańskim paliły się jeszcze światła. Kierownik banku biskup Marcinkus był zajęty innymi, pilniejszymi problemami niż kolacja. Urodzony w Chicago Marcinkus otrzymał szkołę życia na przedmieściach Cicero (Illinois). W czasie błyskawicznego awansu na „bankiera Boga” przetrwał wiele trudnych momentów. Nigdy jednak jeszcze nie stał w obliczu tak krytycznej

sytuacji, jak obecnie. W ciągu minionych 33 dni jego współpracownicy w banku stwierdzili poważne zmiany u człowieka, który zarządzał watykańskimi milionami. Mierzący 1,90 m wzrostu i ważący 100 kg olbrzym, zazwyczaj niezwykle energiczny, w oczach posepniał i stawał się coraz bardziej zamyślony. Stracił wyraźnie na wadze i twarz mu poszarzała. Państwo watykańskie pod wieloma względami przypomina wieś, a na wsi trudno utrzymać coś w tajemnicy. Krążyła szeptana informacja, która dotarła również do uszu Marcinkusa, że nowy papież po kryjomu zaczął się osobiście zapoznawać z działalnością Banku Watykańskiego, a zwłaszcza z metodami, jakimi kierował nim Marcinkus. Od chwili, gdy nowy papież objął urząd, Marcinkus wielokrotnie żałował transakcji, której dokonał w 1972 r. z Banco Cattolica Veneto.

Kardynał Jean Villot, watykański sekretarz stanu, tego wrześniowego wieczoru również siedział jeszcze przy swoim biurku. Studiował listę przewidzianych nominacji, przeniesień na emeryturę i przesunięć na stanowiskach, którą papież przekazał mu przed godziną. Na próżno przedstawiał papieżowi inne propozycje, apelował o zastanowienie się i protestował — Luciani pozostał twardy.

Był to program zasadniczych pod każdym względem zmian na ważnych stanowiskach, który zwróciłby rozwój Kościoła w zupełnie nowym kierunku, niezwykle niebezpiecznym w oczach Villota i innych, zgodnie z listą przewidzianych do odwołania ze stanowisk. Podanie do wiadomości publicznej tych zmian personalnych wywołałoby w środkach przekazu całego świata falę komentarzy, analiz, przepowiedni i oświadczeń. Rzeczywista przyczyna pozostałaby jednak tajemnicą, nie byłaby publicznie dyskutowana. Istniał wspólny mianownik, istniało coś, co było wspólne dla wszystkich osób przedstawionych do odwołania ze stanowisk. Villot był tego świadom i — co było jeszcze ważniejsze — papież również. To właśnie było jedną z przyczyn, które skłoniły go do działania i przeniesienia tych osób z urzędów zapewniających rzeczywistą władzę na stanowiska względnie pozbawione wpływów. Tym wspólnym mianownikiem była masoneria.

Tym, co zajmowało papieża, nie było zwykłe wolnomularstwo, chociaż Kościół za automatyczny powód do ekskomuniki uważał już samą przynależność do ortodoksyjnej loży. Papież skierował uwagę na tajną, nielegalną lożę masońską, która w dążeniu do pomnożenia władzy i bogactwa rozciągnęła swoją sieć daleko poza granice Włoch. Nazywała się P 2. To, że przeniknęła ona do Watykanu, nawiązała kontakty z księżmi, biskupami, a nawet kardynałami, uczyniło ją w oczach Albino Lucianiego niebezpiecznym wirusem w organizmie Kościoła. Wirusa tego należało unieszkodliwić.

Jeszcze przed uruchomieniem zapalnika tej ostatniej bomby Villot miał powody, by z

rosnącym niepokojem obserwować politykę papieża. Był jednym z niewielu, którzy wiedzieli o trwającym dialogu między papieżem i Departamentem Stanu w Waszyngtonie. Wiedział więc, że 23 października miała być przyjęta w Watykanie delegacja Kongresu amerykańskiego, a na 24 października przewidziano dla jej członków audiencję prywatną u papieża. Tematem rozmów miała być sprawa kontroli urodzeń.

Villot starannie przestudiował znajdujące się w Watykanie dossier Albino Lucianiego. Przeczytał też tajny memoriał, który Luciani jako biskup Vittorio Veneto skierował do papieża Pawła VI, zanim ten wydał encyklikę *Humanae vitae*, zabraniającą katolikom stosowania wszystkich nienaturalnych form antykoncepcji. Jego własne dyskusje z Lucianim nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, jakie stanowisko w tej sprawie zajmował nowy papież. Tym samym Villot był także pewien zamierzeń Jana Pawła I. Zanosilo się na zasadniczą zmianę kursu Kościoła katolickiego w sprawie regulacji urodzeń. Z punktu widzenia Villota taka zmiana byłaby zdradą wobec Pawła VI. Wielu jednak przyjęłoby ją z aprobatą, jako największe osiągnięcie Kościoła w XX wieku.

W Buenos Aires jeszcze jeden bankier tego wieczoru miał zaprzątnięte myśli Janem Pawłem I. Roberto Calvi, szef Banco Ambrosiano w Mediolanie, miał kłopoty jeszcze przed wyborem nowego papieża. Od kwietnia 1978 r. w sposób niezauważony dla opinii publicznej włoski bank państwowy prześwietlił imperium finansowe Calwiego. Bodziec do tego dochodzenia dała tajemnicza akcja plakatowa przeciw Calviemu pod koniec 1977 r.: pojawiły się wówczas plakaty za szczegółowymi danymi na temat tajnych kont w bankach szwajcarskich i uwikłań Calwiego w międzynarodowe akcje przestępcze.

Calvi wiedział dokładnie, jakie informacje uzyskał bank państwowy w trakcie swych dochodzeń. Dzięki bliskiej przyjaźni z jednym z kontrolujących go, Licio Gellim, mógł polegać na tym, że codziennie będzie informowany o postępach dochodzenia. Wiedział również o sprawdzaniu Banku Watykańskiego przez nowego papieża. Podobnie jak Marcinkus, Calvi zdawał sobie sprawę z tego, że tylko kwestią czasu jest wydobycie na światło dzienne przez te oba, prowadzone niezależnie od siebie, dochodzenia faktu, że chodzi tu o jeden cały, spleciony wewnętrznie kompleks finansowy. Calvi podjął wszelkie kroki, które umożliwiły mu jego niemałe wpływy, by utrudnić bankowi państwowemu dochodzenie i ratować swoje imperium finansowe; pikantnym szczegółem w całej sprawie było pojawienie się właśnie informacji, że z tego imperium odciągnął dla siebie ponad miliard dolarów.

Dokładna analiza sytuacji, w jakiej Roberto Calvi znalazł się we wrześniu 1978 r., nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że gdyby następcą Pawła VI na Stolicy Piotrowej został uczciwy człowiek — Calviemu zagrażała całkowita ruina, jego bank ogłosiłby bankructwo,

on sam zaś z dużą dozą prawdopodobieństwa wylądowałby w więzieniu. Albino Luciani był uczciwym człowiekiem.

W Nowym Jorku działalność papieża Jana Pawła z niepokojem i uważnie obserwowali również Michele Sindona, bankier sycylijski. Ponad trzy lata Sindona bronił się przed podejmowanymi przez rząd włoski próbami uzyskania jego ekstradycji. Chciano postawić go w Mediolanie przed sądem za oszukańcze manipulacje na sumę 225 mln dolarów. W maju 1978 r. wydawało się, że długotrwała walka została przez Sindonę ostatecznie przegrana — amerykański sędzia federalny podjął decyzję o pozytywnym załatwieniu włoskiego wniosku o ekstradycję.

Za kaucję w wysokości 3 mln dolarów Sindona kupił jeszcze odroczenie wykonania decyzji sędziego, które jego adwokaci wykorzystali do wyciągnięcia ostatniej karty atutowej. Zażądali, by rząd amerykański wykazał, że istnieje przekonujący materiał dowodowy, uzasadniający ekstradycję. Sindona twierdził, że wysuwane przeciw niemu przez rząd włoski oskarżenia są dziełem komunistów i innych lewicowych polityków. Jego adwokaci podnieśli ponadto zarzut, że mediolańscy prokuratorzy przetrzymują materiały, które mogłyby oczyścić Sindonę z oskarżeń i twierdzili, że ich klient przypuszczalnie zostanie zamordowany, jeżeli jego ekstradycja do Włoch dojdzie do skutku. Termin przesłuchania w sądzie wyznaczono na listopad.

Tego lata były w Nowym Jorku jeszcze inne osoby, które — na swój sposób — zaangażowały się aktywnie w sprawę Sindony. Członek mafii, Luigi Ronsisvalle, profesjonalny morderca, czyhał na życie świadka, Nicoli Biasego, który podczas postępowania sądowego w sprawie ekstradycji złożył zeznania obciążające Sindonę. Mafija wyznaczyła również nagrodę w wysokości 100 000 dolarów dla tego, kto usunie z drogi zastępcę prokuratora federalnego USA, Johna Kenneya, występującego jako główny oskarżyciel w procesie o ekstradycję.

Gdyby papież Jan Paweł I kontynuował sprawdzanie Banku Watykańskiego, wówczas nawet zdwojona liczba morderców mafii nie zdołałaby uratować Sindony od przekazania go władzom włoskim. Sieć korupcji w Banku Watykańskim (który był wykorzystywany także do „prania” pieniędzy mafii) sięgała daleko poza Roberto Calviego i Michele Sindonę.

Kolejny dostojnik Kościoła katolickiego, który zastanawiał się nad wydarzeniami w państwie watykańskim i niepokoił się z ich powodu, znajdował się w Chicago: był nim kardynał John Cody, zwierzchnik najbogatszej diecezji na świecie.

Cody sprawował władzę nad ponad 2,5 milionami katolików i prawie 3 tys. księży, podzielonych na ponad 450 parafii; nie ujawnił nikomu dokładnej wysokości wpływów, jakie

osiągał rocznie z tego imperium, jednak w istocie suma ta przekraczała 250 mln dolarów. Utrzymywanie w tajemnicy dochodów i stanu majątkowego jego diecezji było tylko jednym z wielu problemów, z jakimi Cody musiał sobie radzić. Rok 1978 był trzynastym rokiem jego duchowego panowania nad Chicago. W tym czasie niezwykle nasiliły się żądania zmiany na jego stanowisku. Księża, zakonnice, katolicy świeccy i ludzie z wielu świeckich grup zawodowych w tysiącach pism kierowanych do Rzymu domagali się usunięcia człowieka, który w ich oczach był despotą.

Papież Paweł VI latami odkładał decyzję o odwołaniu Cody'ego. Raz tylko przemógł się i zarządził odwołanie, ale w ostatniej chwili znowu wycofał swoje polecenie. Przyczyny tego lawirowania leżały nie tylko w skomplikowanej, rozdartej osobowości Pawła VI. Wiedział on o istnieniu dalszych, poufnie kolportowanych zarzutów pod adresem Cody'ego, które poparte znaczną liczbą dowodów nakazywały traktować odwołanie kardynała Chicago jako rzeczy niecierpiącej zwłoki.

Pod koniec września Cody otrzymał telefon z Rzymu. Watykańska wioska znowu dopuściła do przecieku jednej z owych informacji, za które kardynał Cody przez wiele lat hojnie płacił. Rozmówca poinformował kardynała, że Jan Paweł I, w przeciwieństwie do swego poprzednika, Pawła VI, nie lękał się, lecz działał: odwołanie kardynała Johna Cody'ego było już postanowione. Ponad co najmniej trzema z tych mężczyzn unosił się cień innego, o nazwisku Licio Gelli. Nazywano go *Il Burattinaio*, człowiekiem, który pociąga za sznurki marionetek. Miał ich wiele, w licznych krajach. Kontrolował lożę P2, a przez nią Włochy. W Buenos Aires, gdzie z Calvim omawiał sprawę Jana Pawła I, zorganizował triumfalny powrót generała Perona — była to zasługa, o której Peron sam później zaświadczył, i którą uznał, dziękując Gellemu na kolanach. Skoro zapowiedziane przez Albino Lucianiego przedsięwzięcia zagrażały Marcinkusowi, Sindonie i Calviemu, to również w interesie Gellego leżało usunięcie tych zagrożeń.

Jest całkowicie pewne, że 28 września 1978 r. wszyscy ci mężczyźni mieli poważne powody do obaw przed papieżem Janem Pawłem I. Jest również oczywiste, że dla nich wszystkich, w ten czy inny sposób, byłoby korzystne, gdyby papież Jan Paweł I zmarł nagłą śmiercią.

I tak właśnie zmarł.

W pewnym momencie późnego wieczoru 28 września 1978 r. lub w nocy na 29 września, w 33 dni po obraniu go papieżem, Jan Paweł I rozstał się z tym światem.

Czas zgonu: nieznan. Przyczyna zgonu: nieznan.

Jestem przekonany, że pełne fakty i okoliczności tego, co na następnych stronach

naszkicowałem tylko hasłowo, kryją w sobie klucz do prawdy o śmierci Albino Lucianiego. Jestem przekonany także o tym, że jeden z sześciu wymienionych mężczyzn, najpóźniej wczesnym wieczorem 28 września 1978 r., zainicjował przedsięwzięcia, które miały na celu zlikwidowanie problemu, jaki zrodził się wraz z wyborem Albino Lucianiego na papieża. Jeden z tych mężczyzn pociągnął sznurki przysiężenia w celu przygotowania i zrealizowania „włoskiego rozwiązania”.

Albino Lucianiego obrano papieżem 26 sierpnia 1978 r. Tuż po zakończeniu konklawe angielski kardynał, Basil Hume, oświadczył: *Było to nieoczekiwane rozstrzygnięcie, ale kiedy już zapadło, wydawało mi się całkowicie słuszne. Uczucie, że ucieleśnia on dokładnie to, czego sobie życzyliśmy, było tak powszechne, że był on bez wątpienia kandydatem Boga.*

Trzydzieści trzy dni później „kandydat Boga” już nie żył.

To, co przedstawiam dalej, jest wynikiem trzyletnich, nieprzerwanych i intensywnych badań okoliczności i tła tej śmierci. Wraz z upływem czasu przyzwyczałem się do wielu zasad, którymi kieruję się przy tego rodzaju poszukiwaniach. Pierwszą z nich jest: zaczynać od samego początku. Określić charakter i osobowość zmarłej osoby.

Jakim człowiekiem był Albino Luciani?

Droga do Rzymu

Rodzina Lucianich żyła w małej górskiej wiosce Canale d'Agordo¹, położonej ponad 1000 m n.p.m., około 120 km na północ od Wenecji.

Kiedy 17 października 1912 r. urodził się Albino, jego rodzice, Giovanni i Bertola, mieli już na utrzymaniu dwie córki z pierwszego małżeństwa ojca. Młody wdowiec z dwiema córeczkami i bez stałego zatrudnienia z pewnością nie odpowiadał ideałowi przyszłego małżonka młodej kobiety. Bertola myślała już o pójściu do klasztoru. Teraz jednak była matką trojga dzieci. Poród był długi i bolesny. Trwożliwa ponad miarę Bertola (ta lękliwość wywarła swoje piętno także na wczesnym dzieciństwie chłopca) obawiała się już, że dziecko nie przeżyje. Chłopiec został więc natychmiast ochrzczony i otrzymał imię Albino, dla uczczenia pamięci bliskiego przyjaciela jego ojca. Człowiek ten pracował razem z Giovannim w Niemczech i zginął w wypadku przy hutniczym piecu. Chłopiec przyszedł na świat, na którym dwa lata później miała zapanować wojna, wywołana zamordowaniem austriackiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony.

W oczach wielu Europejczyków pierwsze 14 lat naszego stulecia było złotym wiekiem. Wielu autorów opisywało rozpowszechnione w owych latach poczucie stabilności, zadowolenia i ufności, powstanie kultury masowej, bogactwo życia duchowego, rozszerzanie horyzontów i zmniejszanie nierówności społecznej. Wychwalali swobodę myśli i jakość życia w owych czasach, jakby opisywali Raj na Ziemi. Niewątpliwie, wszystko to miało miejsce, ale występowała także zastraszająca nędza, masowe bezrobocie, niesprawiedliwość społeczna, głód, choroby i krótkowieczność. Kontrasty te cechowały znaczną część świata. Włochy nie stanowiły żadnego wyjątku.

Neapol był oblegany przez tysiące ludzi, którzy chcieli wyemigrować do USA, Anglii lub gdziekolwiek indziej. Ale Stany Zjednoczone swą heroiczną deklarację: „nieszczęsnych wygnańców z waszych brzegów rojnych, bezdomnych, skołatanych, przyślijcie do mnie” zdążyły już uzupełnić wydrukowanym małymi literkami ostrzeżeniem, że choroby, brak środków do życia, przynależność do związków zawodowych, karalność bądź kalectwo stanowią tylko część powodów, z których mogły odmówić zezwolenia na imigrację.

W Rzymie, o rzut kamieniem od Bazyliki Św. Piotra, tysiące ludzi mieszkało na stałe w chatkach ze słomy i mchu. Latem znaczna ich część przenosiła się do grot w okolicznych wzgórzach. Niektórzy pracowali w winnicach od świtu do zmroku za groszową dniówkę. Inni

¹ W czasie, gdy urodził się Albino Luciani wioska nazywała się jeszcze Forno di Canale. W 1964 r. z inicjatywy brata Lucianiego, Eduardo, przemianowano ją na Canale d'Agordo i w ten sposób odzyskała ona swoją pierwotną nazwę.

harowali tak samo długo w majątkach rolnych, ale bez jakiegokolwiek wynagrodzenia w pieniądzu. Ich zapłatę stanowiła zazwyczaj nadgniła kukurydza, co między innymi powodowało, że wielu robotników rolnych cierpiało na chorobę skóry zwaną pelagrą. Innych, którzy brnąc po pośladki w bagnie pracowali na polach ryżowych w PAVII, atakowały Moskity, zapadali więc na malarię. Wskaźnik analfabetyzmu wynosił ponad 50 procent.

W czasie gdy następującym po sobie papieżom leżało na sercu głównie odzyskanie państwa kościelnego (utraconego w 1870 r.), opisane warunki stanowiły realia życia codziennego znacznej części mieszkańców młodego, jednolitego państwa włoskiego.

Wioskę Canale głównie zamieszkiwały dzieci, kobiety i starzy mężczyźni. Większość mężczyzn w wieku produkcyjnym nie miała innego wyboru, niż tylko wyruszyć w świat w poszukiwaniu pracy. Giovanni Luciani rokrocznie wiosną opuszczał rodzinną wieś udając się do Szwajcarii, Niemiec, Austrii lub Francji. Jesienią powracał do domu.

Domostwo Lucianich, które w części składało się z przebudowanej stodoły, miało jedno jedyne źródło ciepła: starą, opalaną drewnem kuchnię. Ogrzewała ona pomieszczenie, w którym urodził się Albino. Ogrodu nie mieli — takie rzeczy mieszkańcy wioski uważali za luksus. Otoczenie wioski było za to wspaniałe: lasy iglaste i wznoszące się bezpośrednio nad wsią skaliste, pokryte śniegiem góry. Przez sam środek wsi spływała w dolinę rwąca rzeczka Bioi.

Rodzice Albino Lucianiego stanowili osobliwą parę. Głęboko religijna matka spędzała tyleż czasu w kościele, co w swoim małym domostwie. Jej myśli i troski koncentrowały się wokół powiększającej się rodziny. Należała do tych matek, które już przy najmniejszym kaszlu spieszyły ze swym dzieckiem do najbliższego inspektora sanitarnego. Pobożna, ze skłonnościami do męczeństwa, chętnie i często opowiadała swoim dzieciom o wielu poświęceniach, których dokonywała z ich powodu. Ojciec Giovanni w czasie wojny przewędrował w poszukiwaniu pracy całą Europę; wynajmował się do pracy w różnych zawodach, jako murarz, ślusarz budowlany, elektryk i mechanik. Jako przekonany socjalista uważany był przez pobożnych katolików za „klechożercę” i antychrysta. Przy tak niezwyklej kombinacji małżeńskiej z konieczności musiało dochodzić do niesnasek. Młody Albino na całe życie zapamiętał reakcję swojej matki, kiedy pewnego dnia na rozwieszonych w całej wsi plakatach wyborczych zobaczyła nazwisko swojego męża, który kandydował z ramienia socjalistów w zbliżających się wyborach.

Po Albino przyszedł na świat kolejne dzieci: syn Eduardo i córka Antonia. Bertola dorabiała do skromnych dochodów rodzinnych pisaniami listów dla miejscowych analfabetów i pracą w charakterze kucharki.

Jadłospis rodziny Lucianich opierał się na polencie (potrawie z kukurydzy), kaszy, makaronie i dostępnych warzywach. Przy szczególnych okazjach na deser pojawiały się czasem carfoni, różki z ciasta wypełnione makiem. Mięso było rzadkością. Kiedy w Canale ktoś był wystarczająco bogaty, by zabić świnie, wówczas mięso peklowano; wystarczało ono rodzinie na cały rok.

Albino wcześniej odczuł powołanie do stanu duchownego, gorliwie zachęcała go do tego i namawiała jego matka i miejscowy ksiądz, ojciec Filippo Carli. Jednak zdecydowanie najbardziej przyczynił się do tego jego ojciec, „bezbożny socjalista”, Giovanni Luciani. Gdyby Albino rozpoczął naukę w szkole seminaryjnej w pobliskim Veltre, to rodzina Lucianich musiałaby ponieść spore koszty. Matka i syn omówili tę sprawę na krótko przed jedenastymi urodzinami Albino. W końcu Bertola przykazała chłopcu, by napisał do ojca, który w tym czasie pracował we Francji. Albino powiedział później, że był to jeden z najważniejszych listów w jego życiu.

Ojciec otrzymał list i zanim udzielił odpowiedzi, przez jakiś czas zastanawiał się nad tą sprawą. W końcu wyraził zgodę i zaakceptował dodatkowe obciążenie słowami: *Musimy ponieść tę ofiarę.*

Gdy jedenastoletni Albino Luciani wstąpił w 1923 r. do seminarium, znalazł się w samym środku wojny, która toczyła się w tym czasie w Kościele rzymskokatolickim.

Na kościelny indeks książek zakazanych zostały wciągnięte prace Antonio Rosminiego, takie jak *Pięć ran Kościoła*. Rosmini, włoski teolog i kapłan, napisał w 1848 r., że Kościół znajduje się w obliczu kryzysu spowodowanego pięcioma przyczynami: wynoszeniem się kleru ponad ludzi; niskim poziomem wykształcenia księży; brakiem jedności wśród biskupów i ich słonnościami do sporów; uzależnieniem świeckich nominacji od władz Kościoła; posiadaniem przez Kościół majątku, przez co stał się on niewolnikiem bogactwa. Rosmini liczył na liberalistyczne reformy. W rzeczywistości jego książkę ostro potępiono, głównie za sprawą jezuickich intryg. Nie otrzymał także kapelusza kardynalskiego obiecane mu przez Piusa IX.

Czterdzieści osiem lat przed urodzeniem Albino Lucianiego Watykan ogłosił *Syllabus errorum* i towarzyszącą mu encyklikę *Quanta cura*. Stolica Apostolska potępiła w nich nieograniczoną swobodę wypowiedzi i prasy oraz zdecydowanie odrzuciła pojęcie równouprawnienia wszystkich religii. Papieżem odpowiedzialnym za tę doktrynę był Pius IX. Nie pozostawił on żadnej wątpliwości, że zasadę rządów demokratycznych uważał za całkowicie chybioną, i że darzył sympatią monarchie absolutne. Wyraził również swoją dezaprobatę *zwolennikom wolności sumienia i wyznania* oraz tym wszystkim, którzy

twierdzili, że Kościół nie może stosować przemocy. Ten sam papież w 1870 r. poinformował zwołany przez siebie Sobór Watykański o zamiarze podniesienia do rangi oficjalnego dogmatu nieomyślności papieża — jego nieomyślności. Po tym, kiedy za kulisami doszło do gwałtownych sporów i pewnych, całkowicie niechrześcijańskich nacisków, papież doznał poważnej porażki moralnej, gdyż z ponad 1000 uprawnionych do głosowania uczestników Soboru tylko 451 głosowało za nowym dogmatem. Przed ostatnim głosowaniem, zgodnie z umową taktyczną, wszyscy (z wyjątkiem dwóch) biskupi przeciwni temu dogmatowi wyjechali z Rzymu. Na ostatnim posiedzeniu Soboru 18 lipca 1870 r. stosunkiem głosów 535 do 2 uchwalono, że w przyszłości papieża należy uważać za nieomyślnego w formułowaniu doktryn dotyczących wiary lub moralności.

Papież, który kazał potwierdzić swoją nieomyślność, trzymał w getcie wszystkich żyjących w Rzymie Żydów, aż do ich uwolnienia przez oddziały włoskie w 1870 r. Tak samo nietolerancyjny był wobec protestantów — dla kaznodziejów nauczających w Toskanii tej religii polecił wprowadzenie kar więzienia. W chwili gdy piszę te słowa, trwają poważne zabiegi o kanonizowanie papieża Piusa IX i ogłoszenie go świętym.

Po Piusie IX nastąpił Leon XIII, w oczach wielu historyków osobistość oświecona i myśląca w kategoriach humanistycznych. Jego następcą był Pius X, którego nominację wielu znaczących historyków uznało za katastrofalny błąd. Kierował Kościołem katolickim do 1914 r. i szkody, jakie wyrządził, były odczuwalne jeszcze w czasie, gdy Albino Luciani wstąpił do seminarium w Feltre.

Lista książek, których żadnemu katolikowi nie wolno było czytać, stawała się coraz dłuższa. Ekskomunikowano wydawców, dziennikarzy i autorów. Jeżeli krytyczna wobec Kościoła książka ukazywała się anonimowo, ekskomunikowano nieznanego autora. Kiedy Pius X sumarycznym pojęciem chciał określić to wszystko, przeciw czemu zamierzał wystąpić, używał wyrażenia „modernizm”. Ktokolwiek zakwestionował obowiązującą właśnie naukę, ściągał na siebie klątwę papieską. Umberto Benigni, prałat włoski z błogosławieństwem i finansowym wsparciem papieża zbudował sieć agentów i szpicli. Celem tego przedsięwzięcia było wytropienie wszystkich modernistów wewnątrz Kościoła i zamknięcie im ust. W ten sposób w XX wieku odrodziła się inkwizycja.

Z uwagi na zmniejszenie swej władzy doczesnej przez utratę państwa kościelnego, „więzień w Watykanie”, jak się sam określał, nie mógł już posyłać heretyków na stos, ale byle aluzja, delikatne napomknięcie, anonimowo puszczona w obieg nieuzasadniona plotka o konfratrze lub potencjalnym rywalu wystarczały, by zniszczyć wiele karier kościelnych. Matka pożerała własne dzieci. Większość z tych, których maltretował papież ze swoimi

ludźmi, była lojalnymi i wierzącymi członkami Kościoła rzymskokatolickiego.

Pius polecił zamknąć wiele seminariów duchownych. Te, które mogły nadal istnieć, by wykształcić następne pokolenia księży, starannie nadzorowano. W jednej ze swoich encyklik papież zarządził, że każdy, kto z racji swojej oficjalnej funkcji głosił kazania lub nauczał, musiał w uroczystej przysiędze wyrzec się wszystkich herezji modernizmu. Ogłosił także obejmujący wszystkich uczących się w seminariach i studentów teologii zakaz czytania gazet i czasopism, przy czym sam dodał jeszcze, że jego zakaz obejmuje również najbardziej prestiżowe czasopisma.

Ojciec Benigni, człowiek odpowiedzialny za sieć agentów, która ostatecznie rozciągnęła się nad każdą diecezją we Włoszech i w pozostałych krajach Europy, każdego roku otrzymywał z rąk papieża premię w wysokości 1000 lirów (co stanowiło równowartość ok. 5000 \$). Stworzoną przez niego sieć szpicli zlikwidowano dopiero w 1921 r. Ojciec Benigni przeszedł potem jako informator i agent na służbę Mussoliniego.

Pius X zmarł 20 sierpnia 1914 r. W roku 1954 został kanonizowany.

Seminarzysta Luciani szybko się więc dowiedział, że w Feltre czytanie gazety lub czasopisma było przestępstwem. Żył tu w surowym świecie, w którym nauczyciele byli niemal tak samo narażeni na niebezpieczeństwo jak uczniowie. Słowo lub uwaga, które nie spotkały się z jednoznacznym uznaniem kolegi, mogły prowadzić do tego, że ich autora pozbawiano prawa nauczania, gdyż przed szpiclami ojca Benigniego nikt nie czuł się pewnie. Chociaż w 1921 roku, dwa lata przed wstąpieniem Lucianiego do seminarium, tę sieć agenturalną oficjalnie rozwiązano, jednak wywarła ona decydujący wpływ na jego pobyt i naukę w Feltre. Krytyczne kwestionowanie treści nauczania było niedopuszczalne. System był ukierunkowany na udzielanie uczniom odpowiedzi, a nie na zachęcanie ich do zadawania pytań. Nauczyciele, u których czystki i cenzura pozostawiły blizny i urazy, przekazywali je następnemu pokoleniu.

Księża z pokolenia Albino Lucianiego byli z całą siłą konfrontowani z mentalnością antymodernistyczną, ucieleśnioną w *Syllabus errorum*. Pod tymi dominującymi wpływami Luciani sam mógłby łatwo zostać kapłanem o ciasnym, zamkniętym obrazie świata. Z różnych przyczyn los ten został mu oszczędzony. Istotnym czynnikiem był jego prosty, lecz wielki dar: głód wiedzy.

Jeżeli nawet obawy matki o stan jego zdrowia we wczesnych latach dzieciństwa były przesadne, to jednak ta troskliwość przyniosła błogosławiony skutek: zabraniając chłopcu przyłączania się do zabaw i szaleństw rówieśników i wciskając mu do ręki książkę zamiast piłki, otworzyła przed nim cały świat. Już w najmłodszym wieku zaczął żarliwie czytać,

całego Dickensa, całego Julesa Verne'a. Marka Twaina przeczytał na przykład w wieku siedmiu lat, co z pewnością było rzeczą niezwykłą w kraju, w którym w owym czasie ciągle jeszcze prawie połowę społeczeństwa stanowili analfabeci.

W Feltre przeczytał wszystkie książki znajdujące się w bibliotece. Jeszcze ważniejsze było to, że praktycznie wszystko, co przeczytał, zachowywał w pamięci. Był obdarzony niezwykłą pamięcią. Chociaż wiedział, że prowokacyjne pytania najczęściej ganiono, Luciani od czasu do czasu miał odwagę je stawiać. Nauczyciele uważali go za pilnego, ale „zbyt ruchliwego”.

W miesiącach letnich młody uczeń seminarium corocznie powracał do swojej wioski rodzinnej i ubrany w swoją długą, czarną sutannę pracował w polu. Jeżeli nie pomagał przy żniwach, można go było znaleźć w bibliotece ojca Filipposa, którą „porządkował”. Długie miesiące w seminarium duchownym ożywiała od czasu do czasu wizyta jego ojca, bowiem odwiedziny w Feltre były każdej jesieni pierwszą czynnością ojcowską Giovanniego po jego powrocie z zagranicy. Zimą poświęcał na działalność agitacyjną i prowadzenie kampanii wyborczej w służbie socjalistów.

Z Feltre Luciani przeniósł się do wyższego seminarium w Belluno. Jeden z jego tamtejszych kolegów opisał mi ówczesny przebieg dnia w Belluno:

Budzono nas o godzinie 5.30. Nie było ogrzewania, często woda nawet zamarzała. Każdego ranka potrzebowałem pięciu minut, by znowu odkryć moje powołanie. Mieliśmy pół godziny na umycie się i posłanie łóżek.

Lucianiego poznałem tam we wrześniu 1929 r. Miał wówczas szesnaście lat. Zawsze był uprzejmy, spokojny, samodzielny. Kiedy jednak powiedziano coś błędnego lub niedokładnego, eksplodował. Nauczyłem się, że w jego obecności trzeba było starannie rozważać to, co się mówiło. Wystarczył błąd w rozumowaniu i już człowiek narażał się na niebezpieczeństwo ostrego ataku z jego strony.

Wśród książek, które czytał Luciani, były także dzieła Antonio Rosminiego. Znamienne, że w bibliotece seminaryjnej nie było książki *Pięć ran Kościoła*. Znajdowała się ona na indeksie książek zakazanych jeszcze w 1930 r. Luciani, który znał wywołane przez nią kontrowersje, potajemnie zdobył jeden egzemplarz. Książka ta miała wyrzeć głęboki i trwały wpływ na jego sposób myślenia i życie.

Ogłoszone w 1864 r. przez Piusa IX *Syllabus errorum* również w latach trzydziestych XX wieku miało dla nauczycieli Lucianiego jeszcze moc obowiązującą jako objawienie absolutnych prawd. Tolerowanie w kraju z przeważającą ludnością katolicką publicznego wyrażania niekatolickich poglądów było niewyobrażalne. Faszyzm we Włoszech w latach

poprzedzających drugą wojnę światową był propagowany nie tylko w wersji Mussoliniego. Błądzący nie mają żadnych praw. Wyjątek tworzy oczywiście przypadek, gdy głosiciel panującej nauki sam błądzi; jego prawo jest absolutne.

Horyzont Lucianiego, daleki od tego, by rozszerzać się pod wpływem jego nauczycieli, w pewnym sensie zaczął się ścieśniać. Na szczęście znajdował się on nie tylko pod wpływami nauczycieli. Jeden z jego kolegów z Belluno przypomina sobie:

Czytał dramaty Goldoniego, czytał powieściopisarzy francuskich XIX wieku. Kupił zbiór pism Pierre'a Couwasego, jezuitę francuskiego z XVII wieku i przeczytał go od deski do deski.

Pisma Couwasego wywarły na młodym Lucianim tak duże wrażenie, że poważnie zastanawiał się nad wstąpieniem do zakonu jezuitów. Obserwował, jak najpierw jeden, a potem drugi z jego bliskich przyjaciół udali się do rektora biskupa Giosue Cattarossiego i poprosili go o zezwolenie na wstąpienie do zakonu. W obu przypadkach rektor udzielił swojej zgody. Następnie odwiedził go Luciani i też poprosił o zgodę. Biskup zastanowił się nad tym i powiedział: *Nie, trzech to o jednego za dużo. Lepiej tu pozostań.*

Albino Luciani otrzymał święcenia kapłańskie w kościele Św. Piotra w Belluno, w wieku 23 lat, 7 lipca 1935 r. Dzień później w swojej rodzinnej miejscowości odprawił pierwszą mszę. Ogromnie się ucieszył, gdy powierzono mu funkcję wikarego w Canale. Radości tej nie zmącił nawet fakt, że było to najskromniejsze stanowisko, jakie Kościół miał w ogóle do zaoferowania.

Wśród zgromadzonych przyjaciół, krewnych i duchownych konfratrów znajdował się owego 7 lipca również bardzo dumny Giovanni Luciani, który miał już stałą pracę niedaleko stron rodzinnych jako dmuchacz szkła na wyspie Murano koło Wenecji.

W 1937 r. Lucianiego mianowano wicerektorem seminarium w Belluno. Treść tego, czego nauczał, nie różniła się prawie od nauk wpojonych mu w tym samym miejscu przez jego nauczycieli. Różniła się jednak bardzo jego metoda nauczania. Nudny często materiał i skostniałą teologię potrafił natchnąć ożywczym duchem i sprawić, by bez trudu pozostawała w pamięci. Po czterech latach chciał rozszerzyć pole działania i zostać doktorem teologii. W tym celu musiał udać się do Rzymu i podjąć studia na Uniwersytecie Gregoriańskim. Jego przełożeni w Belluno życzyli sobie, by równoległe do swych studiów nadal nauczał w seminarium. Luciani wyrażał taką gotowość, ale Uniwersytet Gregoriański wymagał obowiązkowo przynajmniej rocznej osobistej obecności przyszłego doktoranta w Rzymie.

Kiedy wstawiły się za nim dwie osobistości kościelne — Angelo Santin, rektor seminarium w Belluno i ojciec Felice Capello, ceniony ekspert od prawa kanonicznego, który

nauczał na Uniwersytecie Gregoriańskim i „przypadkowo” był spokrewniony z Lucianim — papież Pius XII osobiście zwolnił go od tego obowiązku w liście datowanym 27 marca 1941 r. i podpisanym przez kardynała Maglione. (W korespondencji watykańskiej w ogóle nie znalazł odbicia fakt, że w tym czasie już w pełni toczyła się druga wojna światowa.) Na pracę doktorską Luciani wybrał temat: *Pochodzenie duszy ludzkiej według Antonio Rosminiego*.

Doświadczenia Lucianiego z okresu wojny były szczególną mieszaniną wątków religijnych i świeckich. Poprawił na przykład swoją znajomość języka niemieckiego, spowiadając żołnierzy z hitlerowskich Niemiec. Jednocześnie poświęcił się studiowaniu dzieł Rosminiego, przynajmniej tej ich części, która nie znajdowała się na indeksie. Kiedy Lucianiego wybrano potem na papieża, twierdzono powszechnie, że jego praca doktorska była „doskonała”, a przynajmniej taka była opinia papieskiej gazety „Osservatore Romano”, która jednak poglądu tego nie wyrażała w swoich artykułach biograficznych o Lucianim, jakie publikowała przed konklawe. Profesorowie, którzy dziś nauczają na Uniwersytecie Gregoriańskim, nie podzielają tego poglądu. Gdy jeden z nich w rozmowie ze mną ocenił pracę jako „zadowalającą”, inny oświadczył: *W moim przekonaniu jest bezwartościowa. Świadczy ona o ekstremalnym konserwatyźmie i braku metodyki naukowej*.

Wielu uważa, że zainteresowanie Lucianiego dziełami Rosminiego i zajęcie się nimi były jednoznacznymi oznakami liberalnego umysłu. Tymczasem Albino Luciani z lat czterdziestych na pewno nie był liberałem. W swojej pracy doktorskiej podjął próbę obalenia wszystkich istotnych poglądów Rosminiego. Zarzucił temu religijnemu filozofowi niedokładne przytaczanie cytatów oraz powierzchowność i „sofistyczną przebiegłość”. Praca jest atakiem polemicznym i świadczy wyraźnie o reakcyjnym sposobie myślenia.

Kiedy Luciani nie był zajęty ustalaniem, gdzie Rosmini niewłaściwie cytował Św. Tomasza z Akwinu, nauczał swoich seminarzystów w Belluno, krocząc przy tym delikatną, niebezpieczną ścieżką. Polecał swoim uczniom, by nie reagowali widząc likwidację miejscowych grup oporu przez niemieckie oddziały. Prywatnie sprzyjał ruchowi oporu, ale wiedział, że wśród studiujących w seminarium było wielu zwolenników faszyzmu. Wiedział też, że akcje ruchu oporu prowokowały Niemców do represji wobec ludności cywilnej. Burzono domostwa, zabierano mężczyzn i wieszano ich na drzewach.

Jednak pod koniec wojny seminarium Lucianiego stało się schronieniem dla uczestników ruchu oporu. Gdyby Niemcy to odkryli, z pewnością śmierć spotkałaby nie tylko tych ludzi, lecz także Lucianiego i jego kolegów.

Obrona pracy doktorskiej Lucianiego odbyła się 23 listopada 1946 r. Opublikowano ją jednak dopiero 4 kwietnia 1950 r. Luciani otrzymał *magnum cum laude* i był teraz doktorem

teologii.

Biskup Belluno, Girolamo Bortignon, mianował Lucianiego w 1947 r. wikariuszem generalnym swojej diecezji oraz powierzył mu organizacyjne przygotowania zbliżającego się synodu i międzydiecezjalnego spotkania Feltre z Belluno. Wzrostowi odpowiedzialności towarzyszyło rozszerzenie horyzontów. Wprawdzie Luciani nie zaszedł jeszcze tak daleko, by się pogodzić z poglądami Rosminiego na temat „pochodzenia duszy”, ale zaczął rozumieć i podzielać jego poglądy na temat niedomagań Kościoła. Bowiem sto lat później po ich ogłoszeniu przez Rosminiego problemy Kościoła nie straciły swej ostrości — przepaść społeczna między wiernymi i duchownymi, niewykształcony kler, niezgoda między biskupami, niezdrowe, wzajemne uwikłania między Kościołem i państwem w zakresie władzy, a przede wszystkim przywiązywanie wewnątrz Kościoła dużej wagi do bogactwa materialnego.

W 1949 r. Lucianiemu powierzono odpowiedzialność za katechezę podczas Kongresu Eucharystycznego, który odbył się w tym roku w Belluno. Z tej pracy oraz oczywiście z doświadczeń nauczyciela teologii zrodziła się jego pierwsza próba pisarska, książeczka pod tytułem *Catechesi in Briciole* (Okruszyna katechizmu), w której wyłożył swoje poglądy.

Lekcje katechizmu prawdopodobnie u większości dorosłych katolików należą do najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa. Wielu teologów nie przywiązuje żadnej wagi do tych wczesnych zajęć, ale odbywają się one właśnie w tej fazie życia, którą mają na myśli jezuici, mówiąc o *złowieniu dziecka na całe życie*. Albino Luciani był jednym z najlepszych nauczycieli katechizmu, jakich Kościół miał w tym stuleciu. Cechowała go owa prostota sposobu rozumowania, którą spotyka się tylko u bardzo inteligentnych umysłów, połączona dodatkowo z prawdziwym, głębokim humanitaryzmem.

W 1958 r. Don Albino, jak go wszyscy nazywali, prowadził wypełnione po brzegi i uporządkowane życie. Zmarli jego rodzice. Często jeździł w odwiedziny do swojego brata, Eduardo, który z żoną i dziećmi mieszkał w starym domu rodzinnym oraz do siostry Antonii, również zameżnej, która mieszkała w Trieście. Jako wikariusz generalny Belluno miał bardzo dużo pracy. Wypoczywał czytając książki. Przywiązywał małą wagę do jedzenia i smakowało mu wszystko, co mu podawano. Dla podtrzymania sprawności fizycznej od czasu do czasu pedałował na rowerze przez swoją diecezję i wędrował po położonych w pobliżu górach.

Ten niewysoki, spokojny mężczyzna miał dar wywierania głębokiego i trwałego wrażenia na ludziach, którzy się z nim stykali. W rozmowach z ludźmi, którzy znali Albino Lucianiego zawsze widziałem zachodzące w nich, zauważalne zmiany, kiedy tylko rozmowa schodziła na jego temat. Ich twarze odprężały się w sensie fizycznym i nabierały łagodnego

wyrazu. Na ustach pojawiał się uśmiech; uśmiech towarzyszył ich słowom prawie zawsze, gdy przypominali sobie o spotkaniach z tym człowiekiem. Już sama myśl o nim nastrajała ich pogodnie. Widziałem i czułem, że w ich wnętrzu drgała jakaś struna. Katolicy używają w tym kontekście słowa dusza. Albino Luciani zupełnie bezwiednie pozostawił po sobie szczególne dziedzictwo przemierzając okolicę na swym rowerze.

W Watykanie urzędował nowy papież, Jan XXIII. Pochodził z pobliskiego Bergamo, gdzie urodził się człowiek, któremu Luciani zawdzięczał swoje imię. Papież był zajęty nowym rozdziałem urzędów i godności w hierarchii Kościoła katolickiego. Swoim następcą w Wenecji mianował Urbaniego, do Werony na jego polecenie udał się Carraro. Do obsadzenia został urząd biskupa w Vittorio Veneto. Papież zwrócił się do biskupa Bortignona o zaproponowanie kandydata. Odpowiedź wywołała u niego uśmiech: *Znam go. Znam go. Ten człowiek sprawi mi radość.*

Po nominacji na biskupa Vittorio Veneto, Luciani z ową rozbrajającą skromnością, którą potem wielu miało tak całkowicie źle zrozumieć, oświadczył na temat swoich kontaktów z papieżem:

Kilkakrotnie podróżowałem z nim koleją, ale wówczas to on najczęściej mówił. Ja powiedziałem tak mało, że z pewnością nie mógł sobie wyrobić o mnie zdania.

W grudniu 1958 r., dwa dni po Bożym Narodzeniu, w Bazylice Św. Piotra 46-letni Albino Luciani został konsekrowany na biskupa przez papieża Jana.

Papież dobrze wiedział, jak ten młody mężczyzna rozumiał i wykonywał swoje powinności duchownego i wyraził mu za to podziękowanie i uznanie. Wziął do ręki książkę *De Imitatione Christi* Tomasza a Kempis i świeżo wyświęconemu biskupowi przeczytał rozdział 23. Wymieniono w nim cztery przykazania, których przestrzeganie zapewnia pokój i wolność osobistą:

Mój synu, próbuj postępować raczej zgodnie z wolą innych niż swoją. Zawsze staraj się posiadać mniej niż więcej. Zawsze wybieraj najskromniejsze miejsce i dąż do tego, by mniej znaczyć niż wszyscy inni. Zawsze zmierzaj ku temu i módl się o to, by w twoim życiu całkowicie urzeczywistniała się wola Boga. Przekonasz się, że człowiek, który bierze sobie to wszystko do serca, będzie poruszał się po krainie ciszy i pokoju.

Przed konsekracją na biskupa Luciani napisał list do monsignora Capovilli o zbliżającym się wydarzeniu. Jedno zdanie z tego listu świadczy dobitnie, jak bardzo przybliżył się do zamiaru prowadzenia swego życia zgodnie z ideałami Tomasza a Kempis: *Czasami Pan tworzy swoje dzieło z prochu.*

Podczas pierwszej mszy, odprawianej przez nowego biskupa dla parafian Vittorio

Veneto, Luciani pogłębił ten temat:

W mojej osobie Pan ucieka się ponownie do swojej starej metody. Zabiera on maluczki z błota ulicy. Zabiera ludzi z pól. Innych zabiera od ich sieci rybackich i czyni ich swoimi uczniami. Jest to jego stara metoda.

Zaraz po otrzymaniu przeze mnie święceń kapłańskich moi przełożeni zaczęli powierzać mi pełne odpowiedzialności zadania, więc nauczyłem się, co to znaczy dla człowieka sprawować jakiś urząd. To jest tak jak z napompowaną powietrzem piłką. Jeżeli przyjrzy się grającym na łące przed kościołem dzieciom, to stwierdzicie, że nie chcą one nawet spojrzeć na swoją piłkę, jeśli nie ma w niej powietrza. Kiedy jednak się ją napompuje, ze wszystkich stron podbiegają dzieci i każde z nich czuje się uprawnione do kopnięcia piłki. Podobnie rzecz ma się z ludźmi, którzy obejmują wysokie urzędy. Dlatego nie potrzebujecie mi zazdrościć.

Później przemawiał do 400 księży, którzy zostali jego podwładnymi. Wielu z nich ofiarowało mu podarunki, artykuły żywnościowe, pieniądze. Nie przyjął od nich niczego. Przed zgromadzonymi duchownymi próbował uzasadnić to następująco: *Przybyłem tu z sumą mniejszą niż pięć lirów. Chciałbym też odejść z sumą mniejszą niż pięć lirów.* Potem kontynuował:

Kochani księża. Kochani wierni. Byłbym bardzo nieszczęśliwym biskupem, gdybym was nie kochał. Zapewniam was, że was kocham, że chciałbym być waszym sługą i poświęcić wam wszystkie moje słabe siły — ile ich tylko posiadam.

Miał do wyboru przeniesienie się do luksusowo urządzonego mieszkania w mieście lub do spartańskiej siedziby w zamku San Marino. Zdecydował się na to drugie.

Wielu biskupów ze zrozumiałych względów prowadziło życie oddzielone od stada swych owieczek przepaścią akceptowaną przez obie strony. Biskup jest wyniosłą, podobną do książęcej figurą, ukazującą się zwykłym śmiertelnikom tylko przy szczególnych okazjach.

Albino Luciani przybył do Vittorio Veneto z całkowicie odmiennym pojmowaniem swej roli. Nosił sutannę zwykłego księdza i osobiście, bezpośrednio nauczał swoje owieczki Ewangelii. W stosunkach z podległymi sobie księżmi wprowadził formę demokracji, która w owych dniach była w Kościele rzadko spotykana. W konsystorzu biskupim w Vittorio Veneto nie było na przykład żadnych kandydatów zgłaszanych przez biskupa.

Kiedy konsystorz opowiedział się kiedyś za zamknięciem pewnego małego seminarium, Luciani, który był przeciwny temu planowi, odwiedził wszystkie parafie i spokojnie omówił całą sprawę z poszczególnymi księżmi. Kiedy przekonał się, że większość z nich była za zamknięciem, wyraził na to zgodę. Uczniowie zamkniętego seminarium

przeszli do szkół państwowych — na polecenie byłego seminarzysty, Lucianiego. Później oświadczył publicznie, że opinia większości była słuszna, a jego błędna.

Żaden ksiądz z diecezji, który chciał rozmawiać ze swoim biskupem, nie musiał się wcześniej u niego zapowiadać. Jeśli przybywał, to zostawał przyjęty. Niektórzy uważali to demokratyczne postępowanie za oznakę słabości, inni natomiast powitali to z zadowoleniem i porównywali go z człowiekiem, który uczynił z niego biskupa.

To było tak, jakbyśmy mieli naszego własnego, osobistego papieża. To było tak, jak gdyby papież Roncalli (Jan XXIII) był w tej diecezji i pracował z nami. Podczas posiłków gościł u siebie zazwyczaj dwóch lub trzech księży. Nie potrafił po prostu inaczej, jak tylko dzielić z innymi to, co posiadał oraz siebie samego. Zdarzało się, że bez zapowiedzi odwiedzał chorych lub kalekich. W szpitalu zawsze pojawiał się nieoczekiwanie, przybywał nagle na rowerze lub w swoim starym samochodzie; swojemu sekretarzowi polecał czekać na zewnątrz i czytać dokumenty, a sam wizytował pokoje chorych. W chwilę później pojawiał się w górskiej wiosce, by z tamtejszymi księżmi przedyskutować określony problem.

W drugim tygodniu stycznia 1959 r., niespełna trzy tygodnie po podniesieniu Lucianiego do godności biskupiej, papież Jan rozmawiał ze swoim zastępcą sekretarza stanu, kardynałem Domenico Tardinim o problemach polityki światowej. Dyskutowali o implikacjach tego, co na Kubie młody człowiek o nazwisku Fidel Castro oznaczał dla reżimu Battisty, o nowym prezydencie Francji, generale de Gaulle'u, o pionierskim wyczynie technicznym Rosjan, których rakieta wystrzelona w przestrzeń kosmiczną okrążyła księżyc. Rozważali sprawę powstania w Algierii, zastraszającą nędzę w wielu krajach Ameryki Łacińskiej, zmieniające się oblicze Afryki, gdzie już niemal co tydzień powstawał jakiś nowy naród. Papież miał wrażenie, że Kościół katolicki nie poradził sobie z problemami okresu powojennego. W jego oczach świat znajdował się w krytycznej fazie rozwoju historycznego, w fazie, w której w pokaźnej części świata można było obserwować odwrót od celów i wartości duchowych do materialnych. W odróżnieniu od wielu innych w Watykanie, papież uważał, że z reformami, tak samo jak z miłością bliźniego, najlepiej byłoby zacząć we własnym domu. Nagle Jan wpadł na pomysł. Później powiedział, że musiał go natchnąć Duch Święty. W każdym razie była to wspiana idea: Sobór.

Idea ta była zarodkiem, z którego wyrósł Drugi Sobór Watykański. Pierwszy, który odbył się w 1870 r., zaowocował dogmatem nieomyślności papieskiej. Uchwały drugiego odbijają się szerokim echem na całym świecie jeszcze dziś, dwadzieścia lat później.

Jedenastego października 1962 roku na uroczystościach otwarcia Drugiego Soboru Watykańskiego zebrało się w Rzymie 2381 biskupów. Wśród nich był Albino Luciani.

Podczas obrad i posiedzeń soborowych Luciani zawarł przyjaźnie, które przetrwały aż do jego śmierci — z Suenensem z Belgii, Wojtyłą i Wyszyńskim z Polski, Marty'm z Francji, Thiandoumem z Dakaru. Luciani w czasie Soboru odkrył także swą własną „drogę do Damaszku”. Było to uchwalenie przez Sobór deklaracji *O swobodzie religijnej*.

Nieliczni przedstawiciele hierarchii kościelnej byli znacznie mniej niż biskup Luciani pod wrażeniem nowego spojrzenia na stare problemy. Niektórzy, jak kardynał Alfredo Ottaviani, kierujący Świętym Oficjum, byli zdecydowani całkowicie odrzucić zasadę tolerancji zawartą w deklaracji *O swobodzie religijnej*, rozpoczęli więc zażartą walkę ze wszystkim, co pachniało „modernizmem” w sensie definicji utrwalonej na przełomie wieków przez papieża Piusa X. Ludzie ci należeli do tego samego pokolenia co seminaryjni nauczyciele Lucianiego z Belluno, którzy wpoili mu, że *swoboda religijna* istnieje tylko dla katolików. *Herezja nie ma żadnych praw*. Te właśnie złe nauki Luciani sam wpał swoim uczniom. Teraz, na Drugim Soborze Watykańskim, z narastającym podziwem wysłuchiwał przemówień biskupów, którzy kolejno krytykowali ten dogmat.

Luciani rozważył argumenty obu stron. Był już człowiekiem ponad 50-letnim i jego sposób zachowania się w tej sytuacji był typowy dla mądrego, przezornego mężczyzny z gór. Dyskutował problem z innymi, wycofywał się, by to przemyśleć i doszedł w końcu do wniosku, że błąd był po stronie tych, którzy go nauczali. Typowe dla niego było również opublikowanie artykułu, w którym wyjaśnił, jak i dlaczego zmienił swoje poglądy. Pod adresem swoich czytelników skierował zalecenie:

Jeżeli traficie na błąd, to zamiast go usunąć spróbujcie raczej, czy nie można go cierpliwie odwracać, tak by światło padało na jądro dobroci i prawdy, którego zazwyczaj nie brak nawet w mylnych poglądach.

Z innymi sprawami poruszonymi w różnych dyskusjach poradził sobie łatwiej. Kiedy wychwalano ideę ubogiego Kościoła — Kościół bez władzy politycznej, ekonomicznej oraz ideologicznej — Sobór ledwie odkrywał to, w co Luciani wierzył już od dawna.

Przed rozpoczęciem Soboru Luciani listem pasterskim zatytułowanym *Uwagi na temat Soboru* przygotował swoją diecezję do tego, co nadchodziło. Jeszcze podczas trwania Soboru zatroszczył się o przyspieszenie reform, które już zapoczątkował w Vittorio Veneto. Napomniął podległych sobie nauczycieli seminaryjnych, by czytali nowe komentarze teologiczne i odsunęli owe dzieła standardowe, które tęsknie spoglądały w przeszłość, w kierunku XIX stulecia. Podległych sobie nauczycieli skierował na seminaria na najważniejszych uczelniach teologicznych w Europie. Przy stole towarzyszyli mu już nie tylko nauczyciele, lecz również uczniowie z jego diecezji. Co tydzień pisał do wszystkich

swoich księży i dzielił się z nimi swoimi myślami i planami.

W sierpniu 1962 r., kilka miesięcy przed otwarciem Drugiego Soboru Watykańskiego, Luciani miał do czynienia z przykładem błędu zupełnie innego rodzaju. Dwóch księży z jego diecezji dało się namówić wygadnemu handlarzowi, zajmującemu się spekulacją majątkami ziemskimi, na ryzykowny interes. Kiedy jeden z nich przyszedł w końcu do Lucianiego i wszystko mu wyznał, niedobór w kasie wynosił już ponad dwa miliardy lirów. W znacznej części chodziło tu o pieniądze drobnych ciułaczy.

Albino Luciani miał zdecydowane poglądy w sprawach finansowych, zwłaszcza w odniesieniu do kościelnych wartości majątkowych. Niektóre z jego poglądów wywodzą się od Rosminiego, wiele jest bezpośrednim wynikiem jego osobistych doświadczeń. Wierzył w Kościół ubogi i dla ubogich. Wymuszone, długie okresy nieobecności ojca, głód i chłód, drewniaki nabite od spodu gwoździami dla ochrony drewna przed przedwczesnym zużyciem, suszenie siana na stokach górskich, by zarobić dodatkowo dla wzbogacenia domowego jadłospisu, długie miesiące w seminarium bez kontaktu z matką, która nie mogła sobie pozwolić na odwiedzenie go — wszystko to wytworzyło w Lucianim głębokie, uczuciowe zaangażowanie się po stronie ubogich; czemu towarzyszyła całkowita obojętność wobec pomnażania osobistego dobrobytu i przekonanie, że Kościół, jego Kościół, powinien nie tylko być Kościołem ubogim, lecz także być postrzeganym jako taki.

Świadomy szkód, jakie wyrządziłby skandal z powodu tego nieopatrzego kroku, Luciani udał się bezpośrednio do redaktora naczelnego weneckiej gazety „Il Gazzettino”. Poprosił go, by nie informowano o tej historii w sposób sensacyjny, posługując się demagogią. Powróciwszy do diecezji zwołał swoich 400 księży. Normalną praktyką byłoby obstawanie przy immunitacie kościelnym. W ten sposób Kościół nie zapłaciłby ani grosza. Luciani jednak oświadczył swoim księżom spokojnym tonem:

Prawdą jest, że dwóch spośród nas zblądziło. Uważam, że diecezja musi zapłacić. Uważam też, że prawo musi tu normalnie działać. Nie możemy zasłaniać się immunitetem. Ten skandal powinien nas wszystkich czegoś nauczyć. Tego mianowicie, że musimy być ubogim Kościołem. Mam zamiar sprzedać skarbiec kościelny. Zamierzam także sprzedać jeden z naszych budynków. Za uzyskane pieniądze spłacimy co do lira to, co sprzeniewierzyli ci księża. Proszę o waszą zgodę.

Albino Luciani otrzymał zgodę. Zwyciężyła jego moralność. Niektórzy z uczestniczących w spotkaniu podziwiali tego człowieka i jego moralną konsekwencję. Niektórzy uważali, prawie z ubolewaniem, że Luciani stawia wobec takich spraw zbyt wysokie wymagania moralne. Była to z pewnością także opinia spekulanta gruntami, który

uwikłał obu księży w nieudaną inwestycję. Przed rozpoczęciem swego procesu odebrał sobie życie. Jednego z księży skazano na rok pozbawienia wolności, drugiego uniewinniono.

Byli wśród księży tacy, którym w ogóle nie podobały się konsekwencja i bezwarunkowość, z jakimi Luciani przyswajał sobie ducha Drugiego Soboru Watykańskiego. Ich poglądy, tak jak i Lucianiego, uformowały się we wcześniejszej, dyktatorskiej epoce. Jednak w odróżnieniu od niego nie potrafili przekształcić swych umysłów. A takie przekształcenie myślenia było charakterystyczne dla Lucianiego, gdy sprawował funkcję biskupa Vittorio Veneto. Z taką samą żarliwością, z jaką w latach swego dzieciństwa i swej młodości pochłaniał książkę za książką, teraz, by zacytować słowa jego ówczesnego współpracownika, monsignore Ghizzo, *wchłaniał Drugi Sobór Watykański. Sobór przeniknął do jego ciała i krwi. Znał na pamięć dokumenty. Co więcej, wyciągał z nich praktyczne konsekwencje.*

Stworzył partnerską współpracę między Vittorio Veneto i Kirembą, małym miasteczkiem w Burundi, części byłej kolonii niemieckiej w Afryce Wschodniej. Podczas wizyty w Kirembie w połowie lat sześćdziesiątych na własne oczy zobaczył, jak wygląda sytuacja w Trzecim Świecie. Prawie 70 procent liczącej trzy i ćwierć miliona ludności Burundi było katolikami. Wywierało to silne wrażenie; takie samo wrażenie wywierały jednak również ubóstwo i choroby, duża umieralność niemowląt i szalejąca wojna domowa. Kościoły były wypełnione, żołądki puste. Właśnie takie okoliczności skłoniły papieża Jana, zabiegającego o to, by Kościół sprostał problemom XX wieku, do zwołania Drugiego Soboru Watykańskiego. O ile dla strażników tradycji w Kurii Rzymskiej Drugi Sobór był szokiem, to dla Lucianiego i innych tak samo myślących był on oświeceniem.

Jan XXIII dosłownie poświęcił swoje życie temu, by zainicjowany przez niego Sobór przyniósł twórcze i praktyczne rezultaty. Wiedząc, że cierpi na poważną chorobę, odmówił operacji, na którą usilnie nalegali specjaliści. Oświadczyli, że operacja mogłaby przedłużyć mu życie. Odparł, że gdyby teraz, w pierwszej i krytycznej fazie pozostawił Sobór na łasce reakcyjnych czynników w Watykanie, nieunikniona by była katastrofalna porażka teologiczna. Zdecydował się pozostać w Watykanie i pomagać dziecku, które stworzył. Decyzją tą, podjętą spokojnie i z godną podziwu odwagą, wydał na siebie wyrok śmierci. Kiedy zmarł 3 czerwca 1963 r., Kościół katolicki dzięki Drugiemu Soborowi Watykańskiemu był wreszcie na drodze ku temu, by dostosować się do świata rzeczywistego zamiast takiego, jakim chciano go widzieć.

Za pontyfikatu Pawła VI, którego wybrano po śmierci Jana, Kościół katolicki ostrożnie, krok po kroku zbliżał się do konkretnego aspektu rzeczywistości, najważniejszego

problemu, przed którym musiał stanąć w tym stuleciu. W latach sześćdziesiątych z coraz większym naciskiem stawiano pytanie: *Jakie stanowisko zajmuje Kościół wobec sztucznych metod regulacji urodzeń?*

W 1962 r. papież Jan powołał komisję pontyfikalną ds. rodziny. Regulacja urodzeń była jednym z głównych tematów, którymi miała się ona zajmować. Papież Paweł rozszerzył skład komisji do 68 członków. Dodatkowo mianował znaczną liczbę konsultantów, którzy służyli radą komisji i udzielali zaleceń. Podczas gdy setki milionów wiernych na całym świecie w napięciu oczekiwało wyników prac komisji, mnożyły się spekulacje, że dojdzie do zmiany stanowiska Kościoła w tych sprawach.

Wielu katolików zaczęło stosować pigułkę antykoncepcyjną lub inne sztuczne środki antykoncepcyjne. Eksperci w Rzymie mogli sobie debatować o znaczeniu rozdziału 38. wierszy 7-10 Księgi Rodzaju i postaci biblijnej imieniem Onan, tak długo, jak tylko chcieli, ale zwykle życie biegło do przodu.

Jak na ironię stanowisko papieża wobec tego problemu odzwierciedlało dokładnie bezradność panującą w całym świecie katolickim — nie wiedział, co czynić.

W pierwszym tygodniu października 1965 r. papież Paweł udzielił niezwykłego wywiadu dziennikarzowi włoskiemu, Alberto Cavallariemu. Rozważali wiele problemów, z jakimi borykał się Kościół. Jak Cavallari później wyjaśnił, nie poruszył sprawy sztucznej regulacji urodzeń, ponieważ zdawał sobie sprawę, że mógłby tym wprowadzić swojego partnera w zakłopotanie. Obawa ta okazała się nieuzasadniona. Paweł sam zaczął mówić na ten temat. W odniesieniu do poniżej zacytowanej wypowiedzi należy zauważyć, że papież pielęgnowali jeszcze wówczas formę królewskiego pluralis majestatis.

Weźmy na przykład regulację urodzeń. Świat pyta nas, co o tym sądzimy, czujemy się więc zobowiązani podjąć próbę udzielenia odpowiedzi. Co jednak odpowiedzieć? Nie możemy milczeć. Z drugiej strony powiedzenie czegoś na ten temat jest rzeczywiście problemem. Przez całe stulecia Kościół nie musiał zajmować się takimi sprawami. Dla ludzi Kościoła jest to w jakimś sensie obcy, a nawet po ludzku przykry temat. Tak więc przystąpiły do pracy komisje, piętują się raporty, publikuje się wyniki badań. Wie pan, prowadzi się rozliczne studia i badania. Jednak musimy w końcu podjąć decyzję, i to zupełnie sami. Podejmowanie decyzji nie jest tak łatwe, jak studiowanie. Musimy coś powiedzieć. Ale co? Bóg będzie musiał po prostu nas oświecić.

W tym czasie, gdy papież Paweł czekał na boskie oświecenie w sprawach obcowania płciowego, jego komisja trudziła się nadal. Z uwagą obserwowano duchowe zmagania 68 ludzi z mniejszą komisją, złożoną z około 20 kardynałów i biskupów. Aby się znaleźć na

biurku papieża, każda propozycja liberalizacji zgłaszana przez komisję sześćdziesięciu ośmiu musiała najpierw przejść przez kontrolę tej mniejszej grupy, na czele której stał człowiek będący w Kościele katolickim przedstawicielem sił reakcyjnych, a w opinii wielu ludzi nawet ich przywódcą: kardynał Ottaviani.

Decydującą datą w historii komisji był 23 kwietnia 1966 roku. Tego dnia zakończyła ona obszerne, wymagające dużego wysiłku badania problemu regulacji urodzeń. Grupa tych, którzy nadal sprzeciwiali się wszelkim zmianom w stanowisku Kościoła, skurczyła się obecnie do czterech księży; reprezentowali oni niezmiennie pogląd, że Kościół powinien zakazać wszelkich form sztucznej regulacji urodzeń. Przyciśnięta do muru przez innych członków komisji czwórka przyznała, że nie mogła dowieść słuszności swojego stanowiska powołując się na prawa natury ani podbudować go cytatami z Biblii, bądź odesłaniem do objawień boskich. Mogą powoływać się jedynie na to, że w przeszłości wielu papieży potępiło sztuczne zapobieganie ciąży. Trzymali się widocznie dewizy: *To, co było słuszne wczoraj, nie może być błędne dziś.*

Już papież Pius XII (1930-1958) zapoczątkował łagodzenie zaleconego przez swoich poprzedników ostrego stanowiska Kościoła w tej sprawie. W październiku 1951 r. podczas audiencji udzielonej grupie akuserek włoskich oświadczył, że Kościół może zaaprobować posługiwanie się metodą kalendarzową przez katolików, którzy z poważnych przyczyn nie chcą mieć więcej dzieci. Z uwagi na powszechnie znaną zawodność tej metody, znanej pod nazwą „watykańska ruletka”, nie jest żadnym zaskoczeniem, że Pius XII zażądał dalszych badań nad nią. Nie zmienia to jednak faktu, że Pius odszedł na krok od dotychczasowego stanowiska Kościoła, zgodnie z którym stosunek płciowy służył jedynie prokreacji.

Po śmierci Piusa XII pojawił się nie tylko nowy papież, ale także pigułka antykoncepcyjna. Nieomyślność papieża była już głoszona, lecz nikt jak dotąd nie wspominał jeszcze o papieskim darze jasnowidzenia. Zmieniona sytuacja wymagała nowego spojrzenia; tylko czterech dających się zbić z tropu księży komisji sześćdziesięciu ośmiu upierało się przy swoim poglądzie, że stare odpowiedzi będą słuszne również w nowej sytuacji.

Komisja papieska sporządziła wreszcie swój raport. Oznajmiał on zasadniczo, że przeważająca większość (64 do 4) teologów, ekspertów prawnych, historyków, socjologów, lekarzy, akuszerów i doświadczonych w małżeństwach katolików świeckich doszła do jednomyślnego wniosku, że zmiana w stanowisku Kościoła wobec sprawy sztucznego zapobiegania ciąży jest zarówno możliwa, jak i wskazana.

W połowie 1966 r. przedłożono raport owej mniejszej komisji złożonej z kardynałów i biskupów, która nadzorowała prace dużej komisji. Dostojnicy byli zaskoczeni. Ponieważ byli

jednak zobowiązani ustosunkować się do raportu, sześciu z nich wstrzymało się od głosu, ośmiu głosowało za rekomendowaniem tego dokumentu papieżowi, a sześciu opowiedziało się przeciw temu.

Sytuacja ta wywołała najróżnorodniejsze reakcje w Kurii Rzymskiej, centralnym organie administracyjnym złożonym z pracowników świeckich, która kontrolowała i przewodziła Kościołowi katolickiemu. Niektórzy powitali zalecenie komisji z zadowoleniem, inni widzieli w nim kolejny przykład bezbożnych dążeń zapoczątkowanych przez Sobór Watykański II. Do tych ostatnich należał kardynał Ottaviani, prefekt Kongregacji Doktryny Wiary (względnie Świętego Oficjum, jak nazywała się ona do 1965 r.) Dewiza na jego herbie brzmiała: *Semper Idem* — Zawsze ten sam.

Poza papieżem Alfredo Ottaviani był w 1966 r. najpotężniejszym człowiekiem w całym Kościele rzymskokatolickim. Po ukończeniu seminarium rzymskiego całe życie służył w watykańskim sekretariacie stanu i w Kurii, nigdy nie piastując żadnego stanowiska poza Rzymem. Prowadził zażartą i w wielu przypadkach owocną walkę przeciw dążeniom liberalizacyjnym zrodzonym z Soboru Watykańskiego II. Z wiecznie zmarszczonym czołem, z uciekającą dziwacznie do tyłu, jakby na skutek ciągłych uników bokserskich, formą czaszki i zwisającą do nasady szyi wystającą szczęką sprawiał wrażenie nieruchomego sfinksa. Był nie tylko jednym z tych, o których się sądzi, że już starzy się urodzili. On się istotnie za późno urodził. Był ucieleśnieniem tych postaw w Kurii, których jedyną cechą jest odwaga trwania przy przesądach.

Ottaviani uważał się za obrońcę wiary chrześcijańskiej, który nie czyni żadnych ustępstw wobec współczesności. Stawianie czoła wyzwaniom współczesności i przyszłości oznaczało w jego przypadku bezkompromisowe trwanie przy wartościach, które już w średniowieczu były konserwatywne. Nie zamierzał ustąpić w sprawie regulacji urodzeń; co ważniejsze, był zdecydowany zatroszczyć się o to, by papież Paweł VI również nie ustąpił.

Ottaviani nawiązał kontakt z czwórką nieugiętych księży z papieskiej komisji sześćdziesięciu ośmiu. Ich opinii zapewniono już sporo miejsca w raporcie komisji. Ottaviani namówił ich, by swoje odmienne poglądy przedstawili w specjalnym raporcie. Tak więc doszło do tego, że jezuita Marcelino Zalba, redemptorysta Jan Visser, franciszkanin Ermenegildo Lio i amerykański jezuita John Ford przygotowali drugi dokument.

Z etycznego punktu widzenia było to nieszlachetne postępowanie, ale kardynał Ottaviani otrzymał dzięki temu do ręki broń, której mógł teraz użyć przeciw papieżowi, a to także było celem tej operacji. Na wymienionych czterech mężczyznach spoczywa poważna odpowiedzialność za to, co nastąpiło. Ogrom nędzy, cierpień i śmierci, wynikających

bezpośrednio z ostatecznej decyzji papieża należy traktować w wielkim stopniu jako bezpośredni skutek ich działań. Pewne pojęcie o tym, jak rozumowali ci czterej niezłomni, można wyrobić sobie przyglądając się jednemu z nich, amerykańskiemu jezuitcie, Johnowi Fordowi. Był on przekonany, że w tej sprawie miał bezpośredni kontakt z Duchem Świętym, który doprowadził go do zrozumienia ostatecznej prawdy. Gdyby zwyciężył pogląd większości, oświadczył Ford, wówczas byłby zmuszony wystąpić z Kościoła rzymskokatolickiego. Raport, którego był współautorem, stanowił szczyt arogancji. Przedłożył go papieżowi Pawłowi razem z oficjalnym raportem komisji. To, co potem nastąpiło, było klasycznym przykładem możliwości mniejszości w Kurii Rzymskiej, umożliwiających jej kontrolowanie procesów decyzyjnych i manipulowanie wydarzeniami. Kiedy oba raporty dotarły na biurko papieskie, 68 członków komisji po wykonanej pracy rozjechało się po całym świecie. Przekonani, że w tej trudnej sprawie osiągnięto wreszcie rozwiązanie w duchu liberalizacji, rozproszeni członkowie komisji oczekiwali w swoich krajach ojczystych na ogłoszenie odpowiednich decyzji papieskich. Niektórzy z nich pracowali już nad wyjaśniającymi komentarzami, które mogłyby służyć za wprowadzenia lub przedmowy do spodziewanego komunikatu papieskiego, i miały zawierać wyczerpujące uzasadnienie zmiany poglądów Kościoła katolickiego w sprawie kontroli urodzeń.

Kardynał Ottaviani wykorzystał to, że większość członków komisji znajdowała się daleko od Rzymu, a ci, którzy byli na miejscu zachowywali dostojną powściągliwość, by nie wywołać wrażenia, że wywierają nieprzyzwoity nacisk na Pawła VI. Ułatwiali tym robotę Ottavianemu. W 1967 r. i w pierwszych miesiącach 1968 r. mobilizował on tych wszystkich przedstawicieli starej gwardii, którzy podzielali jego poglądy i zaprzęgał ich do walki o swój cel. Dzięki jego reżyserii kardynałowie Cicognani, Brown, Parente i Samore codziennie „spotykali” papieża. Codziennie oświadczali mu, że zaaprobowanie sztucznej regulacji urodzeń oznaczałoby zdradę dziedzictwa kościelnego. Przypominali mu kanoniczne prawo kościelne i trzy kryteria, które przedstawia się wszystkim katolikom chcącym zawrzeć małżeństwo: erekcja, ejakulacja, poczęcie. Brak jednego z tych trzech podstawowych elementów unieważnia małżeństwo w oczach Kościoła. Zalegalizowanie zapobiegania ciąży za pomocą pigułki oznaczałoby, argumentowali, pozbawienie tej części prawa kościelnego mocy obowiązującej. Wielu obserwatorów charakteryzowało papieża Pawła jako rozdartego wewnątrz Hamleta. Każdy Hamlet potrzebuje zamku Elsynor, do którego mógłby się wycofać, by rozmyślać. Po długim wahaniu papież Paweł doszedł do wniosku, że tylko on, tylko on sam, musi podjąć ostateczną decyzję i uczyni to. Wezwał do siebie Agostino Casarolego i powiedział mu, że odbierze Świętemu Oficjum kompetencje w sprawach

regulacji urodzeń. Potem wycofał się do Castel Gandolfo, by pracować nad encykliką, która miała wejść do historii pod tytułem *Humanae vitae*.

Wśród różnych raportów, badań w sprawie sztucznej regulacji urodzeń i zaleceń piętrzących się na papieskim biurku w Castel Gandolfo znajdował się również dokument przedstawiający stanowisko Albino Lucianiego.

Podczas gdy komisje, doradcy i kardynałowie z Kurii rozpatrywali problem, papież zapoznał się także z opiniami przedstawicieli Kościoła z różnych regionów Włoch, w tym także diecezji weneckiej. Patriarcha Wenecji, kardynał Urbani, zaprosił na spotkanie wszystkich biskupów ze swojego regionu. Po jednodniowej dyskusji postanowiono, że opinię, której życzył sobie papież, powinien opracować Luciani.

O tym, że właśnie Lucianiemu powierzono to zadanie, zdecydował fakt, że znał problem, gdyż zajmował się nim od lat. Mówił o tym i pisał, zwracał się o rady do lekarzy, socjologów i teologów, a także osób, które mogły ocenić problem na podstawie osobistych, praktycznych doświadczeń — małżonków.

Jednym z zapytanych był jego własny brat, Eduardo, mający zawsze kłopoty z zarobieniem wystarczającej ilości pieniędzy na wyżywienie stale rosnącej gromadki dzieci, która liczyła ich w końcu dziesięcioro. Luciani z pierwszej ręki poznał problemy wynikające z istniejącego nadal zakazu sztucznego zapobiegania ciąży. Miał wrażenie, że w późnych latach sześćdziesiątych istniało wciąż jeszcze tak wiele ubóstwa i niedostatku, jak w odległych latach jego dzieciństwa, które spędził w biedzie. Jeżeli ktoś bliski człowiekowi znajdzie się w kłopotach, bo nie jest w stanie wyżywić stale rosnącej liczby dzieci, wówczas sprawa zapobiegania ciąży jest postrzegana przezeń w innym świetle niż przez, powiedzmy, jezuitę znajdującego się w bezpośrednim kontakcie z Duchem Świętym.

Ludzie w Watykanie mogą sobie aż do dnia Sądu Ostatecznego cytować Księgę Rodzaju, ale cierpiącej niedostatek rodzinie nie zapewniło to jeszcze chleba. Dla Lucianiego sens i zasługa Soboru Watykańskiego II polegały na przystosowaniu Ewangelii i Kościoła do XX wieku; odmawianie mężczyznom i kobietom prawa do zapobiegania ciąży oznaczałoby natomiast cofnięcie się Kościoła do najciemniejszego średniowiecza. Podczas pracy nad raportem wiele z tych poglądów wyrażał w dyskretnych i prywatnych rozmowach. Na forum publicznym baczył starannie na przestrzeganie swego obowiązku posłuszeństwa wobec papieża. Pod tym względem Luciani pozostał typowym przedstawicielem swego pokolenia. Jeżeli papież podjął decyzję, wierni się jej podporządkowywali. Jednak publiczne wypowiedzi Lucianiego także zawierały jednoznaczne wskazówki świadczące o tym, jaki był jego pogląd na sprawę regulacji urodzeń.

W kwietniu 1968 r. po dalszych, szeroko zakrojonych dociekaniach Luciani sporządził gotowy raport. Spotkał się on z aprobatą biskupów regionu Wenecji, kardynał Urbani podpisał go i wysłał bezpośrednio do papieża Pawła. Przy późniejszej okazji Urbani spostrzegł ten dokument na biurku papieskim w Castel Gandolfo. Paweł zapewnił Urbaniego, że bardzo wysoko ocenia raport. Wypowiedział o nim tyle pochwał, że Urbani w drodze powrotnej do Wenecji zbieżył do Vittorio Veneto, by osobiście poinformować Lucianiego o tym, jak bardzo papieżowi spodobał się jego raport.

Najważniejszym elementem, świadczącym o charakterze raportu, było zalecenie pod adresem papieża, by dopuścił stosowanie pigułki antykoncepcyjnej opracowanej przez prof. Pincusa. Powinna ona stać się katolickim środkiem antykoncepcyjnym.

Trzynastego kwietnia Luciani wygłosił w Vittorio Veneto kazanie o problemach narosłych ze sprawy regulacji urodzeń. Z ową dostojną powściągliwością, która stała się tymczasem jedną z jego charakterystycznych cech osobistych, na określenie problemu użył wyrażenia *etyka małżeńska*. Po zaznaczeniu, że w rozmowach ze spowiadającymi się księża *powinni trzymać się wskazówek udzielanych przez papieża przy różnych okazjach do czasu, aż wyda on wiążące oświadczenie*, Luciani postawił trzy tezy:

1. Z uwagi na zamęt wywołany przez prasę łatwiej jest dziś spotkać osoby żonate lub zamężne, które nie mają uczucia, że grzeszą. W takich przypadkach w normalnych okolicznościach być może jest wskazane, by nie siać niepewności.

2. Wobec skruszonego onanisty, który okazuje zarówno skruchę jak i bojaźń, wskazane jest dodawanie odwagi i okazywanie łaskawości, w granicach mądrości duszpasterskiej.

3. Módlmy się, by Pan zechciał dopomóc papieżowi w uporaniu się z tym problemem. Być może nigdy jeszcze Kościół nie stał przed tak trudną sprawą, trudną zarówno z uwagi na tkwiące w niej problemy, jak i z powodu licznych implikacji budzących nowe problemy oraz z powodu ostrości i wagi problemu, jaką przykłada doń przeważająca część ludności.

Encyklikę *Humanae vitae* opublikowano 25 lipca 1968 r. Z polecenia papieża jej znaczenie wyjaśnił prasie monsignore Lambruschini z Uniwersytetu Laterańskiego — co było raczej zbędną czynnością. Ważne było co najwyżej podkreślenie, że dokumentu tego nie należy uważać za nieomylną decyzję. Dla milionów katolików ogłoszenie encykliki stało się cezurą historyczną, podobną do zamachu na prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Jeszcze sporo lat później wiele osób pamiętało, w której chwili i miejscu dotarła do nich ta informacja.

Na skali katastrof Kościoła katolickiego *Humanae vitae* plasuje się wyżej niż proces inkwizycji przeciw Galileuszowi w XVII wieku lub obwieszczenie papieskiej nieomylności w

200 lat później. Ogłoszenie dokumentu, który miał wzmocnić autorytet papieża, wywarło dokładnie przeciwny skutek.

Papież Paweł VI, liczący już 71 lat, całkowicie zlekceważył zalecenie komisji udzielającej mu porad w sprawie regulacji urodzeń. Oświadczył, że jedynymi metodami zapobiegania ciąży, które może dopuścić Kościół, są wstrzemięźliwość płciowa lub metoda kalendarzowa. Naturalna ustawa obyczajowa oznajmia, że *każdy stosunek małżeński sam w sobie jest i musi pozostać podporządkowany tworzeniu życia ludzkiego*.

Miliony katolików zlekceważyło papieża i — wierząc nadal — stosowało pigułkę lub inne odpowiadające im metody sztucznego zapobiegania ciąży. Miliony innych utraciło cierpliwość i wiarę. Jeszcze inni wyszukiwali sobie na spowiedników inaczej myślących księży. Byli oczywiście również tacy, którzy usiłowali postępować zgodnie z encykliką, i wówczas dość często doświadczali, że zaniechanie jednego rodzaju grzechu prowadziło do konieczności popełnienia innego: przerwania ciąży lub rozvodu. Encyklika podzieliła Kościół na dwa obozy.

Nie mogę uwierzyć, że zbawienie polega na zapobieganiu ciąży przez mierzenie temperatury, a potępienie jest wynikiem stosowania gumy, oświadczył dr Andre Hellegers, akuszer i członek zignorowanej komisji papieskiej. Zdumiewający argument obronny Watykanu można było usłyszeć od kardynała Feliciego: *Możliwa pomyłka najwyższego autorytetu (papieża) nie jest glejtem dla nieposłuszeństwa wiernych*.

Albino Luciani studiował encyklikę z rosnącym niesmakiem. Wiedział, że wybuchnie teraz fala oburzenia na Kościół. Udał się do kościoła w Vittorio Veneto i modlił się. Nie ulegało wątpliwości, że musiał być posłuszny decyzji papieskiej, ale niezależnie od tego, jak wielka była jego lojalność wobec papieża, nie mógł i nie chciał wypowiadać pod adresem encykliki najwyższych pochwał. Zdawał sobie sprawę, ile musiało kosztować papieża zaprezentowanie światu tego dokumentu; wiedział dokładnie, jak drogo będzie to kosztowało wiernych, którzy będą teraz próbowali organizować zgodnie z nim swoje życie małżeńskie.

Dwie godziny po lekturze encykliki Luciani opracował swoje stanowisko, przeznaczone dla diecezji Vittorio Veneto. Kiedy dziesięć lat później został papieżem, z Watykanu można było usłyszeć, że Luciani wówczas powiedział: *Roma locuta causa finita*. Było to kłamstwo. Nic takiego nie wynika z jego słów. Najpierw przypomniał diecezji to, co powiedział na ten temat w kwietniu; potem kontynuował:

Przyznaję, że — nawet jeżeli wówczas tego nie zdradziłem — w głębi mej duszy miałem nadzieję, że można byłoby przezwyciężyć bardzo poważne problemy, które istnieją, i że odpowiedź Nauczyciela, który mówi ze szczególną charyzmą i w imieniu Pana, mogłaby,

przynajmniej częściowo, odpowiadać nadziejom, jakie wiele małżeństw wiązało z powołaniem ważnej komisji papieskiej do zbadania tej sprawy.

Z uznaniem wypowiedział się o staranności i rozwadze, z jakimi papież podszedł do tego problemu, i wyraził pogląd, iż papież z pewnością wiedział, że *u wielu zbierze gorycz; jednak, jak kontynuował, stara nauka, którą umieszczono teraz w ramach nowego kanonu pocieszających i pozytywnych idei dotyczących małżeństwa i miłości małżeńskiej, stwarza lepszą gwarancję prawdziwego dobra człowieka i rodziny.* Luciani zajął się następnie kilkoma problemami, które nieuchronnie wynikną z encykliki *Humanae vitae*:

Myśli papieża, a także moje, kierują się szczególnie ku, poważnym czasami, problemom par małżeńskich. Niech nie tracą, na miłość boską, otuchy. Niech przypomną sobie, że dla nas wszystkich ciasna jest brama i wąska droga, prowadząca do życia (Mateusz 7; 14). Że nadzieja na przyszłe życie musi oświecać drogę chrześcijańskich par małżeńskich. Że Bóg nie zaniedba udzielenia pomocy tym, którzy modlą się do Niego wytrwale. Niechaj próbują się kierować w swym życiu doczesnym mądrością, sprawiedliwością i pobożnością, wiedząc, że istota tego świata przemienie (1 Kor. 7; 31). Gdyby jednak grzechy miały hamować ich drogę, niechaj wówczas nie tracą otuchy, lecz pokornie i wytrwale uciekają się do miłosierdzia bożego, udzielanego im w bogatym wymiarze w sakramencie pokuty.

To ostatnie zdanie, zacytowane dosłownie z *Humanae vitae*, stanowiło jeden z nielicznych pocieszających aspektów dla ludzi, którzy jak Luciani mieli nadzieję na zmianę sposobu myślenia. Ufając, że *w lojalnym przestrzeganiu nauk papieża ma za sobą swoją trzodę*, udzielił jej swego błogosławieństwa.

Inni księża w innych krajach zareagowali otwartym odrzuceniem stanowiska papieża. Wielu zrzuciło sutanny. Luciani przyjął bardziej ostrożną linię.

W styczniu 1969 r. zaczął znowu mówić na ten temat, który — gdyby postępować zgodnie z życzeniem Watykanu — powinien był zbyć krótką, dogmatyczną formułą. Był świadom tego, że niektórzy z jego księży odmawiali rozgrzeszenia parom małżeńskim stosującym pigułki antykoncepcyjne, natomiast inni chętnie wybaczały ten grzech. Poruszając ten problem Luciani zacytował dokument precyzujący stanowisko włoskiej konferencji biskupów wobec encykliki *Humanae vitae*. On sam uczestniczył w formułowaniu tego stanowiska. Zawierało ono zalecenie pod adresem księży, by wszystkie pary małżeńskie traktować z *ewangeliczną laskawością*, szczególnie jednak, jak podkreślił Luciani, *tych których uchybienia wynikają z... czasami bardzo poważnych trudności, w jakich się znaleźli. W takich przypadkach postępowania małżonków, nawet jeżeli nie odpowiada ono normom chrześcijańskim, na pewno nie można oceniać z taką samą surowością, jaka byłaby na*

miejscu, gdyby u jego podstaw leżały inne, nacechowane samolubstwem i hedonizmem, niemoralne motywy. Luciani napomniął tych spośród swoich wiernych, których męczyły wyrzuty sumienia, by *nie oddawali się przygniatającemu, męczącemu kompleksowi winy.*

Przez cały ten czas Watykan partycypował w zyskach jednej z wielu znajdujących się w jego posiadaniu firm, Instituto Farmacologico Serono. Jednym z najlepiej sprzedających się wyrobów tej firmy był doustny środek antykoncepcyjny pod nazwą Luteolas.

Uwadze Ojca Świętego w Rzymie nie uszła lojalność, którą wykazał wobec niego Albino Luciani w Vittorio Veneto. Wiedział on lepiej od innych, jak ciężko była ta lojalność okupiona. Dokument na jego biurku, podpisany przez kardynała Urbaniego, lecz w rzeczywistości w znacznym stopniu prezentujący stanowisko biskupa Lucianiego w sprawie zapobiegania ciąży, był milczącym świadectwem wysokiej, osobistej ceny tej lojalności.

Będąc pod głębokim wrażeniem papież Paweł VI powiedział do swego podsekretarza stanu, Giovanni Benellego: *W Vittorio Veneto jest mały biskup, który mógłby mi się przydać.* Przebiegły Benelli uczynił wszystko, by osiągnąć przyjazne stosunki z Lucianim. Przyjaźń, która się zrodziła, miała mieć dalekosiężne skutki. Siedemnastego września 1969 r. zmarł kardynał Urbani, patriarcha Wenecji. Papież przypomniał sobie małego biskupa. Ku jego zaskoczeniu Luciani z uprzejmym podziękowaniem odrzucił powołanie go na ten dostojny urząd. Mając negatywny stosunek do wszelkiej żądzy władzy był zadowolony ze swojej funkcji w Vittorio Veneto.

Papież Paweł ponownie zarzucił swą sieć. Kandydatem, który miał spore szanse na ten urząd, był kardynał Antonio Samore, nie mniej reakcyjny niż jego mentor, Ottaviani. Do uszu papieża z pewnością docierały głosy niezadowolonych przedstawicieli katolików z Wenecji, dające wyrażnie do zrozumienia, że wielu w tym mieście byłoby szczęśliwych, gdyby Samore pozostał w Rzymie. W tej sytuacji Paweł VI po raz kolejny zademonstrował wprowadzony przez siebie jeszcze przed wstąpieniem na Stolicę Piotrową rzymski taniec: krok do przodu, krok do tyłu — Luciani, Samore, Luciani.

Luciani zaczął odczuwać nacisk ze strony Rzymu. W końcu się poddał. Decyzji tej żałował już kilka godzin później. Wenecja nieświadoma faktu, że jej nowy patriarcha nie chciał przyjąć tej nominacji, uroczyście celebrowała fakt objęcia urzędu przez „tutejszego człowieka”, Albino Lucianiego, w dniu 15 grudnia 1969 r.

Przed odejściem z Vittorio Veneto Luciani otrzymał ofiarę w wysokości miliona lirów. Dyskretnie odmówił przyjęcia tego pożegnalnego upominku i zasugerował, żeby ofiarodawcy przekazali te pieniądze na cele dobroczynne według własnego uznania; przypomniał to, co po przybyciu do diecezji powiedział przed jedenastu laty swoim księżom:

Przybywam z sumą mniejszą niż pięć lirów. Chciałbym odejść także z sumą mniejszą niż pięć lirów. Paczka bielizny pościelowej, kilka mebli i własne książki — było to wszystko, co Luciani zabrał do Wenecji.

Uroczysty wjazd do Wenecji nowego patriarchy i obecnie już arcybiskupa, Lucianiego, odbył się 8 lutego 1970 r. Zgodnie z tradycją, ingres nowego patriarchy był pretekstem do wesolej i wystawnej procesji gondoli, orkiestr dętych i ludzi w paradnych mundurach, podczas której wygłaszano niezliczone przemówienia. Lucianiemu takie pompacyjne ceremonie zawsze były zdecydowanie niemiłe. Zrezygnował z kosztownego ceremoniału powitalnego i ograniczył się do wygłoszenia przemówienia, w którym odwołał się nie tylko do historii Wenecji, ale także podkreślił, że jego nowa diecezja obejmuje gęsto zaludnione obszary przemysłowe jak Mestre i Marghera. Jest to, jak powiedział: *inna Wenecja, mająca niewiele pomników architektury, ale za to dużo fabryk, osiedli mieszkaniowych, problemów duchowych i wiele dusz. Opatrzność skierowała mnie teraz do tego miasta o wielu obliczach. Panie burmistrzu, pierwsze monety weneckie, które wybito w 850 roku, nosiły napis: „Chryste, ochraniaj Wenecję”. Przyjmuję to hasło z całego serca i czynię z niego modlitwę: „Chryste błogosław Wenecję”.*

To pogańskie miasto w istocie potrzebowało Chrystusowego błogosławieństwa. Pełno tu było monumentalnych budowli i kościołów, świadczących o minionej sławie potężnej republiki miejskiej, tylko że, jak Albino Luciani bardzo szybko spostrzegł, większość kościołów w 127 parafiach była prawie pusta. Jeżeli pominąć turystów, zupełnie małe dzieci i osoby w bardzo podeszłym wieku, to frekwencja w kościołach była w tej diecezji zastraszająco słaba. Wenecja była miastem, które zaprzedało swoją duszę turystyce.

W dzień po swoim przybyciu Luciani zabrał się do pracy w towarzystwie swego nowego sekretarza, ojca Mario Senigagli. Ignorując zaproszenia na koktajle, przyjęcia i różne wieczorne spotkania towarzyskie złożył wizyty w miejscowym seminarium, w więzieniu kobiecym w Giudecca, w ciężkim więzieniu dla mężczyzn w Santa Maria Maggiore i celebrował mszę w kościele w San Simeone.

Patriarchowie Wenecji tradycyjnie mieli do dyspozycji własną łódź. Luciani nie przywiązywał wagi do osobistego dobrobytu i nie wykazywał skłonności do takiego, zbędnego jak mu się wydawało, luksusu. Kiedy on sam i ojciec Mario chcieli się gdzieś udać, korzystali z normalnych, ogólnie dostępnych łodzi. Jeśli sprawa była nagła, Luciani telefonował do straży pożarnej, karabinierów lub urzędu celnego i prosił o udostępnienie jednej z ich motorówek. Te trzy instytucje pracowały przez całą dobę, więc mogły stale służyć własnymi łodziami temu dziwnemu arcybiskupowi.

W szczytowym okresie kryzysu naftowego patriarcha podczas wizyt na pobliskim stałym lądzie przesiadał się na rower. Członkowie śmietanki towarzyskiej w Wenecji z dezaprobatą kręcili głowami. Brakowało im ceremonialnego przepychu, którym w ich oczach musiał być otoczony urząd patriarchy. Patriarcha Wenecji był dla nich ważną figurą, która powinna występować publicznie z należną temu urzędowi godnością. Kiedy Albino Luciani i ojciec Mario pojawiali się bez uprzedzenia w jakimś szpitalu, by odwiedzić pacjentów, natychmiast tworzył się orszak lekarzy, pracowników administracji, zakonników i zakonnice. W rozmowie ze mną ojciec Senigaglia przypomniał sobie jedną z takich sytuacji:

— Nie chciałbym nadużywać waszego cennego czasu. Mogę sam dokonać obchodu.

— Ależ nie, Wasza Eminencjo. To dla nas zaszczyt. Tak więc na obchód sal chorych udawał się cały tłum ludzi z coraz bardziej nieswojo czującym się Lucianim w środku. W pewnym momencie miał już dość, zatrzymał się i powiedział:

— Ach, być może będzie lepiej, jeżeli przyjdę tu znowu innym razem; jest już tak późno.

Inscenizował czasem kilka odwrotów, usiłując w ten sposób pozbyć się orszaku. Ale to mu się nie udawało.

— Prosimy nie mieć skrupułów, Wasza Eminencjo. To nasz obowiązek.

Na zewnątrz kręcąc głową zwrócił się do ojca Senigaglii:

— Czyż oni zawsze są tacy? To okropne. Jestem przyzwyczajony do czegoś innego. Będziemy musieli postarać się, by to zrozumieli, lub będę się musiał pożegnać z dobrym zwyczajem.

Wprawdzie stopniowo rozpowszechniało się pewne zrozumienie, ale atmosfera z Vittorio Veneto nie przyjmowała się w Wenecji.

Nowy biskup starał się wprowadzić świeży powiew nie tylko swoimi praktykami stosowanymi podczas wizyt w szpitalach. Znaczna liczba duchownych, których postępowanie nie odpowiadało pogładowi Lucianiego, że *rzeczywistym skarbem Kościoła są ubodzy, słabi, którym należy pomagać nie tylko okazjonalnymi czynami dobroczynnymi, ale tak, by rzeczywiście coś z tego mieli*, niespodziewanie została przeniesiona do odległych parafii.

Jednemu z takich księży, właścicielowi nieruchomości, Luciani osobiście udzielił lekcji sprawiedliwości społecznej, która go wprowadziła w osłupienie. Po podniesieniu czynszu w jednym ze swych budynków ksiądz ów przekonał się, że lokator, bezrobotny nauczyciel, nie będzie mógł podołać wyższym opłatom. W tej sytuacji natychmiast wypowiedział mu mieszkanie. Kiedy Luciani dowiedział się o tej sprawie przez swojego sekretarza, wezwał księdza na rozmowę. Ten jednak wzruszył tylko ramionami, gdy ten dziwaczny patriarcha

zwrócił się do niego z cytatem Chrystusa: *Królestwo moje nie jest z tego świata*. Nadal wymagał, by nauczyciel się wyprowadził wraz z rodziną. Luciani bez ociągania wypisał czek na trzy miliony lirów, który umożliwił rodzinie zamieszkanie w pensjonacie do czasu, aż znalazła znowu stałe lokum. Nauczyciel sporządził sobie fotokopię czeku, która jeszcze dziś oprawiona w ramki wisi w jego mieszkaniu.

Innym razem ojciec Senigaglia przypadkowo spotkał arcybiskupa przy łóżku chorego księdza. Kiedy wszedł do pokoju zauważył, że Luciani opróżniał przy łóżku księdza swój portfel. Później czynił patriarsze z tego powodu wyrzuty:

— Jego Eminencja nie powinien czegoś takiego robić. Odpowiedź, której udzielił Albino Luciani, mówi sama za siebie:

— Było to wszystko, co miałem przy sobie.

Senigaglia wyjaśnił mu, że Kuria dysponuje funduszem specjalnym, z którego można finansować dyskretne zasiłki dla księży. Poprzedni patriarcha posługiwał się tym funduszem w celach dobroczynnych. Luciani kazał sobie wyjaśnić całą sprawę i polecił sekretarzowi zawrzeć takie samo porozumienie z Kurią.

Dowiedział się, że jako patriarcha automatycznie był właścicielem pewnego domu w San Pietro de Fileto. Watykan sprzeciwił się jego zamiarowi zaoferowania tego budynku na mieszkanie owemu nieszczęśliwemu nauczycielowi. Po krótkim sporze Kuria przystała w końcu na to, by Luciani przekazał dom do dyspozycji emerytowanego biskupa Muccina.

Nie minęło wiele czasu, a do pomieszczeń urzędowych nowego patriarchy od rana do wieczora cisnęli się ubodzy. *Drzwi do patriarchy są zawsze otwarte; zwracajcie się do don Mario, a ja zawsze chętnie uczynię dla was to, co będę mógł*. Z tłumu rozbrzmiewały słowa podziękowań. Zaciskający zęby don Mario udał się do swego pasterza:

— Wasza Ekscelencjo, oni mnie rujnują. Ci ludzie już nigdy nie dadzą mi spokoju.

Luciani roześmiał się i odparł:

— Ktoś przyjdzie nam z pomocą.

Do biur patriarchy często przybywali alkoholicy, ludzie osamotnieni, byli więźniowie, nędzarze, włóczędzy lub kobiety, które jako prostytutki nie mogły już zarobić na życie. Jeden z tych wykolejonych ludzi jeszcze dziś używa piżamy, którą podarował mu Luciani i pisze dziękczynne listy do człowieka, którego już nie ma na tym świecie. W pierwszym roku pełnienia nowej funkcji Luciani zademonstrował swoje zaangażowanie w sprawy tych, którzy zamieszkiwali *inną Wenecję*, jak określił to w swoim pierwszym przemówieniu. Kiedy w Mestra i Margherze wybuchły strajki i gwałtowne demonstracje, błagał robotników i przedsiębiorców, by wyszli sobie naprzeciw. Kiedy w 1971 r. firma La Sava zapowiedziała

zwolnienie 270 robotników, przypomniał jej szefom najważniejszy nakaz: poszanowanie ludzkiej godności. W pewnych tradycyjnych kołach dostojników katolickich w Wenecji można było usłyszeć, że życzą sobie patriarchy, który by się zadowolił wygłaszaniem kazań do turystów zagranicznych.

Papież Paweł VI był jednak zadowolony z Lucianiego. W 1971 r. wysłał go jako swojego przedstawiciela na Światowy Synod Biskupów. Tematami obrad były służba kapłańska i sprawiedliwość na świecie. Jedną z inicjatyw, z którymi Luciani wystąpił na Synodzie, dawała przedsmak tego, co miało nastąpić w przyszłości:

Jako model konkretnych przedsięwzięć w zakresie pomocy dla krajów ubogich proponuję, by zamożne kościoły same się opodatkowały i odprowadzały jeden procent swoich wpływów na konta watykańskich organizacji zajmujących się udzielaniem pomocy. Ten procent powinien się nazywać „braterskim udziałem” i nie powinien być oddawany jako dobroczynna jałmużna, lecz jako powinność, jako zadośćuczynienie za niesprawiedliwości, które nasze społeczeństwo konsumpcyjne popełnia wobec krajów rozwijających się, i jako swego rodzaju zadośćuczynienie za grzech społeczny, którego wszyscy winniśmy być świadomi.

Jedną z owych niesprawiedliwości, którą Luciani usiłował wyeliminować swoim stałym i cierpliwym działaniem w Wenecji, dotyczyła szeroko rozpowszechnionego, nieprzychylnego nastawienia do ludzi umysłowo i fizycznie upośledzonych. Nie tylko burmistrz i zarząd miejski nie chcieli słyszeć o tych ludziach. Takie samo uprzedzenie Luciani odkrył również u niektórych ze swoich księży. Kiedy przygotowywał się do udzielenia Pierwszej Komunii dużej grupie upośledzonych dzieci w kościele Św. Piusa w Margherze, zgłosiła się do niego delegacja protestujących księży, którzy twierdzili, że nie powinien tego czynić. *Te stworzenia nie potrafią zrozumieć Komunii.* Na jego osobiste polecenie księża wzięli udział w tej ceremonii.

Po mszy patriarcha wziął na ręce małą dziewczynkę, cierpiącą na rozszczepienie kręgosłupa. Zgromadzeni parafianie wstrzymali oddech i przyglądali się w milczeniu.

— Czy wiesz, kogo dzisiaj przyjąłeś? — zapytał małą dziewczynkę.

— Tak. Jezusa.

— I cieszysz się?

— Bardzo.

Luciani odwrócił się powoli i rzekł do księży, którzy protestowali.

— Spójrzcie, one są lepsze niż my, dorośli.

Ponieważ magistrat Wenecji skąpił środków finansowych na wspieranie placówek

socjalnych, Luciani musiał na początku uciekać się do własnych środków diecezji i do funduszy Banca Cattolica Veneto, zwanego „bankiem księży”. W kilka miesięcy po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego stwierdził ku własnemu zaskoczeniu, że ta instytucja finansowa nie była już żadnym „bankiem księży”. Wśród codziennie zgłaszających się z prośbami o wsparcie osób, w poczekalni jego gabinetu znaleźli się nagle również biskupi i księża. Do tej pory Banca Cattolica Veneto stale zapewniała duchownym bardzo korzystnie oprocentowane kredyty. Bank ten utworzono przecież dla potrzeb diecezji oraz w celu umożliwienia sprawowania ważnej misji opiekuńczej nad owymi warstwami społecznymi, które Luciani opisał kiedyś następującymi słowami: *Nie mają one żadnego znaczenia politycznego. Nie można liczyć na ich głosy w wyborach. Ale właśnie dlatego wszyscy musimy w stosunku do tych upośledzonych udowodnić nasze poczucie godności jako ludzie i jako chrześcijanie.*

W połowie 1972 r. skończyły się nagle korzystnie oprocentowane kredyty. Duchownych z diecezji weneckiej poinformowano, że w przyszłości muszą płacić normalne odsetki, niezależnie od swych zasług. Księża poskarżyli się u swoich biskupów, ci zaś zaczęli dyskretnie rozpoznawać całą sprawę. Od 1946 r. większość akcji Banca Cattolica Veneto znajdowała się w rękach Istituto per le Opere di Religione (IOR), powszechnie zwanego Bankiem Watykańskim. Diecezje weneckie były bardzo małymi akcjonariuszami „banku księży”; ich udziały wynosiły łącznie niespełna pięć procent całego kapitału.

W normalnym świecie finansowym diecezje te ze swymi skromnymi udziałami byłyby piłeczką w rękach wielkiego akcjonariusza, lecz nie był to normalny świat finansów. Istniało wyraźne porozumienie między Wenecją i Watykanem, zgodnie z którym większość udziałów IOR (w 1972 r. udziały IOR wynosiły 51 proc.) była gwarancją uniemożliwiającą ewentualne przejęcie Banca Cattolica przez kogoś trzeciego. Mimo bardzo korzystnych warunków oprocentowania kredytów zapewnianych klerowi weneckiemu, był to jeden z najbogatszych banków w kraju. Bank, który robi interesy z duchownymi, przyciąga przecież także wiernych. (Znaczną część majątku Banca Cattolica stanowiły posiadłości ziemskie w północnych Włoszech.) Ten korzystny układ nagle się skończył. Bank, co do którego byli przekonani, że należy do nich — przynajmniej moralnie — zmienił właściciela za ich plecami, bez wiedzy patriarchy Wenecji lub kogokolwiek innego spośród zainteresowanych. Człowiekiem, który go sprzedał, był dyrektor Banku Watykańskiego, Paul Marcinkus. Nabywcą — Roberto Calvi, szef mediolańskiego Banco Ambrosiano.

Biskupi z całego regionu przybywali masowo do rezydencji patriarchy, który spokojnie wysłuchiwał ich relacji na temat zaistniałych wydarzeń. Informowali, że w

przeszłości, gdy chcieli uzyskać fundusze na realizację pewnych projektów, brali kredyty w Banku Watykańskim, udzielając na nie w IOR gwarancji swoimi akcjami w Banca Cattolica Veneto. Teraz Bank Watykański z wysokim zyskiem sprzedał Calviemu te akcje wraz z dużym pakietem innych udziałów w Banca Cattolica Veneto (które bank ten zdobył gdzie indziej).

Wzburzeni biskupi wyjaśnili Lucianiemu, że gdyby uzyskali tylko taką możliwość, mogliby zebrać pieniądze niezbędne do spłacenia kredytów zaciągniętych w Banku Watykańskim, aby w ten sposób odkupić swoje akcje złożone w formie gwarancji w Banca Cattolica Veneto. W ich oczach niegodziwe było jednak jeszcze to, że Marcinkus naruszył zasady rzetelności i wiary w imieniu Watykanu, który rościł sobie prawo, by być najwyższą instancją moralną na ziemi. Najłagodniej mówiąc, Marcinkus wykazał całkowity brak rzetelności moralnej. Ich oburzenie pobudzał jeszcze fakt, że cały zysk z przeprowadzonej transakcji przelał on do kas Banku Watykańskiego.

Biskupi naciskali na Lucianiego, by osobiście udał się w tej sprawie do Rzymu. Życzyli sobie bezpośredniej interwencji papieża. Gdyby ta interwencja miała doprowadzić do zwolnienia Marcinkusa, to już dziś było jasne, że niewielu w Kościele ubolewałoby z tego powodu, przynajmniej w Wenecji. Luciani przemyślał całą sprawę. Ten nigdy nie działający pochopnie człowiek doszedł do wniosku, że musi zebrać jeszcze więcej faktów, zanim będzie mógł przedstawić cały problem papieżowi.

Luciani zaczął poufnie zbierać informacje. Dowiedział się wiele o Roberto Calvim, a także o człowieku nazwiskiem Michele Sindona, a to, co usłyszał, niezmiernie go wzburzyło. Otworzyło mu także oczy na niebezpieczeństwo przedstawienia skargi bezpośrednio papieżowi. Z tego, co doń dotarło, wynikało jasno, że Calvi i Sindona byli faworytami Kościoła i cieszyli się dużym uznaniem Pawła VI. Luciani zwrócił się do człowieka, z którym w ciągu pięciu minionych lat łączyła go ścisła przyjaźń — arcybiskupa Giovanni Benellego. Wprawdzie nominalnie Benelli był dopiero drugą osobą po kardynale Villocie w watykańskim Sekretariacie Stanu, ale praktycznie on kierował tym urzędem. Jako prawa ręka papieża Pawła nie tylko znał wszystkie osoby w Watykanie, ale za niektóre z nich ponosił także znaczną odpowiedzialność. Benelli uważnie wysłuchał relacji patriarchy Wenecji. Gdy Luciani skończył, monsignore poczęstował go świeżą kawą. Luciani dodał jeszcze:

— Nie widziałem żadnych pisemnych dokumentów potwierdzających to, co powiedziałem.

— Ale ja widziałem — odparł Benelli. — Calvi jest teraz największym akcjonariuszem Banca Cattolica Veneto. Marcinkus sprzedał mu 30 marca 1972 r. 37 proc.

udziałów.

Benellemu sprawiało wyraźną przyjemność cytowanie przed Lucianim precyzyjnych liczb i danych. Przysłuchującemu się z niedowierzaniem Lucianiemu powiedział, że Calvi wypłacił Marcinkusowi 27 mld lirów (co odpowiadało około 45 mln dolarów) i że cała transakcja była rezultatem planu opracowanego wspólnie przez Calwiego, Sindonę i Marcinkusa. Opowiadał o firmie pod nazwą Pacchetti, którą Calvi kupił od Sindony, kiedy kurs jej akcji sztucznie zaniżono posługując się kryminalnymi metodami. Opowiadał o tym, że Marcinkus dopomógł Calviemu w ukryciu tej i innych nielegalnych operacji przed instancjami nadzorującymi banki włoskie, stawiając mu do dyspozycji instytucję i nazwę Banku Watykańskiego.

Luciani był oszołomiony.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał.

— Oszustwo podatkowe, sprzeczne z prawem przekazanie udziałów. Jestem również przekonany, że Marcinkus sprzedał udziały waszego Banca Cattolica Veneto po rozmyślnie nisko ustalonej cenie i że Calvi wyrównał różnicę 31-miliardową operacją z Credito Varesino. Myślę, że ogólny dochód, jaki uzyskał Marcinkus, wynosi niespełna 47 mln dolarów.

Lucianiego ogarnął gniew.

— Co to wszystko ma wspólnego z Kościołem ubogich? W imię Boga...

Benelli skłonił go gestem do milczenia.

— Nic, Albino, w imię zysku.

— Czy Ojciec Święty wie o tych sprawach? Benelli skinął głową.

— I co?

— Nie zapominaj, kto powołał Paula Marcinkusa na dyrektora naszego Banku.

— Ojciec Święty.

— Tak jest. W dodatku, muszę przyznać — przy mojej pełnej aprobacie. Żałowałem tego już wiele razy.

— Co mamy więc czynić? Co mam powiedzieć moim księżom i biskupom?

— Musisz nakazać im cierpliwość. Musimy czekać. Marcinkus przeholuje. Jego piętą achillesową jest to, że jest bardzo łąsy na pochwały papieskie.

— Co jednak zamierza zrobić z tymi pieniędzmi?

— Chce je korzystnie ulokować.

— Czy do tego czasu moi księża mają wędrować ze skarbonkami po Wenecji?

— Do tego czasu musisz nakłaniać ich do cierpliwości. Wiem, że sam jesteś cierpliwy. Nauczaj cierpliwości swoich księży. Ja też muszę się w tym ćwiczyć.

Albino Luciani wrócił do Wenecji i zwołał swoich biskupów. Przekazał im część z tego, co usłyszał w Rzymie — wystarczająco dużo, by rozwiać wszelkie wątpliwości, że Banca Cattolica Veneto był dla diecezji bezpowrotnie stracony. Niektórzy biskupi dyskutowali potem na temat całej sprawy. Doszli do zgodnego wniosku, że za czasów kardynała Urbaniego do czegoś takiego nie mogłoby dojść. To, co się wydarzyło, było w ich oczach dowodem, że naturalna dobroć Lucianiego uczyniła go marionetką w rękach IOR. Większość z nich, łącznie z Lucianim, na znak protestu przeciw postępowaniu Watykanu sprzedała swoje pozostałe udziały w Banca Cattolica. W Mediolanie Roberto Calvi zarejestrował z zadowoleniem, że jego maklerzy giełdowi zdobyli dlań kolejną część „banku księży” z Wenecji.

Albino Luciani, a także wielu innych Wenecjan, zlikwidowało swoje konta w Banca Cattolica. Niezwykłym krokiem było ustanowienie przez patriarchę Wenecji oficjalnym bankiem diecezji małego domu bankowego Banco San Marco. Jednemu z kolegów powiedział w zaufaniu: *Pieniądze Calviego są splamione. Ten człowiek jest splamiony. Po tym wszystkim, czego dowiedziałem się o Roberto Calvim, nie będę utrzymywał w jego banku żadnego konta, nawet gdyby zapewnił on diecezji nieoprocentowane kredyty.*

Luciani podjął następnie próbę nakłonienia dyrektorów Banca Cattolica do zmiany nazwy banku. Wytykał im, że atrybut „katolicki” w nazwie ich instytucji jest obrażą dla wszystkich wierzących katolików.

W Rzymie papież Paweł VI dobrze wiedział, ile niezadowolenia i jakie konkretne szkody wywoła w regionie weneckim sprzedaż Banca Cattolica. Giovanni Benelli nakłaniał Ojca Świętego do interwencji, ale wtedy transakcja została już dokonana. Kiedy Benelli zażądał zwolnienia Marcinkusa, papież zareagował zmęczonym, bezradnym wzruszeniem ramion. Na Pawle VI duże wrażenie wywołało jednak to, że Luciani nie wygłosił publicznie żadnego głośnego protestu. Papież przy każdej nadarzającej się okazji chwalił teraz dobroć człowieka, którego uczynił patriarchą Wenecji. Podczas audyencji udzielonej weneckiemu księdzu Mario Ferrarese, powiedział przynajmniej trzykrotnie: *Powiedzcie księżom w Wenecji, że powinni kochać swego patriarchę, gdyż jest on dobrym, świętym, mądrym i odczytanym człowiekiem.*

We wrześniu 1972 r. w drodze na Kongres Eucharystyczny w Udine, papież Paweł zatrzymał się w weneckim pałacu patriarchy. Na oczach gęstych tłumów na Placu Św. Marka papież zdjął swój szal i owinał go wokół ramion zaczerwienionego z zakłopotania Lucianiego. Tłum wiwatował. Paweł VI nie był człowiekiem, który wykonuje gesty teatralne do niczego nie zobowiązujące. Kiedy obaj mężczyźni siedzieli w pałacu przy kawie, papież

był jeszcze bardziej konkretny. Dał Lucianiemu do zrozumienia, że doszły do jego uszu informacje o *małych problemach finansowych* diecezji. Dowiedział się też, że Luciani zabiegał o zebranie pieniędzy na założenie w Margherze ośrodka dla ludzi upośledzonych. Zapewnił Lucianiego, jak bardzo ceni takie przedsięwzięcia i wyraził życzenie wniesienia osobistego wkładu. U Włochów, tego najbardziej gadatliwego ze wszystkich narodów, często wiele rzeczy nie zostaje powiedzianych, a mimo to są zrozumiane.

Sześć miesięcy później, w marcu 1973 r., papież mianował Albino Lucianiego kardynałem. Bez względu na wielkie oburzenie z powodu polityki finansowej IOR Luciani uważał, że wobec papieża jest zobowiązany do całkowitej i bezwarunkowej lojalności. Jeżeli chodzi o stosunek do Watykanu, to biskupi włoscy znajdują się w bardzo szczególnej sytuacji. Ich postępowanie podlega ostrzejszej kontroli niż innych biskupów. Kary lub nagany za rzeczywiste lub przypuszczalne złe postępowanie nie każą długo na siebie czekać.

W chwili otrzymywania kapelusza kardynalskiego Luciani wiedział, że Ottaviani i inni konserwatywni ludzie z Kurii, dalecy od bezwarunkowej wierności zasadzie posłuszeństwa, byli w przewlekłym, zaciekłym konflikcie z papieżem. Tym, do czego zmierzali, było zniszczenie wszelkich postępowych wątków, zapoczątkowanych przez Sobór Watykański II. Wezwany przez innych nowo mianowanych kardynałów i papieża (ale także oczywiście przez Ottavianiego i jego klikę) do wygłoszenia przemówienia, Albino Luciani powiedział m.in.: *Sobór Watykański I ma wielu zwolenników, podobnie jak trzeci. Drugi ma ich za to zbyt mało.*

Dwa miesiące później, w maju 1973 r., do Lucianiego przybył z Rzymu z poufną wizytą Giovanni Benelli.

Benelli miał dwa powody, by przyjechać do Wenecji. Po pierwsze, chciał zapewnić Lucianiego, że nie zapomniał o sprawach, które omawiał przed rokiem. Ponadto, i to był szczególnie powód, chciał opowiedzieć zadziwiającą historię. Jest ona związana z mafią amerykańską, sfalszowanymi papierami wartościowymi na sumę prawie miliarda dolarów i biskupem Paulem Marcinkusem.

W swoim biurze w sekretariacie stanu Benelli przyjął 25 kwietnia 1973 r. niezwykle gości: Williama Lyncha, kierownika wydziału ds. zwalczania zorganizowanej przestępczości i korupcji przy amerykańskim ministerstwie sprawiedliwości, oraz Williama Aronwalda, zastępcę kierownika grupy specjalnej policji nowojorskiej. Towarzyszyli im dwaj funkcjonariusze FBI.

— Kiedy powitałem tych panów ze Stanów Zjednoczonych — powiedział Benelli — przeprosiłem ich i pozostawiłem z trzema moimi najzdolniejszymi współpracownikami.

Poinformowali mnie oczywiście potem dokładnie, o co chodziło.

Tajny raport FBI, który dostał się do rąk w wiele miesięcy po mojej rozmowie z kardynałem Benellim, potwierdził prawdziwość jego opowieści. Opisaną historię czytało się jak scenariusz filmu hollywoodzkiego.

Monsignorowie Edward Martinez, Carl Rauber i Justin Rigali byli owymi trzema słuchaczami, których William Lynch poinformował szczegółowo o serii dochodzeń. Rozpoczęły się one od mafijnego podziemia nowojorskiego i z nieubłaganą logiką doprowadziły do Watykanu. Poinformował duchownych o pakiecie sfalszowanych amerykańskich papierów wartościowych na sumę 14,5 mln dolarów; papiery te były znakomicie wykonane i bezbłędnie podrobione przez specjalistów z mafii amerykańskiej. Cały pakiet dostarczono w lipcu 1971 r. do Rzymu i przekonujące poszlaki wskazują na to, że ostatnim odbiorcą tych falsyfikatów był Bank Watykański.

Lynch dał wyraźnie do zrozumienia, że na podstawie poszlak z różnych źródeł, z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że te sfalszowane papiery zamówił ktoś z Watykanu, kto miał uprawnienia do podejmowania ważnych decyzji w sprawach finansowych. Z innych poszlak wynika, mówił Lynch, że suma 14,5 mln dolarów stanowiła zaledwie pierwszą ratę, a ogólna wartość sfalszowanych papierów opiewała na 950 mln dolarów.

Goście ze Stanów Zjednoczonych ujawnili nazwisko owego człowieka, *mającego prawo podejmowania ważnych decyzji w sprawach finansowych*, który był inicjatorem nielegalnej transakcji; wszystkie poszlaki, jakimi dysponował Lynch, wskazywały na biskupa Paula Marcinkusa.

Trzej duchowni z godnym uwagi opanowaniem przysłuchiwali się wyjaśnieniom obu funkcjonariuszy amerykańskich, którzy prezentowali materiały obciążające Marcinkusa.

Część osób wplątanych w tę sprawę w tym stadium dochodzenia siedziała już za kratkami. Jedna z nich zaczęła mówić. Był to Mario Foligni, samozwańczy „hrabia San Francisco” i doktor honoris causa teologii. Temu wielkiemu oszustowi już wiele razy cudem udało się wymigać od więzienia. Był kiedyś podejrzany o próbę zainscenizowania rzekomego bankructwa jednej z kontrolowanych przez siebie firm i magistrat rzymski wystąpił do policji finansowej z nakazem aresztowania go. Kiedy policjanci otworzyli skarbonkę Foligniego, znaleźli w nim list z błogosławieństwem, podpisany przez papieża Pawła VI. Przeprosili za swoją ingerencję i wycofali się.

Dobre stosunki Foligniego z Watykanem wywarły wrażenie również na innych. Otworzył on drzwi do Watykanu Austriakowi, Leopoldowi Ledlowi. To Ledl był tym, który

zaaranżował mafii transakcję z Watykanem — sprzedaż Stolicy Apostolskiej sfałszowanych papierów wartościowych na sumę 950 mln dolarów za cenę 625 mln dolarów. Watykanowi zwrócono by „prowizję” w wysokości 150 mln dolarów, tak więc po załatwieniu transakcji mafii pozostałoby 475 mln dolarów, a Watykanowi papiery wartościowe o nominalnej wartości prawie miliarda dolarów.

Mafia amerykańska podchodziła do tej transakcji najpierw sceptycznie — do czasu, aż Ledl przedstawił pismo Watykanu, potwierdzone na papierze firmowym Sacra Congregazione dei Religiosi, że Stolica Apostolska wyraża życzenie *zakupu całego pakietu do sumy 950 mln dolarów*. Foligni powiedział prowadzącym dochodzenie Amerykanom, że w charakterze zabezpieczenia Marcinkus zażądał złożenia w Banku Handlowym w Zurychu „próbki” papierów wartościowych na sumę półtora miliona dolarów. W ten sposób — jak powiedział Foligni — Marcinkus chciał się zabezpieczyć stwarzając podstawy wiarygodności. Zgodnie z porozumieniem w lipcu 1971 r. Foligni zdeponował „próbkę”. Pełnomocnictwa do dysponowania tym depozytem udzielił watykańskiemu duchownemu, monsignore Mario Fornasariemu.

Druga „wplata wstępna” w wysokości 2,5 mln dolarów, oczywiście również w postaci omawianych papierów wartościowych, została zdeponowana we wrześniu 1971 r. w Banco di Roma. Także i teraz, jak za pierwszym razem, papiery przeszły pomyślnie badania ekspertów bankowych, co było komplementem dla możliwości fałszerzy z mafii. Na nieszczęście spiskowców oba banki wysłały kilka egzemplarzy do zbadania w Nowym Jorku. Bankers Association w Nowym Jorku stwierdziło, że papiery były sfałszowane. Tak doszło do niezwyklej wizyty przedstawicieli amerykańskiego aparatu ścigania i funkcjonariuszy FBI.

Poza życzeniem zabezpieczenia reszty pierwszej dostawy fałszyfikatów o nominalnej wartości dziesięciu milionów dolarów, Lynchowi i jego kolegom chodziło o to, by postawić przed obliczem sędziego wszystkich uczestniczących w oszustwie.

Według wypowiedzi Foligniego zainteresowanie Watykanu zdobyciem sfałszowanych papierów wartościowych wynikało stąd, że Marcinkus oraz włoski bankier i przedsiębiorca Michele Sindona potrzebowali kapitału na wykupienie wielkiego przedsiębiorstwa włoskiego, Bastogi, mającego znaczne udziały w górnictwie i przemyśle chemicznym, a także znaczne posiadłości ziemskie. Siedziba przedsiębiorstwa znajdowała się w Mediolanie, gdzie rezydował również Sindona. Tam poznał go ówczesny arcybiskup Mediolanu, Montini, późniejszy papież Paweł VI. Wraz z wyborem Montiniego na papieża, nie tylko Watykan uzyskał następcę na tronie Piotrowym, ale także Bank Watykański nowego, świeckiego doradcę finansowego: Michele Sindonę.

William Lynch, sam wierzący katolik, ujawnił dalsze szczegóły: podczas przesłuchania przez władze amerykańskie Mario Foligni złożył wiele zeznań poważnie obciążających biskupa Marcinkusa. Poza zarzuceniem Sindonie i Marcinkusowi zamiaru wykupienia przedsiębiorstwa Bastogi za sfałszowane papiery wartościowe, Foligni twierdził również, że z pomocą Sidony biskup otworzył sobie kilka prywatnych, tajnych kont bankowych na Wyspach Bahama.

Mario Foligni zeznał dalej do protokołu, że kontaktował się osobiście z biurem Benellego, watykańskiego sekretarza stanu, i w następstwie tej rozmowy sekretarz stanu *podjął wobec biskupa Marcinkusa najostrzejsze kroki wewnętrzne, które znacznie ograniczyły jego niezwykłą do tej pory władzę w Watykanie w sprawach finansowych*. Foligni oświadczył z naciskiem, że poinformował watykański sekretariat stanu o „próbkach” zdeponowanych przez niego w Zurychu i Rzymie oraz że ludzie Benellego wykorzystali tę informację przeciw Marcinkusowi. Ponadto zwrócił ministerstwu sprawiedliwości USA uwagę na to, że dał w sekretariacie stanu słowo, że nie ujawni żadnych dalszych szczegółów oszustwa prowadzącym śledztwo.

Kiedy Amerykanie opowiedzieli to wszystko, odprężyli się i spokojnie czekali na reakcję partnerów rozmowy. William Lynch i William Aronwald wyjaśnili mi później, że żadna ze stron nie traktowała tej pierwszej rozmowy w Watykanie jako przesłuchania. Była to nieformalna wymiana poglądów, okazja do skonfrontowania członków watykańskiego sekretariatu stanu z wieloma poważnymi zeznaniami.

Amerykańskie organy wymiaru sprawiedliwości zdawały sobie sprawę, że najważniejsze zeznania obciążające pochodziły od dwóch notorycznych oszustów; istniały jednak również silne, wewnętrzne punkty zaczepienia, które przemawiały za tym, że w stwierdzeniach Foligniego i Ledla kryła się prawda.

Z powodu uzyskanych materiałów William Aronwald, przy udziale kompetentnego prokuratora amerykańskiego, zwrócił się do kardynała Cooke'a w Nowym Jorku. Kardynał wykazał dużą gotowość do współpracy, i przy pomocy poselstwa papieskiego w Waszyngtonie zaaranżował to niezwykle spotkanie, które miało na celu nie tylko udostępnienie Watykanowi informacji — w ostatecznym rachunku chodziło o pociągnięcie Marcinkusa do odpowiedzialności.

Kiedy dolewano kawę, monsignorowie zamilkli i zadumali się. Wreszcie monsignore Martinez, asesor w biurze sekretariatu stanu, zdobył się na zabranie głosu. Zapewnił Amerykanów, że on i monsignore Rauber są w pełni zorientowani we wszystkich sprawach służbowych arcybiskupa Benellego i z całą pewnością mogą wykluczyć, by Foligni zwracał

się kiedykolwiek do sekretariatu stanu z obciążającymi informacjami. Jeśli chodzi o sfalszowane papiery wartościowe i złożenie „próbek”, to do dziś nikt w sekretariacie stanu nie wiedział o tych sprawach. Następnie w sposób całkowicie zgodny z tradycją Kurii Martinez oświadczył:

— Nie jest zamiarem Watykanu uczestniczenie na tym etapie w śledztwie prowadzonym przez władze Stanów Zjednoczonych, ponieważ traktujemy to spotkanie jako nieformalne i w chwili obecnej nie zamierzamy nic więcej poza wysłuchaniem was.

Lynch i jego koledzy zostali skonfrontowani z mentalnością, przed którą już więksi ludzie niż oni składali broń — z duchem Kurii, sprzysiężonej wspólnoty, która nie wypuszcza na zewnątrz absolutnie niczego; z aparatem władzy, który trzyma Kościół katolicki w żelaznym uścisku.

Lynch zwrócił uwagę duchownych na to, że do tej pory ustalono tylko małą część sfalszowanych papierów wartościowych i kontynuował:

— Wszystkie poszlaki wskazują na to, że Bank Watykański był przewidziany jako odbiorca wszystkich falsyfikatów. Czy z uwagi na to, że zamówiono papiery wartościowe o łącznej wartości nominalnej 950 mln dolarów, mogę przekazać wam spis sfalszowanych papierów?

Martinez zignorował tę wyraźną aluzję. Lynch nie ustępował.

— W ten sposób na podstawie ksiąg Instytutu Dziej Religijnych będzie można stwierdzić, czy część sfalszowanych papierów nie została „przez pomyłkę” przyjęta w depozyt przez ten bank.

Defensywna taktyka monsignora Martineza była rzeczywiście niezwykle wyraźna:

— Nie mam oczywiście pojęcia, czy w naszym banku znalazły się jakieś egzemplarze tych sfalszowanych amerykańskich papierów wartościowych. Nie mogę jednak dla wyjaśnienia tej sprawy przyjąć od pana spisu. To sprawa biskupa Marcinkusa. On jest kompetentny w tej materii. Może mógłby pan, w wypadku trudności z nawiązaniem kontaktu z biskupem, wysłać taki wykaz wraz z formalnym listem do legata papieskiego w Waszyngtonie.

Najwyraźniej nadszedł czas na przedstawienie poważniejszych argumentów.

Amerykane wydobyli dokument, który znaleźli u Leopolda Ledla po aresztowaniu go. Pod pieczęcią Watykanu znajdował się na nim firmowy nagłówek „Sacra Congregazione Dei Religiosi”. Było to oryginalne pismo, w którym Watykan zamawiał sfalszowane papiery wartościowe o fikcyjnej wartości prawie miliarda dolarów. Dokument ten przekonał mafię amerykańską. Monsignorowie studiowali go dokładnie. Raz za razem pochyłali się nad nim,

trzymali go raz pod światło, raz do światła.

Martinez w zamyśleniu pocierał brodę. Amerykanie pochylili się w oczekiwaniu. Być może teraz się uda przełamać stoicką fasadę watykańskich urzędników.

— Nagłówek firmowy wydaje nam się identyczny z nagłówkiem naszej Świętej Kongregacji, której siedziba znajduje się tu, w Watykanie.

Nastąpiła przerwa, dla Amerykanów wystarczająco długa, by delektować się wywartym wrażeniem. Potem Martinez kontynuował:

— Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że nagłówek firmowy sprawia wprawdzie wrażenie autentycznego, ale Kongregacja, o której mowa, zmieniła swoją nazwę w 1968 r. i z uwagi na datę listu, 29 czerwca 1971 r., podana w nagłówku nazwa w zasadzie się nie zgadza. Nowa nazwa brzmi: Sacra Congregazione per i Religiosi e gli Istituti Secolari.

Amerykanie osiągnęli jednak swój najważniejszy cel: uzgodniono, że następnego dnia odbędzie się osobiste spotkanie z biskupem Paulem Marcinkusem. Już sam ten fakt był niezwykłym sukcesem, gdyż Watykan z reguły zębami i pazurami broni swych roszczeń, by być suwerennym państwem.

W osobistej rozmowie kardynał Benelli potwierdził mi zresztą, że rzeczywiście jeszcze przed przybyciem Amerykanów do Watykanu otrzymał od Mario Foligniego informację o aferze. Kardynał dopatrywał się w tym manewru mającego odciążyć Foligniego, który w tym czasie już wiedział, że gra się skończyła. Jeżeli chodzi o ocenę wiarygodności informacji Foligniego, to Benelli zadowolił się stwierdzeniem, że uważa je za *bardzo interesujące i pożyteczne*.

Rankiem 26 kwietnia 1973 r. Amerykanów wprowadzono do prywatnego biura biskupa Paula Marcinkusa. Lynch i Aronwald powtórzyli historię, którą opowiedzieli poprzedniego dnia, a Marcinkus przysłuchiwał się paląc grube cygaro. W świetle późniejszego dementi szczególnie interesująca była jego wstępna uwaga:

— Jestem bardzo zaniepokojony ciężarem podnoszonych zarzutów. Mając to na uwadze będę otwarcie odpowiadał na każde pytanie panów.

Rozpoczął od Michele Sindony.

— Michele i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Znamy się od lat. Moje transakcje finansowe z nim były jednak bardzo niewielkie. Jest on, jak panom wiadomo, jednym z najzamożniejszych przemysłowców włoskich. W sprawach finansowych nie ma żadnych problemów.

Biskup długo mówił o różnych cnotach i zdolnościach Michele Sindony. Potem przeszedł do tajemnicy bankowej, którą rzekomo ceniał tak samo wysoko, jak tajemnicę

spowiedzi.

— W wielu punktach, o których będę mówił, nie będę wymieniał żadnych nazwisk; zarzuty, które podnosi wobec mnie Foligni, są wprawdzie poważne, ale tak skandaliczne, że nie uważam za konieczne naruszenia tajemnicy bankowej w celu obrony własnej.

Rozmowa przeprowadzona poprzedniego dnia miała przeważnie nieformalny charakter, natomiast spotkanie z Marcinkusem miało charakter urzędowego przesłuchania. Sądząc po materiale dowodowym zebranym przez amerykański aparat ścigania w czasie ponad dwuletniej, dokładnej i wyteźonej pracy, Lynch, Aronwald i obaj funkcjonariusze FBI, Biamonte i Tamaro, siedzieli naprzeciw człowieka, który zaaranżował największe oszustwo wszechczasów. Jeżeli materiał obciążający był prawdziwy, to być może nawet Al Capone musiałby podzielić się z Paulem Marcinkusem opinią najślawniejszego syna przedmieścia Chicago, Cicero. Jednakże daleko było jeszcze do złapania na wędkę grubej ryby. William Lynch odważył się na dalszy krok.

— Jeżeli kiedyś okazałoby się to konieczne, czy zgodziłby się pan na osobistą konfrontację z Mario Folignim?

— Tak.

— Czy byłby pan także gotowy, gdyby okazało się to konieczne, zeznawać przed sądem amerykańskim?

— Właściwie tak, z pewnością, jeżeli byłoby to absolutnie konieczne. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Dlaczego?

— Wie pan, z mojego pojawienia się w sądzie skorzystałoby jedynie włoscy dziennikarze.

— Jak pan to rozumie?

— Nie pomijają żadnej okazji do tworzenia atmosfery wrogiej Watykanowi, bez względu na to, czy coś jest prawdą, czy nie.

Lynch i Aronwald przejawiali całkowity brak zainteresowania wrażliwością Watykanu na włoską prasę.

— Czy ma pan prywatne konto na Wyspach Bahama?

— Nie.

— Czy jest pan tego całkowicie pewien, księżę biskupie?

— Na Wyspach Bahama Watykan prowadzi swoje interesy finansowe, ale są one związane wyłącznie z transakcjami, które prawie nie różnią się od wielu innych transakcji dokonywanych przez Stolicę Apostolską. Nie służą one indywidualnym korzyściom

finansowym jakiegokolwiek osoby prywatnej.

— Interesują nas pańskie konta prywatne.

— Nie mam żadnych prywatnych lub urzędowych kont ani na Wyspach Bahama, ani gdziekolwiek indziej.

Nie zapytano o to, czy Marcinkus nosi swoje dochody w gotówce przy sobie i czy płaci ze swej kieszeni w spodniach. Biskup nie wspomniał też nic o tym, że zasiadał w zarządzie zarejestrowanego w Nassau na Wyspach Bahama Banco Ambrosiano Overseas, i to już od 1971 r. Funkcję tę powierzyli mu dwaj mężczyźni, którzy utworzyli tę instytucję: Michele Sindona i Roberto Calvi. Obaj często wykorzystywali nazwisko biskupa w swoich transakcjach. Przy jakiejś okazji Sindona powiedział Marcinkusowi wyraźnie: *Przyjąłem pana do zarządu, ponieważ pańskie nazwisko pomaga mi robić pieniądze.*

Sindona i Calvi odwdzięczali się przepisując na Marcinkusa i Bank Watykański 2,5-procentowy udział w kapitale swego banku w Nassau. Udział ten wzrósł z czasem do ośmiu procent. Marcinkus często uczestniczył w posiedzeniach zarządu i spędzał urlopy na Wyspach Bahama. Niezwykle uciążliwe musiało być dla niego stałe operowanie wielkimi sumami pieniędzy, które — jeśli wierzyć zapewnieniom złożonym wobec Amerykanów — musiał ciągle nosić przy sobie. Niezwykle było jednak to, że człowiek, który zasiadał w zarządzie banku, nie dysponował własnym kontem.

W tym momencie przesłuchania Marcinkus rzucił uwagę:

— Musicie wiedzieć, że moja pozycja wewnątrz Watykanu jest niezwykła. — Tę skromną ocenę własnej osoby wyjaśnił potem następująco: — Kieruję czymś, co wielu ludzi chętnie nazywa Bankiem Watykańskim. Pełniąc tę funkcję ponoszę całkowitą odpowiedzialność za sprawy finansowe Watykanu. Jedyne w swoim rodzaju charakter nadaje mojej funkcji to, że sprawozdania ze sposobu realizacji zadań finansowych jestem zobowiązany składać tylko papieżowi. Teoretycznie otrzymuję polecenia od grupy kardynałów, którzy zbierają się od czasu do czasu i funkcjonują ogólnie jako gremium nadzorcze banku. W rzeczywistości mam jednak wolną rękę w kierowaniu sprawami finansowymi Watykanu.

To poufne wyznanie wywarło wrażenie na słuchaczach biskupa.

— Co chce pan nam przez to powiedzieć?

— To, że moja pozycja... jak mógłbym to właściwie wyrazić... doprowadziła do pewnych nieprzyjaznych uczuć wobec mnie u innych osób na odpowiedzialnych stanowiskach w Watykanie.

— Rzeczywiście?

— Tak, z pewnością, obawiam się, że to jest z tym związane. Jestem pierwszym Amerykaninem, który osiągnął taką pozycję w Watykanie, i jestem pewien, że to także przyczyniło się do powstania pewnych nieprzyjaznych uczuć wobec mnie.

Marcinkus miał bez wątpienia rację mówiąc o pewnych *nieprzyjaznych uczuciach* innych, wysoko postawionych osób w Watykanie (i nie tylko tam) wobec jego osoby, niezależnie od tego, czy odegrał czołową rolę w tej gigantycznej machinacji, czy też nie. W Wenecji był na przykład kardynał Albino Luciani, którego uczucia wobec Marcinkusa stają się coraz bardziej „nieprzyjazne” w miarę, jak dowiaduje się od Benellego o najnowszych szczegółach sagi Marcinkusa. Benelli nie wiedział w tym czasie, że Paul Marcinkus w rozmowie z prowadzącymi dochodzenie Amerykanami usiłował przedstawić jego, kardynała, jako osobę, która może być zamieszana w tę nielegalną transakcję.

Czytając uważnie wypowiedzi Marcinkusa można się zorientować, że w jego oczach wszyscy inni zasługiwali na to, by ich wziąć pod lupę, tylko nie on. O ojcu Mario Fornasari, który najwyraźniej był głęboko uwikłany w aferę, powiedział:

— Kilku moich współpracowników z Banku przedstawiło mi Fornasarię jako osobę, z którą nie należy się zadawać. Jestem pewien, że wiadomo panom o niedawnym obwinieniu Fornasarię o pisywanie oszczerczych listów.

— Rzeczywiście? I co z tego wyszło?

— Myślę, że zarzuty upadły.

Marcinkus przyznał, że przynajmniej w dwóch przedsięwzięciach finansowych współpracował z Mario Folignim, który bez wątpienia był jedną z głównych osób uczestniczących w miliardowym oszustwie. W przypadku jednego z tych przedsięwzięć chodziło o inwestycję wartości 100 mln dolarów, a w przypadku drugiego o transakcję wartości 300 mln dolarów, w której poza Folignim uczestniczył jeszcze przemysłowiec włoski, Carlo Pesenti. Według słów Marcinkusa oba projekty upadły. W jego skromnym opisie tych spraw rzucało się w oczy, że starannie baczył na to, by włączyć do gry nazwisko Benellego. Widać było, że jego własne „ego” mocno ucierpiało na skutek interwencji Benellego u papieża Pawła, by przyjrano się bliżej owej transakcji na 300 milionów dolarów; Marcinkus był najwyraźniej przekonany, że nikt poza nim nie może rozmawiać z papieżem o sprawach finansowych. Marcinkus usiłował również zasugerować powiązania między Benellim i Folignim, by w ten sposób rzucić na sekretarza stanu podejrzenie, że był o wszystkim powiadomiony. Ciekawe, czy w obliczu dalszych poczynań Sindony i Calviego, serdecznych przyjaciół Marcinkusa, biskup jest dzisiaj w dalszym ciągu przekonany, że mógłby stosować taktykę „łapać złodzieja”.

Marcinkus nie wyjaśnił — być może dlatego, że go o to nie zapytano — dlaczego w ogóle nie wahał się przystąpić do 300-milionowej transakcji z Folignim — w osiem (względnie sześć) miesięcy po tym, jak Foligni zdeponował papiery wartościowe o nominalnej wartości 1,5 mln dolarów w jednym z banków szwajcarskich (względnie 2,5 mln dolarów w Banca di Roma). Jest niewyobrażalne, by spośród wszystkich bankierów europejskich właśnie Marcinkus jako prezes Banku Watykańskiego nie słyszał jeszcze nic o tych kryminalnych poczynaniach.

Wynikiem tego długiego przesłuchania było zapewnienie Marcinkusa o swej niewinności oraz zaprzeczenie, by cokolwiek mu o tym było wiadomo. Z podziękowaniem przyjął spis sfalszowanych papierów wartościowych i oświadczył, że rozejrzy się za fałszykatami.

W rezultacie o udział w miliardowej machinacji obwiniono wiele osób. Na temat podniesionego przeciw biskupowi Paulowi Marcinkusowi zarzutu współudziału William Aronwald oświadczył: *Z całą pewnością stwierdzić możemy jedynie to, że dochodzenie nie przyniosło żadnych wystarczająco wiarygodnych dowodów potwierdzających lub podważających słusność tych zarzutów. Ponieważ nie jesteśmy wewnętrznie przekonani, że zrobiliśmy coś złe, lub że Marcinkus albo ktoś inny w Watykanie zrobił coś niewłaściwego, nieuczciwe byłoby wywoływanie sensacji.*

Słabe efekty śledztwa z pewnością nie wynikały z braku dobrej woli u śledczych. Zrobili co mogli. Dopiero później postawiono tezę, że oni sami byli częścią szeroko zakrojonej akcji, mającej zatuszować całą sprawę (tak twierdzi Richard Hamer w swojej wydanej w 1982 r. książce *The Vatican Connection*); ich działania miały tylko wywołać wrażenie, że toczy się śledztwo. To nonsens, świadczący jedynie o całkowitej nieznajomości rzeczywistych problemów, które napotykają prowadzący śledztwo, gdy dochodzenia podjęte w jednym kraju mają być kontynuowane w innym. Watykan jest niezależnym organizmem państwowym; to, że Lyncha, Aronwalda i funkcjonariuszy FBI w ogóle wpuszczono do Watykanu, świadczy tylko dobrze o ich uporze. Jedynie w telewizyjnych serialach kryminalnych zdarzają się takie sytuacje, że policjant nowojorski, uzbrojony w pistolet i z nakazem aresztowania w rękę, wsiada do samolotu i w obcym kraju przesłuchuje świadków lub nawet podejmuje różne działania urzędowe. Gdyby Watykan należał do Stanów Zjednoczonych, wówczas z pewnością wszyscy zatrudnieni w Sacra Congregazione Dei Religiosi członkowie Kurii zostaliby poddani gruntownym przesłuchaniom. Pobrano by od nich odciski palców i porównano z odciskami pozostawionymi na wszystkich maszynach do pisania używanych w Kongregacji. Wszystko to być może umożliwiłoby wyjaśnienie, czy

Marcinkus jest winien, czy nie. Samo za siebie mówi to, że władze Stanów Zjednoczonych uznały materiał obciążający za wystarczająco poważny, by wszcząć to delikatne pod względem politycznym śledztwo. William Aronwald zapewniał mnie: *Nie przyszłoby nam do głowy, by marnować pieniądze podatników, gdybyśmy materiałów obciążających nie traktowali rzeczywiście bardzo poważnie.*

W końcu, z braku dowodów wystarczających do przekonania ławy przysięgłych, dochodzenie przeciw Marcinkusowi umorzono.

Bez odpowiedzi pozostało jednak pytanie: kto był zleceniodawcą, który zamówił sfalszowane papiery wartościowe na sumę prawie miliarda dolarów? Jeżeli uwzględni się cały zebrany materiał dowodowy, możliwe są tylko dwie odpowiedzi. Obie brzmią awanturniczo. Jedna z nich to założenie, że Leopold Ledl i Mario Foligni namówili mafię do wyprodukowania falsyfikatów, z pewnością przy znacznych nakładach finansowych, po to, by ją potem oszukać. Ponieważ jednak powszechnie wiadomo, że członkowie tej szczególnej sekcji mafijnej zabijają lub wyciszają ludzi, których zaledwie podejrzewają o zniewagę, o Ledlu i Folignim można byłoby powiedzieć — gdyby istotnie taki był ich plan — że wyszukali sobie niezwykle formę samobójstwa. Drugą alternatywną odpowiedź stanowi założenie, że sfalszowane papiery wartościowe były rzeczywiście przeznaczone dla Watykanu.

Albino Luciani nosił w Wenecji szaty pozostawione przez swojego poprzednika, kardynała Urbaniego. Przez cały okres pełnienia funkcji patriarchy nie zgadzał się na zakup nowej „odzieży roboczej”, wołał powierzyć utrzymywanie w porządku swoich szat zakonnikom, które ciągle je naprawiały i cerowały. Zresztą szaty kardynała i patriarchy Luciani nosił bardzo rzadko. Przedkładał nad nie zwykłą sutannę księżowską.

Jego duża skromność wewnętrzna i zewnętrzna prowadziła często do kuriozalnych sytuacji. W 1975 r. podróżował z ojcem Senigaglią samochodem przez Niemcy. Zatrzymali się w Akwizgranie, gdzie Luciani chciał się pomodlić przed bardzo starym ołtarzem w tamtejszej katedrze. W obecności Senigaglii oświadczono kardynałowi w dość szorstkiej formie, że ołtarz jest niedostępny i że powinien przyjść innym razem. Po powrocie do samochodu Luciani powiedział swemu nie znającemu niemieckiego sekretarzowi, w jaki sposób i dlaczego usunięto go z katedry. Oburzony Senigaglią wyskoczył z samochodu, pobiegł do kościoła i zasypał niemieckich opiekunów katedry gradem włoskich słów. Zrozumieli wystarczająco dużo, by się zorientować, że niepozorny duchowny, którego wyrzucili, jest patriarchą Wenecji. Teraz z kolei Luciani, którego niemieccy księża prawie siłą wyciągnęli z samochodu, oburzył się, ale na swojego sekretarza. W świątyni przepaszający

za całe zajście ksiądz szepnął Lucianiemu: *Eminencjo, przydałoby się jednak choć trochę purpury.*

Innym razem Luciani odwiedził w Wenecji kongres ekologów. Wdał się w rozmowę z jednym z uczestników, i rozwinęła się ożywiona dyskusja. Luciani, który chciał ją kontynuować, zaprosił ekologę do domu.

— Gdzie pan mieszka? — zapytał ekolog.

— Zaraz obok kościoła Świętego Marka — odparł Luciani.

— Ma pan na myśli pałac patriarchy?

— Tak.

— A o kogo mam pytać?

— O patriarchę.

Za tą skromnością i łagodnością krył się człowiek o niezwykle silnej osobowości, napiętnowanej pochodzeniem i powołaniem. Nie związany ani z lewicą, ani z prawicą, świadomie unikał wciągnięcia go w walki frakcyjne, toczące się w Rzymie. Zmagania o stanowiska zapewniające władzę w Watykanie często skłaniały go do stawiania ze zdziwieniem pytania, dlaczego właściwie owi ludzie zdecydowali się zostać duchownymi. W kazaniu wygłoszonym podczas Świąt Wielkanocnych w 1976 r. powiedział:

Są w Kościele tacy, którzy tylko sieją niepokój. Przypominają urzędnika, który porusza niebo i ziemię, aby dostać się do firmy, ale potem, kiedy już w niej jest, sieje niepokój i staje się gryzącą i drapiącą koszulą na skórze swoich kolegów i przełożonych. Tak, są ludzie, którzy patrzą na słońce tylko po to, by znaleźć na nim plamy.

Dążenie do pogodzenia tego, co według niego jest dobre i słuszne w zwalczających się obozach, już w Wenecji naraziło go na poważne konflikty. Przykładem może być sprawa rozwodów.

We Włoszech w latach siedemdziesiątych rozwód w oczach państwa, a tym samym i sądownictwa, był legalny, natomiast w oczach Kościoła nadal niedopuszczalny. Z inicjatywy Kościoła zapoczątkowano kampanię mającą na celu doprowadzenie do referendum w tej sprawie. Luciani był zdecydowanie przeciwny takiemu plebiscytowi, ponieważ był przekonany, że doprowadzi on do podziału w Kościele, i nagle może się okazać, że większość opowie się za utrzymaniem obowiązującego prawa rozwodowego. Oznaczałoby to otwartą porażkę Kościoła rzymskokatolickiego w kraju, który uważał go za swoją tradycyjną domenę.

Benelli reprezentował przeciwny pogląd. Był przekonany, że w referendum zwyciężyłoby stanowisko Kościoła.

Całą sprawę burzliwie dyskutowano nie tylko w samym Kościele, lecz także w

społeczeństwie włoskim. Krótko przed ustalonym terminem referendum, znajdujące się w Wenecji i kierowane przez księdza stowarzyszenie studenckie pod nazwą F.U.C.I. wysłało do wszystkich biskupów regionu Wenecji list, który precyzował stanowisko tej organizacji. Była to żarliwa obrona możliwości rozwodów. Albino Luciani dokładnie przestudiował ten dokument, przez pewien czas zastanawiał się nad nim i zarządził, że grupa studencka ma się rozwiązać. Wielu ludzi w Kościele uważało to za odważny czyn. Natomiast w prasie opisującej całą sprawę na czołówkach, wielu komentatorów napiętnowało krok Lucianiego, jako nowy przykład braku tolerancji ze strony Kościoła katolickiego. Tymczasem tym, co rozgniewało Lucianiego, nie było opowiedzenie się grupy za rozwodami, lecz to, że autorzy dla poparcia swoich argumentów posłużyli się licznymi cytatami z dzieł klasyków kościelnych, czołowych teologów, a także z dokumentów Soboru Watykańskiego II. W oczach Lucianiego takie wykorzystywanie pism kościelnych było fałszowaniem nauk Kościoła. Osobiście przeżył narodziny takich ważnych dokumentów, jak *Lumen gentium*, *Gaudium et spes* i *Dignitatis humanae*. W nowoczesnym Kościele z pewnością było miejsce również na pomyłki, ale dla Lucianiego prawo do pomyłek ciągle jeszcze miało pewne granice, jak w wypadku gdy w jawnie niedopuszczalny sposób interpretowano orzeczenia Soboru Watykańskiego II. Tak więc studenci zacytowali m.in. fragment *Dignitatis humanae*, w którym proklamuje się prawa jednostki. *...Zadaniem każdej władzy państwowej jest ochrona i wspieranie nienaruszalnych praw człowieka. Dlatego przez słuszne ustawy i inne stosowane środki władza państwowa musi gwarantować każdemu obywatelowi skuteczną ochronę jego swobód religijnych.*

Autorzy listu dodali do powyższego stwierdzenia: *w pewnych okresach i w pewnych miejscach Kościół dostrzegał, że... ma do czynienia ze stosunkami społecznymi, przeciw którym najwyraźniej stosowanie metod represyjnych nie było żadnym właściwym środkiem zaradczym, lecz można było im przeciwdziałać tylko propagowaniem pewnych kryteriów moralnych i prawnych w tym sensie, że w danej sytuacji historycznej osiągnano możliwie najlepszy skutek: mniejsze zło. Tak więc moralność chrześcijańska zaakceptowała ideę sprawiedliwej wojny; tak więc pogodzono się z legalizacją prostytucji (nawet w państwie kościelnym), podczas gdy na płaszczyźnie moralnej nadal gani się ją. Tak też jest w przypadku rozwodów...*

Lucianiego rozgniewała próba wywołania takimi wywodami wrażenia, że warunkowa, wynikająca z oportunistycznych przyczyn aprobata rozwodów jest zgodna z tradycją i nauką Kościoła. Widocznie proklamacje Soboru Watykańskiego II, do których był przywiązany całym sercem, tak samo jak teksty Biblii dadzą się użyć i nadużyć do uzasadnienia i

usprawiedliwienia wszelkich możliwych punktów widzenia.

Jako duchowy zwierzchnik regionu Wenecji Luciani zdawał sobie sprawę z tego, że włoska opinia publiczna mogłaby uważać to stwierdzenie za oficjalne stanowisko i pytałaby, czy biskupi tego regionu mieli w sprawie rozwodów inny sąd niż wszyscy pozostali ludzie Kościoła we Włoszech. W rzeczywistości nie rozwiązał on tej grupy studenckiej, jak powszechnie informowano i wierzone. Posłużył się raczej techniką typową dla jego rozumienia świata i ludzi. Był niezłomnie przekonany, że można radykalnie wpływać na działania grupowe lokalizujące i neutralizujące ośrodek dyspozycyjny danej grupy. Tak więc usunął po prostu księdza, który był duchowym przywódcą grupy.

W sprawie rozwodów, jak potwierdził to ojciec Senigaglia, kardynał Luciani reprezentował w rzeczywistości pogląd, który zaskoczyłby jego krytyków: *Jego pogląd był bardziej oświecony, niż powszechnie uważano. Był gotowy zaakceptować rozwiedzionych ludzi i tak też czynił. Bez słowa mógł zaakceptować także innych, którzy — jak nazywa to Kościół — żyli w grzechu.*

Tak jak przepowiedział Luciani, w referendum większość opowiedziała się za istniejącym prawem rozwodowym. Plebiscyt pozostawił za sobą podzielony Kościół, papieża, który publicznie wyraził swoje ogromne zdziwienie i zakłopotanie wynikiem referendum oraz trudny dylemat dla tych, którzy musieli teraz podjąć próbę pogodzenia sprzeczności między Kościołem i państwem. Własny dylemat Lucianiego polegał na tym, że absolutnie nie dopuszczał możliwości naruszenia nakazu absolutnego posłuszeństwa wobec papieża. Przy tym często się zdarzało, że papież reprezentował punkt widzenia, którego nie podzielał patriarcha Wenecji. Skoro tylko pogląd papieża był ogłaszany publicznie, Luciani za swój obowiązek uważał publiczne uznawanie go. To jednak, co mówił w rozmowach w cztery oczy z ludźmi zaufanymi ze swojej diecezji, częstokroć cechowało małe podobieństwo z linią reprezentowaną przez Watykan. W połowie lat siedemdziesiątych Luciani reprezentował już dość liberalne stanowisko w sprawie regulacji urodzeń. Człowiek, który po opublikowaniu encykliki *Humanae vitae* oświadczył rzekomo: *Rzym się wypowiedział. Sprawa jest załatwiona*, całkiem wyraźnie uważał, że sprawa wcale nie jest załatwiona.

W dyskusjach na temat problemów moralnych, które pojawiały się w życiu codziennym diecezji, Luciani zgadzał się zawsze z liberalnymi poglądami, reprezentowanymi przez swego młodego sekretarza, Mario Senigaglię, do którego kardynał nabrał z czasem prawie ojcowskiego stosunku. Senigaglia opowiadał mi: *Był człowiekiem pełnym wyrozumiałości. Bardzo, bardzo często byłem świadkiem, jak mówił do par małżeńskich: „Uczyniliśmy z seksu główny grzech, podczas gdy w rzeczywistości ma on przecież do*

czynienia przede wszystkim z ludzką słabością i dlatego jest być może najmniejszym ze wszystkich grzechów”.

Nie ulega wątpliwości, że Albino Lucianiemu nie brakowało krytyków w Wenecji. Niektórzy uważali, że kierował się raczej melancholijną tęsknotą za tym, co minęło, niż życzeniem postępu i zmian. Dla jednych stał on zbyt daleko na prawo, dla innych zbyt daleko na lewo. Jeszcze inni uważali jego skromność i łagodność za objawy słabości. Potomność winna jednak oceniać tego człowieka na podstawie tego, co rzeczywiście powiedział, a nie na wypowiedziach, które mu przypisywano. Na temat przemocy:

Wypędzajcie Boga z serc ludzi, mówcie dzieciom, że grzech jest tylko bajką, którą wymyślili ich dziadkowie, by uczynić je potulnymi jak baranki, wydawajcie elementarze, w których nie występuje Bóg i wyszydza się autorytet, a potem dziwujcie się, co z tego wyjdzie. Samo wychowanie nie wystarcza! Victor Hugo napisał kiedyś: każda szkoła więcej oznacza jedno więzienie mniej. Byłoby pięknie, gdyby zgadzało się to jeszcze dziś!

O Izraelu:

Kościół musi myśleć również o mniejszościach chrześcijańskich, które żyją w krajach arabskich. Nie może pozostawiać ich własnemu losowi... Dla mnie osobiście nie ulega wątpliwości, że istnieje szczególna więź między narodem izraelskim i Palestyną. Ojciec Święty nie mógłby jednak, nawet gdyby chciał, oświadczyć, że Palestyna należy do Żydów, gdyż w ten sposób zajęłby stanowisko polityczne.

O bombie atomowej:

Mówi się, że broń atomowa jest tak niszcząca, iż jej użycie byłoby równoznaczne z końcem świata. Produkuje się ją i pomnaża, ale tylko po to, by powstrzymać wroga przed atakiem i zachować stabilność sytuacji międzynarodowej.

Rozejrzyjcie się wokół! Czy to prawda, czy nie, że od 30 lat nie było wojny światowej?

Jest prawdą, czy nie, że zapobieżono poważnym kryzysom między obu wielkimi mocarstwami, USA i ZSRR?

Bądźmy szczęśliwi z tego częściowego sukcesu... Stopniowe, kontrolowane i powszechne rozbrojenie będzie możliwe tylko wówczas, gdy pojawi się organizacja międzynarodowa ze skuteczniejszymi kompetencjami władzy i możliwościami sankcji niż te, którymi dysponuje dziś Organizacja Narodów Zjednoczonych i jeśli wychowanie dla pokoju będzie szczere.

O rasizmie w USA:

Pomimo wszelkich ustaw Murzyni w Stanach Zjednoczonych są praktycznie zepchnięci na margines społeczeństwa. Potomkowie Indian dopiero w ostatnich latach odczuli trwałą

poprawę swej sytuacji.

Takiego człowieka można by nazywać reakcyjnie nostalgicznym. Życzył sobie świata, w którym nie panowałyby w tak znacznej mierze filozofie komunistyczne, świata, w którym przerywanie ciąży nie byłoby zjawiskiem występującym co minutę. Jeżeli jednak był reakcjonistą, to z pewnymi, znacznie poszerzonymi ideami.

Na początku 1976 r. Albino Luciani znalazł się wśród uczestników konferencji biskupów włoskich w Rzymie. Jednym z rozważanych tam problemów był poważny kryzys gospodarczy, w którym znajdował się kraj. Związany z tym temat dyskusji, omawiany zresztą poufnie, dotyczył roli Watykanu w tym kryzysie i roli dobrego przyjaciela biskupa Marcinkusa, Michele Sindony. Jego imperium finansowe rozpadło się w spektakularnych okolicznościach. Niektóre banki we Włoszech, w Szwajcarii, Republice Federalnej i USA stanęły w obliczu bankructwa. Włoskie władze wymiaru sprawiedliwości wniosły wobec Sindony oskarżenie, zawierające najróżnorodniejsze zarzuty, i zabiegały o jego ekstradycję ze Stanów Zjednoczonych. Prasa włoska poinformowała, że z powodu bankructwa Sindony Watykan stracił ponad 100 mln dolarów. Watykan zaprzeczył, ale przyznał się do pewnych strat. Już w czerwcu 1975 r. włoskie władze wymiaru sprawiedliwości, podczas zabiegów o sprowadzenie Sindony do Włoch, skazały go zaocznie na karę trzech i pół roku pozbawienia wolności — był to najwyższy wymiar kary za wykroczenia, które legły u podstaw wydanego wyroku. Wielu biskupów uważało, że papież Paweł VI już w 1974 r. powinien zwolnić Marcinkusa z funkcji szefa Banku Watykańskiego, gdy się okazało, że czeki Sindony były bez pokrycia. Nic takiego jednak nie nastąpiło i tym samym serdeczny przyjaciel Sindony zarządzał finansami Watykanu jeszcze dwa lata później. Kiedy Luciani udał się do Rzymu, zostawił miasto spekulujące na temat tego, ile milionów stracił Watykan na skutek afery Sindony. Następnie opuścił konferencję biskupów, na której mówiono głównie o tym, jakie udziały miał Bank Watykański w Banca Privata, i ile akcji tego lub owego koncernu stanowiło jego własność. Powrócił do Wenecji, gdzie szkoła Don Orione'a dla upośledzonych nie miała dość pieniędzy na zakup podręczników.

Luciani zasiadł do maszyny i napisał list, który ukazał się w następnym wydaniu gazety diecezjalnej. Jego tytuł brzmiał: *Bochenek chleba dla Bożej miłości*. We wstępie znalazła się prośba o datki pieniężne na pomoc dla ofiar trzęsienia ziemi w Gwatemali; kardynał zapowiedział, że na jego polecenie w niedzielę, 29 lutego, we wszystkich kościołach diecezji odbędzie się zbiórka na ten cel. Potem przeszedł do omawiania sytuacji gospodarczej we Włoszech i powiadomił swoich czytelników, że na biskupach włoskich i członkach ich parafii spoczywa obowiązek dawania praktycznych dowodów solidarności i gotowości do

udzielania pomocy. Ubolewał ... *nad sytuacją tak wielu młodych ludzi, którzy poszukują pracy i żadnej nie znajdują oraz tych rodzin, które mają do czynienia z dramatem bezrobocia lub jego perspektywą; nad tymi, którzy w poszukiwaniu bezpieczeństwa wyjechali daleko, a teraz muszą pogodzić się z perspektywą nieszczęśliwego powrotu; nad starymi i chorymi, którzy z powodu zbyt niskich rent najciężej odczuwają skutki tego kryzysu... Życzę sobie, by księża stale pamiętali o sytuacji robotników i reagowali na nią sposobami, jakie uznają za słuszne. Ubolewamy nieraz, że robotnicy idą i zasięgają złej porady od partii lewicowych lub prawicowych. Bądźmy jednak uczciwi: czy uczyniliśmy wystarczająco dużo dla zapewnienia, by nauki społeczne i przykazania Kościoła miały przyrodzone miejsce w naszym katechizmie, w sercach chrześcijan?*

Papież Jan podkreślił, że robotnicy powinni otrzymać władzę, umożliwiającą im samodzielny wpływ na ich własne losy, w każdej sferze, nawet najwyższej. Czy nauczaliśmy tego poglądu zawsze z odważną stanowczością? Pius XII, który z jednej strony ostrzegwał przed niebezpieczeństwami marksizmu, z drugiej ganił księży trwających przy niezdecydowanej postawie wobec ustroju gospodarczego, znanego jako kapitalizm. Kościół nie zaniedbał napiętnowania jego fatalnych skutków. Czy zawsze braliśmy to sobie do serca?

Albino Luciani zademonstrował w nadzwyczajny sposób swą niechęć wobec bogatego, materialistycznego Kościoła. Podległym sobie księżom i kuratorom dóbr kościelnych zezwolił i zalecił, by sprzedawali swoje złoto, klejnoty i przedmioty wartościowe, a uzyskane środki przekazywali na ośrodek Don Orione'a dla upośledzonych. Poinformował czytelników, że sam zamierza sprzedać wysadzany kamieniami krzyż i złoty łańcuch, które nosił Pius XII. Luciani otrzymał je w podarunku od papieża Jana z okazji swoich święceń biskupich.

Mierząc w kategoriach finansowych, niewiele to wyniesie, ale może będzie to miało jakąś wartość, jeśli pomoże zrozumieć ludziom, że prawdziwymi skarbami Kościoła, jak powiedział święty Wawrzyniec, są biedni, słabi, których trzeba wspierać nie okazjonalną jałmużną, lecz dopomaganiem im w stopniowym osiągnięciu owego standardu życia i owego poziomu kultury, do jakich mają prawo.

Zapowiedział także, że cenny krzyż na złotym łańcuchu i pierścień papieża Jana sprzeda temu, kto najwięcej zapłaci. Klejnoty te przywiózł mu w prezencie Paweł VI, kiedy we wrześniu 1972 r. złożył wizytę w Wenecji. W dalszej części tego samego artykułu Luciani zacytował dwóch myślicieli hinduskich. Najpierw Gandhiego: *Podziwiam Chrystusa, ale nie chrześcijan.*

Potem napisał, że życzyłby sobie, by pewnego dnia następujące słowa Sandhu Singha

wreszcie przestały odpowiadać prawdzie:

Pewnego dnia siedziałem nad rzeką. Wyjąłem z wody okrągły kamień i rozłupałem go na pół. W środku był całkowicie suchy. Ten kamień leżał bardzo długo w wodzie, lecz ta nie przeniknęła przezeń. Przyszła mi do głowy myśl, że podobnie jest z ludźmi w Europie. Od stuleci są otoczeni chrześcijaństwem, ale chrześcijaństwo nie przeniknęło ich, nie żyje w nich.

Reakcje były podzielone. Wielu spośród weneckich księży było przywiązanych do wartościowych klejnotów, które przechowywali w swoich kościołach. Z ostrą krytyką spotkał się Luciani także ze strony niektórych tradycjonalistów, którzy chętnie wspominali aurę przepychu i władzy związaną z tytułem „patriarchy Wenecji”, ostatnich pozostałości ze słynnego okresu rozkwitu *Serenissimy*. Człowiek, który widział sens życia w istotnej, odwiecznej prawdzie Ewangelii, przyjął w swoim gabinecie delegację tych obywateli. Kiedy ich wysłuchał, powiedział:

Jestem przede wszystkim biskupem pomiędzy biskupami, pasterzem pomiędzy pasterzami, którego podstawowym obowiązkiem jest szerzenie Dobrej Nowiny i baczenie na bezpieczeństwo swoich owieczek. Tu, w Wenecji, mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem w Canale, Belluno i Vittorio Veneto.

Potem zadzwonił do straży pożarnej, zamówił łódź i pojechał osobiście odwiedzić chorych w pobliskim szpitalu.

Jak już wspomniano, jednym ze środków komunikowania się, z jakich korzystał ten pasterz, by wyjaśnić coś swej trzodzie, było pióro. Wielokrotnie zwierzał się swojemu sekretarzowi, że zostałby zapewne dziennikarzem, gdyby nie wybrał stanu duchownego. Po jego dziełach można sądzić, że byłby dobrym dziennikarzem. We wczesnych latach siedemdziesiątych rozwinął interesującą metodę udzielania czytelnikom pisma diecezjalnego odpowiedzi na różne problemy moralne: pisał listy otwarte do postaci znanych z historii i literatury. Artykułami tymi zainteresował się redaktor naczelny miejscowej gazety i poprosił Lucianiego, by przez jego pismo udostępnił je szerszej opinii publicznej. Luciani uważał, że przy pomocy gazety skuteczniej może szerzyć naukę Chrystusową niżli kazaniami w na pół pustych kościołach. Zbiór jego najśłynniejszych listów opublikowano później w wydaniu książkowym pod tytułem *Illustrissimi*. Lektura tej książki jest czystą przyjemnością. Z jednej strony listy dają nieoceniony wgląd w sposób myślenia Albino Lucianiego, z drugiej zaś, za każdym razem zajmują się określonym aspektem nowoczesnego życia. Wciąż na nowo się w nich potwierdza szczególna umiejętność Lucianiego: zrozumiałego wyrażania się — w każdym razie szczególna wśród kardynałów włoskich. Listy dobitnie świadczą o literackiej wiedzy Lucianiego. Wśród ich adresatów byli Chesterton i Walter Scott, Goethe i Alessandro

Manzoni, Christopher Marlowe i wielu innych. Istnieje też list do Chrystusa, zaczynający się w typowy dla Lucianiego sposób: *Kochany Jezusie!*

Skrytykowano mnie. „Jest biskup, jest kardynał”, mówią ludzie, „napisał listy do wszystkich możliwych ludzi: Marka Twaina, Peguy’ego Caselli, Penelopy, Dickensa, Marlowe’a, Goldoniego, i niebiosa tylko wiedzą, do kogo jeszcze. Nie napisał jednak ani jednej linijki do Jezusa Chrystusa!”

Jego list do świętego Bernarda przekształcił się w dialog, w którym święty udzielał kilku mądrych rad; między innymi na anegdotycznym przykładzie zilustrował on zmienność opinii publicznej:

W 1815 r. oficjalna gazeta francuska „Le Moniteur” zamieszczała na pierwszej stronie informacje o powrocie Napoleona z Elby pod takimi tytułami: „Bandyta ucieka z Elby; Uzurpator wchodzi do Grenoble; Napoleon wkracza do Lyonu; Cesarz przybędzie dziś wieczorem do Paryża”.

W każdym liście zawarte są mądrości życiowe adresowane do czytelników — na temat rozsądku, odpowiedzialności, skromności, wierności, działalności dobroczynnej. W rozpowszechnianiu posłania Chrystusowego wśród ludzi książka ta uczyniła więcej niż dwadzieścia encyklik papieskich.

Szerzenie Dobrej Nowiny było jednym z zadań, którym Luciani poświęcał się w latach spędzonych w Wenecji. Innym było rozprawianie się ze stale demonstrowaną krnąbrnością niektórych z podlegających mu księży. Oprócz takich, którzy grozili lokatorom eksmisją lub opierali się przed sprzedażą kosztowności kościelnych, byli jeszcze żarliwi zwolennicy marksizmu, jak i gorliwi stronnicy kapitalizmu. Jeden z księży czerwoną farbą wymalował na ścianie swego kościoła hasło: *Jezus był pierwszym socjalistą*, inny zapowiedział z ambony swoim zdziwionym parafianom: *Nie będę pracował więcej dla patriarchy, dopóki nie podniesie mojego uposażenia.*

Albino Luciani miał wprawdzie duże poczucie humoru, ale takie wysoki go nie bawiły. W lipcu 1978 r. wygłaszał kazanie w kościele Zbawiciela w Wenecji. Mówił o omyślności: *Prawdą jest, że papież, biskupi i księża są zwykłymi ludźmi, narażonymi na popełnianie błędów; prawdą jest, że się często mylimy.*

W tym momencie podniósł głowę, skierował wzrok na wiernych i powiedział ze skromną otwartością: *Jestem przekonany, że mianując mnie arcybiskupem Wenecji papież Paweł VI popełnił błąd.*

Kilka dni później papież Paweł VI nie żył; zmarł w niedzielę, 6 sierpnia 1978 r. o godzinie 9.40 przed południem. Tron był osierocony.

Osierocony tron

Nie minęły jeszcze 24 godziny od śmierci Pawła VI, jeszcze ciało nie zostało pochowane i nie dokonano choćby krótkiego podsumowania jego pontyfikatu, gdy londyńskie biuro bukmacherskie Ladbrokes ogłosiło pierwsze zakłady na wybór jego następcy. „Catholic Herald”, który w artykule opublikowanym na tytułowej stronie zamieścił ostrą krytykę tego biura, poinformował jednocześnie swoich czytelników o aktualnych notowaniach.

Faworytami byli kardynał Pignedoli w stosunku 5 : 2, kardynałowie Baggio i Poletti po 7 : 2 i kardynał Benelli — 4:1. Dobre notowania miał jeszcze kardynał Willebrands — 8:1. Szanse kardynała Koeniga oceniano na 16 : 1, a brytyjskiego kardynała Hume’a na 25 : 1. To niespodziewanie niskie notowanie Anglika mogło być spowodowane oświadczeniem Hume’a, że nie posiada on kwalifikacji do sprawowania tej funkcji. Wśród najniżej notowanych kandydatów ostatnie miejsce zajmował kardynał Suenens. Albino Luciani początkowo w ogóle nie pojawił się na liście kandydatów.

Oskarżane przez niektórych o brak taktu biuro Ladbrokes broniło się tym, że w obliczu wyborów papieża również *gazety są pełne spekulacji na temat faworytów, zawodników i fuksów.*

Istotnie, spekulacje — i brak taktu — wystąpiły nawet jeszcze przed zgonem papieża. Peter Hebblethwaite, były jezuita i ksiądz, który zaczął pisać o sprawach Watykanu, 29 lipca postawił w „Spectatorze” pytanie: *Kto jest kandydatem na najwyższe stanowisko w Stolicy Apostolskiej?* Wymienił trzech faworytów — Pignedoliego, Baggio i Pironio. Czy papież zdążył przed śmiercią przeczytać jego słowa — *nie należy się spodziewać, by papież żył jeszcze bardzo długo* — nie wiadomo.

Trochę wolniej zaczynały kampanie włoskie środki masowego przekazu. Następnego dnia po zgonie papieża radio włoskie nadawało wyłącznie muzykę Beethovena. Dzień później nadawano od czasu do czasu utwory Mozarta. Trzeciego dnia akustyczne menu składało się z muzyki lekkiej. W czwartym dniu ponurą celebrę urozmaicały śpiewane wersje *Serenady księżycowej* i *Stardust*. Telewizja włoska w pierwszych dniach po zgonie papieża oferowała swoim widzom różne filmy, w których roilo się od zakonnic, papieży i kardynałów.

Z analizy angielskojęzycznej prasy z pierwszych tygodni sierpnia 1978 r. można było wyciągnąć wniosek, że jeżeli wśród 111 kardynałów panuje takie samo otepienie jak wśród watykanologów, wówczas Kościół i świat mogą się nastawić na bardzo długie konklawe.

Niezwykle trudności z ustaleniem zwycięzcy musieli mieć szczególnie ci, którzy śledzili publikacje Petera Habblethwaite’a. W „Sunday Times” z 13 sierpnia na listę mających największe szanse wciągnął on dodatkowo kardynałów Feliciego, Villota, Willebrandsa,

Pellegrino i Benellego. Tydzień później zakomunikował swoim czytelnikom: *Nowy papież może nazywać się Bertoli*. W następną niedzielę wspomniał nawet o Lucianim. Wszystko to przypominało sprawozdania reportera sportowego, który przed konkursem o nagrodę *Grand National* lub przed derby śledzi krzywą formy poszczególnych koni. Jeżeli wspomni on przynajmniej jeden raz każdego konia, wówczas po zakończonym biegu jego gazeta może pochwalić się, że przewidziała zwycięzcę.

Szczyście w typowaniu w innym sensie miał pewien sprzedawca ryb w Neapolu. Grał na loterii, skreślając liczby z daty zgonu papieża, i wygrał.

Przy całym ceremonialnym przepychu pogrzeb papieża był jednak osobliwą, pozbawioną emocji uroczystością. Odnosiło się wrażenie, jakby jego pontyfikat skończył się już dawno temu. Po *Humanae vitae* nie wydał już więcej żadnej encykliki, a ponadto w ostatnim dziesięcioleciu nie było słyhać o nim nic, co mogłoby zapewnić mu status człowieka, którego śmierć pogrąży świat w żałobie (jedynym wyjątkiem były jego odważne oświadczenia podczas uprowadzenia i po zamordowaniu jego bliskiego przyjaciela, Aldo Moro, byłego premiera Włoch). Paweł VI był papieżem szanowanym, ale nie kochanym. Wielu rozsądnych autorów w obszernych artykułach analizowało jego pontyfikat; w każdym razie Paweł VI zapisze się w pamięci potomnych, jeżeli w ogóle, jako papież, który zakazał używania pigułki antykoncepcyjnej. Być może taką opinią wyrządza się dużą krzywdę człowiekowi o świetnym, ale samoudręczającym się umyśle, jednak sprawy, które mają wpływ na to, co dzieje się w łóżu małżeńskim, dla większości zwykłych śmiertelników są ważniejsze niż to, że Paweł VI odbył wiele podróży samolotem, odwiedził wiele krajów, ścisnął wiele rąk i wiele medytował.

W październiku 1975 r. papież Paweł VI wydał wiele poleceń na wypadek swojej śmierci. W jednym z nich domagał się, by wszyscy kardynałowie sprawujący kierownicze funkcje w Kurii Rzymskiej zostali ich automatycznie pozbawieni. Dawało to gwarancję, że następca będzie miał całkowicie wolną rękę w wyborze swoich najważniejszych współpracowników. Tym samym przyczynił się on oczywiście do poważnej nerwowości w czasie *vacatio sedis*, czyli w okresie między zgonem papieża a wyborem następcy. Jako jeden z nielicznych wyjątków, od automatycznego ustąpienia ze stanowiska był zwolniony papieski *camerlengo*, czyli podskarbi. Funkcję tę pełnił sekretarz stanu, kardynał Villot. Do ponownego obsadzenia papieskiego tronu Villot był strażnikiem kluczy do Stolicy Piotrowej. W okresie bez papieża kierowanie Kościołem i zarządzanie jego sprawami należało do Świętego Kolegium Kardynalskiego, które było zobowiązane do odbywania codziennych posiedzeń lub „generalnych kongregacji”.

Inne polecenia zmarłego papieża stały się przedmiotem zagorzałej dyskusji na jednej z pierwszych generalnych kongregacji. Z udziału w konklawe, które miało wybrać jego następcę, Paweł wykluczył jednoznacznie kardynałów, którzy mieli ponad 80 lat. Zasadę tę gwałtownie zaatakował Ottaviani. Wspierany przez 85-letniego kardynała Confalonieriego i innych, którzy przekroczyli osiemdziesiątkę, próbował ją unieważnić. Paweł stoczył niejedną walkę z tą grupą. W ostatniej, pośmiertnie, zwyciężył. Kardynałowie zdecydowali się utrzymać zasady ustalone przez papieża Pawła VI. Inną sprawą, zażarcie dyskutowaną podczas kongregacji generalnych było to, czy kartka do głosowania ma być składana jednokrotnie czy dwukrotnie.

Rzym zaczął się wypełniać, ale nie Włochami — większość z nich wyjechała nad morze. Oprócz turystów miasto gościło także watykanologów, korespondentów zagranicznych, przedstawicieli różnych grup nacisku i wszelkich „nawiedzonych”. Ci ostatni ciągnąc ulicami miasta naklejali plakaty z apelem: „Wybierzcie katolickiego papieża”.

Jeden z „ekspertów” poinformował pismo „Time Magazine”: *Nie znam żadnego kardynała włoskiego, który ze spokojnym sumieniem głosowałby na cudzoziemca. Z pewnością nie znał on wielu kardynałów włoskich, a już w żadnym wypadku patriarchy Wenecji. Przed odjazdem do Rzymu Luciani swojemu byłemu sekretarzowi, Mario Senigaglii, obecnie księdzu w kościele Św. Stefana, powiedział wyraźnie: Uważam, że czas dojrzał do wyboru papieża z Trzeciego Świata.*

Nie pozostawiał on też wątpliwości, kogo miał na myśli: kardynała Aloisio Lorscheidera z Brazylii. Lorscheider, arcybiskup Fortalezy, u wielu cieszył się opinią jednej z najteższych głów w Kościele katolickim. Luciani poznał go lepiej w okresie pełnienia funkcji patriarchy Wenecji i kiedyś w zaufaniu powiedział ojcu Senigaglii: *Jest on (Lorscheider) człowiekiem wierzącym i wykształconym. Ponadto zna dobrze Włochy i dobrze mówi po włosku. A najważniejsze jest to, że swoim sercem i myślami jest z ubogimi.*

Przed spotkaniem z Lorscheiderem na ziemi włoskiej, Luciani złożył Brazylijczykowi miesięczną wizytę w 1975 r. Dyskutowali w wielu językach i stwierdzili, że mają wiele wspólnego. Luciani nie wiedział jednak, jak wysoko Lorscheider go ceni. Kiedyś, wracając myślą do wizyty Lucianiego w Brazylii, Lorscheider powiedział: *Przy tej okazji wielu ludzi odważyło się na przepowiednię, że pewnego dnia patriarcha Wenecji może zostać papieżem.*

W podróży do Rzymu Lucianiemu towarzyszył Diego Lorenzi, który przed dwoma laty został następcą Senigaglii na stanowisku sekretarza patriarchy Wenecji. Pomijając udział w codziennych kongregacjach, Luciani prowadził w Rzymie powściągliwe życie; w wolnym czasie najczęściej chodził do ogrodu Augustinum, gdzie zamieszkiwał, i spacerując pogrążał

się w myślach. Wielu jego kolegów prowadziło o wiele bardziej męczące życie — na przykład kardynał Pignedoli, faworyt bukmacherskiego biura Ladbrokes.

Pignedoli był blisko zaprzyjaźniony ze zmarłym papieżem. Niektórzy włoscy komentatorzy zauważyli złośliwie, że był on jedynym przyjacielem, jakiego Paweł VI w ogóle posiadał. W każdym razie był on, jak się wydaje, jedynym, do kogo Paweł zwracał się poufale *don Battista*. Jeden ze zwolenników Pignedoliego, kardynał Rossi z Brazylii, nie pomijał żadnej okazji do przypomnienia innym kardynałom tradycji, zgodnie z którą papieże mieli zwyczaj pozostawiania zaleceń co do wyboru swych następców i podkreślał, że Pignedoli był *najukochańszym synem Pawła*. Pignedoli był jednym z najbardziej postępowych wśród kardynałów w Kurii i dlatego nie lubianym przez większość swoich kolegów. Był kulturalny, obyty w świecie i — co dla jego kandydatury mogło być najważniejsze — bezpośrednio lub pośrednio maczał palce w mianowaniu przynajmniej 28 swoich kolegów-kardynałów.

Na wyższych szczeblach hierarchii Kościoła katolickiego za zły styl uważa się otwarte, uczciwe zgłaszanie roszczeń do tronu papieskiego. Jest niepożądane, by ubiegający się o to przedstawiał się i publicznie oświadczał, co zamierza zrobić w wypadku swego wyboru. Zgodnie z tym, teoretycznie nie ma żadnej kampanii wyborczej, żadnego mobilizowania zwolenników, żadnego zabiegania o głosy. W praktyce wszystko to, i jeszcze wiele więcej, ma oczywiście miejsce. Teoretycznie kardynałowie zbierają się na tajnym konklawe i czekają, aż nawiedzi ich Duch Święty. W praktyce telefony, potajemne spotkania i równie tajne uzgodnienia oraz obietnice powodują, że Duch Święty otrzymuje bardzo doczesne wskazówki.

Przyjętą metodą reklamowania własnej kandydatury jest publiczne oświadczenie, że nie dorosło się do tego zadania lub że się go nie jest godnym. Oświadczenie takie złożył na przykład angielski kardynał, Basil Hume, ale bez wątpienia powiedział to uczciwie. Inni, którzy złożyli podobne oświadczenia, byli w najwyższym stopniu rozdrażnieni, kiedy ich koledzy brali to za dobrą monetę. Podczas popołudniowej herbatki 17 sierpnia Pignedoli przed zebraną grupą kardynałów włoskich, reprezentujących wszystkie odcienie politycznego wachlarza, oświadczył, że mimo wszelkich nacisków i perswazji nie wierzy, by był odpowiednim kandydatem na papieża. Zaproponował swoim kolegom, by zamiast na niego, głosowali na kardynała Gantina. Była to oryginalna propozycja.

Gantin, ciemnoskóry kardynał z Beninum, miał 56 lat. Już chociażby dlatego szanse na jego wybór były bardzo małe, gdyż za idealny wiek uważano 65—70 lat. Pignedoli miał 68 lat. Do tego dochodził jeszcze kolor skóry Gantina. Rasizm występuje po obu stronach Tybru.

Zgłoszenie kandydatury Gantina mogło oczywiście przynieść Pignedoliemu głosy Trzeciego Świata, który był reprezentowany przez poważną liczbę 35 kardynałów.

Pignedoli wyraził pogląd, że najważniejsze, by wybory przebiegły możliwie szybko, niezależnie od tego, kto zostanie wybrany. Początek procedury głosowania został ustalony na sobotę 26 sierpnia rano. Być może Pignedoli wyobrażał sobie, że byłoby to wygodne, gdyby nowy papież został wybrany w niedzielę rano i już w południe mógł przemówić do gęstych tłumów na Placu Św. Piotra.

Gdyby kardynałowie rzeczywiście życzyli sobie możliwie najszybszego zakończenia konklawe, wówczas byłoby to oczywiście korzystne dla kandydata, który przystąpił do wyboru mając największą liczbę zwolenników. Kardynałowie w nie mniejszym stopniu niż zwykli śmiertelnicy ulegają pokusie opowiedzenia się po stronie przypuszczalnego zwycięzcy. Pignedoli wiedział, że 75 głosów niezbędnych do uzyskania większości dwóch trzecich musiałby zdobyć u kardynałów nie należących do Kurii. Jeżeli tylko rozstrzygnięte i zakończone byłyby już walki wewnętrzne, Kuria faworyzowałaby jednomyślnie kandydata, który pochodziłby z jej centrum. „Augurowie” jak żonglerzy przerzucali się nazwiskami potencjalnych kandydatów Kurii — Bertoliego, Baggia, Feliciego.

By zyskać zwolennika swojej kandydatury, Baggio zwrócił się do Marcinkusa i zapewnił, że jeżeli zostanie wybrany papieżem, to zatwierdzi go na stanowisko prezesa Banku Watykańskiego. Biskupa Marcinkusa nie obejmowały zresztą zalecenia, pozostawione przez zmarłego papieża; pełnił funkcję kierownika banku tak jak dotychczas, i nie było żadnych dostrzegalnych objawów, które wskazywałyby, że mogłoby tu się coś zmienić. Krok Baggia stanowił dla wielu obserwatorów włoskich zagadkę. Gdyby udało im się jednak nakłonić do mówienia któregoś z uczestniczących w wewnętrznych posiedzeniach kardynałów, wówczas być może zrozumieliby głębsze znaczenie manewru Baggia.

Na posiedzeniach tych bardzo poważnie dyskutowano problemy, z jakimi Kościół musi się borykać, i możliwości uporania się z nimi. Podczas takich dyskusji zwykle ujawnia się, któremu kardynałowi można przypisać największe umiejętności rozwiązywania tych problemów. Siłą rzeczy zakres tematów, omawianych w tamtych sierpniowych dniach, był duży. Należały do nich sprawy dyscypliny wewnątrz Kościoła, misji, ekumenizmu, kolegalności i pokoju światowego. Kardynałów zajmował jeszcze jeden temat: finanse Kościoła. Wielu drażnił fakt, że mimo skandalu Sindony, Marcinkus wciąż kieruje Bankiem Watykańskim. Inni domagali się dokładnego zbadania postępowania Banku Watykańskiego w sprawach finansowych. Jako sekretarz stanu i podskarbi kardynał Villot musiał wysłuchać wielu skarg i zażaleń, przy czym wszystkie sprowadzały się do jednego mianownika —

krytyki biskupa Paula Marcinkusa. To właśnie stanowiło tło propozycji Baggia, by Marcinkusa pozostawić na jego stanowisku; była to próba uzyskania za pomocą obietnicy zachowania status quo głosów takich osób, jak kardynał Cody z Chicago, który zdecydowanie opowiadał się za tym, by Marcinkusowi pozostawić jego dotychczasową funkcję.

Innym kandydatem, który przyciągnął uwagę obserwatorów, był kardynał z Florencji, Giovanni Benelli. Jako prawa ręka papieża Pawła VI narobił sobie wprawdzie wrogów, ale nie było tajemnicą, że był dostatecznie wpływowy, aby dysponować co najmniej 15 głosami.

Sytuację jeszcze bardziej komplikował fakt połączenia sił 15 sfrustrowanych kardynałów, którzy z uwagi na przekroczenie granicy wieku nie mogli być dopuszczeni do właściwego konklawe. Grupa ta, w której skład wchodził pewni najbardziej reakcyjni ludzie z Watykanu, zaczęła popierać kandydata, który wydawał się najlepszym reprezentantem jej interesów i sposobu myślenia: arcybiskupa Genui, kardynała Giuseppe Siri. Siri walczył na pierwszej linii frontu przeciw wielu reformom Drugiego Soboru Watykańskiego. W poprzednich wyborach papieża był czołowym kandydatem prawicy. Wielu członków grupy „zbyt starych” uważało go za idealnego następcę Pawła VI, któremu swego czasu uległ. Nie wszyscy jednak tak myśleli; przynajmniej jeden z nich, kardynał Carlo Confalonieri, agitował dyskretnie za Albino Lucianim. Jednakże grupa jako całość uznała, że papieżem powinien być wybrany Siri.

Kardynał Siri często uważa się za źle zrozumianego. Kiedyś gromił w kazaniu kobiety noszące spodnie i napominał je, by powróciły do tradycyjnego stroju kobiecego, *by nie zapomniały swego prawdziwego zadania na tym świecie*. Starając się dać Jego Eminencji okazję do wyjaśnienia, osłabienia lub zdementowania tej wypowiedzi, podczas moich dochodzeń poprosiłem Siriego o rozmowę. Najpierw zgodził się na nią, ale potem zażądał, bym przedłożył mu na piśmie moje pytania. Otrzymał je, łącznie z pytaniem o jego wypowiedź na temat kobiet i spodni. Odmówił spotkania.

W czasie dziewięciu mszy żałobnych odprawionych w intencji zmarłego papieża wygłoszono kilka kazań wspomnieniowych. Jedno z nich wygłosił kardynał Siri.

Człowiek, który przy każdej okazji kładł kłody na drodze papieża Pawła i blokował każdą z jego inicjatyw, uroczyście zadeklarował swoje poparcie dla celów zmarłego pontifexa. Jeden z argumentów przytaczanych przez zwolenników Siriego brzmiał, że następnym papieżem musi zostać Włoch. Roszczenie to, podnoszone mimo faktu, że Włochami było tylko 27 spośród 111 uprawnionych do głosu kardynałów, jest typowym świadectwem sposobu myślenia dominującego w Watykanie. Kampania na rzecz Siriego przeszła jednak w prasie niemal niezauważalnie.

Jedną z niewzruszonych prawd wiary wtajemniczonych w Watykanie było przekonanie, że tylko papież pochodzący z Włoch potrafi zapanować nad Watykanem, a ponadto nad Kościołem jako całością, a przede wszystkim nad Włochami. Ostatnim papieżem cudzoziemcem był wybrany w 1511 r. Holender, Adrian VI. Ten niezwykle uzdolniony i bardzo uczciwy człowiek szybko i gruntownie rozpoznał zło pieniejące się w Rzymie. W związku z walką z rozkwitającym protestantyzmem w Niemczech pisał do swojego rezydującego tam legata:

Proszę wyjaśnić również, że otwarcie przyznajemy, iż... przez wiele lat do Stolicy Apostolskiej zakradały się obrzydliwe rzeczy. Nadużywano świętości, naruszano przykazania, słowem nastąpiła zmiana na gorsze. Nic więc dziwnego, że choroba przeniknęła od głowy do członków, od papieża do hierarchii. My wszyscy, prałaci i kler, zeszliliśmy ze słusznej drogi... Proszę więc złożyć w naszym imieniu obietnicę, że gruntownie zreformujemy przede wszystkim (instytucję), która być może jest źródłem tego całego nieszczęścia, Kurie Rzymską.

Kilka miesięcy po tej zapowiedzi papież Adrian nie żył. Wiele wskazuje na to, że został otruty przez swojego lekarza.

Po śmierci papieża Pawła VI Kuria Rzymska jak zawsze zdecydowanie przystąpiła po raz kolejny do przeforsowania swoich interesów i, jako mniejszość, narzucenia swojej woli większości. Podczas jednej z pierwszych kongregacji generalnych, na której było obecnych dopiero 32 kardynałów, w większości Włochów, ustalono, że 111 uprawnionych do głosowania kardynałów nie powinno udać się na konklawe przed 25 sierpnia, i że procedura wyborcza powinna rozpocząć się dopiero 26 sierpnia. Daty te tylko o jeden dzień wyprzedzają najpóźniejsze terminy, ustalone przez zmarłego papieża. Tak więc doszło do najdłuższego *vacatio sedis* w nowożytnej historii papieżstwa. W 1878 r. kardynałowie, którzy musieli radzić sobie wówczas bez usług TWA i PANAM, potrzebowali tylko 10 dni, by zebrać się na konklawe, które wybrało papieża Leona XIII. Ustalony obecnie trzytygodniowy termin zapewniał kardynałom tyle czasu, ile tylko było możliwe, by dać „cudzoziemcom” do zrozumienia, że najlepszym rozwiązaniem jest wybór Włocha na następcę Pawła VI. Kardynałowie włoscy spotkali się jednak z nieoczekiwanym oporem. Albino Luciani nie był jedynym, który uważał, że nadszedł czas, by papieżem został przedstawiciel Trzeciego Świata. Wielu kardynałów z Trzeciego Świata myślało tak samo. Na tajnym spotkaniu w kolegium brazylijskim w Rzymie zebrała się 20 sierpnia większa część kardynałów latynoamerykańskich. Nie uzgodniono wprowadzić żadnej kandydatury, która odpowiadałaby ich ideałowi, ale osiągnięto przynajmniej zgodność co do tego, że nowy papież musi być człowiekiem, który był zawsze dla wiernych prawdziwym pasterzem, który kierując się w

sposób dostrzegalny wizerunkiem świętego rozumiał trudności i potrzeby ubogich, który opowiadał się za demokratycznym współdziałaniem i respektował zasadę kolegialności. Musi być także człowiekiem, który siłą swojego charakteru i swoich cech osobistych potrafiłby pozyskać sympatię świata. Nawet jeżeli podczas spotkania, jak już powiedziano, nie wymieniono żadnych nazwisk, to i tak, już chociażby z uwagi na wysunięte kryteria, znacznie się zacieśnił krąg kandydatów mających szansę wyboru.

We Florencji Giovanni Benelli², którego wielu obserwatorów niesłusznie uważało za poważnego kandydata na tron papieski, dowiedział się o wymogach kwalifikacyjnych wysuniętych przez Latynosów. Uśmiechnął się. Wyliczenie to brzmiało dokładnie jak opinia człowieka, którego Benelli życzył sobie jako papieża. Podniósł słuchawkę, wybrał składający się z wielu cyfr numer i chwilę po niej prowadził ożywioną rozmowę z kardynałem belgijskim, Suenensem.

Tymczasem w Rzymie Pignedoli nadal wydawał wystawne przyjęcia, kardynałowie Kurii pociągali za niewidoczne sznurki, by pomnożyć szanse wyborcze Siriego, a watykański urząd prasy kontynuował praktykę zbywania dziennikarzy prasy światowej skąpymi informacjami. Coraz bardziej zbliżał się początek tego, co Peter Nichols z londyńskiego „Timesa” nazwał *najtajniejszymi wyborami świata*.

Nie tylko latynoamerykańscy kardynałowie ustalili kryteria, jakim powinien odpowiadać nowy papież. Już tydzień wcześniej ugrupowanie katolickie noszące nazwę CREP (Committee for the Responsible Election of the Pope, czyli Komitet Odpowiedzialnego Wyboru Papieża) zorganizowało konferencję prasową w hotelu Columbus. Odważnym człowiekiem, który zdecydował się odpowiedzieć na pytania ponad 400 reporterów, był ojciec Andrew Greeley, który sam nie był członkiem CREP.

Wraz z grupą teologów opracował na polecenie komitetu odpowiedni dokument poświęcony urzędowi papieskiemu.

Nie brakowało krytyków tego dokumentu. Jednak sporo zastrzeżeń krytycznych było banalnych, wiele również aroganckich. Autorzy bez wątpienia wykazali, że pragną człowieka o nadzwyczajnych kwalifikacjach. Opracowany przez nich dokument świadczył również o więzi wewnętrznej z Kościołem katolickim. Jeżeli tak bardzo interesowali się kwalifikacjami

² Benelli naraził się w Rzymie z powodu stałych prób przeforsowania zwolnienia biskupa Marcinkusa z funkcji szefa Banku Watykańskiego. Klice kierowanej przez Marcinkusa i monsignora Macchiego, osobistego sekretarza papieża Pawła, udało się w końcu w 1977 r. spowodować usunięcie Benellego z funkcji watykańskiego sekretarza stanu. W charakterze odszkodowania Benelli otrzymał godność kardynalską i arcybiskupstwo Florencji.

nowego papieża, to tylko z miłości do tego Kościoła. Zbycie jednym ruchem ręki ludzi o formacie Hansa Kunga, Yvesa Congara i Edwarda Schillebeecka świadczy o postawie, którą chciałoby się niemal nazwać autyzmem duchowym. W oczach wielu ludzi, którzy się na tym znają, profesor Kung na przykład jest wybitnym teologiem katolickim naszych czasów. Również wszyscy inni, którzy podpisali dokument, byli znaczącymi ludźmi.

Poszukuje się

przepelnionego nadzieją, świątobliwego człowieka, który potrafi się śmiać.

Interesująca praca, gwarantowane dochody i służbowa rezydencja. Ochronę zapewnia sprawdzona organizacja ds. bezpieczeństwa. Podania o tę posadę prosimy kierować do kolegium kardynalskiego w Watykanie.

Tak zaczynał się ten dokument. Potem następował katalog przymiotów, których autorzy życzyli sobie od nowego papieża. Stwierdzili najpierw, co nie jest istotne: czy człowiek ten należy do Kurii, czy nie, czy jest on Włochem czy „cudzoziemcem”; czy pochodzi z Pierwszego, Drugiego lub Trzeciego Świata, czy ma wykształcenie akademickie, czy nie, czy jest dyplomatą lub praktykującym kapłanem, postępowy lub umiarkowany, czy ma kwalifikacje menedżera, czy nie...

W tej krytycznej fazie historycznej, według przekonania teologów, Kościół katolicki potrzebował raczej człowieka świątobliwego, człowieka nadziei i radości. Człowieka świątobliwego, który potrafi się śmiać. Papieża nie dla wszystkich katolików, lecz dla wszystkich narodów. Człowieka, który jest wolny od jakichkolwiek machinacji finansowych i organizacyjnych. Po tym następowały dalsze cechy, które są uważane za konieczne. Jeżeli czyta się ten katalog kryteriów i porównuje zawarty w nim wizerunek idealnego papieża z listą faworyzowanych w swoim czasie kandydatów, można wyczuć, jak niewielka musiała być nadzieja autorów dokumentu na spełnienie ich gorącego pragnienia.

Greeley znalazł się na konferencji prasowej w trudnej sytuacji, zwłaszcza że zdobył się na zuchwałość i poddał myśl, czy nie byłoby dobrym pomysłem obranie papieża płci żeńskiej. Należało mieć dużą odwagę, by wystąpić z takim pomysłem przed publicznością składającą się w większości z włoskich mężczyzn. Impreza zakończyła się małym tumultem, kiedy młoda Włoszka wykrzyczała ojcu Greeleyowi, że jest złym człowiekiem, i że ma problemy seksualne.

Kilka dni później w wywiadzie dla włoskiego magazynu informacyjnego „Panorama” profesor Hans Kung powiedział, że jego zdaniem cały Kościół rzymskokatolicki ma problemy seksualne i będzie je miał nadal, dopóki nie podważy się encykliki *Humanae vitae*. Regulację urodzeń określił jako najważniejszy z piętrzących się przed papieżem problemów. *Jest to*

podstawowa sprawa dla Europy i Stanów Zjednoczonych, przede wszystkim jednak dla Trzeciego Świata... Niezbędna jest rewizja „Humanae vitae”. Wielu teologom, a także biskupom nie sprawiłoby trudu zaakceptowanie regulacji urodzeń, również przy użyciu sztucznych środków, gdyby istniała wreszcie gotowość uznania, że można skorygować regulacje wprowadzone przez wcześniejszych papieży.

W wywiadzie dla prasy brazylijskiej kardynał Lorscheider poinformował 21 sierpnia opinię publiczną o konkretnych szczegółach „listy życzeń” Latynosów. Jako papieża życzyli oni sobie człowieka nadziei, człowieka z pozytywnym nastawieniem do świata. Chcieli papieża, który nie usiłowałby narzucać chrześcijańskich rozwiązań ludziom, którzy nie są chrześcijanami; który wyróżniałby się wrażliwością na problemy społeczne i gotowością do dialogu, którego szczerym życzeniem byłaby działalność w interesie jedności Kościoła. Ponadto powinien być dobrym kapłanem, dobrym pasterzem na sposób Jezusa; powinien być uczciwie przekonany o tym, że uchwały konferencji biskupów powinny mieć wpływ na decyzje papieża, a nie, tak jak najczęściej do tej pory, przebrzmiewać bez skutków. Wreszcie, nowy papież powinien być gotów zapoczątkować nową drogę w sprawie regulacji urodzeń, drogę, która niekoniecznie oznaczałaby odwrót od *Humanae vitae*, ale wyprowadziłaby z obecnego ślepego zaułka.

Tymczasem kardynałowie Benelli i Suenens, którzy unikali letnich upałów rzymskich tak długo, jak to możliwe, pracowali dyskretnie nad przygotowaniem warunków dla wróżącej powodzenie kandydatury człowieka, który mógłby odpowiadać oczekiwaniom kardynałów latynoamerykańskich, ojca Greeleya i profesora Kunga: Albino Lucianiego.

Pojawieniu się w tygodniach poprzedzających konklawe nazwiska Lucianiego w prasie włoskiej towarzyszyła najczęściej wskazówka, że może to być tylko pociągnięcie taktyczne. Watykanolog włoski, Sandro Magister, mówił w związku z tym o „bezbarwnym patriarsze Wenecji”. Innym, który powinien był wiedzieć wszystko lepiej, był Giancarlo Zizola. Kilka dni przed otwarciem konklawe Zizola, który dziewięć lat wcześniej przeprowadził długi, intensywny wywiad z Albino Lucianim, opublikował pod tytułem *Przyjaciel ubogich (nie lewicowych)* mało pochlebną, krótką biografię patriarchy. Zacytował w niej nie wymienionego z nazwiska świadka: *Można przynajmniej powiedzieć, że jest on dziś uznanym przywódcą prawicy kościelnej, weneckim wydaniem kardynała Ottavianiego.*

Poproszony przez prasę o skomentowanie sporadycznego pojawiania się jego nazwiska na liście kandydatów, Luciani powiedział z uśmiechem: *W najlepszym wypadku znajdują się na liście C.*

Przedstawiciele prasy byli usatysfakcjonowani i nie troszczyli się już więcej o niego.

Jego nazwisko ponownie popadło w zapomnienie.

Unikając gorączkowych zabiegów, Luciani przechadzał się po ogrodach klasztoru Augustianów, skąd miał piękny widok na Bazylikę Św. Piotra. Wdał się w rozmowę z jednym z mnichów, bratem Clemente, który począć się pracował na grządkach kwiatów. Luciani wspominał swą pracę na polu w dzieciństwie: *Długi czas miałem odciski na rękach. Teraz mam odciski na mózgu.* Wraz ze zbliżającym się dniem konklawe Lucianiemu przybywało trosk. Silnik jego pięcioletniej Lancii 2000 odmawiał już posłuszeństwa. Luciani polecił swojemu sekretarzowi, ojcu Lorenziemu, by jak najszybciej oddał samochód do naprawy. W sobotę, 26 sierpnia, powinno zebrać się konklawe. Luciani nalegał, by w następny wtorek samochód był gotowy do drogi powrotnej. Nie chciał tracić czasu, bowiem w domu miał wiele do zrobienia.

Dwudziestego piątego sierpnia Luciani napisał do swojej bratanicy, Pii:

Kochana Pio,

Piszę do Ciebie ten list, aby umożliwić Ci uzyskanie nowych znaczków pocztowych z vacatio sedis oraz by pogratulować Ci szczęśliwego przebiegu Twojego pierwszego egzaminu. Miejmy nadzieję, że Pan pomoże Ci również przy pozostałych. Dziś ostatnią kongregacją generalną zakończyliśmy okres przed konklawe. Potem zwiedziliśmy nasze cele po ich rozlosowaniu. Ja mam celę numer 60, pomieszczenie mieszkalne wyposażone w sprzęt do spania; mam wrażenie, jakbym się przeniósł w przeszłość, do seminarium w Feltre w 1923 r.: metalowe łóżko, materac, miska do mycia.

Obok pod numerem 61 mieszka kardynał Tomaszek z Pragi. Dalej za nim kardynałowie: Tarancon z Madrytu, Medeiros z Bostonu, Sin z Manili, Malual z Kinszasy. Brakuje tylko Australii, poza którą mamy tu przedstawicieli całego świata. Nie wiem, jak długo będzie trwało konklawe; trudno będzie znaleźć właściwą osobistość, która mogłaby poradzić sobie z tymi licznymi problemami, stanowiącymi naprawdę ciężkie brzemie. Na szczęście mnie nie grozi to niebezpieczeństwo. Już samo oddanie głosu oznacza w tych okolicznościach wzięcie na siebie poważnej odpowiedzialności. Jestem pewien, że jako dobra chrześcijanka będziesz w tych dniach modliła się za Kościół. Pozdrów Francesca, ojca i matkę. Do tych dwojga ostatnich nie piszę, ponieważ mam w tej chwili dużo zajęć. Twój bardzo ci oddany

Albino Luciani

Następnego dnia, kilka godzin przed rozpoczęciem konklawe, napisał do swojej siostry, Antonii:

Kochana Siostro,

Piszę do Ciebie na krótko przed udaniem się na konklawe. Są to trudne chwile odpowiedzialności, nawet jeżeli wbrew pogłoskom w gazetach nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. W obecnym czasie oddanie głosu na papieża jest poważnym zobowiązaniem. Módl się za Kościół i przekaż serdeczne pozdrowienia również dla Errere, Roberto i Gino.

Albino Luciani

Poprosił Augustianów o nadanie za niego listu i zwrócił ich uwagę na to, że większą część rzeczy pozostawił w swoim pokoju. Rano Luciani i kardynałowie celebrowali mszę w intencji wyboru papieża. Tymczasem brat Clemente przyniósł do Kaplicy Sykstyńskiej torby z najpotrzebniejszymi rzeczami dla Lucianiego i kardynała Freemana. Po mszy obaj kardynałowie wraz ze swoimi kolegami zebrali się w Capella Paolina, ozdobionej freskami Michała Anioła. Dyrygowany przez papieskiego mistrza ceremonii, monsignore Virgilio Noego pochód kardynałów, na którego czele szedł chór Kaplicy Sykstyńskiej śpiewając hymn na chwałę Ducha Świętego, udał się przez Sala Ducale, a następnie obok Cherubina Berniniego, do wnętrza Kaplicy Sykstyńskiej. Na okrzyk monsignore Noego *extra omnes* (wszyscy wyjść) kaplicę opuścili chórzyci, ministranci, kamerzyści i wszyscy inni nieupoważnieni. Między obu strażnikami wejścia, monsignore Noem na zewnątrz i kardynałem Villotem wewnątrz, powoli zamknęły się drzwi. Dla 111 zamkniętych w kaplicy kardynałów otworzą się one ponownie dopiero wówczas, gdy zostanie wybrany papież. Potem oczekującym na Placu Św. Piotra wiernym i wielu milionom zainteresowanych na całym świecie białe kłęby dymu obwieszczają, że skończyły się najbardziej tajne wybory na świecie i tron papieski został ponownie obsadzony.

Konklawe

Niezależnie od błędów i zaniedbań, jakie można przypisać papieżowi Pawłowi VI, jednego nie można było mu odmówić — umiejętności zorganizowania konklawe. Pozostawił on jednoznaczne reguły procedury wyboru swego następcy.

Jedną z najważniejszych dla niego spraw było zapewnienie tajemnicy. Zgodnie z ustalonymi przezeń wytycznymi, dwa dni przed konklawe kardynałowie złożyli uroczystą przysięgę. Musieli przysiąc — pod karą ekskomuniki — *że ani znakami, ani słowami, ani na piśmie czy w jakikolwiek inny sposób nie zdradzą nic na temat przebiegu wyboru.* Dla wykluczenia wszelkich nieporozumień kardynałowie musieli też przysiąc, że podczas konklawe nie będą wykorzystywali *żadnych urzędzeń nadawczych i odbiorczych wszelkiego rodzaju, ani też aparatów umożliwiających robienie zdjęć.* Najwyraźniej papież Paweł nie miał nieograniczonego zaufania do dostojników Kościoła rzymskokatolickiego.

Zatroszczył się nawet o wypadek, gdyby między złożeniem przysięgi a rozpoczęciem konklawe któryś z kardynałów cierpiał na zanik pamięci: wszystkich 111 dostojników musiało złożyć przysięgę jeszcze raz, skoro tylko znaleźli się sami w Kaplicy Sykstyńskiej.

Kiedy kardynałom przydzielono ich pokoje — lub „cele”, jak określił je Paweł w swoich poleceniach — kardynał Villot podjął dalsze czynności: wspierany przez kilku swoich kolegów i dwóch techników przeczesał cały teren, na którym odbywało się konklawe, w celu wykrycia ewentualnego podsłuchu, magnetofonów i kamer video. Tak więc dokonano rewizji osobistej całego personelu obsługi, znajdującego się w kaplicy. Wszyscy musieli się poddać tej procedurze.

Aby zapobiec przeniknięciu kogokolwiek z zewnątrz do środka, papież Paweł zarządził, by zewnętrzne i najbliższe otoczenie Kaplicy Sykstyńskiej było przeszukane przez grupę ludzi z Watykanu. Z pisemnego tekstu nie wynika, czy celem tego zarządzenia było zapobieżenie przedostaniu się do kaplicy przez okna w dachu kardynałów wykluczonych z udziału w konklawe z uwagi na wiek.

Villot, jego pomocnicy i dwaj technicy z pewnością uczciwie zasłużyli podczas konklawe na swój chleb powszedni. Ich dalsze zadanie polegało na poszukiwaniu magnetofonów, kamer elektronicznych i „pluskiew” wszelkiego rodzaju.

Z uwagi na tę całą ceremonię przeszukiwania, sprawdzania i liczenia osób, pierwszego dnia, jak z pewnością przewidział to zmarły papież, niewiele czasu pozostało na zajęcie się rzeczywistym zadaniem: wyborem papieża.

W Świętym Mieście panowały niezwykle upały i można przypuszczać, że również wewnątrz Kaplicy Sykstyńskiej temperatura była prawie nie do zniesienia dla zebranych tam,

w większości starych mężczyzn; tym bardziej że zmarły papież nie zapomniał także o problemie okien; zgodnie z jego poleceniem wszystkie okna musiały być zamknięte, zaplombowane i zasłonięte. W takich warunkach 111 kardynałów musiało teraz podjąć najważniejszą decyzję ich życia.

Różnorodność dążeń uczestników konklawe była wiernym odzwierciedleniem oczekujących na spełnienie potrzeb, nadziei i życzeń milionów ludzi, którzy na zewnątrz czekali na nowego papieża. Istniało „prawe” skrzydło, którego ambicją było cofnięcie Kościoła na pozycje, zajmowane przed II Soborem Watykańskim, a więc przede wszystkim przywrócenie rygorystycznej dyscypliny wewnątrzkościelnej. „Lewe” skrzydło chciało papieża, który rozumiałby biednych i był wiarygodnym obrońcą ich interesów, papieża, któremu nie były obce demokratyczne reguły gry, i który zapewniłby biskupom prawo współdecydowania o tym, w jakim kierunku ma zmierzać Kościół. Życzyli sobie Jana XXIII, podczas gdy przedstawiciele prawego skrzydła rozglądali się za Piusem XII. Wśród nich byli też tacy, którzy potrafili połączyć te lub inne poszczególne żądania obu skrzydeł, połączyć stanowiska postępowe ze wstecznymi. Był też Albino Luciani, człowiek o niezwyklej skromności, jaką niezmiernie rzadko można spotkać u ludzi o tak dużej inteligencji; skromności, która łączyła się z wielką kulturą osobistą i rozważą. Luciani widział swoje zadanie w nadaniu siły nośnej niespełnionym nadziejom i życzeniom Trzeciego Świata. Stąd jego decyzja oddania głosu na arcybiskupa Fortalezy w Brazylii, Aloisio Lorscheidera, człowieka o nieprzeciętnym talencie, dobrze zaznajomionego z problemami biednych ludzi. Obwołanie papieżem takiego człowieka — z wykorzystaniem lub nie Ducha Świętego — byłoby inspirującym wyborem.

Giovanni Benelli i Leon Joseph Suenens mieli podobnego kandydata. Benelli milczącym uśmiechem zareagował na potraktowanie go przez środki masowego przekazu w tygodniu poprzedzającym konklawe jako kandydata, który ma największe szanse na wybór. W milczeniu odparował także zatrute strzały, które kardynałowie z Kurii, tacy jak Pericle Felici, prokurator zarządu majątku Stolicy Apostolskiej, wystrzelili w jego kierunku, na przykład uwagę Feliciego pod jego adresem: *On będzie głosował tylko na siebie samego.*

Wkrótce Felici miał stwierdzić, że Benelli nie tylko sam, lecz — co było jeszcze ważniejsze — przy udziale innych kardynałów dążył do zrealizowania odmiennych planów. Kiedy do uszu kardynałów z Kurii dotarły pierwsze szczątkowe informacje na temat dyskretnych zabiegów Benellego i Suenensa o poparcie dla Albino Lucianiego, zareagowali oni tak samo lekceważąco, jak uczynili to przedtem dziennikarze. Wśród opublikowanych przed konklawe przez Watykan biografii kardynałów, biografia Lucianiego była najkrótsza.

Najwyraźniej najpotężniejsi w Kościele, podobnie zresztą jak sam Luciani, byli zdania, że jego nazwisko może znajdować się najwyżej na liście „C”. Podobnie jak prasa światowa, Kuria również mało wiedziała o tym człowieku. Ku zmartwieniu Kurii inni kardynałowie znali go lepiej. Po dokonanych wyborze wielu dziennikarzy i watykanologów usprawiedliwiało swą nieumiejętność przewidywania powołaniem się na fakt, że Luciani był osobą „nieznaną”, która *nigdy nie opuszczała Włoch i nie włada żadnym językiem obcym*. W rzeczywistości poza swoim językiem ojczystym i łaciną Albino Luciani znał jeszcze niemiecki, francuski, portugalski i angielski! Był znany nie tylko większości kardynałów włoskich (z wyjątkiem kardynałów Kurii), lecz także pielęgnował wiele przyjaźni za granicą. W Wenecji gościli u niego Polacy Wojtyła i Wyszyński. Wojtyła wywarł trwały wpływ na stosunek Lucianiego do marksizmu. Luciani podczas swojej podróży do Brazylii w 1975 r. przebywał u Lorscheidera. Dobrym przyjacielem Lucianiego był także kardynał Arns, również z Brazylii. Belg Suenens, Holender Willebrands, Francuz Marty, Amerykanie: Cooke (Nowy Jork), Manning (Los Angeles) i Madeiros (Boston), jak również Niemcy: Hoeffner i Volk to tylko nieliczni z kardynałów, z którymi łączyły Lucianiego więzy przyjaźni. Poza Brazylią odwiedził też Portugalię, Niemcy, Francję, Jugosławię, Szwajcarię, Austrię oraz Burundi w Afryce, gdzie nawiązał partnerską współpracę diecezjalną między Kirembą a Vittorio Veneto.

Do kręgu przyjaciół Lucianiego należało także wielu niekatolików. Gośćmi w jego domu byli zarówno Phillip Potter, ciemnoskóry sekretarz Światowej rady Kościoła, jak i przedstawiciele Żydów, Kościoła Anglikańskiego i Ruchu Zielonoświątkowego. Z Hansem Kungiem wymieniał książki i listy. Gdyby Kuria Rzymska wiedziała o tym wszystkim, zapewne w całym Watykanie zaczęłyby rozbrzmiewać dzwonki alarmowe.

Był to więc człowiek, który nie zamierzał teraz czynić nic poza oddaniem swego głosu, przeżyciem wyboru i koronacji nowego papieża, wejściem do swej wielokrotnie naprawianej Lancii i udaniem się z powrotem do Wenecji. Oczywiście zastanawiał się także, co by było, gdyby jakimś szczególnym zrzędzeniem losu wybór padł na niego.

Kiedy Mario Senigaglia życzył mu szczęścia i doradził, by „na wszelki wypadek” wziął ze sobą teksty swoich niektórych wystąpień, Luciani wzruszył tylko ramionami: *Zawsze istnieje możliwość wycofania się. Zawsze jeszcze można powiedzieć nie*.

Później, po przybyciu do Rzymu, również Diego Lorenzi, od 1976 r. sekretarz Lucianiego, wyraził życzenie, by człowiek, którego — jak przedtem już Senigaglia — nauczył się szanować jak ojca, został następnym papieżem. Luciani znów wzruszył ramionami. Przypomniał Lorenziem zasady proceduralne, ustanowione przez zmarłego

papieża. Mówił o niepowtarzalnym momencie, kiedy jeden z kardynałów uzyska niezbędne minimum dwóch trzecich plus jeden głos, w tym wypadku 75 głosów. Zostanie on wówczas zapytany: *Czy przyjmujesz wybór?* Luciani uśmiechnął się do swego sekretarza. *Gdybym to ja był tym, którego by wybrali, powiedziałbym: Przykro mi. Nie mogę przyjąć tego wyboru.*

W niedzielę, 26 sierpnia 1978 r. po odprawieniu mszy i wspólnym śniadaniu, wstępnych rytuałach i kontroli bezpieczeństwa, kardynałowie zajęli miejsca przydzielone im w Kaplicy Sykstyńskiej. Reguły proceduralne wymagały, by nazwiska pisać na kartkach do głosowania zmienionym charakterem pisma. Kartki te po jednokrotnym złożeniu miały wielkość zaledwie znaczka pocztowego. Przed rozpoczęciem wyborów powołano członków komisji wyborczej, której zadaniem było sprawdzenie ważności oddanych głosów i ich przeliczanie. Następnie wybrano gremium składające się z trzech kardynałów, których zadaniem było sprawdzanie pracy komisji wyborczej. Wymóg *większości dwóch trzecich plus jeden głos* został wprowadzony przez papieża Pawła w celu zapobieżenia, by któryś z kandydatów został wybrany papieżem tylko dzięki własnemu głosowi.

Na zakończenie przy rosnącym napięciu i rosnącej temperaturze, rozpoczęła się pierwsza tura głosowania.³

Kiedy wszystkie karty do głosowania zostały dwukrotnie sprawdzone i policzone, a potem policzone po raz trzeci, by mieć pewność, że żaden z kardynałów nie oddał dwóch głosów, posortowano je według nazwisk i nanizano na sznurki; następnie jeszcze raz policzono i umieszczono w przeznaczonym specjalnie do tego celu pojemniku, w którym czekały na późniejsze spalenie. Pierwsze głosowanie przyniosło następujące wyniki:

Siri.....25 głosów
Luciani.....23 głosy
Pignedoli..... 18 głosów
Lorscheider..... 12 głosów
Baggio..... 9 głosów.

Pozostałe 24 głosy przypadły Włochom Bertolietemu i Feliciemu, Argentyńczykowi

³ Jedyny istniejący protokół urzędowy tego, co nastąpiło podczas konklawe, jest nieosiągalny i znajduje się w archiwum Watykanu. Opis dalszych wydarzeń opiera się na informacjach, jakie uzyskałem z wielu dobrze poinformowanych źródeł. W danych liczbowych występują odchylenia, będące wynikiem różnic w podanych mi informacjach. Wynika stąd z konieczności wniosek, że niektóre dane musiały być błędne. To samo zastrzeżenie dotyczy nazwisk kardynałów, którzy w pierwszej turze głosowania oddali swoje głosy na Lucianiego. Mimo istniejących sprzeczności i odchyłeń, uważam, że opis ten oddaje w zasadzie właściwy obraz przebiegu wyboru papieża.

Pironio, Polakowi Wojtyła, Pakistańczykowi Cordeiro i Austriakowi Koenigowi. Albino Luciani nie wierzył własnym uszom, kiedy przy liczeniu głosów jego nazwisko wymieniono 23 razy. Kiedy niektórzy siedzący w pobliżu kardynałowie odwrócili się do niego i uśmiechnęli, z niedowierzaniem i zakłopotaniem potrząsnął tylko głową. Jak to się stało, że otrzymał tyle głosów? Na pytanie to mogliby odpowiedzieć kardynałowie Benelli, Suenens i Marty. Osiągnęli swój cel, jakim było zbudowanie dla ich kandydata, Lucianiego, „rampy startowej”, z której mógłby kontynuować współzawodnictwo. Kardynałowie, oprócz trzech wymienionych, którzy zdecydowali się w pierwszym głosowaniu poprzeć kandydaturę Lucianiego, reprezentowali międzynarodowy wachlarz. Byli to: Renard i Gouyon z Francji, Willebrands i Alfrink z Holandii, Koenig z Austrii, Volk i Hoeffner z Niemiec, Malula z Zairu, Nsubuga z Ugandy, Thiandoum z Dakaru, Gantin z Beninu, Colombo z Mediolanu, Pellegrino z Turynu, Ursi z Neapolu, Poma z Bolonii, Cooke z Nowego Jorku, Lerscheider z Brazylii, Ekandem z Nigerii, Wojtyła z Krakowa i Sin z Manili.

Luciani, który nie wiedział, kto na niego głosował, liczył na to, że zainteresowani skorygują tę pomyłkę w drugim głosowaniu. Wziął nową kartkę do głosowania i ponownie napisał na niej nazwisko Lorscheidera.

Kardynałowie Kurii przyglądali się teraz Lucianiemu z rozbudzoną nagle zainteresowaniem. Ich najważniejszym celem była obrona roszczeń Pignedoliego do tronu papieskiego. Jak wykazała druga tura wyborów, cel ten osiągnęli:

Siri..... 35 głosów

Luciani.....30 głosów

Pignedoli..... 15 głosów

Lorscheider..... 12 głosów.

Pozostałych 19 głosów znowu oddano na różnych kandydatów.

Kartki do głosowania, razem z tymi z pierwszej tury, wetknięto do starego pieca. Pociągnięto za uchwyt z napisem *nero* i chmura czarnego dymu zamiast iść na zewnątrz wypełniła wnętrze Kaplicy Sykstyńskiej. Jakiś funkcjonariusz Watykanu uważał za słuszne zaoszczędzenie paru lirów na miotłę do czyszczenia komina, chociaż pogrzeb papieża Pawła i konklawe kosztowały Kościół wiele milionów dolarów. Z uwagi na zamknięte okna skutki tego zaniedbania łatwo mogły doprowadzić do szybkiego, przedwczesnego konklawe. Na szczęście papież Paweł zarządził, że na miejscu musiało znajdować się kilku członków watykańskiej straży pożarnej. Naruszając odważnie reguły proceduralne otworzyli oni kilka okien. Wreszcie część czarnego dymu znalazła drogę do komina Kaplicy Sykstyńskiej i radio watykańskie ogłosiło, że nie ma jeszcze nowego papieża. Wielu watykanologów

przepowiadało długie konklawe zakładając, że 111 kardynałów z całego świata będzie po prostu potrzebowało więcej czasu na osiągnięcie przybliżonej jedynomyślności. Patrząc na czarny dym ze znajomością rzeczy pokiwali głowami i ponownie poświęcili się zabiegom wydobywania od przedstawicieli watykańskiego wydziału prasy szczegółów dotyczących przynajmniej tak ważnej sprawy, jak to, jakie potrawy otrzymują kardynałowie.

Największe i najbardziej różnorodnie nacechowane odmiennymi prądami w historii Kościoła konklawe szybko przeniosło się z Kaplicy Sykstyńskiej do prowizorycznej kantyny.

Trzecia tura wyborów powinna przynieść ważne rozstrzygnięcie wstępne. Rywalizacja między Siri a Lucianim była sprawą całkowicie otwartą. Gdy wielce zakłopotany Luciani zasiadł do stołu, inni wzięli się za politykę.

Giovanni Benelli prowadził ciche rozmowy z kardynałami z Ameryki Łacińskiej. Zapewnił ich, że ich stanowisko zostało dostrzeżone i docenione, jednak łatwo przewidzieć, że to konklawe nie wybierze papieża z kraju Trzeciego Świata. Czy chcieli oni w Stolicy Apostolskiej takiego człowieka jak Siri z jego znanymi poglądami reakcyjnymi? Dlaczego nie miałby to być człowiek, który nie pochodzi wprawdzie z Trzeciego Świata, ale jego serce bije dla nich? Nie jest żadną tajemnicą, dodał Benelli, że głos Lucianiego padł na jednego z nich, Aloiso Lorscheidera.

Benelli jednak musiał bardzo uważać, żeby nie przedobrzyć. Kardynałowie z Ameryki Łacińskiej odrobili swoje zadanie domowe o wiele dokładniej niż wszystkie inne grupy regionalne. Świadomi zapewne, że szansa przeforsowania ich kandydata, Lorscheidera, nie była zbyt duża, już przed konklawe ustalili listę możliwych do zaakceptowania przez nich Włochów nie należących do Kurii. Jedną z osób, z którymi przedyskutowali tę listę, był ojciec Bartolomeo Sorges, żyjący w Rzymie jezuita. Podczas dwugodzinnej dyskusji Sorges wskazał na czynniki, które przemawiały za lub przeciw kandydatom znajdującym się na liście. W końcu pozostało nazwisko Albino Lucianiego. Ojciec Sorges powtórzył mi z pamięci kwintesencję swojego wykładu dla grupy kardynałów:

Jeżeli chcecie wybrać papieża, który pomoże wzmocnić Kościół na świecie, to powinniście głosować na Lucianiego. Uwzględnijcie jednak to, że nie jest on człowiekiem przyzwyczajonym do rządzenia, a więc będzie potrzebował dobrego sekretarza stanu.

W brzęczeniu cichych rozmów słychać także było głosy kardynałów Suenensa, Marty'ego i Gantina, którzy mniej kwieciste, lecz nie mniej skutecznie usiłowali przekonać tych, którzy się jeszcze wahali. Kardynał Koenig z Wiednia powiedział do swojego sąsiada, że kardynałowie spoza Włoch nie mają podstaw, by się sprzeciwiać ponownemu wyborowi Włocha na ich najwyższego zwierzchnika.

Również członkowie Kurii w przerwie obiadowej rozważali swoje szanse. Z dotychczasowego przebiegu konklawe mogli być zadowoleni. Powstrzymali Pignedoliego. Było jednak również oczywiste, że ich kandydat, Siri, w znacznym stopniu wyczerpał swój potencjał wyborczy. Chociaż Felici i jego klika także przed konklawe wywierali naciski i wpływy, to można było przewidzieć, że nie uda się przeciągnięcie do obozu Siriego wystarczającej liczby głosów z lewego skrzydła i z centrum. Z pewnością łatwo będzie wywierać wpływ na Lucianiego i sterować tym spokojnym, dyskretnym człowiekiem z Wenecji. Przekonania tego nie podzielali ci, którzy życzyli sobie powrotu do ery sprzed II Soboru Watykańskiego. Wskazywali na to, że Luciani bardziej niż którykolwiek inny kardynał włoski realizował w praktyce ducha tego zwołanego przez papieża Jana XXIII Soboru.

W Anglii w porze herbaty ustaje wszelka praca. We Włoszech to codzienne ustawianie pulsu narodu nazywa się sjestą. Niektórzy kardynałowie wykorzystywali poobiednią sjestę na przyciszone rozmowy w jadalni, inni udawali się na drzemkę. W celi nr 60 Albino Luciani ukląkł i modlił się.

Z tego ciasta nie da się zrobić gnocchi⁴, powiedział przed konklawe do przyjaciół, którzy życzyli mu wszystkiego najlepszego. Znaczna część jego kolegów — kardynałów wydawała się nie podzielać tej opinii.

W modlitwie Luciani nie poszukiwał odpowiedzi na pytanie, jaki wynik przyniosą w końcu wybory, ale na pytanie, co powinien uczynić, gdyby sam został wybrany. Luciani, który nigdy nie chciał być nikim innym, niżli tylko księdzem parafialnym, stał u progu najpotężniejszego stanowiska w Kościele rzymskokatolickim. Żarliwie i z całą powagą prosił na kolanach swego Boga, by wybór padł na innego.

Kiedy Albino Luciani o czwartej po południu wyszedł ze swej celi, powitał go i serdecznie objął kardynał Joseph Malula z Zairu, składając mu radosne gratulacje.

Luciani ze smutkiem pokręcił głową. *Szaleje we mnie potężna burza*, powiedział, udając się wraz z Malulą na trzecią turę głosowania.

Luciani.....68 głosów

Siri..... 15 głosów

Pignedoli..... 10 głosów

Pozostałych 18 głosów padło na różnych kandydatów.

Albino Lucianiemu brakowało teraz tylko 8 głosów. Zakrywając dłonią czoło mruczał: *Nie. Proszę nie.*

⁴ szeroki makaron

Kardynałowie Willebrands i Ribeiro siedzący na lewo i prawo od Lucianiego słyszeli tę gorącą modlitwę. Obaj wzięli go spontanicznie pod rękę. Willebrands perswadował mu po cichu: *Tylko odwagi. Kogo Pan obarcza tym ciężarem, daje mu też siłę do jego dźwignia.*

Ribeiro potakująco skinął głową i dodał: *Cały świat będzie się modlił za nowego papieża.*

Wielu uczestników miało uczucie, że tego gorącego popołudnia Duch Święty był obecny w Kaplicy Sykstyńskiej. Inni wyrażali cyniczny pogląd na temat tego, co inspirowało konklawe. Od Taofinu'u z Samoa pochodzi uwaga: *Władza w ludzkiej postaci, lub lepiej w postaci kardynała z Kurii.* Wypowiadał te słowa ze wzrokiem wbitym w Feliciego.

Felici, który przed południem głosował na Siriego, podszedł teraz do Lucianiego i przekazał mu kopertę z napisem: *Posłanie do nowego papieża.* Na kartce znajdującej się w kopercie napisane były słowa *Via Crucia*⁵.

Wśród uczestników konklawe zapanowało poruszenie. Wielu było przekonanych już teraz, że stanowią narzędzie boskiej inspiracji. Bez spełnienia nakazu zmarłego papieża, że przed każdą nową turą głosowania kardynałowie powinni na nowo składać uroczystą przysięgę, przystąpiono do czwartego głosowania.

Luciani.....99 głosów

Siri..... 11 głosów

Lorscheider..... 1 głos.

Głos, który padł na Lorscheidera, został oddany przez Lucianiego.

Kiedy ogłoszono wyniki ostatniej tury głosowania, zerwały się grzmiące oklaski. Była godzina 18.05. Mała grupa zaprzysiężonych zwolenników Siriego, wszyscy nieprzejednani reakcjoniści, do samego końca trzymali się swego kandydata.

Drzwi kaplicy otworzyły się i liczni mistrzowie ceremonii w towarzystwie kardynała Villota podeszli do Albino Lucianiego. Głos zabrał Villot.

Czy przyjmujesz kanoniczny wybór na pontifexa maximusa?

Wszyscy skierowali wzrok na Lucianiego. Kardynał Ciappi zrelacjonował mi ten moment: *Siedział trzy rzędy za mną. Również teraz, kiedy został wybrany, wahał się Kardynał Villot zadał mu pytanie, a on wciąż jeszcze sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Kardynałowie Willebrands i Ribeiro dali mu dostrzegalne znaki zachęty.*

Wreszcie Luciani odpowiedział: *Niech Bóg wam wybaczy to, coście mi uczynili.* Potem dodał: *Accepto.*

⁵ Via Crucia — termin techn., droga nowo obranego papieża z konklawe na tron papieski.

- Jakim imieniem pragniesz być nazywany? - zapytał Villot.

Luciani ponownie się zawahał. Potem, po raz pierwszy na jego twarzy zagościł uśmiech: *Jan Paweł Pierwszy*.

Wśród otaczających kardynałów rozległ się pomruk aprobaty. Imię to było czymś nowym - pierwszym podwójnym imieniem w historii papieżstwa. Zgodnie z tradycją każdy nowo wybrany papież ustalając swoje imię daje wskazówkę na temat swego przyszłego kursu. Tak więc „Pius” spotkałby się z aplauzem prawicy - gdyż dostrzegłaby ona w tym zapowiedź powrotu do ery sprzed Drugiego Soboru Watykańskiego. Nie było natomiast jednoznaczne, jaki sygnał chciał dać Luciani wyborem swojego imienia. Z imieniem Jan Paweł każdy w swoich oczekiwaniach mógł łączyć to, czego sobie życzył.

Dlaczego Luciani, człowiek bez wielkich ambicji przyjął ten urząd, który dla każdego innego oznaczałoby spełnienie życiowego celu?

Odpowiedź, jak wiele innych spraw u tego prostego człowieka, jest skomplikowana. Analiza wydarzeń wskazuje na to, że został zaskoczony szybkością i jednomyślnością swego wyboru. Wielu moich interlokutorów wskazywało na ten właśnie aspekt. Najlepiej ujął to jeden z członków Kurii, którego z Lucianim łączyła długa, dwudziestoletnia przyjaźń:

Był tym przygnębiony. Gdyby nie został przytłoczony tak dużą większością, gdyby wydarzenia rozwijały się stopniowo i konklawe przedłużyło się o jeszcze jeden dzień, wówczas miałby czas na skoncentrowanie się i powiedzenie „nie”. Gdyby podczas konklawe upewnił się, że nie jest odpowiednim człowiekiem do tego urzędu, z pewnością powiedziałby „nie”. Jest on jedną z najsilniejszych osobowości, jakie w ciągu 30 lat poznałem w Kurii.

Istotnym czynnikiem jest także osobista skromność Lucianiego. Paradoksalne może wydawać się łączenie przyjęcia tego najwyższego urzędu kościelnego ze skromnością, gotowością do wyrzeczeń i poświęceniem. Nie jest to jednak tak nielogiczne, jak może się wydawać. Przyjęcie najwyższej władzy i odpowiedzialności może być rzeczywiście poświęceniem —jeżeli najwyższa władza i odpowiedzialność są ostatnimi rzeczami na świecie, jakich by się pragnęło.

Na konklawe, kiedy nowego papieża prowadzono do zakrystii, panowała niezmacona cisza. Na zewnątrz zapanowała konsternacja. Gdy bracia Gammerelli, krawcy papiescy, w pośpiechu poszukiwali odpowiedniej białej sutanny, kardynałowie w radosnym nastroju palili swoje kartki do głosowania, dodając do ognia substancji chemicznej, powodującej biały dym, na który czekał świat zewnętrzny. Świat ten dostrzegł najpierw białe, a po kilku sekundach czarne kłęby dymu, wydobywające się z małego komina Kaplicy Sykstyńskiej. O godzinie 18.24 komin zaczął normalnie dymić. Teraz przez dłuższy czas wyrzucał kłęby białego dymu

w różnych, pośrednich, odcieniach. W środku bracia Gammarelli też nie mieli więcej szczęścia w poszukiwaniu pasującej sutanny. Wcześniej szyto przed konklawe trzy sutanny: małą, średnią i dużą. Tym razem mistrzowie na podstawie listy dwunastu *papabili* przygotowali cztery sutanny, wśród nich jedną szczególnie dużą. Drobny Luciani najwyraźniej nie znajdował się na tej liście. W końcu wyszedł on jednak z zakrystii, tonąc prawie w swojej nowej sutannie, zajął miejsce na tronie przed ołtarzem i przyjął hołd od 110 kardynałów, z których każdy całował jego rękę, na co nowy papież za każdym razem odpowiadał serdecznym uściskiem.

Kardynał Suenens, jeden z inicjatorów jego wyboru, powiedział: *Ojczy Świąty, dziękuję ci za twoje „tak”*.

Luciani odpowiedział z szerokim uśmiechem na twarzy: *Być może byłoby lepiej, gdybym powiedział „nie”*. Odpowiedzialni za oficjalny sygnał z komina kardynałowie ciągle jeszcze wrzucali do pieca kartki do głosowania i substancję, która miała wytwarzać biały dym. Radio Watykańskie, które wiedziało jeszcze mniej niż inni, zdobyło się na dość szczególne stwierdzenie: *Z całą pewnością możemy teraz powiedzieć, że dym nie jest ani czarny, ani biały*.

Dziennikarze z Radia wybierali prywatne i służbowe numery telefonów braci Gammarelli, ale nie zastali nikogo. Firma pozostawała w zakrystii i poszukiwała kogoś, kogo mogłaby obarczyć odpowiedzialnością za niepowodzenie z sutanną.

Wydarzenia przekształcały się w operę komiczną, jaką mogą zaincenszować tylko Włosi.

Tymczasem kardynałowie zaintonowali w Kaplicy Sykstyńskiej *Te Deum*.

Na zewnątrz, na skraju Placu Św. Piotra można było zaobserwować, jak jezuita Roberto Tucci, dyrektor Radia Watykańskiego, spieszył do spiżowej bramy Pałacu Laterańskiego. Kapitan gwardii szwajcarskiej, którego zadaniem było oddanie honorów nowemu papieżowi, wypytywał jednego ze swoich stojących na warcie ludzi i dowiedział się od niego, że przez dłuższą chwilę słychać było z kaplicy oklaski. W tym momencie ku swemu zaskoczeniu kapitan usłyszał *Te Deum*. Mogło to oznaczać tylko jedno — był już nowy papież. Problemem kapitana było tylko to, że gwardia honorowa nie stała jeszcze w pogotowiu do oddania honorów.

Zakładając, że te wszelkie odcienie szarości dymu sygnalizowały przesunięcie konklawe, tłum zgromadzony na Placu Św. Piotra już się znacznie przerzedził, kiedy z silnych głośników rozległ się głos: *Attenzione!* (uwaga).

Ludzie zaczęli z powrotem napływać na plac. Spojrzenia skierowały się na balkon

Bazyliki Św. Piotra, którego wielkie drzwi powoli się otwierały. Na balkonie pojawiło się kilka postaci. Była 19.19, od wyboru papieża upłynęło niewiele ponad godzinę. Przy balustradzie balkonu ukazał się kardynał Felici i tłum na placu ucichł.

W środku tłumy oczekiwał również sekretarz Lucianiego, Don Diego Lorenzi. Stał obok jakiejś rodziny ze Szwecji, która pytała go, czym się zajmuje zawodowo. Odpowiedział: *Przybyłem na kilka dni do Rzymu. Pracuję w Wenecji.* Teraz z oczekiwaniem zwrócił się w stronę balkonu.

Annuncio vobis gaudium magnum: Habemus Papam. (Głoszę wam wielką radość: mamy nowego papieża) — *Cardinalem Albinum Luciani.*

Kiedy zabrzmiało imię *Albinum*, młody Lorenzi odwrócił się do szwedzkiej rodziny. Łzy mu spływały po twarzy. Uśmiechnął się, a potem powiedział z dumą: *Jestem sekretarzem nowo wybranego papieża.*

Nazwisko Luciani prawie zagłuszyły owacje tłumy. Kiedy Felici dodał: *...który przyjął imię Jana Pawła Pierwszego*, reakcja była ogłuszająca. Wielu, być może większość, jeszcze nigdy o Lucianim nie słyszała, ale cóż to znaczyło — mieli nowego papieża. Owacja dotycząca bezpośrednio osoby nowego papieża wybuchła dopiero później, kiedy Albino Luciani pojawił się przy balustradzie balkonu. Tym, co utrwala się w pamięci, jest jego uśmiech, głęboko wnikający w ludzkie serca. Człowiek ten wyzwał w innych uczucie radości i szczęścia.

Niezależnie od tego, co przyniesie, będzie to radosny pontyfikat. Po przygnębiającym i paraliżującym pontyfikacie papieża Pawła był to kontrast, który nie mógł być bardziej jaskrawy. Kiedy nowy papież udzielił światu błogosławieństwa *Urbi et Orbi*, skutek był taki, jakby po niekończących się, ponurych dniach, przez chmury przebił się pierwszy, jasny promień słońca.

Luciani znikł na chwilę z pola widzenia tłumów, ale potem ukazał się raz jeszcze. Kapitan gwardii szwajcarskiej zebrał swoją kompanię dosłownie w ostatniej chwili. Albino Luciani machał dłonią i uśmiechał się. Śmiech ten ujął wszystkich zgromadzonych. Syn chłopca z górskiej wioski na północy Włoch, który jako młody chłopiec nie miał większego życzenia niż zostać jedynie proboszczem, stał teraz, wieczorem 26 sierpnia 1978 r. jako papież Jan Paweł I na balkonie Bazyliki Św. Piotra.

Zgodnie z wolą Lucianiego konklawe obradowało dalej. Podczas kolacji udał się ponownie na swoje miejsce między kardynałami. Jedną ze swych pierwszych myśli poświęcił „starym” kardynałom, wykluczonym z udziału w konklawe, którzy zostali już telefonicznie poinformowani o wyniku wyborów. Zaprosił ich do udziału następnego ranka we mszy

celebrowanej przez kardynałów, którzy uczestniczyli w konklawe.

Sekretariat stanu przygotował nowemu papieżowi tekst wystąpienia, które miało stanowić programowe spojrzenie na politykę Kościoła w najbliższej przyszłości. Luciani udał się z tym tekstem do swojej celi, by opracować to wystąpienie i konkretnymi zapowiedziami zastąpić niektóre mgliste, niejasne stwierdzenia na temat miłości, wojny i pokoju.

Przemawiał następnego ranka po mszy dziękczynnej. Oświadczył, że poświęca swój pontyfikat proklamacjom Soboru Watykańskiego II, zapewnił o uznaniu zasady kolegalności, dzielenia władzy z biskupami. Oświadczył, że chce znowu przywrócić siłę wewnętrzną i dyscyplinę Kościoła. W tym celu będzie się starał przede wszystkim o rewizję obu kodeksów Prawa Kanonicznego. Bez kompromisów w doktrynie katolickiej, ale także bez zwłoki powinny być kontynuowane dążenia do osiągnięcia jedności z innymi religiami chrześcijańskimi.

Główny trzon wystąpienia zdradzał, że ten człowiek, który kiedyś w Wenecji sam scharakteryzował się jako *ubogi, przyzwyczajony do małych rzeczy i spokoju*, miał rewolucyjne marzenia. To, co zapowiadał, nie było niczym innym, jak tylko zamiarem prowadzenia nowej misji w całym Kościele, i nie tylko w nim, lecz na całym świecie.

Świat oczekuje dziś czegoś takiego; wie on bardzo dobrze, że nieporównywalna perfekcja, którą osiągnął dzięki badaniom i technice, osiągnęła już punkt szczytowy, za którym rozwiera się przepaść porażająca wzrok ciemnościami. Jest to pokusa zastąpienia woli Boga własnymi decyzjami, decyzjami, które naruszałoby zasady moralne. Dzisiejszy człowiek naraża się na ryzyko uczynienia z ziemi pustyni, z osoby automatu, z braterskiej miłości systematycznej kolektywizacji i w wielu przypadkach niesienia śmierci tam, gdzie Bóg życzy sobie życia.

Trzymając w ręku tekst *Lumen gentium* (Światła Narodów), dogmatycznej konstytucji Soboru Watykańskiego II, Albino Luciani głosił swój zamiar doprowadzenia Kościoła tam, gdzie było jego miejsce: na powrót do rzeczywistego świata i do słów Jezusa Chrystusa; do skromności i uczciwości jego początków. Luciani życzył sobie, by przy swoim powrocie na ziemię Chrystus zastał Kościół, który mógłby rozpoznać, Kościół wolny od interesów politycznych i od nowej mentalności finansowo-kapitalistycznej, która jak trucizna przeniknęła od wewnątrz jego pierwotną misję.

W południe nowy papież ukazał się na środkowym balkonie Bazyliki Św. Piotra. Na placu kłębiło się około 200 000 ludzi. Jednocześnie miliony widzów na całym świecie obserwowały, jak wraz z hucznymi oklaskami uśmiech na jego twarzy stawał się coraz szerszy. Ukazał się właściwie po to, by odmówić modlitwę Anioł Pański. Zdecydował się

jednak uchylić zebranej publiczności rąbka tajemnicy na temat kulis tajnego konklawe. Kiedy ucichły oklaski i owacje, zaczął realizować to postanowienie, naruszając przy tym dwa przepisy papieskie: ostry nakaz zachowania tajemnicy wydany w odniesieniu do konklawe przez papieża Pawła oraz zwyczaj używania pluralis majestatis, którym papieże posługiwali się od prawie dwóch tysiącleci na znak ich prawa do suwerenności terytorialnej. Jan Paweł I uśmiechnął się do tłumu i zaczął mówić.

Wczoraj — po tym słowie nastąpiło prawie niedostrzegalne wzruszenie ramion, jakby chciał rzec: ...w drodze na konklawe przydarzyło mi się coś zabawnego. Tłum zaśmiał się wesoło, papież dostosował się do tej wesołości i zaczął od nowa. Wczoraj rano udałem się do Kaplicy Sykstyńskiej, by w spokoju oddać mój głos. Nigdy nie mógłbym nawet sobie wyobrazić tego, co się wydarzyło. Kiedy zaczęło być dla mnie niebezpiecznie, dwaj siedzący obok mnie koledzy szeptem dodawali mi otuchy.

Prostym, bezpretensjonalnym językiem powtórzył słowa Willebrandsa i Ribeiro. Potem wyjaśnił wiernym, dlaczego przybrał to szczególne imię.

Moje rozumowanie było następujące: wyraźnym życzeniem papieża Jana było udzielenie mi święceń biskupich tu, w Bazylice Św. Piotra. Potem, nie będąc tego godnym, poszedłem w jego ślady w Katedrze Św. Marka w Wenecji, która ciągle jeszcze oddycha duchem papieża Jana. Wspominają go gondolierzy, siostry, wszyscy. Z drugiej strony papież Paweł nie tylko mianował mnie kardynałem; to on już kilka miesięcy wcześniej spowodował, że zaczerwieniłem się po uszy, kiedy na wielkiej trybunie na Placu Św. Marka przed 20000 ludzi zdjął swój szal i owinał go wokół moich ramion. Nigdy jeszcze nie byłem tak czerwony na twarzy. Poza tym w ciągu 15 lat swojego pontyfikatu papież ten pokazał nie tylko mnie, lecz całemu światu, jak bardzo kochał Kościół, jak mu służył, jak pracował i cierpiał dla tego Kościoła Chrystusowego. Dlatego wybrałem imię Jan Paweł.

Pozwólcie się zapewnić: nie mam mądrości serca papieża Jana, ani wykształcenia oraz kultury papieża Pawła. Mimo to zająłem teraz ich miejsce. Będę próbował służyć Kościołowi i mam nadzieję, że pomożecie mi w tym waszymi modlitwami.

Tymi prostymi, powszednimi słowami, po których nastąpiła modlitwa Anioł Pański i błogosławieństwo papieskie, Jan Paweł I przedstawił się światu. Serdeczna, przyjazna reakcja tłumu zebranego na Placu Św. Piotra była wiernym odbiciem wrażenia, jakie ten papież wywarł na świecie.

Watykanolodzy zastanawiali się, jakie ukryte wskazówki na temat polityki nowego papieża mogły tkwić w wybranym przez niego imieniu. Chciał być Janem czy Pawłem? Jednym z tych, do których zwrócono się z tym pytaniem, był kardynał Suenens. *Na swój*

własny sposób będzie on i jednym, i drugim. Swoją osobowością przypomina raczej Jana, ale z tym jest tak, jak z łączeniem wodoru z tlenem — otrzymuje się wodę; dwa różne elementy dają trzecią substancję.

Wybrane imiona zdawały się wskazywać na kontynuację. Dla znawców Watykanu drobną wskazówką mogło być już to, że w odróżnieniu od dotychczasowej praktyki Luciani od samego początku nazwał się Janem Pawłem *Pierwszym*. Do tej pory numeracja pojawiała się dopiero przy drugim z kolei papieżu o tym samym imieniu. Ani oni, ani reszta Kościoła nie potraktowali tego jako zwykle nawiązanie do jego obu bezpośrednich poprzedników. Było to coś nowego i osobliwego.

Pierwszego dnia nie wyjaśnił bliżej swoim słuchaczom, jak wyobraża sobie realizację marzenia o ubogim Kościele w rzeczywistości. W ciągu niewielu godzin rozpoczął jednak nastawianie zwrotnic, które miały zasadnicze znaczenie dla wprowadzenia jego zamiarów.

W niedzielny wieczór 27 sierpnia spożywając posiłek z kardynałem Jeanem Villotem poprosił go o pełnienie funkcji watykańskiego sekretarza stanu przynajmniej jeszcze przez pewien czas. Villot wyraził na to zgodę. Nowy papież zatwierdził także na stanowiskach pozostałych kardynałów Kurii, sprawujących w niej kierownicze funkcje. Dziwne byłoby bowiem, gdyby po tym, jak bez żadnej ambicji zostania papieżem udawał się na konklawe, już w kilka dni później zaprezentował nową, kościelną „ekipę rządową”.

Czołowe pismo gospodarcze Włoch, „Il Mondo” opublikowało 31 sierpnia długi list otwarty do Albino Lucianiego, zatytułowany *Wasza Świątobliwość, czy jest to sprawiedliwe?* Zajmujący się polityką finansową dziennikarz tego pisma, Paolo Panerai, podniósł wiele poważnych, ubranych w formę pytań zarzutów pod adresem postępowania Watykanu w sprawach finansowych:

Czy słuszne jest, gdy Watykan zachowuje się na rynkach finansowych jak spekulant? Czy słuszne jest, kiedy Watykan nazywa swoim bank współuczestniczący w nielegalnym transferze kapitału z Włoch do innych krajów? Czy słusznym jest, kiedy ten bank pomaga obywatelom włoskim wymigiwać się od płacenia podatków?

Panerai zajął się następnie kontraktami Watykanu z Michele Sindoną. Pod pręgierzem postawił Luigi Menniniego (dyrektora administracyjnego) i Paula Marcinkusa z Banku Watykańskiego oraz ich kontakty z *najbardziej cynicznymi żonglerami finansowymi na świecie, od Sindony po bossów Continental Illinois Bank w Chicago, przez który, jak mogą to potwierdzić doradcy Waszej Świątobliwości, zarządza się wszystkimi inwestycjami Kościoła w Stanach Zjednoczonych*. Panerai zapytał:

Dlaczego Kościół dopuszcza inwestycje w przedsiębiorstwach narodowych i

wielonarodowych, których jedynym celem jest zysk, w przedsiębiorstwach, które w razie potrzeby są gotowe naruszać i deptać prawa milionów ubogich, szczególnie w Trzecim Świecie, który przecież tak bardzo leży na sercu Waszej Świątobliwości?

Na temat Marcinkusa w liście otwartym można było przeczytać:

Jest on... jedynym biskupem, zasiadającym w zarządzie banku świeckiego, banku, który utrzymuje zresztą swoją filię w jednym z najbardziej znanych rajów podatkowych świata kapitalistycznego. Chodzi o Cisalpine Overseas Bank w Nassau na Wyspach Bahama. Wykorzystywanie rajów podatkowych jest według prawa świeckiego dopuszczalne i żadnego bankiera świeckiego nie można byłoby postawić przed sądem tylko dlatego, że korzysta z tej możliwości (oni wszyscy to robią); czy jednak jest to dopuszczalne również według praw boskich, którymi Kościół powinien mierzyć całe swoje działanie? Kościół głosi równość, ale my pozwalamy sobie wątpić, czy do zapewnienia większej równości przyczyni się uszczuplenie wpływów podatkowych państwa, wpływów, z których przecież świeckie państwo bierze środki na wspieranie właśnie owej równości.

Panerai wezwał papieża do położenia kresu *spekulacjom w mętnej wodzie* oraz do zatroszczenia się o *porządek i moralność* w działalności finansowej Stolicy Apostolskiej. Dla podbudowania zarzutów do listu dołączono obszerną analizę polityki finansowej Kościoła, zatytułowaną *Bogactwo Piotrowe*.

Ze strony Watykanu nie było żadnej oficjalnej reakcji; wewnątrz murów Państwa Watykańskiego publikacja wywarła jednak swój skutek — od milczącego zadowolenia tych, którzy i tak już zajmowali krytyczne stanowisko wobec działalności Banku Watykańskiego i APSA (Zarządu Majątku Stolicy Apostolskiej) po zdenerwowanie tych, którzy uważali, że kościelne spekulacje finansowe są zupełnie w porządku, dopóki przynoszą zyski.

W artykule zatytułowanym *Bogactwo i potęga Watykanu* ten sam temat podjął dziennik „La Stampa”. Autor tej publikacji, Lamberto Furno, ukazał finanse watykańskie ogólnie w bardziej przychylnym świetle i jako nietrafne odrzucił niektóre zarzuty podnoszone przez lata w związku z rzekomo ogromnym majątkiem Watykanu. Wskazał jednak równocześnie na wiele naglących problemów, którymi nowy papież powinien się zająć; należy na przykład dostarczyć dowodu na to, że — jak uważa Furno — zapoczątkowane przez papieża Jana i kontynuowane przez Pawła reformy zbliżyły Kościół do proklamowanego celu, jakim jest *stanie się Kościołem ubogich*. W tym celu należałoby opublikować *bilanse budżetów watykańskich*.

Furno zakończył swój artykuł słowami:

Kościół nie dysponuje bogactwami lub źródłami wpływów, przewyższającymi jego

potrzeby. Niezbędne jest jednak przedłożenie na to dowodów. Tak jak Bernanos każe mówić swojemu księdzu wiejskiemu: „Na każdym worku pieniędzy nasz Pan napisał własną ręką: Wielkie niebezpieczeństwo!”

Nowy papież przeczytał oba artykuły z zainteresowaniem. Znalazł w nich potwierdzenie tego, że słuszne były przedsięwzięcia, które już w tym momencie podjął.

Albino Lucianiemu jeszcze przed wyborem na papieża były znane liczne skargi na działalność finansową Watykanu. Już wówczas miał uczucie, że coś niezwykle złego i zepsutego musi tkwić w całej strukturze i idei finansów Watykanu. Wtedy był bezsilny. Tego wieczoru, 27 sierpnia 1978 r., podczas kolacji polecił zatwierdzonemu właśnie na stanowisku sekretarza stanu kardynałowi Villotowi natychmiastowe wszczęcie dochodzenia. Należy przeświecić całą sytuację finansową Kościoła i pod każdym względem poddać ją dogłębnej analizie. *Żadna kongregacja, żaden sekretariat, żadna prefektura nie mogą być z tego wyłączone*, zarządził Luciani.

Dał Villotowi wyraźnie do zrozumienia, że jego zainteresowanie dotyczy głównie działalności Istituto per la Opere di Religione, lepiej znanego pod nazwą Banku Watykańskiego. Dochodzenie należy prowadzić dyskretnie, powinno ono szybko przebiegać i mieć szeroki zasięg. Gdy tylko otrzyma raport, podejmie decyzje w sprawie niezbędnych kroków.

Luciani był znany z tego, że nie rzuca słów na wiatr. W jednym ze swoich listów otwartych do Św. Bernarda rozważał zalety rozsądku:

Zgadzam się z poglądem, że w rozsądku powinno tkwić coś dynamicznego, nakłaniającego człowieka do działania. Należy jednak uwzględniać trzy stopnie: rozważyć, decydować i realizować.

Rozważyć, to znaczy znaleźć środki prowadzące do celu. Proces ten polega na rozważeniu, na zbieraniu informacji i rad, na starannym sprawdzaniu. Decydować, to znaczy wybrać jeden ze zbadanych wcześniej, różnych możliwych sposobów postępowania.

...Rozsądek nie oznacza nieustannego wahania się, pozostawiania wszystkiego w zawieszeniu, męczącego łamania sobie głowy i samego tylko niezdecydowania; rozsądek nie oznacza również oczekiwania, aż komuś spadnie z nieba lepsza decyzja. Mówi się, że polityka jest sztuką możliwości i jest w tym coś słusznego.

Realizacja jest najważniejszym z tych trzech stopni: rozsądek połączony z siłą zapobiega rezygnacji w obliczu trudności i przeszkód. Jest to moment, w którym człowiek okazuje się przywódcą lub przewodnikiem.

Albino Luciani był zdecydowanie przekonany o tym, że Kościół rzymskokatolicki

musi być Kościołem ubogich, zapoczątkował więc badanie sytuacji majątkowej Watykanu. Zamierzał wszystko rozważyć, podjąć decyzje, a potem działać.

Watykan-Sp. z o.o.

Obejmując urząd papieski w sierpniu 1978 r. Albino Luciani stał się władcą naprawdę osobliwej, a nawet jedynej w swoim rodzaju organizacji. Ponad 800 mln osób, prawie jedna piąta ludności świata, uznawało go za swojego duchowego przywódcę. W Państwie Watykańskim podlegały mu struktury kontrolujące nie tylko sprawy wiary, lecz również politykę finansową Kościoła.

Bardzo ważną częścią tych struktur jest dział, który można określić jako *Watykan — Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością*. Jej istnienie przejawia się nie tylko w wartościach materialnych, lecz także w określonych poglądach. Szefowi Banku Watykańskiego, Paulowi Marcinkusowi przypisuje się powiedzenie: *Kościół nie żyje z samych Ave Maria*. W ostatnich latach najwyraźniej zdewaluowała się wartość nie tylko licznych walut, ale także modlitwy.

Nie należy jednak czynić Marcinkusowi wyrzutów z powodu tej materialistycznie brzmiącej wypowiedzi. Kościół odgrywa wiele ról w wielu krajach. Potrzebuje pieniędzy. Ile, to inna sprawa. Co powinien czynić z tymi pieniędzmi, to jeszcze inna sprawa. Nie ma żadnych wątpliwości, że czyni wiele rzeczy godnych pochwały. Wiadomo również z całą pewnością, że czyni też wiele rzeczy w najwyższym stopniu wątpliwych. Duża liczba publikacji szczegółowo informuje o wielu finansowanych przez Kościół instytucjach dobroczynnych, o pomocy, którą świadczy głodującym na świecie, o jego zabiegach zmierzających do łagodzenia wszelkiego rodzaju cierpień. Opieka szkolna i lekarska, odżywianie, zapewnianie dachu nad głową — to tylko kilka godnych pochwały przykładów pracy Kościoła. Opinia publiczna nie dowiaduje się jedynie, ile pieniędzy Kościół zdobywa i jak to czyni. Pod tym względem Watykan jest bardzo dyskretny i zawsze taki był. Ta tajemniczość — co właściwie nie dziwi — rodzi jedno z najbardziej interesujących, ale pozostających bez odpowiedzi pytań naszych czasów: jak bogaty jest właściwie Kościół katolicki?

Reagując na artykuł w jednej z gazet szwajcarskich, zgodnie z którym *kapitał produktywny Watykanu można ocenić na 50-55 mld franków szwajcarskich*, „Osservatore Romano” oświadczył w 1970 r.: *Jest to po prostu urojona suma. W rzeczywistości kapitał produktywny Stolicy Apostolskiej, wliczając weń wszystkie lokaty kapitału i inwestycje zarówno we Włoszech, jak i poza ich granicami, nie wynosi nawet w przybliżeniu jednej setnej tej sumy*. Jeżeli byłoby to prawdą, to 22 lipca 1970 r. kapitał Watykanu nie wynosiłby nawet w przybliżeniu 111 mln dolarów.

Pierwsza zawarta w tym stwierdzeniu próba wprowadzenia w błąd polega na tym, że nie uwzględniono wartości kapitału Banku Watykańskiego. Jest z tym mniej więcej tak, jak

gdyby zażądano od Texaco lub ITT przedstawienia ich finansów i w odpowiedzi otrzymano informację o zawartości gotówki w kasach tych koncernów. Nawet jeżeli nie uwzględni się rocznych zysków Banku Watykańskiego, to podawana przez Watykan liczba jest absolutnie śmieszna. Nie przeszkadzało to jednak ludziom z Kurii w stałym podkreślaniu raz puszczanego w świat kłamstwa. W kwietniu 1975 r. Lamberto Furno z „La Stampy” zadał kardynałowi Vagnozziemu pytanie: *Jeżeli dla określenia majątku pięciu administratur⁶ zaproponowałbym sumę 300 mld lirów, czy byłoby to bliskie prawdy?*

Furno świadomie wykluczył w swoim pytaniu Bank Watykański. Wydobył od Vagnozziego zapewnienie: *Mogę panu powiedzieć, że kapitał Stolicy Apostolskiej we Włoszech i na całym świecie wynosi mniej niż jedną czwartą wymienionej przez pana sumy.*

Gdyby to stwierdzenie było prawdziwe, wartość kapitału Stolicy Apostolskiej, bez uwzględnienia Banku Watykańskiego, wynosiłaby 1 kwietnia 1975 r. najwyżej 113 mln dolarów. Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Rozliczeń Międzynarodowych w Bazylei przyznały przy tym APSA status banku centralnego. Bank w Bazylei publikuje corocznie bilans handlowy, z którego można się dowiedzieć, co banki centralne świata zdeponowały w innych bankach w krajach klubu „dziesiątki”, lub też ile od nich pożyczyły. Bilans z 1975 r. wykazuje, że Watykan utrzymywał w tym czasie w bankach zagranicznych wkłady w wysokości 120 mln dolarów — i nie miał przy tym żadnych długów. Żaden inny bank centralny na całym świecie nie mógł tego o sobie powiedzieć. Dane te, jak już powiedziano, obejmują tylko APSA, Zarząd Majątku Stolicy Apostolskiej, jeden z wielu zarządów finansowych Watykanu. Aby w miarę dokładnie określić kapitał chociaż jednej instytucji finansowej, należy dodatkowo, oprócz depozytów ujętych w bilansie Banku Rozrachunków Międzynarodowych, uwzględnić także wiele innych wartości majątkowych.

Podobnie jak Rzymu nie zbudowano w ciągu jednego dnia, tak i bogactwa Watykanu nie zgromadzono w jednym dniu. Problem bogatego Kościoła — a wszyscy, którzy nauki Chrystusa uznają dla siebie za obowiązujące, muszą dostrzegać problem w bogactwie kościelnym — sięga początków chrześcijaństwa jako uznanej religii. Kiedy cesarz rzymski, Konstantyn, przeszedł w IV wieku na chrześcijaństwo, przekazał ówczesnemu papieżowi Sylwestrowi I ogromny majątek i uczynił go pierwszym bogatym papieżem. Dante powołuje się na to w XIX pieśni swojego *Piekła*:

O, Konstantynie, jakieś się stal wrogi światu

⁶ Sekcja Zwyczajna APSA (Zarząd Majątku Stolicy Apostolskiej), 2. Sekcja Nadzwyczajna APSA, 3. Urząd Gubernatora Państwa Watykańskiego, 4. Kongregacja ds. Kleru, 5. Prefektura ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej.

*Nie przez chrzest, lecz przez darowiznę,
Którą się pasterz zbogacił ubogi!*⁷

Kościół katolicki słusznie rości sobie prawo do uznawania go za instytucję wyjątkową. Jest jedyną organizacją religijną na świecie, której „kwatery główna” ma status samodzielnego organizmu państwowego. Przy swej powierzchni, wynoszącej 43,99 ha, Watykan jest mniejszy od niejednego pola golfowego. Miła przechadzka wokół murów Państwa Watykańskiego nie trwa dłużej niż godzinę. Policzenie skarbów Watykanu trwałoby znacznie dłużej.

Dzisiejsze bogactwo Watykan zawdzięcza wspaniałomyślności Benito Mussoliniego. W Układach Laterańskich, które jego rząd zawarł z Watykanem w 1929 r., Kościół katolicki otrzymał wiele gwarancji i przywilejów. Stolica Apostolska została uznana za suwerenny organizm państwowy. Oznacza to, że ona sama i jej obywatele nie muszą płacić państwu włoskiemu ani podatków, ani cła od przywożonych towarów, że jej dyplomaci i akredytowani przy niej posłowie innych krajów korzystają z immunitetu dyplomatycznego i związanych z nim przywilejów. Mussolini zapewnił ponadto wprowadzenie nauki religii katolickiej do wszystkich szkół państwowych wyższego szczebla oraz dostosowanie prawa małżeńskiego i rodzinnego do prawa kanonicznego, co oznaczało, że praktycznie nie istniała już żadna legalna możliwość uzyskania rozwodu. Pod wieloma względami, w niemałym stopniu także finansowym, układy te przyniosły Watykanowi wiele korzyści:

Artykuł I: Włochy bezpośrednio po ratyfikowaniu układu zobowiązują się wypłacić Stolicy Apostolskiej sumę 750 mln lirów oraz wręczyć jej równocześnie ubezpieczone na 5 proc. państwowe dokumenty własnościowe o nominalnej wartości miliarda lirów. Według obowiązującego wówczas kursu wymiany suma ta odpowiadała 81 mln dolarów. Gdyby przeliczyć ją stosownie do dzisiejszej siły nabywczej, obecnie wynosiłaby około 500 mln dolarów. Był to dla Watykanu — Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością — pokaźny kapitał początkowy. Spółka zawsze dobrze wiedziała, jak nim obracać.

Aby odpowiednio zarządzać tym dobrodziejstwem finansowym, papież Pius XI powołał 7 czerwca 1929 r. „Sekcję do Zadań Nadzwyczajnych”, APSA (nazywaną w skrócie „Sekcją Nadzwyczajną”). Pierwszym jej kierownikiem ustanowił świeckiego katolika, Bernardino Nogarę. Dla Nogary było to wymarzone stanowisko, nie tylko dlatego, że dysponował wieloma milionami dolarów, którymi mógł obracać. Umiał także docenić i to, że

⁷ Dante Alighieri, *Boska Komedia*, Pieśń XIX, *Piekło*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1986 r. Przełożył z jęz. włoskiego Edward Porębowicz.

sto lat wcześniej Kościół rzymskokatolicki dokonał radykalnej zmiany swego stanowiska w sprawie pożyczania pieniędzy. Kościół słusznie mógłby powiedzieć o sobie, że nadał nową definicję słowu „lichwa”.

Tradycyjnie pod pojęciem „lichwy” rozumiano każdy zysk osiągany z pożyczania pieniędzy. Przez ponad 1800 lat Kościół dogmatycznie reprezentował pogląd, że pobieranie odsetek od pożyczonych pieniędzy jest sprzeczne z nakazem bożym i dlatego jest niedopuszczalne. Zakaz uprawiania lichwy odnawiano i potwierdzano na wielu soborach: w Arles (314 r.), w Nicei (325 r.), Kartaginie (342 r.), Aix (789 r.), Lateranie (1139 r.). Na tym ostatnim soborze wprowadzono wobec lichwiarzy sankcję ekskomuniki. Mimo że w czasach nowożytnych w systemach prawnych wielu zachodnich państw lichwiarstwo zalegalizowano, to zgodnie z prawem kościelnym pozostawało ono — do 1830 r. — zakazane. Od tamtej pory pobieranie odsetek odbywa się z błogosławieństwem Kościoła, a pod pojęciem lichwy rozumie się już tylko inkasowanie bardzo wygórowanych odsetek.

Do gruntownego odwrotu od głoszonych do tej pory nauk skłoniły Kościół własne interesy gospodarcze. (Być może Kościół katolicki zrezygnowałby także ze swojego sprzeciwu wobec sztucznych metod zapobiegania ciąży, gdyby pewnego dnia zniesiono przymus celibatu dla księży.)

Nogara pochodził z wierzącej i praktykującej rodziny katolickiej. Wielu jego krewnych świadczyło różne istotne usługi dla Kościoła. Trzech z jego braci zostało księżmi, czwarty był dyrektorem muzeów watykańskich. Jednak usługi Bernardina były najbardziej brzemiennie w skutki.

Urodzony w Bellano niedaleko Jeziora Como, już bardzo wcześnie zdobył sobie nazwisko jako mineralog, podczas prac prowadzonych w Turcji. W październiku 1912 r. odegrał czołową rolę w wynegocjowaniu układu pokojowego w Ouchy między Włochami i Turcją, zaś w 1919 r. był członkiem delegacji włoskiej, która wynegocjowała układ pokojowy między Włochami, Francją, Wielką Brytanią i Niemcami. Później, na zlecenie rządu włoskiego, pracował jako kierownik włoskiego Banca Commerciale w Istambule. Kiedy papież Pius XI rozglądał się za człowiekiem, który miał żyłkę do uprawiania lichwy, jego serdeczny przyjaciel i zausznik, monsignore Nogara, zaproponował swojego brata, Bernardina. Z gospodarczego punktu widzenia wybór tego człowieka był szczęśliwym pociągnięciem.

Nogara z początku się opierał przed przyjęciem proponowanego mu przez papieża stanowiska i zgodził się dopiero wtedy, gdy papież Pius zaakceptował pewne warunki. Nogara domagał się, by jego pracy nie zakłócały jakiegokolwiek jeszcze istniejące w Kościele

tradycyjne zastrzeżenia wobec zyskowego gospodarowania pieniędzmi. Do warunków, które postawił i przeforsował, należały:

1. Wolna ręka w dokonywaniu inwestycji według własnego wyboru, bez względu na jakiegokolwiek religijne lub doktrynalne punkty widzenia;

2. Wolna ręka w inwestowaniu kapitału kościelnego wszędzie na całym świecie.

Zaprobowanie przez papieża tych warunków było równoznaczne z przyznaniem Nogarze gęstości na inwestowanie pieniędzy Watykanu w spekulacje dewizowe, w interesy z metalami szlachetnymi i spekulacje giełdowe wszelkiego rodzaju, na przykład kupowanie akcji przedsiębiorstw, których produkty Kościół katolicki odrzucał z uwagi na zasady wiary. Podczas gdy z jednej strony księża grzmieli z ambon przeciw bombom, czołgom, karabinom i środkom antykoncepcyjnym, Nogara z drugiej strony kupował dla Watykanu akcje towarzystw, które produkowały właśnie te wyroby, pomagając tym samym zapełniać szkatułę papieża.

Nogara spekulował na rynku złota i na rynku transakcji terminowych. Kupił firmę, która w wielu miastach włoskich miała rzeczywisty monopol na zaopatrzenie w gaz. Do zarządu tego przedsiębiorstwa skierował Francesco Pacellego jako przedstawiciela Watykanu. Brata Pacellego, kardynała o tym samym nazwisku, wybrano niebawem na papieża (Pius XII), a nepotyzm, który kwitł w czasie jego pontyfikatu, objawił się wkrótce w wielu gałęziach gospodarki włoskiej. Przybliżona reguła brzmiała: *Jeżeli Pacelli jest w zarządzie, to stawiam 6 : 4, że firma należy do Watykanu.*

Wśród banków, które dzięki dokonywanym przez Nogarę zakupom akcji znalazły się pod wpływem lub kontrolą Watykanu, były: Banco di Roma, Banco di Santo Spirito oraz Cassa di Risparmio di Roma. Nogara nie tylko potrafił obracać pieniędzmi, lecz był także mistrzem przekonywania. Kiedy Banco di Roma znalazł się w tarapatach i groziła mu upadłość, co z kolei pociągnęłoby za sobą przepadek znacznej części kapitału kościelnego, nakłonił Mussoliniego do przejęcia w znacznym stopniu bezwartościowych papierów giełdowych banku i ulokowania ich w państwowym towarzystwie pod nazwą IRI. Mussolini zadeklarował jednocześnie gotowość wypłacenia Watykanowi sumy odpowiadającej pierwotnej cenie zakupu udziałów w Banco di Roma, a nie ich aktualnej wartości rynkowej, równej praktycznie zeru. IRI zapłaciło Banco di Roma ponad 630 mln dolarów. Stratę poniosła włoska kasa państwowa, co w ostatecznym rozrachunku oznaczało, że rachunek zapłaciło społeczeństwo, podobnie zresztą jak przez całe wieki, począwszy od dziesięciny w średniowieczu.

Wiele dokonywanych przez Nogarę spekulacji na rachunek i w imieniu Watykanu

było wątpliwych lub niedopuszczalnych zarówno z punktu widzenia prawa państwowego, jak i — przede wszystkim — zasad ustalonych przez Kościół katolicki. Ponieważ jednak zleceńodawca, papież, ani nie stawiał pytań, ani nie wnosił zastrzeżeń, Nogara mógł działać bez przeszkód.

Udziały, które Nogara szybko nabył, zapewniały Watykanowi często w danych przedsiębiorstwach znaczny, a czasami decydujący wpływ. W bardzo niewielu jednak wypadkach sam Nogara wchodził w skład zarządu lub rady nadzorczej takich firm; faworyzował obsadzanie tych stanowisk godnymi zaufania przedstawicielami watykańskiej elity.

Trzej bratankowie Piusa XII, książęta Carlo, Marcantonio i Giulio Pacelli, byli czołowymi przedstawicielami tej elity; w coraz większej liczbie firm pojawiali się na stanowiskach dyrektorskich. Byli oni „uomini di fiducia”, zaufanymi ludźmi Kościoła.

Przemysł włókienniczy, telekomunikacja, elektrownie, kolej, fabryki cementu, wodociągi — Bernardino Nogara był wszechobecny. Kiedy w 1933 r. Mussolini potrzebował broni dla swej kampanii w Etiopii, jednym z najważniejszych jej dostawców była fabryka amunicji kupiona przez Nogarę dla Watykanu.

Zanim wielu innych dostrzegło nieuchronność wybuchu drugiej wojny światowej, Nogara wymienił na utrzymujące stałą wartość złoto część aktywów, jakimi w owym czasie dysponował. Po cenie 35 dolarów za uncję zakupił złoto za 26,8 mln dolarów. Kiedy później sprzedał na rynku amerykańskim niespełna jedną piątą tego złota, uzyskał znacznie większą sumę niż 26,8 mln dolarów, które swego czasu zapłacił za całe zakupione złoto. Tą podręcznikową wręcz spekulacją Nogara zapewnił więc Watykanowi praktycznie bezpłatnie złoty skarb, którego część, jak wynika to z moich dociekań, jeszcze dziś jest w posiadaniu Stolicy Apostolskiej. Obecna wartość rynkowa zdeponowanego w Fort Knox złota, które licząc po cenie 35 dolarów za uncję kosztowało kiedyś Watykan 17,3 mln dolarów, może wynosić ok. 230 mln dolarów.

Również w 1933 r. Watykan-Sp. z o.o. udowodnił swoją umiejętność prowadzenia owocnych rokowań z rządami faszystowskimi. Tak jak w 1929 r. z Mussolinim, Stolica Apostolska wynegocjowała konkordat z reżimem Hitlera, kiedy doszedł do władzy w Niemczech. O ile w doprowadzeniu do zawarcia układu z Mussolinim kluczową rolę odegrał adwokat, Francesco Pacelli, to w rokowaniach, które doprowadziły do zawarcia konkordatu z Niemcami hitlerowskimi, siłą napędową był jego brat, kardynał Eugenio Pacelli, późniejszy Pius XII.

Po układzie z Watykanem Hitler obiecywał sobie wiele bieżących i potencjalnych

korzyści; istotną rolę w jego kalkulacjach odgrywały rachuby na to, że w przypadku wojny Pacelli, który i tak demonstrował wyraźną sympatię do faszystowskich Niemiec, może okazać się wartościowym sojusznikiem. Jak pokazał dalszy rozwój sytuacji, kalkulacje Hitlera pod tym względem były całkowicie słuszne.

Nie bacząc na silny nacisk światowej opinii publicznej papież Pius XII odrzucił żądania ekskomunikowania Hitlera lub Mussoliniego. Być może wzbranianie się przed tym wynikało z pewnej świadomości niewielkiego znaczenia własnej osoby. Był on papieżem, który wycofał się na pozycję niezobowiązującej neutralności. Wobec biskupów niemieckich mówił o „wojnie sprawiedliwej” i to samo powiedział biskupom francuskim, co spowodowało, że podczas wojny biskupi niemieccy stanęli po stronie armii niemieckiej, a francuscy — francuskiej. Był papieżem, który nie zdobył się na potępienie napaści niemieckiej na Polskę, ponieważ — jak mówił — *nie możemy zapomnieć, iż w Rzeszy (Niemieckiej) jest 40 mln katolików. Jak wyglądałaby ich sytuacja po takim akcie Stolicy Apostolskiej?*

Z punktu widzenia Watykanu jednym z największych osiągnięć konkordatu z Hitlerem była zobowiązująca obietnica utrzymania podatku kościelnego. Podatek ten jest pobierany jeszcze dziś i wraz z podatkami od wynagrodzeń odprowadzany jest do urzędów finansowych. Można uwolnić się od niego jedynie przez wystąpienie z Kościoła. Podatek kościelny wynosi 8-10 proc. podatku od dochodów.

W latach bezpośrednio poprzedzających drugą wojnę światową do Rzymu zaczęły nadchodzić z Niemiec znaczne wpływy z podatków kościelnych. Ten strumień pieniędzy utrzymywał się przez całą wojnę i w 1943 r. wyniósł na przykład, w przeliczeniu, 100 mln dolarów.

W Watykanie te pieniądze, tak samo jak dewizy napływające z innych krajów, w rękach Nogary przekształciły się w przynoszący znaczne zyski kapitał.

Dwudziestego siódmego czerwca 1942 r. papież Pius XII postanowił dostosować do współczesności kolejną sferę działalności Watykanu i powierzyć ją reżyserii Bernardino Nogary. Zarząd Dział Religijnych został przekształcony w Instytut Dział Religijnych. O tej niepozornej zmianie prasa światowa nie poinformowała oczywiście na stronach tytułowych, zwłaszcza że w owym czasie nagłówki opanowane były przez wydarzenia wojenne. Narodził się IOR, na całym świecie, poza samym Watykanem, znany również pod nazwą Banku Watykańskiego. Watykan-Sp. z o.o. splodził dziecko z nieprawego łoża. Pierwotne zadanie powołanego w 1887 r. do życia przez papieża Leona XIII Zarządu Dział Religijnych polegało na gromadzeniu środków pieniężnych z przeznaczeniem na finansowanie projektów wspieranych przez Kościół; zadanie to nie przypominało w niczym działalności banku. Teraz

jednak Pius XII zdefiniował funkcję IOR następująco: *Przechowywanie i administrowanie pieniędzmi (w formie papierów wartościowych i gotówki) oraz wartościami majątkowymi, przekazywanymi lub powierzanymi Instytutowi przez organy finansowe lub osoby prawne na wykonywanie zadań religijnych lub spełnianie obowiązków chrześcijańskich*. Była to praktyka wykazująca wszystkie cechy działalności banku.

W owym czasie Nogara poddał bardzo szczegółowej kontroli paragrafy układu laterańskiego, szczególnie artykuły 29., 30. i 31. Mówiły one o zwolnieniach od podatku i możliwości tworzenia *organizacji kościelnych*, których działalność miała być wolna od płacenia podatków i wszelkiej kontroli ze strony państwa włoskiego. Doszło do interesujących dyskusji na temat znaczenia pojęcia *organizacji kościelnych*. Mussolini, bez wątpienia bardziej przytłoczony innymi ówczesnymi wydarzeniami, zinterpretował je wielkodusznie. Włoskie ministerstwo finansów opublikowało 31 grudnia 1942 r. pismo okólne, informujące o zwolnieniu Stolicy Apostolskiej z podatków od dywidend. Podpisał je ówczesny dyrektor generalny w ministerstwie finansów, który nosił nawet stosowne nazwisko: Buoncristiano, tj. dobry chrześcijanin. W piśmie okólnym wymieniono różne organizacje kościelne, które miały korzystać ze zwolnienia od podatków. Była to długa lista, obejmująca m.in. Sekcję Nadzwyczajną i Istituto per le Opere di Religione.

Na wniosek Nogary kierownictwo Banku Watykańskiego powierzono ojcu Alberto di Jorio, który miał zostać potem kardynałem. Poza nową funkcją pierwszego sekretarza (a potem prezesa) Banku Watykańskiego, Jorio działał od tej chwili także jako asystent Nogary w Sekcji Nadzwyczajnej, dzięki czemu mógł współdecydować w różnych sprawach w obu wydziałach. Jeżeli chodzi o Nogarę, to poza zapewniającymi mu możliwość kontroli udziałami większościowymi, jakie zdobył w wielu bankach światowych, dla swoich operacji finansowych miał teraz do dyspozycji dwa banki wewnątrzwatykańskie.

Dążąc stale do celu, jakim było pomnażanie bogactwa Watykanu, Nogara zdobywał bastion za bastionem. Macki Watykanu-Sp. z o.o. oplotły całą kulę ziemską. Utkano gęstą sieć kontraktów z innymi bankami. Domy Rothschilda w Paryżu i Londynie robiły interesy z Watykanem już od początku XIX wieku. Kiedy Nogara zaczął kierować sprawami finansowymi Watykanu, zakres tych interesów gwałtownie wzrósł, podobnie jak liczba uczestniczących w nich partnerów, do których zaliczały się teraz takie banki, jak Credit Suisse, Hambros, Morgan Guaranty, Chase Manhattan, Continental Bank of Illinois i Bankers Trust Company of New York. Ten ostatni był szczególnie pożytecznym partnerem, gdy Nogara chciał kupić lub sprzedać papiery wartościowe na giełdzie nowojorskiej.

Nogara z pewnością należał do tego rodzaju ludzi, z którymi nie można bezkarnie grać

w Monopoli. Miarodajne udziały kupił on nie tylko w bankach, lecz także towarzystwach ubezpieczeniowych, w przemyśle maszynowym, stalowniach i cementowniach, zakładach młynarskich i fabrykach makaronów oraz w handlu nieruchomościami. Wreszcie Watykan wykupił co najmniej 15 proc. akcji wielkiego koncernu włoskiego Immobiliare stając się dzięki temu potentatem finansowym. Societa Generale Immobiliare jest najstarszą firmą budowlaną Włoch. Przez podległe sobie towarzystwo Sogene, Immobiliare — łącznie z Watykanem — dzięki jego 15-procentowym udziałom — stał się właścicielem lub współwłaścicielem następujących hoteli i ich sieci: hotel Hilton w Rzymie, Itale Americana Nuovo Alberghi, Alberghi Ambrosiani w Mediolanie, Compagnia Italiana Alberghi Cavalieri i Soc. Italiani Alberghi Moderni, by wymienić tylko najważniejsze perły w hotelowych posiadłościach Immobiliare na ziemi włoskiej. Lista innych, znajdujących się w posiadaniu tego koncernu nieruchomości i firm włoskich, byłaby dwukrotnie dłuższa.

Przy Avenue des Champs Elysees w Paryżu Immobiliare zbudowała olbrzymi kompleks biurowo-handlowy, podobnie jak na Rue de Ponthieu 61 i Rue de Berry 6. W Kanadzie do Immobiliare należały Stock Exchange Tower w Montrealu, jeden z najwyższych wieżowców na świecie, Port Royal Tower — dom mieszkalny z 224 apartamentami, olbrzymi teren posiadłości ziemskich w Greensdale koło Montrealu...

W Stanach Zjednoczonych do Immobiliare należało pięć wielkich kompleksów budynków w Waszyngtonie, D.C., a wśród nich hotel Watergate, a także teren posiadłości ziemskich o powierzchni 110 ha w Oyster Bay, Nowy Jork.

W Meksyku Immobiliare było właścicielem Lomas Verdes, miasta-satelity na obrzeżach Mexico City.

Lista majątkowa Immobiliare zawiera o wiele więcej pozycji.

Nogara kupił dla siebie, to znaczy dla Watykanu, także akcje General Motors, Shella, Gulf Oil, General Electric, Bethlehem Steel, IBM i TWA. Jeżeli ich kursy zaczynały się zmieniać — a najczęściej następował ich ruch w górę — zazwyczaj było to wynikiem operacji giełdowych takich ludzi jak Nogara.

Chociaż Nogara wycofał się w 1954 r. z aktywnej działalności zawodowej, aż do swojej śmierci w 1958 r. służył Watykanowi nieocenionymi radami. Prasa wspomniała o jego zgonie jedynie mimochodem, co nie powinno dziwić, skoro opinia publiczna dowiadywała się bardzo niewiele o jego pracy dla Kościoła katolickiego. O tym człowieku, którego działalność dowodziła, że niezależnie od tego, z jakiego świata jest Królestwo Chrystusa — królestwo Kościoła katolickiego jest z całą pewnością z tego świata, kardynał Spellman z Nowego Jorku wypowiedział osobliwe zdanie: *Najlepszym, co po Jezusie Chrystusie spotkało Kościół*

katolicki, był Bernardino Nogara.

Nogara przejął Watykan-Sp. z o.o. z początkowym kapitałem 80 mln dolarów, pomniejszonym o 30 mln, które Pius XI i jego następca Pius XII zarezerwowali na finansowanie projektów wewnątrzkościelnych (m.in. na budowę San Trastevere, rozbudowę biblioteki i muzeów watykańskich, budowę i utrzymanie seminariów oraz domów parafialnych na południu Włoch). W latach 1929-1933 otrzymywał ponadto część wpływów ze ściąganego corocznie na całym świecie „świętopietrza”. Rezultatem jego lichwiarskich operacji „świętopietrzem” od wiernych, lirami od Mussoliniego i reichsmarkami od Hitlera był przekazany jego następcom szeroki asortyment udziałów finansowych; ostrożnie licząc, wartość tych udziałów, podzielonych na poszczególne administratury, wynosiła:

- 500 mln dolarów pod egidą Sekcji Nadzwyczajnej,
- 650 mln dolarów pod egidą APSA 1,
- 940 mln dolarów (minimum) pod egidą Banku Watykańskiego.

Same tylko procenty od tego ogromnego majątku przynosiły papieżowi rokrocznie wpływy w wys. około 40 mln dol. netto. Nogara służył Kościołowi katolickiemu według kapitalistycznych wzorców z wręcz zapierającym dech sukcesem. Według wzorców głoszonej przez Ewangelię nauki Chrystusowej, to co czynił Nogara i za co odpowiadał, było niedopuszczalnym błędem. Przedstawiciel Chrystusa na ziemi otrzymał nowy, nieoficjalny tytuł: prezesa zarządu wielkiego koncernu.

W cztery lata po śmierci Nogary Watykanowi bardzo by się przydała jego fachowa rada; rząd włoski w 1958 r. nosił się z zamiarem ponownego wprowadzenia generalnego opodatkowania dochodów z kapitału, a więc na przykład dywidend. To, co nastąpiło, wywołało całą serię katastrof dla Watykanu, katastrof, które można opisać hasłami: mafia, gangsterstwo finansowe, zbrodnia.

Gdyby zestawić listę najczarniejszych lat w historii Watykanu, to rok 1968 uplasowałby się na czołowej pozycji. Był to nie tylko rok encykliki *Humanae vitae*, lecz także rok, w którym w obu bankach watykańskich dano wolną rękę „Gorylowi” i „Rekinowi”, jak ich powszechnie zwano. Gorylem był Paul Marcinkus, Rekinem — Michele Sindona.

Benjamin Franklin wypowiedział kiedyś godną zapamiętania maksymę: *Jedynymi pewnymi rzeczami na tym świecie są śmierć i podatki*. Do nielicznych, którzy nie chcą uznać uniwersalnego charakteru tej dewizy, należą ludzie zarządzający finansami Watykanu. Od dawna zabiegali o to, by uchylić się od płacenia podatków.

W grudniu 1962 r. parlament włoski uchwalił ustawę o opodatkowaniu dochodów z akcji. Stopę podatkową ustalono pierwotnie na 15 proc. Potem, jak wszystkie podatki,

wzrastała ona aż do podwójnej wysokości.

Watykan początkowo się nie bronił, przynajmniej publicznie, przed płaceniem podatków. Za kulisami na drodze dyplomatycznej zwracał jednak rządowi włoskiemu uwagę, że *w duchu naszego konkordatu i z uwagi na ustawę z 2 października 1942 r. pożądane byłoby zapewnienie uprzywilejowanego traktowania Stolicy Apostolskiej*. Zdanie to pochodzi z listu watykańskiego sekretarza stanu, kardynała Cicognaniego do posła włoskiego przy Stolicy Apostolskiej, Bartolomeo Mignone; jak to *uprzywilejowane traktowanie* powinno wyglądać, wyjaśniono w tym piśmie w szczególach: zwolnienie od nowych podatków licznych instytucji watykańskich, których lista była długa na łokieć. Na liście tej znalazły się oczywiście oba banki watykańskie, Sekcja Nadzwyczajna i IOR.

Watykan chciał działać na rynku kapitałowym i bogacić się, ale nie chciał płacić za ten przywilej. Urzędujący, wierny Kościołowi mniejszościowy rząd chrześcijańsko-demokratyczny przeżegnał się, ucałował papieski pierścień i spełnił życzenie Watykanu. Ominięto przy tym parlament i opinię publiczną kraju. Kiedy rząd mniejszościowy upadł i ustąpił miejsca rządowi koalicyjnemu złożonemu z chrześcijańskich demokratów i socjalistów, któremu przewodził Aldo Moro, stanowisko ministra finansów przypadło socjaliście Roberto Tremelloniemu. Nie był on skłonny udzielić swego błogosławieństwa ustępstwom zapewnionym Watykanowi przez poprzednika przy jednoznacznym naruszeniu obowiązującego prawa, bez aprobaty parlamentu i — co najważniejsze — w osiem dni po ustąpieniu rządu mniejszościowego.

Skonfrontowany z ministrem finansów, który groził ustąpieniem, z jednej strony i z Watykanem nieugięcie broniącym swojego stanu posiadania z drugiej, Aldo Moro poszukiwał rozwiązania kompromisowego. Zwolnienie od podatków uwarunkował przedłożeniem przez Watykan listy udziałów kapitałowych. Kryły się za tym całkiem rozsądne rozważania, że naród włoski powinien przynajmniej wiedzieć, ile pieniędzy straci kasa państwowa. Watykan bronił się przed przedstawieniem danych, czego domagał się Aldo Moro i głośno powoływał się na swoją suwerenność państwową. To, że Watykan czerpał znaczne zyski z osiągnięć gospodarczych narodu włoskiego (i innych narodów), w przekonaniu ludzi Kościoła było dopuszczalne, jednak naród ten nie ma prawa żądać informacji, na ile został wykorzystany.

Zmieniały się rządy. Sprawa ta była od czasu do czasu dyskutowana we włoskim parlamencie. Epizod z 1964 r. udowodnił, jak bardzo Watykan oddalił się już od wypowiedzi Chrystusa: *Królestwo moje nie jest z tego świata* i zamiast tego przyswoił sobie nauki Bernardino Nogary, z których jedna brzmiała: *Im bardziej powiększasz swój koncern, tym łatwiej możesz uchylić się od kontroli finansowej państwa*.

„Koncernem”, który Nogara miał na myśli, był *Watykan — Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością*, „państwem” — nieszczęsne włoskie władze finansowe, konfrontowane z rajem podatkowym w samym centrum Rzymu.

W czerwcu 1964 r., kiedy Aldo Moro był ponownie szefem rządu, „Kościół ubogich” podbudował swoje żądania groźbą spowodowania kryzysu całej gospodarki włoskiej. Podczas jednej z rund rokowań przedstawiciele Watykanu oświadczyli reprezentacjom rządu włoskiego, że jeżeli rząd ten nie ustąpi, wówczas na rynek zostaną rzucone wszystkie akcje włoskie, znajdujące się w posiadaniu Watykanu. Moment został zręcznie dobrany, ponieważ na włoskim rynku kapitałowym kursy właśnie stale spadały. Gdyby Watykan rzucił teraz na rynek ogromne pakiety akcji, doprowadziłoby to do załamania całej włoskiej gospodarki narodowej. Rząd przerażony tą perspektywą złożył broń. W październiku 1964 r. opracowano projekt ustawy, która post factum zalegalizowała sprzeczne z prawem porozumienie. Nigdy jednak nie przedłożono jej parlamentowi, a to głównie z tego powodu, że w owym czasie rządy włoskie zmieniały się tak szybko, iż następujący po sobie ministrowie finansów nie mieli czasu na przejrzenie wszystkiego, co nagromadziło się na ich biurku. Watykanowi nie przeszkadzało to oczywiście korzystać ze zwolnienia z podatków: od kwietnia 1963 r. wstrzymał ponownie opłaty podatkowe od swoich udziałów kapitałowych.

W 1967 r. prasa włoska, szczególnie lewicowa, przeszła do ataku. Chciała wiedzieć, dlaczego, a także ile i jakie udziały kapitałowe i w jakich przedsiębiorstwach włoskich posiadał Watykan. Szacunkowe oceny ogólnych udziałów Watykanu na włoskiej giełdzie papierów wartościowych wahały się od 160 mln do 2,4 mld dolarów.

Na interpelacje senatu włoskiego w marcu 1967 r. ówczesny minister finansów, Luigi Preti, udzielił informacji, które rzuciły trochę światła na rodzaj i zakres udziałów kapitałowych Watykanu we Włoszech. Zestawienie Pretiego wykazało, że największym udziałowcem wewnątrz Watykanu był IOR, przed Sekcją Nadzwyczajną. Jako uczestnicy wielkiej gry o kursy i dywidendy zostały zdemaskowane także inne administratury watykańskie o dźwięcznych nazwach, jak *Fabrica Sancti Petri*, Zarząd Majałtku Stolicy Apostolskiej, Towarzystwo Pontyfikalne Świętego Apostoła Piotra lub *Propaganda Fide*. Minister Preti oświadczył, że Watykan ma udziały kapitałowe wartości około 100 mld lirów, według ówczesnych kursów wymiany odpowiadało to sumie 104,4 mln dolarów. Był to z pewnością szacunek bardzo zaniżony. Wykaz Pretiego nie obejmował na przykład znajdujących się w posiadaniu Watykanu ogromnych zasobów obligacji pożyczek państwowych wszelkiego rodzaju, nie podlegających żadnemu opodatkowaniu. Jego dane obejmowały wyłącznie papiery wartościowe, podlegające podatkowi od dywidend.

Minister finansów nie uwzględnił ponadto tego, że zgodnie z włoskimi przepisami giełdowymi posiadacz akcji może „nie ruszać” należnych mu dywidend przez 5 lat i w tym czasie nie pojawiają się one w bilansie jego dochodów. Jeżeli uwzględnić to wszystko, wówczas zasoby papierów wartościowych Watykanu z pewnością można ocenić na przynajmniej dwa razy tyle, ile według swoich zawężonych kryteriów wyliczył minister finansów. Tak więc realna wartość włoskich udziałów kapitałowych Watykanu wynosiła w 1968 r. co najmniej 208,8 mln dolarów. Do tego należało jeszcze dodać wartość kościelnych posiadłości ziemskich, szczególnie w Rzymie i okolicy, a także całość majątku Watykanu poza granicami Włoch.

Ostatecznie państwo włoskie zdecydowało się na ostrzejszy kurs wobec Watykanu — rzymski Kościół katolicki powinien wreszcie, przynajmniej we Włoszech, oddać cesarzowi, co cesarskie. W styczniu 1968 r. kierowany przez Giovanniego Leone rząd — który utrzymał się także bardzo krótko — oświadczył, że pod koniec roku Watykan musi przedstawić rachunek. Chociaż — przy słyszalnych pomrukach niezadowolenia i odwoływaniu się do nakręcania gospodarki włoskiej swoimi inwestycjami — Watykan uległ, uczynił to jednak w typowy dla siebie sposób. Jak oskarżony uznany za winnego, zwrócił się o odroczenie egzekucji: jeżeli już — to przynajmniej w dogodnych ratach.

Cała sprawa miała dla Watykanu wiele nieprzyjemnych skutków. Niezależnie od sumy, na jaką by oceniano w końcu dochody watykańskie z kapitału, publicznie dyskutowane do tej pory liczby uświadomiły tymczasem wszystkim Włochom, że „Kościół ubogich” dysponuje ogromnym kapitałem, który przynosi mu rokrocznie milionowe dochody. Po wtóre, sześćoletnie spory o opodatkowanie tych dochodów wywarły także skutek uboczny, polegający na tym, że znaczną liczbę przedsiębiorstw zidentyfikowano jako należące w całości lub w części do Watykanu. Nawet gdyby zakres tych udziałów świadczył o umiejętnym zarządzaniu kapitałowym, to jednak dla wizerunku Kościoła katolickiego w najwyższym stopniu szkodliwe było to, że zwykły obywatel, który uważał np.: telekomunikację, wodociągi i dostawy energii elektrycznej za złe lub drogie, wiedział teraz, że skargi powinien kierować do Watykanu. Najważniejszą sprawą było jednak to, że w wypadku utrzymania we Włoszech znacznych udziałów kapitałowych Watykan musiał się nastawić na składanie w przyszłości obszernych deklaracji podatkowych. Papież Paweł VI stanął bez wątpienia przed sporym problemem. Ludźmi, którym powierzył jego rozwiązanie, byli „Goryl” i „Rekin”.

Jeżeli słuszne jest założenie Zygmunta Freuda, że osobowość człowieka formuje się w ciągu pierwszych pięciu lat życia, to Paul Marcinkus mógłby stanowić szczególnie

interesujący obiekt studiów psychologicznych. Nawet spośród tych, którzy nie podzielają poglądów Freuda, zapewne tylko nieliczni zaprzeczyliby, że otoczenie stanowi istotny czynnik wpływający na rozwój psychologiczny w decydujących latach życia.

Paul Marcinkus przyszedł na świat w mieście, w którym rządziła mafia, w którym śmiertelne walki band były czymś codziennym i wszyscy — od burmistrza po najmłodszego członka bandy młodzieżowej — byli skorumpowani. Było to miasto nawiedzane wszelkimi możliwymi przestępstwami, miasto, w którym w latach 1919-1960 w walkach między bandami zamordowano 976 osób: tylko dwa z tych morderstw zostały odpokutowane skazaniem sprawcy. Jesienią 1928 r. w mieście tym przewodniczący komisji do zwalczania przestępczości skierował swą prośbę do słynnego człowieka o zadbanie, by listopadowe wybory odbyły się w prawidłowy, demokratyczny sposób. Człowiekiem, do którego skierowano ten apel, był Al Capone. Miastem — Chicago. Capone chwalił się: *policja należy do mnie*. Prawdziwsze byłoby stwierdzenie: *miasto należy do mnie*. Capone spełnił prośbę o zatroszczenie się o prawidłowy przebieg wyborów. Policji drugiego co do wielkości miasta USA powiedział, co ma czynić i policja go posłuchała. Przewodniczący komisji do zwalczania przestępczości powiedział później: *Były to najczystsze i najbardziej owocne wybory od czterdziestu lat. Nie było ani jednej skargi, ani jednego oszustwa wyborczego i przez cały dzień nie było ani jednej groźnej sytuacji*.

Paul Marcinkus urodził się 15 stycznia 1922 r. w Cicero (Illinois), na przedmieściach Chicago. W rok później do Cicero swoją główną kwaterę przeniósł Al Capone, zmuszony do tego niezwykłym zjawiskiem, jakim było objęcie w Chicago urzędów przez uczciwego burmistrza i również uczciwego prezydenta policji. Sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców Cicero, w przeważającej części Polaków, Czechów i Litwinów z pierwszego i drugiego pokolenia emigracji, przyzwyczało się do obecności mafii. Al Capone założył swoją kwaterę główną w Hawthorne Inn, na 22. ulicy, pod numerem 4833. W orszaku Al Capone przybyli do Cicero tak znani panowie, jak Jake Guzik, zwany „Jake-Thusty Kciuk”, Tony Volpi - „Mops”, Frank Nitti - „Imadło” i Frankie Pope, zwany „Gazecierzem-milionerem”.

Tak wyglądało miasto, w którym dorastał Paul Marcinkus. Jego rodzice byli emigrantami z Litwy. Ojciec pracował jako czyściciel okien, matka była pracownicą piekarni. Oboje przez całe życie bardzo słabo mówili po angielsku. Tak jak wielu innych, którzy z pustymi rękami przybyli do kraju wolności w poszukiwaniu lepszego życia, oni także mieli typowe marzenia: osiągnąć uczciwą i ciężką pracę dostatecznie życie dla swych dzieci. W przypadku Paula, najmłodszego z piątki dzieci, marzenie to spełniło się w sposób przechodzący ich najśmielsze oczekiwania. Stał się on uosobieniem amerykańskiego mitu:

chłopak z przedmieścia zostaje bankierem Boga.

Pod opieką księdza parafialnego w Paulu Marcinkusie rozwinęła się skłonność do zawodu duchownego. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1947 r., w tym samym roku, w którym Al Capone zmarł na syfilis. Katolicki pogrzeb największego gangstera wszechczasów, „Wroga Publicznego Numer Jeden”, odbył się w Chicago. Ceremonię celebrował ksiądz prałat William Gorman, który przedstawicielom prasy oświadczył: *Kościół nigdy nie pochwała zła, także zła, które w swoim życiu czyni człowiek. Ta krótka ceremonia powinna pokazać, że jego (Capone) skrucha została uznana i że odchodzi on z tego świata opatrzony sakramentami Kościoła.*

Marcinkus wyjechał do Rzymu na studia w katolickim Uniwersytecie Gregoriańskim, gdzie Albino Luciani zrobił swój doktorat. Również Marcinkus studiował z powodzeniem i uzyskał tytuł doktora prawa kanonicznego. W czasie studiów ten potężny, liczący 1,93 m wzrostu i ważący 100 kg mężczyzna osiągnął też znaczne sukcesy na boisku sportowym. Kiedy podczas meczu piłki nożnej rzucał się na grupę grających, zazwyczaj zdobywał piłkę. Jego siła fizyczna wyraźnie pomogła mu we wspinaczce na szczyty hierarchii kościelnej. Opłaciły się także lekcje pobierane na ulicach Cicero.

Po powrocie do Chicago Marcinkus działał jako proboszcz i wkrótce potem został członkiem sądu diecezjalnego. Jednym z pierwszych, na których ten młody duchowny wywarł wrażenie, był ówczesny arcybiskup Chicago, kardynał Samuel Stritch. Z jego to rekomendacji trzydziestoletni Marcinkus został w 1952 r. skierowany do sekcji angielskiej watykańskiego sekretariatu stanu. Pełnił misje dyplomatyczne w Boliwii i Kanadzie, za każdym razem jako attache tamtejszego nuncjusza papieskiego. Potem, w 1959 r., powrócił do Rzymu, do sekretariatu stanu. Jego płynna znajomość hiszpańskiego i włoskiego spowodowała, że często uczestniczył w rozmowach jako tłumacz.

W 1963 r., podczas jednej ze swych licznych podróży do Rzymu, kardynał Spellman z Nowego Jorku zwrócił uwagę nowego papieża Pawła na to, że Marcinkus jest bardzo obiecującym człowiekiem. Ponieważ w owym czasie Spellman był zwierzchnikiem najbogatszej diecezji na świecie — w uznaniu jego zasług finansowych powszechnie nazywano go „kardynałem-sakiewką” — papież poważnie potraktował tę wskazówkę i zachował Paula Marcinkusa w pamięci.

Kiedy w 1964 r., podczas wizyty w centrum Rzymu papież utknął w tłumie i groziło mu niebezpieczeństwo, że zostanie stratowany przez rozentuzjzmowane masy, nagle pojawił się Marcinkus; siłą swoich barków, łokci i rąk uitorował przestraszonemu papieżowi drogę w tłumie. Następnego dnia papież poprosił go do siebie, by mu osobiście podziękować. Od tego

czasu Paul Marcinkus był kimś w rodzaju nieoficjalnego przybocznego strażnika papieża i w ten sposób otrzymał swój przydomek: „Goryl”.

W grudniu 1964 r. towarzyszył papieżowi w podróży do Indii, rok później do ONZ w Nowym Jorku. Podczas takich podróży Marcinkus pełnił funkcję doradcy ds. bezpieczeństwa. Osobisty strażnik przyboczny, osobisty doradca ds. bezpieczeństwa, osobisty tłumacz papieża — chłopak z Cicero zaszedł już daleko. Zaprzyjaźnił się blisko z osobistym sekretarzem papieża, ojcem Pasquale Macchim. Macchi był jedną z najważniejszych osób w ścisłym kręgu doradców papieża Pawła, kręgu, który w Kurii Rzymskiej zyskał sobie przydomek „mafii mediolańskiej”. Kiedy arcybiskup Mediolanu, Montini, został papieżem Pawłem VI w 1963 roku, przywiózł ze sobą pełen pociąg doradców, specjalistów do spraw finansowych i księży; wśród nich był także Macchi. Być może wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, ale wiele z nich przez Mediolan. Stopień, w jakim papież Paweł VI polegał na radach takich ludzi jak Macchi, nie stał w żadnej proporcji do ich oficjalnych stanowisk. To Macchi beształ papieża, gdy ten uważał, że popadł w chorobę lub depresję. To on mówił mu, kiedy pora pójść spać, kogo należy awansować, a kogo ukarać przez niemiłe przeniesienie na inne stanowisko. Wieczorem, kiedy umieścił już Jego Świątobliwość w łóżku, Macchi zjawiał się regularnie w wysmienitej restauracji w pobliżu Piazza Gregorio Settimo. Przy stole towarzyszył mu najczęściej Paul Marcinkus.

Kolejne podróże zagraniczne „papieża-pielgrzyma” — w maju 1967 r. do Portugalii i w lipcu tego samego roku do Turcji — umocniły przyjaźń między Pawłem VI i Marcinkusem.

Jesienią 1967 r. papież powołał nową instytucję, która otrzymała nazwę Prefektury ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej. Z uwagi na powszechną zrozumiałość powinno się wybrać raczej określenie kancelarii skarbu lub izby kontroli finansowej. Papieżowi chodziło o utworzenie placówki, która mogłaby corocznie dawać dokładny przegląd stanu majątkowego Watykanu przedstawiać dane o rozwoju sytuacji finansowej poszczególnych administratur watykańskich; w ten sposób czarno na białym i z konkretnymi danymi liczbowymi w każdym roku sprawozdawczym miano sporządzać ogólny bilans sytuacji gospodarczej Watykanu.

Działalność Prefektury ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej od początku napotykała na poważne utrudnienia. Po pierwsze na wyraźne polecenie papieża Pawła VI jej uprawnienia do nadzoru nie miały obejmować Banku Watykańskiego. Po wtóre była to paranoja Watykanu.

Kiedy prefektura się ukonstytuowała, początkowo w postaci składającego się z trzech kardynałów kolegium założycielskiego, jej kierownikiem został kardynał Egidio Vagnozzi. Teoretycznie najwyżej po roku urzędowania powinien był przedłożyć papieżowi dokładny

przeгляд stanu finansów Watykanu. Praktycznie jednak Vagnozzi także spotkał się z dążnością do zachowania tajemnicy demonstrowaną przez różne administratury watykańskie wobec szukających informacji dziennikarzy. Kongregacja ds. Kleru pragnęła zachować swe rachunki w tajemnicy, APSA podobnie. Tak samo zachowywały się inne instytucje. W 1969 r. kardynał Vagnozzi powiedział do swoich kolegów: *Trzeba by połączonych sił KGB, CIA i Interpolu dla uzyskania chociaż pobieżnej informacji o tym, ile jest tam pieniędzy i gdzie są ulokowane*. Aby uwolnić od obowiązków mocno podstarzałego współpracownika Bernardino Nogary, 84-letniego kardynała Alberto di Jorio, który ciągle jeszcze pełnił funkcję kierownika Banku Watykańskiego, papież Paweł VI mianował biskupem swojego zauszniaka Paula Marcinkusa. Dzień po tym, gdy leżąc u stóp papieża przyjął święcenia biskupie, objął funkcję sekretarza Banku Watykańskiego. Praktycznie jednak od początku formalnie był jego szefem. Stosunkowo łatwym zadaniem było tłumaczenie rozmowy między prezydentem Johnsonem i papieżem; teraz stanął przed zadaniem, o którym, jak sam przyznał otwarcie, nie miał żadnego pojęcia: *Nie mam żadnego doświadczenia w sprawach bankowych*. Paul Marcinkus daleko zaszedł: od nieznanego księdza w Cicero do pozycji zapewniającej taką władzę rzeczywistą, jakiej nie miał przed nim żaden Amerykanin.

Jedną z osób, które wspierały awans Paula Marcinkusa, był Giovanni Benelli. Ocenił on wobec papieża tego grającego w golfa, palącego cygara, towarzyskiego człowieka z Cicero, jako cenny nabytek dla Banku Watykańskiego. Dwa lata później Benelli zrozumiał, że była to ocena błędna, i że Marcinkusa należało jak najszybciej zwolnić z zajmowanego stanowiska. W tym krótkim okresie Marcinkus tak rozbudował swoją władzę, że była ona większa od tej, którą dysponował Benelli. Kiedy w 1977 r. doszło do decydującej próby sił, Benelli przegrał i odszedł z Watykanu.

Niezwykły awans umożliwiony Marcinkusowi był elementem starannie zaplanowanej strategii, której celem było przeorientowanie polityki Watykanu. Oznakami procesu, któremu — co jest zrozumiałe — nie chciano przyglądać się w Watykanie bezczynnie, była konieczność płacenia włoskiemu fiskusowi milionowych sum w postaci podatków od kapitału oraz pozycja posiadacza licznych przedsiębiorstw włoskich, wytwarzających w dodatku tak kompromitujące drobiazgi, jak pigułki antykoncepcyjne, które papież Paweł VI właśnie potępił. Papież i jego doradcy podjęli decyzję ograniczenia udziałów we włoskim rynku kapitałowym i ulokowania gdzie indziej większości majątku watykańskiego, przede wszystkim w USA. Ponadto pragnęli się dostać do lukratywnego świata europejskich interesów dolarowych i do rajy podatkowego.

Marcinkus został wybrany ze względu na istotną funkcję w tej strategii. Innym

istotnym elementem został człowiek z papieskiej „mafii mediolańskiej”. W rzeczywistości człowiek ten nie pochodził z Mediolanu, lecz założył tam jedynie swoją finansową kwaterę główną: „Rekin”, jak go nazywano, urodził się w Patti koło Messyna na Sycylii. Nazywał się Michele Sindona.

Podobnie jak Albino Luciani, również Michele Sindona w dzieciństwie zaznał biedy i tak jak Luciani został nacechowany tymi doświadczeniami i środowiskiem. Ale gdy u Lucianiego przekształciły się one w zdecydowaną wolę ulżenia biedakom, Sindona postanowił za wszelką cenę ulżyć bogaczom.

Urodzony 28 maja 1920 r. i wychowany przez jezuitów Sindona już jako dziecko ujawnił umiejętność myślenia kategoriami matematycznymi i ekonomicznymi. Swoje studia prawnicze w uniwersytecie w Messynie ukończył z wyróżnieniem. W 1942 r. uniknął powołania do armii Mussoliniego dzięki pomocy dalekiego krewnego swojej narzeczonej, który pracował w watykańskim sekretariacie stanu; był nim niejaki monsignore Amleto Tondini.

Przez ostatnie trzy lata wojny światowej Sindona trzymał swój dyplom prawnika w szufladzie, poświęcając się lukratywnemu sposobowi zdobywania chleba. Robił to, z czego stał się potem sławny na całym świecie; kupował i sprzedawał. Na czarnym rynku w Palermo kupował żywność, z pomocą mafii przemycił ją do Messyny i tam z zyskiem sprzedawał głodującej ludności.

Po wyładowaniu aliantów na Sycylii w czerwcu 1943 r. Sindona uzyskał nowe źródła zaopatrzenia w postaci oddziałów amerykańskich. Wraz z interesami rozwijały się także jego powiązania z mafią. W 1946 r. przeprowadził się do Mediolanu; z Sycylii zabrał ze sobą nie tylko swoją młodą żonę, Rinę, lecz także wiele wartościowych lekcji z zakresu prawa podaży i popytu oraz sporo jeszcze bardziej wartościowych listów polecających od arcybiskupa Messyny, z którym przyjaźń Sindona starannie pielęgnował.

Osiedlił się w podmiejskiej mediolańskiej miejscowości Affori i podjął pracę w firmie zajmującej się doradztwem dla przedsiębiorstw oraz księgowością. Kiedy amerykański kapitał zaczął napływać do Włoch, Sindona wyspecjalizował się w prowadzeniu inwestorów amerykańskich poplątanymi ścieżkami kompleksowego włoskiego prawa podatkowego. Jego współpracownicy z mafii byli pod wrażeniem jego postępów. Był utalentowany, ambitny i — co w oczach mafii najbardziej się liczyło — bezwzględny, przekupny i był jednym z nich. Znane mu były tradycyjne prawa mafii, jak np. *omerta*, nakaz milczenia. Był Sycylijczykiem.

Młodym Sindoną i zręcznością, z jaką prowadził dolarowe inwestycje przez rąfki uciążliwego i zawilego ustawodawstwa podatkowego, szczególnie zachwycona była mafijna

rodzina Gambino. Rodzina ta prowadziła interesy na całym świecie, ale jej głównymi bastionami gospodarczymi były Nowy Jork i Palermo. W Nowym Jorku Gambino rządili sami, natomiast w Palermo — ich sycylijscy kuzyni, Inzerillo. Drugiego listopada 1957 r. w Grand Hotel des Palmes w Palermo odbyło się wielkie „spotkanie rodzinne”. Wśród zaproszonych gości był także Michele Sindona.

Gambino przedstawili Sindonie ofertę, którą przyjął z entuzjazmem. Chcieli powierzyć mu zadanie ponownego lokowania ogromnych zysków, jakie rodzina zaczęła uzyskiwać w tym czasie z handlu heroiną. Potrzebowali kogoś do prania pieniędzy. Idealnym człowiekiem do tego zadania wydawał się właśnie Sindona, który udowodnił w sposób wystarczający, że potrafi wprowadzić do Włoch i wymanewrować z tego kraju poważne kapitały, nie wzbudzając niepokoju w urzędnikach izb skarbowych. Za jego kandydaturą przemawiało dodatkowo to, że w czasie mafijnego spotkania był już dyrektorem wielu firm. Wdzięcznym klientom mówił często: *Moje honorarium przyjmę chętnie w formie akcji pańskiej firmy*. Był bliski perfekcji w technice podkupywania upadających przedsiębiorstw. Dzielił je na mniejsze części, z których jedno sprzedawał, inne ponownie łączył w nowe kombinacje, odrzucał wszelki nieproduktywny balast, i w końcu dzięki tym zabiegom sprzedawał z dużym zyskiem. Działalność tego człowieka była godna podziwu, zwłaszcza wtedy, gdy nie należało się do tych, którzy płacili za te operacje.

W siedemnaście miesięcy po spotkaniu na szczycie w Palermo, korzystając z pieniędzy mafii, Sindona kupił swój pierwszy bank. Dawno już odkrył jedną z podstawowych reguł gangsterstwa gospodarczego: najlepszym sposobem obrabowania banku jest jego wykupienie.

Sindona utworzył holding pod nazwą Fasco AG z siedzibą w Lichtensteinie. Wkrótce potem Fasco zakupiło mediolański Banca Privata Finanziara, zwany krótko BPF.

Był to mały, prywatny i bardzo ekskluzywny bank, założony w 1930 r. przez jednego z ideologów ruchu faszystowskiego. Nielicznym wybranym służył jako wehikuł do nielegalnego transferu kapitału z Włoch. Ta dumna tradycja bez wątpienia stanowiła powód, dla którego Sindona zainteresował się właśnie tym bankiem. Abstrahując od faktu, że nie miał wcale ochoty walczyć za Mussoliniego, Sindona był jednak faszystą najczystszej wody. BPF był więc idealnym obiektem dla jego zabiegów.

W tym samym roku, w którym zakupił BPF, Sindona poczynił dalsze odważne inwestycje. Arcybiskup Mediolanu zabiegał w tym czasie o zdobycie pieniędzy na budowę domu starców. Wówczas pojawił się Sindona i postawił do dyspozycji całą sumę: 2,4 mln dolarów. Kiedy kardynał Giovanni Battista Montini poświęcał Casa delia Madonnina,

Sindona stał przy jego boku. Obaj zostali dobrymi przyjaciółmi i od tego czasu ze wszystkimi problemami związanymi z inwestycjami (kościelnymi lub nie) Montini coraz częściej zwracał się do Sindony.

Kardynał Montini prawdopodobnie nie wiedział, że sumę 2,4 mln dolarów Sindona otrzymał w większości z dwóch źródeł: od mafii i od CIA. Były agent CIA, Victor Marchetti ujawnił później, że *w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych CIA udzieliła wsparcia finansowego wielu projektom i działaniom Kościoła katolickiego, od budowy sierocińców po działalność misyjną. Co roku miliony dolarów rozdzielano między wielu biskupów i dostojników kościelnych. Jednym z nich był kardynał Giovanni Battista Montini. To możliwe, że Montini nie wiedział, skąd pochodziły te pieniądze. Być może był przekonany, że pochodzą one od przyjaciół Kościoła.*

Przyjaciołom tym tak bardzo zależało na niedopuszczeniu za wszelką cenę do zwycięstwa komunistów włoskich w wyborach, że nie tylko przepompowali wiele milionów dolarów do tego kraju, lecz byli także gotowi traktować życzliwie takich ludzi jak Sindona. Mógł on być nawet gangsterem, ale pod względem politycznym stał przynajmniej po właściwej stronie.

Rekin zaczął się usamodzielniać. Mediolańczycy, którzy mają skłonność do patrzenia z góry na rzymian, nie mówiąc już o Sycylijczykach, początkowo po prostu zignorowali cichego, uprzejmego człowieka z Południa. Po pewnym czasie koła finansowe miasta, które było i jest stolicą finansową Włoch, przyznały, że Sindona był doskonałym doradcą w sprawach podatkowych. Kiedy zaczął kupować firmy i robić na tym dobre interesy, potraktowano to jako szczęście nowicjusza. Gdy został jednak właścicielem banku i zaufanym doradcą człowieka, w którym wielu widziało następnego papieża, było już za późno, by go powstrzymać. Przez swoje towarzystwo holdingowe Fasco kupił Banca di Messina. To posunięcie spodobało się szczególnie mafijnym rodzinom Gambino i Inzerillo, gdyż dzięki niemu uzyskały swobodny dostęp do banku mającego siedzibę na Sycylii, w ojczystych stronach Sindony.

Sindona nawiązał tymczasem ściśle kontakty osobiste i handlowe z Massimo Spadą; ten mąż zaufania Watykanu był kierownikiem IOR i jako przedstawiciel Stolicy Apostolskiej zasiadał w radach nadzorczych 24 przedsiębiorstw. Sindona w osobie Luigi Menniniego pozyskał jako przyjaciela kolejnego czołowego przedstawiciela Banku Watykańskiego, a ponadto zdobył sobie przyjaźń ojca Macchi, sekretarza Montiniego. Banca Privata rozkwitała. W marcu 1965 r. Sindona sprzedał 22-procentowe udziały londyńskiemu Hambros Bank. W banku tym, od dawna utrzymującym ściśle kontakty z Watykanem — sposób, w jaki Sindona

manipulował pieniędzmi napływającymi do BPF, uznano za „znakomity”. Opinię tę podzielały rodziny Gambino i Inzerillo, podobnie jak Continental Bank of Illinois, który również zakupił 22-procentowy udział w BPF. Continental stał się najpoważniejszą stacją pośrednią dla wszystkich inwestycji Watykanu w USA. Sieć powiązań, w którą Sindona włączył siebie i kompetentnych w sprawach finansowych ludzi z Watykanu, była teraz utkana podwójnie i potrójnie. Zaprzyjaźnił się z monsignore Sergio Guerrim, który kierował Sekcją Nadzwyczajną, monolitycznym tworem genialnego Nogary.

W 1964 r. Sindona kupił kolejny bank, tym razem w Szwajcarii: Banque de Financement w Lozannie, krótko zwany Finabankiem. Podobnie jak mediolański BPF, bank ten, w którym większość udziałów miał Watykan, tylko w nieznaczej mierze odgrywał inne role, poza „stacją przeladunkową” dla nielegalnej ucieczki kapitału z Włoch. Watykan zatrzymał 29-procentowe udziały także po wykupieniu przez Sindonę pakietu kontrolnego akcji Finabanku. Swoje udziały w tym banku miał także londyński Hambros oraz Continental z Chicago.

Tak ściśle powiązanie powszechnie znanych i bogatych firm jak Watykan-Sp. z o.o., Hambros i Continental z Michele Sindona pozwala jedynie przypuszczać, że prowadził on operacje bankowe ku ich pełnemu zadowoleniu.

Z konkretnym sposobem realizowania tych operacji zetknął się na pierwszej linii frontu Carlo Bordoni. Bordoni poznał Sindonę w drugiej połowie listopada 1964 r. w jego mediolańskim mieszkaniu przy Via Turati 29. Do niedawna był kierownikiem mediolańskiej filii First National City Bank of New York (Citibank). Zwolniono go, ponieważ w operacjach dewizowych przekroczył wyznaczony limit obrotów. W oczach Sindony fakt ten absolutnie nie przemawiał przeciw Bordoniemu. Zapytał go więc, czy ma chęć przejęcia w swoje ręce operacji dewizowych BPF. Kiedy Bordoni dowiedział się, że bank dysponował tylko wkładami mniejszymi niż 15 mld lirów (było to około 15 mln dolarów) nie przyjął tej propozycji. Były to drobne pieniądze w porównaniu z obrotami Citibanku, sięgającymi miliarda dolarów. Do tego BPF nie miał jeszcze w owym czasie koncesji na handel dewizami. Ponadto był nieznaną firmą w międzynarodowych operacjach bankowych i — jak uważał Bordoni — nie miał *żadnej możliwości wejścia do dostojnego klubu banków międzynarodowych*.

Bordoni miał lepszy pomysł. A może stworzyć operującą na rynku międzynarodowym firmę maklerską, która oferowałaby w ramach usług pośrednictwo w operacjach dewizowych? Przy starannej pracy i wyśmienitych kontaktach Bordoniego firma taka mogłaby przyciągnąć do kraju spore i zyskowe zamówienia. *Podniosłoby to* — używając

słów Bordoniego —*prestiz skromnej jeszcze wówczas grupy Sindony. Po pewnym czasie można byłoby już prawie z całą pewnością liczyć na bieżące kredyty dewizowe dla BPF i Finabanku.*

Jak Bordoni stwierdził później w złożonym pod przysięgą dla sądu mediolańskiego zeznaniu przeciwko swemu byłemu przełożonemu, propozycja ta wywołała u Sindony wyraźną euforię i bez zwłoki zaaprobował ten projekt. Entuzjazm Sindony nietrudno zrozumieć. Zaproponowana przez Bordoniego firma, której nadano nazwę Moneyrex, rozpoczęła działalność 5 lutego 1965 r. Kierowana na początku uczciwie przez Bordoniego przynosiła znaczne zyski. W 1967 r. osiągnęła już obroty w wysokości 40 mld dolarów i przyniosła zysk netto ponad 2 mln dolarów. Sindona nie byłby sobą, gdyby nie postarał się o ukrycie tych zysków, zanim urząd finansowy zdążył mrugnąć. Sindona chciał jednak czegoś więcej niż uczciwego zysku. Naciskał na Bordoniego, by jego bankom przekazywał tyle wkładów dewizowych, ile można. Bordoni wskazywał na wiele poważnych problemów, które w jego przekonaniu czyniły te żądania niewykonalnymi. Rekin wpadł we wściekłość i wrzeszcząc kazał Bordoniemu pamiętać o jego „sile przekonywania” i „władzy”, jakimi dysponował. Bordoni odparł, że to właśnie miał na myśli, mówiąc o problemach. Dla pełnej jasności dodał: *Pańską „siłą przekonującą” jest mafia, a „władzą” masoneria. Nie mam zamiaru ryzykować mojej dobrej opinii i sukcesu Moneyrexu tylko dlatego, że domaga się tego ode mnie mafioso.*

W końcu jednak u Bordoniego oportunizm wziął górę nad zasadą; wyraził gotowość włączenia BPF i Finabanku do operacji Moneyrexu. Pierwszą jego czynnością było zapoznanie się z praktyką stosowaną przez oba banki Sindony i ich sytuacją. To, co przy tym stwierdził, mówi wiele o Watykanie, bankach Hambrosa i jego Continentalu, a także o samym Sindonie. Dwanaście lat później w zeznaniu składanym pod przysięgą w szpitalu więziennym w Caracas dla mediolańskiego sądu czytamy:

Kiedy latem 1966 r. zacząłem zapoznawać się z BPF, głęboko poruszył mnie chaos panujący w różnych wydziałach. Był to niewielki bank, który swoje przetrwanie zawdzięczał tylko różnicom zysków, osiągniętych — oczywiście w odpowiednio zamaskowanej formie — za pomocą licznych „czarnych operacji” przeprowadzanych przez BPF na zlecenie Credito Italiano, Banca Commerciale Italiana i innych ważnych banków krajowych. Te nielegalne operacje dewizowe, poważny, nielegalny eksport kapitału, odbywał się codziennie i chodziło przy tym o wysokie sumy. Stosowana metoda była rzeczywiście najbardziej prymitywną i kryminalną.

Bordoni odkrył liczne przekroczone konta bez żadnych zabezpieczeń. Suma „winien”

znacznie przekraczała

ustawowo wyznaczony limit, wynoszący 1/5 kapitału własnego banku. Bordoni odkrył też poważne kradzieże. Powszechnie przyjętą praktyką było odciąganie przez urzędników bankowych pieniędzy z kont klientów bez wiedzy ich właścicieli. Pieniądze te zapisywano potem na konto Banku Watykańskiego. Ten z kolei przekazywał te sumy, pomniejszone o 15-procentową prowizję, na konto w Finabanku w Genewie. Jako posiadacz tego konta figurował MANI. MA pochodziło od Marco, NI — od Nino; Marco i Nino byli synami Sindony. Prowizja, zatrzymywana przez Bank Watykański, nie zawsze wynosiła 15 procent, lecz — w zależności od obowiązujących właśnie kursów na czarnym rynku dewizowym — mogła być większa lub mniejsza.

Kiedy jakiś klient Banca Privata skarżył się, że wystawiony przez niego w dobrej wierze czek okazywał się bez pokrycia lub nie zgadzał się stan jego konta, zazwyczaj najpierw otrzymywał arogancką odpowiedź, że może sobie poszukać innego banku. Jeżeli jednak był uparty, to pojawiał się kierownik, który przyjmując pozę poważnego biznesmena oświadczał klientowi, że musi tu chodzić o *jakiś błąd w księgowości, pan wie, te nowoczesne komputery* i wielokrotnie przeproszał.

Podobne, jeżące włosy na głowie praktyki, Bordoni odkrył w Finabanku w Genewie. Jego kierownik, niejaki Mario Olivero, nie miał pojęcia o operacjach bankowych, a dyrektor przez cały dzień nie robił nic, poza spekulowaniem na giełdach papierów wartościowych, dostaw terminowych i giełdach dewizowych. Jeżeli osiągnął zyski, zapisywał je na swoje konto. Jeżeli ponosił straty, księgował je na jedno z kont klientów. Kierownicy poszczególnych wydziałów pilnie naśladowali dyrektora. Uczestniczył w tym także Bank Watykański.

IOR był z jednej strony współwłaścicielem Finabanku, a z drugiej posiadał w nim wiele kont. Bordoni stwierdził, że przez konta te jawnie *dokonywano gigantycznych operacji spekulacyjnych, które przynosiły kolosalne straty*. Straty te, tak jak straty wszystkich innych uczestników tej gry, ponosiła fikcyjna firma pod nazwą Liberfinco (Liberian Financial Company). Kiedy Bordoni prowadził kontrolę, konto tej firmy wykazywało straty w wysokości 30 mln dolarów. Kiedy w 1973 r. do sprawy włączył się szwajcarski nadzór banków, długi Liberfinco wzrosły do 45 mln dolarów. Urzędnicy nadzoru postawili Sindonie, Watykanowi, Hambros Bank i Continental Illinois ultimatum: albo zlikwidują Liberfinco w ciągu 48 godzin, albo oficjalnie ogłosi się bankructwo Finabanku. Gian Luigi Clerici di Cavenago, jeden ze współników Sindony, dowiódł w tej sytuacji, że ma tyle samo zbawiennych pomysłów, ile członów nazwiska. Otwierając inne konto na sumę 45 mln

dolarów, które prawdopodobnie istniały tylko na papierze, wyrównał saldo Liberfinco i następnie rozwiązał tę firmę; jednocześnie powołał nową firmę pod nazwą Aran Investment of Panama, której konto od samego początku było obciążone deficytem w wysokości 45 mln dolarów.

Sindona polecając Bordoniemu zajęcie się Finabankiem rzucił pamiętną uwagę, która była szczytem niedomówienia: *Tam się dzieją dziwne rzeczy*. Kiedy Bordoni poinformował go, jak dziwne były te rzeczy w rzeczywistości, Sindona rozsierdził się, zwymyślał go i wyrzucił ze swego biura. W obu bankach nadal gospodarowano po staremu. Kiedy Sindona zauważył, że Bordoni próbuje się wycofać, uciekł się do wypróbowanego środka — szantażu. Również Bordoni w swoich operacjach dewizowych przekroczył ustawowe limity. Sindona zagroził, że zadenuncjuje go u prezesa włoskiego banku państwowego. Bordoni pozostał.

Bordoni powinien był zauważyć, kim był Sindona, jeszcze zanim się z nim związał. Już podczas ich pierwszej utarczki słownej Sindona ofuknął go: *Z ciebie nigdy nie będzie prawdziwy bankier, bo nie tylko nie umiesz kłamać, lecz jesteś do tego człowiekiem z zasadami. Nigdy nie potrafisz skutecznie użyć broni, jaką jest szantaż!*

„Człowiek z zasadami” być może zyskałby znaczne uznanie w oczach Sindony, gdyby ów wiedział, że Bordoni zaczął odprowadzać pieniądze na tajne konta szwajcarskie. Z biegiem czasu pozbawił Sindonę w ten sposób ponad 45 mln dolarów. Nie była to wprawdzie żadna suma, którą można byłoby porównywać z łupem zgromadzonym za pomocą oszustw przez Sindonę, ale Bordoni nie miał przecież dyplomu wyższej uczelni.

Sindona był mistrzem sztuki szantażu. Niezależnie od wrodzonych zdolności odbył przecież praktykę w mafii, ponadto miał możliwość korzystania z talentu najbieglejszego w tej sztuce mistrza, jakim był Licio Gelli. Zarzucając w złości Sindonie kontakty z mafią i masonerią, Bordoni igrał z dwoma ogniami. Łoża masońska, do której należał Sindona, nie miała zbyt odległego rodowodu. Nie miała też nic wspólnego z lożami, które powoływały się na patriotę włoskiego, Garibaldię. Jej wielkim mistrzem nie był książę Kentu. Nazywała się Propaganda Due lub w skrócie P2, a jej wielkim mistrzem był Licio Gelli.

Gelli urodził się 21 kwietnia 1919 r. w mieście Pistoia w środkowych Włoszech. Jego formalna nauka skończyła się, kiedy w wieku około 15 lat usunięto go ze szkoły. Jako 17-letni młodzieniec zwrócił na siebie uwagę przede wszystkim nienawiścią do komunistów, która miała tak samo mordercze natężenie, jak obawa króla Heroda przed Mesjaszem. Gelli walczył wraz ze swym bratem ramię w ramię z oddziałami Franco w szeregach włoskiej dywizji czarnych koszul przeciw komunistom w Hiszpanii. *Tylko ja wróciłem żywy*, tak Gelli podsumował potem ten epizod swojego życia.

W początkowej fazie drugiej wojny światowej walczył w Albanii. Później wstąpił do Waffen-SS, awansował do stopnia *Obersturmführera* i działał dla faszystów jako „oficer łącznikowy”. Do jego zadań należało tropienie partyzantów włoskich i wydawanie ich swoim niemieckim dowódcom. Część wcześnie osiągniętego majątku zawdzięcza temu, że stacjonował we włoskim mieście Cattaro, gdzie podczas wojny ukrywano jugosłowiańskie skarby państwowe. Znaczna część tych skarbów nigdy nie powróciła do Jugosławii, ponieważ Gelli ukradł je i ukrył. Zakorzeniona w Gellim nienawiść do wszystkiego co komunistyczne, malała w takim stopniu, w jakim oddalała się perspektywa zwycięskiego zakończenia wojny przez państwa osi. Gelli zaczął współpracować z partyzantami, wśród których było wielu komunistów. Współpraca ta polegała m.in. na tym, że po odkryciu kryjówki partyzantów zgodnie z obowiązkiem składał wprawdzie o tym meldunek Niemcom, ale jednocześnie ostrzegał partyzantów, którzy dzięki temu w porę mogli przenieść się w bezpieczne miejsce.

Tę podwójną grę prowadził aż do końca wojny, bowiem faktycznie był jednym z ostatnich faszystów włoskich, którzy poddali się aliantom — w górach na północy Włoch, niedaleko od Belluno, gdzie młody ksiądz o nazwisku Albino Luciani ukrywał partyzantów.

Obietnicą świadczenia komunistom usług szpiegowskich również po wojnie Gelli uratował sobie życie: działająca we Florencji antyfaszystowska komisja, przed którą musiał odpowiadać, dysponowała zeznaniami, udowadniającymi, że torturował on i mordował patriotów włoskich. Na dyskretną interwencję komunistów włoskich komisja uznała te zeznania za niewystarczające i niewiarygodne.

Po tym „oczyszczeniu z zarzutów” natychmiast rozpoczął organizowanie dróg przerzutu dla ukrywających się faszystów, którzy chcieli uciec do Ameryki Południowej. Jako wynagrodzenie zatrzymywał 40 proc. posiadanej przez nich gotówki. Jednym ze współorganizatorów tych dróg przerzutu był ksiądz katolicki z Chorwacji, ojciec Krużosław Dragonović. Wśród tych, którym Gelli dopomógł w ucieczce, był SS-hauptsturmführer, Klaus Barbie, „rzeźnik z Lyonu”. Barbie nie musiał zresztą wypłacać honorarium Gellemu i Dragonovićowi z własnej kieszeni. Koszty jego przerzutu przejął Gounter Intelligence Corps armii amerykańskiej, dla którego Barbie pracował jako informator jeszcze do lutego 1951 r.

Z jednej strony Gelli świadczył usługi tajnej służbie USA i placówkom kościelnym, z drugiej zaś, w tym samym czasie, szpiegował jeszcze do 1956 r. dla komunistów. W 1954 r. sam wykorzystał kanał przerzutowy do Ameryki Południowej, którym przemycił w bezpieczne miejsce wielu niemieckich przestępców wojennych. Osiadł w Argentynie i związał się tam z ugrupowaniami skrajnej prawicy. Zaprzyjaźnił się z generałem Juanem Peronem i stał się jego zaufanym doradcą. Kiedy Kościół katolicki ekskomunikował Perona,

Gelli doświadczył jednego z nielicznych niepowodzeń — daremnie usiłował złagodzić postawę Watykanu. Antykościelna kampania Perona, stanowiąca przyczynę ekskomuniki, była dla kościoła ważniejsza od zapewnień Gellego, że generał jest geniuszem, ale niestety całkowicie źle rozumianym. Kiedy po zamachu wojskowym w 1956 r. Peron musiał uciekać z Argentyny, Licio Gelli nie zawahał się przed zaoferowaniem swojej osoby i przyjaźni nowej juncie. Cierpliwie i starannie rozbudowywał sieć swych kontaktów, którą stopniowo rozszerzał o nowe bastiony w prawie wszystkich krajach Ameryki Południowej. Zabiegał o względy ludzi wyłącznie bogatych i potężnych (względnie takich, którzy mieli szansę takimi zostać). Jeśli jest prawdą stwierdzenie, że polityka jest dziwką, to Licio Gelli był (i jest) uosobieniem polityki. Był do dyspozycji każdego, kto mógł sobie pozwolić na zaangażowanie go. W tym samym czasie, gdy służył reakcyjnej juncie wojskowej w Argentynie, szpiegował także dla Związku Radzieckiego, z którym utrzymywał łączność przez swoje kontakty w Rumunii. W razie potrzeby mógł wyciągnąć z kieszeni pismo polecające komunistów włoskich, którzy po wojnie uratowali mu życie, lub notatnik z numerami agentów kontaktowych z CIA, którym nadal sprzedawał informacje. Oprócz tego w dalszym ciągu pracował dla wywiadu włoskich sił zbrojnych, SID.

Gdy Michele Sindona przebijał się do góry w finansowej dżungli powojennego Mediolanu, Gelli budował sobie gniazdko w zakamarkach zawilej struktury władzy w Ameryce Łacińskiej. Generał tu, admirał tam, politycy, urzędnicy państwowi, wielcy posiadacze ziemscy. Kiedy Sindona pielęgnował swoje przyjaźnie w przekonaniu, że źródłem władzy są pieniądze, Gelli usiłował dotrzeć przez swoich nowych przyjaciół do tego, co uważał za źródło rzeczywistej władzy: do wiedzy. Informacji, danych osobistych różnych bankierów, tajnych dossiers rozmaitych polityków. Sieć jego kontaktów rozciągała się od Argentyny po Paragwaj, Brazylię, Boliwię, Kolumbię, Wenezuelę i Nikaragwę. Oprócz obywatelstwa włoskiego uzyskał dodatkowo argentyńskie. W 1972 r. rząd argentyński uczynił go swoim doradcą gospodarczym i w tej roli wysłał do Włoch. Jednym z jego najważniejszych zadań było wynegocjowanie i realizacja dostaw broni dla Argentyny. Pośredniczył w zakupach czołgów, samolotów, okrętów, urządzeń radarowych, a także rakiet Exocet, które zdobyły potem sławę w działaniach wojennych. Przed Licio Gellim otwarły się teraz we Włoszech drzwi, które wcześniej były przed nim zamknięte. Przed przeniesieniem się do Argentyny odgrywał przecież jedynie skromną rolę w życiu gospodarczym Włoch — na przykład jako tymczasowy dyrektor naczelny fabryki materaców pod nazwą Permaflex, lub, choć krótko, jako menedżer w firmie Remington Rand Co. w Toskanii (w tym czasie w zarządzie tej firmy zasiadał także Michele Sindona).

Odpowiednim instrumentem do rozszerzenia strefy swych wpływów i władzy, o co zawsze zabiegał, wydawał mu się zrehabilitowany ruch masoński. Jak na ironię, człowiekiem, który wprowadził zakaz działania łóż masońskich, był jego uwielbiany wódz, Mussolini. W jego oczach loże były „państwem w państwie”. Nie mniejszą ironią było to, że masoneria została ponownie zalegalizowana przez tak głęboko pogardzaną przez Gellego demokrację włoską, chociaż utrzymano zawarte w faszystowskim kodeksie karnym postanowienie, zgodnie z którym karalne było tworzenie tajnych organizacji. Zgodnie z tym loże masońskie były zobowiązane zapewnić władzom wgląd do list swoich członków.

W listopadzie 1963 r. Gelli wstąpił do loży masońskiej tradycyjnego typu. W krótkim czasie został „mistrzem”, co dało mu prawo prowadzenia loży. Ówczesny Wielki Mistrz, Giordano Gamberini, nalegał na Gellego, by skupił wokół siebie krąg wpływowych ludzi, którzy — niezależnie od tego, ilu z nich można byłoby pozyskać na członków jednej loży — mogliby wspierać rozwój legalnego ruchu masońskiego. Gellemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Marzyła mu się jednak prawdziwa, nielegalna organizacja tajna. Pierwszym krokiem było nadanie tej organizacji nazwy: Raggruppamento Gelli-P2. P - pochodziło od Propagandy, nazwy loży masońskiej z XIX wieku.

Pierwszych członków grupy Gelli rekrutował spośród emerytowanych oficerów armii włoskiej. Przez nich dotarł do oficerów służby czynnej. Tworzona przez niego sieć z czasem miała objąć całą strukturę władzy we Włoszech. Ideały i cele prawdziwego wolnomularstwa bardzo szybko wyrzucono za burtę, choć bez wątplenia na zewnątrz zachowano pozory. Cel Gellego był inny: cała władza dla prawicy. Oznaczało to obsadzenie wszystkich ważnych dających władzę stanowisk w państwie i społeczeństwie włoskim ludźmi o przekonaniach prawicowych, którzy niewidzialnymi nićmi przynależności do P2 byli powiązani ze sobą i z Gellim. W ten sposób mały krąg wtajemniczonych, państwo w państwie, sprawowałby totalną kontrolę polityczną dopóty, dopóki nie wydarzyłoby się coś nie do pomyślenia: wygranie wyborów przez komunistów i ich dojście do władzy. Gdyby to się wydarzyło, nie pozostawałoby nic innego, niż tylko dokonanie zamachu stanu. Prawica wówczas otwarcie przejęłaby władzę. Gelli był przekonany, że mocarstwa zachodnie zaakceptowałyby takie rozwiązanie. I rzeczywiście od samego początku istnienia loży P 2 Gelli cieszył się uznaniem i poparciem działających we Włoszech placówek CIA. Jeśli ktoś miał wrażenie, że plany Gellego były urojeniami człowieka szalonego, pozbawionymi jakichkolwiek szans realizacji, powinien sobie uprzytomnić, że w samych Włoszech do loży P2 (której ważne odgałęzienia istniały i istnieją w wielu innych krajach) należeli: wysoki rangą komendant armii Giovanni Torrisi, szefowie tajnej służby Giuseppe Santovito i Giulio Grassini, szef włoskiej policji

skarbowej Orazio Giannini, ministrowie i politycy reprezentujący wszystkie kierunki polityczne (oczywiście z wyjątkiem komunistów), 30 generałów, ośmiu admirałów, wydawcy gazet, potentanci telewizyjni, czołowi przemysłowcy i bankierzy, wśród nich Roberto Calvi i Michele Sindona. W odróżnieniu od konwencjonalnych łóż masońskich, lista członków P2 była tak tajna, że tylko Gelli znał wszystkie nazwiska.

Aby wzmacniać wpływy P2 i pozyskiwać nowych członków, Gelli stosował różnorodne metody. Najbardziej niewinne było pozyskiwanie nowych członków przez osobiste kontakty i wprowadzanie nowych kandydatów przez starych członków loży. Stosowano jednak inne, nieładne metody. Najczęściej posługiwano się szantażem. Kiedy nowy brat został przyjęty do loży P2, na dowód swej lojalności musiał złożyć u Gellego dokumenty z kompromitującymi danymi lub informacjami delikatnej natury, które mogłyby być niebezpieczne nie tylko dla samego zainteresowanego, lecz także dla innych, uważanych za potencjalnych kandydatów na członków P 2. Znając uchybienia tych ludzi, można było pozyskać ich na członków. W ten sposób zwerbowano na przykład przewodniczącego państwowego towarzystwa naftowego ENI, Giorgio Mazzantiego. Gelli dowiedział się, że ENI otrzymało od Arabii Saudyjskiej poważne łapówki; kiedy skonfrontował Mazzantiego z dowodami tych machinacji, ów wolał się przyłączyć do loży P2 przekazując jednocześnie dodatkowe informacje o kompromitującym charakterze.

Inna metoda stosowana przez Gellego do werbowania nowych członków wyglądała następująco: ze skorumpowanego już źródła uzyskiwał krótką listę osób ubiegających się o czołowe stanowiska. Telefonował wówczas kolejno do każdej z nich informując, że poprze ich starania. Z reguły jeden z kandydatów otrzymywał to stanowisko, a Gelli pozyskiwał nowego, wdzięcznego członka loży.

Na pierwszy rzut oka P2 była — i jest jeszcze — fanatyczną polisą ubezpieczeniową przeciw niebezpieczeństwu przejścia władzy przez komunistów. Abstrahując od Włoch, aktywne odłamy loży istnieją jeszcze dziś w Argentynie, Wenezueli, Paragwaju, Boliwii, Francji, Hiszpanii, Portugalii i Nikaragui. Aktywni członkowie są nawet w Szwajcarii i USA. P2 jest powiązana z mafią we Włoszech, na Kubie i USA oraz z wieloma reżimami wojskowymi w Ameryce Łacińskiej i większą liczbą ugrupowań neofaszystowskich. Jest także bardzo ściśle związana z CIA. Jej kontakty sięgają w głąb Watykanu. Wspólny mianownik tworzą najwyraźniej nienawiść i strach przed komunizmem. W istocie rzeczy P2 nie jest instrumentem światowego sprzysiężenia w celu zahamowania szerzenia się marksizmu i pochodnych ideologii. Jest to międzynarodowa grupa mająca wiele różnorodnych celów. Utrzymuje swą spójność poprzez wspólnotę interesów, a jej główne

cele nie polegają na walce z jakąkolwiek ideologią, lecz na osiągnięciu nieograniczonej władzy i bogactwa dzięki wzajemnemu wspomaganemu się jej członków. Wszystkie te cele kryją się za akceptowaną fasadą „obrońców wolnego świata”. Jednakże w świecie P2 wolność nie istnieje. Za wszystko trzeba płacić.

Licio Gelli miał kontakty i znajomości na całym świecie. Znał Stefano delie Chiaie, Pierluigi Pagliai i Joachima Fiebelkorna, którzy byli członkami utworzonej w Boliwii przez byłego szefa gestapo Klause Barbiego prywatnej grupy bojowej „Narzeczem Śmierci (Fiances of Death)”. Grupa na zamówienie dokonywała morderstw politycznych, ich ofiarą był m.in. boliwijski przywódca socjalistów, Marcelo Quiroga Cruz, a w 1980 r. grupa dopomogła także zdobyć władzę w Boliwii generałowi Garcii Mezie. Klaus Barbie sprzedawał swoje doświadczenia z gestapo jako „doradca ds. bezpieczeństwa” pułkownika Gomeza, którego ręce były zbroczone rzeką krwi Boliwijczyków.

Grupa, którą Barbie skupił wokół siebie z błogosławieństwem rządzącej junty boliwijskiej, wzmogła swoją aktywność po zamachu stanu, dokonanym w 1980 r. Zwiększała się liczba morderstw popełnianych na przeciwnikach politycznych, dociekliwych dziennikarzach, przywódcach związkowych i studentach. Do tego doszła jeszcze „racjonalizacja” rynku kokainy — wyłączenie wielu drobnych handlarzy tym narkotykiem, aby wielkie koncerny mogły się bez przeszkód bogacić na tym, osłanianym przez protekcję junty procederze. Od 1965 r. Barbie zajmował się także kupnem broni nie tylko dla Boliwii, lecz także dla innych reżimów w Ameryce Południowej i dla Izraela. W trakcie uprawiania handlu bronią Barbie, były dowódca SS i Licio Gelli zostali przyjaciółmi — Barbie, który w okresie od maja 1940 r. do kwietnia 1942 r. organizował w Amsterdamie likwidację wszystkich zarejestrowanych masonów — i Gelli, Wielki Mistrz loży masońskiej P2. Obu mężczyzn wiele ze sobą łączyło, między innymi obaj wysoko cenili takich ludzi, jak Stefano delie Chiaie.

Włoch delie Chiaie uczestniczył w co najmniej dwóch próbach puczu w swej ojczyźnie. Kiedy w październiku 1982 r. do władzy w Boliwii doszedł ponownie rząd cywilny, Chiaie uciekł do Argentyny. Znalazł tam kryjówkę i pomoc u członka P2, Jose Lopeza Regi, założyciela osławionego szwadronu śmierci AAA. Regia kierował także wielką siecią przemytników kokainy z Argentyny do USA. Licio Gelli mógł się pochwalić podobną zręcznością w sprzedawaniu swej szczególnej wizji nowego świata jak kiedyś przy sprzedaży materaców. Szczególnym jego osiągnięciem było skupienie w kręgu bliskich przyjaciół i współbojowników tak różnych postaci, jak Jose Lopez Rega, Klaus Barbie i enigmatyczny kardynał Paolo Bertoli. Kardynał, podobnie jak Gelli, pochodzi z Toskanii. Ma za sobą czterdziestoletnie doświadczenie w służbie dyplomatycznej Watykanu. Bertoli miał swoich

zwolenników, kiedy brał udział w konklawe, które wybrało Albino Lucianiego na papieża.

Kardynał Bertoli był tylko jednym z wielu, którzy w Watykanie otworzyli drzwi Licio Gellemu. Na licznych audiencjach przyjmował Gellego papież Paweł VI. Gelli jadał obiady z biskupem Paulem Marcinkusem. Niektórzy z kardynałów, arcybiskupów, biskupów i innych dostojników kościelnych oraz księży, którzy dziś najchętniej by zaprzeczyli, że znają Gellego, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych byli dumni mogąc się z nim pokazać.

Jednym z najbliższych zaufanych Gellego w łoży P 2 był włoski adwokat i handlowiec, Umberto Ortolani.

Podobnie jak Il *Buratinaio*, także Ortolani wcześniej nauczył się cenić wartość poufnych informacji. W czasie drugiej wojny światowej kierował dwiema grupami operacyjnymi tajnej służby włoskiej, SISMI. Jego specjalnością był kontrwywiad. Młody katolik wcześniej rozumiał, że jeden z rzeczywistych ośrodków władzy tego świata leży na prawym brzegu Tybru, za murami państwa watykańskiego. Cały Watykan wraz z kanałami wpływów i władzy został przez niego opleciony siecią tajnych informatorów.

W swoim domu przy Via Archimede w Rzymie Ortolani gościł wielu watykańskich dostojników. O tym, jak rozległe kontakty miał w Watykanie, można wnioskować z faktu, że po raz pierwszy został przedstawiony kardynałowi Lercaro w 1953 roku. Lercaro miał ogromne wpływy w Kościele katolickim i na Soborze Watykańskim II miał być jednym z czterech umiarkowanych. Uważano go powszechnie za jednego z tych liberalnie nastawionych dostojników kościelnych, którzy zaangażowali się w to, by reformy uchylone przez Sobór weszły w życie. O Ortolaninie mówiono powszechnie, że jest kuzynem kardynała. Nie było to prawdą, ale chętnie popierał tę plotkę.

W okresie bezpośrednio poprzedzającym konklawe, na którym wybrano papieża Pawła VI, dyskusja toczyła się przede wszystkim wokół tego, czy będzie kontynuowana droga rozpoczęta przez Jana XXIII, czy też nastąpi powrót do reakcyjnej polityki Piusa XII. „Liberałowie” potrzebowali bezpiecznego miejsca na swe spotkania, na których mogliby rozważyć swoją strategię. Lercaro, jeden z rzeczników liberałów, poprosił Ortolaniego o udostępnienie jego domu. Na kilka dni przed rozpoczęciem konklawe grupa zebrała się w willi Ortolaniego w Grottaferata koło Rzymu. Wśród zebranych byli kardynałowie Suenens z Brukseli, Doepfner z Monachium, Koenig z Wiednia, Alfrink z Holandii — i oczywiście „kuzyn” Giacomo Lercaro.

To ściśle tajne spotkanie miało decydujące znaczenie dla przebiegu konklawe. Kardynałowie uzgodnili, że w wypadku, gdyby bardzo poważne bataliony Lercaro okazały się za słabe, rzucają swój kontyngent głosów na szalę Giovanniego Battisty Montiniego. W ten

sposób doszło do tego, że — ku własnemu zaskoczeniu — już w trzecim głosowaniu Montini nagle zbliżył się o 20 głosów do tronu papieskiego, który ostatecznie otrzymał.

Ledwie nowy papież objął swój urząd, a już na Umberto Ortolaniego spłynął deszcz kościelnych odznak honorowych, odznaczeń, tytułów i orderów. Potrafił on nawet spowodować przyjęcie do Zakonu Kawalerów Maltańskich i Zakonu Świętego Grobu Licio Gellego, który nie był katolikiem. Jako dobrzy przyjaciele Casarolego, którego z uwagi na określony wpływ na kościelną politykę zagraniczną nazywano czasami Kissingerem Watykanu, Ortolani potrafił zapewnić wyśmienite kontakty w Watykanie swojemu bratu z łoży, Gellemu. Podobnie jak jego Wielki Mistrz, również Ortolani, przynajmniej na papierze, jest obywatelem wielu państw. Urodzony we włoskiej miejscowości Vitebro, uzyskał później obywatelstwo brazylijskie. Jest to praktyczne między innymi z tego względu, że między Włochami i Brazylią nie ma umowy o ekstradycji.

Lista włoskich członków P 2 rozrosła się z czasem do prawie 1000 nazwisk, jednakże jest to tylko wierzchołek góry lodowej. Włoska tajna służba SISMI szacuje liczbę członków P2 na co najmniej 2000. Gelli sam podał, że jest ich 2400. Niezależnie jednak od tego, jaka jest prawda, niektóre tajne służby europejskie są zgodne, że nie zidentyfikowano jeszcze większości członków P2, i że w jej składzie jest 300 osób zaliczanych do najpotężniejszych w tak zwanym wolnym świecie. Kiedy w 1981 r. stało się powszechnie znane istnienie tego tajnego stowarzyszenia i nazwiska prawie tysiąca jego członków, senator Fabrizio Cicchitto, członek P 2, powiedział: *Jeżeli w latach siedemdziesiątych chciano we Włoszech coś osiągnąć, najlepiej udawało się to przez Gellego i P2.*

Zażyłe stosunki między P2 i Watykanem służyły obu stronom, jak wszystkie zresztą kontakty nawiązane przez Gellego. Gelli wykorzystał graniczący niemal z paranoją strach przed komunistami, rozpowszechniony w Watykanie. Szczególnie chętnie cytował wypowiedzi z okresu przed drugą wojną światową, w których przedstawiciele Kościoła opowiadali się za faszyzmem, na przykład fragment kazania kardynała Hinsleya z Westminsteru, który oznajmił katolikom w 1935 r.: *Jeżeli faszyzm zginie, wraz z nim zginie sprawa Boga.*

Najdziwniejszym aspektem ścisłych i trwałych kontaktów między P2 i Watykanem był fakt, że różni kardynałowie, biskupi i księża mieli tyle życzliwości dla tego dziecięcia z nieprawego łoża ortodoksyjnej masonerii. Kościół katolicki przez całe stulecia uważał masonów za uczniów diabła. Początki łoży masońskiej wywodzą się z wolnomularzy, średniowiecznego cechu budowniczych, którzy — jak na ironię — wzniesli w Europie wiele wspaniałych rzymskokatolickich kościołów katedralnych. (Niektórzy badacze historii

masonów twierdzą, że budowali oni już Świątynię Salomona!) Powiązania masonów z zawodem murarskim są widoczne do dnia dzisiejszego w wolnomularskich obrządkach oraz symbolach, którymi są kielnia i młotek.

Wraz z rozwojem wolnomularstwa przekształcał się jego charakter; skłaniał się bardziej ku wartościom duchowym i nasiąkał symbolami i teologią chrześcijańską, religiami starożytnymi oraz do pewnego stopnia islamem, a raczej jego wersją przekazywaną przez rycerzy wracających z wypraw krzyżowych.

W XVII wieku masoni byli utożsamiani z „wolnomyślicielami” i różnorodnymi ruchami rewolucyjnymi, a także w wielu przypadkach z ruchem antykatolickim, co spowodowało, że na związek wielokrotnie rzucono klątwy kościelne i był on celem ataków co najmniej sześciu bulli papieskich poświęconych specjalnie walce z wolnomularstwem; pierwszą z nich była *In Eminentis*, ogłoszona w 1738 r. przez papieża Klemensa XII.

Kościół uważa wolnomularstwo za konkurencyjną religię bezbożników. Wychodzi z założenia, że jednym z głównych celów związku jest zniszczenie Kościoła katolickiego. Dlatego jeszcze niedawno każdego katolika zdemaskowanego jako członka jakiejś loży natychmiast karano ekskomuniką.

Nie ulega wątpliwości, że wiele ruchów rewolucyjnych na przestrzeni dziejów posłużyło się wolnomularstwem jako bronią przeciw Kościołowi. Klasycznym przykładem jest włoski patriota Garibaldi, który utworzył z masonów w tym kraju siłę mogącą zmobilizować masy, złamać hegemonię papieską i posunąć do przodu proces porozumienia we Włoszech.

W zależności od kraju za etykietą wolnomularstwa kryją się dziś różnorodne ugrupowania i ideologie. Świat zewnętrzny traktował te samowystarczalne, kryjące się przed opinią publiczną związki z ogromną nieufnością i wrogością. Kościół katolicki aż do najnowszych czasów kategorycznie trwał przy swoim tradycyjnym punkcie widzenia: wolnomularstwo jest arcyzłem i wszyscy, którzy je wyznają, muszą zostać obłożeni anatimą. Jeżeli takie było stanowisko Kościoła wobec ortodoksyjnego wolnomularstwa, to niezwykle dziwne wrażenie wywołują ścisłe kontakty między P2 i Watykanem: jedno z najmniejszych, ale najpotężniejszych państw na ziemi w intymnym uścisku z państwem w państwie. Członkowie P2 w przeważającej większości byli i są praktykującymi katolikami.

Włoska loża P2 z pewnością nigdy nie zebrała się w pełnym składzie (musiałaby wynająć w tym celu mediolańską La Scale), ale bez wątpienia odbywały się spotkania poszczególnych grup. Na spotkaniach tych nie tylko wybrzydzano na komunizm, lecz opracowywano konkretne plany zwalczania go i zapobiegania temu, co Gelli i jego

przyjaciele uważali za najgorsze ze wszystkich możliwych niebezpieczeństw: przejęciu władzy przez demokratycznie wybrany rząd komunistyczny.

W ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci dokonano we Włoszech wielu zamachów bombowych, których sprawcy nie zostali wykryci. Gdyby włoskim organom ścigania udało się kiedykolwiek ująć Gellego i gdyby zdecydował się on mówić i powiedzieć prawdę, niektóre z tych niewyjaśnionych przypadków można by było rozwikłać. Należą do nich: zamach bombowy na Piazza Fontana w Mediolanie w 1969 r. (16 zabitych), zamach bombowy na pociąg pospieszny *Italicus* pod Bolonią w 1974 r. (12 zabitych) i eksplozja na dworcu głównym w Bolonii w 1980 r. (85 zabitych, 182 rannych). Według informacji rozczarowanego poplecznika Gellego, neofaszysty Elio Cioliniego, ten ostatni straszny zamach zaplanowano podczas posiedzenia P2 w Monte Carlo w dniu 11 kwietnia 1980 r. Licio Gelli osobiście kierował tym posiedzeniem jako wielki mistrz.

Według zaprzysiężonego zeznania Cioliniego za ten zamach są odpowiedzialne trzy osoby: Stefano delie Chiaie, Pierluigi Pagliai i Joachim Fiebelkorn.

Celem tej serii potwornych zamachów było skierowanie oburzenia opinii publicznej na włoską lewicę, fałszywie o nie oskarżoną.

Dziesiątego lipca 1976 r. seria z broni maszynowej przeszła prokuratora włoskiego, Vittorio Occorsio. Zginął na miejscu. W tym czasie prowadził on dochodzenie w sprawie powiązań między ruchem neofaszystowskim pod nazwą Narodowa Straż Przednia a P2. Do popełnienia tego morderstwa przyznała się grupa neofaszystowska pod nazwą Nowy Porządek. Nowy Porządek, Narodowa Straż Przednia — są to nazwy wymienne.

Ważne było, że Vittorio Occorsio, uczciwy i odważny urzędnik, leżał w trumnie, a dochodzenie, które mogło być niebezpieczne dla P 2, zostało wstrzymane.

Michele Sinona był członkiem P 2 od końca lat 60. i blisko zaprzyjaźnił się z Licio Gellim. Obaj mieli ze sobą wiele wspólnego, jednym i drugim interesowały się CIA i Interpol. Współdziałanie obu tych organizacji nie zawsze przebiegało bez zakłóceń. Dobitny przykład stanowią dochodzenia prowadzone przez Interpol przeciw Sindonie. W listopadzie 1967 r. do prezydium policji w Rzymie nadszedł następujący teleks z Interpolu w Waszyngtonie:

Uzyskaliśmy ostatnio niepotwierdzone informacje, zgodnie z którymi następujące osoby uczestniczą w niedozwolonym handlu środkami uspakajającymi i podniecającymi oraz wywołującymi halucynacje narkotykami (handel ten odbywa się między Włochami, Stanami Zjednoczonymi i być może innymi krajami europejskimi): ...

Pierwsze z wymienionych nazwisk brzmiało: Michele Sindona. Włoska policja kryminalna odpowiedziała, że nie ma śladu dowodów wskazujących na to, by Sindona był

zamieszany w handel narkotykami. Jeszcze w tym samym tygodniu kopie teleksu Interpolu i włoskiej odpowiedzi wylądowały na biurku Sindony. Gdyby Interpol z Waszyngtonu skierował to zapytanie do agentów CIA w ambasadzie amerykańskiej w Rzymie lub konsulacie USA w Mediolanie, uzyskałby stamtąd — zakładając uczciwe odpowiedzi — potwierdzenie, że uzyskane informacje były całkowicie słuszne.

CIA zgromadziła już w tym czasie obszerne dossier Sindony. Zawierało ono informacje o jego kontaktach z nowojorską rodziną mafijną Gambino, liczącą 253 członków i 1147 „współpracowników”. Były tam także szczegóły na temat wspólnego zaangażowania się pięciu nowojorskich rodzin mafijnych, Gambino, Lucchese, Colombo, Bonanno i Genovese w wiele kryminalnych afer, przede wszystkim w dziedzinie produkcji i handlu narkotykami — heroiną i marihuaną. Jako inne sfery nielegalnej działalności tych rodzin, akta CIA wymieniają prostytutkę, gry hazardowe, pornografię, lichwiarstwo, wymuszanie szantażem haraczu za ochronę, infiltrację związków zawodowych, oszustwa na wielką skalę oraz przywłaszczanie i sprzeniewierzenie wkładów bankowych i pieniędzy z kas ubezpieczeniowych.

Dossier zawierało bogate w szczegóły informacje o tym, jak sycylijskie rodziny mafijne Inzerillo i Spatola transportowały uszlachetnioną heroinę z Sycylii do swoich partnerów handlowych w Nowym Jorku, jak wprowadzały swoich ludzi do włoskiego towarzystwa lotniczego Alitalia i jak „współpracownicy” rodzin nowojorskich za honorarium w wysokości 50 000 dolarów odbierały z lotniska „bezpieczne” paczki z Palermo, paczki zawierające heroinę uszlachetnianą w jednym z pięciu laboratoriów rodziny Inzerillo na Sycylii. W końcu lat 60. zyski rodzin Inzerillo i Spatola z handlu heroiną wynosiły ponad 500 mln dolarów rocznie.

Akta zawierały ponadto szczegółowe informacje o ruchach prawie 30 statków, które każdego roku zawijały do portów libańskich i opuszczały je z ładunkami surowej i uszlachetnionej heroiny przeznaczonej dla portów docelowych na Sycylii.

W związku z tym dossier rodzi się złowróżbne pytanie, dlaczego zawierające tyle ładunku wybuchowego obciążające informacje spoczywały w latach 60. i 70. zamknięte w szafach i nie wykorzystane? CIA nie podejmuje w zasadzie działań z własnej inicjatywy, lecz wykonuje urzędowe polecenia prezydenta (lub przynajmniej usiłuje je wykonywać). Czy liczni, następujący po sobie prezydenci USA reprezentowali pogląd, że można tolerować działalność mafii, jeżeli przyczynia się ona do

ocalenia Włoch, członka NATO, od komunistycznych rządów?

Rodzinom mafijnym byli niesłychanie potrzebni ludzie pokroju Sindony. Niezwykły

wzrost kapitałów ulokowanych w bankach i cudowne rozmnożenie się banków oraz ich oddziałów na Sycylii, jednym z najbiedniejszych regionów Europy, dobitnie świadczą o problemach mafii z jej nadmiarem pieniędzy. Było to ogromne pole do popisu dla takiego żonglera kapitałem jak Michele Sindona. Gdy zapytano go kiedyś, skąd brał pieniądze na różne imponujące operacje finansowe, odpowiedział: *Są to w 95 procentach pieniądze należące do innych*. Była to odpowiedź słuszna w 95 procentach, Sindona był bankierem mafii i znaczna część pieniędzy, którymi obracał, pochodziła z handlu heroiną. Taki był więc człowiek, którego papież Paweł VI wybrał na doradcę finansowego Watykanu, człowiek, do którego po wielu latach przyjaźni z papieżem zwrócono się z prośbą o zredukowanie wielobranżowej działalności gospodarczej Kościoła we Włoszech. Plan zakładał sprzedaż Sindonie kilku głównych udziałów zdobytych w erze Nogary. Watykan — Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością szykował się do zrzucenia z siebie brzydkiego odium kapitalizmu. Była to, przynajmniej w odniesieniu do zasad, praktyczna konsekwencja filozofii, którą papież Paweł VI ogłosił światu w 1967 r. w swojej encyklice *Populorum progressio*:

Bóg przeznaczył Ziemię ze wszystkim, co ona zawiera, do wykorzystywania przez wszystkich ludzi i wszystkie narody; dlatego z tych stworzonych dóbr w godziwych proporcjach muszą korzystać wszyscy zgodnie z zasadami sprawiedliwości, której zawsze musi towarzyszyć miłosierdzie... Tej podstawowej zasadzie podporządkowane są wszystkie inne prawa, również prawa dotyczące własności prywatnej i wolnego handlu. Nie mogą one utrudniać realizacji tej zasady, lecz przeciwnie, muszą ją ułatwiać.

Poważnym i pilnym zadaniem społecznym jest przywrócenie pierwotnego sensu tych wszystkich praw.

W tym samym tekście Paweł zacytował Św. Ambrożego:

Nie jest twoim dobro, którym okazujesz wspaniałomyślność wobec ubogich, Dajesz im tylko to, co do nich należy. Przeznaczyłeś bowiem dla siebie tylko to, co jest dane do wspólnego wykorzystania. Ziemia jest dla wszystkich, nie tylko dla bogatych.

W momencie ogłoszenia tej encykliki Watykan był największym posiadaczem ziemskim na świecie. *Populorum progressio* zawiera również osobliwe pouczenie, że nawet wówczas, gdy społeczeństwa różnych państw cierpią z powodu poważnej niesprawiedliwości, niedopuszczalny jest opór rewolucyjny: *Istniejącego zła nie można zwalczać złem jeszcze większym.*

Jako zwierzchnik niezwykle bogatego Kościoła, zabiegający na zewnątrz o uwiarygodnienie swego dążenia do reprezentowania Kościoła ubogich, papież zdecydował się

wraz ze swymi doradcami na pozbycie się znacznej części lokat kapitału we Włoszech i ponowne zainwestowanie ich w innych krajach. W ten sposób można było uniknąć spodziewanego wysokiego opodatkowania, a ponadto zaangażować się w korzystniejsze inwestycje. Kiedy papież Paweł ogłosił w 1967 r. zadziwiające posłanie swojej encykliki *Populorum progressio*, Watykan — Spółka z o.o. i Michele Sindona już od kilku lat byli bliskimi wspólnikami. Dzięki nielegalnemu transferowi dewiz i kapitału z włoskich banków Sindony przez Bank Watykański do kas banku szwajcarskiego, który należał do obu partnerów Sindony i Watykanu, te dary boże nie popłynęły do ubogich, ale zostały usunięte z Włoch w bezpieczniejsze miejsce. Na początku 1968 r. popadł w trudności inny bank kontrolowany przez Watykan, Banca Unione. Do Watykanu należało około 20 proc. jego akcji. W zarządzie Watykan był reprezentowany przez Massimo Spadę

i Luigi Manniniego. Teoretycznie w dwa lata po przejęciu większości akcji przez Sindonę (przy czym Watykan nadal pozostał liczącym się udziałowcem) bank ten znajdował się w pełnym rozkwicie. Dzięki nastawionemu na drobnych ciułaczy niezwykle korzystnemu oprocentowaniu zdobył on wielu nowych klientów i suma zdeponowanych w nim oszczędności wzrosła z 35 mln do ponad 150 mln dolarów. Była to jednak tylko teoria.

W praktyce wyglądało to tak, że Sindona i jego przyjaciele w tym samym czasie zubożyli bank o ponad 250 mln dolarów. Większa część tej sumy przepłynęła przez kolejny bank Sindony, Amincor w Zurychu w ciemne kanały i interesy. Część stracono w szalonych spekulacjach na rynku srebra.

Jednym z bankierów, na którym Sindona wywarł w owym czasie głębokie wrażenie, był przewodniczący zarządu Continental Illinois w Chicago, David Kennedy, którego wkrótce potem powołano na ministra finansów w gabinecie prezydenta Nixona.

W 1969 r. Watykan — Spółka z o.o. musiał przyznać, że przegrał długą walkę z rządem włoskim o opodatkowanie swych zysków z kapitału. Watykan oczywiście zdawał sobie sprawę, że gdyby w tej sytuacji zostały rzucone na rynek wszystkie jego akcje, groziło by to ryzykiem załamania gospodarki włoskiej; ponieważ jednak taki krach spowodowałby również straty dla Watykanu, zrozumiano tam, że takie pociągnięcie oznaczałoby działanie na własną szkodę. Papież wraz z kardynałem Guerrim, szefem Sekcji Nadzwyczajnej APSA, na początek zdecydował się na wycofanie z włoskiego portfela Watykanu jednego z największych udziałów, mianowicie udziału w Societa Generale Immobiliare.

Majątek rozsiany po całym świecie wynoszący ponad pół miliarda dolarów był bez wątpienia wyraźnie dostrzegalnym bogactwem Kościoła.

Rekin znów stał się potrzebny.

Notowania akcji Societa Generale Immobiliare wynosiły około 350 lirów. Do Watykanu należało bezpośrednio lub pośrednio 25 proc. ze 143 mln w tych akcjach. Czy Sindona zechce się tym zająć? Kardynał Guerri zapytał go o to. Odpowiedź była natychmiastowa i pocieszająca — tak, chce przejąć cały pakiet, i to za podwójną cenę rynkową. Guerri i papież Paweł byli zachwyceni. Umowę między Sindona i Guerrim podpisano w Watykanie podczas tajnego spotkania w nocy wiosną 1969 r.

Było to dla Watykanu szczególnie korzystne spotkanie. Wyrażono także życzenie pozbycia się większości udziałów w Condotte d'Acqua, wodociągach rzymskich, i w Ceramica Pozzi, zakładach chemicznych i ceramicznych, które od pewnego czasu przynosiły straty. Uzgodniono cenę i Rekin uśmiechając się przejął oba udziały.

Kto właściwie wymyślił i zaaranżował tę operację? Kim był człowiek, którego honorowano za to najwyższymi pochwałami z ust papieża Pawła VI i kardynała Guerri oraz przyzwoitą prowizją z rąk Michele Sindony? Odpowiedź na to pytanie daje wymowne świadectwo nie tylko temu, jak dalece P 2 przeniknęła już Watykan, lecz również temu, jak często interesy P2 i Watykanu były zbieżne. Człowiekiem, który ukartował tę gigantyczną transakcję, był Umberto Ortolani, następca tronu Licio Gellego. Sindonie pozostało już jedynie załatwienie pieniędzy.

Kiedy obraca się cudzymi pieniędzmi, nietrudno jest kupić duże przedsiębiorstwo. Sindona zapłacił całą należność pieniędzmi, które pobrał nielegalnie z kont klientów w Banca Privata Finanziaria. W ostatnim tygodniu maja 1969 r. Sindona przekazał 5 mln dolarów do małego banku w Zurychu, prywatnego banku kredytowego. Jednocześnie wydał polecenie przekazania tych pieniędzy z powrotem do BPF, na konto „udziałów

Mabusi”. Siedzibą firmy Mabusi była skrytka pocztowa w Vaduz, stolicy Lichtensteinu; właścicielem firmy był Michele Sindona. Z „udziałów Mabusi” pięć milionów dolarów powędrowało do kolejnej firmy kontrolowanej przez Sindonę, Mabusi Italiana. Stamtąd pieniądze miały popłynąć dalej do Watykanu. Dodatkowe sumy na opłacenie tych transakcji Sindona zdobył włączając do tej gry wielki koncern amerykański, Gulf and Western oraz Hambros.

Sindona miał najwyraźniej wysoko rozwinięte poczucie humoru. Jedną z firm znajdujących się w posiadaniu Gulf and Western była wytwórnia filmowa Paramount w Hollywood. Jednym z najbardziej kasowych jej filmów był w owym czasie *Ojciec chrzestny* według powieści Mario Puzo. Tak więc można powiedzieć, że film, który znakomicie przedstawiał amoralny obraz świata mafijnego, przyniósł swoim producentom niezwykle zyski, których część postawiono znowu do dyspozycji doradcy finansowemu rodzin

mafijnych Gambino i Inzerillo, Michele Sindonie, człowiekowi, który obracał milionami zarobionymi przez te rodziny głównie na handlu narkotykami. W ten sposób koło się zamknęło. Rzeczywistość naśladowała fikcję.

Zmasowany, nielegalny transfer kapitałów z Włoch zaczął we wczesnych latach 70. wywierać poważne, negatywne skutki dla gospodarki kraju. Dla Sindony i Marcinkusa transfer pieniędzy z Włoch mógł być niezwykle korzystny, ale dla lira włoskiego był katastrofalny. W kraju zwiększało się bezrobocie, rosły koszty utrzymania. Sindona i jego wspólnicy kontynuowali swoje praktyki nie zważając na te negatywne zjawiska. Banki Sindony windując kursy akcji do olbrzymiej wysokości, wyciągały łatwowiernym klientom miliony dolarów z kieszeni, by dokonać własnych operacji finansowych.

Sindona i jego dobry przyjaciel, Roberto Calvi z Banco Ambrosiano chełpili się w owych latach zupełnie otwarcie, że kontrolowali giełdę mediolańską. Była to

W imieniu Boga?

kontrola, z której raz za razem w nielegalny sposób czerpali korzyści. Kursy różnych akcji skakały w górę i w dół jak jo-jo. Dla zabawy i korzyści finansowych Sindona i jego partnerzy grali tym lub innym przedsiębiorstwem jak piłeczką. Ich manipulacje z należąca do Watykanu firmą Pacchetti dają poglądowy przykład codziennych machinacji tych panów.

Firma Pacchetti rozpoczęła swoją działalność jako mało znacząca, nieduża garbarnia skór. Sindona nabył ją w 1969 r. i zdecydował się rozbudować ją w koncern mieszany. Na wzór wybrał sobie giganta amerykańskiego, koncern Gulf and Western, który miał udziały w różnorodnych firmach, od studiów filmowych wytwórni Paramount przez wydawnictwa po towarzystwa lotnicze. Zakupy, które Sindona poczynił na konto firmy Pacchetti, były skromniejsze. „Koncern” stał się czymś w rodzaju gospodarczej rupieciarni, w której były zgromadzone udziały w nierentownych stalowniach i firmach wytwarzających nie znajdujące zbytu środki czyszczące. Ale wśród tych rupieci błyszczał jeden klejnot. Sindona uzyskał od Marcinkusa opcję na zakup Banca Cattolica del Veneto. Niewątpliwie fakt, że prezes firmy Pacchetti, Massimo Spada, był także dyrektorem administracyjnym Banku Watykańskiego, pozwolił Marcinkusowi zapomnieć o priorytecie roszczeń weneckiego kleru i patriarchy Lucianiego.

Roberto Calvi, który uczestniczył w rokowaniach w sprawie nowych zakupów, złożył zapewnienie, że w ustalonym ściśle dniu przejmie firmę Sindony pod nazwą Zitropo. Tym samym gotowy był już scenariusz nowej, nielegalnej manipulacji na giełdzie mediolańskiej.

Wartość księgowa jednej akcji Pacchetti wynosiła około 250 lirów. Sindona polecił wydziałowi papierów wartościowych Banca Unione zakupienie akcji Pacchetti. Posługując

się nazwiskami podstawionych ludzi akcje ulokowano następnie nielegalnie w firmach znajdujących

się w posiadaniu Sindony. W rezultacie tego manewru kurs akcji Pacchetti osiągnął na giełdzie mediolańskiej wartość 1600 lirów. Kiedy w marcu 1972 r. zbliżał się ustalony termin przejścia firmy Zitropo, wszystkie firmy, w których Sindona ulokował swoje wyśrubowane w cenie akcje Pacchetti, za jednym zamachem przekazały Zitropo swoje zasoby tych papierów wartościowych. Efektem był nagły, niezwykle wzrost wartości Zitropo — oczywiście tylko na papierze. Ponieważ przy przejmowaniu Zitropo Calvi zapłacił tę wielokrotnie zawyżoną cenę, Sindona uzyskał na tej transakcji ogromny, nielegalny zysk. Całą operację sfinansował za pomocą fikcyjnych gwarancji. Wyobrażenie o tym, jak wielki to był zysk, daje fakt, że — jak ustali to w 1978 r. wyznaczony przez państwo syndyk masy upadłościowej, Giorgio Ambrosoli — Sindona wypłacił Calviemu łapówkę w wysokości 6,5 mln dolarów, on zaś z kolei tą premią za współdziałanie w udanym oszustwie giełdowym podzielił się po bratersku z biskupem Paulem Marcinkusem.

Dlaczego Calvi kupił Zitropo za tak horrendalnie zawyżoną cenę? W rachubę wchodzi trzy powody:

1. finansując zakup posłużył się pieniędzmi innych ludzi,
2. osiągnął osobisty zysk w wysokości 3,25 mln dolarów,
3. uzyskał w trakcie operacji z Pacchetti opcję na zakup Banca Cattolica Veneto.

Opcję tę uzyskał wcześniej od Marcinkusa Sindona. Fakt, że nikt nie uważał za potrzebne skonsultowania się w tej sprawie z patriarchą Wenecji, Albino Lucianim, lub tymi członkami jego diecezji, którzy swoje akcje Banca Cattolica zdeponowali w Banku Watykańskim, w najmniejszym stopniu nie niepokoiło biskupa Marcinkusa.

Sindona i Calvi stali się prawdziwymi wirtuozami w tej grze. Nigdy w historii bankowości nie zapłacono tak wiele za tak mało. W 1972 r. Calvi otrzymał dalsze 5 mln dolarów od Sindony, kiedy zmieniły właściciela akcje Bastogi, a potem dodatkowo jeszcze 450 mln

franków szwajcarskich, kiedy Sindona sprzedał mu 7200 akcji Finabanku. Za każdym razem te łapówki Sindony dla Calviego przechodziły przez konto MANI w Finabanku, należące oczywiście do tego pierwszego. Pieniądze lądowały na tajnych kontach szwajcarskich, które Calvi utrzymywał wraz z żoną. W Szwajcarskim Towarzystwie Bankowym i w Banku Kredytowym w Zurychu małżeństwo Calvich utrzymywało cztery tajne konta pod numerami i hasłami: 618934, 619112, Ralrov/G21 i Ehrenkranz (wieniec chwały). Zysk, który Sindona osiągał przy każdej z wymienionych operacji, z całą pewnością

odpowiadał sumom, które za każdym razem przekazywał Calviemu jako łapówki.

Roberto Calvi rozwinął w sobie nienasyconą skłonność do takich przestępstw i od czasu do czasu próbował swoich sił także jako solista. Tak więc na przykład w 1976 r. polecił jednemu ze swoich własnych banków, Centrale, zakupić duży pakiet akcji Toro Assicurazioni za cenę przewyższającą o 25 mld lirów ich rzeczywistą wartość. Pieniądze te wylądowały na jednym ze wspomnianych już kont szwajcarskich. Znalazło się tam także 20 mld lirów, które Calvi zarobił powtarzając tę grę z kolejnym pakietem ponad miliona akcji Centrale. Te ogromne sumy istniały nie tylko jako liczby w wyciągach z konta. Pieniądze wędrowały fizycznie z kieszeni licznych posiadaczy akcji do kieszeni Calviego i Sindony.

Później okaże się, co Marcinkus zrobił z przekazanymi mu 3,25 milionami dolarów z oszustwa z firmą Pacchetti.

Obiektem oszustw i manipulacji były także akcje Banca Cattolica. Sindona wiedział, że Calvi pertraktował z Marcinkusem w sprawie przejęcia banku — kursy akcji pięły się szybko w górę. W efekcie tych spekulacji wszyscy, którzy brali w nich udział, stali się o wiele bogatsi, niż byli. Z wyjątkiem diecezji weneckiej.

Sindona przedstawił Calviego Marcinkusowi w 1971 r. Biskup Marcinkus, który według własnych zapewnień nie znał się na działalności bankowej, miał więc dwóch wyśmienitych nauczycieli. Dla przypomnienia, prezesem Banku Watykańskiego mianował Marcinkusa papież Paweł.

Tymczasem różne wydziały Watykanu oferowały Sindonie, a później także Calviemu, sprzedaż ponad 10 firm. W 1970 r. Watykan pozbył się ostatecznie firmy farmaceutycznej Serono, która produkowała pigułki antykoncepcyjne, będące jednym z jej najbardziej opłacalnych wyrobów.

Dodatkowe źródło zysków dla Finabanku (a tym samym w równych częściach dla Sindony i Watykanu) stworzyła praktyka, która była jednocześnie dalszą z kolejnych przyczyn upadku gospodarczego Włoch, mianowicie system wystawiania podwójnych rachunków. Jak oświadczył Bordoni: *Nie było to tak zyskowne jak „odszkodowania”, które przynosiły nielegalny eksport czarnego kapitału, ale dawało również wysokie sumy.*

Sztuczka polegała na tym, że przy dostawach za granicę wystawiano faktury na znacznie zaniżone sumy. Sfałszowane w ten sposób faktury przechodziły oficjalnie przez włoski Bank Państwowy, który zgłaszał oczywiście te transakcje do władz podatkowych. Na podstawie tych zaniżonych rachunków eksporterowi wymierzano podatek.

Różnicę od rzeczywistej wartości dostawy odbiorca przekazywał bezpośrednio na konto Finabanku w Genewie. W wielu przypadkach eksporterzy włoscy zgłaszali straty w

tego rodzaju transakcjach i dodatkowo otrzymywali od urzędu finansowego ulgi podatkowe. Michele Sindona był właścicielem wielu firm eksportowych, które zgłaszały takie straty. Powszechnie stosowaną przez Sindonę praktyką były starania — przez przekupywanie polityków partii rządzących — o to, by straty te zawsze uznawano. Przytaczał też argument, że w ten sposób zmniejsza się bezrobocie.

W podobny sposób łupiono państwo także w transakcjach importowych. W tym wypadku wystawiano rachunki poważnie zawyżone. Importer opłacał je najpierw w pełnej wysokości. Dostawca zagraniczny zwracał następnie część sumy — najczęściej na konto w Finabanku, a od czasu do czasu także na konta w innych bankach szwajcarskich.

Biedny Kościół papieża Pawła stawał się coraz bogatszy. Finansowe wycofanie się Watykanu z Włoch doprowadziło do tego, że Sindona i Calvi rabowali teraz na całym świecie, by spłacać Św. Piotra i papieża Pawła.

Finabank był również elementem potężnej „pralni” pieniędzy nielegalnie uzyskiwanych przez mafie, P2 i inne organizacje przestępcze. Część tej „pralni” należała do Watykanu dzięki pozostawionemu 5-procentowemu udziałowi w Societa Generale Immobiliare. Ponieważ mafia nadal posługiwała się Bankiem Watykańskim w przeczuciu pieniędzy zarówno do Włoch, jak i z tego kraju, Watykan został w końcu właścicielem całej „pralni”. Wyjaśniono już, jaki użytek robili Sindona i jego ludzie z kont utrzymywanych przez Bank Watykański w BPF. Była to jedna z metod, którymi można było przetrząść poza kraj „brudne pieniądze” i „wyprać” je w Finabanku: metoda ta funkcjonowała zresztą w obie strony. Brudne pieniądze z działalności mafii w Meksyku, Kanadzie i USA prano we Włoszech. Proces ten był bardzo prosty. Według słów Carlo Bordoniego:

Te firmy w Kanadzie i Meksyku służyły do przeczucania przez granice tych państw do USA dolarów należących do mafii i wolnomularzy, które pochodziły z licznych działań nielegalnych i przestępstw kryminalnych; pieniądze przychodziły w walizkach i inwestowano je potem w amerykańskie obligacje państwowe. Te z kolei wysyłano do Finabanku — czyste i umożliwiające łatwe robienie pieniędzy.

Mafia amerykańska najwyraźniej nie miała absolutnie żadnych problemów z przekraczaniem granic. W Edilcentro of Washington, uzależnionym finansowo od SGI, bezpośrednio zamieniano je na obligacje państwowe, a te również wędrowały do *Finabanku*. Jeżeli mafia życzyła sobie transferu części wypranych pieniędzy do Włoch, czyniono to przez Bank Watykański.

Na początku lat 70. Sindona opisał Bordiniemu tajemnicę swego sukcesu: *Moja filozofia robienia interesów opiera się na mojej osobowości, która jest jedyna w swoim*

rodzaju na świecie: na zręcznie przedstawionych kłamstwach i na skutecznym stosowaniu broni, jaką jest szantaż.

Elementem techniki szantażu były między innymi łapówki. Dla Sindony łapówki nie były *niczym innym, jak tylko inwestycją. W ten sposób uzyskuje się wpływ na przekupioną osobę.* Stosując tę receptę zapewnił sobie wpływy w czołowej partii Włoch, Democrazia Cristiana (DC) — za 2 miliardy lirów na zapewnienie uzyskania nominacji kandydata DC, Mario Barone, na dyrektora Banca di Roma oraz za 11 miliardów lirów na sfinansowanie kampanii DC przeciw referendum w sprawie rozwodów. Umożliwił chrześcijańskim demokratom „zarabianie” miliardów dolarów. Pod zaszyfrowanym hasłem SIDC otworzył dla tej partii konto w Finabanku. We wczesnych latach siedemdziesiątych zgromadziło się na tym koncie trzy czwarte miliona dolarów. Sindona, deklarujący się jako bohater walki z komunizmem, potrafił sobie jednak zabezpieczyć tyły. Otworzył w Finabanku konto dla Włoskiej Partii Komunistycznej pod hasłem SICO. Również przez to konto przepływało miesięcznie trzy czwarte miliona dolarów z łupów Sindony.

Spekulował przeciw lirowi, dolarowi, marce zachodnioniemieckiej i frankowi szwajcarskiemu. Jeśli chodzi o ogromną spekulację przeciw lirowi (była to przeprowadzona wyłącznie przez Sindonę operacja na sumę 650 mln dolarów), to oświadczył premierowi włoskiemu, Andreottiemu, że zdaje sobie sprawę z ogromnego nacisku spekulacyjnego na lira. Aby dowiedzieć się więcej o zasięgu i kulisach tego zjawiska, polecił swemu maklerowi finansowemu, Bordoniemu, „symboliczne” włączenie się z Moneyrexem do tych spekulacji. Andreotti natychmiast zaczął wychwalać jako „wybawcę lira” człowieka, który na spekulacjach przeciw walucie włoskiej osiągnął ogromne zyski. Mniej więcej w tym samym czasie Sindonę uhonorowano odznaczeniem, które przekazał mu osobiście ambasador amerykański w Rzymie — Michele Sindona został „człowiekiem 1973 roku”.

Rok wcześniej Sindona przejął ukazujące się w Rzymie pismo „Daily American” i na przyjęciu galowym z tej okazji poinformował o zamiarze rozszerzenia pola działania i zainwestowania w USA dalszych 100 mln dolarów. Pomędzy przysłuchującymi się temu wystąpieniu gośćmi był jego dobry przyjaciel, biskup Paul Marcinkus. Kupieniem „Daily American” Sindona praktycznie zapewnił sobie wspaniałe wejście do świata kapitału amerykańskiego. Gazeta była finansowana przez CIA. Kongres żądał od CIA dokładnego rozliczenia wydawanych przez nią milionowych sum. Podobnie jak papieżowi Pawłowi, również pewnym ludziom z kierownictwa CIA wydawało się, że nadszedł stosowny moment, by się pozbyć kłopotliwych udziałów. Sindona twierdzi uparczywie, że kupił gazetę na wyraźne życzenie ambasadora USA Grahama Martina, obawiającego się, że mogłaby *wpaść*

w ręce lewicy. Martin zdementował to stwierdzenie posługując się wysoce nieparlamentarnym językiem: nazwał Sindonę kłamcą.

Bez względu na to, od kogo wyszła inicjatywa, nie ulega wątpliwości, że przed przejściem przez Sindonę „Daily American” była pismem dotowanym przez CIA. Tak samo nie ma wątpliwości, że nie była to pierwsza przysługa wyświadczona przez Sindonę tej „kompanii”.

W 1970 r. CIA poprosiła go, by subskrybował rozpisaną przez Jugosłowiański Bank Państwowy dwumilionową pożyczkę. Sindona nie dał się dwa razy prosić i zakupił papiery wartościowe. CIA przejęła je i zatroszczyła się o to, by wylądowały one w „zaprzyjaźnionych kręgach” w Jugosławii. Sindona pomagał CIA również w zaopatrywaniu w pieniądze prawicowych grup politycznych w Grecji i Włoszech.

Kiedy włoski establishment finansowy zapobiegł próbie pochłonięcia dużego, mediolańskiego towarzystwa holdingowego, Bastogi (częściowo z pewnych obaw przed coraz bardziej potężnym Sindoną, a częściowo z klasowej i rasowej zarożumiałości wobec tego sycylijskiego dorobkiewicza), Rekin skierował swoją uwagę na amerykański rynek kapitałowy. W 1972 r. człowiek, który miał już więcej banków niż niektórzy mężczyźni koszul, stał się wielkim akcjonariuszem Franklin Bank w Nowym Jorku.

Na liście największych banków amerykańskich Franklin Bank zajmował dwudzieste miejsce. Za milion akcji tego banku Sindona zapłacił 40 mln dolarów i uzyskał przez to udziały w wysokości 21,6 procenta. Zapłacił po 40 dolarów za akcję w czasie, gdy na giełdzie akcje Franklina były notowane po 32 dolary. Było to o tyle większe ryzyko, że tym razem kupił bank znajdujący się w bardzo niewyraźnej sytuacji, bowiem Franklin znajdował się na krawędzi bankructwa, o czym Sindona nie wiedział.

O prawdziwej megalomanii Sindony świadczy fakt, że nawet nie mrugnął powieką, kiedy się zorientował, co kupił. Posługiwanie się upadającymi bankami było dla niego zwyczajną sprawą. Załatwiał to bez trudu, dopóki miał możliwość przesuwania na papierze ogromnych sum tam i z powrotem, i dopóki miał do dyspozycji telex, za pomocą którego dokonywał transferu ogromnych sum z miejsca A do miejsca B, stąd do miejsca C i z powrotem do miejsca A.

Niespełna 24 godziny od zakupu Franklin Bank przez Sindonę, zanim jeszcze zdążył rozejrzeć się w biurze dyrekcji, bank opublikował dane na temat swoich obrotów w drugim kwartale 1972 r. Były one o 28 proc. niższe w porównaniu z analogicznym okresem 1971 r. Sindona — Rekin, wybawca lira, człowiek, który według Paula Marcinkusa *swego czasu znacznie przewyższał wszystkich swoją wiedzą w sprawach bankowych* — zareagował na tę

wiadomość w typowy dla siebie sposób: *Mam ważne kontakty we wszystkich ośrodkach finansowych. Ci, którzy robią interesy z Michele Sindona, będą je robili z Franklin National.*

Poprzedni właściciele Franklin Bank śmieli się w kułak poszukując lepszych możliwości ulokowania swoich pieniędzy. Jeśli chodzi o „ważne kontakty”, to nikt nie mógł zaprzeczyć, że Sindona rzeczywiście takie posiadał. Rozciągały się one od rodzin mafijnych Gambino i Inzerillo na Sycylii i w Nowym Jorku po papieża Pawła VI, kardynałów Guerri i Caprio oraz biskupa Paula Marcinkusa w Watykanie. Pokrywały wycinek wachlarza politycznego, który rozciągał się od Andreottiego i Fanfaniego we Włoszech po Richarda Nixona i Davida Kennedy’ego, ministra skarbu w Waszyngtonie. Obejmowały intymne kontakty handlowe z niektórymi najpotężniejszymi instytucjami finansowymi na świecie — Bankiem Watykańskim, Hambrosem w Londynie, Continentalem w Chicago i Rothschildem w Paryżu. Przez lożę P2 Licio Gellego Sindona nawiązał ścisłe kontakty z ludźmi, którzy rządili w Argentynie, Paragwaju, Urugwaju, Wenezueli i Nikaragui. W rozmowie z jednym z rzymskich adwokatów Sindona powiedział na temat ówczesnego dyktatora Nikaragui, Somozy:

Wolę współpracować z takimi ludźmi jak Somoza. Z jednoosobową dyktaturą można znacznie łatwiej robić interesy niż z rządami wybranymi demokratycznie. Jest u nich zbyt dużo komisji, zbyt dużo kontroli. Pragną być uczciwe, a to nie jest dobre dla interesów bankowych.

Jest to wyśmienita ilustracja filozofii loży P2, sformułowanej przez jej założyciela, Licio Gellego: *Drzwi wszystkich skarbców bankowych powinny się otwierać dla prawicy.* Kiedy Sindona robił interesy z Somozą i rozglądał się za podobnym partnerem w Stanach Zjednoczonych, Gelli również nie siedział beczynnie w Argentynie. Wietrząc rozczarowanie społeczeństwa panującą juntą włączył się do rozważań nad powrotem generała Perona z emigracji. W 1971 r. przekonał ówczesnego prezydenta, Lanusse’a, że jedynie powrót Perona może przywrócić stabilizację polityczną w Argentynie. Wkrótce potem generał wjechał triumfalnie do Buenos Aires. Jedną z pierwszych rzeczy, którą zrobił, było wyrażenie wdzięczności na kolanach przed Licio Gellim — gest, którego naocznym świadkiem był między innymi premier Włoch, Andreotti. We wrześniu 1973 r. Peron został ponownie prezydentem Argentyny.

W tym czasie, gdy Gelli doprowadzał do władzy prezydenta w Argentynie, Sindona w Stanach Zjednoczonych skoncentrował się na człowieku, który był najbliższy politycznym ideałom w jego pojęciu: Somozie i Peronowi, a mianowicie na Richardzie Nixonie.

Aby rozszerzyć sieć dobrych kontaktów, Sindona umówił się na spotkanie z zarządcą kasy wyborczej Nixona w kampanii w 1972 r., Mauricem Stanssem. Sindona przyszedł na to

spotkanie z dużą walizką zawierającą milion dolarów w gotówce. Zaproponował te pieniądze Stansowi jako dotację na kampanię wyborczą; chciał w ten sposób, jak powiedział, *zademonstrować swoją wiarę w Amerykę*, chociaż nalegał, by ta darowizna pozostała tajemnicą. Stans oświadczył później, że nie przyjął dotacji Sindony na kampanię wyborczą, gdyż — zgodnie z uchwaloną krótko przedtem ustawą — anonimowe darowizny były już zabronione.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy biskup Marcinkus prowadzącym śledztwo w sprawie miliardowego oszustwa z podrobionymi papierami wartościowymi przedstawicielom amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości mówił coś o wyśmienitych kwalifikacjach bankierskich Michele Sindony, jednocześnie wystawił czek na 307 000 dolarów. Była to suma, jaką Sindona był dłużny Watykanowi z powodu nielegalnych manewrów na giełdach amerykańskich akcjami przedsiębiorstwa pod nazwą Vetco Industries. Naruszając przepisy giełdowej władzy nadzorczej w USA, SEC, operujący z Los Angeles makler giełdowy zakupił na polecenia Sindony i Marcinkusa około 27 proc. kapitału Vetco. Watykan zapłacił należną grzywnę, a potem z zyskiem odsprzedał zakupione akcje.

W połowie 1973 r. niedobory w bilansach banków Sindony nabrały ogromnych rozmiarów. Przemieszczanie z jednego banku do drugiego dużych sum pieniędzy istniejących tylko na papierze i naruszanie przy tym wszelkich możliwych przepisów oraz popełnianie niezliczonych oszustw jest grą, którą można prowadzić bardzo, bardzo długo, pod warunkiem że łapówki przekazuje się we właściwe ręce. Niebezpieczeństwo jednak powstaje w chwili, gdy zaczyna się odprowadzać i kraść większe kwoty. Powstają wówczas luki. Wypełnia się je wykazując zyski, które także istnieją tylko na papierze. Im więcej odprowadzi się rzeczywistego, twardego pieniądza, tym większe stają się te luki i tym większe muszą być też fikcyjne zyski, potrzebne do wyrównania bilansu. Pieniądze zbierane ze swoich banków (należące oczywiście do innych ludzi) Sindona przekazywał wielu odbiorcom — partii Democrazia Cristiana, loży P2, Watykanowi i pravicowym rządowi w Ameryce Południowej, by wymienić tylko kilku najważniejszych odbiorców korzystających z jego dobroczynności. Oprócz tego obłowiło się także wielu jego współpracowników.

Przy swoim biurku w gmachu przy nowojorskiej Szóstej Alei Rekin uprawiał się w japońskiej sztuce origami. Podłoga wytwornego biura była usiana niezliczonymi przykładami jego zaawansowanego mistrzostwa w tej dziedzinie. Jak symboliczne wizerunki jego licznych firm piętrzyły się wokół niego małe, puste układanki. Interesy Rekina weszły teraz w stadium międzykontynentalnej żonglerki — rozmyślał nad tym, jak dokonać fuzji firmy A z bankiem B, pakiet akcji C dołożyć do holdingu D. Fuzje, rozdzielanie, wykupywanie, ponowne

łączenie.

Włosi nazwali to *Il Crack Sindona*. Kiedy to nastąpiło, kiedy runął zbudowany przez Sindonę pomnik chciwości i korupcji, było to imponujące widowisko. Czyż nie powiedział on z pogardliwym gestem, że sam nie wie, jak duży jest jego majątek osobisty, ale musi przyznać, że szacuje go na około pół miliarda dolarów? Rzeczywistość wyglądała inaczej. Ale realizm nie był nigdy silną cechą Rekina. Jak można odczytać z poniższego wyliczenia słupów milowych w jego zawierającej wiele błyskotliwych momentów karierze, inni swoimi iluzjami podsycali jego samooszukiwanie się i manię wielkości:

Wrzesień 1973 r.: w hotelu Waldorf Astoria w Nowym Jorku podczas uroczystego przyjęcia wstał premier Włoch, Giulio Andreotti, i wygłosił mowę na cześć Rekina; wychwalał go w niej jako „wybawcę lira”.

Styczeń 1974 r.: w Grand Hotelu w Rzymie Sindona otrzymał z rąk ambasadora amerykańskiego, Johna Volpe’a nominację na „człowieka 1973 r”.

Marzec 1974 r.: na giełdzie mediolańskiej zwyżkują kursy akcji i równocześnie lir umacnia się wobec dolara osiągając kurs 825 : 1. Gdyby Sindona przerwał w tym momencie swoje szeroko zakrojone operacje dewizowe, mógłby osiągnąć zyski w wysokości co najmniej 100 mld lirów. Anna Bonomi, rywalka Sindony w mediolańskim świecie finansowym, składa mu wspianą ofertę na jego udziały w Immobiliare. Sindona odmawia sprzedaży.

Kwiecień 1974 r.: kursy akcji spadają i dramatycznie spada kurs wymiany lira. Zarysowuje się *Il Crack Sindona*. Franklin Bank w Nowym Jorku informuje, że w pierwszym kwartale 1974 r. zysk zakładowy netto wyniósł 2 centy na akcję (w tym samym kwartale poprzedniego roku wynosił on jeszcze 68 centów). Nawet ta liczba jest zawyżona. W rzeczywistości bank poniósł straty w wysokości 40 mln dolarów.

Maj 1974 r.: położono kres spekulacjom dewizowym Franklin Bank. National Westminster Bank w Londynie wniósł sprzeciw wobec kliringu funtów sterlingów, jakiego przez jego konto dokonywał Franklin. W tygodniu poprzedzającym sprzeciw obejmowały one sumy wynoszące przeciętnie 50 mln funtów dziennie. W następstwie tego posunięcia Franklin ogłasza, że przejściowo nie będzie wypłacał dywidend kwartalnych. Był to pierwszy przypadek od czasów światowego kryzysu gospodarczego, że większy bank amerykański był zmuszony odprawiać akcjonariuszy z pustymi rękami.

Lipiec 1974 r.: we Włoszech i w USA powstają dostrzegalne luki w bankach. Podejmując próbę zatkania tych luk we Włoszech Rekin łączy ze sobą Banca Unione i Banca Privata Finanziaria. Daje mu nazwę Banca Privata. Zamiast dwóch banków średniej wielkości

Sindona posiada teraz w Mediolanie jeden bardzo duży. Zamiast dwóch dużych luk zieje teraz jedna ogromna luka na sumę 200 mld lirów.

Sierpień 1974 r.: pora dla establishmentu na otrząśnięcie się. W nadziei na zapchanie luki, Banca di Roma we Włoszech, który polecił przepisać sobie część imperium Sindony jako zabezpieczenie, pakuje 128 mln dolarów w Banca Privata. W Stanach Zjednoczonych rząd obawiający się, że bankructwo Franklin Bank mogłoby doprowadzić do nowego „czarnego piątku”, zapewnia mu nieograniczone poparcie. Franklin otrzymuje ponad 2 miliardy dolarów z funduszu rezerw Banku Państwowego USA.

Wrzesień 1974 r.: przymusowa upadłość Banca Pri-vata. Szacunkowe straty wynoszą ponad 300 mln dolarów. Watykan musiał spisać na straty wkłady i swój udział w banku na łączną sumę 27 mln dolarów.

Trzeci października 1974 r.: Licio Gelli zwraca małą część pieniędzy przekazanych loży P2 przez Sindonę. Członkowie P2 z aparatu wymiaru sprawiedliwości i policji powiadamiają Gellego, że na następny dzień zaplanowano aresztowanie Sindony. Gelli informuje go o tym.

Czwarty października: wystawiono nakaz aresztowania Michela Sindony, który tymczasem zbiegł z Włoch. Będąc zawsze przewidującym człowiekiem, przezornie zmienił obywatelstwo. Jest teraz obywatelem Szwajcarii. Chłopiec z Sycylii pofrunął do nowych stron ojczystych, do Genewy.

Ósmy października: bankructwo Franklin Bank. Straty dla amerykańskiego zabezpieczenia wkładów bankowych: dwa miliardy dolarów. Jest to największe bankructwo banku w historii Stanów Zjednoczonych.

Październik 1974 r. — styczeń 1975 r.: zatrzęsł się europejski świat finansowy, kiedy w krótkich odstępach czasu zbankrutowały liczne banki kontrolowane przez Sindonę albo z nim związane — Bankhaus Wolff AG w Hamburgu i I.K. Herstatt w Kolonii, Amincor Bank w Zurychu i Finabank w Genewie. Co do tego ostatniego, to szwajcarskie koła bankowe oceniły straty Watykanu na 240 mln dolarów. Straty Finabanku na samych tylko operacjach dewizowych oszacowano na co najmniej 82 mln dolarów.

Władze włoskie, a dokładniej mówiąc ta ich część, która nie znajdowała się pod kontrolą P2, podjęły stanowcze kroki. Sindona, który ukrywał się tymczasem w USA, w żadnym wypadku nie wykazywał chęci powrotu do Włoch. W październiku 1974 r. rozpoczęły się długotrwałe zmagania o jego ekstradycję. Zmagania te miały bezpośredni wpływ na dalszy los człowieka, który w owym czasie zajmował się jeszcze zbieraniem w Wenecji i okolicy pieniędzy na finansowanie ośrodków dla upośledzonych. Trudno byłoby

znaleźć większy kontrast niż między Albino Lucianim a Rekinem oraz między uznawanymi przez obu wartościami i celami, które im przyświecały.

Choć wielu ludzi usilnie życzyło sobie obecności Sindony we Włoszech, w Watykanie uważano go za *persona non grata*. Rozgoryczenie papieża Pawła narastało z każdą dostarczaną mu przez sekretarza stanu, kardynała Villota, informacją o nowych aspektach afery Sindony. Mówiono, że papież Paweł zamierzał stać się pierwszym ubogim papieżem nowej ery. Nie jest to zgodne z prawdą. Likwidacja większości udziałów kapitałowych Watykanu we Włoszech służyła tylko jednemu celowi: zwiększeniu zysków. Ożywiony dążeniem do uniknięcia zbliżającego się opodatkowania dochodów z kapitału ulokowanego we Włoszech i ograniczenia swej działalności gospodarczej w tym kraju, Watykan — Spółka z o.o. dał się zwabić Sindonie i jego klanowi obietnicami jeszcze większych zysków dzięki inwestycjom w USA, Szwajcarii, Niemczech i innych krajach.

Dziś Watykan rad by przekonać opinię publiczną, że tylko sam papież Paweł przez prawie całe dziesięciolecie był odpowiedzialny za bliską i stałą współpracę z Michele Sindoną. To stwierdzenie także nie jest prawdziwe. Znamienne, że nigdy go nie wygłaszano za życia papieża Pawła. Nie ulega wątpliwości, że to papież otworzył Rekinowi watykańskie bramy ze spizum i skinieniem ręki zaprosił go do środka, ale uczynił to, ponieważ jego sekretarz, monsignore Pasquale Macchi, jego doradcy, kardynał Guerri i Benedetto Argentieri z Sekcji Nadzwyczajnej oraz sekretarz stanu, kardynał Villot przekonali go, że Sindona był zesłanym przez Boga rozwiązaniem problemów Kościoła. Gdyby doradcy papieża zachowali pewne środki ostrożności, mogliby go w porę ostrzec, a on bez wątpienia posłuchałby tych ostrzeżeń. Dokładniejsze zbadanie opisanych wydarzeń prowadzi do nieuchronnego wniosku, że wiele wysoko postawionych osób wewnątrz murów watykańskich było gotowych, chętnych i żądnych współdziałania w kryminalnej działalności Michele Sindony.

Biskup Marcinkus musiał poddać się wielu nieprzyjemnym, szczegółowym przesłuchaniom przez włoskie władze wymiaru sprawiedliwości. Pytano go o osobiste i służbowe kontakty z Sindoną. Marcinkus, który na prośby Sindony i Roberto Calviego przyjął stanowisko dyrektora banku mającego swoją siedzibę w rajach podatkowych, Nassau na Wyspach Bahama, bliski przyjaciel Sindony, w 1973 r. prowadzącym dochodzenie Amerykanom, którzy przesłuchiwali go podczas wizyty w Watykanie, oświadczył:

Michele i ja jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Znamy się od lat. Moje interesy finansowe z nim były jednak bardzo oryginalne. Jest on, jak panom wiadomo, jednym z najzamożniejszych przemysłowców we Włoszech. Pod względem znajomości spraw finansowych wyprzedza on swoich współczesnych.

Niecałe dwa lata później, 20 lutego 1975 r., czcigodny biskup Marcinkus zapytany przez przedstawiciela włoskiego czasopisma „L'Espresso” o swoje kontakty z Sindoną oświadczył: *Prawdą jest także, że nawet nie znam Sindony. Jakże mógłbym więc stracić przez niego pieniądze? Watykan nie stracił ani centa, wszelkie inne twierdzenia są wymysłami.* Jak na prezesa banku Biskup Marcinkus miał alarmująco słabą pamięć, co przejawiało się w rozmowach ze śledczymi z USA jak i z włoskimi dziennikarzami. W 1973 r. wobec śledczych amerykańskich oświadczył: *Moje transakcje finansowe z Sindoną miały tylko niewielki zakres.* W rzeczywistości te transakcje z bankierem mafii były bardzo rozległe i to przez cały okres, od późnych lat sześćdziesiątych aż do 1975 r., na krótko przed *Il Crack Sindona*. Niecałe dwa lata przed przesłuchaniem przez śledczych amerykańskich i funkcjonariuszy FBI Marcinkus przy wydatnym współudziale Sindony sprzedał za 46,5 mln dolarów Roberto Calviemu Banca Cattolica, za co otrzymał od Sindony milionową prowizję. Nie były to wcale żadne „wymysły”, tak jak nie były nimi późniejsze straty, na które Sindoną naraził Watykan.

W następstwie bankructwa Sindony aresztowano doktora Luigi Menniniego, sekretarza Banku Watykańskiego; odebrano mu paszport. Mennini, który pracował pod bezpośrednim kierownictwem Marcinkusa, zaprzeczył wszystkiemu i twierdził, że o niczym nie wie. Prawdopodobnie również Alessandro Mennini, syn Luigiego, zajmujący wysokie, odpowiedzialne stanowisko w wydziale zagranicznym Banco Ambrosiano (a więc w samym centrum, z którego sterowano większością spekulacji dewizowych), byłby tak samo zaskoczony i niedoświadczony, gdyby ktoś wypytywał go o działalność kryminalną Sindony i Calviego.

Przed spektakularnym „krachem” Sindony, Mennini z polecenia i na rachunek Banku Watykańskiego spekulował dewizami, ramię w ramię ze współpracownikiem Sindony, Carlo Bordonim. Z czasem Bordoni poznał go bardzo dobrze:

Mimo że występował jako prałat, był wytrawnym graczem. Dokuczał mi pod każdym względem, gdyż chciał zarabiać coraz więcej i więcej. Spekulował za pośrednictwem Finabanku, spekulował akcjami i surowcami. Przypominam sobie, że pewnego dnia wręczył mi krótkie pismo od papieża Pawła VI, wyrażające papieskie błogosławieństwo za moją pracę jako doradcy Stolicy Apostolskiej. Mennini był praktycznie bezbronną ofiarą szantażu Sindony, który często groził ujawnieniem przed opinią publiczną informacji o jego nielegalnych operacjach dokonywanych za pośrednictwem Finabanku.

W zarządzaniu finansami watykańskimi aktywnie i w ścisłym porozumieniu z biskupem Marcinkusem nadal uczestniczył Massimo Spada, mimo że oficjalnie już w 1964 r. ustąpił z funkcji sekretarza administracyjnego Banku Watykańskiego. Także i jego, jak

Menniniego, odwiedzili pewnego ranka funkcjonariusze włoskiej policji skarbowej i pokazali mu nakaz rewizji. Zablokowano jego osobiste konta bankowe, odebrano mu paszport. Wszczęto przeciw niemu trzy różne dochodzenia, z których każde obejmowało szerokie spektrum naruszeń prawa bankowego, aż po oszukańcze bankructwo.

Spada, który według zaprzysiężonego zeznania Bordoniego, również był ofiarą szantażu Sindony i był całkowicie wtajemniczony w jego nielegalne machinacje, wycofał się na standardowe pozycje obronne Banku Watykańskiego, kiedy w lutym 1975 r. wypytywał go na temat tych spraw przedstawiciel „L’Espresso”: *„Któżby pomyślał, że Sindona jest szaleńcem. Człowiek piastujący w trzech bankach Sindony wysoko opłacane stanowisko dyrektora twierdził:*

Przez 45 lat nigdy nie znalazłem się w takiej sytuacji. Przeżyłem już najtrudniejsze okresy, ale coś takiego nigdy jeszcze mnie nie spotkało. Zbikowani szaleńcy, którzy za dewizy europejskie zaczęli nagle kupować miliardy dolarów. Stąd wzięły się te wszystkie straty. Któż mógł wiedzieć, że pan Bordoni dzień w dzień sprzedawał 50 lub 100 milionów dolarów za franki szwajcarskie lub guldeny holenderskie? Co rada nadzorcza może wiedzieć o zwariowanych machinacjach, które miały miejsce między styczniem i czerwcem 1974 r.?

Kiedy Spada wypowiadał te słowa, mimo swoich 70 lat był uważany za tak zdolnego handlowca, że zasiadał w radach nadzorczych 35 przedsiębiorstw.

W ten sposób wszystko przebiegało. Nikt z Watykanu — Spółki z o.o. nie miał najmniejszego pojęcia o kryminalnych praktykach Sindony. Łatwowierni słudzy Boga jak jeden mąż dali się oszukać temu diabłu. Czy to możliwe, że ci wszyscy, którzy dali się zwieść Sindonie, byli uczciwymi ludźmi? Czy jest możliwe, że tacy ludzie, jak Mennini i Spada, którzy jako przedstawiciele Watykanu zasiadali w radach nadzorczych banków Sindony, nie zauważyli przestępstw popełnianych przez Sindonę i Bordoniego? W jednym z wywiadów dla „L’Espresso” Massimo Spada ośmieszył się, kiedy go spytano, czy za spekulacje dewizowe rzeczywiście odpowiedzialni są tylko Sindona i Bordoni:

Pan zapewne żartuje. Operacje dewizowe w wysokości wielu setek miliardów (lirów) stały się dla banków czymś powszednim. Jeżeli przeciętny handlarz obraca na rynku mediolańskim sumą 25-30 miliardów lirów dziennie, a mały bank mediolański sumą 10-12 miliardów, to należy powiedzieć, że powinniśmy dziękować Opatrzności, kochanemu Bogu, świętemu Ambrozemu, świętemu Jerzemu, a przede wszystkim świętemu Januaremu za to, że nie rozpadł się cały włoski system bankowy. Powiedziałbym, iż w tym przypadku dobrze byłoby wszystkie banki włoskie urzędowo poinformować o tym, że toczą się przeciw nim dochodzenia.

Massimo Spada to nazwisko, którego można używać wymiennie z firmą Watykan — Spółka z o.o.; człowiek noszący to nazwisko jest potomkiem dynastii Spadów: jego pradziadek był bankierem księcia Torlonii, jego dziadek dyrektorem Banku Włoskiego, a jego ojciec, Luigi, maklerem giełdowym. On sam był w służbie Watykanu — Spółki z o.o. od 1929 r. Człowiek o tak wyszukanej proveniencji przyznał, że cała włoska gospodarka bankowa była po szyję uwikłana w przestępcze machinacje, ale równocześnie twierdził, że nie wiedział, co się działo w bankach, w których radach nadzorczych sam zasiadał.

Dokonywane po bankructwie Sindony szacunki możliwych strat Watykanu różniły się między sobą. Oceny te sięgały do 240 milionów dolarów, którą to sumę, jak już wspomniano, wyliczyły szwajcarskie koła bankowe, po stwierdzeniu samego Watykanu — Spółki z o.o.: *Nie straciliśmy ani centa*. W rzeczywistości straty te oscylowały prawdopodobnie wokół 50 milionów dolarów. Jeżeli wielonarodowy koncern z prawego brzegu Tybru twierdził, że nie stracił ani centa, to bez wątpienia uwzględnił w swoim rachunku ogromne zyski osiągnięte dzięki kontaktom z Rekinem. Zmniejszenie zysków z 300 do 250 milionów określa się jako stratę we wszystkich językach, również w łacińskim.

Do tych 50 milionów dolarów strat spowodowanych przez Sindonę dochodzi jeszcze 35 milionów, które Watykan — Spółka z o.o. stracił w osobliwej aferze związanej z Banca di Roma per la Svizzera w Lugano, tak zwanym Svirobankiem. Watykan dysponował w tym banku 51-procentowym pakietem akcji. Jego prezesem był Giulio Pacelli, a sekretarzem Luigi Mennini. Tak jak wszystkie inne banki związane z Watykanem, Svirobank spekulował brudnymi pieniędzmi, którymi obracał dla określonego rodzaju klientów — tych, którzy uciekli ze swoim kapitałem i wielkich, włoskich grup gangsterskich. Spekulacje złotem i spekulacje dewizowe były zjawiskiem powszednim. W 1974 r. zaczęła powstawać luka w finansowaniu. Odpowiedzialnością za to obciążono zastępcę dyrektora, Mario Tronconiego, co sprawia dziwne wrażenie w obliczu faktu, że operacje przeprowadzał inny urzędnik Svirobanku, Franco Ambrosio.

Jesienią 1974 r. Mario Tronconi stał się ofiarą „samobójstwa” — jego ciało znaleziono na torach linii kolejowej Lugano-Chiasso. W kieszeni miał list pożegnalny do żony. Pacelli, Mennini i inni dyrektorzy Svirobanku najwyraźniej zmusili Tronconiego, by przed śmiercią podpisał oświadczenie, w którym przyznał się do pełnej odpowiedzialności za 35-milionowe manko. Nikt nie obwiniął Ambrosia, który w rzeczywistości spowodował stratę. Nałożono na niego jednak niewdzięczne zadanie jej wyrównania. Prawda o tych wydarzeniach wyszła na jaw dopiero dwa lata później, kiedy Mario Barone, jednego z dwóch przewodniczących rady nadzorczej Banco di Roma (do którego należało pozostałe 49 proc. udziałów w Svirobanku)

aresztowano i przesłuchiowano w związku z aferą Sindony. Zawód bankiera we Włoszech jest jak widać dość ryzykowny. Mario Tronconi nie był jedynym bankierem, który popełnił „samobójstwo”. W następnym dziesięcioleciu lista takich „samobójców” miała się alarmująco wydłużyć. W miarę mnożenia się problemów likwidowano je za pomocą „włoskiego rozwiązania”.

W tym czasie, kiedy Michele Sindona walczył w Nowym Jorku przeciw swojej ekstradycji do Włoch i przygotowywał plany odwetu, Watykan — Spółka z o.o. zajął się ponownie spekulacjami; tym razem posłużono się człowiekiem, który poszedł śladami Sindony: Roberto Calvi. Calvi był znany w mediolańskich kołach finansowych jako *Il Cavaliere* (rycerz) — osobliwy to przydomek dla człowieka, który był skarbnikiem P 2. Nosił go do 1974 r., kiedy urzędujący wówczas prezydent Włoch, Giovanni Leone, w uznaniu jego zasług dla gospodarki włoskiej nadał mu tytuł *Cavaliere del Lavoro*. Calviemu powierzono wówczas przejęcie roli Sindony, człowieka piorącego pieniądze mafii i menedżera wszelkich innych nielegalnych działań.

Roberto Calvi urodził się 13 kwietnia 1920 r. w Mediolanie. Jego korzenie rodzinne tkwiły jednak w Valtellinie, długiej dolinie górskiej w pobliżu granicy ze Szwajcarią, niedaleko rodzinnej miejscowości Albino Lucianiego. Po studiach na prestiżowym Uniwersytecie Bocconi walczył na froncie rosyjskim za Mussoliniego. Po wojnie idąc w ślady ojca poświęcił się działalności bankowej. W 1947 r. rozpoczął pracę w Banco Ambrosiano w Mediolanie. W banku, który miał za patrona świętego Ambrożego, panowała religijna atmosfera. Podobnie jak Banca Cattolica Veneto był on znany jako „bank księży”. Kto chciał otworzyć w nim konto, musiał najpierw udowodnić świadectwem chrztu, że jest katolikiem. Posiedzenia rady nadzorczej kończyły się modlitwą dziękczynną za osiągnięte obroty i zyski. We wczesnych latach sześćdziesiątych w banku tym panowała atmosfera bardziej podniosła niż w niektórych kościołach mediolańskich. „Rycerz” o zimnych oczach planował pewne nieortodoksyjne posunięcia wobec tego sennego banku diecezjalnego, do którego klientów należał arcybiskup Mediolanu, kardynał Giovanni Montini. Kiedy w 1963 r. Montini został papieżem, Calvi awansował na zastępcę kierownika Banco Ambrosiano. W tym czasie, kiedy papież Paweł VI wezwał Sindonę do Watykanu, aby powierzyć mu likwidację znacznej części nieprzyzwoicie rozległych lokat kapitałowych Kościoła, Rekin i Rycerz byli już dobrymi przyjaciółmi. Obaj opracowali plan zawładnięcia Banco Ambrosiano i uczynienia z niego międzynarodowej instytucji bankowej szczególnego rodzaju. W 1971 r. Calvi został urzędującym dyrektorem banku. W wieku 51 lat przerósł znacznie skromną, duchowną pozycję swego ojca. Gdyby był człowiekiem przeciętnego pokroju, zadowoliliby się być może spoczęciem na

laurach i odgrywaniem na posiedzeniach rady nadzorczej roli intonującego modlitwę. Jedyną przeciętną rzeczą u Roberto Calviego był jego wzrost. Umiejętność wyszukiwania coraz innych sposobów prania pieniędzy mafii, doświadczenie i spryt w nielegalnym eksporcie kapitału, omijaniu przepisów podatkowych, maskowaniu nielegalnych praktyk, kupowaniu akcji własnego banku, manipulowaniu giełdą mediolańską, przekupywaniu, obchodzeniu prawa, organizowaniu morderstw w jednym miejscu i nieuzasadnionego aresztowania w innym, wszystkie te i inne umiejętności uczyniły z Rycerza kryminalistę szczególnie wysokiej klasy. Sindona zwykł mówić wszystkim, że jeżeli chcą zrozumieć, co dzieje się na świecie, powinni czytać książkę Mario Puzo, *Ojciec Chrzestny*. Nosił ją zawsze przy sobie jak ksiądz swoją Biblię.

Sindona przedstawił Calviego szefowi Banku Watykańskiego, biskupowi Marcinkusowi w 1971 r. Od razu przyjęto go do ekskluzywnego kręgu *uomo di fiducia*, mężów zaufania Watykanu. Do tego kręgu doradców i agentów finansowych Watykanu — Spółki z o.o. należeli tacy ludzie, jak Sindona, Spada, Mennini i Bordoni, wszyscy bez wyjątku niezwykle starannie dobrani.

Zadanie Calviego polegało na rozpowszechnianiu na cały świat zarazy przestępczości gospodarczej inspirowanej przez Watykan. W 1963 r. założył w Luksemburgu firmę pod nazwą Compendium, którą przemianował potem na Banco Ambrosiano Holdings SA. Ta pełniąca rolę skrzynki pocztowej firma odgrywała kluczową rolę w manewrach finansowych Calviego. Przez jej konta miały przepłynąć miliony wypożyczonych eurodolarów. Ponad 250 banków z całego świata udzielało pożyczek tej małej, zakamuflowanej firmie, a ogólnie suma kredytów osiągnęła ponad 450 mln dolarów.

Królestwo Rycerza szybko się rozrastało. Już na początku lat sześćdziesiątych Banco Ambrosiano zakupił Banco del Gottardo w szwajcarskiej miejscowości Lugano. Po bankructwie należącego do Sindony Amincor Bank w Zurychu, bank ten stał się głównym punktem przeładunkowym pieniędzy mafii, które należało wyprać. Doszły do tego inne nabytki za granicą. Jednym z nich był Banco Ambrosiano Overseas Ltd. w Nassau. Tę filię w rajach podatkowych, jakim były Wyspy Bahama, utworzono w 1971 r.; od początku jednym z jej dyrektorów był biskup Paul Marcinkus. Pierwotnie firmę tę, przypuszczalnie dla lepszego zamaskowania, zarejestrowano pod nazwą Cisalpino Overseas Bank. Napływające do kas Banku Watykańskiego dochody rosły w takim samym stopniu jak imperium Calviego.

Aby zrozumieć bardzo skomplikowane, często zupełnie świadomie komplikowane manipulacje finansowe, musimy wyjaśnić sobie jedno: Banco Ambrosiano w Mediolanie i Bank Watykański były ze sobą ściśle powiązane. Wiele najważniejszych operacji obie

instytucje dokonywały wspólnie. Możliwość ciągłego naruszania prawa Calvi zawdzięczał pomocy udzielanej skwapliwie przez Bank Watykański. Bank ten wystąpił na przykład oficjalnie w roli kupującego, kiedy Calvi 19 listopada 1976 r. nabył 53,3 proc. udziałów w Banco Mercantile SA we Florencji. Krętymi drogami akcje te zawędrowały 17 grudnia 1976 r. na mediolańską giełdę maklerską Giammei and Co., która często realizowała zlecenia Watykanu. Za pomocą kilku sprytnych transakcji dokonanych na papierze, akcje jeszcze tego samego dnia znalazły „przystań” w Banku Watykańskim. Ponieważ na odpowiednim koncie Watykan nie miał wystarczającej sumy, by za nie zapłacić, problem ten rozwiązano w ten sposób, że 17 grudnia 1976 r. na nowo otwartym koncie o numerze 42 801 pojawił się kredyt dyspozycyjny w wysokości 8 mln lirów, który Bank Watykański mógł wykorzystać. Pół roku później, 29 czerwca 1977 r. firmy Giammei and Co. i Credito Commerciale w Mediolanie wspólnie odkupiły ponownie akcje od Banku Watykańskiego. Zanim to nastąpiło, w cudowny sposób zyskały one na wartości, przynajmniej na papierze. Pierwotnego zakupu dokonano po 14000 lirów za akcję. Kiedy w czerwcu 1977 akcje wróciły do Giammei and Co., wyceniono je na 26000 lirów za jedną. Credito Commerciale 30 czerwca 1977 r. sprzedał cały pakiet firmie Immobiliare XX Settembre SA; właścicielem tej firmy był Roberto Calvi. W tej transakcji dokonanej na papierze Bank Watykański osiągnął zysk w wysokości 7 724 378 100 lirów. W rzeczywistości Calvi zapłacił Bankowi Watykańskiemu 800 milionów lirów za zezwolenie na wykorzystywanie jego nazwy i stwarzanych przezeń ułatwień. Bank Watykański leżał na terytorium niezawisłego tworu państwowego, jakim jest Watykan, poza zasięgiem i możliwością interwencji włoskiego nadzoru bankowego. Sprzedając sobie samemu należące do siebie akcje za cenę dwukrotnie wyższą od pierwotnej ceny zakupu, Calvi spowodował znaczny wzrost wartości księgowej Banco Mercantile i tym samym w oszukańczy sposób stał się bogatszy o 7 724 378 100 lirów. Od sumy tej należało jednak odliczyć „odszkodowanie” dla Banku Watykańskiego. Później Calvi sprzedał swoje udziały w Banco Mercantile swej mediolańskiej konkurentce, Annie Bonomi za 33 miliardy lirów.

Dzięki wielkodusznej i stałej gotowości Banku Watykańskiego do współpracy, Calvi przez całe lata mógł obchodzić ustawy włoskie krętymi nielegalnymi i kryminalnymi drogami. Różne operacje, jak ta właśnie opisana, nie byłyby możliwe bez wiedzy i aprobaty Marcinkusa.

Jeśli chodzi o poczynania Sindony, Calviego i Marcinkusa wobec Banca Cattolica Veneto, to wszystkie możliwe punkty zaczepienia wskazują na istnienie sprzysiężenia kryminalnego, w które wszyscy trzej w równym stopniu byli zaangażowani. Ponieważ akcje tego banku należały do wielu kościołów w regionie weneckim, ich sprzedaż bez wiedzy i

aprobaty właścicieli stanowiła oszustwo i była nielegalna.

Marcinkus chciał więc utrzymać tę operację w tajemnicy, nawet przed papieżem Pawłem VI. Kilka lat później, w rozmowie z Flavio Carbonim, Calvi przedstawił tę sprawę następująco:

Marcinkus, człowiek uparty, urodzony na przedmieściu Chicago jako syn biednych ludzi, chciał, by o tej operacji nie dowiedział się nawet boss, to znaczy papież. Trzykrotnie spotkałem się z Marcinkusem w sprawie Banca Cattolica del Veneto. Chciał mi go sprzedać. Zapytałem go: — Jesteś pewien? Czy możesz tego dokonać? Czy boss się na to zgadza? To ja go namawiałem: Idź do bossa i powiedz mu to. Marcinkus posłuchał mojej rady. Nieco później załatwił mi audiencję u Pawła VI, który dziękował mi, ponieważ uregulowałem tymczasem kilka problemów Biblioteki Ambrożego. Wiedziałem oczywiście, że w rzeczywistości dziękował mi za Banca Cattolica Veneto. (Carboni potajemnie nagrał na taśmę tę i inne rozmowy z Calvim między październikiem 1981 r. i majem 1982 r.)

Kto szuka potwierdzenia, że najpóźniej na początku lat siedemdziesiątych papież stał się *de facto* prezesem wielonarodowego koncernu, znajdzie je być może w tym, że Calvi mówiąc o Ojcu Świętym, następcy na tronie Świętego Piotra, o Pontifexie Maximusie, posiadaczu tych wszystkich godnych i świętych tytułów, nazywał go po prostu „bossem”. Podobnie pouczające są pełne zakłopotania pytania Calwiego pod adresem Marcinkusa: *Czy jesteś pewien? Czy możesz tego dokonać?* Mediolański bankier znał z pewnością dokładnie ściśle powiązania Banca Cattolica z duchowieństwem Wenecji. To, że Marcinkus chciał początkowo przeprowadzić operację bez wiedzy papieża, jest kolejną wskazówką demonstrującą, jak problematyczna była sprzedaż banku Calviemu.

Jak widać pogląd Benellego, że Luciani i jego biskupi nie mogli oczekiwać pomocy ze strony papieża Pawła VI w sprawie sprzedaży Calviemu Banca Cattolica, był uzasadniony. Papież Paweł VI przy pomocy Calwiego, Marcinkusa i Sindony wyprodukował bombę zegarową, która tykała aż do września 1978 r.

Obawiając się reakcji z Wenecji, Marcinkus i Calvi tłumili wszystkie informacje o sprzedaży banku. Trzydziestego marca 1972 r. grupa Calwiego poinformowała oficjalnie, że nabyła 37,4 proc. udziałów w Banca Cattolica. Tymczasem leżące przede mną dokumenty mówią co innego: dwudziestego siódmego lipca 1971 r. Calvi pisał do Marcinkusa:

Pismem tym chcielibyśmy poinformować Was o naszej poważnej ofercie zakupienia do 50 proc. akcji Banca Cattolica Veneto w Vicenza po cenie 1600 lirów za akcję z prawem użytkowania, w sposób następujący:

1. 45 proc. akcji wyżej wymienionego towarzystwa, czyli 16254000 akcji za sumę

42000000 dolarów, zakładając, że zaakceptuje naszą poważną ofertę.

2. Pozostałe akcje, to znaczy do pięcioprocentowego, dalszego udziału w kapitale, czyli 1806000 akcji, z odroczeniem terminu realizacji od daty „deklaracji zamiarów” w odniesieniu do wspomnianego na wstępie Banca Cattolica Veneto, najpóźniej do 31 października 1971 r. po zapłaceniu 4 500 000 dolarów 29 października 1971 r.

W końcowym efekcie Bank Watykański otrzymał 46,5 mln dolarów. Przeliczenie według dzisiejszej siły nabywczej dałoby sumę 115 mln dolarów.

Calvi, człowiek który miał dokonać bez skrupułów kilku największych oszustw lat 70., wiedząc zapewne, że w tym przypadku oferta zostanie pokazana samemu papieżowi, dodał do niej następujące zdanie:

Informujemy, że zobowiązujemy się do zachowania w niezmienionej formie zwyczajów kupieckich Banca Cattolica Veneto z punktu widzenia wysokich wymogów społecznych, moralnych i religii katolickiej.

Zachowany w Banku Watykańskim egzemplarz tego listu jest podstemplowany i parafowany przez biskupa Marcinkusa. Trzeba było więc prawie roku, aby potajemna transakcja z 1971 r. stała się znana w Wenecji.

Z wysokimi wymogami społecznymi, moralnymi i katolickimi, których do tej pory musiano przestrzegać w działalności handlowej Banca Cattolica, Calvi pożegnał się tak szybko, że całe duchowieństwo regionu zostało wyprowadzone z równowagi i oblegało w Wenecji gabinet Lucianiego. Jak już napisano, Luciani natychmiast po tym udał się do Rzymu, ale najwidoczniej wtedy było jeszcze za wcześnie na kontrposunięcia, zwłaszcza że Paweł VI pochwałał transakcję. Czas na działanie przyszedł sześć lat później, we wrześniu 1978 r.

W ciągu tych sześciu lat panowała osobliwa sytuacja. Akcje w ogóle nie opuściły Banku Watykańskiego. Dwudziestego dziewiątego października 1971 r., a więc w dniu, w którym teoretycznie pozostałe 5 proc. akcji powinno przejść w posiadanie Calviego, razem z wcześniejszymi 45 procentami — które również spoczywały w Banku Watykańskim — przepisano je na firmę pod nazwą Zitropo należącą w owym czasie do Sindony. Później Zitropo przeszło na własność Calviego, a następnie Banku Watykańskiego; akcje Banca Cattolica pozostały jednak w skarbcu Watykanu. Nie powinno więc w zasadzie dziwić, że Paul Marcinkus, mianowany tymczasem arcybiskupem, jeszcze w marcu 1982 r. mówił o *naszych inwestycjach w Banca Cattolica, które bardzo dobrze przebiegają.*

Kiedy w 1974 r. na giełdzie mediolańskiej zaczęły spadać kursy, Banco Ambrosiano należał do tych, którzy na tym ucierpieli. Pod tym względem Calvi był szczególnie wrażliwy.

W międzynarodowych transakcjach bankowych głównym elementem jest zaufanie. W odnośnych kołach wiedziano, że Calvi był bliskim partnerem Sindony. Kiedy doszło do „krachu Sindony”, świat bankowy zaczął wykazywać większą powściągliwość wobec Rycerza. Ograniczono linie kredytowe Banco Ambrosiano. Nagle Calviemu trudno było uzyskać kredyty na międzynarodowym rynku walutowym, ale najgorsze było to, że wśród lokujących drobne kapitały zaczął się zmniejszać popyt na akcje jego banku, co wywoływało spadek ich kursów. Jakby cudownym zrządzeniem w tej niemalże krytycznej sytuacji, przysłała mu z pomocą firma pod nazwą Suprafin SA. Ta instytucja finansowa, utrzymująca biuro w Mediolanie, wykazała zadziwiające zaufanie do solidarności signore Calviego. Dzień w dzień kupowała akcje Banco Ambrosiano, akcje, które sprzedawano jednak tak szybko, że nie wystarczyło czasu na wniesienie nazwy Suprafin do wykazu akcjonariuszy.

Akcje kupowały firmy w Lichtensteinie i Panamie. Zaufanie do Calviego zaczęło ponownie wracać, a Suprafin kupował dalej. W latach 1975-78 firma ta demonstrowała niezachwianą wiarę w przyszłość banku Calviego, wiarę, która była dla niej warta 50 mln dolarów.

Suprafin najwyraźniej musiał wiedzieć coś, o czym nie wiedział nikt inny. Mimo że w latach 1974-1978 kurs akcji Ambrosiano systematycznie spadał, Suprafin nabył w tym czasie 15-procentowe udziały w banku. Oficjalnie Suprafin należał do dwóch firm z Lichtensteinu, Teclefin i Inparfin, które z kolei należały do Banku Watykańskiego. W praktyce jednak Suprafin był własnością Roberto Calviego. Oznacza to, że Calvi za wiedzą Banku Watykańskiego masowymi zakupami wspierał kurs akcji Ambrosiano, co było nielegalnym procederem. Pieniądze potrzebne na finansowanie tego oszustwa pochodziły z kredytów międzynarodowych, które zaciągała filia luksemburska oraz z kasy samego Banco Ambrosiano.

Bank Watykański rokrocznie otrzymywał ogromne sumy za udostępnienie Rycerzowi swej nazwy i instytucji dla dokonywania tych gigantycznych oszustw międzynarodowych. Pieniądze przekazywano Bankowi Watykańskiemu w różny sposób. Wszystkie należności watykańskie w Banco Ambrosiano były na przykład co najmniej o jeden punkt korzystniej oprocentowane niż należności innych właścicieli ulokowanego tu kapitału. Inna metoda polegała na tym, że Ambrosiano wykupywał akcje od Watykanu. Mianowicie Watykan *pro forma* sprzedawał pakiet akcji firmie zarejestrowanej w Panamie. Oczywiście za cenę, która była wyższa nawet o 50 proc. od prawdziwej wartości akcji. W rzeczywistości „sprzedane” papiery wartościowe nigdy nie opuszczały portfela Watykanu; kiedy operacja dobiegała końca, bank Marcinkusa był o kilka milionów dolarów bogatszy. Firma panamska, która z

reguły posiadała kapitał własny wynoszący jedynie kilka tysięcy dolarów, potrzebne na zapłacenie za akcje miliony pożyczła od Banco Ambrosiano Overseas w Nassau, którego dyrektorem był Marcinkus. Bank z Nassau z kolei brał pieniądze od swej kompanii luksemburskiej, ta zaś ze swej strony pożyczła je od banków międzynarodowych.

Calvi wbrew wszelkiemu rozsądkowi miał najwyraźniej nadzieję, że kurs akcji Ambrosiano wzrośnie kiedyś na tyle, by mógł się ich pozbyć z realnym zyskiem. Już w 1978 r. jego manewry finansowe były podobne do tańca na cieniućkiej linie. Mając już wystarczająco wiele zmartwień spędzających mu sen z powiek, musiał jeszcze do tego walczyć z problemem dotyczącym prania pieniędzy mafii. Dodatkowo obciążały go jeszcze niesłychane żądania finansowe P2, które mógł zaspokoić jedynie przez popełnianie dalszych oszustw. Na domiar złego wciąż odczuwał skutki historii z szantażem, zainscenizowanej przez Michele Sindonę.

W czasie gdy Rycerz miał pełne ręce roboty z utrzymywaniem wysokiego kursu swoich akcji Ambrosiano za pomocą wyłudzonych dolarów, Rekin także nie siedział bezczynnie. Sindona może się kojarzyć z postacią ze sztuki Pirandella, w której wszystko, w co z przekonaniem wierzono, może się na koniec okazać jedynie iluzją. Dramaturg przypuszczalnie wzbraniałby się przed wykreowaniem takiej nieprawdopodobnej postaci. Tylko prawdziwe życie mogło stworzyć Michele Sindonę.

Licio Gelli w dalszym ciągu rewanżował się Sindonie za przysługi dla P2. Kiedy prokuratura mediolańska w styczniu 1975 r. wystąpiła z wnioskiem o ekstradycję Rekina do Włoch, amerykańskie władze wymiaru sprawiedliwości oświadczyły, że potrzebują jeszcze dodatkowych informacji i fotografii Sindony. Zażądały ponadto przetłumaczenia wniosku o ekstradycję na język angielski. Prokuratorzy mediolańscy przygotowali nowy, obejmujący 200 stron wniosek i przesłali go do ministerstwa sprawiedliwości w Rzymie z prośbą o przetłumaczenie i przekazanie dalej do Waszyngtonu. Po pewnym czasie otrzymali go z powrotem z adnotacją, że ministerstwo nie może przygotować tłumaczenia. W rzeczywistości ministerstwo sprawiedliwości dysponuje najsprawniejszym wydziałem tłumaczeń, jaki w ogóle istnieje we Włoszech. Ambasada amerykańska w Rzymie oświadczyła, że nie wie nic o wniosku o ekstradycję dotyczącym Michele Sindony. Licio Gelli miał przyjaciół w wielu miejscach.

Tymczasem nie nagabywany przez nikogo Sindona żył sobie w ocenianym na 200000 dolarów luksusowym apartamencie w nowojorskim hotelu Pierre. Do pomocy w walce z ekstradycją zaangażował kancelarie adwokackie Richarda Nixona i Johna Mitchella. Wytypowany przez dziennikarzy przedstawiał swoje problemy z władzami włoskimi jako

rezultat wymierzonego przeciw niemu sprzysiężenia:

Gubernator Banku Włoskiego i inni członkowie establishmentu włoskiego intrygują przeciw mnie. W całym moim życiu nie dokonałem ani jednej operacji dewizowej. Moi wrogowie we Włoszech zniestawili mnie i mam tylko nadzieję, że pewnego dnia wkroczy sprawiedliwość.

Kiedy we wrześniu 1975 r. w prasie włoskiej pojawiły się fotografie pokazujące ubranego w smoking Rekina, który wymieniał uścisk dłoni z burmistrzem Nowego Jorku, Abrahamem Beame'em, przynajmniej część opinii publicznej tego kraju zareagowała oburzeniem. „Corriere della Sera” napisał:

Sindona nadal składa oświadczenia, udziela wywiadów i na emigracji w Ameryce obraca się w wyższych sferach. Ustawy o ekstradycji i jej mechanizmy nie są jednakowe dla wszystkich. Ktoś, kto ukradł jabłko, dogorywa może miesiącami lub latami w więzieniu. Kogoś, kto jako gastarbeiter żyje za granicą i nie jest posłuszny rozkazowi powołania do wojska, sprowadza się siłą i stawia przed trybunałem wojskowym. Dla takich ludzi nie ma krętych ścieżek i kryjówek biurokracji.

We Włoszech zebrali się razem drobni udziałowcy i korzystając z pomocy adwokatów usiłowali odzyskać trochę pieniędzy, które utracili przez bankructwo Sindony, a Watykan ogłosił informację o *poważnym deficycie budżetowym*. W Nowym Jorku Rekin zaangażował doradcę ds. kontaktów z mediami i udał się na turnee po uniwersytetach z wykładami.

W tym czasie, gdy aresztowano piastujących kierownicze funkcje urzędników Franklin National Bank i oskarżono ich o roztrwonienie na skutek niedbalstwa milionów dolarów przez spekulacje na giełdzie dewizowej, Sindona wyjaśniał studentom Wharton Graduate School w Filadelfii:

Celem — może bardzo ambitnym — tego krótkiego wykładu jest przyczynienie się do tego, by Stany Zjednoczone odnalazły wiarę w zdolność do funkcjonowania ich systemu gospodarczego, finansowego i walutowego oraz przypomniały sobie, że wolny świat potrzebuje Ameryki.

W tym czasie, gdy sąd mediolański skazał go zaocznie na trzy i pół roku pozbawienia wolności, kiedy sędziowie uznali go winnym przywłaszczenia sobie w 23 przypadkach łącznie dziesięciu milionów funtów, dobrodusznie zapewniał on studentów Columbia University:

Jeżeli wypłaty dokonano po to, by w imię niesprawiedliwych korzyści naruszyć obowiązujące przepisy prawne, do działania jednoznacznie powinna przystąpić opinia publiczna. Należy ukarać zarówno przekupionego, jak i tego, kto przekupił.

W tym czasie, gdy Sindona planował zastosowanie szantażu wobec swojego bliskiego przyjaciela i brata z żony P2, Roberto Calviego, przed studentami, którzy widzieli w nim godny naśladowania wzorzec, kreślił ten wizjonerski obraz:

Mam nadzieję, że w niezbyt odległej przyszłości, kiedy nawiążemy kontakt z innymi planetami i nowymi światami w niezliczonej liczbie systemów słonecznych, studenci tego uniwersytetu będą mieli możliwość zaproponowania przedsiębiorstwom, w których będą pracowali, utworzenia filii w kosmosie, „wielogalaktycznych koncernów” niosących przez kosmos twórczego ducha prywatnej przedsiębiorczości.

Mniej więcej w tym samym czasie Sindona zaaranżował kilka wspólnych posiedzeń przedstawicieli mafii amerykańskiej i sycylijskiej, na których usiłował przekonać swoich partnerów dyskusji, w tym także Licio Gellego, że nadeszła pora na kroki w kierunku oderwania Sycylii od Włoch. Kilka lat wcześniej, w 1972 r., uczestniczył w planowaniu tak zwanego Białego Zamachu, sprzysiężenia w celu przejęcia władzy we Włoszech. Mafia podeszła do tego sceptycznie, a Gelli wręcz pogardliwie. Nazwał go szalonym i oświadczył Sindonie, że oderwania Sycylii można dokonać tylko przy aktywnym poparciu członków P 2 z kół wojskowych i policyjnych, te zaś uważały, że było na to jeszcze za wcześnie. Gelli poradził Sindonie, aby odłożył ten plan do przegródki z napisem „nie załatwione”.

We wrześniu 1976 r. włoskim organom ścigania udało się w końcu wymusić aresztowanie Sindony w Nowym Jorku. Było to pierwsze ważne zwycięstwo osiągnięte w ich długiej walce o ekstradycję. Sindona wyraził zaskoczenie tym faktem, zarzucając równocześnie Stanom Zjednoczonym, że... *dopiero teraz, po dwóch latach od podniesienia przeciw mnie we Włoszech tych fałszywych oskarżeń, zdecydowały się wszcząć postępowanie w sprawie ekstradycji. Chciałbym podkreślić, że oskarżenia te sformułowano w wyniku drobnych dochodzeń lub nawet bez nich i są one po prostu nieprawdziwe.* Ostatecznie zwolniono go za kaucją w wysokości 3 mln dolarów, ale w 1977 r. sieć zaczęła się zacieśniać. Gremium oskarżycielskie badało domniemane naruszenie prawa przez Sindonę w związku z upadłością Franklin Bank.

Sindona walczył wszelką bronią, którą miał do dyspozycji. Wpływowi ludzie dobrowolnie zeznawali przed gremium oskarżycielskim udzielając Rekinowi pomocy odciążającymi go zeznaniami. Carmelo Spagnuolo, prezes Najwyższego Trybunału w Rzymie, oświadczył pod przysięgą, że oskarżenia przeciw Sindonie są wynikiem intrygi komunistycznej. Przysiągł, że Sindona ma czyste ręce, że ludzie, którzy zajmowali się we Włoszech przygotowaniem oskarżenia, byli w najlepszym wypadku dyletantami i działali na polecenie oskarżycieli kierujących się motywami politycznymi. Na koniec oznajmił

zdumionym członkom amerykańskiego gremium oskarżycielskiego, że wielu funkcjonariuszy włoskiego aparatu wymiaru sprawiedliwości sympatyzuje z lewicowym ekstremizmem, i że Rekin prawdopodobnie zostanie zamordowany, jeżeli dokona się jego ekstradycji do Włoch. Carmelo Spagnuolo był członkiem P2.

Również Licio Gelli zeznawał na korzyść Sindony. Oświadczył, iż jemu samemu zarzucano, że jest *agentem CIA, szefem jednego z argentyńskich szwadronów śmierci, szefem tajnej służby portugalskiej, koordynatorem greckich, chilijskich i zachodnioniemieckich tajnych służb, przywódcą międzynarodowego podziemnego ruchu faszystowskiego*. Nie podjął żadnej próby odrzucenia któregoś z tych zarzutów i nie dostarczył żadnych dowodów na to, że były to stwierdzenia nieprawdziwe. Zadowolił się podważaniem ich wzmianką o *narastających wpływach komunistycznych we Włoszech*. Natomiast później złożył pod przysięgą niektóre zeznania, m.in.: *Wpływy komunistyczne utrwaliły się już w pewnych strukturach państwowych, szczególnie w ministerstwie sprawiedliwości, gdzie w ciągu ostatnich pięciu lat nastąpiło przesunięcie polityczne z centrum ku skrajnej lewicy*. Tego również nie podbudował żadnym dowodem. Stwierdził jedynie kategorycznie, iż z uwagi na „infiltrację” włoskiego aparatu wymiaru sprawiedliwości przez lewicę, proces Sindony we Włoszech nie byłby uczciwy, nie mówiąc już o tym, że Sindonę prawdopodobnie by zamordowano. Dodał jeszcze: *Komuniści nienawidzą Michele Sindony, ponieważ jest antykomunistą i zawsze opowiadał się za systemem swobodnego wolnomularstwa w demokratycznych Włoszech*.

Michele Sindona udowodnił 13 listopada 1977 r., co rozumiał pod pojęciem swobodnego wolnomularstwa w demokratycznych Włoszech. Rozpoczęła się zaplanowana od dłuższego czasu akcja szantażowania Calviego: w całym Mediolanie pojawiły się plakaty i ulotki zarzucające Calviemu oszustwa, nielegalny eksport dewiz, fałszowanie kont, defraudację i nadużycia podatkowe. Wymieniono konkretne nielegalne transakcje. Podano numery kilku tajnych kont Calviego w Szwajcarii. Napiętnowano jego kontakty z mafią. W tych dniach bardziej interesujące było czytanie plakatów na murach niż „Corriere della Sera”. Stojący za tym publicznym piętnowaniem Calviego Sindona uważał, że jego towarzysz z P2, były protegowany Roberto Calvi niedostatecznie wywiązał się ze swych zobowiązań. Sindona zwrócił się do Gellego, który zgodził się z tym, że Calvi powinien wnieść „solidny wkład” do funduszu wojennego Sindony. Gelli sam się zaoferował jako pośrednik między dwoma masońskimi przyjaciółmi. Skutek był taki, że obaj musieli płacić Sindonie prowizję.

Roberto Calvi ponownie sięgnął do kieszeni, dokładniej mówiąc — do kieszeni tych, którzy powierzyli mu pieniądze. W kwietniu 1978 r. przekazał pół miliona dolarów na konto w Banca del Gottardo. Właścicielem konta był Michele Sindona.

Luigi Cavallo, człowiek, który na polecenie Sindony zorganizował kampanię plakatową i ulotkową przeciw Calviemu, wykonał to zadanie z wielką ochotą. Cavallo przez pewien czas pracował we Włoszech jako specjalista od oszczerczych kampanii i, jak wszystkie profesjonalne dziwki, sprzedawał się temu, kto płacił więcej. Po akcji plakatowej 24 listopada 1977 r. przyszła kolej na list do dyrektora Włoskiego Banku Państwowego Paolo Baffiego, zawierający zestawienie wszystkich oskarżeń wypisanych już na murach Mediolanu. Ponadto odwołano się w nim do wcześniejszego listu, który zawierał załączniki pod postacią fotokopii wyciągów z kont Calviego w bankach szwajcarskich. Cavallo zakończył swój list do dyrektora groźbą: jeżeli Bank Włoski nie podejmie niezwłocznie dochodzenia przeciw Banco Ambrosiano, zostanie oskarżony o zaniedbanie obowiązków.

List ten demonstrowała zasadniczą różnicę między przestępcą formatu Sindony a trzeciorzędnym łajdakiem Cavallo. Cavallo napisał list z własnej inicjatywy, bez uzgodnienia z Sindoną, który nigdy nie pochwalał takich posunięć. Kradzież złotych jaj jest godna pochwały, ale zarzycanie kury, która je znosi, jest głupie.

W tym samym tygodniu kwietnia 1978 r., w którym Sindona otrzymał premię za milczenie, wynoszącą pół miliona dolarów, grupa dochodzeniowa Banku Włoskiego, który od lata miał poważne zastrzeżenia wobec Banco Ambrosiano i Roberto Calviego, siłą zapewniła sobie dostęp do tego banku. W skład grupy wchodziło dwunastu ludzi, starannie dobranych przez dyrektora Banku Włoskiego, Paolo Baffiego i jego starszego kolegę, Mario Sarcinello. Przewodniczącym grupy mianowano Giulio Padaliniego. Ku zmartwieniu Calviego, Padalino był człowiekiem nieprzekupnym.

Uknuła przez Sindonę akcja plakatowa i ulotkowa była błahostką w porównaniu z problemami, z którymi Calvi teraz musiał sobie radzić. Informacja o wielkim śledztwie szybko się przedostała na zewnątrz i wkrótce wiedział o tym cały mediolański świat biznesu. Kurs akcji Ambrosiano nadal spadał i Calvi poczuł się zmuszony do wzmożonych zakupów i zdobycia odpowiednio większych sum pieniężnych, by go podtrzymać. Tymczasem kierowane przez niego rozległe imperium otwierało filię w Nikaragui i planowało otwarcie kolejnej w Peru. Calvi miał firmy w Kanadzie, Belgii i USA.

Piętą achillesową był Suprafin. Gdyby prowadzący śledztwo odkryli prawdę o Suprafinie, wówczas nieuniknione byłyby bankructwo Banco Ambrosiano i aresztowanie oraz skazanie Calviego. Nie zwlekano by już także z ekstradycją Sindony, o którą tak długo daremnie zabiegano. Obu tym ludziom groziło bardzo wiele, łącznie z utratą wolności, gdyby grupa dochodzeniowa odkryła tajemnicę Suprafinu. Calvi stał się nerwowy. Sindona w Nowym Jorku przestał cieszyć się sumą pół miliona dolarów, którą wyłudził właśnie od

Rycerza. Wielką nadzieją dla obu był biskup Paul Marcinkus. A Marcinkus okazał się hojny. Kiedy inspektorzy z Banku Państwowego zapytali urzędującego dyrektora Banco Ambrosiano, Carlo Olgiatego, do kogo należy Suprafin, ten wyjaśnił im, że firma ta jest własnością Istituto per le Opere di Religione, Banku Watykańskiego.

Kontrolerzy bankowi spokojnie i skrupulatnie kontynuowali dochodzenie. Przejrzeli stos dokumentów o zakupach akcji, transakcjach, krzyżujących się transferach, odkupowaniu i wielu innych podobnych kombinacjach. Włoskie przepisy prawne znacznie utrudniały im pracę. Mieli bardzo ograniczone możliwości żądania informacji o udziałach i partnerach zagranicznych. Gdyby udało im się na przykład uzyskać dokładne informacje o luksemburskim towarzystwie holdingowym Sindony, i gdyby dowiedzieli się z nich, że miliony dolarów pożyczonych przez Sindonę na europejskim rynku kapitałowym przeszmuglowano do Managui oraz że obie rezydujące tam filie Ambrosiano pożyczyły te milionowe sumy bez zabezpieczenia mającej, fikcyjnej firmie panamskiej, wówczas z pewnością gra byłaby skończona. Ale inspektorom nie udostępniono bliższych informacji o luksemburskim towarzystwie holdingowym. Calvi był powściągliwy i odpowiadał wymijająco. *Wiecie przecież, jacy są ci cudzoziemcy. Nie mogą sobie pozwolić na naruszenie przepisu tajności.* Inspektorzy jednak nie przestali szperać. Odkryli, że Luigi Landra, pełniący niegdyś kierowniczą funkcję w Banco Ambrosiano, i Livio Godeluppi, brat głównego księgowego banku, 6 maja 1975 r. zostali mianowani dyrektorami Suprafinu. Jak to się stało, że ci dwaj mężczyźni zostali dyrektorami instytucji należącej do Banku Watykańskiego?

Kontrolerzy bankowi odkryli, że Suprafin założyli w listopadzie 1971 r. dwaj bliscy współpracownicy Calvie-do: Vahan Pasargiklian, który został tymczasem urzędującym dyrektorem Banca Cattolica, i Gennaro Zanfagna. Suprafin miał wypisaną etykietę „własność Calviego”.

Kontrola wciąż trwała. Staranna analiza kont utrzymywanych przez Suprafin doprowadziła kontrolerów do przekonania, że firma w rzeczywistości należała do Banco Ambrosiano, a nie do Watykanu. Dlaczego bowiem Ambrosiano miałby kupować od Suprafinu akcje przedsiębiorstwa La Centrale po cenie jednostkowej 13 864 liry i później sprzedawać je po 9340 lirów za akcję, podczas gdy oficjalny kurs wynosił 9650 lirów? Czy po to, by zasłużyć na list dziękczynny papieża Pawła? Albo na poklepanie po plecach przez Marcinkusa?

W lipcu 1978 r. kontrolerzy ponownie wzięli w obroty kolegę Calviego z zarządu, Carlo Olgiatego. Olgiati oświadczył, że musi porozumieć się z Calvim. Powrócił z listem. Był to list z Banku Watykańskiego do Roberto Calviego, datowany 20 stycznia 1975 r.

Brzmiał następująco:

Sprawa dotyczy pakietu akcji, który firma Suprafin SA miała w swoim portfelu na dzień 31 grudnia 1974 r. (Suprafin) jest firmą należącą do naszego Instytutu. Niniejszym zwracamy się do Pana z prośbą o zawiadywanie wspomnianym portfelem w odpowiedni sposób i przeprowadzenie wszystkich operacji inwestycyjnych i likwidacyjnych. Prosimy informować nas na bieżąco o stanie wyżej wymienionego portfela i związanych z nim transakcjach.

List był podpisany przez Luigi Menniniego i głównego księgowego Banku Watykańskiego, Pellegrino de Strobela. Kontrolerzy bankowi mieli pewne podejrzenia, że listu nie napisano w styczniu 1975 r., ale dopiero po rozpoczęciu prowadzonego przez nich dochodzenia w kwietniu 1978 r., i że nastąpiło to za aprobatą biskupa Marcinkusa.

Gdyby oceniać wszystko według poczynań Marcinkusa i jego współpracowników z Banku Watykańskiego, to musielibyśmy zapewne przyzwyczać się do nowej definicji pojęcia „chrześcijańskiej dobroczynności”, która obejmowała działalność na giełdzie mediolańskiej i wydawanie milionów tylko po to, by wesprzeć kurs akcji Banco Ambrosiano. Kontrolerzy z włoskiego nadzoru bankowego uważali za nieprawdopodobne, by wierni na całym świecie składając drobne ofiary mieli na myśli takie właśnie dobre uczynki Kościoła. Calvi dzięki łaskawej pomocy biskupa na razie miał spokój, gdyż potwierdzono przecież czarno na białym, że Suprafin należał do Banku Watykańskiego. Zazwyczaj chłodny i nieprzystępny, Calvi pokazał się teraz niektórym szefom z mediolańskiej kwatery głównej od przyjemnej strony. Przekonany, że na razie zablokował potencjalnie niebezpieczne dla niego dochodzenia nadzoru bankowego, czynił ostatnie przygotowania do podróży do Ameryki Południowej w towarzystwie swojej żony, Clary. Miała to być w połowie podróż służbowa, a w połowie turystyczna. Planował zapoznanie się z kilkoma potencjalnymi siedzibami nowych filii bankowych w krajach Ameryki Południowej i zwołanie kilku posiedzeń w tej sprawie oraz zamierzał pozwiedzać to i owo jak normalny turysta.

Calvi wylądowawszy na kontynencie południowoamerykańskim odetchnął z ulgą. Jego napięcie zaczęło opadać. Potem zmarł papież Paweł VI. Między apartamentem hotelowym Calwigo w Buenos Aires a różnymi abonentami telefonicznymi we Włoszech zaczęły się ożywione rozmowy.

Calvi był przerażony, gdy dowiedział się, kogo wybrano na nowego papieża. Wolałby każdego innego spośród 111 kardynałów niż Albino Lucianiego.

Calvi dobrze wiedział, jaką irytację wywołał w Wenecji kupując Banca Cattolica Veneto. Wiedział też, że Luciani pojechał do Rzymu i podjął tam próbę uratowania banku dla

swojej diecezji. Zdawał sobie także sprawę, że Luciani to człowiek o wielkiej skromności, że nie miał żadnego majątku i odrzucał dążenia do osiągnięcia zysków materialnych pod religijnym płaszczkiem. Afera z obu duchownymi i spekulującym przedstawicielem w Vittorio Vene-to była znana w całych północnych Włoszech i nie została tam zapomniana. Calvi zaczął sprzedawać niektóre akcje Banca Cattolica z portfela Suprafinu. Z uwagi na siedzących mu na karku kontrolerów bankowych musiał postępować ostrożnie. Jednakże w pierwszych trzech tygodniach września 1978 r. pozbył się 350000 akcji. Potem dotarła do niego wieść, której obawiał się od dawna: dni biskupa Paula Marcinkusa były policzone. Gdyby biskup odszedł, ujawnienie wszystkiego byłoby już tylko kwestią czasu. Calvi przypomniał sobie to, co Marcinkus powiedział mu kilka dni po wyborze Lucianiego: *Teraz bardzo dużo się zmieni. Ten papież jest zupełnie innym człowiekiem.*

Albino Luciani stanowił dla Michele Sindony i Roberto Calwiego bardzo poważne zagrożenie. Opisane dalej wydarzenia mają na celu wyraźne ukazanie, co działo się z ludźmi stanowiącymi niebezpieczeństwo dla Rekina i Rycerza.

Również biskup Paul Marcinkus, prezes banku Watykańskiego, musiał widzieć w nowym papieżu niebezpiecznego przeciwnika. Gdyby Luciani wziął pod lupę Bank Watykański, można się było spodziewać, iż niektórzy ludzie utraciliby swoje stanowiska. Należeli do nich Mennini i de Strobel, których podpisy widniały pod listem w sprawie firmy Suprafin. Obaj z biegiem czasu znacznie się uwikłali w kryminalne działania Sindony i Calwiego. Jeżeli Marcinkus miałby jakieś wątpliwości, czy Luciani był zdolny do energicznego i skutecznego zajęcia się sprawą, to wystarczyłoby tylko porozmawiać z de Strobelem, adwokatem z okolicy Wenecji, który znał szczegóły afery ze spekulującymi duchownymi z Vittorio Veneto.

Bernardino Nogara mógł być człowiekiem o klasycznej mentalności kapitalistycznej, ale w porównaniu ze swoimi następcami w Watykanie — Spółce z o.o. był świętym. Firma ta daleko zaszła od czasu, gdy Mussolini pomógł jej w 1929 r. uzyskać nowoczesny kształt.

O ile nie ulegało wątpliwości, że zwierzchnik Kościoła katolickiego od dawna był prezesem zarządu międzynarodowego koncernu, to również wiedziano z całą pewnością, że Albino Luciani nie był stworzony do tej roli. Przeciwnie, człowiek ten, wyznający stale zasadę ubogiego Kościoła, stanowił zagrożenie dla dalszego istnienia Watykanu — Spółki z o.o., gdyby poważnie zajął się realizacją swojej wizji, aby zostać ostatnim w szeregu *bogatyh papieży*. Byłby to niesłychany w historii czyn, którego mógłby dokonać jedynie człowiek o niesłychanej wielkości historycznej — planowa likwidacja od wewnątrz imperium potęgi. Nie istniało już oczywiście państwo kościelne w starym sensie, jako doczesny

organizm państwowy, ale zastąpił go osiągający niezwykle obroty organizm gospodarczy, który od dawna żył własnym, dynamicznym życiem i wściekle przeciwstawiłby się każdej próbie jego likwidacji.

W organizmie tym działał *Zarząd* Majątku Stolicy Apostolskiej, APSA, z przewodniczącym kardynałem Villotem, sekretarzem monsignore Antonettim i swoimi sekcjami Zwyczajną i Nadzwyczajną. Sekcja Zwyczajna zarządzała majątkiem kongregacji, komisji i urzędów. Zarządzała także w szczególności watykańskimi posiadłościami ziemskimi i nieruchomościami — w samym tylko Rzymie 5 tysiącami mieszkań czynszowych. Łączna wartość tego majątku wynosiła w 1979 r. ponad miliard dolarów.

Sekcja Nadzwyczajna APSA, drugi bank Watykanu, uczestniczyła w codziennych spekulacjach na wielkich giełdach wolnego świata tak samo aktywnie, jak kierowany przez Marcinkusa IOR. Działała szczególnie na rynku dewizowym i ściśle współpracowała przy tym z Credit Suisse oraz Szwajcarskim Towarzystwem Bankowym. Znajdujący się pod jej opieką majątek miał we wrześniu 1978 r. łączną wartość co najmniej 1,8 mld dolarów.

Bank Watykański (IOR) dysponował aktywami w wysokości miliardów dolarów. Jego czysty zysk roczny osiągnął w 1978 r. znaczną sumę 120 mln dolarów; 85 proc. tej sumy popłynęło bezpośrednio do papieża, który mógł dysponować nią według uznania. Liczba kont utrzymywanych w Banku Watykańskim przewyższała 11000. Kiedy Pius XII tworzył ten bank w czasie drugiej wojny światowej, towarzyszyły temu deklaracje, że pieniądze będą w nim deponować przeważnie zakony, kościelne instytuty i korporacje (jak na przykład parafie). W chwili wyboru Albino Lucianiego na papieża tylko 1047 kont należało do zakonów i instytucji religijnych; 312 należało do parafii i 290 do diecezji. Pozostałych 9351 kont należało do dyplomatów, prałatów i innych „uprzywilejowanych obywateli”, których większość nie była nawet Włochami. Było jednak wśród nich bez wątpienia czterech Włochów: Sindona, Calvi, Gelli i Ortolani. Inne konta figurowały pod nazwiskami czołowych polityków i znaczących przemysłowców ze wszystkich możliwych krajów. Wielu klientów wykorzystywało swoje konto w IOR jako „boczną furtkę” do nielegalnego wywozu dewiz z Włoch. Pozostawały jednak oczywiście pieniądze, które po zdeponowaniu w Banku Watykańskim były chronione przed dociekliwością urzędów finansowych.

Obie sekcje APSA i Bank Watykański były największymi przeszkodami, które Albino Luciani musiałby usunąć z drogi, gdyby chciał zrealizować swoje marzenie, by Kościół przypomniął sobie zasady moralne wczesnego chrześcijaństwa. Było jeszcze wiele innych przeszkód, ale najtrudniejszymi do pokonania byłyby te, które wiązały się z bogactwem zgromadzonym przez Kościół w ciągu stuleci. Część tego bogactwa stanowiły skarby kultury

i sztuki. Wszyscy mogą obejrzeć dzieła sztuki zgromadzone pod mecenatem Watykanu, przynajmniej w czasie godzin otwarcia: dzieła Caravaggia, gobeliny Rafaela, złoty krzyż ołtarzowy z Farnese i świeczniki Gentile de Fabriano, Apolla Belwederskiego, rzeźby belwederskie, freski i obrazy Leonarda da Vinci, rzeźby Berniniego. Czy w skromniejszej budowli niż Kaplica Sykstyńska z majestatycznymi freskami Michała Anioła mniej wyraźnie byłyby słyszalne słowa Jezusa Chrystusa? Watykan kwalifikuje te dzieła sztuki jako majątek nieproduktywny. Jak zakwalifikowałby je założyciel chrześcijaństwa, można wyczytać z jego komentarzy na temat bogactwa i własności.

Co odczuwałby Jezus Chrystus, gdyby we wrześniu 1978 r. powrócił na Ziemię i został wpuszczony do Państwa Watykańskiego?

Co odczuwałby ten, który głosił: *Królestwo moje nie jest z tego świata*, gdyby przeszedł się przez biura APSA, w których duchowni i świeccy eksperci od spraw giełdowych, każdy z nich wyspecjalizowany w określonej sferze rynku kapitałowego, za pomocą najnowocześniejszych środków komunikowania śledziliienne, a często nawet minutowe ruchy kursów akcji papierów wartościowych, które APSA magazynowała w swoim portfelu? Jak zareagowałby na urządzenia peryferyjne IBM, za pomocą których centrala APSA i IOR były bezpośrednio połączone z komputerami najważniejszych giełd międzynarodowych? Co ten, który rzekł, że raczej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogaty człowiek wejdzie do Królestwa Niebieskiego, powiedziałby na temat ostatnich notowań giełdowych z Londynu, Nowego Jorku, Zurychu, Mediolanu, Montrealu i Tokio?

Jak ten, który powiedział: *Błogosławieni są ubodzy*, ustosunkowałby się do zysków w wysokości ponad milion dolarów rocznie osiąganych z samej tylko sprzedaży watykańskich znaczków pocztowych? Co pomyślałby o świętopietrze? Dokonywana raz w roku pod tym hasłem zbiórka na tacę, której wynik był przez wielu ludzi uważany za niezawodny barometr popularności urzędującego papieża, za czasów charyzmatycznego Jana XXIII przynosiła 15-20 mln dolarów rocznie. Podczas pontyfikatu Pawła VI i po opublikowaniu *Humanae vitae* przeciętny jej plon spadł do czterech milionów dolarów rocznie.

Co odczuwałby twórca religii chrześcijańskiej w obliczu niewielu przykładów na to, jak bardzo jego nauka została wypaczona przez tych, którzy podawali się za strażników jego testamentu? Pytanie to jest oczywiście retoryczne. Wszystko jednak przemawia za tym, że gdyby Jezus Chrystus powrócił na Ziemię we wrześniu 1978 r. lub w dniu dzisiejszym i zamierzał wkroczyć do Watykanu, nic by się nie zmieniło. Nie dotarłby nawet do drzwi Banku Watykańskiego. Zostałby aresztowany u wrót Świętej Anny i przekazany włoskiej

policji. Nie miałyby sposobności poznania prawdy o Watykanie — Spółce z o.o., owym międzynarodowym koncernie, czerpiącym korzyści z tak wielu stron. Nie dowiedziałby się, jak wielkie sumy napływają rokrocznie do Jego Kościoła z bogatych krajów, takich jak USA i Republika Federalna Niemiec, a także z krajów biednych. Nie powiedziano by Mu, że w samych Niemczech Zachodnich Kościół katolicki, przy łaskawej i bezpłatnej pomocy państwowych władz finansowych, otrzymuje rocznie ponad 5 mld marek w formie podatku kościelnego. Znaczną część tej sumy przekazuje się do Watykanu.

Jeżeli Albino Luciani chciałby urzeczywistnić swoje marzenie o ubogim Kościele dla biednych, wówczas oczekiwała go praca Herkulesa. Aparat, który powołał do życia Bernardino Nogara, rozrósł się tymczasem do samoutrzymującego się monstrum. Kiedy w sierpniu 1978 r. kardynałowie wybierali Albino Lucianiego na papieża, zainicjowali tym wyborem konflikt między uczciwym, wierzącym i zupełnie nieprzekupnym papieżem a Watykanem — Spółką z o.o. Władcze prawa rynku, którym posłuszne były APSA i Bank Watykański, zderzyły się z nieugiętą uczciwością Albino Lucianiego.

Trzydzieści trzy dni

Kiedy niespełna 24 godziny po objęciu papieskiego tronu Albino Luciani otworzył okna swych nowych pomieszczeń mieszkalnych, gest ten w pewnym sensie symbolizował jego pontyfikat. Świeże powietrze i jasne światło słoneczne napływały do Kościoła rzymskokatolickiego, w którym w ostatnich latach pontyfikatu Pawła VI robiło się coraz ciemniej i duszniej.

Luciani, który w czasie, kiedy był jeszcze patriarchą Wenecji, charakteryzował siebie jako *biednego przyzwyczajonego do małych rzeczy i ciszy człowieka*, stanął teraz przed zadaniem reprezentowania przyzwyczajonego do roztaczania przepychu Watykanu i koniecznością zanurzenia się w hałaśliwej ruchliwości Kurii. Syn murarza był teraz najwyższym pasterzem wspólnoty religijnej, której założycielem był syn cieśli.

Wielu watykanologów, którzy przedtem nie rozważali nawet możliwości, że wybór mógłby paść na Lucianiego, przypięło mu zaraz etykietę „nieznanego papieża”. Musiał być jednak dobrze znany kardynałom, skoro 99 z nich złożyło przyszłość Kościoła w jego ręce. W ręce człowieka, który nie miał ani wykształcenia dyplomatycznego, ani praktycznego doświadczenia w Kurii. Nie wybrano żadnego z licznych kardynałów Kurii. W zasadzie cała Kuria doznała odprawy na korzyść spokojnego, skromnego człowieka, który natychmiast zapowiedział, że woli, by nazywano go pasterzem, a nie pontifexem.

Zamiary Lucianiego bardzo szybko stały się oczywiste — dążył do całkowitego przewrotu. Jego celem było sprowadzenie Kościoła do źródeł, do prostoty i uczciwości, do ideałów i nakazów Jezusa Chrystusa. Jego poprzednicy marzyli o tym samym, ale bardzo szybko zostali sprowadzeni na ziemię przez swych doradców i rzeczywistość. Jak jednak ten niewysoki i powściągliwy człowiek miał postawić pierwsze kroki na drodze do zwrotu zarówno materialnego, jak i duchowego, który on i inni uważali za spóźniony?

Wyborem Albino Lucianiego kardynałowie wyraźnie zademonstrowali to, czego chcieli, a czego nie. Nie chcieli z pewnością papieża reakcyjnego, ani takiego, którego główną i jedyną troską byłyby abstrakcyjne i intelektualne rozwiązania. Wszystko wskazywało na to, że myśleli oni raczej, aby dać światu znak wybierając na papieża człowieka, którego dobroć, mądrość i wzorcowa skromność byłyby wyraźnie dostrzegalne dla każdego. Otrzymali to, czego chcieli: pasterza, dla którego dobro jego trzody było najważniejsze.

Dla Rzymian zbyt kłopotliwe było wymawianie imienia, które sobie wybrał, wkrótce więc skrócili je do *Gianpaolo*. Papież zaakceptował to pieszczotliwe imię z radością i używał go stale podpisując listy, które jego sekretarz stanu Villot za każdym razem szybko zwracał z prośbą o podpisanie prawidłowym formalnie imieniem Giovanni Paolo. W jednym z takich

odręcznych listów dziękował braciom z zakonu Św. Augustyna za ich gościnność w tygodniach poprzedzających konklawe. Ten pełen skromności sposób bycia był typowy dla Albino Lucianiego. Dwa dni po wyborze na najwyższego pasterza 800 mln katolików poświęcił czas na podziękowanie tym, którzy udzielili mu kwatery.

W innym, napisanym tego samego dnia liście, Albino Luciani uderzył w poważniejszy ton. Pewnemu księdzu włoskiemu, którego pracą bardzo podziwiał, zwierzył się w zaufaniu, że zdawał sobie całkowicie sprawę z trudności zadania, jakim postanowił się zająć. *Nie wiem, jak to się stało, że przyjąłem wybór. Dzień później już tego żałowałem, ale było za późno.*

Jedną z pierwszych czynności, jaką wykonał po wprowadzeniu się do apartamentów papieskich, było zamówienie rozmowy telefonicznej do stron rodzinnych na północy Włoch. Kazał się połączyć z całkowicie zdumionym monsignore Ducolim, swym długoletnim przyjacielem i towarzyszem życia, który był teraz biskupem w Belluno. Powiedział mu, że czuje się samotnie i tęskni za „swoimi ludźmi”. Potem zatelefonował do swojego brata, Eduardo. *Patrz tylko, co mi się przydarzyło.* Były to gesty prywatne; inne, publiczne działania nowego papieża przyciągały uwagę świata. Był to przede wszystkim jego uśmiech. Tym manifestowaniem swojej radości bez słów poruszał czułą strunę u wielu ludzi. Nie było sposobu, by ktoś nie odczuwał ciepła promieniującego od tego człowieka i pięknym uczuciem było poddawanie się działaniu tego ciepła. Paweł VI zraził sobie miliony wiernych swoją postawą nacechowaną wymuszonym dystansem. Albino Luciani wywierał na ludzi odwrotny wpływ. Sprawił, że nagle świat znowu zaczął się interesować papieżem. Kiedy świat się dowiedział, co się kryło za tym uśmiechem, zainteresowanie wzrosło jeszcze bardziej. Uśmiech Lucianiego zaczął funkcjonować inaczej niż intelektualne pouczenie w książce, która pragnęłaby uczynić ze swoich czytelników lepszych chrześcijan: funkcjonował w sposób bezpośredni, przekazując radość, jaką ten człowiek odnalazł w chrześcijaństwie. Tym, co Luciani demonstrował w sposób i w rozmiarach nie spotykanych nigdy przedtem u innych papieży, była umiejętność zwierzania się ludziom, bądź bezpośrednio, bądź przez prasę, radio i telewizję. Albino Luciani był niesłychanym atutem Kościoła rzymskokatolickiego.

To, co uczynił, było praktyczną lekcją sztuki zdobywania ludzkich serc, umysłów i dusz. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów papież przemawiał do wiernych posługując się gestami i językiem, które rozumieli. Słysząc było, jak katolicy na całym świecie odetchnęli z ulgą. Pomruk uznania był słyszalny przez cały wrzesień 1978 r. Albino Luciani wziął Kościół za rękę i udał się z nim w długą drogę, z powrotem do Ewangelii.

Opinia publiczna przekonała się bardzo szybko, że człowiek ten był wielkim papieżem. Zawodowi obserwatorzy watykańscy nie wiedzieli jednak, jak powinni go

sklasyfikować. Wielu z nich napisało natychmiast rozumne komentarze na temat znaczenia dokonanego przez niego wyboru imienia, mówiło o *symbolicznej kontynuacji*, którą ten wybór zapowiadał. Luciani zdewałowował wszystkie te interpretacje w swoim pierwszym kazaniu niedzielnym: *Jan mianował mnie biskupem, a Paweł kardynałem* — najwyraźniej nie miało to wiele wspólnego z kontynuacją. Eksperci napisali artykuł zawierający przypuszczenia na temat tego, co nowy papież uczyni lub czego nie uczyni w tej lub innej sprawie. Znaczna część tych spekulacji stała się makulaturą już po jednym z pierwszych wystąpień Jana Pawła I, w którym oświadczył: *...Sobór Watykański II, którego naukom chcę poświęcić całą moją misję jako kapłan, jako nauczyciel, jako pasterz...* Niepotrzebne było snucie przypuszczeń; wystarczyło przeczytać uchwały Soboru.

W kazaniu wygłoszonym w niedzielę 10 września do tłumów ciasno wypełniających Plac Św. Piotra Luciani mówił o Bogu: *Jest On naszym Ojcem, więcej nawet, jest naszą Matką*. Oświadczenie to zaalarmowało szczególnie włoskich watykanologów. Sugerowanie wizerunku Boga z cechami kobiecymi w kraju znanym z męskiego szowinizmu było dla niektórych szokiem na miarę końca świata. Doszło do wielu burzliwych dyskusji na temat włączenia tego pierwiastka kobiecości do Świętej Trójcy — aż Luciani zwrócił uprzejmie uwagę na to, że zacytował Izajasza. Zdominowana przez mężczyzn Matka — Kościół odetchnęła z ulgą.

Parę dni wcześniej, 6 września, kilku członków orszaku papieskiego podczas audiencji generalnej publicznie zademonstrowało swe zakłopotanie, kiedy papież przemawiał do zafascynowanego tłumu słuchaczy. Jak rozdrażnione muchy wokół spoconego konia, tak oni brzęczeli wokół Ojca Świętego, kiedy niemal biegnąc przybył do wypełnionej po brzegi sali Nerviego i zaczął mówić o duszy. Dla papieża nie był to żaden niezwykły temat. Niezwykły był jednak sposób, w jaki go przedstawił.

Kiedys pewien mężczyzna poszedł kupić nowy samochód. Sprzedawca udzielił mu kilku rad. „Widzi pan, to jest auto pierwszej klasy; niech pan nie zapomni odpowiednio go traktować: tankować tylko benzynę super i używać najlepszego oleju do silnika”. Klient odpowiedział: „Ach, nie, nie znoszę smrodu benzyny i oleju. Niech pan napelni zbiornik szampanem, który bardzo lubię; maszynę będę smarował marmoladą”. Sprzedawca powiedział wzruszając ramionami. „Niech pan robi, co chce; niech pan tylko nie przychodzi potem do mnie ze skargą, jeżeli wyląduje pan z samochodem w rowie przydrożnym”.

Nasz pan uczynił z nami coś podobnego: dał nam to ciało, natchnione rozumną duszą i dobrą wolą. Powiedział przy tym: „Ten silnik jest wspianiały, ale traktujcie go dobrze”.

Chociaż przedstawicielom elity watykańskiej włos się jeżył na głowie z powodu takiej

profanacji, Albino Luciani wiedział dobrze, że jego słowa przekazywane z ust do ust obiegały świat. Miał do dyspozycji najpotężniejszą ambonę świata. Wykorzystywał ten dar w sposób wywierający głębokie wrażenie. Wielu duchownych aż do znudzenia mówiło o radosnym posłaniu Ewangelii i sprawiało przy tym wrażenie, że informują swoich słuchaczy o straszliwych katastrofach. Jeżeli Luciani mówił o radosnym posłaniu, to z jego całego zachowania było widać, że jest rzeczywiście przekonany, że istnieją wszelkie podstawy do radości.

Wielokrotnie wybierał jakiegoś małego chłopca z chóru i kazał mu występować obok siebie przed mikrofonem. Przywódcy polityczni uwielbiają pokazywać się i fotografować z dziećmi, które biorą na ręce i obejmują, pozując do zdjęć. Albino Luciani rozmawiał z dziećmi i pozwalał im mówić nie tylko do tych, którzy byli obecni na audiencji w sali Nerviego, lecz także do wielu niewidocznych słuchaczy na zewnątrz; i co jeszcze bardziej godne uwagi: wysłuchiwał dzieci i odpowiadał na to, co miały do powiedzenia.

Cytował Marka Twaina, Julesa Verne'a i włoskiego poetę Trilussa. Mówił o Pinokiu. Dokonał porównania między duszą i silnikiem samochodowym; teraz stworzył analogię między modlitwą i kawałkiem mydła. *Modlitwa, jeżeli robi się z niej dobry użytek, mogłaby się stać cudownym mydłem, którym wszyscy moglibyśmy się tak umyć, aby zostać świętymi. Nie jesteśmy wszyscy świętymi, ponieważ zbyt rzadko używamy tego mydła.* Kuria, a szczególnie niektórzy biskupi i kardynałowie znosili to z trudem, ludzie zaś uważnie słuchali.

Kilka dni po objęciu tronu wystąpił przed grupą ponad 1000 dziennikarzy z całego świata. Po delikatnym skarceniu ich za to, że rzucali się na banalne okoliczności towarzyszące konklawe zamiast koncentrować się na tym, co istotne, przyznał im, że nie jest to nowy problem i przypomniał, co kiedyś powiedział swoim dziennikarzom pewien włoski redaktor naczelny: *Nie zapominajcie, że opinia publiczna nie chce wiedzieć, co Napoleon III powiedział do Wilhelma, króla pruskiego. Chce się dowiedzieć, czy miał wtedy na sobie beżowe, czy czerwone spodnie i czy palił cygaro.*

Luciani najwyraźniej czuł się dobrze w towarzystwie reporterów. Sam kilkakrotnie przecież oświadczał, że gdyby nie wybrał zawodu duchownego, chętnie zostałby dziennikarzem. Jego dwie książki i liczne artykuły wskazują na talent do pisania, którego z pewnością by się nie potrzebował wstydzić wobec znacznej części obecnych na spotkaniu korespondentów. Pamiętając uwagę zmarłego kardynała Merciera, że Apostoł Paweł, gdyby dziś żył, zapewne byłby dziennikarzem, nowy papież dowiódł wyraźnej świadomości znaczenia nowoczesnych środków masowego przekazu, kiedy kontynuował myśl przeniesienia Apostoła do współczesności: *Nie tylko dziennikarzem, lecz być może szefem*

Reutera. Nie tylko szefem Reutera — uważam, że zażądałby również czasu na antenie w telewizji włoskiej i w NBC.

Przedstawiciele prasy byli zachwyceni. Mniej cieszyła się Kuria. Żadnej z cytowanych tu wypowiedzi papieża przed dziennikarzami nie ma w tekście wystąpienia zawartym w oficjalnym protokole. Dla potomnych zachowano monotonne, pełne namaszczenia, układne przemówienie, napisane przez watykańskich urzędników, tekst, od którego papież w rzeczywistości zawsze odchodził, co było świadectwem dowcipu i osobowości Albino Lucianiego. To cenzurowanie papieża przez biurokrację watykańską było w owym wrześniu 1978 r. stałym procederem.

Książka *Illustrissimi*, zbiór jego listów do zmarłych znakomitości, była we Włoszech do nabycia od 1976 r. Okazała się niezwykle sukcesem wydawniczym. Kiedy jej autor został najwyższym pasterzem ponad 800 milionów katolików, książka zyskała komercyjny walor, który wykorzystali wydawcy. Rekiny z branży wydawniczej poczęły nawiedzać biura „Il Messaggero di San Antonio” w Padwie. Ten katolicki miesięcznik siedział na górze złota (minus tantiemy autorskie). Jednak prawdziwym wynagrodzeniem dla autora było to, że pewne idee i obserwacje zawarte w listach były czytane teraz przez miliony ludzi na całym świecie. Luciani nie przejmował się tym, że wiele osób kupowało tę książkę tylko dlatego, że został papieżem. Im więcej nasion rozsiewe się wśród ludzi, tym więcej wszędzie.

Wkrótce po objęciu przez Lucianiego papieskiego tronu okazało się, że cała gromada watykańskich tłumaczy, obserwatorów, ekspertów i przepowiadaczy stała się zbędna. Domagano się dosłownego cytowania wypowiedzi papieża. Wystarczająco wyraźnie można odczytać z nich zamiary Jana Pawła.

Rewolucja, którą zamierzał przeprowadzić Luciani, została zapowiedziana 28 sierpnia, kiedy papież ogłosił, że nie odbędzie się żadna ceremonia koronacyjna. Nowy papież zrezygnował z tej uroczystości. Nie będzie żadnej *sedia gestatoria*, żadnej otwartej lektyki do noszenia papieża, żadnej wysadzanej szmaragdami, rubinami i diamentami tiary, żadnych strusich piór, żadnej sześciogodzinnej ceremonii. Krótko mówiąc, zniesiono rytuał, którym Kościół demonstrował swą dążność do sprawowania władzy doczesnej. Albino Luciani był zmuszony do prowadzenia długich, zażartych sporów z watykańskimi tradycjonalistami, zanim pomimo ich oporu przeforsował swoją wolę. Luciani, który nigdy nie używał królewskiego „my”, *pluralis maiestatis*, był zdecydowany zrezygnować z papieskiego królestwa wraz z jego całym przepychem i ze wszystkimi atrybutami wynikającymi z doczesnej władzy na korzyść Kościoła zbliżonego do ideałów jego założycieli. Swoją ceremonię koronacyjną zredukował do zwykłej mszy. Zamiast widoku pontifexa osadzonego

na tronie jak jakiś kalif z Baśni Tysiąca i Jednej Nocy, widać było najwyższego kapłana udającego się spokojnym krokiem po stopniach schodów do ołtarza. Tym gestem Luciani zamknął rozdział tysiącletniej historii Kościoła i na powrót skierował go na drogę prowadzącą w stronę Jezusa Chrystusa.

Złożoną z trzech koron tiarę zastąpiono pallium, białą, wełną stulą. Monarcha zmienił się w pasterza. Era ubogiego Kościoła została oficjalnie zapoczątkowana.

Wśród dwunastu głów państw i wielu innych obecnych na ceremonii oficjalnych gości, byli ludzie, z którymi papież wolałby się nie spotkać. Zwrócił się do swojego sekretariatu stanu, by na inaugurację jego pontyfikatu nie zapraszał przywódców Argentyny, Chile i Paragwaju; jednak ludzie kardynała Villota wysłali już zaproszenia bez uprzedniego porozumienia się z Lucianim. Sekretariat spodziewał się tradycyjnej ceremonii koronacji i sporządził stosowną do tego listę gości.

W konsekwencji we mszy na Placu Św. Piotra uczestniczył generał Videla z Argentyny, minister spraw zagranicznych Chile i syn prezydenta Paragwaju — przedstawiciele państw, w których gwałcono prawa człowieka. Włosi protestowali przeciw ich obecności i prawie 300 demonstrantów aresztowano. Krytycy później czynili zarzuty Lucianiemu z powodu obecności na mszy inauguracyjnej takich ludzi jak Videla, występujących w charakterze gości honorowych. Uwagi tych krytyków uszło, że odpowiedzialny był za to kardynał Villot. Krytyczne komentarze, o których tu mowa, stały się głośne dopiero wówczas, gdy Albino Luciani nie mógł już na nie odpowiedzieć, a kardynał Villot milczał jak zakłęty.

Podczas audiencji prywatnej po mszy Luciani, syn socjalisty czującego odrazę do faszyzmu we wszystkich jego przejawach, nie pozostawił generałowi Videli żadnych wątpliwości, że przejął humanistyczny sposób myślenia swego ojca. Wyraził troskę o *los desaparecidos*, tysiocy tych, którzy zaginęli w Argentynie bez śladu. Pod koniec 15-minutowej audiencji generał prawdopodobnie zaczął żałować, że nie posłuchał watykańskich urzędników, którzy podczas wielogodzinnych rozmów odradzali mu podróż do Rzymu.

Bardziej harmonijnie przebiegało spotkanie z wiceprezydentem amerykańskim, Walterem Mondale. Mondale podarował nowemu papieżowi księgę sporządzoną z tytułowych stron ponad 50 amerykańskich dzienników zawierających informację o jego wyborze. O wiele bardziej odpowiednim prezentem było pierwsze wydanie *Życia na Missisipi* Marka Twaina. Ktoś w departamencie stanu najwyraźniej pilnie odrobił lekcje.

Tak rozpoczął się pontyfikat Jana Pawła I, pontyfikat określony jasno sformułowanymi celami. Albino Luciani nie tracił czasu. Już przed swoją mszą inauguracyjną

wzbudził spory niepokój w watykańskim światku. Miało to miejsce podczas przemówienia do ambasadorów akredytowanych przy Watykanie. Jego własna świta dyplomatyczna pobladła, kiedy mówiąc w imieniu całego Kościoła rzymskokatolickiego oświadczył:

Nie możemy (z państwami świata) wymieniać żadnych dóbr doczesnych ani prowadzić żadnych interesów gospodarczych. Nasze możliwości ingerencji są ograniczone pod względem ich rodzaju i zakresu oraz mają szczególny charakter. Nie dotyczą one ani nie naruszają spraw czysto doczesnych, technicznych i politycznych, którymi zajmują się Wasze rządy.

W tym sensie poselstwa dyplomatyczne, które utrzymujemy przy Waszych najwyższych cywilnych przedstawicielach władzy, nie są wcale pozostałościami przeszłości, lecz raczej świadectwem naszego głębokiego szacunku dla prawowitej władzy świeckiej i naszego zainteresowania sprawami człowieka, których wspieraniu powinna służyć władza świecka.

...*Nie...* wymieniać żadnych dóbr doczesnych... — Luciani tymi słowami wydał wyrok śmierci na Watykan — Spółkę z o.o.; tyle że nie wiadano jedynie, ile dni lub miesięcy potrwa odroczenie jego wykonania. Międzynarodowy świat biznesu w Mediolanie, Londynie, Tokio i Nowym Jorku z dużym zainteresowaniem wysłuchał słów Lucianiego. Jeżeli rzeczywiście poważnie traktował to, co powiedział, to nastąpią zmiany. Zmiany te z pewnością nie ograniczyłyby się do przeniesienia wielu osób z Banku Watykańskiego i APSA; należało się także liczyć z okrojeniem działalności gospodarczej Watykanu - Spółki z o.o. Potężni inwestorzy w ważnych „punktach przerzutowych” kapitału na świecie mogli się spodziewać miliardowych interesów, gdyby potrafili prawidłowo wyczuć, w jakim kierunku będzie sterowało przedsiębiorstwo — Kościół pod nowym kierownictwem. Albino Luciani chciał biednego Kościoła dla ubogich. Co zamierzał zrobić z tymi, którzy uczynili Kościół bogatym? Co zamierzał zrobić z bogactwem Kościoła?

Skromność Lucianiego powodowała, że często powstawały różne nieporozumienia. Wielu obserwatorów uważało tego bardzo pobożnego człowieka za prostą, nieskomplikowaną postać, której brakowało wykształcenia jego poprzednika, Pawła VI. W rzeczywistości Luciani był o wiele bardziej wykształcony i przenikliwy niż Paweł. Był aż tak niezwykły, że mógł uchodzić za aż tak nieskomplikowanego. Jego prostota była rezultatem rozwoju duchowego, a nie świadczyła o jego braku, prostota, która wynikała z głębokiej mądrości danej tylko nielicznym.

Jedną z osobliwości naszych czasów jest to, że prostotę i łagodność uważa się za oznakę słabości. W rzeczywistości często są one cechami wielkiej siły.

Kiedy nowy papież opowiadał, że przerzucił rocznik Watykanu, by wreszcie ustalić,

kto jaką funkcję pełnił, wielu członków Kurii śmiało się w kułak i upatrywało w nim łatwego przeciwnika, którego bez trudu będzie można kontrolować. Ale byli również inni, którzy znali go lepiej.

Ludzie znający Albino Lucianiego od lat obserwowali go i czekali. Znali jego nieugiętą wolę, jego siłę do podejmowania trudnych i niepopularnych decyzji. Wielu z nich opowiadało mi o wewnętrznej sile Albino Lucianiego — monsignore Tiziano Scalzotto, ojciec Mario Senigaglia, monsignore Da Rif, ojciec Bartolomeo Sorge, ojciec Busa i wielu innych. Ojciec Busa powiedział:

Jego rozum był silny, twardy i ostry jak diament. To był prawdziwy sekret jego siły. Potrafił zrozumieć problem i natychmiast dotrzeć do tego, co istotne. Nie można go było zaskoczyć. W czasie, gdy cały świat oklaskiwał uśmiechającego się papieża, ja czekałem na moment, w którym pokaże on „tirare fuori le unghie”, swoje szpony. Posiadał potężną moc.

Sam, bez własnego dworu — żadna mafia wenecka nie zastąpiła klikki mediolańskiej w Pałacu Apostolskim — Albino Luciani był zmuszony polegać jedynie na swej sile wewnętrznej, której mógł użyć, gdyby Kuria Watykańska zechciała go uczynić swym więźniem.

Watykański aparat rządowy po konklawe nie pozostał bezczynny. W niedzielę, 27 sierpnia, po swoim południowym wystąpieniu do zgromadzonych tłumów Luciani spożywał posiłek z kardynałem Jeanem Villotem. W ciągu swej prawie dziesięcioletniej kadencji sekretarza stanu Pawła VI, Villot zdobył opinię człowieka prowadzącego interesy państwowe Watykanu po cichu i kompetentnie. W okresie poprzedzającym konklawe Villot przejął administracyjne obowiązki papieża przy pomocy doradczego gremium kardynalskiego. Teraz Luciani prosił go, by *przez pewien czas, dopóki nie znajdę własnej drogi*, pełnił nadal funkcję sekretarza stanu. Siedemdziesięcioletni Villot miał nadzieję, że będzie mógł się wycofać z tej funkcji. Luciani zatrzymał go jednak jako swojego sekretarza stanu i zatwierdził na dotychczasowych stanowiskach także innych, czołowych kardynałów Kurii, ale wszyscy wiedzieli, że będzie to tylko stan przejściowy. *Zastanowić się. Podjąć decyzję. Realizować.* Człowiek z gór zachował rozwagę także w swojej nowej roli. Gdyby Kuria chciała się dowiedzieć, jak nowy papież zamierza postępować, wystarczyło przypomnieć sobie treść listu Lucianiego do świętego Bernarda. Sporo osób tak uczyniło, badając bardzo dokładnie charakter i dokonania Lucianiego. To, czego się doszukali, w niektórych wydziałach watykańskich wywołało konsternację, ale w innych także zadowolenie i radość oczekiwania.

Zgon papieża Pawła VI doprowadził do otwartego wybuchu wielu animozji, nabrzmiewających w zaściankowej wspólnotce watykańskiej. Od wielu lat Kuria Rzymska,

centralny organ administracyjny Kościoła, była sceną rywalizacji różnych ugrupowań i tylko dzięki zręczności papieża Pawła walki te zazwyczaj pozostawały ukryte przed opinią publiczną. Wrogie obozy blokowały się wzajemnie podczas konklawe i dokonały uniku godząc się na bezpieczne, jak mniemały, rozwiązanie, którym był Albino Luciani. Teraz spór o wpływy rozgorzał ponownie z pełną siłą i nowy papież natychmiast został z nim skonfrontowany. Wobec wielu przyjaciół, którzy go odwiedzali, Albino Luciani gorzko się skarżył na tę sytuację: *Chciałbym nauczyć się funkcji papieża tak szybko, jak to tylko możliwe, ale prawie nikt nie objaśnia mi problemów i sytuacji w sposób gruntowny i obiektywny. Docierają do mnie niemal wyłącznie narzekania i skargi na wszystko i wszystkich.*

Innemu przyjacielowi z północy zwierzył się: *Zauważyłem, że dwie rzeczy bardzo trudno otrzymać w Watykanie: uczciwość i filiżankę dobrej kawy.*

W Kurii Rzymskiej było prawie tyle grup i frakcji, ilu malców w chórze chłopięcym Kaplicy Sykstyńskiej.

Byli tam na przykład zwolennicy Pawła VI, których zadeklarowanym i wyłącznym celem była troska o to, aby w należytej formie czcić pamięć o zmarłym papieżu i zapobiegać wszelkim odchyleniom od poglądów, nauk i proklamacji Pawła VI.

Istniała również frakcja sympatyzująca z kardynałem Giovannim Benellim, ale byli też tacy, którzy życzyli mu piekła. Papież Paweł VI mianował Benellego swoim podsekretarzem stanu, a więc drugim człowiekiem po kardynale Villocie. Benelli pełniąc tę funkcję w krótkim czasie stał się podporą papieża zapewniając realizację deklarowanej polityki. Z tego powodu miał coraz więcej wrogów, więc by go chronić, papież mianował go arcybiskupem i przeniósł do Florencji. Protektor i obrońca Benellego teraz już nie żył, ale jego przeciwnicy jeszcze nie podejmowali działań. Lucianiego wybrano przecież na papieża przy skutecznej pomocy Benellego i jego przyjaciół.

Były w Kurii też frakcje, które skupiły się wokół zwolenników i przeciwników kardynałów Baggia, Feliciego i Bertolego; były ugrupowania, z których jedne opowiadały się za większą, a inne za mniejszą władzą centralną i kontrolą.

Przez całe życie Albino Luciani wykręcał się od wizyt w Watykanie. Swoje kontakty z Kurią Rzymską ograniczył do minimum. Niezamierzonym skutkiem takiego postępowania było to, że przed objęciem papieskiego tronu miał tu prawdopodobnie mniej wrogów niż każdy inny kardynał. Jednak ta sytuacja zmieniła się szybko i zasadniczo. Luciani był papieżem, który widział w Kurii tylko „wykonawczy” organ Kościoła, był przekonany o konieczności większego współdecydowania biskupów z całego świata w kościelnych decyzjach i chciał rozluźnić oraz zdecentralizować istniejące struktury hierarchiczne.

Odmawiając uroczystej koronacji obraził tradycjonalistów. Inną decyzją, która nie mogła przynieść Janowi Pawłowi I spontanicznej sympatii Kurii, było rozporządzenie w sprawie zredukowania o połowę dodatkowej pensji miesięcznej, wypłacanej automatycznie z okazji wyboru nowego papieża.

Z pewnością pośród 3000 członków Kurii było wielu takich, którzy lubili nowego papieża i lojalnie by mu służyli, ale tak już jest na tym świecie, że często zwyciężają siły negatywne.

Ledwie opublikowano wyniki wyborów papieża, Kuria — względnie określone, działające w niej grupy — przystąpiła do akcji. W ciągu kilku godzin w kioskach znalazło się specjalne wydanie „Osservatore Romano”, zawierające wyczerpującą biografię nowego papieża. Również Radio Watykańskie bardzo szybko przedstawiło portret Albino Lucianiego.

Kto szuka poglądowego przykładu na to, jak można wpłynąć na przedstawiany światowej opinii publicznej wizerunek nieznaney do tej pory głowy państwa, nie znajdzie niczego lepszego, jak portret Albino Lucianiego zaprezentowany przez „Osservatore Romano”. Przedstawiając w nim świadomie osobę, która istniała wyłącznie w reakcyjnej, deprimującej wyobraźni nieznanego autora krótkiej biografii, wspomniane wydanie „Osservatore Romano” praktycznie udowodniło, że ten dziennik w pełni zasługuje na głosy krytyki, często porównujące go z moskiewską „Prawdą”. Ze względu na brak czasu wielu dziennikarzy przepisało z tego źródła „oficjalne dane” o nowym papieżu. Był to portret nieistniejącego w rzeczywistości człowieka. Tak więc w piśmie „Economist”, by wymienić tylko jeden z setek możliwych przykładów, na temat Jana Pawła I można było przeczytać: *Nie czułby się zbyt dobrze w towarzystwie doktora Hansa Kunga*. Gdyby spróbowano choć trochę poszperać, wówczas by odkryto, że Luciani i Hans Kung często wymieniali przyjacielską korespondencję i przesyłali sobie nawzajem książki. Można by było także stwierdzić, że w swoich kazaniach Luciani kilkakrotnie cytował Kunga, chwając go i wyrażając się o nim z aprobatą. Praktycznie wszystkie dzienniki i czasopisma na świecie, które zajmowały się nowym papieżem, używały podobnych, całkowicie wprowadzających w błąd stwierdzeń.

Przy lekturze specjalnego wydania „Osservatore Romano” powstaje wrażenie, że chodzi tu o nowego papieża, który jest jeszcze bardziej konserwatywny niż Paweł VI. Fałszerstwa i zniekształcenia dotyczyły poglądów Lucianiego na wiele spraw, w tym także na jedną, która w kontekście życia i śmierci Albino Lucianiego odgrywa szczególnie ważną rolę: sprawę regulacji urodzeń.

„Osservatore Romano” przedstawił portret człowieka, który zdecydowanie i bezkrytycznie aprobował encyklikę *Humanae vitae*:

Studiował skrupulatnie sprawę świadomej odpowiedzialności macierzyństwa i ojcostwa, zasięgał porad fachowców z zakresu medycyny i teologów oraz dyskutował z nimi. Napominał Kościół, by w wypowiedziach na temat tak drażliwy i kontrowersyjny był świadomy swojej poważnej odpowiedzialności.

Było to całkowicie trafne i zgodne z prawdą. To, co nastąpiło dalej, było całkowicie fałszywe:

Ogłoszenie encykliki „Humanae vitae” nie pozostawiło już żadnego miejsca na wątpliwości i biskup Vittorio Veneto był jednym z pierwszych, którzy rozpowszechniali encyklikę i usiłowali energicznie wyjaśnić tym, którzy głowili się nad nią, że jej orzeczenia stoją ponad wszelkimi wątpliwościami.

Kiedy Kuria zaczyna działać, okazuje się wtedy niepokojąco sprawnie funkcjonującym aparatem. W obliczu tempa i efektywności jej działania inni biurokraci pobledliby z zazdrości. Wysłannicy Kurii pojawili się na Uniwersytecie Gregoriańskim i zebrali wszystkie pisemne świadectwa o studiach Lucianiego. Inni wysłannicy Kurii zjawili się w Wenecji, Vittorio Veneto i Belluno. Kuria pojawiła się we wszystkich miejscach, w których działał Luciani. Skonfiskowano i przekazano do tajnego archiwum watykańskiego wszystkie egzemplarze pisma, w którym przedstawił on swoje stanowisko w sprawie regulacji urodzeń; to samo spotkało jego pracę doktorską o Rosminim oraz sporą liczbę innych prac. Można powiedzieć, że stylizowanie Albino Lucianiego na papieża odpowiadającego gustom Kurii rozpoczęło się już w dniu jego wyboru. Można to wyrazić jeszcze inaczej: w tym dniu rozpoczął się proces zniekształcania wizerunku Albino Lucianiego.

Tym, co wywołało największe przerażenie określonych grup wewnątrz Kurii, była świadomość, że kardynałowie nawarzyli im piwa wybierając papieża, który nie pozostałby przy *Humanae vitae* jako ostatnim słowie Kościoła w sprawie regulacji urodzeń. Przystudiowanie tego, co Luciani rzeczywiście powiedział na ten temat nie tylko w swoich kazaniach publicznych, lecz także w rozmowach z przyjaciółmi i kolegami, bardzo szybko wyjaśniało, że nowy papież był zwolennikiem sztucznej metody regulacji urodzeń. Fałszywy wizerunek nakreślony przez „Osservatore Romano”, był posunięciem otwierającym kontratak mający na celu zmuszenie Albino Lucianiego do przybrania maski lojalności wobec decyzji podjętej przez jego poprzednika. Kolejny cios nastąpił wkrótce.

Agencja UPI doszukała się wzmianek, że Luciani opowiadał się za tolerowaniem określonych możliwości sztucznego zapobiegania ciąży. W prasie włoskiej pojawiły się informacje o stanowisku Lucianiego, które kardynał Urbani z Wenecji przekazał papieżowi Pawłowi, i w którym zalecano zaakceptowanie przez Kościół pigułki antykoncepcyjnej. Kuria

pospieszyła się i jako świadka zaprezentowała ojca Henriego de Riedmattena, który był sekretarzem komisji papieskiej ds. kontroli urodzeń. Określił on jako „fantazje” informacje, zgodnie z którymi Luciani wypowiedział się przeciw kategorycznemu potępieniu sztucznych metod kontroli urodzeń. Powiedział dalej, że Luciani nigdy nie był członkiem komisji — i tu bez wątpienia miał rację. Wreszcie zaprzeczył, by Luciani napisał kiedykolwiek list lub raport na ten temat, które rzekomo miały być wysłane do papieża Pawła.

Sposób sformułowania dementi jest dobrym przykładem nieuczciwości, która powszechnie panowała w Kurii. Stanowisko sformułowane przez Lucianiego zostało przekazane do Rzymu przez kardynała Urbaniego i nosiło jego podpis. W czysto technicznym sensie słuszne było więc twierdzenie, że nie istnieje żaden dokument tego rodzaju, noszący podpis Lucianiego. Faktem było jednak, że Luciani sporządził taki dokument na polecenie i w imieniu swoich kolegów biskupów z regionu Wenecji, i że Urbani dostarczył go papieżowi. Zaprzeczanie temu było umyślnym kłamstwem.

Już w ciągu pierwszych trzech tygodni swego pontyfikatu Albino Luciani podjął pierwsze istotne kroki w kierunku doprowadzenia do nowej orientacji Kościoła rzymskokatolickiego w sprawie sztucznych metod regulacji urodzeń. W czasie gdy realizował ten zamiar, w świadomości światowej opinii publicznej utrwałał się całkowicie fałszywy obraz poglądów Lucianiego, wspierany w niemałym stopniu także przez „Osservatore Romano”, Radio Watykańskie i pewnych członków Kurii w poufnych rozmowach kularowych z dziennikarzami.

W czasie swego krótkiego pontyfikatu Luciani powoływał się na sporą liczbę oświadczeń swego poprzednika i cytował je. Charakterystyczne jest jednak to, że ani słowem nie wspominał o encyklice *Humanae vitae*. Po raz pierwszy — ku swemu przerażeniu — zwolennicy tej encykliki zrozumieli, że nowy papież może w tej sprawie przekreślić ich rachuby, kiedy dowiedzieli się, że Luciani wykreślił z przygotowanego przez sekretariat stanu projektu pierwszego wystąpienia wszystkie co do jednego fragmenty, w których wspomiano *Humanae vitae*, oczywiście w tonie najwyższych pochwał. Potem watykańscy przeciwnicy zapobiegania ciąży odkryli, że w maju 1978 r. Albino Luciani odrzucił zaproszenie do wygłoszenia przemówienia na kongresie międzynarodowym, zaplanowanym miesiąc później w Mediolanie. Okazją do tego kongresu i jego głównym zadaniem było uczczenie 10. rocznicy ogłoszenia encykliki *Humanae vitae*. Luciani zrezygnował nie tylko z wystąpienia jako mówca, lecz także z udziału w kongresie w ogóle. Wśród tych, którzy przyjechali na kongres i wygłosili peany na cześć *Humanae vitae*, znalazł się polski kardynał, Karol Wojtyła.

Kiedy prasa światowa powtarzała w dobrej wierze kłamstwa „Osservatore Romano”, Albino Luciani dyskutował w apartamentach papieskich ze swoim sekretarzem stanu, kardynałem Villotem. *Cieszę się — powiedział — że będę mógł rozmawiać na ten temat z delegacją amerykańską. Według mnie nie możemy pozostawić tego w obecnym stanie.*

„Tematem” była eksplozja demograficzna na ziemi. „Stanem” było oficjalne stanowisko Kościoła, wyrażone w encyklice *Humanae vitae*. W czasie rozmów Villot dowiedział się od papieża Jana Pawła I o poglądach, które wielu innych, wśród nich sekretarz osobisty papieża, ojciec Diego Lorenzi, słyszało z jego ust wiele razy. Ojciec Lorenzi był tylko jednym z wielu, którzy mogli przytoczyć wypowiedzi Lucianiego na ten temat w ich autentycznym brzmieniu:

Znam proces zapłodnienia u kobiety, wiem, że faza płodności trwa od 24 do 36 godzin. Jeżeli nawet przyjąć, że okres życia plemników męskich wynosi 48 godzin, to okres, w którym możliwe jest zapłodnienie, wynosi mniej niż cztery dni. Przy regularnym miesięczkowaniu oznacza to: cztery dni płodności i 24 dni bezpłodności. Jak więc ostatecznie może być grzechem czynienie 28 dni z 24?

Okazji do tej naprawdę historycznej rozmowy dostarczyło sondujące pytanie ambasady amerykańskiej w Rzymie pod adresem Watykanu. Ambasada działała na polecenie departamentu stanu w Waszyngtonie i kongresmena amerykańskiego, Jamesa Scheuera. Scheuer był w tym czasie przewodniczącym mieszanej komisji Kongresu ds. ludnościowych i zastępcą przewodniczącego funduszu ONZ przeznaczonego na badania demograficzne. Informacja o stanowisku wobec regulacji urodzeń, którą Luciani przekazał papieżowi Pawłowi VI, skłoniła Scheuera i jego kolegów z komisji do zajęcia się tą sprawą — być może rysowała się możliwość zrewidowania przez Kościół stanowiska w tej sprawie? Scheuer nie uważał wprawdzie za prawdopodobne, by on i jego koledzy tak szybko po rozpoczęciu pontyfikatu nowego papieża uzyskali u niego audiencję, ale mimo to uważał za słuszne, by departament stanu i ambasada w Rzymie na próbę zwróciły się w tej sprawie do Watykanu. Odpowiedź okazała się pocieszająca.

Podobnie jak wielu ludzi z najbliższego otoczenia w Stolicy Apostolskiej, Villot miał poważne trudności z dostosowaniem się do nowego papieża. Mianowany jeszcze przez Pawła VI, z biegiem czasu nabrał zaufania do poprzednika Lucianiego i podziwiał jego styl rządzenia. Teraz jednak miejsce zrezygnowanego 81-letniego kunktatora zajął pełen optymizmu człowiek czynu, który mając 65 lat był jak na stosunki watykańskie jeszcze młodzieńcem.

Od samego początku stosunki między Lucianim i jego sekretarzem stanu były

niewyraźne. Villot wydawał się nowemu papieżowi zimnym, zachowującym dystans człowiekiem. W każdej chwili był gotów czynić uwagi objaśniające, jak Paweł VI poradził sobie z tym lub innym problemem i co powiedział na ten lub inny temat. Paweł VI już nie żył, ale widać było wyraźnie, że Villot i pokaźna grupa wewnątrz Kurii nie w pełni przyjęli ten fakt do wiadomości.

Przemówienie wygłoszone przez nowego papieża 24 godziny po konklawe zawierało w zasadzie tylko stwierdzenia ogólne. Jego konkretne plany zaczęły się dokładniej zarysowywać dopiero w pierwszych dniach września. Okres ten był przesycony pełną zapału atmosferą, jaka panowała w ciągu pierwszych 100 dni pontyfikatu Jana XXIII.

Jana wybrano na papieża 28 października 1958 r. W czasie owych pierwszych 100 dni podjął wiele radykalnych decyzji personalno-politycznych, mianując na przykład kardynała Domenico Tardiniego sekretarzem stanu (było to stanowisko nie obsadzone od 1944 r.). Najważniejszą jednak decyzją było zwołanie Soboru Watykańskiego II. Decyzję tę podano do wiadomości publicznej 25 stycznia 1959 r., 89 dni po wyborze Jana.

Albino Luciani, który siedział teraz na tronie rybaka z Jeziora Genezaret, postanowił pójść za stworzonym przez Jana przykładem rewolucyjnego, 100-dniowego początku pontyfikatu. Na czele jego listy pilnych reform i zmian znajdowała się konieczność radykalnego zrewidowania stosunku Watykanu do kapitalizmu i życzenie złagodzenia bardzo realnych, masowych cierpień, które poznał osobiście, i które bezpośrednio były zakorzenione w encyklice *Humanae vitae*.

Według informacji kardynałów Benellego, Feliciego i innych świadków watykańskich, wyniosły kardynał Villot z niechęcią przysłuchiwał się wyjaśnieniom nowego papieża na temat problemów spowodowanych przez tę encyklikę. Aluzje, które w rozmowach ze mną czynił Felici, nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że w tych sprawach był on całkowicie zgodny z Villotem.

Zaledwie kilka miesięcy przed tą rozmową z papieżem, kiedy obchodzono dziesięciolecie ogłoszenia encykliki, Villot wychwalał ją pod niebiosa. W liście do arcybiskupa San Francisco, Johna Quinna, Villot podkreślił sprzeciw papieża Pawła wobec sztucznego zapobiegania ciąży; podkreślił, jak aspekt ten jest według Pawła ważny dla nauki katolickiej i jak zdecydowanie wierzył on w jego *zgodność z prawami boskimi*. Teraz, niecałe dwa miesiące później, usłyszał, że następca Pawła zamierza odejść od *Humanae vitae*. Kawa wystygła już w filiżankach, kiedy Luciani podniósł się od swego biurka i, w charakterystyczny dla siebie spokojny sposób, mówił o skutkach, jakie encyklika wywołała w ciągu minionego dziesięciolecia.

Ogłoszona z zamiarem umocnienia autorytetu papieża, ale jednocześnie kategorycznie odrzucająca możliwość odwrotu od tradycyjnego stanowiska katolickiego w sprawach zapobiegania ciąży, encyklika *Humanae vitae* wywarła wręcz odwrotny skutek. Są na to niepodważalne dowody. W Belgii, Holandii, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i wielu innych krajach nie tylko ostro krytykowano encyklikę, lecz wystąpiło tam w dużej skali praktyczne wobec niej nieposłuszeństwo. Wierni radzili sobie w ten sposób, że po prostu szukali bardziej wielkodusznego kapłana, jeżeli jakiś duchowny podczas spowiedzi był niewyrozumiały. Luciani przytoczył kilka znanych mu osobiście z regionu Wenecji przykładów takiej praktyki.

W teorii i z perspektywy bastionu samych mężczyzn, jakim jest Watykan, *Humanae vitae* może się prezentować jako świadectwo idealnego, moralnego sposobu myślenia. Rzeczywistość, którą Luciani poznał w północnych Włoszech i podczas swoich podróży zagranicznych dowiodła jednak niezbitie niehumanitarnego charakteru tego nakazu kościelnego. W ciągu dziesięciu lat od ogłoszenia encykliki ludność świata powiększyła się o ponad trzy czwarte miliarda osób.

Kiedy Villot zwrócił uwagę, że papież Paweł podkreślił zalety naturalnych metod zapobiegania ciąży, Luciani zatrzymał się w swojej wędrówce po pokoju i uśmiechnął się do sekretarza stanu. Nie był to jednak ten promienny uśmiech znany opinii publicznej, ale raczej smutny półuśmiezek.

— Eminencjo, cóż my, starzy, żyjący w celibacie możemy wiedzieć o seksualnym pożądaniu żonatych?

Rozmowa ta, pierwsza z wielu, jakie papież przeprowadził ze swoim sekretarzem stanu na ten temat, odbyła się 19 września 1978 r. w papieskim gabinecie w Pałacu Apostolskim. Trwała niespełna trzy kwadranse. Kiedy się skończyła i Villot szykował się do wyjścia, Luciani odprowadził go do drzwi i powiedział:

Eminencjo — dyskutowaliśmy trzy kwadranse o zapobieganiu ciąży. Jeżeli dane, które mi dostarczono, i różne statystyki, są prawdziwe, to w czasie naszej rozmowy na skutek niedożywienia zmarło ponad 1000 dzieci w wieku poniżej 5 lat. W ciągu następnych trzech kwadransów, kiedy my będziemy z zadowoleniem oczekiwać naszego następnego posiłku, znowu 1000 dzieci umrze z niedożywienia. Jutro o tej porze 30000 dzieci, które w tym momencie jeszcze żyją, będzie martwych — umrą z niedożywienia. Bóg nie zawsze zaspokaja nasze potrzeby.

Watykańskiemu sekretarzowi stanu nie przyszła na myśl żadna celna odpowiedź.

Zarówno Watykan jak i Departament Stanu starannie utrzymywały w tajemnicy

rozmowy na temat możliwej audiencji dla amerykańskiej delegacji parlamentarnej w celu przedyskutowania problemu przeludnienia. Gdyby opinia publiczna dowiedziała się o takim spotkaniu, odbytym w dodatku tak szybko po wyborze Lucianiego, zinterpretowano by je słusznie jako bardzo doniosły sygnał.

W oczach światowej opinii publicznej spotkanie to miałoby jeszcze większe znaczenie, gdyby się dowiedziano, z jakich przyczyn papież Jan Paweł I nie zamierzał wziąć udziału w konferencji w Puebli w Meksyku. Była to impreza stanowiąca kontynuację bardzo istotnej konferencji, która w 1968 r. odbyła się w kolumbijskim mieście Medellin.

W Medellin kardynałowie i biskupi z Ameryki Łacińskiej podjęli uchwały, które natchnęły życiem Kościół rzymskokatolicki na kontynencie południowoamerykańskim. W uchwalonym przez nich *Manifeście z Medellin* czytamy na przykład, że głównym zadaniem Kościoła w przyszłości powinno być poświęcenie się ubogim, opuszczonym i głodującym. Był to rewolucyjny przełom dla Kościoła, który do tej pory identyfikował się z bogatymi i potężnymi. *Teologia wyzwolenia*, która wzięła swój początek na konferencji w Medellin, dała wyraźnie do zrozumienia różnym juntom i reżimom dyktatorskim Ameryki Łacińskiej, że Kościół postanowił walczyć przeciw wyzyskowi gospodarczemu i niesprawiedliwości społecznej. Była to w rzeczy samej zapowiedź walki przeciw istniejącym stosunkom. Na opór przeciw tej postępowej filozofii oczywiście nie trzeba było długo czekać. Zaznaczył się on nie tylko ze strony różnych, represyjnych reżimów, lecz także elementów reakcyjnych wewnątrz Kościoła. W dziesięć lat po Medellin, konferencja w Puebli najprawdopodobniej przyniosłaby jeszcze bardziej istotne decyzje. Czy Kościół poszedłby dalej wyznaczoną drogą, czy też nastąpiłby odwrót do starych pozycji? Odrzucenie przez papieża zaproszenia do udziału w tej konferencji świadczy o wielkim znaczeniu, jakie przywiązywał do spotkania z delegacją J. Scheuera. Z pewnością jednak znakomicie zdawał sobie sprawę z potencjalnych implikacji konferencji w Puebli.

Kardynałowie Baggio i Lorscheider, centralne postaci wśród organizatorów konferencji w Meksyku, poruszyli ten temat z papieżem jeszcze podczas konklawe, bezpośrednio po jego wyborze. Konferencja pierwotnie nie doszła do skutku z powodu zgonu papieża Pawła VI. Obaj kardynałowie chcieli się dowiedzieć od nowego papieża, czy jest gotów ustalić nowy termin konferencji w Puebli.

Niecałą godzinę po wyborze na papieża, Albino Luciani prowadził intensywną dyskusję na temat problemu, który miał być przedmiotem debat w Puebli. W końcu wypowiedział się za tym, by konferencja się odbyła i uzgodnił z kardynałami jej termin na dni 12-28 października. W czasie dyskusji zadziwił Baggia i Lorscheidera dokładną znajomością

problemów, które powinny być rozwiązane w Puebli. Jeżeli chodzi o jego własny udział w tej konferencji, to uważał, że lepiej będzie nie eksponować się publicznie już na samym początku pontyfikatu. Kiedy Villot zwrócił mu uwagę, że Scheuer i jego koledzy z komisji poprosili o audiencję 24 października, oświadczył Baggio i Lorscheiderowi, że nie uda się do Puebli. Villotowi polecił potwierdzić Amerykanom termin audiencji. Albino Luciani ostatecznie doszedł do przekonania, że jego miejsce jest przede wszystkim w Watykanie. Istniały bardzo istotne powody do podjęcia przez niego decyzji pozostania w Rzymie. W ciągu pierwszych dwóch tygodni swego pontyfikatu Jan Paweł I zrozumiał, że jego najpilniejszym zadaniem było zaprowadzenie porządku we własnym domu. Zajmował go szczególnie problem Banku Watykańskiego i „filozofia działania” tej instytucji.

Nowy papież działał z szybkością, której wyraźnie brakowało jego poprzednikowi, przynajmniej w ostatnich latach. Nie uważał jednak przy tym wcale, że przed upływem pierwszych 100 dni swego pontyfikatu musi zmienić wszystko w całym Watykanie, ale powziął jednoznaczny zamiar wprowadzenia zmian w Kościele, a zwłaszcza w Watykanie-Sp. z o.o.

Już w pierwszym tygodniu pontyfikatu Jan Paweł I dał przedsmak tego, czego należało się spodziewać. Zaakceptował życzenie kardynała Villota i zwolnił go z jednej z jego licznych funkcji, przewodniczącego Cor Unum. Stanowisko to objął kardynał Bernard Gantin. Cor Unum jest jednym z najważniejszych kanałów, którym pieniądze zbierane na całym świecie przepływają do najbiedniejszych krajów.

Cor Unum zajmowało ważne miejsce w koncepcji Albino Lucianiego, zgodnie z którą Kościół w swojej działalności finansowej, a także pod każdym innym względem, powinien się kierować nakazami Ewangelii. W sposób łagodny, co jednak nie zmienia absolutnie znaczenia samego faktu, Villot został zastąpiony Gantinem, człowiekiem wielkiego ducha i wręcz kryształowej uczciwości.

W watykańskiej wiosce wrzało od spekulacji. Niektórzy profilaktycznie deklarowali, że nigdy nie mieli nic wspólnego z Sindoną lub Calvim, ani z żadnymi członkami mafii mediolańskiej, którzy w czasie pontyfikatu papieża Pawła przeniknęli do Watykanu. Inni zastosowali indywidualną strategię, która miała im umożliwić przetrwanie, polegającą na znoszeniu poufnych informacji do papieskich apartamentów.

Kilka dni po nominacji Gantina Jan Paweł znalazł na swoim biurku egzemplarz pisma okólnego z włoskiego urzędu nadzoru nad operacjami dewizowymi, UIC. Była to bez wątpienia bezpośrednia reakcja na krytyczne pytania, które swego czasu magazyn „Il Mondo” skierował pod adresem papieża Pawła i zawarty w nich pośredni zarzut jaskrawej

sprzeczności między oficjalnym przyznawaniem się Kościoła do ubóstwa a jego rzeczywistym postępowaniem w sprawach finansowych.

Pismo okólne, podpisane przez włoskiego ministra handlu zagranicznego Rinaldo Ossoli, skierowano do wszystkich banków włoskich. Przypominało ono, że IOR, a więc Bank Watykański, *pod żadnym względem nie jest krajową instytucją bankową*. Tak więc włoskie instytucje kredytowe w kontaktach z tym bankiem obowiązywały takie same reguły, jak w stosunkach ze wszystkimi innymi bankami zagranicznymi.

Ministrowi chodziło przede wszystkim o manipulacje dewizowe w związku z nielegalnym wypływem kapitału z Włoch. Swoim pismem okólnym potwierdził oficjalnie, że takie manipulacje miały miejsce. Jego apel oceniono we włoskich kołach finansowych jako próbę położenia tamy przynajmniej jednemu z wielu budzących wątpliwości działań Banku Watykańskiego. W Watykanie powszechnie uważano akcję ministra za kolejne potwierdzenie, że dla biskupa Paula Marcinkusa, jako prezesa IOR, wybiła ostatnia godzina.

Na początku września w Watykanie zaczęła krążyć wiadomość, którą uważam za nieautentyczną, ale wielu świadków z Watykanu i z włoskich środków masowego przekazu zapewniało mnie, że była ona prawdziwa. Dotyczyła dokonanej swego czasu sprzedaży Banca Cattolica Roberto Calviemu i wizyty w Watykanie Albino Lucianiego, który usiłował wtedy zapobiec sfinalizowaniu tej transakcji. Już wcześniej, w innym miejscu tej książki, przedstawiłem autentyczny w moim przekonaniu przebieg jego rozmowy z kardynałem Benellim w czasie tej wizyty. Według wersji wzbogaconej włoskimi przyprawami z kuchni watykańskiej, historia wyglądała tak, że Luciani osobiście rozmawiał z papieżem Pawłem VI i przedstawił mu swoją skargę; Paweł miał odpowiedzieć następująco:

Ty także musisz ponieść tę ofiarę dla Kościoła. Jeśli chodzi o naszą sytuację finansową, to nie uporaliśmy się jeszcze ze stratami wyrządzonymi przez Sindonę. Udaj się jednak do monsignore Marcinkusa i przedstaw mu swoją skargę.

Niewiele później, jak głosi wieść, Luciani pojawił się w biurze Marcinkusa i przedstawił litanie skarg na temat sprzedaży Banca, które stały się głośne w diecezji weneckiej. Marcinkus odczekał, aż Luciani skończy, a następnie powiedział:

Wasza Eminencjo, czy nie masz dziś nic lepszego do roboty? Rób swoje i pozwól mi robić swoje.

Po tych słowach wskazał Lucianiemu drzwi. Wszyscy, którzy mieli osobiście do czynienia z Marcinkusem, potwierdzili, że swoją postawą i zachowaniem w pełni zasługuje na przezwisko „Goryla”. Biskupi i inni dostojnicy, księża i zakonnice w Watykanie byli w każdym razie przekonani, że opisana scena tak właśnie wyglądała. Teraz, ten mały, spokojny

człowiek z Belluno objął nagle stanowisko, które umożliwiło mu usunięcie Goryla w jednej chwili.

Niektórzy członkowie Kurii zorganizowali loterię. Chodziło o ustalenie dnia, w którym Marcinkus zostanie formalnie zwolniony ze swojego stanowiska. Papież, który zawsze cenił sobie rozagę, zbierał jeszcze dowody. Poza dochodzeniem, które na polecenie Lucianiego prowadził kardynał Villot, uśmiechnięty papież z typową dla górala przebiegłością zapewnił sobie inne źródła informacji. Rozpoczął rozmowy na temat Banku Watykańskiego z kardynałem Felicim. Telefonował do kardynała Benellego we Florencji.

Giovanni Benelli był tym, który opowiedział papieżowi o dochodzeniach włoskiego banku państwowego przeciw Banco Ambrosiano. Nie było to wcale takie nietypowe dla sposobu obiegu spraw i informacji w Kościele katolickim: kardynał z Florencji informował papieża w Rzymie o tym, co działo się w Mediolanie.

Drugi niegdyś człowiek w watykańskim sekretariacie stanu zbudował mocną sieć kontaktów, obejmującą cały kraj. Na Licio Gellim z loży P2, jako znawcy materii, z pewnością wywarłby wrażenie szeroki wachlarz i jakość informatorów Benellego. Wśród nich znajdowali się wysocy urzędnicy banku włoskiego. Od nich właśnie kardynał dowiedział się o „prześwietlaniu” imperium Calviego. We wrześniu 1978 r. dochodzenie to wkroczyło w decydującą fazę. Tym, co najbardziej interesowało Benellego, a w konsekwencji także Lucianiego, była sfera dochodzeń, która zajmowała się powiązaniem Calviego z Watykanem. Zaufany człowiek Benellego w banku państwowym był przekonany, że dochodzenie zaowocuje poważnymi zarzutami karnymi przeciw Calviemu i prawdopodobnie także przeciw niektórym jego współpracownikom. Był także przekonany, że Bank

Watykański został poważnie uwikłany w znaczną liczbę operacji, przy których realizacji naruszono wiele przepisów prawnych. Komisja dochodzeniowa sporządziła listę nazwisk funkcjonariuszy Banku Watykańskiego podejrzewanych o popełnienie czynów karalnych. Na samym początku tej listy znajdowały się nazwiska Paula Marcinkusa, Luigi Menniniego i Pellegrino de Strobela.

W ciągu niespełna dziesięciolecia znajomości z Lucianim, Benelli uzyskał doświadczenie, że energiczne próby przekonywania były najmniej odpowiednie, aby wpłynąć na postępowanie tego człowieka. Powiedział mi:

U Lucianiego-papieża było tak: przedstawiano mu fakty, formułowano wynikające z nich wnioski i zostawiano mu potem czas i miejsce na zastanowienie się. Kiedy przeanalizował wszystkie będące do dyspozycji informacje, podejmował decyzję, a kiedy Luciani podjął jakąś decyzję, nie było niczego — proszę mnie dobrze zrozumieć — niczego, co

mogłoby go od niej odwieść lub odwrócić jego uwagę. Łagodny — tak. Skromny — tak. Ale jeśli miał na oku jakiś określony cel, był twardy jak kamień.

Benelli nie był jedynym człowiekiem uzyskującym poufne informacje od wyższych urzędników banku włoskiego. Zaufani ludzie i członkowie P2 dostarczali Lucio Gellemu w Buenos Aires dokładnie tych samych informacji, a ten z kolei przekazywał je na bieżąco swoim krążącym po świecie kompanom, Roberto Calviemu i Umberto Ortolanemu.

Od swoich braci z loży w ratuszu mediolańskim Gelli się dowiedział, że po zakończeniu dochodzeń w sprawie Banco Ambrosiano sporządzone na ich podstawie raporty zostaną przekazane mediolańskiemu sędziemu, Emilio Alessandriniemu. Kilka dni po otrzymaniu przez Gellego tej informacji, działająca w Mediolanie lewacka grupa terrorystyczna pod nazwą Prima Linea otrzymała polecenie przyjrzenia się bliżej swej następnej potencjalnej ofierze. Przywódca terrorystów przybił na ścianie swego mieszkania tarczę strzelniczą — była to fotografia sędziego Emilio Alessandriniego.

P2 zajmowała się wieloma sprawami — również w Watykanie. W pierwszych dniach września 1978 r. Albino Luciani zorientował się, że jakimś tajemniczym zrządzeniem losu wpadła mu do rąk ekskluzywna lista abonentów niezwyklej agencji informacyjnej pod nazwą L'Osservatore Politico (OP). Agencja ta była jednoosobową firmą, prowadzoną przez dziennikarza Mino Pecorellego. Odznaczała się tym, że informacje, które rozpowszechniała, często sprawiające wrażenie wyolbrzymionych historii o różnych odkryciach i skandalach w końcowym efekcie zawsze okazywały się prawdziwe. Tym więc sposobem, do czytelników serwisów OP, poza czołowymi politykami, dziennikarzami, politycznymi augurami i innymi, którzy przywiązywali wagę do wczesnego uzyskiwania informacji o ważnych sprawach, należał teraz również Albino Luciani. Artykuł, który w owych pierwszych dniach września wpadł mu w oko, dotyczył „wielkiej loży watykańskiej”. Zawierał listę 121 nazwisk osób, które, jak twierdzono, były członkami loży masońskiej. Wśród nich było wprawdzie parę osób świeckich, ale zdecydowaną większość stanowili kardynałowie, biskupi i inni wysocy rangą prałaci. Powód opublikowania przez Pecorellego tej listy był prosty: poróżnił się on ze swoim byłym wielkim mistrzem, Licio Gellim. Pecorelli był członkiem P2 i w gniewie wystąpił z niej.

Jeżeli informacje Pecorellego były prawdziwe, to oznaczały, że Luciani był praktycznie otoczony masonami — a bycie masonem było automatycznie równoznaczne z natychmiastową ekskomuniką. Jeszcze przed rozpoczęciem konklawe przebąkiwano niejednokrotnie, że wielu najwyższych dostojników kościelnych było masonami. Teraz, 12 września, nowy papież miał przed sobą listę ich nazwisk. W odniesieniu do wolnomularstwa

Luciani reprezentował pogląd, że kapłan w żadnym wypadku nie może być członkiem loży. Wiedział, że wielu katolików świeckich, których znał osobiście, było masonami. Godził się z tym tak samo, jak z faktem, że inni jego przyjaciele byli komunistami. Nauczył się żyć z takimi sytuacjami, ale w przypadku osób w sutannie, przykładał do nich znacznie ostrzejszą miarę. Kościół katolicki dawno temu obwieścił, że odrzuca wolnomularstwo. Nowy papież z pewnością był gotowy do dyskusowania na ten temat, ale lista nazwisk 121 członków loży nie podlegała dyskusji.

Sekretarz stanu, kardynał Villot, występujący w loży pod imieniem Jeanni, numer członkowski 041/3, przyjęty do Loży Zuryskiej 6 sierpnia 1966 r. Minister spraw zagranicznych Watykanu, kardynał Agostino Casaroli, kardynał Ugo Poletti, wikariusz Rzymu. Kardynał Baggio. Biskup Paul Marcinkus i monsignore Donato de Bonis z Banku Watykańskiego. Przerażony papież trzymał w rękach listę, którą czytało się jak *Kto jest kim w Watykanie*. Z ulgą zauważył, że nie było na niej ani Benellego, ani Feliciego — znajdowało się natomiast nazwisko sekretarza zmarłego papieża, monsignore Pasquale Macchiego. Albino Luciani chwycił za telefon, zadzwonił do Feliciego i zaprosił go na filiżankę kawy.

Felici zwrócił papieżowi uwagę na to, że taki sam wykaz nazwisk krążył już w Watykanie z ręki do ręki przed dwoma laty, w maju 1976 r. Ponowne pojawienie się listy miało najprawdopodobniej na celu wywarcie wpływu na decyzje personalne nowego papieża.

— Czy ta lista jest autentyczna? — Chciał wiedzieć Luciani.

Felici odpowiedział, że jego zdaniem stanowi ona wyrafinowaną mieszankę: niektórzy z wymienionych są rzeczywiście masonami, inni natomiast nie. Felici analizował:

— Lista ta sprawia wrażenie, jak gdyby pochodziła z frakcji Lefebvre’a... Nie oznacza to, że sporządził ją nasz rebeliancki brat z Francji, ale z pewnością wykorzystuje ją.

Biskup Lefebvre był od lat cierniem w ciele Kościoła katolickiego. Ten tradycjonalista, który w Soborze Watykańskim II widział wytwór herezji, nie chciał nic słyszeć o podjętych tam uchwałach i w większej części ignorował je. Na całym świecie uzyskał rozgłos swoim żądaniem, by msze święte odprawiano tylko po łacinie. Jego kwalifikujące się pod względem politycznym jako prawicoworadykalne poglądy skłoniły papieża Pawła do publicznego potępienia go. Jeśli chodzi o nowego papieża, to zwolennicy Lefebvre’a oświadczyli najpierw, że nie uznają jego wyboru, ponieważ z konklawe wykluczono kardynałów liczących ponad 80 lat. Przyjęcie przez niego imienia Jana Pawła I skomentowali jako „podejrzane”.

Luciani zastanowił się przez chwilę.

— Mówisz, że takie listy kursują już od ponad dwóch lat?

— Tak, Wasza Świątobliwość.

— Czy dostały się w ręce przedstawicieli prasy?

— Tak, Wasza Świątobliwość. Pełnej listy jednak nigdy nie opublikowano, tylko niektóre nazwiska.

— A reakcja Watykanu?

— Jak zwykle. Żadnej reakcji nie było.

Luciani uśmiechnął się. Lubił Pericle Feliciego. Ten oddany całkowicie Kurii kardynał w sposobie myślenia tradycjonalista, był jednocześnie dowcipnym, inteligentnym człowiekiem dużego formatu.

— Eminencjo, a reforma prawa kanonicznego, której poświęciłeś tak dużą część swego czasu — czy Ojciec Święty myślał o tym, by zmienić stanowisko Kościoła wobec wolnomularstwa?

— Przez lata były pewne naciski z różnych stron.

Pewne zainteresowane grupy domagały się bardziej nowoczesnego stanowiska. Ojciec Święty aż do swej śmierci zastanawiał się nad różnymi argumentami.

W dalszej rozmowie Felici dał do zrozumienia, że do tych, którzy wyraźnie opowiadali się za złagodzeniem postanowień prawa kanonicznego o niemożności pogodzenia wolnomularstwa z przynależnością do Kościoła katolickiego, należał sekretarz stanu, kardynał Jean Villot.

Po tej rozmowie papież zaczął się baczniej przyglądać niektórym ze swoich licznych gości. Masoni jednak niczym się nie różnią, niestety, od reszty ludzi. W czasie, gdy Luciani był zajęty tym nieprzewidzianym problemem identyfikacji, liczni członkowie Kurii, którzy zdecydowanie sympatyzowali z reakcyjnym światopoglądem Licio Gellego, gorliwie przemycali z Watykanu informacje, które lądowały w gabinecie Roberto Calviego w Mediolanie.

Informacje z Watykanu brzmiały niepokojąco. Calvi był przekonany, że papież zastanawia się nad odwetem za Banca Cattolica Veneto. Był przekonany, że Luciani prześwietlał praktyki stosowane przez Bank Watykański, aby wykończyć nie lubiane osoby, a w końcowym rezultacie przede wszystkim jego, Calviego. Szef Banco Ambrosiano przypomniał sobie rozgoryczenie duchownych weneckich i protesty Lucianiego w związku z Banca Cattolica; przypomniał sobie, że diecezja zlikwidowała swoje liczne konta i powierzyła pieniądze konkurencyjnemu bankowi. Przez kilka dni Calvi rozmyślał nad przekupieniem Lucianiego — być może jakimś robiącym wrażenie prezentem dla Watykanu, lub założeniem dobrze dotowanej fundacji, zajmującej się działalnością dobroczynną. Jednak to, co Calvi

wiedział o Lucianim, świadczyło jedynie o tym, że ma do czynienia ze specyficznym człowiekiem, jakiego w zasadzie nie spotkał jeszcze w swoim życiu zawodowym: z człowiekiem całkowicie nieprzekupnym.

Mijał wrzesień. Calvi wciąż jeszcze podróżował po Ameryce Południowej — Urugwaj, Peru, Argentyna. U jego boku stale przebywał albo Gelli, albo Ortolani. Jeżeli papież usunie Marcinkusa — a zgodnie z tym wszystkim, co można było usłyszeć, z całą pewnością należało się z tym liczyć — wówczas on, Calvi, od razu mógłby się rzucić pod pociąg lub zawiązać sobie stryczek. Gdyby Marcinkusa wyrzucono, wówczas jego następcą odkryłby bardzo szybko, jak wyglądały stosunki między Bankiem Watykańskim a Banco Ambrosiano. Mennini i de Strobel utraciliby swoje stanowiska. O sprawie poinformowano by bank włoski i Roberto Calvi spędziłby resztę swego życia w więzieniu.

Podjął środki zapobiegawcze na każdy możliwy wypadek, na każde potencjalne niebezpieczeństwo, uszczelnił wszystkie luki w swoim systemie. Jego machinacje były szczytem perfekcji — nie była to jedna kradzież, nawet jedna olbrzymia kradzież — jego działalność polegała na stałej kradzieży o niespotykanych dotychczas rozmiarach. We wrześniu 1978 r. odłożył już na bok 400 mln dolarów. Filie w odległych rajach podatkowych; partnerzy zagraniczni; pozorne firmy — dla większości złodziei jedno udane włamanie do skarbca bankowego może być upajającym sukcesem, ale Calvi bez brudzenia sobie rąk rabował dziesiątki banków jednocześnie. W dodatku banki te stały w kolejce, by pozwolić się przez niego obrabować; walczyły ze sobą o zaszczyt pożyczania pieniędzy Banco Ambrosiano.

Teraz, w najlepszym okresie swego porywającego wzlotu, musiał walczyć z kontrolerami z włoskiego banku państwowego, którzy nie dali się przekupić i z każdym dniem zbliżali się do zakończenia prowadzonego śledztwa. Gelli zapewnił wprawdzie Calviego, że można poradzić sobie z tym problemem i zostanie on opanowany, ale w jaki sposób nawet sam Gelli, przy wszystkich wpływach i całej potędze, jakimi dysponował, miałby poradzić sobie z papieżem?

Gdyby jakimś cudownym zbiegiem okoliczności Albino Luciani zszedł z tego świata, zanim doszłoby do usunięcia Marcinkusa, wówczas Calvi zyskałby na czasie. Jeden miesiąc to wprawdzie niewiele, ale wiele zdarzyć się może między śmiercią jednego papieża a wyborem drugiego. Wiele także może się zdarzyć na następnym konklawe! Przecież nie wybrano by następnego papieża, który chciałby zreformować finanse Watykanu! Calvi zwrócił się, jak zawsze, do Licio Gellego i zwierzył mu się ze swoich najgorszych obaw. Po długiej rozmowie telefonicznej z Gellim Roberto Calvi poczuł lekką ulgę. Gelli dodał mu

wiary, że „problem” można załatwić i że zostanie on załatwiony.

Tymczasem w Pałacu Apostolskim wokół nowego papieża codzienna, powszednia rutyna nabierała nowych kształtów. Luciani tak jak czynił to przez całe życie, tutaj również wstawał bardzo wcześnie. Postawiony przed koniecznością wyboru, czy ma spać w łóżku Jana XXIII, czy Pawła VI, zdecydował się na to pierwsze. Dowiedział się od ojca Magee, że Paweł uzasadnił odmowę korzystania z łóżka swego poprzednika *szacunkiem dla papieża Jana*. Luciani odparł na to: *A ja, z uwagi na moją miłość do niego, będę spał w jego łóżku*.

Chociaż budzik na papieskiej szafce nocnej nastawiano każdego wieczora na godzinę piątą, była to zwykła ostrożność na wypadek zaspania. Z reguły papieża budziło już o wpół do piątej pukanie do drzwi. Pukanie to sygnalizowało, że siostra Vincenza postawiła przed drzwiami dzbanuszek kawy. Kuria mieszała się nawet do tak zwykłych spraw. W Wenecji zawsze stosowano praktykę, że mająca dyżur siostra pukała do drzwi, wchodziła mówiąc „dzień dobry” i stawiała kawę obok łóżka Lucianiego. Gorliwi członkowie Kurii w Watykanie dostrzegali w tym niewinnym rytuale naruszenie jakichś wymagowanych przepisów protokolarnych i przedstawili zdumionemu Lucianiemu swoje zastrzeżenie. Uzgodniono, że kawę będzie się stawiać w przyległym do sypialni gabinecie. Zwyczaj picia kawy zaraz po przebudzeniu wynikał z operacji przetoki, której Luciani poddał się przed wielu laty. Od tego czasu po obudzeniu się czuł w ustach nieprzyjemny smak, który usuwał właśnie kawą lub, jeśli jej nie było, na przykład w czasie podróży, cukierkiem.

Po wypiciu kawy golił się i kąpał. Od piątej do wpół do szóstej ćwiczył angielski, posługując się lekcjami tego języka nagranych na kasety. O wpół do szóstej opuszczał sypialnię i udawał się do znajdującej się w pobliżu małej kaplicy prywatnej. Pozostawał w niej do siódmej modląc się, medytując i czytając brewiarz.

O siódmej przychodzili do niego inni członkowie papieskiego domu, a mianowicie sekretarze: ojciec Lorenzi i ojciec Magee. Lorenzi, który tak jak papież był nowicjuszem w Watykanie, zapytał Lucianiego, czy Magee, który do tej pory był jednym z sekretarzy papieża Pawła, nie mógłby pozostać na swoim stanowisku. Nowy papież zgodził się na to od razu, ponieważ już podczas pierwszych dwóch dni pontyfikatu Lucianiego Magee wywarł na nim dobre wrażenie, a szczególnie jego umiejętność załatwienia filiżanki dobrej kawy.

W porze codziennej mszy porannej do tych trzech mężczyzn dołączały siostry z kongregacji Maria Bambina, do których zadań należało troszczenie się o gospodarstwo papieża — mycie, sprzątanie, gotowanie. Matka przełożona, Elena, i siostry Margherita, Assunta, Gabriella i Clorinda otrzymały wkrótce pomoc: na propozycję ojca Lorenzi z Wenecji przybyła do Watykanu siostra Vincenza.

Vincenza służyła Lucianiemu od czasów Vittorio Veneto; znała jego potrzeby i przyzwyczajenia. Udała się z nim do Wenecji i była przełożoną czterech zakonnice, które opiekowały się patriarchą. W 1977 r. z powodu ataku serca znalazła się w szpitalu. Lekarze powiedzieli jej, że nie wolno jej już więcej pracować, ale na siedząco może wydawać polecenia innym siostrze. Zlekceważyła jednak te ostrzeżenia i nadal pełniła swoje funkcje — zaglądała do garnków kucharce, siostrze Celestinie, i besztła patriarchę, jeżeli zapomniał zażyć leki na zbyt niskie ciśnienie krwi.

Dla Albino Lucianiego Vincenza i ojciec Lorenzi byli jedynymi ogniwami łączącymi go ze stronami ojczystymi w północnych Włoszech, które będzie mógł teraz już tylko bardzo rzadko oglądać i nigdy nie powróci do nich na stałe. Człowiek, który zostaje wybrany na papieża od razu pozostaje w miejscu, w którym według wszelkiego prawdopodobieństwa umrze, i gdzie z całą pewnością zostanie pochowany.

Swoje właściwe śniadanie, składające się z kawy z mlekiem, bułeczki i owoców, spożywał bezpośrednio po mszy, o wpół do ósmej. Żywnienie Albino Lucianiego, jak Vincenza wyjaśniała innym zakonnicom, było zajęciem związanym z poważną frustracją. Z reguły było mu wszystko jedno, co postawiono przed nim na stole, spożywał tyle co kanarek. Tak jak wielu ludzi, którzy doświadczyli kiedyś biedy na własnej skórze, nie lubił, by się cokolwiek marnowało. Jeśli po jakimś specjalnym obiedzie dla gości pozostawały resztki, prosił, by mu je podano następnego dnia.

Podczas śniadania Luciani czytał rozmaite włoskie gazety poranne. Wybór prasy, jaki miał do dyspozycji, rozszerzył o ukazujący się w Wenecji dziennik „Il Gazzettino”. Między ósmą a dziesiątą papież udawał się do swego gabinetu, by w spokoju przygotować się do pierwszych audiencji. Od dziesiątej do 12.30 przyjmował gości, których pomocnicy papiescy, tacy jak monsignore Jacques Martin, prefekt papieskiego domu, punktualnie o ustalonej godzinie wprowadzali do sali audiencyjnej na drugim piętrze Pałacu Apostolskiego, a potem ich odprowadzali.

Martin i inni członkowie Kurii stwierdzili wkrótce, że Luciani postępował według własnego uznania. Zdarzało się więc często, że lekceważąc wszystkie dawane mu znaki i podszepty przedłużał rozmowę z gośćmi i wprowadzał chaos w kalendarzu terminowym. Ludzie tacy jak monsignore Martin ucieleśniają często spotykane w Watykanie nastawienie: *Poradzilibyśmy sobie ze wszystkimi naszymi zadaniami, gdyby tylko nie papież.*

Obiad rozpoczynający się od zupy jarzynowej lub makaronu, po których następowało danie główne z książki kucharskiej siostry Vincenzy, podawano o 12.30. To również nie odpowiadało niektórym osobom — papież Paweł zawsze jadał obiad dopiero o wpół do

drugiej. To, że w Watykanie dochodziło do ożywionych dyskusji nawet na tak banalny temat, wiele mówi o zaściankowej strukturze tej całej wspólnoty. Wiele komentarzy wzbudził także fakt, że nowy papież zrobił miejsce przy swoim stole przedstawicielkom płci żeńskiej. W ten sposób do annałów Watykanu przypuszczalnie weszły jego bratanica Pia i szwagierka.

Między wpół do drugiej a drugą Luciani udawał się na krótki odpoczynek poobiedni. Potem szedł na spacer do ogrodu na dachu lub do Ogrodów Watykańskich. Czasem towarzyszył mu kardynał Villot; najczęściej jednak brał ze sobą książkę i czytał. Niezależnie od brewiarza czytywał tak różnych autorów jak Mark Twain i Sir Walter Scott. Krótko po czwartej wracał do swojego gabinetu i przeglądał zawartość położonej na biurku przez monsignore Martiniego teczki, która zawierała między innymi listę zapisanych na audiencję następnego dnia osób, z obszernymi dossiers tych ludzi. O 16.30 w swoim gabinecie papież, popijając małymi łyżkami z filiżanki napar z rumianku, przyjmował „Tardellę”, swój wewnętrzny gabinet, składający się z różnych kardynałów, arcybiskupów i sekretarzy kongregacji. Na tych posiedzeniach podejmowano ważne decyzje, mające zapewnić sprawne funkcjonowanie skomplikowanego aparatu Kościoła katolickiego.

Kolacja była o 19.45. O dwudziestej, jeszcze w trakcie jedzenia, papież zazwyczaj oglądał wieczorne programy informacyjne w telewizji. Poza obecnymi od czasu do czasu gośćmi, przy stole towarzyszyli mu ojcowie Lorenzi i Magee.

Po kolacji Luciani ponownie zajmował się przygotowaniami do audiencji w następnym dniu; później do końca czytał swoją codzienną porcję brewiarza i około wpół do dziesiątej udawał się do sypialni.

Podobnie jak na obiad, tak i na kolację Luciani zadowalał się prostymi, niewyszukanymi potrawami. Piątego września podejmował u siebie księdza z Wenecji, ojca Mario Ferrarese. Uzasadnieniem zaproszenia ojca Ferrarese do stołu papieskiego była chęć spłacenia długu — papież był w Wenecji gościem Maria. Lucianiego nie interesowały zaproszenia bogatych i potężnych ludzi we Włoszech, obficie wpływające na jego biurko. Wolał towarzystwo zwykłego księdza parafialnego. Piątego września do stołu podawali dwaj pracownicy papieskiego domu, bracia Guido i Gian Paolo Guzzo. Papież poprosił swego gościa o przekazanie nowin z Wenecji, a potem cicho powiedział:

— Proś ludzi, by modlili się tam za mnie, ponieważ nie jest łatwo być papieżem.

Zwracając się do braci Guzzo powiedział:

— Ponieważ mamy gościa, musimy zaproponować deser.

Po dłuższej chwili na stole pojawiły się porcje lodów. Dla gości na stole papieskim zawsze stało wino. Sam Luciani pozostawał wierny swojej wodzie mineralnej.

Tak wyglądał schemat dnia papieża Jana Pawła I — schemat, w którym papież z upodobaniem czynił liczne wyłomy. Czasami, nikogo nie powiadamiając, odbywał zupełnie nieprzewidziany spacer po Ogrodach Watykańskich. Zwyczajna rozrywka — można byłoby pomyśleć, ale taki spontaniczny wypad irytował jednak protokół watykański i samą gwardię szwajcarską. I bez tego już papież wywołał zdziwienie oficerów gwardii swoim zwyczajem rozmawiania ze stojącymi na warcie gwardzistami lub zakazem padania przez nich na kolana, gdy się zbliżał. Ojcu Magee wyjaśnił: *Kim ja jestem, by musieli padać przede mną na kolana?*

Monsignore Virgilio Noe, mistrz ceremonii, prosił go, by nie rozmawiał ze strażnikami i zadowolił się milczącym skinieniem głowy. Papież chciał wiedzieć, dlaczego. Oslupiały Noe rozłożył ręce: *Ojcze Święty, to nie jest przyjęte. Żaden papież z nimi nie rozmawiał.*

Albino Luciani roześmiał się i nadal rozmawiał ze strażnikami. Jakiż to kontrast w porównaniu z wczesnymi latami pontyfikatu Pawła VI, kiedy księża i zakonnice w czasie rozmowy z papieżem stale klęczeli, nawet jeśli była to rozmowa telefoniczna.

Wielu tradycjonalistów w Kurii irytowała także skłonność papieża do telefonu. Musieli teraz przywyknąć do papieża, który potrafił wybierać numery własnymi palcami i podnosić słuchawkę na dźwięk telefonu. Telefonował do przyjaciół w Wenecji. Telefonował do tej lub innej siostry przełożonej, aby z nią po prostu porozmawiać. Kiedy swojemu przyjacielowi, ojcu Bartolomeo Sorgesowi powiedział, że życzy sobie, by wyspowiadał go jezuita, ojciec Dezza, nie minęła godzina, jak ten ostatni zadzwonił, by ustalić termin swojej wizyty. Chciał rozmawiać z sekretarzem papieża. Głos w słuchawce odpowiedział mu:

— Przykro mi, ale sekretarza papieża w tej chwili nie ma. Czy mogę w czymś pomóc?

— Tak. A z kim rozmawiam?

— Z papieżem.

Doprawdy, takie rzeczy się jak dotąd nie zdarzały. Tego jeszcze nigdy nie było i może nigdy więcej nie będzie. Dwaj ludzie, którzy pełnili funkcje sekretarzy Lucianiego, zaprzeczali gwałtownie, by coś takiego kiedyś się wydarzyło. Było to nie do pomyślenia. Jest jednak pewne, że tak było.

Luciani zaczął rozglądać się po Watykanie z jego 10000 pokoi i sal oraz 997 kłatkami schodowymi (w tym 30 tajnymi). Niekiedy wyruszał na niezapowiedziany spacer rozpoznawczy sam lub w towarzystwie ojca Lorenziego i zjawiał się niespodziewanie w pomieszczeniach urzędowych jakiegoś wydziału Kurii.

— Zapoznaję się tylko z terenem — powiedział kiedyś do arcybiskupa Caprio, zastępcy szefa sekretariatu stanu, który zerwał się zaskoczony.

To się im nie podobało. Zupełnie się nie podobało. Członkowie Kurii byli przyzwyczajeni do papieża, który znał swoje miejsce w Watykanie, który posługiwał się wprawnymi mechanizmami biurokratycznymi. Natomiast ten nowy był wszędzie, interesował się wszystkim i, co było jeszcze gorsze, chciał wszystko zmienić. Spór wokół nieszczęsnej *sedia gestatoria*, tronu-lektyki, na którym noszono poprzedniego papieża podczas publicznych uroczystości, zatoczył zdumiewające kręgi. Luciani kazał wynieść ten mebel do rupieciami. Tradycjonałści walczyli o jego rehabilitację. Fakt, że papież musiał tracić swój czas na spory w takich nieistotnych sprawach, rzuca znamienne światło na format duchowy określonych kół Kurii Rzymskiej.

Luciani przemawiał do monsignore Noego i jego gorliwych współpracowników jak do krnąbrnych dzieci. Oświadczył im, że również podczas publicznych wystąpień chce chodzić na własnych nogach, ponieważ nie czuje się lepszym od jakiegokolwiek innego człowieka. Czuł wstręt do lektyki i wszystkiego, co symbolizowała.

— Tak, ale tłum nie może Was widzieć — odparła Kuria. — Ludzie chcą z powrotem lektyki. Wszyscy powinni mieć możliwość zobaczenia Ojca Świętego.

Niewzruszony Luciani powiedział im, że przecież często pokazuje go telewizja, i że każdej niedzieli wychodzi na balkon Bazyliki Św. Piotra, by odmawiać Anioł Pański. Wyjaśnił również, jak bardzo nie podoba mu się fakt, że inni ludzie niosą go na swych barkach.

— Ale Wasza Świątobliwość — powiedziała Kuria — jeżeli chcesz narzucić sobie jeszcze większą pokorę niż ta, której już teraz w tak widoczny sposób dowodzisz, to czyż istnieje bardziej pełna pokory ofiara niż pozwolić się nieść w lektyce, do której czujesz tak wielki wstręt?

Papież dał się pokonać tym argumentem. Na swoją drugą audiencję generalną kazał się nieść w *sedia gestatoria* do sali Nerviego.

Chociaż takie i inne trywialne spory z Kurią zajmowały Lucianiemu trochę czasu, to jednak przeważającą jego część poświęcał poważniejszym problemom. Kiedyś oznajmił członkom korpusu dyplomatycznego, że Watykan wyrzeka się wszystkich roszczeń do władzy doczesnej. Teraz jednak bardzo szybko się przekonał, że praktycznie każdy ważny problem światowy znajdował odbicie w dokumentach na jego biurku. Z wiernymi, których liczba stanowi ponad 18 proc. ludności świata, Kościół jest poważną siłą, i jako taka jest zobowiązany do zajęcia stanowiska w wielu sprawach i problemach światowych.

Jaką postawę chciał zająć Albino Luciani wobec wszystkich dyktatorów i despotów, którzy panowali w krajach z przewagą ludności katolickiej? Jakie stanowisko zająłby wobec

kliki Marcosa na Filipinach z ich 43 milionami katolików? Wobec Pinocheta, silnego człowieka, który przez krwawy przewrót doszedł do władzy w Chile, gdzie 80 proc. ludności stanowią katolicy? Wobec generała Somozy, dyktatora Nikaragui, tak podziwianego przez doradcę finansowego Watykanu, Michele Sindone? Jak w takim kraju, jak Uganda, gdzie prawie codziennie księża katolicy ginęli w nieszczęśliwych wypadkach, inscenizowanych przez Idi Amina, Luciani zamierzał urzeczywistnić swój plan uczynienia z Kościoła katolickiego ponownie przytułku dla ubogich i pozbawionych praw? Jakie posłanie przygotował dla katolików w Salwadorze, w kraju, w którym katolik był już prawie wrogiem państwa w oczach niektórych członków panującej kliki? W kraju, w którym katolicy stanowią 95 proc. ludności, sprawa ta zapowiadała poważniejsze problemy niż watykańska dyskusja na temat papieskiej lektyki.

Jak człowiek, który ze swojej ambony w Wenecji ostro rozprawiał się z komunizmem, przemawiałby do świata komunistycznego z balkonu Bazyliki Św. Piotra? Czy on, który jako kardynał popierał atomową „równowagę strachu” podtrzymałby to stanowisko, gdyby ludzie podejmujący na tym świecie jednostronne kroki rozbrojeniowe poprosili go o audiencję?

Nowy papież szybko udowodnił, że — by wyrazić to słowami byłego sekretarza papieża Jana XXIII, monsignore Lorisa Capovilli — *więcej ma w sklepie, niż wyłożył na wystawie*. Kiedy jego minister spraw zagranicznych, monsignore Agostino Casaroli przedstawił papieżowi siedem pytań dotyczących stosunków Kościoła z różnymi krajami Europy Wschodniej, Albino Luciani odpowiedział mu natychmiast na pięć z nich, a na odpowiedź na dwa pozostałe poprosił o trochę czasu do namysłu. Wprawiony w osłupienie Casaroli powrócił do swojego biura i opowiedział jednemu z kolegów, co się wydarzyło. Kolega zapytał:

— Czy rozwiązania były właściwe?

— W moich oczach absolutnie właściwe — odparł Casaroli. — Na uzyskanie tych odpowiedzi od Pawła musiałbym czekać rok.

Inny problem, z którym nowy papież miał do czynienia, dotyczył Irlandii i stosunku Kościoła do IRA. Wielu ludzi uważało, że Kościół katolicki nie dość zdecydowanie potępił przelew krwi, który wciąż trwał w Irlandii Północnej. Kilka tygodni przed wyborem Lucianiego irlandzki arcybiskup Tomas O’Fiaich wywołał w prasie sensację swoją oskarżającą krytyką warunków panujących w więzieniu Maze w Long Kesh. Po zwiedzeniu tego zakładu karnego O’Fiaich oświadczył, że był zszokowany *odorem i brudami w niektórych celach z zepsutymi resztkami jedzenia i ludzkimi ekskrementami po kątach i na ścianach*. Po tym stwierdzeniu następowało wiele dalszych, podobnych zarzutów. W żadnym

miejscu tego bardzo długiego komunikatu, sporządzonego z fachowością i udostępnionego środkiem przekazu, arcybiskup ani słowem nie wspomniał o tym, że przedstawioną sytuację spowodowali sami więźniowie.

Irlandia nie miała w owym czasie kardynała. Z różnych stron usiłowano przekonać Lucianiego do tego lub innego kandydata. Niektórzy faworyzowali O'Fiaicha; inni uważali jednak, że już samo mianowanie go arcybiskupem Armagh było katastrofalną klęską.

Albino zwrócił swemu sekretarzowi stanu dossier O'Fiaicha i powiedział potrząsając głową: *Uważam, że Irlandia zasługuje na lepszego*. Poszukiwanie kandydata rozpoczęło się od nowa.

We wrześniu 1978 r. zamieszek w Libanie nie traktowano jeszcze jako najważniejszego problemu światowego. Od dwóch lat panował tam swoisty pokój, przerywany sporadycznymi walkami między oddziałami syryjskimi i milicją chrześcijańską. Cichy, mały kapłan z Wenecji na długo przed jakąkolwiek inną głową państwa dostrzegł w Libanie potencjalne pole krwawej walki. Rozważył ten problem szczegółowo z Casarolim i oświadczył mu, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem w 1978 r. chce się udać do Bejrutu.

Jedną z osób, którą Luciani przyjął na audyencji przed południem 15 września, był kardynał Gabriel — Marie Garrone, prefekt Kongregacji ds. Nauczania Wiary Katolickiej. Ich rozmowa była wspaniałym przykładem tego, jak niepospolite były talenty Lucianiego. Garrone przybył, by omówić z papieżem deklarację *Sapientia Christiana*, która dotyczyła Składu Apostolskiego, katechizmu oraz dyrektyw i przepisów obowiązujących na wszystkich uczelniach katolickich na całym świecie. Przed 15 laty Sobór Watykański II zreformował wytyczne dotyczące pracy seminariów. Po dwuletniej dyskusji wewnętrznej Kuria Rzymska przesłała swoje propozycje do biskupów na całym świecie z prośbą o skomentowanie ich. Wszystkie ważne dokumenty omówiono potem na dwóch posiedzeniach Kurii, w których uczestniczyli także konsultanci z zewnątrz. Wyniki tych obrad opracowało ponownie co najmniej sześć wydziałów Kurii i ostateczne propozycje przedłożono papieżowi Pawłowi VI w kwietniu 1978 r., 16 lat po pierwszych uchwałach dotyczących reform w tej sprawie. Paweł udzielił projektowi swego błogosławieństwa i postanowił opublikować go jako oficjalną uchwałę 29 czerwca, w dniu św. Piotra i Pawła; ale dokumentu, który rodził się przez prawie 16 lat, nie udało się tak szybko przepchnąć przez wydział tłumaczeń Kurii. Kiedy wszystko było wreszcie gotowe, papież Paweł już nie żył. Jeżeli wnioski uchwał nie są ogłoszone przed śmiercią papieża, tracą ważność, chyba że potwierdzi je następca. Zrozumiałe więc, że kardynał Garrone odczuwał znaczny niepokój przed audyencją u nowego papieża. Gdyby Luciani odrzucił projekt uchwały, wówczas rezultaty 16-letniej pracy można by wyrzucić do

kosza. Były nauczyciel seminarium w Belluno oświadczył kardynałowi Garrone, że znaczną część poprzedniego dnia poświęcił na przestudiowanie dokumentu. Potem, bez jednego nawet spojrzenia na leżące przed nim papiery, zaczął bardzo dokładnie, aż po szczegóły omawiać z nim projekt. Fakt ten oraz sposób ujęcia i zrozumienia przez papieża tej, w najwyższym stopniu skomplikowanej problematyki, wprowadził Garronego w zdumienie. Audiencja skończyła się tym, że Luciani zaaprobował dokument i ustalił termin opublikowania na 15 grudnia.

Podobnie jak Casaroli, Baggio, Lorscheider i wielu innych kardynałów, również Garrone wyszedł od papieża kompletnie oszołomiony. W drodze powrotnej do swojego biura spotkał przypadkowo monsignore Scalzotta z Propaganda Fide i powiedział do niego: *Rozmawiałem właśnie z wielkim papieżem.*

Papież cierpliwie przekopywał się dalej przez całą górę problemów pozostawionych przez Pawła. Jeden z nich dotyczył Johna Cody'ego, kardynała jednej z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych diecezji na świecie, Chicago.

Niezwykłe jest to, że kardynała, jakiegokolwiek kardynała, traktuje się w Watykanie jako poważny problem; jednak Cody był niezwykle człowiekiem, o którym przez dziesięć lat przed wyborem Lucianiego krążyło wiele nadzwyczajnych opinii. Jeżeli chociaż 5 procent tych opinii odpowiadało prawdzie, to Cody właściwie nie powinien być kapłanem, a co dopiero kardynałem.

Przed swoim powołaniem na arcybiskupa Chicago w 1965 r. Cody stał na czele nowoorleańskiej diecezji. Wielu księży, którzy w Nowym Orleanie usiłowali z nim współpracować, mogłoby jeszcze dziś coś na ten temat powiedzieć. Jeden z nich powiedział do mnie: *Kiedy ten brudny typ otrzymał Chicago, urządziliśmy uroczystość i śpiewaliśmy „Te Deum”. Uważaliśmy tę zmianę za szczęście dla nas i pech dla Chicago.*

Podczas rozmowy ze znanym socjologiem katolickim, autorem wielu opracowań i wieloletnim krytykiem Cody'ego, ojcem Andrew Greeleyem, na temat działalności kardynała z Chicago wspomniałem, że inny duchowny z tego miasta porównał kardynała Cody'ego z komandorem Queegiem, opanowanym manią prześladowczą, despotycznym kapitanem z powieści *Bunt na okręcie*. Ojciec Greeley odpowiedział: *Uważam, że jest to krzywdzące dla komandora Queega.*

Kiedy kardynał Cody objął swój urząd w Chicago, powszechne stało się tam porównywanie go z burmistrzem Richardem Daleyem, którego styl rządzenia miastem był demokratyczny jedynie przypadkowo. Istniała jednak zasadnicza różnica. Daley, przynajmniej formalnie, musiał co cztery lata zabiegać o poparcie wyborców. Gdyby zdołali

oni przeciwstawić się jego aparatowi politycznemu, mogliby go pozbawić urzędu. Cody nie został na swoje stanowisko wybrany. Mógłby zatrzymać je na czas nieograniczony, chyba że Rzym zdecydowałby się na dramatyczną interwencję. Cody miał zwyczaj mówić: *Nie jestem przed nikim odpowiedzialny, z wyjątkiem Rzymu i Boga*. Jak pokazały wydarzenia, nie miał on zamiaru odpowiadać przed Rzymem. Pozostał więc tylko Bóg.

Kiedy Cody przybył do Chicago, miał opinię wyśmienitego administratora finansowego i postępowego liberała, który długo i ostro walczył w Nowym Orleanie o integrację rasową w szkołach; uważano go ponadto za człowieka, który bardzo wiele wymagał od innych. Szybko jednak utracił obie te cechy — jako skarbnik Kościoła amerykańskiego zainwestował w czerwcu 1970 r. dwa miliony dolarów w akcje towarzystwa kolejowego Penn Central. Kilka dni później kurs tych akcji spadł drastycznie i towarzystwo zbankrutowało. Cody nie powinien był w ogóle dokonywać tej inwestycji; jego wybrany zgodnie z przepisami następca objął już w tym czasie swój urząd. Cody odmawiał wydania mu ksiąg finansowych i przekazał je dopiero w jakiś czas po tej nieudanej transakcji. Udało mu się przetrwać ten skandal.

Już w pierwszych tygodniach po przybyciu do Chicago Cody zademonstrował kilku swym księżom, jak wygląda jego postępowy liberalizm. W dokumentach swego poprzednika, kardynała Alberta Meyera, odkrył listę nazwisk „księży stanowiących problem”, ludzi, którzy popadli w alkoholizm, byli w starszym wieku lub z innych przyczyn nie dorastali do swoich zadań. Wprowadził zwyczaj odwiedzania ich w domu w niedzielne popołudnia. Kończyło się to zazwyczaj tym, że osobiście zwalniał danego księdza i dawał mu dwa tygodnie na opuszczenie plebanii. W tym czasie, w połowie lat sześćdziesiątych, dla księży w Chicago nie było żadnego funduszu emerytalnego, żadnych przepisów regulujących ich sytuację po przejściu na emeryturę ani żadnych innych polis ubezpieczeniowych. Wielu księży usuniętych przez Cody'ego miało ponad 70 lat. Wyrzucał ich po prostu na ulicę.

Zaczął też przenosić księży z jednej dzielnicy miasta do innej, bez uprzedniej rozmowy i bez wcześniejszej zapowiedzi. Podobnie bezceremonialnie zabierał się do zamykania probostw, szkół i klasztorów. Kiedyś na polecenie Cody'ego firma zajmująca się likwidacją budynków przystąpiła do burzenia plebanii i należącego do niej klasztoru w czasie, gdy mieszkańcy brali w wannie kąpiel i siedzieli przy śniadaniu.

Jednym z problemów Cody'ego było to, że w żaden sposób nie był w stanie przyjąć do wiadomości uchwał Soboru Watykańskiego II. Na soborze bez końca mówiono o podziale władzy, o kolegialnym systemie wypracowania decyzji. Wiadomości te nigdy nie dotarły do rezydencji kardynała.

W diecezji chicagowskiej, liczącej 2,4 mln katolików, powstała linia frontu między przyjaciółmi i przeciwnikami Cody'ego, a wierni w tym mieście zastanawiali się, o co tu właściwie chodzi.

Księża utworzyli własny odpowiednik związku zawodowego, ACP (Association of Chicago Priests). Ich żądania Cody właściwie zignorował. Bez odpowiedzi pozostawały listy, w których ACP prosiło o zgodę na udział w zebraniach. Jeżeli zwracali się do niego telefonicznie, kardynał z zasady był „nieosiągalny”. Wielu zrezygnowało z walki o większą demokrację wewnętrzną w Kościele, tylko nieliczni prowadzili ją dalej. W ciągu dziesięciolecia jedna trzecia księży z Chicago zrzuciła sutanny. Niewzruszony tymi wyraźnymi sygnałami świadczącymi, że źle się dzieje w stanie Illinois, kardynał Cody nadal twierdził, że jego przeciwnicy stanowią *tylko głośną mniejszość*.

Kardynał atakował również lokalną prasę, oskarżając ją o uprzedzenie i złośliwość. W rzeczywistości chicagowskie środki masowego przekazu prawie przez cały okres kadencji Cody'ego wykazywały niezwykle duży stopień uczciwości i tolerancji.

Człowiek, który w Nowym Orleanie walczył o integrację rasową, stał się znany w Chicago z powodu pozamykania szkół katolickich dla czarnoskórych w środku miasta, uzasadniając to informacją, że Kościół nie może sobie pozwolić na ich utrzymanie — nastąpiło to w diecezji osiągającej roczne dochody w wysokości 300 mln dolarów.

Jak to czynił w wielu innych przypadkach, także i w tym podjął decyzję bez uprzednich rozmów z kimkolwiek i bez poinformowania o tym kogokolwiek, łącznie z kierownictwem szkół. Kiedy wymyślano mu od rasistów, bronił się argumentem, że wielu czarnoskórych nie było katolikami i nie uważa, by obowiązkiem Kościoła katolickiego było umożliwianie nauki szkolnej czarnoskórym protestantom z warstw średnich. Trudno mu było jednak zrzucić z siebie etykietę rasisty.

Z biegiem lat mnożyły się i zaostrzały zarzuty i oskarżenia przeciw Cody'emu. Jego konflikty ze znaczną częścią własnych księży były coraz bardziej zaciekle. W takim samym stopniu narastała u niego mania prześladowcza.

Zaczął opowiadać historie o tajnej działalności szpiegowskiej, do której zwerbował go rząd USA. Przechwalał się przysługami, jakie rzekomo wyświadczał FBI. Opowiadał księżom, że realizował także zadania specjalne dla CIA, między innymi w Sajgonie. Szczegóły były zawsze bardzo mgliste, ale jeżeli w opowiadaniach Cody'ego było coś prawdziwego, to chyba to, że już od początku lat czterdziestych realizował zadania wywiadowcze na polecenie instytucji państwowych. Można było odnieść wrażenie, że John Patrick Cody, syn strażaka z St. Louis, prowadził podwójne życie.

Kiedy niektórzy krytycy Cody'ego odkryli bliższe szczegóły na temat dotychczasowego przebiegu jego niezwykle barwnej kariery, ponownie została naruszona jego sława jako zdolnego finansisty, z jaką przybył do Chicago, a która i tak już ucierpiała z powodu nieudanej 2-milionowej transakcji z akcjami Penn Central. W czasie pomiędzy rzeczywistymi lub urojonymi misjami w kraju wroga, jakby niechcący przyczynił się do ubóstwa Kościoła katolickiego, chociaż niezupełnie w tym sensie, w jakim wyobrażał to sobie Albino Luciani. Diecezji Św. Józefa w Kansas City pozostawił długi w wysokości 30 mln dolarów. Tej samej sztuczki dokonał w Nowym Orleanie — dzięki czemu jeszcze bardziej zrozumiałe jest *Te Deum*, które śpiewano tam z wdzięczności z powodu jego odejścia. W Kansas City pozostawił przynajmniej trwały pomnik swojej działalności: za dużą sumę pieniędzy kazał tam pozłocić kopułę odrestaurowanej katedry.

W Chicago Cody nakazał wkrótce dokładne obserwowanie wszystkich poczynań księży i zakonnic podejrzanych o brak lojalności. Założono im dossier. Regułą stały się tajne przesłuchania przyjaciół osób „podejrzanych”. Co to wszystko miało wspólnego z Ewangelią chrześcijańską, do dzisiaj nie wiadomo.

Kiedy pisemne skargi o tych działaniach kardynała dotarły do Rzymu, wywołało to niepokój i rozpacz papieża Pawła VI. Chociaż już na początku lat siedemdziesiątych stało się oczywiste, że najwyższy dostojnik Kościoła katolickiego w Chicago był niezdolny do kierowania diecezją, papież, kierując się swoistym rozważaniem wszystkich za i przeciw, wciąż się wahał. Troska o to, aby nie wyrządzić kardynałowi Cody'emu przykrości, była dla niego prawdopodobnie ważniejsza niż dobro 2,4 mln wiernych. Jednym z zadziwiających aspektów afery Cody'ego było to, że człowiek ten najwyraźniej nie miał obowiązku składania komukolwiek sprawozdań i sam kontrolował dochody Kościoła katolickiego w Chicago. Zadanie dysponowania sumą 250-300 mln dolarów rocznie i najefektywniejszego jej wydawania przekraczałoby siły nawet w pełni zrównoważonego psychicznie i bardzo inteligentnego człowieka. Trudno zrozumieć, że tymi sumami dysponował taki człowiek jak Cody.

Ogólny majątek diecezji w Chicago wynosił w 1970 r. ponad miliard dolarów. Ponieważ kardynał Cody nie chciał przedstawiać do sprawdzenia rocznych sprawozdań, w różnych parafiach chicagowskich księża zaczęli zatrzymywać sumy pieniężne, które w innych, lepszych okolicznościach przekazywaliby kardynałowi. W końcu 1971 r., sześć lat po rozpoczęciu swoich despotycznych rządów, Cody raczył wydać dokument, który miał być sprawozdaniem z kilku minionych lat budżetowych.

Były to szczególne rozliczenia. Nie zawierały żadnych danych o zakupach

nieruchomości. Nie zawierały żadnych informacji o inwestycjach w papierach wartościowych. W części dotyczącej dochodów z cmentarzy objawiły się oznaki świadczące o życiu pozagrobowym. Wpływy te mianowicie bardzo się zmieniały. Sześć miesięcy przed opublikowaniem sprawozdania Cody powiedział w zaufaniu swoim współpracownikom, że wynoszą one około 50 mln dolarów. W opublikowanych rozliczeniach pozostało z nich jednak już tylko 36 mln dolarów. Można sobie wyobrazić, że zniknięcie 14 mln dolarów z wpływów z cmentarzy było drobnostką dla człowieka, który miał zdolność jednoczesnego przebywania w Rzymie, Sajgonie, Białym Domu, Watykanie i swojej chicagowskiej rezydencji kardynalskiej.

Należąca do diecezji suma 60 mln dolarów była ulokowana w chicagowskim ordynariacie. Cody odmawiał udzielenia komukolwiek informacji, w jakiej formie suma ta była ulokowana i kto korzystał z odsetek.

Jednym z największych atutów kardynała było to, że mądrze przewidując pozyskał z biegiem lat wielu wpływowych przyjaciół w hierarchii Kościoła. Bogate owoce przynosiły teraz te inwestycje, których dokonał w czasie swojej pracy w Kurii Rzymskiej przed wojną. Pracował najpierw w Kolegium Północnoamerykańskim w Rzymie, a następnie w biurze sekretariatu stanu. Cody zawsze był człowiekiem, który dostrzegał to, co najistotniejsze. Zabiegając o względy Piusa XII, a później Pawła VI, stworzył sobie w Rzymie potężne oparcie.

We wczesnych latach siedemdziesiątych chicagowska placówka łącznikowa była dla Watykanu jedną z najważniejszych placówek w USA. Większość inwestycji w papierach wartościowych na amerykańskim rynku kapitałowym Watykan-Sp. z o.o. dokonywała za pośrednictwem Continental Illinois. W radzie nadzorczej tego banku, ramię w ramię z Davidem Kennedym, bliskim przyjacielem Michele Sindony, zasiadał jezuita, Raymond C. Baumhart. Wielkie sumy pieniężne, które Cody przerzucał do Rzymu, stały się jedną z najważniejszych podpór watykańskiej polityki finansowej. Cody mógł być złym pasterzem dla swych księży i wiernych, ale bez wątplenia zawsze potrafił sprostać zadaniu, jeżeli chodziło o zdobycie pieniędzy. Kiedy stojący na czele diecezji Reno biskup dokonał kilku „nieudanych inwestycji” i całkowicie zrujnował jej finanse, Watykan zwracał się do Cody’ego z prośbą o udzielenie temu człowiekowi pomocy w wydostaniu się z tarapatów. Cody telefonował do swoich przyjaciół-bankierów i potrzebną sumę szybko zebrano.

Z biegiem lat przyjaźń Cody’ego z Marcinkusem bardzo się zacieśniła; obaj mieli ze sobą wiele wspólnego, wiele przynoszących zyski interesów. W latach siedemdziesiątych Cody zaczął realizować przez Continental Illinois transfer do Marcinkusa w Banku

Watykańskim setek tysięcy dolarów, które w sporej części pochodziły od bardzo silnej polskiej grupy ludnościowej w Chicago. Marcinkus rozdzielił potem te pieniądze między polskich kardynałów.

Cody zdobył dodatkowe „polisy ubezpieczeniowe” rozdzielając bogactwa swojej diecezji między określone wydziały Kurii Rzymskiej. Zawsze, kiedy odwiedzał Watykan — a jeździł do Rzymu ponad sto razy — przywoził drogie prezenty i wręczał je tam, gdzie obiecywał sobie największe korzyści. Złota zapalniczka dla monsignore X, zegarek firmy Patek Philippe dla biskupa Y.

Cody nie mógł jednak najdroższymi prezentami zrównoważyć licznych skarg, które napływały na niego do Rzymu. W Świętej Kongregacji ds. Nauczania Wiary Katolickiej, spełniającej funkcję nadzorca w sprawach ortodoksji teologicznej i moralności wewnątrzkościelnej, coraz szybciej narastały stosy listów. Nadchodziły one nie tylko od chicagowskich księży i zakonnic, lecz także od kobiet i mężczyzn najróżniejszych zawodów, piastujących różne stanowiska. Arcybiskup Jean Hamer, O.P., prefekt kongregacji, miał spory problem. Podjęcie kroków przeciwko księdzu, który stał się nie do zniesienia, było stosunkowo proste. Po zakończeniu właściwych dochodzeń Kongregacja miała zwyczaj zwracania się do kompetentnego biskupa o usunięcie danego duchownego z jego dotychczasowego pola działania. Kto jednak mógłby zażądać wydalenia kardynała?

Chicagowski „związek zawodowy księży” przedstawił publicznie zarzuty przeciw Cody’emu; księża oświadczyli, że kardynał notorycznie ich oszukuje. Wkrótce potem księża chicagowscy wyrazili votum nieufności wobec kardynała. Jednak Rzym nie kiwnął nawet palcem.

Arcybiskup Hamer nie był jedynym wysokim dostojnikiem Kurii Rzymskiej, który znał problemy chicagowskiej placówki łącznikowej; kardynałowie Benelli i Baggio, początkowo niezależnie, a potem wspólnie, doszli do wniosku, że Cody’ego należy zmienić.

Po długich naradach z papieżem Pawłem ustalono pewną strategię. Kiedy wiosną 1976 r. Cody przybył do Rzymu z jedną ze swoich licznych wizyt, Benelli zaproponował mu stanowisko w Kurii Rzymskiej, stanowisko, którego urzędowa nazwa brzmiała wspaniale, ale nie dawało ono ani odrobiny władzy. Wiadomo było, że Cody był ambitny i czuł się powołany do ważniejszych zadań niż kierowanie archidiecezją chicagowską. Marzył mu się papieski tron. Fakt, że człowiek, który wprowadził taki chaos we własnej diecezji, wierzył poważnie w to, iż mógłby zostać papieżem, można uznać za klasyczny przykład zaślepionej arogancji. Z uwagi na swój ambitny cel Cody bardzo chętnie zamieniłby swoją rezydencję w Chicago na miejsce na czele jednej z kongregacji watykańskich, które, czerpiąc z pełnych kas

Kościół, na całym świecie wspierały projekty kościelne i pomagały diecezjom w potrzebie. Cody liczył na to, że na takim stanowisku zdołałby sobie kupić sympatię tak wielu biskupów, że zapewniłoby mu to szansę wstąpienia na Stolicę Piotrową. Benelli wiedział o tym, stąd jego oferta pod adresem Cody'ego; ten jednak nie dostrzegł w tym możliwości osiągnięcia pozycji, do której dążył i odrzucił propozycję. Trzeba więc było szukać innego rozwiązania.

W styczniu 1976 r., kilka miesięcy po sprzeczce między Benellim a Codym, przedstawiciela papieskiego w Waszyngtonie Jeana Jadota odwiedziła delegacja z Chicago. Jadot oświadczył zdenerwowanym księżom, że Rzym panuje nad sytuacją. Kiedy jednak minął rok i nie widać było żadnych rezultatów, walka w Chicago rozgorzała na nowo. Wizerunek Cody'ego stał się w tym czasie tak negatywny, że na koszt Kościoła zaangażował on agencję reklamową, która miała doprowadzić do bardziej łaskawego prezentowania jego osoby w środkach przekazu.

Zdenerwowani księża i zakonnicy znowu zaczęli zasypywać skargami Jadota w Waszyngtonie. Radził im zachować cierpliwość. *Rzym znajdzie rozwiązanie* — obiecywał. *Musicie skończyć z tymi atakami publicznymi. Pozwólcie całej sprawie przyschnąć. Wówczas Rzym zajmie się tym problemem, dyskretnie, bez wywoływania sensacji.*

Duchowni wykazali zrozumienie. Ucichła publiczna krytyka pod jego adresem, ale potem z całą ostrością on sam sprowokował ją od nowa, zarządzając zamknięcie wielu szkół w śródmieściu Chicago. Kardynał wykorzystał to jako okazję do podjęcia nowej próby nakłonienia papieża Pawła VI do natychmiastowego, skutecznego działania. Papież uczynił to, co rozumiał pod pojęciem skutecznego działania: napisał ostry list do Cody'ego, żądając w nim wyjaśnienia sprawy zamknięcia szkół. Cody zignorował ten list i nawet przechwalał się tym publicznie.

Bezczynność Watykanu miała naturalne skutki, jakimi było ponowne mnożenie się listów ze skargami, napływających do Rzymu. Do znanych już zarzutów doszły nowe, opierające się na protokołach z wypowiedzi, na złożonych pod przysięgą oświadczeniach i dokumentach z księgowości. Wydawało się, że materiał ten udowodnił, iż zachowanie się kardynała pozostawiało wiele do życzenia również pod innym względem — chodziło o jego przyjaźń z kobietą o nazwisku Helen Dolan Wilson. Swoim współpracownikom w ordynariacie Cody powiedział, że Helen Wilson jest jego krewną. Stopień pokrewieństwa często się zmieniał, ale zwykle nazywał on panią Wilson swoją kuzynką. By wytłumaczyć bardzo ekstrawagancki styl życia kuzynki, ubieranie się według najnowszej mody i wyraźne zamiłowanie do podróży oraz zamieszkiwanie w bardzo drogim apartamencie, kardynał rozpuścił pogłoskę, że jego kuzynka jest „dobrze zaopatrzona” dzięki swemu zmarłemu

małżonkowi. Przeciwnicy Cody'ego w piśmie do Watykanu twierdzili, że kardynał i Helen Wilson w żadnym wypadku nie są spokrewnieni. Jej mąż, z którym się rozwiodła przed wielu laty, cieszył się jeszcze bardzo dobrym zdrowiem, kiedy Cody widział go już na tamtym świecie, a kiedy w maju 1969 r. rzeczywiście zmarł, nie sporządził żadnego testamentu. Z rzeczy doczesnych pozostawił tylko ośmioletni samochód o wartości 150 dolarów, który przeszedł na własność jego drugiej żony.

Z przekazanych do Rzymu przy zachowaniu ścisłej poufności informacji wynikało, że przyjaźń między kardynałem a Helen Wilson rozpoczęła się już w latach jej młodości, że Cody ubezpieczył się na życie na sumę 100000 dolarów, którą zapisał pani Wilson, i że jej dokumenty pracy jako urzędniczki chicagowskiego ordynariatu Cody'ego uzupełniono później fałszywymi wpisami, co umożliwiło jej pobieranie zawyżonej renty. Rentę tę obliczono przyjmując 24-letni okres pracy w służbie diecezji, tymczasem, co udowodniono, pani Wilson pracowała tam o wiele krócej. Następnie przedstawiono dowody na to, że Cody dał swojej przyjaciółce 90 000 dolarów na zakup mieszkania własnościowego na Florydzie. Przypomniano Watykanowi, że w podróży do Rzymu z okazji otrzymania kapelusza kardynalskiego Cody'emu towarzyszyła Helen Wilson. Cody zabrał wówczas ze sobą całą świtę, ale niewiele osób z tej świty, tak jak Helen Wilson, miało o każdej porze swobodny dostęp do chicagowskiego ordynariatu lub uczestniczyło w urządzaniu i wyposażaniu rezydencji kardynała. Ogółem, jak twierdzili autorzy skargi, Cody wyprowadził dla tej kobiety z pieniędzy kościelnych setki tysięcy dolarów. To jeszcze nie wszystko. Krytycy Cody'ego doliczają do tego długą listę ubezpieczeń, jakie diecezja chicagowska zawarła za pośrednictwem maklera ubezpieczeniowego, Davida Wilsona, syna Helen Wilson.

Po raz pierwszy David Wilson skorzystał ze wspaniałomyślności swego „wujka” w 1963 r. w St. Louis. Kiedy kardynał przeprowadził się do Chicago, agencja ubezpieczeniowa Wilsona podążyła za nim. Prowizje, jakie otrzymał David Wilson, jako korzystający z prawa wyłączności pośrednik i opiekun ubezpieczeń zawartych przez diecezję chicagowską — to znaczy przez Cody'ego — wyniosły łącznie ponad 150 000 dolarów.

Kardynał Baggio dokładnie studiował tę długą i szczegółową listę. Aparat, którym Watykan dysponuje do celów szpiegowskich, jest nieporównywalny: wystarczy sobie tylko wyobrazić, ile jest na świecie księży i zakonnic zobowiązanych do lojalności wobec kierownictwa Kościoła. Informacje, które docierały do kardynała Baggio, wskazywały na to, że zarzuty były słuszne. Był koniec czerwca 1978 r.

W lipcu 1978 r. Baggio jeszcze raz omawiał problem Cody'ego z papieżem Pawłem, który raczył wreszcie zrozumieć, że kardynała z Chicago należy odwołać. Nalegał jednak, by

nastąpiło to w delikatny sposób, oszczędzający Cody'emu utratę twarzy. Jeszcze ważniejsze było uniknięcie w miarę możliwości sensacji publicznej. Uzgodniono, że kardynał powinien zgodzić się na wyznaczenie mu koadiutora — biskupa, który właściwie pod każdym względem kierowałby sprawami diecezji. Oficjalnie ogłoszono by, że dokonuje się tego ze względu na pogarszające się zdrowie kardynała, które istotnie było nienajlepsze. Formalnie Cody pozostałby zwierzchnikiem diecezji chicagowskiej do osiągnięcia wieku emerytalnego (75 lat), to znaczy do 1982 r.

Uzbrojony w rozporządzenia papieża kardynał Baggio szybko poczynił przygotowania do podróży, spakował swoją walizkę i udał się na lotnisko Fiumicino, gdzie po przybyciu otrzymał wiadomość, że papież chce z nim jeszcze raz porozmawiać przed odlotem do Chicago.

Paweł znowu rozpoczął swój kontredans, krok do przodu, dwa do tyłu. Oświadczył kardynałowi Baggio, że koadiutora można wyznaczyć tylko za zgodą Cody'ego.

Sfrustrowany Baggio odparł papieżowi:

— Ależ Ojciec Święty, chyba mogę nalegać?

— Nie, nie. Nie możesz go zmuszać. Zostało uzgodnione, że podejmiesz kroki tylko za zgodą Jego Eminencji.

Kardynał Baggio poleciał do Chicago wściekły i rozczarowany.

Informacje mogą przepływać po liniach sieci szpiegowskiej w obu kierunkach, a niezależnie od tego kardynał Cody miał własne źródło informacji w Kurii Rzymskiej. Baggio nie wiedział, że nic nie wyjdzie z zaskoczenia, na które liczył: niespełna dzień po jego decydującej rozmowie z papieżem Cody już wiedział, co się święci. Na miejscu Cody'ego większość ludzi trochę by się opamiętała, zastanowiłaby się nad tym, jakie wydarzenia mogły skłonić tego najbardziej wrażliwego ze wszystkich papieży do podjęcia po tylu latach decyzji o przekazaniu w inne ręce władzy sprawowanej przez Cody'ego. Uwzględniając, jak zawsze, przede wszystkim uczucia człowieka, którego chciał usunąć, papież troszczył się o to, by krótka wizyta Baggia w Chicago pozostała w tajemnicy. Oficjalnie mówiono, że leci on bezpośrednio do Meksyku, by poczynić tam ostatnie przygotowania do zbliżającej się konferencji w Puebli. W wypadku kardynała Cody'ego względy takie były daremnymi zabiegami.

Obaj dostojnicy spotkali się w rezydencji kardynała na terenie seminarium w kolegium Mundelein. Baggio wyłożył na stół materiały obciążające Cody'ego. Wynikało z nich jednoznacznie, że w wypadku prezentów pieniężnych dla Helen Wilson kardynał pomieszał pieniądze prywatne z kościelnymi i że po kryjomu przyznał swojej przyjaciółce

zawyżoną rentę. Zgromadzone przez Watykan informacje odsłoniły wiele spraw, które z pewnością zdyskredytowałyby Kościół rzymskokatolicki, gdyby dotarły do wiadomości publicznej.

Cody wcale nie okazał skruchy, a rozmowa szybko przekształciła się w pojedynek na struny głosowe. Cody przypominał ogromne sumy odprowadzane do Rzymu, niezliczoną ilość pieniędzy do wykorzystania w Polsce przekazaną do Banku Watykańskiego, dary pieniężne, jakie przywoził papieżowi z okazji swoich wizyt *ad limina apostolorum* (składane co pięć lat wizyty w celu złożenia sprawozdania) — nie było to marne kilka tysięcy dolarów, jakie przywozili inni, lecz setki tysięcy, itd... Krzyki obu dostojników kościelnych było słyhać na całym terenie seminarium. Cody nie ustąpił ani na jotę. Obcy biskup miałby przybyć i kierować jego diecezją? — *Tylko po moim trupie*. Na koniec, jak zarysowana płyta gramofonowa, powtarzał już tylko w kółko jedno zdanie: *Nie oddam władzy w Chicago*.

Baggio wyjechał; jego misja na razie spełzła na niczym. Odmowa Cody'ego na koadiutora była jaskrawym złamaniem prawa kanonicznego, ale cóż można było zrobić? Podanie do wiadomości publicznej faktu, że kardynał jednej z najpotężniejszych diecezji na świecie otwarcie sprzeciwił się rozporządzeniu papieża, było nie do pomyślenia chociażby tylko z uwagi na samego Pawła. Papież wolałby tolerować Cody'ego na jego stanowisku aż do końca jego dni niż pogodzić się z taką alternatywą. Jednak nie musiał się długo zajmować tą sprawą. Zmarł w tydzień po wysłuchaniu relacji Baggia.

Albino Luciani do połowy września gruntownie przestudiował akta Cody'ego. Całą sprawę i jej możliwe konsekwencje omówił z kardynałem Baggio, a potem także z jego kolegami Villotem, Benellim, Felicim i Casarolim.

Dwudziestego trzeciego września jeszcze raz przeprowadził długą rozmowę z kardynałem Baggio. Kiedy się rozstawali, powiedział, że poinformuje go o swojej decyzji w następnych dniach.

Kardynała Cody'ego w Chicago po raz pierwszy w ciągu długiej i burzliwej kariery ogarnęła niepewność. Po konklawe w kręgu prywatnym lekceważąco się wyrażał o tym Włochu, który został następcą Pawła. *Wszystko będzie toczyło się tak samo jak dotychczas* — tak oświadczył jednemu ze swoich bliskich przyjaciół w Kurii. Tak samo jak dotychczas — tego właśnie Cody by sobie życzył; zapewniłoby mu to dalsze, spokojne panowanie w Chicago. Później jednak nadeszły z Rzymu informacje wskazujące, że wyraźnie nie docenił Lucianiego. Kiedy wrzesień zbliżał się ku końcowi, John Cody coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu że w sprawach, w których Paweł się ociągał, Luciani będzie działał. Jego przyjaciele z Rzymu dali mu do zrozumienia, że jedno jest absolutnie pewne — ten papież,

bez względu na to, na jakie przedsięwzięcie się zdecydował, będzie je konsekwentnie realizował. Mogli powołać się na wiele przykładów z przeszłości Lucianiego, które pozwalały wysuwać wnioski o niezwykłej sile woli tego człowieka.

Na biurku Lucianiego w jego gabinecie znajdowała się jedna z nielicznych prywatnych rzeczy, które były mu drogie: fotografia. Pierwotnie tkwiła ona w starych ramkach. Kiedy był patriarchą Wenecji, zwrócił się do wdzięcznego parafianina z prośbą o osadzenie zdjęcia w nowych, srebrnych ramkach, wysadzanych niezbyt drogimi kamieniami szlachetnymi. Fotografia przedstawiała oboje rodziców Lucianiego na tle ośnieżonych Dolomitów. Matka na zdjęciu trzymała na rękach małą Pię, która teraz była zameżna i sama miała dzieci. We wrześniu 1978 r. sekretarze papiescy wielokrotnie obserwowali, jak Luciani zatopiony w myślach przyglądał się fotografii. Przypominała mu bardziej szczęśliwe czasy, kiedy spokoju ducha nie zakłócali mu tacy jak Cody, Marcinkus, Calvi i wszyscy inni. Miał wówczas czas na spokojną kontemplację i na zajęcie się drobnymi sprawami życiowymi. Teraz jednak Albino Luciani nie miał czasu na chwile zadumy nad tak ważnymi aspektami swego życia. Był odcięty od Canale, a nawet od swej własnej rodziny. Oczywiście czasami rozmawiał przez telefon z Eduardo i z Pią, ale krótkie, spontaniczne wizyty skończyły się raz na zawsze. Zadbał o to aparat watykański. Nawet Diego Lorenzi usiłował splawić Pię, kiedy telefonicznie zapowiedziała swoją wizytę. Chciała przynieść papieżowi kilka drobnych prezentów, pamiątek z Północy. *Proszę oddać je przy bramie*, powiedział Lorenzi. *Papież jest zbyt zajęty, by Panią przyjąć*. Luciani usłyszał rozmowę i odebrał mu słuchawkę. *Przyjdź do mnie. Nie mam czasu, ale mimo to przyjdź*.

Zjadł z nią obiad. Pia cieszyła się spotkaniem z wujkiem Albino, który tryskał zdrowiem i dobrym nastrojem. Podczas jedzenia wypowiedział się na temat swojej nowej roli: *Gdybym wiedział, że pewnego dnia zostanę papieżem, więcej bym się uczył. Bycie papieżem jest bardzo trudne*.

Jak bardzo było to trudne i jak wiele Kuria w swojej nigdy nie słabnącej czujności robiła, by uczynić to jeszcze trudniejszym, okazało się, kiedy Luciani wyraził życzenie traktowania Rzymu jako swojej nowej parafii; chciał wędrować ulicami miasta, jak czynił to w Wenecji i swoich innych diecezjach. Kiedy głowa państwa stawia takie żądania, rodzą się problemy. Kuria oświadczyła krótko i węzłowato, że jest to absolutnie wykluczone, ponieważ za każdym razem, kiedy Ojciec Święty udawałby się na spacer, powodowałby trudny do opanowania chaos. Luciani się poddał, ale tylko za cenę zaakceptowania zmienionej wersji tego pomysłu. Oświadczył funkcjonariuszom watykańskim, że chce odwiedzić w Rzymie każdy szpital, każdy Kościół, każde schronisko dla uciekinierów i bezdomnych, by w ten

sposób stopniowo poznać „swoją parafię”. Poznanie rzeczywistości tuż za własnym progiem było pokusą i wyzwaniem dla człowieka, który zdecydowanie postanowił być dobrym pasterzem. Rzym liczy 2,5 mln katolickich mieszkańców. Miasto powinno dawać corocznie przynajmniej 70 nowych księży. W czasie, kiedy Luciani został papieżem, dało ich dokładnie sześciu. Podtrzymanie życia religijnego w mieście było możliwe tylko dzięki przejęciu licznych duchownych spoza Rzymu. W wielu dzielnicach miasta frekwencja w kościołach wynosiła mniej niż trzy procent. W Rzymie, w samym sercu wiary rozkwitał cynizm.

Miasto, które stało się nowym domem Lucianiego, było także domem komunistycznego burmistrza, Carlo Argana. Komunistyczny burmistrz w mieście, którego najśłynniejszym produktem była religia, ustępująca jedynie wzrostowi przestępczości kryminalnej. Jeden z tytułów honorowych, jakie Luciani uzyskał automatycznie wraz z wyborem na papieża, brzmiał: biskup Rzymu. Rzym rzeczywiście, co najmniej od stulecia nie miał żadnego biskupa w takim sensie, w jakim miał go Mediolan lub Wenecja, Florencja i Neapol. Skutki było widać gołym okiem.

W tym samym czasie, gdy papież spożywał obiad ze swoją bratanicą Pią, Don Diego prowadził długi i głośny spór z jednym z urzędników Kurii, który odrzucał nawet rozważenie życzeń papieża w sprawie odwiedzin w poszczególnych dzielnicach Rzymu. Luciani przerwał rozmowę z Pią.

— Don Diego, proszę mu powiedzieć, że tak musi być. Proszę mu powiedzieć, że papież tak sobie życzy.

Lorenzi przekazał polecenie papieskie, ale spotkał się z natychmiastowym „nie”. Zwrócił się do papieża:

— Oni mówią, że to jest niemożliwe, Ojczy Świąty, ponieważ czegoś takiego nigdy jeszcze nie robiono.

Pia czekała w napięciu dalszego ciągu tej watykańskiej próby sił. Luciani przeprosił bratanicę za przerwę i powiedział swemu sekretarzowi, że poleci tę sprawę Villotowi. Potem zwrócił się z uśmiechem do Pii i powiedział:

— Jeżeli Kuria Rzymska na to pozwoli, to twój wujek ma nadzieję, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem będzie mógł odwiedzić Liban.

Wypowiedział się szczegółowo na temat tego ciężko doświadczonego kraju i mówił o swoim życzeniu, by interweniować w roli pośrednika, zanim eksploduje owa beczka z prochem. Kiedy Pia żegnała się z nim po posiłku, nalegał, by przyjęła medal, który otrzymał w prezencie od matki prezydenta Meksyku.

Kilka dni później, 15 września, gościł na kolacji swego brata, Eduardo. Oba te

spotkania rodzinne miały być dla Lucianiego ostatnimi. Ostatnimi w jego życiu.

Z każdym dniem pontyfikatu Jana Pawła I pogłębiała się przepaść między papieżem a zawodowymi obserwatorami watykańskimi i to w takim stopniu, w jakim coraz serdeczniejsze stawały się stosunki między nowym papieżem a szeroką publicznością. Zdziwienie „świata fachowego” było zrozumiałe.

Obserwując kardynała, który nie wywodził się z szeregów Kurii i rzekomo nie cieszył się międzynarodowym poważaniem, watykanolodzy doszli do wniosku, że mają do czynienia z pierwszym przykładem papieża nowego typu, z człowiekiem, którego świadomie wybrano w celu zredukowania władzy papieskiej, pomniejszenia roli papieża. Bez wątplenia sam Luciani pojmował swoją rolę w takim właśnie sensie. Jednak osobowość Albino Lucianiego, jego intelekt i nadzwyczajne zdolności szybko zapewniły nowemu papieżowi wysokie uznanie w oczach szerokiej publiczności — o wiele większe znaczenie przywiązywano do jego słów niż do wypowiedzi jego poprzednika. Publiczna reakcja na Lucianiego świadczyła jednoznacznie o silnej potrzebie przewartościowania roli papieża — czyli o przeciwieństwie tego, do czego zmierzało wielu kardynałów. Im bardziej Luciani sam pomniejszał znaczenie swojej osoby, tym bardziej wzrastał szacunek, jakim darzyli go wierni.

Wiele osób nie dość dobrze znających Lucianiego, było głęboko zaskoczonych przemianą, jakiej dopatrywali się u tego człowieka. Ale w Wenecji, w Vittorio Veneto, Belluno i Canale nikt nie był zaskoczony. To był prawdziwy Luciani. Prostota, poczucie humoru, opieranie się na katechizmie były integralnymi elementami osobowości Albino Lucianiego.

Dwudziestego szóstego września Luciani mógł z zadowoleniem patrzeć na pierwszy miesiąc swego pontyfikatu. Ruszyły z miejsca doniosłe sprawy. Szczegółowe badanie korupcji i niemoralnych praktyk wewnątrz Kościoła wywołało strach u tych, których to dotyczyło. Jego awersja do lubowania się Kurii w przepychu wywołała alarm wśród tradycjonalistów. Raz po raz odchodził od tekstów przygotowanych wystąpień i publicznie krytykował: *To za bardzo przypomina styl Kurii*, lub: *To zbyt pełne namaszczenia*.

Jego przemówienia i wypowiedzi z rzadka transmitowano w dosłownym brzmieniu przez Radio Watykan lub cytowano w „Osservatore Romano”, ale inne środki masowego przekazu i publiczność rejestrowały je i uważnie wysłuchiwały. Czyniąc aluzję do słów Św. Grzegorza, Luciani tak kiedyś skomentował wybranie go na papieża: *Cesarz chciał zrobić z małpy lwa*. W Watykanie zaciskano wargi, ale usta wiernych rozciągały się w uśmiechu. Oto ta „małpa”, która w ciągu pierwszego miesiąca swego pontyfikatu przemawiała do nich po łacinie, po włosku, francusku, angielsku, niemiecku i hiszpańsku.

Siódmego września Luciani przyjął na prywatnej audiencji swego przyjaciela, Vittore Branca, który wyraził niepokój z powodu ciężaru urzędu papieskiego. Luciani odpowiedział:

Tak, z pewnością jestem za mały do wielkich rzeczy. Mogę powtarzać tylko prawdę i glos Ewangelii, tak jak czyniłem to w moim małym Kościele u siebie w domu. Ludzie tego najbardziej potrzebują, a ja jestem przede wszystkim duszpasterzem. Różnica między księdzem parafialnym w Canale a mną polega tylko na liczbie wiernych, ale zadanie jest to samo: przypominanie Chrystusa i jego posiania.

Tego samego dnia papież przyjął wszystkich księży z Rzymu i mówił do nich o konieczności skupienia się i medytacji; jeżeli zastanowić się nad tym, jak mało czasu i okazji do medytowania ma nowy papież, takie napomnienie z jego ust brzmi szczególnie dobitnie.

Byłem głęboko poruszony widokiem tragarza na dworcu w Mediolanie. Człowiek ten, oparty plecami o filar, z głową na worku węgla, smacznie sobie spał. Odjeżdżające pociągi gwizdały, piszczały koła nadjeżdżających, a nad tym wszystkim stale rozbrzmiewały zapowiedzi podawane przez megafony. Ludzie przychodzili i odchodzili. A on spał, jakby chciał przez to powiedzieć: „Róbcie sobie co chcecie, ale ja potrzebuję trochę spokoju”. My, duchowni powinniśmy brać z niego przykład. Żyjemy w ciągłym natłoku różnych bodźców. Radio i telewizja, prasa, rozmowy z ludźmi. Z dyscypliną i powściągliwością kapłana musimy powiedzieć: „Po tamtej stronie określonej granicy nie istniejecie dla mnie. Jestem kapłanem Pana. Potrzebuję chwili ciszy dla mej duszy. Oddalę się od was, aby przez chwilę być sam z moim Bogiem”.

Watykan przygotowywał teksty przemówień, wygłaszanych przez papieża podczas cotygodniowych audiencji generalnych w środowe przedpołudnia. Mówił on przy tych okazjach często o wierze, nadziei i dobroczynności. Kuria Rzymska, kontrolująca watykańskie środki masowego przekazu, usunęła po prostu jego apel, by tymi cnotami kierować się również wobec narkomanów.

Kiedy 20 września wypowiedział pamiętne zdanie, że błędem jest wierzenie, iż *Ubi Lenin ibi Jerusalem* (Tam gdzie jest Lenin, tam jest Jerozolima), Kuria rozpowszechniła informację, iż papież dał wyraźnie do zrozumienia, że odrzuca „teologię wyzwolenia”. Nie było to prawdą. Następnie zarówno Radio Watykan, jak i „Osservatore Romano” zaniedbały przytoczenia ważnej wypowiedzi Lucianiego, że między Kościołem a zbawieniem religijnym z jednej strony oraz światem a zbawieniem ludzkim z drugiej *istnieje wprawdzie pewna zgodność, ale nie możemy postawić między nimi znaku równości.*

W sobotę 23 września papież po raz pierwszy opuścił państwo watykańskie, by jako biskup Rzymu objąć w posiadanie swoją katedrę. Wymienił uścisk dłoni z burmistrzem

Arganem i obaj wygłosili przemówienia. Po odprawionej następnie mszy papież w obecności większości kardynałów Kurii zaczął mówić o problemach wewnątrzkościelnych, z którymi musiał się zmagać. Jego dochodzenia w sprawie Watykanu — Spółki z o.o. były w tym czasie już bardzo zaawansowane. Villot, Benelli i inni przedłożyli mu raporty, które dokładnie przestudiował. Teraz mówił o ubogich, owej grupie społeczeństwa, która była najbliższa jego sercu. Oświadczył:

— *Są oni, jak powiedział rzymski diakon Laurenty, prawdziwym bogactwem Kościoła. Jednak ci, którzy mogą, winni im pomagać, by więcej mieli i więcej znaczyli, nie będąc przy tym poniżani ostentacyjnym demonstrowaniem im bogactwa, trwonieniem pieniędzy na próżny zbytek miast lokowania ich w przedsięwzięcia, które byłyby korzystne dla wszystkich.*

Później, w dalszej części przemówienia odwrócił się w pewnym momencie, skierował wzrok na dostojników z Banku Watykańskiego, którzy stali razem w jednej grupie i zaczął mówić o trudnościach kierowania i sprawowania rządów.

Mimo że jestem już od 20 lat biskupem, najpierw w Vittorio Veneto, a później w Wenecji, muszę przyznać, że jeszcze nie opanowałem tego rzemiosła. W Rzymie udam się na naukę do świętego Grzegorza Wielkiego, który pisze: (Pasterz) powinien z pełnym współczuciem być blisko każdego ze swoich poddanych; zapominając o swym miejscu w hierarchii powinien uważać się za stojącego na tej samej płaszczyźnie z dobrymi poddanymi, ale wobec złych nie powinien się cofać przed korzystaniem z praw, jakie mu daje jego urząd...

Większość słuchaczy, która nic nie wiedziała o stosunkach w Watykanie, skinęła tylko z uznaniem. Natomiast ludzie z Kurii rozumieli bardzo dobrze, do czego papież robił aluzję. Była to na watykański sposób elegancko zawoalowana zapowiedź zbliżających się przedsięwzięć.

Zmianami pachniało w powietrzu i w wiosce watykańskiej huczało od spekulacji. Biskup Marcinkus i przynajmniej dwóch jego najbliższych współpracowników, Mennini i de Strobel, musieli odejść, to uważano za pewne. Tym, co znacznie bardziej rozpałało umysły w Kurii, były pogłoski na temat dalszych zmian personalnych.

Kiedy 25 września bystrooki monsignore w przybywającym do apartamentów papieskich prywatnym gościu rozpoznał Lino Marconata, pełen wyczekiwania niepokój w wiosce watykańskiej osiągnął apogeum. Marconato był jednym z dyrektorów Banco San Marco. Czyżby jego wizyta u papieża oznaczała, że znaleziono już nowego bankiera dla Kościoła?

W rzeczywistości papież chciał rozmawiać z bankierem z Wenecji w zupełnie prozaicznej sprawie. Luciani uczynił Banco San Marco oficjalnym bankiem diecezji

weneckiej, kiedy zdenerwowany sprzedażą Banca Cattolica zlikwidował wszystkie znajdujące się w nim konta diecezji. Teraz, kiedy wiedział, że już nigdy nie wróci do Wenecji, chciał zlikwidować swoje prywatne konto w Banco San Marco. Marconato zastał swego klienta w jak najlepszym zdrowiu. Rozmawiali wesoło o Wenecji, a Luciani upoważnił bankiera do przepisania na swego następcę w Wenecji pieniędzy, które pozostały na jego „urzędowym” koncie.

Zapowiadające się zmiany w Watykanie były tematem, którym intensywnie zajmowało się wielu ludzi. Wielu ludzi w wielu miastach.

Był jeszcze ktoś, kto bezpośrednio i żywotnie interesował się tym, jakie kroki mógłby podjąć Luciani: Michele Sindona. Jego czteroletnia walka przeciw ekstradycji do Włoch zbliżała się we wrześniu 1978 r. ku końcowi. W maju tego roku sędzia federalny podjął decyzję, że Sycylijczyka, który przekształcił się tymczasem w obywatela szwajcarskiego, należy przekazać do Mediolanu, by wypił piwo, które sam nawarzył. Sindonę wprawdzie skazano już zaocznie na trzy i pół roku więzienia, ale wiedział doskonale, że ten wyrok wyglądałby jak akt łaski, gdyby sądy włoskie jeszcze raz gruntownie zajęły się jego sprawą. W Stanach Zjednoczonych także toczyło się przeciw niemu dochodzenie, ale do tej pory nie wniesiono jeszcze żadnego oskarżenia. W związku z bankructwem banku Franklina aresztowano wiele osób, ale nie Rekina. We wrześniu 1978 r. największe niebezpieczeństwo groziło mu z Włoch.

Opłacana milionami dolarów grupa adwokatów wymogła na sądzie, by nie udzielił zgody na ekstradycję, dopóki amerykańscy oskarżyciele nie udowodnią, że przeciw Sindonie zgromadzono niepodważalne materiały obciążające, które obligowałyby go do stawienia się przed sądem w Mediolanie.

Od tego momentu prokuratorzy amerykańscy podjęli wszelkie możliwe wysiłki w celu zebrania takich materiałów, natomiast wspierany przez mafię i swych braci z łoży P2 Sindona zadał sobie tyle samo trudu, by materiały te uczynić niedostępnymi. W końcu września 1978 r. jego sytuacja była jednak wciąż jeszcze niebezpieczna, ponieważ wiele „problemów” nadal było nierozwiązanych.

Pierwszym z nich była wypowiedź świadka o nazwisku Nicola Biase, złożona w postępowaniu o ekstradycję. Biase był kiedyś urzędnikiem Sindony i jego wypowiedź w oczach kliki Sycylijczyka była niebezpieczna. Szybko też zabrano się do „rozbrojenia” świadka. Całą sprawę omówiono z mafijną rodziną Gambino, a rezultatem tej narady był mały „kontrakt”, niezbyt brutalny: Biasego, jego rodzinę i adwokata postanowiono nastraszyć pogroźką śmierci. Gdyby zrozumieli tę informację i Biase wycofałby swoje zeznanie, na tym

by się skończyło. Gdyby jednak okazał się oporny, wówczas, jak uzgodniono, rodzina Gambino i Sindona *przemyśleliby sytuację na nowo*. Rezultat tych przemyśleń nie wróżył nic dobrego dla zdrowia świadka Biasego. Pierwszy niewinny „kontrakt” w kategorii do tysiąca dolarów przekształcono w „kontrakt” wielkiego kalibru. Otrzymali go: Luigi Ronsisvalle i Bruce McDonald. Ronsisvalle był zawodowym mordercą.

Zlecono mu jeszcze inny „kontrakt”: mafia poinformowała go, że Michele Sindona życzy sobie śmierci niejakiego Johna Kenneya, zastępcy prokuratora okręgowego.

Nic nie charakteryzuje mentalności Michele Sindony tak dobitnie, jak zamiar zamordowania Johna Kenneya. Kenney był głównym oskarżycielem w procesie o ekstradycję, a więc człowiekiem prowadzącym prawną walkę przeciw pozostaniu Sindony w Stanach Zjednoczonych — w imieniu i na polecenie swego rządu. Sindona kalkulował, że problem zostanie załatwiony, jeżeli uda się wyłączyć Kenneya.

Rząd USA zostałby w ten sposób ostrzeżony i wiedziałby, że on, Michele Sindona, nie pozwoli się tak traktować. Jeżeli rząd będzie mądry, to wstrzyma dochodzenie przeciw niemu, nie będzie go już więcej wzywać na denerwujące rozprawy w sądzie i skończy z absurdalnymi próbami wydalenia go do Włoch. Sposób rozumowania, jaki się tu ujawnił, odpowiadał w 100 procentach światowemu wizerunkowi sycylijskiego mafioso. Jest to filozofia, która stale sprawdza się we Włoszech i jest istotną częścią składową „włoskiego rozwiązania”: władze pozwalają się zastraszyć i są zastraszane. Sędzia śledczy, który obejmuje miejsce zamordowanego kolegi, będzie postępował z rozwagą. Sindona wierzył, że to, co się sprawdza w Palermo, poskutkuje również w Nowym Jorku.

Chociaż Luigi Ronsisvalle był zawodowym mordercą, nie chciał nawet słuchać o „kontrakcie” dotyczącym Kenneya. Oferowana premia w wysokości 100000 dolarów była kusząca, ale Ronsisvalle, który lepiej rozumiał ducha amerykańskiego niż Sindona, wiedział, że najprawdopodobniej niewiele miałby z tych pieniędzy. Zamordowanie Kenneya wywołałoby poruszenie, bardzo duże poruszenie. Na polecenie rodziny Gambino Ronsisvalle udał się na poszukiwanie kogoś, kto był wystarczająco beztroski, by wierzyć, że po zamordowaniu prokuratora amerykańskiego miałby realną szansę wyjścia z tego cała.

Tymczasem Sindona i jego doradcy zajęli się następnym problemem: Carlo Bordonim, byłym współnikiem i bliskim przyjacielem Sindony. Przeciw Bordoniemu wniesiono już wiele oskarżeń w związku z bankructwem banku Franklina, i Sindona był świadomy niebezpieczeństwa, że jego były partner w zamian za obietnicę łagodnej kary mógłby zacząć „śpiewać”. Wobec Carlo Bordoniego uzgodniono zastosowanie procedury przewidzianej dla Nicoli Biasego, jego rodziny i adwokata.

Ale najpoważniejsze problemy groziły Sindonie we Włoszech, szczególnie w Watykanie. Gdyby upadł Marcinkus, pociągnąłby za sobą Calwiego, gdyby upadł Calvi, pociągnąłby za sobą Sindonę. Wówczas nadzieja wygrania czteroletniej walki przeciw ekstradycji spełzałaby na niczym.

Czy człowiek, który wierzył w rozwiązanie swoich problemów w USA przez zamordowanie prokuratora amerykańskiego, nie mógłby wpaść na pomysł zlikwidowania grożącego mu z Włoch poważnego niebezpieczeństwa przez uśmiercenie papieża?

Sindona, Calvi, Marcinkus i kardynał Cody: każdy z nich miał 28 września 1978 r. wszelkie powody do liczenia się z najgorszym, gdyby Albino Luciani się zdecydował na określone przedsięwzięcia. Kolejnymi osobami, którym bezpośrednio groziło niebezpieczeństwo, było dwóch liderów loży P2 — Licio Gelli i Umberto Ortolani; Calvi był skarbnikiem i loża nie mogłaby sobie pozwolić na jego utratę. Do tych sześciu dołączył 28 września jeszcze siódmy, któremu zamierzenia Lucianiego napędziły strachu: Jean Villot, watykański sekretarz stanu.

Po lekkim śniadaniu z kawą, croissantem i bułeczkami Albino Luciani już przed ósmą siedział przy swoim biurku. Było wiele do zrobienia.

Pierwszym problemem, którym się zajął, był „Osservatore Romano”. W ciągu minionego miesiąca Luciani często miał powody do uskarżania się na tę gazetę. Nawet po zwycięskim zakończeniu pierwszej bitwy, w której chodziło o *pluralis maiestatis*, które gazeta uporczywie stosowała w swoich relacjach zamiast używanego przez papieża, skromniejszego „ja”, dzień w dzień przy lekturze „Osservatore” papież napotykał rzeczy, które go drażniły. Tak więc na przykład gazeta bezmyślnie przedrukowywała przygotowane przez Kurię projekty wystąpień papieża, ignorując dokonywane przez niego poprawki i uzupełnienia. Innym gazetom czyniła ona nawet zarzuty, kiedy ich sprawozdawcy cytowali dosłownie papieża, zamiast przejmować odbity wcześniej tekst w „Osservatore Romano”. Teraz pojawił się nowy, bardzo ważny problem.

Niektórzy kardynałowie Kurii ku swemu przerażeniu stwierdzili, że krótko przed konklawe zapytano Albino Lucianiego o jego opinię w sprawie urodzin Louise Brown, która stała się sławna jako „pierwsze dziecko z probówki”. Wywiad na ten temat przeprowadzono z Lucianim na trzy dni przed zgonem papieża Pawła VI, ale szeroka opinia publiczna zapoznała się z wypowiedziami Lucianiego na ten temat już po objęciu przez niego papieskiego tronu. Artykuł ukazał się w „Prospettive del Mondo”. Zdecydowani konserwatyści w Kościele katolickim z rosnącym niezadowoleniem czytali, jakie było zdanie ich obecnego papieża o sztucznym zapłodnieniu.

W ostrożnych uwagach wstępnych Luciani zaznaczył wyraźnie, że reprezentuje swoją całkowicie prywatną opinię i jak wielu innych czeka na poznanie *obowiązującej opinii nauki Kościoła*, kiedy *skonsultuje się to z fachowcami*. Teraz zaistniała sytuacja, w której *obowiązująca opinia Kościoła* w tej i innych sprawach w bardzo istotnym stopniu zależała od samego Lucianiego.

Luciani wypowiedział się z ostrożnym entuzjazmem o narodzinach Louise Brown. Obawiał się jednak, że mogłyby teraz powstać „fabryki dzieci” — była to dobrze uzasadniona obawa, jeżeli się uwzględni, że obecnie w Kalifornii kobiety stoją w kolejce, by dać się zapłodnić nasieniem laureata Nagrody Nobla. W odnoszącej się do tego konkretnego wypadku uwadze Luciani oświadczył:

Kierując się przykładem Boga, który życzy sobie życia ludzkiego i kocha je, chciałbym również przekazać noworodkowi moje najlepsze życzenia. Jeśli chodzi o rodziców, to nie mam prawa ich potępiać; subiektywnie rzecz biorąc, być może uczynili coś bardzo miłego Bogu, jeżeli w dobrym zamiarze i dobrej wierze zrobili to, na co się zdecydowali i o co prosili lekarzy.

Następnie zwrócił uwagę na wcześniejszą proklamację Piusa XII, która mogła uzasadniać niemożność pogodzenia sztucznego zapłodnienia z nauką Kościoła. Zaraz jednak przyznał, że każdy ma prawo sam decydować o sobie. W tym kontekście wyraził pogląd, który odzwierciedlał jego stosunek wobec wielu problemów moralnych:

Jeśli chodzi o sumienie każdego człowieka, to uważam, że zawsze należy go słuchać, niezależnie od tego, czy coś rozkazuje, czy czegoś zabrania; każdy jednak zawsze powinien dążyć do doskonalenia swojego sumienia.

Ci w Watykanie, którzy uważali, że najlepszą rzeczą dla sumienia katolika jest posłuszeństwo wobec Rzymu, zaczęli szemrać. Odbywały się potajemne spotkania. Ich uczestnicy byli zgodni co do tego, że Lucianiego trzeba pohamować. Mówili patetycznie o „zdradzeniu Pawła”; w tłumaczeniu z wysublimowanego, watykańskiego sposobu mówienia na zwykły język oznaczało to, że nie zgadzają się z Lucianim.

Kiedy ludzie ci dowiedzieli się o ostrożnie nawiązywanych kontaktach między watykańskim sekretarzem stanu a amerykańskim ministerstwem spraw zagranicznych, postanowili działać. Panikę tych, w których przekonaniu *Humanae vitae* powinna pozostać ostatnim słowem Kościoła w tej sprawie, wzmogła jeszcze uzyskana informacja, że papież obiecał audiencję delegacji parlamentarnej, zajmującej się sprawami kontroli urodzeń.

Na tytułowej stronie „Osservatore Romano” ukazał się 27 września długi artykuł zatytułowany „*Humanae vitae*” a moralność katolicka. W artykule tym walka o to, by raz na

zawsze przywiązać Lucianiego do stanowiska ogłoszonego przez jego poprzednika, sięgnęła szczytu. Autorem był kardynał Luigi Ciappi, teolog watykański. Ciappi był osobistym teologiem Piusa XII i Pawła VI. Artykuł spod pióra tak wysokiego rangą autora musiał sprawić wrażenie autentycznej interpretacji polityki nowego papieża. Opublikowano go już wcześniej w „Laterano” z okazji 10 rocznicy ogłoszenia *Humanae vitae*. Jego ponowne wydrukowanie było świadomą próbą zapobieżenia już na samym początku wszelkim ewentualnym zmianom stanowiska Kościoła wobec regulacji urodzeń, które mógłby wprowadzić Luciani. Artykuł był długą mową pochwalną na cześć *Humanae vitae*. Obszernie cytował Pawła VI, ale nie było w nim ani jednego słowa Lucianiego, z którego wynikałoby, że podzielał on poglądy Pawła lub Ciappiego. Przyczyna była prosta: Ciappi nie omówił wcześniej tego artykułu z Lucianim, bowiem dwudziestego siódmego września kardynał wciąż jeszcze czekał na swoją pierwszą audiencję prywatną u nowego papieża.

Luciani zwrócił uwagę na artykuł i wyrażone w nim poglądy 27 września w czasie lektury „Osservatore Romano”. Z rosnącym niezadowoleniem odwrócił gazetę, by na drugiej stronie przeczytać dalszy ciąg tekstu — był to, jak już powiedziano, bardzo długi artykuł. Na drugiej stronie papież odkrył jeszcze jeden artykuł, który najwyraźniej stanowił próbę podkopania jego pozycji przez Kurię. Ta dwuszpaltowa publikacja nosiła tytuł *Niebezpieczeństwo manipulacji przy tworzeniu życia* i była równoznaczna z jawnym, dogmatycznym potępieniem sztucznego zapładniania generalnie, a spółdzenia i narodzin „dziecka z probówki”, Louise Brown, w szczególności.

Również w tym artykule nie było żadnego powołania się na urzędującego papieża. Kuria doskonale wiedziała, że chociaż „Osservatore Romano” zawsze określał się wyłącznie jako organ półurzędowy, to opinia publiczna oceniała takie artykuły za odzwierciedlające poglądy papieża. Walka została wypowiedziana.

Krótko po ósmej, rankiem 28 września, papież zatelefonował do swego sekretarza stanu Villota i zażądał od niego wyjaśnienia, w jaki sposób i dlaczego doszło do opublikowania obu artykułów w „Osservatore Romano”. Potem zatelefonował do kardynała Feliciego w Padwie, który przebywał tam na rekolekcjach. Luciani coraz bardziej przyzwyczajał się do korzystania z reakcji Feliciego jako sprawdzianów swoich idei. Chociaż zdawał sobie sprawę, że między nim a Felicim w wielu sprawach istniały różnice poglądów, to wiedział również, że Felici był człowiekiem wyrażającym swoją opinię otwarcie i szczerze. Wiedział też, że Felici orientował się w meandrach Kurii jak prawie nikt inny.

Luciani powiedział mu o swojej irytacji z powodu obu artykułów.

— Czy przypominasz sobie, że przed kilku dniami dałeś mi do zrozumienia, że Kuria

życzy sobie, abym pohamował mój naturalny entuzjazm?

— Była to zaledwie sugestia, Wasza Świątobliwość.

— Czy byłbyś tak uprzejmy w moim imieniu z podziękowaniem zwrócić komplement? Powiedz tej małej gazecie, aby się pohamowała w wypowiedziach na takie tematy. Redaktorzy naczelni — tak jak papież — nie są niezastąpieni.

Luciani zajął się teraz następnym problemem ze swej listy, Kościołem w Holandii. Pięciu spośród siedmiu biskupów holenderskich wyraziło zamiar zajęcia umiarkowanego stanowiska w sprawach przerywania ciąży, homoseksualizmu i celibatu księży. Do tych pięciu należał kardynał Willebrands, człowiek, który podczas konklawe szeptał słowa zachęty Lucianiemu. Przeciwno tej piątce w jej własnym kraju stanęło dwóch niezwykle

konserwatywnych biskupów, Gijssens z Roermond i Simonis z Rotterdamu. Na listopad zaplanowano w Holandii konferencję, podczas której według wszelkiego prawdopodobieństwa mogłyby wybuchnąć sprzeczności wewnątrz Kościoła holenderskiego, które stałyby się dostrzegalne dla opinii publicznej. Istniał jeszcze inny problem; zawarty był w szczegółowym raporcie przekazanym przez Holendrów zmarłemu papieżowi.

Sprawa dotyczyła znanego w świecie teologa dominikańskiego, profesora Edwarda Schillebeeckxa. Jego idee, podobnie jak idee współczesnego mu szwajcarskiego teologa Hansa Kiinga, były uważane przez konserwatystów za radykalne i niebezpieczne. Aczkolwiek Paweł VI zniósł indeks książek wyklętych i zakazanych, to jednak jego śmierć pozostawiła pewien problem nierozwiązany — mianowicie w jaki sposób Kościół może trzymać na wodzy swoich postępowych myślicieli, autorów nowych idei. W przeszłości papież, by posłużyć się określeniem Kunga, krytykował *teologów* — *snajperów*, ale Kung i Schillebeeckx tacy nie byli; to, na co kładli nacisk, było głęboko odczuwaną tęsknotą za powrotem Kościoła do jego źródeł, a więc czymś, co Luciani mógł zaaprobować całym sercem.

Tuż przed dziesiątą papież odłożył raport na bok i zajął się przyjemniejszą stroną swego urzędu; oczekiwało go kilka audiencji.

Jako pierwszą przyjął grupę, w której znajdował się człowiek powołany przez Lucianiego na przewodniczącego Cor Unum, kardynał Bernard Gantin. Papież pojaśniał z zadowolenia na widok silnej, młodzieńczej sylwetki Gantina, który w jego oczach reprezentował przyszłość Kościoła. W czasie rozmowy Luciani powiedział: *Powinniśmy światu oferować jedynie Jezusa Chrystusa. Bez niego nie mielibyśmy żadnej przyczyny, żadnego celu, nigdy nie zostalibyśmy wysłuchani.*

Inną przyjętą tego ranka na audiencji osobistością był Henri de Riedmatten. Kiedy

wkrótce po konklawe rozeszła się w Rzymie wieść, że przed ogłoszeniem *Humanae vitae* Luciani napisał do papieża Pawła i usilnie prosił go, by nie wprowadzał zakazu sztucznego zapobiegania ciąży, to Riedmatten właśnie odrzucił te pogłoski jako „zmyślane”. Podczas obecnej rozmowy z papieżem chodziło wprawdzie o jego pracę jako sekretarza Cor Unum, ale Luciani dał mu wyraźnie do zrozumienia, że w przyszłości nie życzy sobie tego rodzaju „dementi”.

— Słyszałem, że mój raport na temat kontroli urodzeń uszedł twojej uwagi?

Riedmatten wymruczał coś o możliwej pomyłce.

— Ojciec Riedmatten, powinieneś mieć się na baczności i nie zabierać publicznie głosu, zanim nie zostaną usunięte wszelkie możliwości popełnienia błędu. Gdybyś potrzebował egzemplarza mojego raportu, to jestem pewien, że uda się go jeszcze dla ciebie znaleźć.

Riedmatten podziękował w sposób bardzo uniżony. Potem przezornie milcząco przysłuchiwał się, jak Luciani rozważał z Gantinem problemy Libanu. Poinformował Gantina, że dzień wcześniej omówił swoją planowaną wizytę w Libanie z patriarchą Hakimem, którego greckokatolicka diecezja obejmowała nie tylko okupowane części Libanu, lecz również obszary rozciągające się na terytorium państwa okupacyjnego, Syrii.

Tego samego przedpołudnia przyjął na audyencji także grupę biskupów filipińskich, którzy złożyli papieżowi wizytę *ad limina apostolorum*. Do tych ludzi, mających na co dzień do czynienia z rzeczywistością dyktatury Marcosa, Luciani mówił na temat leżący im bardzo na sercu: o posłannictwie. Wiedząc dobrze, że biskupi mogliby mieć kłopoty, gdyby otwarcie skrytykował Marcosa, papież postanowił przekazać swoje orędzie pośrednio, włączając je do uwag na temat działalności misyjnej. Przypomniał biskupom wizytę papieża Pawła na Filipinach:

W momencie, w którym uważał za słuszne mówić o ubogich, sprawiedliwości i pokoju, o prawach człowieka, o wyzwoleniu ekonomicznym i społecznym, w momencie, w którym potwierdził także praktycznie spoczywający na Kościele obowiązek łagodzenia nędzy, nie chciał i nie mógł z drugiej strony zaniechać mówienia „o wyższych dobrach”, o bogatej pełni życia w Królestwie niebieskim.

Posłanie to zrozumieli dokładnie nie tylko biskupi, lecz w konsekwencji także rodzina Marcosów.

Po audyencjach przedpołudniowych Luciani przeprowadził rozmowę z kardynałem Baggio. Podjął wiele decyzji, z których jednak tylko dwie chciał przekazać kardynałowi.

Pierwsza dotyczyła sprawy Cody’ego w Chicago. Po rozważeniu wszystkich punktów

widzenia Luciani doszedł do wniosku, że musi kardynała zmienić. Powinno się to odbyć zgodnie ze starym, wypróbowanym sposobem watykańskim, bez wywoływania sensacji publicznej — na co miał przynajmniej nadzieję.

Baggio był zachwycony. Nareszcie sytuacja była oczyszczona. Nie był jednak wcale zadowolony z drugiej decyzji podjętej przez Lucianiego. Wenecja była bez patriarchy: papież zaproponował ten urząd kardynałowi Baggio.

Wielu ludziom Kościoła taka propozycja przyniosłaby honor, inaczej było w przypadku Baggia, którego zezłościła. Miał inne plany krótko- i długofalowe. Pierwsze, to odegranie dominującej roli na konferencji w Puebli w Meksyku — był przekonany o tym, że przyszłość Kościoła leży w Trzecim Świecie. Długofalowo Baggio widział swoje miejsce w Rzymie, w centrum władzy kościelnej. W Wenecji stałby na uboczu, przede wszystkim nie miałby już żadnego wpływu na ustalanie przyszłej polityki Kościoła. Jego odmowa przyjęcia urzędu w Wenecji zdziwiła Lucianiego. Obowiązek posłuszeństwa wobec Ojca Świętego wszczepiano mu od samego początku w seminarium w Feltre i posłuszeństwo, które w sobie wpoił, było zawsze bezwarunkowe. W miarę upływu lat i dziesięcioleci swojego życia nauczył się niewątpliwie stawiania pewnych rzeczy pod znakiem zapytania, zwłaszcza tego, co dotyczyło Watykanu — Spółki z o.o. i encykliki *Humanae vitae*; jednak otwarta opozycja, nawet w tak ważnych sprawach, byłaby dla Lucianiego nie do pomyślenia. Ileż napisał na prośbę papieża Pawła artykułów, w których bronił polityki papieskiej? Jakże często działał się z nim podobne rzeczy jak wówczas, gdy napisał taki artykuł na temat rozwodów i przekazał go swojemu sekretarzowi, ojcu Mario Senigaglii mówiąc udręczonym głosem: *Jestem pewien, że przyprawi mnie to o spory ból głowy, gdy będzie opublikowany, ale prosił mnie o to papież*. Odrzucenie osobistego polecenia papieża w tak szorstki sposób, jak uczynił to teraz Baggio, niemal przekraczało wyobraźnię Lucianiego. Najwyraźniej miary wartości obu tych ludzi nie pokrywały się nawet w najmniejszym stopniu. Luciani kierował się tym, co było najlepsze dla Kościoła rzymskokatolickiego. Baggio kierował się tym, co było najlepsze dla Baggia.

Papieska decyzja przeniesienia Baggia z Rzymu do Wenecji miała kilka przyczyn. Jedną z najważniejszych miała związek z listą nazwisk, którą otrzymał Luciani: mason Baggio, imię w loży — Seba, numer w loży - 85/2640, przyjęty 14 sierpnia 1957 r.

W związku z ówczesną rozmową z kardynałem Felicim Luciani polecił przeprowadzić dodatkowe badania. Nie dawała mu spokoju uwaga Feliciego: *Niektórzy na liście są masonami, inni nie*. Problem polegał na tym, jak oddzielić tych prawdziwych od fałszywych? W kilku przypadkach dodatkowe badania przyczyniły się do częściowego wyjaśnienia sytuacji.

Według relacji moich zaufanych informatorów, rozmowa między Baggim i Lucianim była „gwałtownym sporem”, przy czym *gwałtowność i wściekłość wykazała tylko Jego Eminencja. Ojciec Święty zachował spokój.*

Spokojny lub nie, Luciani zasiadł ze swoim nierozwiązanym problemem do obiadu. Wenecja wciąż jeszcze nie miała patriarchy; Baggio upierał się przy tym, że jego miejsce jest w Rzymie. Luciani pograżony w myślach zaczął jeść zupę.

Ciepłe babie lato, które przez cały wrzesień panowało w Rzymie, w ten czwartek przyniosło powiew chłodu. Po krótkim poobiednim odpoczynku Luciani postanowił zaaplikować sobie w tym dniu swoją porcję ruchu wewnątrz pałacu. Przez pewien czas wędrował korytarzami Pałacu Apostolskiego. O wpół do czwartej powrócił do swojego gabinetu i przeprowadził kilka rozmów telefonicznych. Rozmawiał z kardynałem Felicim w Padwie i kardynałem Benellim we Florencji. Opowiedział im o wydarzeniach, które miały miejsce przed południem, łącznie ze swoją konfrontacją z Baggim, a potem zaczął mówić o zbliżającym się spotkaniu: na czwartą był umówiony kardynał Villot. Papież chciał poinformować swego sekretarza stanu o podjętych przez siebie decyzjach.

Luciani i Villot rozmawiali przy filiżankach herbaty z rumianku. Dążąc do zbliżenia się do swego sekretarza stanu Luciani posługiwał się czasem językiem francuskim. Był to gest, który kardynał z St. Amant-Tallende potrafił docenić. Głębokie wrażenie wywarło na nim to, jak szybko Luciani nauczył się pełnić urząd papieża. Z sekretariatu stanu wiadomość o tym rozeszła się dalej i dotarła także do uszu kilku przyjaciół i byłych kolegów Lucianiego. Jednym z wielu, do których dotarła informacja o dobrym „wejściu” nowego papieża, był monsignore Da Rif, który wciąż jeszcze działał w Vittorio Veneto.

Od kardynała Villota w dół wszyscy podziwiali sposób pracy papieża Lucianiego, jego umiejętność uchwycenia istoty problemu i dokonywania szybkich, zdecydowanych rozstrzygnięć. Zdumiewało ich to, jak dobrze radził sobie ze swoimi zadaniami. Okazało się, że był człowiekiem, który podejmował decyzje i trwał przy nich. Nie pozwalał wywierać na siebie nacisku. Według mojego osobistego doświadczenia, umiejętność zdecydowanego trzymania obranego kursu była szczególnie godną uwagi cechą Albino Lucianiego.

Późnym popołudniem 28 września Jean Villot przeżył imponującą demonstrację umiejętności Lucianiego, które w ciągu minionego miesiąca wywarły na nim takie wrażenie. Pierwszym poważnym problemem do rozważenia był Istituto per le Opere di Religione, Bank Watykański.

Luciani uzyskał tymczasem wiele bardzo szczegółowych informacji. Villot sam przedłożył mu tymczasowy raport. Innymi źródłami, które umożliwiły mu zapoznanie się ze

sprawą, byli: zastępca Villota, arcybiskup Giuseppe Caprio i kardynałowie Benelli oraz Felici.

Villot zwrócił uwagę papieża na to, że —jak należało się spodziewać— pogłoski o dochodzeniach prowadzonych przeciw Bankowi Watykańskiemu przedostały się na zewnątrz i prasa włoska stawała się coraz bardziej zaciekawiona. Co więcej, w Ameryce został opublikowany obszerny artykuł na ten temat.

Amerykański magazyn „Newsweek” najwyraźniej miał wspaniałe źródła informacji w Watykanie. Dowiedział się, że przed rozpoczęciem konklawe większa liczba kardynałów zażądała od Villota wyczerpującego raportu o działalności Banku Watykańskiego. Przez swoje „poinformowane koła” dowiedział się także o tym, że podjęto pewne kroki w celu usunięcia Marcinkusa. Czasopismo zacytowało swojego zaufanego człowieka w Kurii następująco: *Podjęto próbę usunięcia go. Prawdopodobnie zostanie przeniesiony na jakąś funkcję biskupią bez znaczenia.*

Luciani zaśmiał się: *Czy „Newsweek” może mi też powiedzieć, kim zastąpię Marcinkusa?*

Villot potrząsnął głową. W dalszym ciągu rozmowy Luciani dał wyraźnie do zrozumienia, że nie myśli o pozostawieniu Marcinkusa w Watykanie, nie mówiąc już o Banku Watykańskim. Niedawno, podczas 45-minutowej osobistej rozmowy papież wyrobił sobie opinię o Marcinkusie i doszedł do wniosku, że ten człowiek lepiej by się sprawdził na stanowisku biskupa pomocniczego w Chicago. Nie powiedział wówczas Marcinkusowi o tych rozważaniach, ale chłodna uprzejmość, którą okazał człowiekowi z Cicero, nie pozostała niezauważona.

Kiedy Marcinkus po spotkaniu z Lucianim powrócił do biura banku, powiedział w zaufaniu swojemu przyjacielowi: *Możliwe, że długo tu już nie zostanę. Swoim kolegom w banku oświadczył: Nastawcie się na to, że ten papież ma inne poglądy niż poprzedni. Dojdzie tu do zmian. Wielkich zmian.*

Marcinkus miał rację, Luciani oświadczył Villotowi po południu, owego 28 września, że Marcinkusa należy natychmiast zmienić. Nie za miesiąc czy tydzień, lecz następnego dnia. Udzieli się mu urlopu i znajdzie odpowiednie stanowisko, gdy tylko zostanie rozwiązany problem Cody’ego.

Papież powiedział Villotowi, że na miejsce Marcinkusa przyjdzie monsignore Giovanni Angelo Abbo, sekretarz Prefektury ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej. Jako jeden z najważniejszych funkcjonariuszy watykańskiego aparatu finansowego, monsignore Abbo wniósłby do swojego nowego urzędu, co jest logiczne, wiele fachowej wiedzy z zakresu

spraw finansowych.

Bez wątpienia przykład pełnych rozmachu pierwszych 100 dni papieża Jana pobudził Albino Lucianiego. Jeżeli ci, którzy dobrze znali Lucianiego, czekali od chwili jego wyboru na to, aż lew pokaże pazury, to doczekali się właśnie owego 28 września, a Villot był tym, który tego doświadczył. Nie rzucający się w oczy, skromny człowiek, jakim był Albino Luciani, zanim został papieżem, wielu wydawał się jeszcze mniejszym, niż był w rzeczywistości ze swoim 175-centymetrowym wzrostem. Obecności tego niepozornego i cichego człowieka nie dostrzegali niektórzy uczestnicy nawet wielogodzinnych posiedzeń. Dla Villota jednak obecność Albino Lucianiego tego wrześniowego wieczoru była nieodpartą rzeczywistością. Papież oświadczył mu:

Są jeszcze inne zmiany w Istituto per le Opere di Religione, które chciałbym natychmiast przeprowadzić. Zmienić należy Menniniego, de Strobela i monsignore de Bonisa. Natychmiast. Miejsce de Bonisa powinien zająć monsignore Antonetti. Na temat następców obu pozostałych będę jeszcze rozmawiał z monsignore Abbo. Życzę sobie zerwania wszystkich naszych kontaktów z grupą Banco Ambrosiano i ma to nastąpić w najbliższej przyszłości. Uważam, że uczynienie tego kroku będzie niemożliwe, dopóki cugle znajdują się w rękach ludzi obecnie piastujących swoje urzędy.

Ojciec Magee powiedział mi na ten temat: *On wiedział, czego chciał. Wiedział nawet bardzo dokładnie, czego chciał. Sposób, w jaki zapowiedział swoje zamierzenia, był bardzo delikatny.*

Przymiotnik „delikatny” wynikał z uzasadnienia, jakie przytoczył Villotowi. Obaj wiedzieli, że Marcinkus, Mennini, de Stobel i de Bonis byli przypięci złotymi łańcuszkami nie tylko do Calwiego, lecz także do Sindony. Nie trzeba było tego mówić wprost, a tego, czego nie powiedziano, nie można było potem cytować w sposób wypaczony.

Kardynał Villot przyjął polecenia Lucianiego prawie bez komentarza. Przez lata sporo się nauczył. W Watykanie było wielu takich, którzy uważali Villota za mało uzdolnionego, ale niezupełnie odpowiadało to prawdzie; często uważał, że mądrzej będzie trzymać się z daleka od pewnych problemów. W watykańskiej wiosce była to znakomita technika przeżycia.

Luciani zaczął mówić o problemie Chicago i o swojej dyskusji z Baggim na temat ultimatum, jakie ma być postawione kardynałowi Johnowi Cody'emu. Villot mrucząco wyraził swoją aprobatę. Podobnie jak Baggio, on także uważał Cody'ego za wrzód na ciele Kościoła amerykańskiego. Zapowiedź wypalenia tej rany sekretarz stanu przyjął z zadowoleniem. Luciani oświadczył, że życzy sobie, by sekretariat stanu nawiązał przez

przedstawiciela papieskiego w Watykanie kontakt z Amerykanami i przeprowadził sondaż na temat ewentualnego następcy Cody'ego. Dodał przy tym: *W Chicago doszło do znacznej utraty zaufania. Musimy zatroszczyć się o to, by miejsce Jego Eminencji zajął ktoś, kto ma umiejętność pozyskania serc i dusz wszystkich wiernych w tej diecezji.*

Luciani poinformował następnie, że Baggio odrzucił urząd patriarchy Wenecji oraz oświadczył, że nadal jest zdecydowany posłać tam kardynała. *Wenecja nie jest miękką poduszką. Potrzebuje silnego człowieka, takiego jak Baggio. Chciałbym, żebyście z nim porozmawiali. Powiedzcie mu, że wszyscy musimy ponosić teraz ofiary. Być może powinniście mu przypomnieć, że ja nie życzyłem sobie tego urzędu.* Argument ten nie mógł wyrzeć wielkiego wrażenia na człowieku, który sam miał poważne ambicje zostania następcą papieża Pawła, ale Villot dyplomatycznie zrezygnował z poczynienia tej uwagi.

Luciani zapoznał Villota jeszcze z innymi zmianami personalnymi, które zamierzał przeprowadzić. Kardynał Pericle Felici miał zostać na miejsce kardynała Ugo Poletiego wikariuszem Rzymu; Poletti miał zastąpić Benellego jako arcybiskup Florencji. Benelli miał zostać sekretarzem stanu w Watykanie — jako następca Villota.

Villot milcząco przyjął do wiadomości zapowiedziane zmiany personalne, obejmujące również jego samego.

Był starym, zmęczonym człowiekiem. Ponadto był ciężko chory i dwie paczki papierosów, które wypalał dziennie, wcale nie przyczyniały się do złagodzenia jego cierpienia. Już podczas konklawe Villot nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że ma już dość swego urzędu i że chce się wkrótce wycofać. Teraz moment ten nastąpił jednak trochę wcześniej, niż sobie to wykoncypował. Oczywiście nie odbyłoby się to natychmiast, ale nie zmieniało to w niczym faktu, że będzie musiał pożegnać się z władzą. Z pewnością nie ucieszyło Villota to, że papież chciał powołać na jego następcę właśnie Benellego. Benelli był wcześniej podsekretarzem i Villot nie żył z nim w najlepszej zgodzie.

Luciani odłożył kartkę ze swoimi odręcznymi notatkami na temat planowanych zmian personalnych i dołączył Villotowi herbaty.

— Myślałem, że na mojego następcę Ojciec Święty rozważy kandydaturę Casarolego — powiedział Villot.

— Czyniłem to przez dłuższy czas. Uważam, że generalnie pracuje on znakomicie. Jeżeli jednak chodzi o zapoczątkowane przez niego w ostatnich latach inicjatywy wobec Europy Wschodniej, to podzielam zastrzeżenia Giovanniego Benellego wobec niektórych z nich.

Luciani czekał na jakiś znak lub słowo aprobaty czy zachęty. Nastąpiło przedłużające

się milczenie. Nigdy, odkąd Luciani i Villot się znali, ten ostatni nie odszedł od sztywnego formalizmu. Zawsze zachowywał chłodny dystans. Luciani nie tylko w spotkaniach osobistych z Villotem, lecz także przez Feliciego i Benellego usiłował ożywić swój stosunek do sekretarza stanu odrobiną osobistego ciepła, ale mur formalizmu, jakim otaczał się Francuz, okazał się nie do przebiccia.

Wreszcie papież zdecydował się przerwać milczenie:

— Co teraz, Eminencjo?

— Wy jesteście papieżem. Macie swobodę decyzji.

— Tak, tak, ale co wy myślicie o tym? Villot wzruszył ramionami.

— Dla niektórych decyzje te będą powodem do radości, dla innych powodem do zdenerwowania. Są w Kurii Rzymskiej kardynałowie, którzy uczynili wiele, byście zostali wybrani, i ci będą się czuli zdradzeni. Zapowiedziane zmiany będą traktowali jako sprzeczne z życzeniami zmarłego Ojca Świętego.

Luciani uśmiechnął się.

— Czy zmarły Ojciec Święty podejmował decyzje personalne na całą wieczność? Jeśli chodzi o kardynałów, którzy mówią, że uczynili wiele, by zrobić ze mnie papieża, to proszę posłuchać: mówiłem to już wiele razy, ale — jak widzę — muszę powtórzyć jeszcze raz. Nie dążyłem do tego, by być papieżem. Nie możecie wymienić żadnego kardynała, któremu składałem jakieś obietnice. Żadnego, którego w jakiegokolwiek formie usiłowałbym namówić na oddanie głosu na mnie. Nie było to moim zamiarem. Nie było to moim działaniem. W Watykanie znajdują się ludzie, którzy zapomnieli, po co tu w ogóle są. Uczynili z tego miejsca targowisko. Jest to powód, dla którego dokonuję tych zmian.

— Będą mówili, że zdradziliście Pawła.

— Będą także mówili, że zdradziłem Jana, a także Piusa. Każdy będzie wyszukiwał dla siebie świadków koronnych, stosownie do potrzeb. Dla mnie jest ważne to, że nie zdradzam naszego Pana, Jezusa Chrystusa.

Dyskusja trwała niecałe dwie godziny. Wieczorem o wpół do ósmej Villot pożegnał się. Wrócił do leżącego nieopodal swojego gabinetu i studiował listę zmian personalnych. Z szuflady biurka wyciągnął drugą listę, być może bez określonego zamiaru. Kiwał głową, kiedy porównywał nazwiska. Nazwiska wszystkich, których Luciani zamierzał zwolnić z pełnionych funkcji, znajdowały się na liście przypuszczalnych masonów, opublikowanej przez wiarołomnego członka P2, Petrocellego.

Marcinkus, Villot, Poletti, Baggio, de Bonis. Na liście masonów brakowało natomiast nazwisk tych, którzy zgodnie z wolą papieża mieli objąć zwolnione stanowiska: Benellego,

Feliciego, Abbo, Antonettiego.

Kardynał Villot odłożył obie listy na bok i zajął się innym dokumentem leżącym na jego biurku. Było to ostateczne potwierdzenie, że przewidziane spotkanie Lucianiego z amerykańską komisją ds. regulacji urodzeń odbędzie się 24 października. Grupa polityków opowiadających się za tym, by Kościół rzymskokatolicki zrewidował swoje stanowisko w sprawie sztucznego zapobiegania ciąży, spotkałaby się za kilka tygodni z papieżem, który sam życzył sobie takiej rewizji. Villot wstał zza biurka nie sprząając z niego dokumentów. Lew rzeczywiście pokazał swoje pazury.

Zaraz po odejściu Villota Albino Luciani poprosił swego sekretarza, Lorenziego, by połączył go z kardynałem Colombo w Mediolanie. Lorenzi powrócił za chwilę z informacją, że Colombo będzie osiągalny dopiero około trzy kwadranse po ósmej. Sekretarz wrócił do swojego biura, a papież czytał razem z ojcem Magee po angielsku ostatnią część codziennej porcji brewiarza. Za dziesięć ósma Luciani, Magee i Lorenzi zasiedli do stołu. Bez najmniejszych oznak wyczerpania po dwugodzinnej rozmowie z Villotem papież rozmawiał beztrudno, kiedy siostry Vincenza i Assunta wносиły kolację, składającą się z czystego rosółu, cielęciny, świeżej fasolki i sałaty. Luciani wypił do tego kilka łyków wody, a Lorenzi i Magee pili czerwone wino. Ojcu Lorenzemu przyszła nagle do głowy myśl, że pontyfikat Lucianiego jest już zapewne dłuższy od najkrótszego jak dotąd w historii papiestwa. Chciał to właśnie powiedzieć, kiedy papież zaczął manipulować przy swoim nowym zegarku. Otrzymał go w prezencie od monsignore Macchiego, sekretarza zmarłego papieża, kiedy Felici powiedział, że ktoś z Kurii skrytykował stary, bardzo niepozorny zegarek Lucianiego. Chodziło im jak zawsze o wizerunek zewnętrzny papieża. W ten sposób Kuria przyrównywała papieża do sprzedawcy używanych samochodów, który dla wywołania poważnego wrażenia musi zwracać uwagę na dobrze wyprasowane spodnie i czyste paznokcie. Kiedy papież ostatni raz widział się ze swym bratem Edoardo, podarował mu stary zegarek ze słowami: *Okazuje się, że papieżowi nie wolno nosić starego zegarka, który ciągle trzeba naprawiać. Nie obrazisz się, jeśli ci go podaruję?*

Kiedy zaczęły się wieczorne wiadomości w telewizji, Luciani podał zegarek Mageemu, by go nastawił. Była za minutę ósma.

Po przyjemnej, przebiegającej bez żadnych wydarzeń kolacji papież powrócił do swojego gabinetu, by jeszcze raz przejrzeć notatki, którymi posługiwał się w rozmowie z Villotem. Za piętnaście dziewiąta Lorenzi osiągnął kardynała Colombo w Mediolanie i połączył go z Lucianim. Rozmawiali na temat zaplanowanych zmian personalnych. Kardynał Colombo powiedział później o tej rozmowie: *Mówił do mnie przez dłuższy czas zupełnie*

normalnym tonem, w którym nie można było dosłuchać się żadnych oznak choroby cielesnej. Był całkowicie opanowany i ufny. Na koniec rozmowy rzekł: „Proszę się modlić”.

Lorenzi zapamiętał, że rozmowa telefoniczna z kardynałem Colombo zakończyła się około dziewiątej piętnaście. Luciani przejrzał potem przemówienie, które chciał wygłosić do jezuitów w sobotę, 30 września. W związku z tym przemówieniem telefonował już do generała jezuitów, Pedra Aruppe i ostrzegł go, że będzie musiał powiedzieć kilka słów na temat dyscypliny. Podkreślił fragment tekstu wystąpienia, który miał głębszy związek z zarządzonymi właśnie zmianami.

Znane wam są wielkie problemy gospodarcze i społeczne ciężące dziś na ludzkości, tak blisko związane z życiem chrześcijańskim. Słusznie troszczycie się o nie. W poszukiwaniu rozwiązania tych problemów przestrzegajcie jednak stale różnicy między zadaniami duchownego chrześcijańskiego a zadaniami człowieka świeckiego. Jako kapłani powinniśmy pobudzać i inspirować ludzi świeckich do wypełniania ich obowiązków, ale nie wolno nam dążyć do zajmowania ich miejsca i zaniedbywania naszego własnego, specyficznego zadania, jakim jest ewangelizacja.

Luciani odłożył tekst wystąpienia na bok i jeszcze raz wziął do ręki swoje notatki na temat zbliżających się dramatycznych zmian personalnych. Podeszedł do drzwi swego gabinetu, otworzył je i życzył ojcu Magee i ojcu Lorenzi dobrej nocy. Wypowiedział następujące słowa: *Buona notte. A domani. Se Dio vuole.* (Dobranoc. Do jutra. Jeśli Bóg pozwoli).

Było tuż po wpół do dziesiątej, kiedy Luciani zamknął drzwi swego gabinetu. Wypowiedział swoje ostatnie słowa. Jego ciało znaleziono następnego dnia rano. Konkretnie okoliczności, w jakich doszło do tego odkrycia wyraźnie wskazują, że Watykan coś ukrył. Rozpoczął od kłamstwa i ciągnął dalej całą sieć kłamstw. Kłamali w szczegółach. Kłamali w sprawach ogólnych. Wszystkie ich kłamstwa zmierzały tylko do jednego celu: zatuszowania, że gdzieś między 21.30 wieczorem 28 września a 4.30 rano 29 września 1978 r. Albino Luciani, papież Jan Paweł I, został zamordowany.

Albino Luciani był od ponad 100 lat pierwszym papieżem, który zmarł samotnie, a jeszcze więcej czasu upłynęło od momentu, kiedy po raz ostatni zamordowano papieża.

Cody, Marcinkus, Villot, Sindona, Gelli. Przynajmniej jeden z tych mężczyzn uknuł desperacki plan, który zrealizowano późnym wieczorem 28 lub wczesnym rankiem 29 września. Plan ten powstał jako rezultat postanowienia, że trzeba zastosować „włoskie rozwiązanie”. Papież musiał umrzeć.

Jesteśmy zatrwożeni

Cóż takiego wydarzyło się, że 28 września 1978 r. nad Kościołem katolickim zapadła ciemność i dlaczego?

Odpowiedzi na pytanie „dlaczego?” już udzielono. Motywów było wystarczająco dużo. Również na pytanie „jak?” możliwa jest niepokojąco duża liczba odpowiedzi. Jeżeli Albino Lucianiego zamordowano z któregośkolwiek omawianego już powodu, to należy uwzględnić kilka czynników.

1. Morderstwo musiało być dokonane ukradkiem. Jeżeli istniejąca przed wyborem Lucianiego na papieża korupcja miała trwać dalej, morderstwo musiało być zamaskowane. Żadna dramatyczna strzelanina na środku Placu Św. Piotra nie wchodziła w rachubę. Nie wchodził w rachubę żaden publiczny zamach, który by spowodował gruntowne dochodzenia, dlatego tego cichego, świętego człowieka usunięto z drogi. Jego nagła śmierć powinna nastąpić w taki sposób, by wywołała jak najmniej sensacji i podejrzeń.

2. Najskuteczniejszą bronią wydawała się trucizna, trucizna nie pozostawiająca żadnych zdradzieckich śladów. Badania naukowe wyodrębniają ponad 200 substancji spełniających ten warunek. Przykładem może być naparstnica. Nie ma smaku ani zapachu. Może być dodana do jedzenia, napoju i lekarstwa. Działa w taki sposób, że ofiara nie zdaje sobie sprawy, że zażyła śmiertelną dawkę trucizny.

3. Niezależnie od tego, kto planował zamordowanie papieża w ten sposób, musiał doskonale znać watykańską procedurę. Spiskowcy musieli wiedzieć, że autopsja nie zostanie dokonana! Skoro byli tego pewni, to właściwie wszystko jedno, na jaką truciznę się zdecydowali. Naparstnica miała tę zaletę, że śmiertelne działanie wystąpiłoby dopiero po kilku (dwóch do sześciu) godzinach od jej zażycia. Jeżeli całą sprawę zaplanowano tak, że Luciani zażyłby truciznę późnym wieczorem, to można było mieć pewność, że umarłby w swoim łóżku. Lekarze watykańscy po oznakach możliwych do stwierdzenia przy zewnętrznych oględzinach zmarłego, wyciągnęliby wniosek, że zgon nastąpił w wyniku zawału serca.

Spiskowcy musieli wiedzieć, że w Prawie Apostolskim nie było żadnego wiążącego postanowienia, nakazującego przeprowadzenie autopsji w wypadku śmierci papieża. Co więcej, mogli być pewni, że nawet wówczas, gdyby w kręgach najwyższych dostojników watykańskich pojawiły się podejrzania, to obawy przed skandalem, który wstrząsnąłby Kościołem katolickim, byłyby większe niż zainteresowanie wykryciem prawdy.

Na stoliku nocnym papieża obok budzika stała buteleczka z *Effortilem*, lekiem w płynie, którego kilka kropli Luciani zażywał od lat każdego wieczoru z powodu swego

niskiego ciśnienia krwi. Śmiertelna dawka digitalu, pół łyżeczki, byłaby niewykrywalna w tym lekarstwie. Jedynymi innymi lekami zażywany przez papieża, były tabletki witaminowe, które brał trzy razy dziennie przy posiłkach, oraz środek pobudzający wytwarzanie adrenaliny przez nadnercza, który wstrzykiwano mu w określonych odstępach czasu; również ten środek przepisano mu z powodu zbyt niskiego ciśnienia krwi. Wstrzykiwano mu go w dłuższych seriach zastrzyków dwa razy w roku, na wiosnę i jesienią. Zastrzyki robiła siostra Vincenza. We wrześniu 1978 r. rozpoczęła się kolejna seria tych zastrzyków i była to też główna przyczyna, dla której siostrę Vincenzę sprowadzono z Wenecji.

Zastrzyki nie zawsze zawierały preparat o tej samej nazwie, ponieważ istnieje kilka środków mających takie samo działanie. Najczęściej jednak Luciani otrzymywał zastrzyki z *Cortiplexu*. Zarówno *Cortiplex*, jak i *Effortil* na nocnym stoliku papieża były łatwo dostępne dla każdego, kto miał wstęp do papieskich apartamentów lub mógł go uzyskać. Zapewnienie sobie takiego wstępu, o czym jeszcze się przekonamy, nie było żadnym problemem.

Wczesnym rankiem 29 września 1978 r., w piątek, siostra Vincenza jak zwykle o 4.30 niosła do papieskiego gabinetu tacę z dzbanuszką kawy i filiżanką. Zapukała do drzwi sypialni i zawołała: *Dzień dobry, Ojczy Świety*. Nie usłyszała na to żadnej odpowiedzi. Vincenza odczekała chwilę, potem bez słowa oddaliła się. Kwadrans później przyszła ponownie. Taca z kawą w gabinecie stała nietknięta. Siostra Vincenza zaczęła służyć Lucianiemu w 1959 r. w Vittorio Veneto i od tamtej pory pracowała tylko dla niego. W ciągu tych 19 lat nie zdarzyło się ani razu, by zasnął. Zaniepokojona podeszła do drzwi sypialni i nasłuchiwała. Zapukała do drzwi, najpierw lekko, potem mocniej. Wciąż nie było odpowiedzi. Przez szczelinę pod drzwiami przenikał promień światła. Ponownie zapukała. Nie było odpowiedzi. Otworzyła drzwi i ujrzała Albino Lucianiego siedzącego w swoim łóżku. Był w okularach i rękoma obejmował kilka arkuszy papieru. Jego głowa zwisała na prawo, przez uchylone usta widać było zęby. To, co ujrzała, nie było jednak uśmiechniętym obliczem, tak uwielbianym przez miliony ludzi, lecz twarzą wykrzywioną męką agonii. Siostra zbadała mu tętno. W rozmowie ze mną przeżywała tę chwilę jeszcze raz: *Cudem tylko przeżyłam — mam słabe serce. Nacisnęłam dzwonek, by sprowadzić tu sekretarzy i wyszłam, by poszukać innych sióstr oraz zbudzić Don Diego*.

Siostry mieszkały po przeciwległej stronie tego samego piętra, ojciec Magee spał piętro wyżej, na poddaszu. Ojciec Lorenzi spał tymczasowo w pomieszczeniu położonym w pobliżu sypialni papieskiej, ponieważ przeznaczony dla niego pokój, w którym do niedawna mieszkał sekretarz Pawła, monsignore Macchi, właśnie remontowano. Siostra Vincenza

zerwała go ze snu.

Niektórzy wcześnie wstający rzymianie z zadowoleniem stwierdzali, że w sypialni papieża paliło się światło — dobrze wiedzieć, że nie tylko my wstajemy o tak wczesnej porze. Żaden z watykańskich funkcjonariuszy bezpieczeństwa nie zauważył oświetlonego przez całą noc okna.

Na wpół rozbudzony Diego Lorenzi wpatrywał się w martwe ciało Albino Lucianiego. Po chwili przybył ojciec Magee. Po raz drugi w ciągu zaledwie dwóch miesięcy miał przed sobą martwego papieża, lecz w całkiem innych okolicznościach. Kiedy papież Paweł umierał 6 sierpnia, u jego łoża w Castel Gandolfo, letniej rezydencji papieskiej w pobliżu Rzymu, zebrało się wiele osób. Biuletyny lekarskie przedstawiły wówczas bardzo szczegółowy obraz ostatnich 24 godzin życia Pawła, a także dokładny wykaz wszelkich chorób fizycznych, które w końcu doprowadziły do zgonu o godzinie 9.40.

Albino Luciani po zaledwie 33-dniowym pontyfikacie papieskim zmarł samotnie. Przyczyna zgonu? Czas zgonu?

Po jednym z najkrótszych w historii konklawe nastąpił jeden z najkrótszych pontyfikatów. Od prawie 400 lat żaden z papieży nie zmarł tak szybko po objęciu urzędu. Aby znaleźć jeszcze krótszy pontyfikat, musielibyśmy się cofnąć do 1605 r., do czasów papieża Medyceusza, Leona XI, który pełnił swój urząd tylko przez 17 dni.

Pierwszą reakcją ojca Magee było zatelefonowanie do kardynała Villota, który mieszkał dwa piętra niżej.

Przed niespełna 12 godzinami Albino Luciani poinformował sekretarza stanu o zamiarze powołania Benellego na jego stanowisko. Śmierć papieża zmieniła wszystko: Villot nie był już usuniętym ze stanowiska sekretarzem stanu; nie tylko pozostanie na swoim stanowisku do wyboru nowego papieża, lecz obejmie również funkcję *Camerlengo*, urzędującego zwierzchnika Kościoła. Villot wszedł do sypialni papieskiej około piątej i zobaczył na własne oczy, że Luciani nie żyje.

Jeżeli Albino Luciani zmarł śmiercią naturalną, to nie istnieje żadne racjonalne wyjaśnienie tego wszystkiego, co czynił teraz Villot i jakie wydawał polecenia. Jego zachowanie staje się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy przyjmie się założenie, że wiedział o spisku na życie papieża, względnie sam był jego uczestnikiem, albo też w sypialni zmarłego dokonał jednoznacznych odkryć, które wskazywały na to, że papież został zamordowany, i natychmiast zdecydował się w interesie Kościoła zachować te dowody rzeczowe w tajemnicy.

Na stoliku przy łożku papieża znajdowały się lekarstwa, które Luciani zażywał na swoje niskie ciśnienie. Villot schował buteleczki i wyjął z rąk papieża kartki z notatkami

dotyczącymi planowanych zmian personalnych. Te dokumenty również zniknęły w kieszeni kardynała. Testament papieża, znajdujący się w jego biurku, znikł tak samo jak jego okulary i pantofle domowe. Żadna z tych rzeczy nigdy już się nie pojawiła.

Villot zapoznał następnie wstrząśniętych członków domu papieskiego z wymyśloną wersją okoliczności, w jakich zmarły został odnaleziony. Przyjął od nich uroczyste przyrzeczenie, że nie ujawnią faktu odkrycia zwłok przez siostrę Vincenzę oraz oświadczył im, że informacja o śmierci papieża musi pozostać w tajemnicy do czasu, aż udzieli im dalszych instrukcji. Potem z papieskiego gabinetu przeprowadził kilka rozmów telefonicznych.

Z relacji naocznych świadków wydarzeń wynika, że buteleczka z *Effortilem*, okulary, pantofle domowe i testament papieski znajdowały się w sypialni lub w gabinecie papieża, zanim Villot wszedł do tych pomieszczeń. Kiedy je opuścił, przedmioty te znikły.

Villot przekazał informację o śmierci papieża kardynałowi Confalonieremu, 86-letniemu dziekanowi Świętego Kolegium, a potem kardynałowi Casarolem, watykańskiemu ministrowi spraw zagranicznych. Następnie polecił zakonnicom z centrali telefonicznej, by połączyły go z jego zastępcą, arcybiskupem Giuseppe Caprio, który spędzał urlop w Montecatini. Caprio był numerem trzy w hierarchii kościelnej. Dopiero potem Villot zatelefonował do lekarza, doktora Renato Buzzonettiego, zastępcy kierownika watykańskiej służby zdrowia. Następnie zadzwonił na wartownię Gwardii Szwajcarskiej, gdzie zameldował się sierżant Hans Roggan; Villot rozkazał mu, by natychmiast przybył do papieskich apartamentów.

Ojciec Diego Lorenzi, jedyny człowiek, który przybył z Lucianim z Wenecji, wstrząśnięty, niezdolny do zebrania myśli, krążył po pokojach. Stracił człowieka, który w ciągu ostatnich dwóch lat stał się dla niego drugim ojcem. Ze łzami w oczach usiłował to wszystko zrozumieć, odkryć sens tego, co się zdarzyło. Kiedy Villot zdecydował wreszcie, że świat powinien poznać prawdę, miliony ludzi podzielało zmartwienie i przerażenie Lorenziego.

Wbrew zarządzeniom Villota, że nie można przekazywać na zewnątrz żadnych informacji o tym, co się wydarzyło, Diego Lorenzi zatelefonował do doktora Antonia Da Ros, który przez ponad 20 lat był domowym lekarzem Lucianiego. Lorenzi jeszcze dziś bardzo dokładnie przypomina sobie reakcję lekarza: *Był wstrząśnięty, zaniemówił, nie mógł po prostu w to uwierzyć. Zapytał mnie o przyczynę, ale jej nie znałem. Dr Da Ros stanął również przed zagadką. Powiedział, że uda się natychmiast do Wenecji i wsiądzie w samolot do Rzymu.*

Lorenzi zatelefonował następnie do bratanicy Lucianiego, Pii, która prawdopodobnie

była swojemu wujkowi bliższa niż wszyscy pozostali członkowie rodziny. Wyglądało na to, że jedynie Diego Lorenzi w całym Watykanie uświadamiał sobie, że nawet papież ma krewnych. Uważał, że rodzina miała oczywiste prawo dowiedzenia się o śmierci papieża z osobistej rozmowy telefonicznej, a nie dopiero z radia. *Znaleźliśmy go dziś rano*, oświadczył Pii. *Potrzebuje pani teraz silnej wiary.*

Wielu ludzi będzie teraz potrzebowało wiary w Boga. Wielu będzie czuło się wystawionymi na trudną próbę wiary w obliczu tego, co w następnych dniach oznajmił Villot i jego koledzy.

Nowina zaczęła się szerzyć po watykańskiej wiosce. Na dziedzińcu za Bankiem Watykańskim sierżant Roggan spotkał biskupa Paula Marcinkusa. Była za piętnaście siódma. Do dziś pozostało niewyjaśnione, dlaczego Marcinkus, który mieszkał w willi Stritch przy Via delia Nocetta w Rzymie i nie należał do rannych ptaszków, znalazł się tam o tak wczesnej porze. Willa Stritch znajduje się 20 minut jazdy samochodem od Watykanu. Roggan podzielił się nowiną: *Papież nie żyje.*

Marcinkus wlepił wzrok w sierżanta; Roggan podszedł do niego kilka kroków bliżej. *Papa Luciani. Nie żyje. Znalaziono go w jego łóżku.*

Szef Banku Watykańskiego wciąż jeszcze bez wyrazu wpatrywał się w sierżanta. Roggan ruszył dalej i zostawił patrzącego za nim tępo Marcinkusa.

Kilka dni później, podczas pogrzebu papieża, Marcinkus wyjaśnił Rogganowi swoje dziwne zachowanie: *Bardzo mi przykro, ale myślałem, że pan zwariował.*

Dr Buzzonetti przeprowadził krótkie, pobieżne badanie zmarłego. Oświadczył Villotowi, że przyczyną śmierci był niedowład mięśnia sercowego, a więc atak serca. Godzinę zgonu określił w przybliżeniu na 23.00. Ustalenie przy tak pobieżnym badaniu odległego o siedem godzin momentu zgonu jest tak samo niemożliwe, jak określenie zawału serca jako przyczyny śmierci.

Jeszcze przed badaniem ciała przez doktora Buzzonettiego, które odbyło się około godziny szóstej, Villot zarządził, że zmarły ma być natychmiast zabalsamowany. O szybkie rozpoczęcie tej czynności zatroszczył się nawet jeszcze przed swoim telefonem do kardynała Confalonieriego o 5.15. Bracia Ernesto i Renato Signoracci balsamowali już dwóch papieży. Wczesny telefon i służbowy samochód watykański, który zatrzymał się przed domem Signoraccich zapoczątkowały długi dzień pracy. Tak wczesne poinformowanie i wyciągnięcie z domu ludzi zajmujących się balsamowaniem pozwala jednoznacznie przypuszczać, że Watykan już między 4.45 a 5.00 musiał nawiązać kontakt z instytutem medycznym, w którym pracowali bracia Signoracci.

O siódmej, a więc ponad dwie godziny po znalezieniu ciała przez siostrę Vincenzę, świat zewnętrzny ciągle jeszcze nie wiedział, że Jan Paweł I nie żył, chociaż mieszkańcy wioski watykańskiej w żadnym wypadku nie przestrzegali nakazu milczenia wydanego przez Villota. Kardynał Benelli we Florencji dowiedział się o zgonie papieża telefonicznie o 6.30. Przytłoczony smutkiem, z płaczem wrócił do swego pokoju i zaczął się modlić. Rozwiały się wszystkie jego nadzieje, marzenia i oczekiwania. Plany, które snuł Luciani, przeobrażenia, nowa orientacja, wszystko było teraz makulaturą. Jeżeli papież umiera, wszystkie podjęte przez niego, a nie opublikowane decyzje stają się nieważne — chyba że wyraźnie potwierdzi je następca.

O godzinie 7.20 w Canale d'Agordo, rodzinnej miejscowości Albino Lucianiego, uderzono w kościelne dzwony. Radio Watykan ciągle jeszcze milczało na temat śmierci papieża. W końcu, o godzinie 7.27, dwie godziny i trzy kwadransy po znalezieniu zmarłego przez siostrę Vincenzę, kardynał Villot uznał, że nadszedł właściwy moment:

Dzisiejszego ranka, dnia 29 września 1978 r. około godziny 5.30 sekretarz osobisty papieża w poszukiwaniu Ojca Świętego, który wbrew swoim przyzwyczajeniom nie przybył do kaplicy w jego prywatnych apartamentach, wszedł do sypialni papieża i znalazł go martwego, siedzącego przy zapalonym świetle w łóżku, jak ktoś, kto zabiera się do czytania, sprowadzony natychmiast lekarz, dr Renato Buzzonetti potwierdził zgon, który nastąpił przypuszczalnie poprzedniego wieczoru około godziny 23.00 i wskazywał na nagłe odejście, będące skutkiem ostrego niedowładu mięśnia sercowego.

W późniejszym komunikacie stwierdza się, że wspomnianym sekretarzem był ojciec Magee, który zwykle o 5.30 odprawiał z papieżem mszę poranną. Dalej poinformowano, że papież zmarł przy lekturze książki *De Imitatione Christi*, dzieła z XV wieku, przypisywanego zwykle Tomaszowi a Kempis.

Jak buteleczki z lekami i kartki z notatkami papieża zaginał gdzieś fakt, że to siostra Vincenza odkryła ciało, także godzina znalezienia zwłok — 4.45 — nie została prawidłowo podana. Mimo że Villot i ci, którzy służyli mu radą i czynem, dysponowali aż dwiema godzinami i trzema kwadransami, legenda, jaką przedstawili w końcu opinii publicznej, zawiera błąd konstrukcyjny. Podczas gdy wszystkie gazety i stacje radiowe wolnego świata rozpowszechniały informacje opierające się na komunikatach Watykanu, Villot zaplątał się w swojej własnej wersji.

Villot mógł uważać za doskonały pomysł poinformowanie świata, że Luciani zmarł przy lekturze bardzo cenionej przez siebie książki. Było to bezczelne, gdyż ani w sypialni papieskiej, ani w którymkolwiek z innych, prywatnych pomieszczeń papieża nie było ani

jednego egzemplarza tej książki. Własny egzemplarz Lucianiego znajdował się jeszcze w Wenecji i kiedy przed kilku dniami potrzebował on dosłownego cytatu z tej książki, ojciec Lorenzi na jego polecenie pożyczył ją od jego watykańskiego spowiednika. Jeszcze przed śmiercią papieża oddał ją z powrotem. Teraz Watykan nie mógł uciszyć skargi Lorenziego, że rozpowszechnia się jawnie fałszywą informację; mimo to trzymano się tego kłamstwa przez cztery dni, do drugiego października. W tym czasie fałszywy opis okoliczności zgonu papieża dawno już przekształcił się w jedną z owych legend, przeciw którym prawda prawie nie ma szans.

Nie była to jedyna dezinformacja, lansowana przez Watykan. Opowiadano jeszcze, że ojciec Magee wieczorem 28 września, krótko przed 22.00 wszedł jeszcze raz do sypialni papieża i opowiedział mu o zamordowaniu studenta w Rzymie. *Czy ci młodzi ludzie znowu strzelają do siebie? To naprawdę straszne* — te dwa zdania obieżyły świat jako ostatnie słowa papieża Jana Pawła I. Miały one tę zaletę, że dawały możliwe wyjaśnienie niespodziewanego zgonu Lucianiego: zmarł od wstrząsu, jakiego doznał po usłyszeniu tak przygnębiającej wiadomości. W rzeczywistości taka rozmowa między Magee a Lucianim nie miała miejsca. Był to czysty wymysł, który zrodził się w samym centrum Kurii Rzymskiej.

Inną sfabrykowaną przez Watykan informacją, która znalazła się w oświadczeniu Villota, było podanie do wiadomości, że Luciani odprawiał mszę z Mageem o 5.30 rano. W rzeczywistości porannej mszy papieskiej nie celebrowano przed siódmą. Jak już wspomniano, Luciani spędzał czas od 5.30 do 7.00 na modlitwie i medytacjach, przy czym zwykle był sam; czasami Magee i Lorenzi przybywali do niego około wpół do siódmej. Także fikcją „made in Watykan” było to, że nie przeczuwający niczego złego ojciec Magee wszedł o 5.30 do kaplicy i przerażony stwierdził, iż nie było w niej papieża.

Na świecie rozpowszechniało się głębokie zakłopotanie z powodu tej tragicznej, nieoczekiwanej śmierci. Zamknięto masywne spiżowe bramy do Bazyliki Św. Piotra, flagę Watykanu opuszczono do połowy masztu — były to nieodparte znaki, ale mimo to wiadomość o śmierci Albino Lucianiego była tak szokująca, że miliony ludzi zareagowały na nią z niedowierzaniem, podobnie jak jego lekarz domowy. Jak to było możliwe, że ten człowiek, który był kandydatem Boga, który wprowadził świat w zachwyt, po tak krótkim czasie został znowu odwołany?

Holenderski kardynał Willebrands, który wiązał z pontyfikatem papieża Jana Pawła I duże nadzieje, powiedział: *To wielkie nieszczęście. Nie potrafię słowami wyrazić tego, jak szczęśliwi byliśmy owego sierpniowego dnia, kiedy wybraliśmy Jana Pawła. Było to piękne uczucie, jak gdyby coś drgnęło w naszym Kościele.*

Kardynał Baggio, jeden z tych, którzy zgodnie z wolą Lucianiego mieli opuścić swoje miejsce w Rzymie, wyraził się bardziej powściągliwie: *Pan wykorzystuje nas, ale nie potrzebuje nas*. Wypowiedział to wczesnym rankiem, po tym, jak odwiedził zmarłego. Dodał jeszcze: *On był jak proboszcz dla Kościoła*. Na pytanie, co teraz będzie, Baggio odparł obojętnie: *Wyberzemy nowego*.

Baggio należał jednak do wyjątków. Większość ludzi okazywała szok i nie ukrywała swej miłości do zmarłego. Kiedy kardynał Benelli powrócił o dziewiątej z osamotnienia w swoim pokoju, natychmiast otoczyli go reporterzy. Z wciąż mokrym jeszcze od łez obliczem powiedział: *Kościół utracił przywódcę, który był właściwym człowiekiem we właściwym momencie. Jesteśmy zrozpaczeni. Jesteśmy zatrwożeni. Człowiek nie znajduje dla czegoś takiego żadnego wyjaśnienia. Jest to moment, który nas cofa i wystawia na próbę*.

W Watykanie tymczasem załamał się plan Villota, by niezwłocznie zabalsamować ciało. Kardynałowie Felici z Padwy i Benelli z Florencji, którzy bardzo dokładnie znali zarządzone przez Lucianiego zmiany personalne, mieli w najwyższym stopniu niepewne uczucia i dali im wyraz w swoich rozmowach telefonicznych z Villotem. W całych Włoszech podnoszono po cichu żądanie dokonania autopsji. Było to żądanie, którego w istniejących okolicznościach Benelli i Felici nie chcieli lekkomyślnie odrzucić. W wypadku zabalsamowania późniejsza autopsja straciłaby znaczenie, szczególnie, gdyby przyczyną śmierci była trucizna.

Oficjalnie Watykan wywołał wrażenie, że Jan Paweł I został już zabalsamowany, kiedy w piątkowe południe publicznie umieszczono go w Sali Clementina. W rzeczywistości ludzie pogrążeni w żałobie defilowali w tym dniu przed zupełnie nie ruszonym jeszcze ciałem. Ojciec Diego Lorenzi powiedział mi:

Zmarłego przeniesiono z apartamentów prywatnych do Sali Clementina na piętrze papieskim. Ojciec Magee, monsignore Noe i ja ubraliśmy papieża Lucianiego. Razem z Mageem pozostałem u boku zmarłego do godziny jedenastej. O tej porze przyszli znowu (bracia) Signoracci i ciało przeniesiono do Sali Clementina.

Przeciwnieństwo wobec nastroju panującego po śmierci papieża Pawła było uderzające. Wówczas nie można było prawie dostrzec publicznego poruszenia uczuć; teraz wzbijały się w górę fale emocji. Pierwszego dnia wystawionemu na katafalku zmarłemu złożyło hołd ćwierć miliona ludzi. Z minuty na minutę coraz głośniejsze były pogłoski, że z jego zgonem było coś nie w porządku. Z ust mężczyzn i kobiet, przechodzących przed katafalkiem słychać było głośne okrzyki, jak: *Kto Ci to zrobił? Kto Cię zabił?*

Tymczasem w małych grupkach przebywających w Rzymie kardynałów debatowano

coraz gwałtowniej nad tym, czy należy przeprowadzić autopsję, czy też nie. Gdyby Luciani był jakimś zwykłym obywatelem włoskim, nie byłoby żadnej dyskusji; prawo włoskie zabrania balsamowania zwłok przed upływem 24 godzin od zgonu, chyba że wyrazi na to zgodę sędzia. W wypadku zwykłego obywatela włoskiego, który zmarłby w podobnych okolicznościach jak Albino Luciani, niezwłocznie dokonano by autopsji.

Jak na ludzi, którzy nie mają nic do ukrycia, Villot i inni członkowie Kurii Rzymskiej nadal zachowywali się bardzo dziwnie, by nie powiedzieć zupełnie niezrozumiale. Jeden z rezydujących w Rzymie kardynałów powiedział mi w zaufaniu, że na użytek wewnętrzny Villot podał zupełnie inne wyjaśnienie przyczyny zgonu papieża, które było tak samo samowolne, jak i jego uzasadnienie, dlatego opinia publiczna nie może się o tym dowiedzieć:

On (Villot) powiedział mi, że to, co się wydarzyło, było tragicznym wypadkiem. Papież przez przeoczenie zażył za dużą dawkę swoich leków. Villot oświadczył, że jeżeli przeprowadzi się autopsję, bez wątpienia potwierdziłaby ona to fatalne przedawkowanie. Nikt nie uwierzyłby jednak, że Jego Świątobliwość padł ofiarą własnej nieuwagi. Jedni podejrzewaliby samobójstwo, inni morderstwo. W ten sposób uzgodniono, że nie będzie autopsji.

Dwukrotnie rozmawiałem z profesorem Giovannim Ramą, specjalistą, który przepisał Albino Lucianiemu krople *Effortil* i zastrzyki (*Cortiplex* i inne, takie same w działaniu preparaty). Luciani był pacjentem doktora Ramy od 1975 r. Bardzo interesujące jest to, co dr Rama sam ma do powiedzenia na temat możliwości omyłkowego, śmiertelnego przedawkowania leków przez pacjenta:

*Omyłkowe przedawkowanie jest praktycznie wykluczone. Był on bardzo skrupulatnym pacjentem. Był bardzo wrażliwy na leki. Potrzebował tylko bardzo małych dawek. Jeśli chodzi o *Effortil*, zażywał rzeczywiście minimalne dawki. Normalna dawka wynosi 60 kropli dziennie, ale jemu wystarczyło 20-30. Przy przepisywaniu leków zawsze byliśmy bardzo powściągliwi.*

Dalsze wypytywanie moich świadków wykazało, że Villot musiał to wszystko rozważyć w papieskiej sypialni w ciągu tego krótkiego czasu, jaki minął od chwili, kiedy schował w kieszeni buteleczki z lekami. Villot musiał być człowiekiem o rzeczywiście niesłychanej umiejętności dokonywania błyskawicznych ocen: oto umiera papież, który na zakończenie dnia, w którym podjął głęboko sięgające decyzje, w pełni zdrowia udał się do swojej sypialni, a będący w podeszłym wieku sekretarz stanu, sam bezpośrednio i negatywnie dotknięty tymi decyzjami, w jednym momencie, bez jakichkolwiek badań lekarskich, bez jakiegokolwiek przekonującego lub choćby prawdopodobnego punktu zaczepienia stwierdza,

że ta śmierć była samobójstwem przez przeoczenie. Możliwe, że w szczególnej zaprawde atmosferze panującej w wiosce watykańskiej, historia taka może być nawet wiarygodna.

Villot natychmiast usunął kilka rzeczy, które mogłyby odegrać kluczową rolę w poszukiwaniu prawdy — leki i kartki z notatkami Lucianiego. Z faktu zniknięcia testamentu papieskiego można wnioskować, jak bardzo musiał się spieszyć z tymi tuszującymi działaniami. Dokument ten z pewnością nie zawierał niczego, co mogłoby nasunąć jakieś wnioski co do jego zgonu, ale zniknął jednak wraz z innymi dowodami rzeczowymi. Zagadkową sprawą pozostało również to, dlaczego zniknęły także okulary i pantofle domowe papieża.

Po wiosce watykańskiej krążyły różne pogłoski. Mówiono, że przez całą noc paliła się lampka alarmowa w przedpokoju apartamentów papieskich, ale nikt nie zareagował na to bezgłośnie wołanie o pomoc. Mówiono, że w sypialni papieskiej odkryto wymioty; pobrudzonych zostało przy tym wiele przedmiotów, co było przyczyną zniknięcia okularów i pantofli domowych. Wymioty są często jednym z symptomów wskazujących na zażycie przez kogoś zawyżonej dawki.

Biskupi i księża gromadzili się grupkami na korytarzach, w pokojach, i dzielili się nowinkami oraz przypuszczeniami. Przypomnieli sobie na przykład wypadek, jaki zdarzył się 5 września. Prawosławny arcybiskup Leningradu, Nikodem, podczas prywatnej audiencji u Jana Pawła I zupełnie nieoczekiwanie zawisł na krześle i kilka chwil później zmarł. Teraz krążyło w Watykanie przypuszczenie, że Nikodem pił kawę z filiżanki przeznaczonej dla papieża. Mimo swoich 49 lat Nikodem był rzeczywiście chorym człowiekiem i miał już za sobą kilka ataków serca. W atmosferze podniecenia i przerażenia fakty te jednak pominięto i wielu osobom śmierć Nikodema wydawała się teraz złą wróżbą, znakiem ostrzegawczym przed złym losem, jaki tej nocy dokonał się w apartamentach papieskich.

W późniejszym czasie tego dnia z pomieszczeń papieskich usunięto wszystkie znajdujące się tam rzeczy, które należały do Albino Lucianiego, lub miały z nim jakikolwiek związek, na przykład jego listy, notatki i kilka pamiątek osobistych, jak chociażby fotografię pokazującą jego rodziców z nowonarodzoną Pią. Współpracownicy Villota z sekretariatu stanu wynieśli wszystkie poufne dokumenty. Błyskawicznie usunięto wszystkie fizyczne świadectwa tego, że żył tu i pracował niejaki Albino Luciani. O godzinie szóstej wieczorem w żadnym z 19 pomieszczeń mieszkania papieskiego nie było już niczego, co chociażby przypadkowo przypominałoby o papieżu Janie Pawle I. Kardynał Villot osobiście zamknął i opieczętował apartamenty papieskie o godzinie 18.00. Pozostaną one zamknięte aż do wyboru następcy.

Zakonnicy i obaj sekretarze niemal potajemnie opuszczali miejsca ich krótkiej działalności. Magee zachował sobie na pamiątkę kasety, których Luciani używał do doskonalenia swego angielskiego. Lorenzi zabrał jedynie ze sobą garść wspomnień i wrażeń. Unikając świadomie oczekujących reporterów, grupa ta udała się do domu zarządzanego przez siostry z zakonu Maria Bambina, gdzie znalazła zakwaterowanie.

John Magee, co jest godnym uwagi i chlubnym rekordem, został tymczasem po raz trzeci mianowany przez papieża sekretarzem. Diego Lorenzi, pełen temperamentu młody Włoch, po śmierci uwielbianego przez siebie człowieka załamał się zupełnie. Powrócił do Północnych Włoch, by pracować w małej szkole. Siostrę Vincenzę przeniesiono jeszcze dalej na północ, do cichego klasztoru. Watykański aparat państwowy troszczył się w ten sposób o to, by niełatwo było odszukać najbliższych współtowarzyszy zmarłego papieża.

Kiedy w piątek, 29 września o godzinie 18.00 zamknięto dla publiczności drzwi Sali Clementina, kardynał Villot odetchnął z największą ulgą. Swoją pracę mogli wreszcie rozpocząć kosmetycy śmierci. Jeżeli ciało zostanie najpierw zabalsamowane, to później, nawet podczas autopsji nie będzie już możliwe ujawnienie w ciele zmarłego śladów trucizny. Gdyby papież rzeczywiście zmarł na skutek zawału mięśnia sercowego, wówczas mimo wpompowania do organizmu chemikaliów, w naczyniach krwionośnych pozostałyby charakterystyczne uszkodzenia.

Dziwny przypadek zrządził, że rzymski związek aptekarzy dokładnie w tym dniu opublikował informację prasową, że „chwilowo brak” wielu leków niezbędnych do leczenia pewnych zatruc i dolegliwości sercowych.

Bardziej istotna była być może wypowiedź, jakiej wreszcie udzielił kardynał Villot, naciskany przez reporterów włoskich: *Kiedy wczoraj wieczorem spotkałem się z Jego Świątobliwością, był on w jak najlepszym zdrowiu, miał całkowicie jasny umysł i udzielił mi wszelkich poleceń na następny dzień.*

Za zamkniętymi drzwiami Sali Clementina w ciągu trzech godzin zabalsamowano zwłoki Jana Pawła I. Za fachowe przeprowadzenie tej operacji odpowiadał profesor Cesare Gerin, ale konkretną pracę podjęli jednak profesor Marracino oraz Ernesto i Renato Signoracci.

Bracia Signoracci obejrzeni już raz ciało, zanim przeniesiono je do Sali Clementina; na podstawie jego temperatury oraz braku wszelkich objawów zeszywnienia mięśni doszli do wniosku, że zgon nie nastąpił w czwartek o godzinie 23.00, lecz w piątek rano, między czwartą a piątą. Ich pogląd znalazł gruntowne potwierdzenie w wypowiedzi monsignore Noego, który oświadczył braciom, że papież zmarł tuż przed piątą rano. Rozmawiałem długo

i wyczerpująco z obu braćmi. Są oni stanowczo przekonani, że śmierć nastąpić musiała między czwartą a piątą, że ciało odkryto więc w ciągu godziny po zgonie papieża. Jeżeli mają rację, to Luciani nie żył zaledwie od kilku minut, kiedy siostra Vincenza po raz pierwszy zastukała do drzwi jego sypialni. Tylko gruntowna autopsja mogłaby to wszystko wyjaśnić.

Na wyraźne polecenie Watykanu z ciała nie pobrano ani krwi, ani tkanki. Do systemu naczyniowego martwego organizmu (żył i tętnic) wstrzyknięto formalinę i inne środki konserwujące. Główną przyczyną tego, że cała operacja trwała trzy godziny, było kategoryczne żądanie przedstawicieli Watykanu, by z ciała nie upuszczano w ogóle krwi — normalnie upuszcza się ją i zastępuje wpompowywanym do naczyń roztworem soli kuchennej. Być może nawet jedna kropla krwi zmarłego wystarczyłaby patologowi do ustalenia śladów substancji toksycznych.

Dzięki umiejętnościom kosmetyków zwłok, z twarzy zmarłego znikł wyraz udręczenia. W ręce, które przedtem trzymały dokumenty, włożono różaniec. Krótco przed północą kardynał Villot udał się do swojej sypialni.

Po śmierci papieża Pawła VI zgodnie z włoskimi przepisami prawnymi odczekano 24 godziny do chwili rozpoczęcia balsamowania zwłok. Wprawdzie głośna stała się wówczas sprawa braku kompetencji osobistych lekarzy papieskich, ale nikt nawet nie pomyślał, że zgon Pawła mógłby nastąpić z nienaturalnych przyczyn. Teraz, kiedy autopsji domagała się nie tylko powszechna opinia publiczna, lecz także ważne głosy w prasie, radiu i telewizji, pospiesznie przystąpiono do zabalsamowywania ciała na długo przed upływem ustawowych 24 godzin.

Następnego dnia, 30 września, z przybierającą na sile niecierpliwością stawiano konkretne pytanie: *Dlaczego nie dokonano autopsji?* Środki masowego przekazu zaczęły poszukiwać wyjaśnienia przyczyn tak nagłego zgonu. Kuria szybko przypomniała ciekawskim reporterom uwagę, jaką Luciani poczynił podczas swojej ostatniej audiencji generalnej w sali Nerviego, 27 września, w środę. Zwracając się do grupy chorych i inwalidów powiedział: *Nie zapominajcie, że wasz papież był osiem razy w szpitalu i ma za sobą cztery operacje.*

Wydział prasowy Watykanu podtykał tę uwagę zmarłego każdemu, kto chciał się dowiedzieć czegoś bliższego na temat stanu zdrowia Lucianiego. Cytowano ją tak pilnie, że wkrótce sprawiała wrażenie odpowiedzi udzielanej przez automat i telefonujący czuli się sfrustrowani.

Większość dzienników i innych środków masowego przekazu wspominała, że w czasie swego krótkiego pontyfikatu Luciani w ogóle nie sprawiał wrażenia chorego

człowieka. Przeciwnie, stwierdzano, że zewnętrznie był okazem zdrowia, radości życia i zapału. Coraz częściej przedstawiciele prasy zwracali się o opinię do ludzi, którzy znali Lucianiego od dłuższego czasu.

Żądanie autopsji stało się jeszcze głośniejsze po tym, jak monsignore Senigaglia, który w Wenecji był sekretarzem Lucianiego przez sześć lat, powiedział, że krótko przed swoim wyjazdem na konklawe zmarły papież poddał się badaniom lekarskim, które *pod każdym względem wypadły dobrze*.

Watykan wpadł w panikę, kiedy wielu lekarzy wystąpiło z kategorycznym żądaniem przeprowadzenia autopsji w celu dokładnego ustalenia przyczyny zgonu. Lekarze byli wprawdzie skłonni przyjąć jako hipotezę możliwość ataku serca i wymienić kilka czynników, które być może należało wziąć pod uwagę jako przyczyny uboczne (szczególnie chętnie wymieniano w związku z tym nagły stres), ale żaden z nich nie chciał bez autopsji potwierdzić diagnozy Watykanu stwierdzającej, że Albino Luciani zmarł na zawał mięśnia sercowego.

Watykan zareagował oświadczeniem, że dokonanie autopsji stanowiłoby naruszenie przepisów kościelnych. Było to ponowne kłamstwo przedstawione całej opinii publicznej. Po dalszych dociekaniach dziennikarzy włoskich okazało się, że Watykan miał tu na myśli Konstytucję Apostolską, ogłoszoną w 1975 r. przez Pawła VI. Był to dokument, w którym Paweł ustalił procedurę wyboru swego następcy — przewidującą m.in. poszukiwania „pluskiew” i zawierającą polecenia co do wielkości kartek do głosowania. Staranna lektura Konstytucji Apostolskiej wykazuje, że papież Paweł zapomniał o przedsięwzięciach na wypadek, gdyby wystąpiły kontrowersje co do przyczyny jego zgonu. Autopsji ani nie zabronił, ani też nie zezwolił na nią; na ten temat po prostu się w ogóle nie wypowiedział.

Okoliczności śmierci Pawła VI stały się na krótko tematem dyskusji. Nie ulegało wątpliwości, że życie papieża Pawła można było przedłużyć. Zdaniem licznych uznanych przedstawicieli medycyny z całego świata, wiele do życzenia pozostawiała opieka lekarska, jaką go otaczano w jego ostatnich dniach. Z Kapsztadu odezwał się Christian Barnard, który fakt nieprzewiezienia papieża Pawła na oddział intensywnej terapii skomentował następującymi słowami: *Gdyby coś takiego zdarzyło się w Afryce Południowej, odpowiedzialnych za to lekarzy oskarżono by przed Izbą Lekarską o nieumyślne zaniedbanie obowiązków*.

Jednym z lekarzy odpowiedzialnych za opiekę nad papieżem Pawłem był dr Renato Buzonetti, zastępca szefa watykańskiej służby zdrowia. Ten sam lekarz, który w opinii doktora Barnarda w sierpniu dopuścił się nieumyślnego zaniedbania obowiązków, popełnił

teraz karygodny błąd w sztuce lekarskiej, wypowiadając się bez autopsji w sposób definitywny na temat przyczyn samotnej śmierci Albino Lucianiego.

W takiej atmosferze kardynał Confalonieri kierował pierwszym posiedzeniem kongregacji kardynałów, gremium, które po śmierci papieża zarządza sprawami Kościoła do czasu wybrania następcy. W skład tego gremium wchodzi automatycznie wszyscy kardynałowie, to znaczy ci, którzy w danym czasie przebywają w Rzymie. Kiedy w sobotę, 30 września o godzinie 11.00 przed południem odbyło się pierwsze posiedzenie, obecna była oczywiście tylko mniejszość kardynałów, 29 spośród 127, jacy byli wówczas na całym świecie, przy czym większość obecnych, co jest również oczywiste, była Włochami. Ta mniejszość podjęła teraz wiele decyzji. Postanowiono, że pogrzeb Albino Lucianiego odbędzie się w najbliższą środę, 4 października.

Do tego czasu funkcjonariuszy watykańskich czekało jeszcze wiele kłopotów, wynikających przede wszystkim z niesłychanego nacisku ludności, by na własne oczy zobaczyć ciało Jana Pawła I. W Watykanie liczone się z podobnym stopniem zainteresowania opinii publicznej, jak po zgonie papieża Pawła — jest to kolejny dowód na to, jak dalece Kuria nie zdawała sobie sprawy z oddziaływania Lucianiego na ludzi. Kardynałowie postanowili wystawić ciało wieczorem w Bazylice Św. Piotra. Obie najważniejsze decyzje, które zapadły tego przedpołudnia oznaczały jednak, że konklawe ma rozpocząć się w najwcześniejszym z możliwych terminów, 14 października, i że nie będzie żadnej autopsji.

Oddalono wątpliwości i zastrzeżenia związane z nagłą śmiercią Albino Lucianiego ze strony takich ludzi, jak Benelli, Felici i Caprio. Kardynał Villot i jego przyjaciele, którzy dobrze wiedzieli, że kontrowersje będą się zaostrzały, dopóki inne wydarzenia nie wzbudzą zainteresowania opinii publicznej, zastosowali teraz całkowicie odwrotną taktykę niż w sierpniu. O ile wówczas ustalili konklawe w najpóźniejszym z możliwych terminów, to obecnie zdecydowali się na termin najwcześniejszy. Pod względem taktycznym było to rozsądne.

Po pogrzebie ludzie zastanawialiby się, kto mógłby być następcą Lucianiego. Członkowie Kurii mieliby więc podstawy sądzić, że jeżeli udało im się zapanować nad wszystkim w ciągu kilku dni przed pogrzebem, to później nic już nie powinno się wydarzyć. Gdyby któremuś z przybywających do Rzymu kardynałów wpadło do głowy żądanie autopsji, to musiałby polemizować z podjętą już wcześniej odmienną uchwałą kongregacji. Obalenie takiej uchwały w krótkim czasie przed pogrzebem było praktycznie niemożliwe.

Poznacie prawdę i prawda uczyni was wolnymi — mówi Biblia — życzliwe proroctwo, które 29 kardynałów Kościoła katolickiego, rankiem 30 września 1978 r.

całkowicie zignorowało.

Po otwarciu posiedzenia kardynał Confalioni przedstawił swój osobisty pogląd na przyczyny nagłego zgonu papieża.

Nie mógł znieść samotności; wszyscy papieże żyją w szczególnej, zinstytucjonalizowanej samotności, ale Luciani być może cierpiał z tego powodu bardziej niż inni. On, żyjący zawsze wśród ludzi, znalazł się nagle w towarzystwie zredukowanym do dwóch sekretarzy, których nie znał, i dwóch zakonnic, które w obecności papieża nie odważyły się nawet unieść głowy. Nie miał nawet czasu na pozyskanie przyjaciół.

Ojciec Diego Lorenzi od ponad dwóch lat był bliskim współpracownikiem i towarzyszem Lucianiego. Siostra Vincenza pracowała dla niego prawie 20 lat. Daleka od tego, by w jego obecności spuszczać wzrok na podłogę, była dla Lucianiego stałym źródłem pociechy. Luciani istotnie był odcięty od wielu kontaktów, lecz czy grono bliskich mu ludzi mogło go ustrzec przed samotną śmiercią? Nie ma wątpliwości, że dokuczyły mu wrogość i arogancja, jakie w ciągu 33 dni pontyfikatu okazywała mu Kuria; jednak również w Wenecji Albino Luciani przez prawie 10 lat walczył przeciw wrogości i arogancji Kurii.

W sobotę, 30 września o godz. 18.00 zabalsamowane ciało przeniesiono w otwartej trumnie do Bazyliki Św. Piotra. Na ekranach telewizorów miliony ludzi na całym świecie obserwowały, jak prowadzona przez 24 kardynałów oraz 100 biskupów i arcybiskupów procesja przechodziła przez kolejne sale i korytarze na Plac Św. Piotra. Kiedy ukazała się na zewnątrz, dostoyny, monotony śpiew został nagle zagłuszony ową tak typową włoską, spontaniczną demonstracją uczuć: ze stłoczonych mas ludzkich podniosła się hucząca, długotrwała burza oklasków.

Dobrze i źle poinformowani urabiacze opinii publicznej na całym świecie prześcigali się w ocenach życia i śmierci Albino Lucianiego. Wiele z tego, co napisano i wydrukowano, więcej mówiło o samych autorach, niż o Janie Pawle I. Jak się okazało, spełniły się oczekiwania Kurii, że ogólne zainteresowanie szybko się przeniesie ze spraw dotyczących śmierci byłego papieża na sprawy związane z jego następcą. W Anglii „The Times” w artykule zatytułowanym *Rok trzech papieży* zakończył rozdział Lucianiego skłaniającym do zadumy rozważaniem na temat przemijania wszelkiego życia.

Niektórzy obserwatorzy mówili o wielkiej niespełnionej obietnicy, inni zaś o nadziei na radosny pontyfikat, którą teraz trzeba pogrzebać. Jeśli chodziło o badanie przyczyn tak nieoczekiwanej śmierci Albino Lucianiego, to prowadzona przez Kurie Rzymską kampania dezinformacji odniosła zauważalne efekty. Prawie wszyscy komentatorzy przypominali o wielu chorobach, które dotknęły Lucianiego. Sam fakt, że na zdania typu: *Dopiero teraz*

opinia publiczna zwraca uwagę na to, że kardynał Luciani miał za sobą długą listę groźnych dla życia chorób, zdobył się tak doświadczony dziennikarz, jakim był Patrick O'Donovan z „Observera” dowodzi, jak przekonująco oddziaływały kłamstwa Watykanu.

Nie wyjaśniono szczegółowo, jakie to były choroby. Jest oczywiste, że O'Donovanowi i jego kolegom po piórze na skutek koniecznego w tej sytuacji pośpiechu zabrakło czasu na podjęcie własnych dociekań, zdali się więc na informacje napływające z Watykanu. Tak więc, w niektórych pismach można było przeczytać, że Luciani był nałogowym palaczem, że miał już tylko jedno płuco, że wielokrotnie leczono go na ostrą gruźlicę. Niektórym Watykan udzielił także informacji, że Luciani przeszedł cztery ataki serca i cierpiał na zapalenie żył, bolesne schorzenie układu krążenia oraz rozedmę płuc. W tym wszystkim nie było ani słowa prawdy.

Te skrzętnie rozpowszechniane przez Watykan kłamstwa w istocie trafiały weń rykoszetem. Czy 111 kardynałów, którzy w sierpniu 1978 r. zebrałi się w Rzymie, wybrałoby człowieka cierpiącego na te wszystkie poważne choroby? Czy zostawiliby go potem samego ze wszystkimi problemami, bez jakiegokolwiek opieki lekarskiej?

Aparat dezinformacyjny Watykanu nie ograniczał się jedynie do rozpowszechniania kłamstw o stanie zdrowia Lucianiego. Niedostrzegalnymi kanałami szerzono także opinię, że Jan Paweł I i tak nie był dobrym papieżem. Dlaczego więc opłakiwać wzorzec bez wartości? O tej brzydkiej historii rozmawiałem z kardynałem Benellim, który powiedział na ten temat:

Według mnie zależało im (to znaczy członkom Kurii Rzymskiej) na osiągnięciu podwójnego celu: minimalizując możliwości i zdolności Lucianiego mogli przytłumić powszechne poczucie ogromnej straty, a jednocześnie stłumić żądania dokonania autopsji. Po wtóre, Kuria przygotowywała się do następnego konklawe. Chcieli, by tym razem wybrany został człowiek Kurii.

W dniu, w którym Jan Paweł I spożywał obiad ze swoją bratanicą Pią, jednym z tematów ich rozmowy była możliwość dokonywania manipulacji przez prasę. Teraz zmarły papież sam znalazł się w centrum skrajnej manipulacji. Negatywne komentarze głównie pochodziły od mało ważnych księży, którzy na codzien zajmowali się przygotowywaniem nieistotnych memoriałów dla biurokracji kościelnej. Ogromnie schlebiał im fakt, że dziennikarze ich właśnie pytali o opinię na temat zmarłego papieża. To, że żaden z nich nawet nie otarł się o gabinety władzy ani nie widział od wewnątrz prywatnych apartamentów papieskich, zostało zawoalowane wygodnym frazesem: *Według doniesień dobrze poinformowanych źródeł w Watykanie...* Wszystko, co napisano przy powołaniu się na takie źródła, składało się na olbrzymią krzywdę wyrządzoną pamięci zmarłego papieża.

Umożliwiło to dziennikarzom, którzy przed sierpniowym konklawe w ogóle nie wspominali o Lucianim, zatrzeć krępujący fakt, że wybór Lucianiego na papieża w sposób oczywisty dowiódł, jak słabo i źle byli poinformowani. Ich sposób myślenia był następujący: *Owszem, pominęliśmy go, ale sami widzicie, że należało go pominąć.*

Robert Sole, watykański korespondent „Le Monde”: *Jego audiencje zjednały mu spontaniczną sympatię opinii publicznej, natomiast przedstawiciele Kościoła często byli nimi rozczarowani, a czasem uważali je wręcz za niepokojące. Papież uosabiał filozofię egzystencji, która od czasu do czasu przypominała „Reader’s Digest”: zdrowy ludzki rozum, dość nieskomplikowany, zamiast*

wielkich oracji teologicznych Pawła VI. Jednoznacznie nie posiadał kultury i wykształcenia intelektualnego swego poprzednika.

Komentarz czasopisma „Commonwealth”:

Najpierw w napięciu, następnie z wzrastającym uczuciem rozbawienia obserwowaliśmy jego poważne zabiegi o odkrycie siebie samego. Uśmiechał się, jego ojciec był socjalistą, wzgardził tiarą i podczas swoich audiencji przemawiał tonem gawędziarskim.

„Newsweek” zwrócił uwagę, że swoim *nie* wobec formuły *Ubi Lenin ibi Jerusalem* Luciani zdradził kardynałów latynoamerykańskich, którzy odegrali kluczową rolę w jego elekcji. „Newsweek” zauważył również, że Luciani w ten sposób wyraźnie zademonstrował swoje negatywne stanowisko wobec teologii wyzwolenia. Cenzura uprawiana przez Kurie spowodowała, że „Newsweek” (oraz reszta prasy światowej) nie wiedział, że papież opatrzył tę wypowiedź istotnym zastrzeżeniem; dlatego ich oceny były całkowicie błędne.

Bardzo doświadczony w sprawach Watykanu korespondent „Timesa”, Peter Nichols w artykule dla „Spectatora” porównał Lucianiego z bardzo popularnym kiedyś aktorem włoskim, który samym jedynie pojawieniem się przed publicznością wywoływał burzę oklasków. Nichols nie wyjaśnił jednak, dlaczego Paweł VI podczas swoich wystąpień nie otrzymywał takich owacji.

Inni krytykowali fakt, że Luciani pozostawił na stanowiskach wszystkich czołowych kardynałów Kurii. Zapomnieli jednak, że tak samo postąpili trzej papieże przed nim, i że mógł on w każdej chwili zwolnić każdego z tych dostojników.

Znaczna część prasy światowej po śmierci papieża przytaczała obszernie opis watykańskiego rytuału u łoża zmarłego. Kardynał Villot, jak można było przeczytać w wielu gazetach, zbliżył się do leżącego bez życia Lucianiego i trzykrotnie zawołał: *Albino, czy jesteś martwy?* Po każdym pytaniu symbolicznie uderzał małym, srebrnym młotkiem w czoło papieża. Dramatyczny był także opis momentu, w którym Villot rzekomo zdjął zmarłemu

Lucianiemu z palca pierścień Piotra, by rozbić go potem na części.

W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca u łoża zmarłego Albino Lucianiego. Ani go nie wołano, ani też nie uderzano w jego czoło. Wszystkie te rytualne czynności zostały odrzucone jeszcze za życia Pawła. Jeśli chodzi o pierścień Piotra, to z uwagi na krótki okres pontyfikatu Lucianiego nie został jeszcze nawet wykonany. Jedynym pierścieniem, który nosił, był otrzymany swego czasu od Jana XXIII, który rozdzielił takie pierścienie między wszystkich biskupów uczestniczących w Soborze Watykańskim II.

Znając doniosłość spraw, których Luciani dokonał w tak krótkim czasie, i wiedząc, jak wielkim respektem darzyli go tacy ludzie, jak Casaroli, Benelli, Lorscheider, Garrone, Felici i wielu innych, można byłoby takie wymyślone opisy zbyć po prostu jako niepoważne lapsusy; jednak z określonego punktu widzenia są one istotne i w najwyższym stopniu interesujące: były bowiem częścią zainscenizowanej kampanii. W żadnej z opublikowanych po zgonie Lucianiego analiz i w żadnym ze wspomnień pośmiertnych nie wspomniano nawet o faktach przytoczonych w poprzednim rozdziale. Jedną z wielu uwag chętnie cytowanych przez rezydentów Watykanu brzmi: *Nic nie przedostanie się z Watykanu na zewnątrz bez ściśle określonego celu.*

Pierwszego października żądania dokonania autopsji ciała Lucianiego przybrały na sile. Najbardziej ceniony dziennik włoski „Corriere della Sera” opublikował na pierwszej stronie artykuł zatytułowany *Dlaczego sprzeciwiono się autopsji?* Autorem był Carlo Bo, bardzo utalentowany dziennikarz o rozległej wiedzy na temat Watykanu. Już samo ukazanie się artykułu było godne uwagi. W wyniku Układu Laterańskiego i późniejszych porozumień między państwem włoskim a Watykanem, prasie włoskiej wytyczono bardzo ściśle granice, w jakich mogli poruszać się dziennikarze piszący na temat Kościoła katolickiego. Naruszenie obowiązku staranności w tym względzie ściga się tak ostro, że już krytyczny komentarz, nie mówiąc w ogóle o wnoszeniu jakichkolwiek poważnych oskarżeń, może szybko zaprowadzić daną gazetę przed oblicze sądu.

Carlo Bo zrećcznie uniknął takiego ryzyka. W stylu przypominającym słynne przemówienie Marka Antoniusza do rzymskiego ludu wspominał o podejrzaniach i twierdzeniach, które stały się głośne po nagłej śmierci Lucianiego. Zapewnił swoich czytelników, że ufa, iż pałace i lochy Watykanu od stuleci nie były świadkami morderstw czy innych przestępstw. Właśnie z tego względu, jak pisał, nie może po prostu pojąć, dlaczego Watykan postanowił nie dopuścić do żadnych badań lekarskich, *a prościej mówiąc: dlaczego nie przeprowadzono żadnej autopsji?* Carlo Bo pisał dalej:

Kościół nie ma się czego obawiać, a więc nie ma nic do stracenia. Przeciwnie, może

wiele zyskać.

...Pytanie o przyczyny śmierci papieża jest legalnym pytaniem o fakt historyczny; (jego śmierć) jest częścią naszej aktualnej historii, a naukowe wyjaśnienie tej śmierci w żaden sposób nie narusza jej duchowego misterium. Ciało, które pozostawiamy rozstając się z tym światem, można zbadać naszymi marnymi instrumentami, jest bowiem tylko pozostałością, natomiast dusza jest już, a raczej zawsze była zależna od innych praw, które nie są z tego świata i pozostaną niezglębione. Z misterium nie powinniśmy czynić strzeżonej tajemnicy kierując się doczesnymi względami; winniśmy wiedzieć, jak małe i nieistotne są nasze tajemnice. Nie twórzmy świętości z czegoś, co świętym nie jest.

Piętnastu lekarzy watykańskiej służby zdrowia odmówiło sprecyzowania swojego stanowiska wobec dokonywania autopsji ciał zmarłych papieży. Natomiast Eduardo Luciani, który właśnie powrócił z Australii, zapytany o to, jaki był stan zdrowia jego brata, wypowiedział się jasno i wyraźnie, chociaż nie po myśli Watykanu:

W dniu inauguracji pontyfikatu zapytałem jego lekarza domowego, jak go ocenia biorąc pod uwagę liczne obciążenia, na jakie będzie teraz narażony. Lekarz uspokoił mnie, powiedział, że brat mój czuje się wyśmienicie a jego serce jest w dobrej kondycji.

Zapytany o to, czy jego brat miał kiedykolwiek problemy z sercem Eduardo odparł: *O ile wiem, nie miał nawet najmniejszych.* Nie pasowało to do insynuacji rozpowszechnianych przez Watykan.

W poniedziałek 2 października na całym świecie rozgorzała dyskusja na temat śmierci papieża. We francuskim Awinionie kardynał Silvio Oddi znalazł się w krzyżowym ogniu pytań. Jako włoski kardynał może przecież zapoznać francuską opinię publiczną z autentycznymi faktami? Oddi odparł, że kolegium kardynalskie *nie będzie rozważało możliwości przeprowadzenia badań; nie ma ono zamiaru pozwolić się nakłonić przez kogokolwiek do czegokolwiek, i nie będzie nawet dyskutowało na ten temat.* Kardynał oświadczył kategorycznie: *Wiemy z całą pewnością, że śmierć Jana Pawła I była spowodowana tym, że jego serce przestało bić z całkowicie naturalnych przyczyn.* Tym stwierdzeniem kardynał Oddi dokonał doniosłego, pionierskiego czynu w medycynie — bez autopsji postawił diagnozę, jakiej bez przeprowadzenia badań nie odważyłby się postawić nawet najlepszy lekarz.

Tymczasem protesty ojca Lorenziego i innych członków papieskiego domu przeciw jednemu, szczególnemu kłamstwu wreszcie odniosły skutek:

Po niezbędnych, dodatkowych badaniach możemy teraz oświadczyć, że papież w chwili, gdy rankiem 29 września został znaleziony bez życia, trzymał w ręku kilka kartek z

napisanymi przez niego osobiście tekstami, takimi jak kazania, przemówienia, przemyślenia i różne notatki.

Kiedy kilka dni wcześniej Watykan podał, że Luciani trzymał w rękach książkę *De imitatio Christi*, niektórzy reporterzy śmiali się w glos, jak pisze w swojej książce *The Making of The Popes* ojciec Andrew Greeley.

Owe kartki, zawierające notatki na temat drastycznych zmian, jakie papież zamierzał przeprowadzić, z biegiem lat ulegały nadzwyczajnym metamorfozom: raport o Kościele katolickim w Argentynie, szkice jego następnego wystąpienia, kazania, które wygłosił w Belluno, Vittorio Veneto, Wenecji; gazetki parafialne, tekst przemówienia, które chciał wygłosić do jezuitów, raport napisany przez papieża Pawła. Kiedy przywódca państwa umiera w normalnych okolicznościach, wówczas jego ostatnie chwile są przedmiotem rozważań czysto akademickich. Kiedy jednak przywódca umiera w okolicznościach podobnych do śmierci Lucianiego, chęć poznania jego ostatnich chwil staje się najżywotniejszym interesem społeczeństwa. Z pięciu różnych źródeł uzyskałem potwierdzenie, że zmarły Luciani trzymał w rękach kartki, na których osobiście opisał proponowane radykalne zmiany personalne. Dwa z tych źródeł stanowili bezpośredni, naoczni świadkowie tego wydarzenia, a trzy inne, to godni zaufania świadkowie spoza Watykanu. Fakt wycofania przez Watykan legendy, że zmarłego papieża znaleziono z książką *De Imitatione Christi*, świadczy wyraźnie, że Kuria zaczęła się poddawać naciskowi.

Nacisk ten wzmógł się 2 października, kiedy prasa światowa coraz bardziej krytycznie zaczęła zajmować się pewnymi niepokojącymi aspektami sprawy. Wielu obserwatorów wyrażało zdziwienie, że tak chory rzekomo papież nie miał w Watykanie żadnej nocnej opieki lekarskiej. Nie mogli zrozumieć faktu, że dr Renato Buzzonetti pracował zasadniczo w jednym z rzymskich szpitali i dlatego nie mógł być do dyspozycji o każdej porze. Gdyby ci komentatorzy znali pełne rozmiary bałaganu panującego w Watykanie, ich oburzenie byłoby o wiele większe. Nie chodziło tu jednakże o lekkomyślność: fakty wskazują na spisek w celu dokonania morderstwa.

Podobnie jak w innych krajach, także w Hiszpanii w publicznych dyskusjach dominowało uczucie niesmaku. Profesor Rafael Gamba z Uniwersytetu Madryckiego był tylko jednym z wielu oskarżających Watykan o to, że pewne sprawy *zalatwiano włoskim lub florenckim sposobem z epoki Odrodzenia*. Gamba nie cofnął się przed wyrażaniem obaw, że papież, który najwyraźniej zaczął wymuszać pilnie potrzebną odnowę dyscyplinarną Kościoła, mógł paść ofiarą morderstwa. Zażądał więc przeprowadzenia sekcji zwłok.

W Mexico City z takim samym żądaniem wystąpił publicznie biskup Cuernavaki,

Sergio Arceo. Oświadczył **on**: *Kardynał Miranda (z Mexico City) i ja uważamy, że sekcja zwłok byłaby pożyteczna*. Biskup przedstawił swoje stanowisko na piśmie. Zgodnie z jego wolą, przygotowany przezeń dokument miał być odczytany we wszystkich kościołach jego diecezji. Aparat watykański zareagował szybko. Pismo zniknęło bez śladu, jak wiele innych rzeczy w tej aferze. Jeśli chodzi zaś o kardynała Mirandę, to — najprawdopodobniej przyciśnięty przez Watykan — oświadczył on po przybyciu do Rzymu, że nie widzi żadnego powodu do podejrzeń w związku ze śmiercią papieża.

Trzeciego października, kiedy w Bazylice Św. Piotra nadal przed trumną z ciałem papieża przechodziło 12 000 wiernych na godzinę, kontrowersje utrzymywały się nadal. Co prawda testament Lucianiego zaginął bezpowrotnie, ale Watykan swoim zachowaniem w całej tej sprawie zapewnił wszystkim gorzkie dziedzictwo. Papieża, który wyróżniał się swoją otwartością, bezpośredniością i prostotą owinięto całunem kłamstw i przebiegłych wykrętów. Było oczywiste, że masy wiernych odczuwały jego śmierć jako niesłychaną stratę. W postawie Watykanu zaś nie widać było niczego, co odpowiadałoby temu rozpowszechnionemu uczuciu. To, co się tam działo, było raczej ponurą akcją na tyłach, aby uchronić nie dobre imię Lucianiego, lecz tych, na których wskazywały dowody, że mieli z jego tajemniczą śmiercią wiele wspólnego.

Na łamach prasy za sekcją zwłok lub przeciw niej wypowiedali się teraz także duchowni spoza Kurii. Watykańscy augurowie i eksperci piętnowali Watykan z powodu jego uporu.

Okazało się teraz bardzo wyraźnie, jak stwierdził to chociażby Vittorio Zucconi w „Corriere della Sera”, że *powodem ogólnych dociekań w sprawie śmierci papieża było poważne i rozpowszechnione uczucie niesmaku wywołane „oficjalną wersją”*.

Jak poważne było to zjawisko można wywnioskować na przykład z postępowania Civiltà Christiana, stowarzyszenia tradycyjnie nastawionych katolików. Jego sekretarz, Franco Antico, oświadczył publicznie, że w imieniu swojej organizacji pisemnie wezwał prezesa trybunału watykańskiego do szczegółowego wyjaśnienia okoliczności śmierci papieża Jana Pawła I.

Apel ten i jego uzasadnienie znalazły się na czołówkach gazet na całym świecie. Antico wymienił liczne niekonsekwencje pojawiające się w dotychczasowych wersjach Watykanu. Jego organizacja życzyła sobie nie tylko przeprowadzenia sekcji zwłok, lecz także pełnego wyjaśnienia sprawy zgodnie z metodami stosowanymi w kryminalistyce. Antico oświadczył: *Gdyby w takich okolicznościach zmarł prezydent Carter, naród amerykański z pewnością zażądałby ich wyjaśnienia*.

Antico poinformował prasę, że pierwotnie jego organizacja zamierzała publicznie i wyraźnie podnieść zarzut zamordowania papieża przez nieznaną osobę lub grupę osób. W przypływie owego zadziwiającego upodobania Włochów do szczególnego sposobu rozumowania dodał, że zrezygnowano z tego kroku, ponieważ *nie jesteśmy za tym, by wywoływać skandal*. Civiltà Christiana przekazała swoje żądanie także kardynałowi Confalonieremu, dziekanowi Świętego Kolegium. Wśród niewyjaśnionych spraw w tym piśmie wymienia się wielką lukę czasową między znalezieniem martwego papieża a publicznym poinformowaniem o tym fakcie oraz beztrzęsą, z jaką pozostawiono w pokoju papieża, który najwyraźniej przyzwyczaił się pracować także w łóżku, a także brak świadectwa zgonu. Żaden lekarz watykański przez wystawienie takiego świadectwa nie chciał przejąć na siebie odpowiedzialności przed opinią publiczną za poświadczenie przyczyny zgonu.

Zwolennicy buntowniczego arcybiskupa Marcela Lefebvre'a, którzy oświadczyli najpierw, że Luciani zmarł, gdyż Bóg nie chciał go jako papieża, teraz przez prawą rękę Lefebvre'a, opata Ducauda-Bourgeta, rozpowszechniali nową teorię: *Biorąc pod uwagę te wszystkie diabelskie kreatury zamieszkujące Watykan, trudno uwierzyć, że była to śmierć naturalna*.

Kiedy Watykan został zmuszony do skorygowania swojego pierwszego twierdzenia, że przepisy kościelne nie dopuszczają sekcji zwłok, gazety włoskie 3 października jeszcze raz podjęły głośną akcję przeciw tej kruchej zasłonie. Ustaliły, że w rzeczywistości dokonywano już sekcji zwłok papieża. W pamiętniku księcia Don Agostina Chigiego można na przykład wyczytać, że po zgonie papieża Piusa VIII, wieczorem 30 listopada 1830 r. otwarto jego ciało. Oficjalnie sekcji tej nigdy nie było, stąd też oczywiście nigdzie nie udokumentowano jej wyników. Z pamiętnika księcia wynika jednak, że wszystkie organy wewnętrzne Piusa VIII określono jako zdrowe. Wydawało się, iż zakłócone było jedynie funkcjonowanie płuc. Swego czasu istniało podejrzenie, że papieża otruto.

Wieczorem 3 października 1978 r. wydarzyło się coś niezwykłego. Jak zawsze o tej porze zostały zamknięte dla publiczności bramy Bazyliki Św. Piotra. W Bazylice nie było nikogo poza czterema żołnierzami gwardii szwajcarskiej, którzy zgodnie z uświęconą tradycją przez 24 godziny pełnili straż przy ciele zmarłego papieża. Za piętnaście ósma otworzono drzwi boczne, by wpuścić grupę około 150 pielgrzymów z Canale d'Agordo, rodzinnej miejscowości Albino Lucianiego. W towarzystwie biskupa z Belluno przybyli właśnie do Rzymu i otrzymali od Watykanu specjalne zezwolenie na oddanie ostatniej posługi człowiekowi, którego wielu z nich osobiście znało. Najwyraźniej o wizycie tej grupy nie poinformowano w Watykanie kogoś, kto miał jakieś własne plany związane z ciałem

zmarłego papieża. W kilka minut po wejściu do Bazyliki pielgrzymów z północy kraju bezceremonialnie wyrzucono ich z powrotem na Plac Św. Piotra.

Pojawiło się kilku dostojników watykańskich w towarzystwie grupy lekarzy. Wszystkim obecnym nakazano opuścić świątynię. Odesłano również czterech gwardzistów. Następnie wokół katafalku rozstawiono wysoki, purpurowy parawan, by nikt ze znajdujących się jeszcze być może w pobliżu ciekawskich nie mógł przyglądać się czynnościom lekarzy.

Ta nieoczekiwana wizyta trwała do godziny 21.30. Kiedy się zakończyła, kilku pielgrzymów z Canale d'Agordo czekających jeszcze na zewnątrz poprosiło o umożliwienie im wreszcie oddania ostatniej posługi zmarłemu. Prośba została odrzucona.

Jaki był cel tej wieczornej akcji na mniej niż 24 godziny przed terminem pogrzebu? Większość dziennikarzy była w swych ocenach zgodna: dokonano sekcji zwłok.

Czyżby Watykan przygotowywał jakiś manewr odciążający dla uspokojenia opinii publicznej? Jeżeli tak, to ze sposobu późniejszego przedstawienia tych badań lekarskich musimy wyciągnąć przekonujący wniosek, że to przedsięwzięcie zdecydowanie się nie powiodło, że badanie musiało potwierdzić wszelkie podejrzenia morderstwa.

Nie ogłoszono żadnego oficjalnego komunikatu o tych wieczornych badaniach, a wydział prasowy Watykanu mimo zalewu pytań ze strony przedstawicieli środków masowego przekazu zachował całkowite milczenie na temat tego, co miało miejsce w Bazylice Św. Piotra. Milczenie, które miało być przerwane dopiero po pogrzebie papieża. Włoska agencja informacyjna ANSA dowiedziała się tylko nieoficjalnie, że podczas badań lekarskich chodziło o normalne sprawdzenie stanu konserwacji zwłok. Obecni byli przy tym profesor Gerin i bracia Arnaldo i Ernesto Signoracci. Agencję ANSA poinformowano ponadto, że do ciała wprowadzono jeszcze dodatkową porcję płynu konserwującego.

Kiedy wreszcie watykański urząd prasowy wypowiedział się oficjalnie na ten temat, najpierw skrócił półtoragodzinne badania do dwudziestominutowych. Badania wykazały, jak stwierdzono, że wszystko było w porządku i po ich zakończeniu ponownie wpuszczono pielgrzymów z Canale d'Agordo. Poza pomyłkami i świadomymi kłamstwami, które zawiera to oświadczenie, należy zwrócić uwagę na sporo innych, niepokojących faktów: wbrew twierdzeniom świadków watykańskich, na których powoływała się ANSA, przy badaniach nie był obecny profesor Cesare Gerin. Również bracia Signoracci w rozmowie ze mną zaprzeczyli z naciskiem, że wzięli udział w owej niesamowitej, wieczornej wizycie. *Badanie stanu zakonserwowania* pod nieobecność kompetentnych i odpowiedzialnych za ten stan ekspertów jest niewątpliwie zadziwiające!

Jeżeli, jak wielu w to wierzy, rzeczywiście dokonano sekcji zwłok (lub też sekcji

częściowej, gdyż 90 minut nie wystarczyłoby na pełną, standardową procedurę) i jeżeli wyniki były negatywne, wówczas z pewnością zostałyby ogłoszone wszem i wobec. W jaki bowiem lepszy sposób można by było zmusić do milczenia złe języki? „Corriere della Sera” podał: *W ostatniej minucie dołączył do grupy specjalnej znany lekarz z Uniwersytetu Katolickiego. Ten znany lekarz, zniknął nie rozpoznany w porannej mgle unoszącej się nad Tybrem.*

Psycholog katolicki, Rosario Mocciano, następująco skomentował zachowanie ludzi, którzy w okresie osierocenia tronu kierowali Kościołem rzymskokatolickim: *Swoista „omerta” (zmowa milczenia) według recepty mafijnej, przybrana w szaty chrześcijańskich względów i etykiety.*

Serdeczne stosunki, jakie Luciani nawiązał z masami wiernych trwały aż do gorzkiego końca. Nie zwracając uwagi na ciągły deszcz, 4 października na mszy żałobnej zebrało się na Placu Św. Piotra około 100 tysięcy osób. W ciągu czterech poprzedzających ją dni przed trumną z ciałem przedefilowało prawie milion ludzi. Pierwsze z czytań liturgicznych, zaczerpnięte z Apokalipsy Św. Jana, kończyło się słowami: *Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni. Początek i koniec. I kto odczuwa pragnienie, niech przyjdzie, kto chce, niech wody życia darmo zaczerpnie*⁸.

Ciało Albino Lucianiego, hermetycznie zamknięte we wnętrzu włożonych jedna w drugą trzech trumien z drewna cyprysowego, ołowiu i drewna hebanowego, przeniesiono na miejsce wiecznego spoczynku. Był nim marmurowy sarkofag w krypcie Bazyliki Świętego Piotra. Jednak nawet po złożeniu doczesnych szczątków zmarłego papieża w mrocznym chłodzie Świętej Groty, między Janem XXIII i Pawłem VI, nie ustała dyskusja na temat tego, czy wieczorem, przed śmiercią Albino Luciani nie dostał przypadkiem jakiegoś innego napoju niż łyk ze źródła wody życia.

Bardzo wielu ludzi nadal niepokoił fakt zaniechania autopsji. Jednym z nich był zaufany lekarz Lucianiego, Antonio Da Ros. Do zastanowienia powinien skłonić fakt, że osobisty lekarz Lucianiego wyrażał pogląd, iż *być może bardziej fortunate byłoby naukowe zweryfikowanie przyczyn śmierci.*

Trudno było sobie jednak wyobrazić, by Kuria dała się do tego nakłonić po umieszczeniu Jana Pawła I w potrójnej trumnie pod ziemią. Wniosek przedłożony oficjalnie Trybunałowi Watykańskiemu przez Civiltà Christiana miał rozstrzygnąć tylko jeden sędzia, Giuseppe Spinelli. Nawet gdyby człowiek ten był jednoznacznie przekonany o konieczności

⁸ (Ap 22, 13, 17) Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 1965.

przeprowadzenia sekcji i pełnych badań, to z trudnością można byłoby sobie wyobrazić, w jaki sposób potrafiłby przeforsować to stanowisko wbrew potędze Watykanu i czołowych przedstawicieli Kurii — ludzi, którzy z dumą mogli powoływać się na historyczny fakt, że oni i ich poprzednicy rządzą Kościołem rzymskokatolickim od prawie 2000 lat.

Jezuici dokonali pięknego i trafnego przyrównania śmierci Lucianiego do kwiatu na łące, zwijającego na noc swoje płatki, a franciszkanie wspomnieli o śmierci, która jak złodziej nadchodzi nocą. Mniej rozmarzeni ludzie nadal szukali trzeźwego wytłumaczenia. Wątpiący byli po obu stronach Tybru. Do najbardziej podejrzliwych w Watykanie należeli ci, którzy znali prawdę o odkryciu ciała przez siostrę Vincenzę. Ich niepokój wzrastał wprost proporcjonalnie do mnożącej się liczby oficjalnych kłamstw. Kiedy papieża pochowano, niektórzy z nich zaczęli mówić. Najpierw zwierzyli się agencji informacyjnej ANSA, a niedawno także i mnie. W rzeczy samej, kilku członków owej grupy przekonało mnie, że powinienem bliżej zbadać okoliczności śmierci Albino Lucianiego.

Wczesnym popołudniem 5 października, szczegółowo opowiedzieli redaktorowi ANSA jakie były prawdziwe okoliczności odkrycia zmarłego przez siostrę Vincenzę. Co do kartek trzymanyh w ręku przez Lucianiego, stwierdzili zgodnie z prawdą, że miały one coś wspólnego z *określonymi zmianami personalnymi w Kurii Rzymskiej i episkopacie włoskim*. Opowiedzieli także, że papież omawiał problem odmowy kardynała Baggio przyjęcia funkcji patriarchy w Wenecji. Kiedy ANSA wystąpiła z tymi rewelacjami, Watykan zareagował na to w sposób przypominający owo dementi, którym monsignore Henri Riedmatten odpowiedział na pytanie o sformułowane na piśmie przez Lucianiego stanowisko w sprawie regulacji urodzeń: *Informacje o istnieniu takiego dokumentu nazwał „wymysłami”*. Teraz dyrektor watykańskiego urzędu prasy, ojciec Pancioli, na pytania setek reporterów związane z informacjami, które przeniknęły ostatnio z Watykanu, odpowiedział lakonicznym stwierdzeniem: *Informacje te są pozbawione wszelkich podstaw*.

Wśród tych, na których owo dementi nie wywarło wrażenia, było także kilku kardynałów przybyłych na konklawe. Ich niezadowolenie wybuchło podczas zgromadzenia kardynałów, które odbyło się 9 października. Szczególnie gwałtownie atakowano kardynała Villota. To on jako kamerling podjął decyzje i pobłogosławił oświadczenia, z których jasno wynikało, że zatuszowano okoliczności śmierci Albino Lucianiego. Wielu dostojników kościelnych spoza Włoch domagało się dokładnego wyjaśnienia, co zatuszowano. Chcieli wiedzieć, dlaczego nie określono jednoznacznie przyczyny śmierci, pozostawiając ją w sferze przypuszczeń. Chcieli wiedzieć, dlaczego nie określono dokładnej godziny zgonu i dlaczego żaden lekarz najwyraźniej nie chciał przejąć odpowiedzialności za wystawienie świadectwa

zgonu, które można byłoby przedstawić opinii publicznej.

Ich próby dokładnego zbadania tych spraw pozostały bezowocne. Zatrzaszczyła się o to mała grupa kardynałów podejmując decyzję o możliwie najszybszym rozpoczęciu konklawe. Myśli kardynałów zaczęły zwracać się ku rozważaniom, kto powinien zostać następcą Jana Pawła I i ku związanym z poszukiwaniem kandydata intrygom oraz porozumieniom. Sprawdzenie się tej taktyki pokazuje, jak wiele ludzie z Kurii Rzymskiej nauczyli się z bogatej skarbnicy doświadczeń prawie 2000-letniej historii Kościoła.

Dwunastego października, niecałe 48 godzin przed rozpoczęciem konklawe, Watykan przedstawił swoje ostatnie oficjalne stanowisko w sprawie zgonu Jana Pawła I. Stosowne oświadczenie wydał rzecznik prasowy Watykanu, ojciec Romeo Pancirolli:

Na zakończenie nowenny, ponieważ wchodzimy w nową fazę sede vacante (pustego tronu), dyrektor Urzędu Prasowego Stolicy Apostolskiej chciałby wyrazić swoją głęboką dezaprobatę dla postępowania tych, którzy w minionych dniach zgodzili się na rozpowszechnianie osobliwych, niesprawdzonych i często fałszywych pogłosek, przybierających czasem formę obraźliwych insynuacji, co ma szczególnie dużą wagę ze względu na możliwe następstwa takich insynuacji w krajach, w których ludzie nie są przyzwyczajeni do tak ekstremalnie potocznego sposobu wyrażania się. W chwilach, w których Kościół jest pogrążony w żalobie, należałoby oczekiwać większej samokontroli i większego respektu.

Pancirolli podkreślił następnie, że całe zdarzenie *we właściwy sposób przedstawiono w komunikacie z piątku, 29 września. Komunikat ten zachowuje w pełni swoją ważność. Podpisane przez profesora Mario Fontanę i doktora Renato Buzzonettiego świadectwo zgonu zreferowano w nim tak wiernie, że oddzielne publikowanie tego dokumentu było zbędne.*

Następnie oświadczył, że z zadowoleniem odnotował *rzetelność wielu dziennikarzy, którzy w tak trudnym dla Kościoła momencie wykazali lojalność i informowali opinię publiczną o wydarzeniach w sposób rozważny i obiektywny.*

Ponieważ nie występuję chętnie z *obraźliwymi insynuacjami*, wystąpię więc z kategorycznym stwierdzeniem: jestem przekonany o tym, że papież Jan Paweł I, Albino Luciani, został zamordowany.

Do dziś nie ma żadnego publicznie dostępnego świadectwa zgonu i mimo wielokrotnych prośb Watykan odmówił przedstawienia mi do wglądu takiego dokumentu. Niewątpliwie, jako przyczyna zgonu może być w nim podany zawał mięśnia sercowego. Uporczywe odmawianie przez Watykan wydania takiego świadectwa może oznaczać jedynie, że żaden lekarz nie chce przejąć urzędowej i prawnej odpowiedzialności za orzeczenie

przyczyny zgonu. To, że diagnozę tę postawiono na podstawie jedynie zewnętrznych oględzin zwłok — co z medycznego punktu widzenia jest procedurą całkowicie niewystarczającą — jest prawdopodobnie związane z tym tajemniczym, niezrozumiałym postępowaniem.

Poważną poszlaką wskazującą na zamordowanie papieża jest niedopuszczenie do przeprowadzenia sekcji zwłok, która byłaby ważna z prawnego punktu widzenia. Nie zgodzono się na to mimo uczucia niepokoju demonstrowanego na całym świecie, mimo troski i żądań wyrażanych z wielu stron. Jeżeli papież zmarł śmiercią naturalną, to dlaczego nie przeprowadzono sekcji zwłok, której wyniki zmusiłyby krytyków do milczenia?

Faktem jest, że Watykan nie wie, przynajmniej oficjalnie, kiedy i na co zmarł Luciani. *Przypuszczalnie około godziny 23.00 i nagły zgon, który mógł być następstwem zawału mięśnia sercowego* to stwierdzenia świadczące o wielkiej niepewności. Jest wielce prawdopodobne, że bardziej fachowo zbadano by ciało nieznanego włóczęgi, znalezione gdzieś na skraju drogi.

Cała sprawa wygląda jeszcze bardziej skandalicznie, gdy się uwzględni, że lekarze badający zwłoki nigdy nie opiekowali się Albino Lucianim za jego życia. Kiedy rozmawiałem w Rzymie z doktorem Buzzonettim, zapytałem go, jakie leki zażywał papież w tygodniu poprzedzającym jego śmierć. Odpowiedział: *Nie wiem, jakie leki zażywał. Nie byłem jego lekarzem. Moje pierwsze spotkanie z nim w charakterze lekarza nastąpiło wówczas, gdy był już martwy.*

Dr Seamus Banim jest specjalistą kardiologiem z ponad dwudziestoletnią praktyką. Jest głównym konsultantem w londyńskim szpitalu Św. Bartłomieja i w Szpitalu Nuffield. W czasie naszej rozmowy oświadczył:

Lekarz, każdy lekarz, który w diagnozie podaje zawał mięśnia sercowego jako przyczynę zgonu, popełnia błąd. Nie uważałbym tego za wystarczające. Jeżeli przedtem znalazł pacjenta, jeżeli dłuższy czas go leczył, opiekował się nim w trakcie ataku serca lub zastałby go jeszcze przy życiu w czasie śmiertelnego ataku (a potem był obecny przy jego zgonie), wówczas taka diagnoza byłaby dopuszczalna. Jeżeli jednak wcześniej nie znalazł pacjenta, nie może takiej diagnozy postawić. Naraziłby się bowiem na bardzo poważne ryzyko i w naszym kraju z pewnością nie darowano by mu tak ryzykownego i lekkomyślnego orzeczenia. Diagnozę taką można postawić tylko po dokonaniu sekcji zwłok.

Mamy więc do czynienia z wątpliwym w najwyższym stopniu orzeczeniem w sprawie przyczyn zgonu i z równie wątpliwą wypowiedzią na temat godziny zgonu. Watykan usiłował przekonać świat, że papież Jan Paweł I *zmarł przypuszczalnie około godziny 23.00 w nocy 28 września*. Dr Derek Barrowcliff, emerytowany patolog z ponad 50-letnim doświadczeniem

zawodowym, skomentował to w rozmowie ze mną:

Jeżeli w odpowiednich odstępach czasu nie dokonano serii pomiarów temperatury per rectum, to bardzo odważnym człowiekiem musi być ten, kto orzeka, o której godzinie nastąpił zgon. Naprawdę bardzo odważnym człowiekiem.

W normalnych warunkach stężenie pośmiertne staje się dostrzegalne po pięciu lub sześciu godzinach, ale zależy to od wielu czynników, na przykład temperatury pomieszczenia. Przy wysokiej temperaturze występuje wcześniej, przy niskiej później. Może nawet po dwunastu godzinach osiągnąć swój maksymalny poziom, potem utrzymywać się przez następne dwanaście godzin, a następnie zmniejszyć się w ciągu kolejnych dwunastu godzin. Jest to jednak bardzo przybliżony opis przebiegu tego procesu. Jeżeli stężenie pośmiertne jest dostrzegalne, to można przyjąć, że zgon nastąpił przed sześcioma lub więcej godzinami. Z pewnością pomocny byłby tu pomiar temperatury wątroby (którego nie dokonano). Jeżeli ciało podda się bardzo dokładnym badaniom metodami stosowanymi przez medycynę sądową, można ustalić również wstępne stopnie stężenia pośmiertnego. Następuje ono stopniowo i bardzo powoli. Jeżeli więc ciało było sztywne już o godzinie 6.00 rano, można by było powiedzieć, że zgon nastąpił o godzinie 23.00 poprzedniego wieczoru lub niewiele później. Równie dobrze mógł on jednak nastąpić już o godzinie 9.00 wieczorem.

Tak więc dwa fakty są bezsporne.

1. Nie wiemy, jaka była przyczyna śmierci Albino Lucianiego.
2. Niemożliwe jest żadne nie budzące wątpliwości orzeczenie co do godziny zgonu.

Kiedy w sierpniu 1978 r. umierał papież Paweł VI, był otoczony lekarzami, sekretarzami i kapłanami. Spróbujmy uprzytomnić sobie raz jeszcze bogactwo szczegółów zawartych w oficjalnym biuletynie, podpisanym przez doktorów Mario Fontanę i Renato Buzzonettiego:

W ciągu ostatniego tygodnia Ojciec Święty, Paweł VI cierpiał z powodu poważnego zaostrzenia bolesnych objawów, będących wynikiem schorzenia artretycznego, na które cierpiał od wielu lat. Wieczorem 5 sierpnia w wyniku nagiego powrotu ostrego zapalenia pęcherza moczowego wystąpiła gorączka. Po wysłuchaniu opinii profesora Fabio Prosperiego, naczelnego urologa Połączonych Szpitali Rzymskich, zaczęliśmy stosować odpowiednią terapię. W nocy z 5 na 6 sierpnia i całą niedzielę (6 sierpnia) Ojciec Święty miał wysoką temperaturę. Około godziny 18.15 w niedzielę, 6 sierpnia zarejestrowaliśmy nagły, poważny i postępujący wzrost ciśnienia naczyniowego krwi. Wkrótce po tym nastąpiły typowe objawy niewydolności lewej komory serca wraz z klinicznym obrazem ostrej odmy płucnej.

Mimo natychmiast zastosowanych środków leczniczych, Jego Świątobliwość Paweł VI

zmarł o godzinie 21.40.

Odpowiedzialni lekarze w chwili jego śmierci stwierdzili następujący obraz kliniczny: *Kardiopatyczny arteriosklerotyczny poliartryzm, chroniczne zapalenie miedniczek nerkowych i ostre zapalenie pęcherza moczowego. Bezpośrednia przyczyna zgonu: wstrząs hipertoniczny, niewydolność lewej komory serca, ostra odma płucna.*

Niecałe dwa miesiące później, jak *polny kwiat, zwijający nocą swe płatki*, zmarł następca Pawła, i żaden lekarz nie zainteresował się dokładnym zbadaniem przyczyn jego zgonu.

Ze stekiem kłamstw sączonych z Watykanu na temat chorób Lucianiego w jawnej sprzeczności stoją następujące fakty:

W dzieciństwie Luciani wykazywał oznaki choroby gruźliczej; objawami były powiększone gruczoły szyjne. W wieku 11 lat miał usunięte migdały. Cztery lata później nastąpił kolejny zabieg chirurgiczny polegający na usunięciu polipów. Obie operacje przeprowadzono w szpitalu ogólnym w Padwie. W 1945 r. i ponownie w 1947 r., z podejrzeniem gruźlicy skierowano go do sanatorium. W obu przypadkach odpowiednie badania dały wyniki negatywne, a dolegliwości występujące w płucach określono jako bronchit. Od tego czasu regularne prześwietlenia płuc dawały zawsze negatywne wyniki. Pod tym względem wyleczono go więc całkowicie.

W kwietniu 1964 r. poddał się operacji usunięcia kamieni żółciowych oraz niedrożności okrężnicy, a w sierpniu tego samego roku zoperowano mu hemoroidy. Profesor Amadeo Alexandre ze szpitala Pordenone w Treviso, który przeprowadził obie operacje, po przejrzaniu dokumentów z tamtego okresu zapewnił mnie, że we wszystkich przed- i pooperacyjnych testach i badaniach Albino Luciani okazał się człowiekiem całkowicie zdrowym. Badania te obejmowały prześwietlenia i liczne testy EKG, ukierunkowane specjalnie na wczesne rozpoznanie nieprawidłowości w pracy serca. Profesor oświadczył, że jego pacjent przyszedł wówczas całkowicie i trwale do zdrowia po obu tych stosunkowo lekkich operacjach. *Badalem go jeszcze raz tego samego lata po drugiej operacji. Również wtedy stan jego zdrowia był wyśmienity.*

Ów dobry stan zdrowia zilustrował opis przebiegu jego normalnego dnia, przedstawiony mi przez monsignora Taferala, pracującego u jego boku w Vittorio Veneto. Luciani utrzymywał ten porządek dnia praktycznie nie zmieniony również później, w Wenecji i Watykanie. Wstawał między 4.30 a 4.45 rano i 16 godzin później, między dziewiątą i dziesiątą wieczorem kładł się spać. Jak powiedział mi monsignor Taferal, Luciani poza wypełnianiem swoich wielu obowiązków odwiedzał kolejno wszystkie 180 parafii swojej

diecezji i miał już za sobą około dwóch trzecich drugiego cyklu tych wizyt, kiedy odwołano go do Wenecji. W grudniu 1975 r. w głównej żyłce siatkówki jego lewego oka utworzył się krwiał. Operacja nie była jednak konieczna. Leczący go specjalista, profesor Rama, powiedział mi na ten temat:

Leczenie miało tylko ogólny charakter i opierało się na terapii hemokinetycznej — zastosowano antykoagulanty i słabe leki na rozszerzenie naczyń krwionośnych, a także, przede wszystkim, kilka dni spokojnego leżenia w szpitalu. Efekt był prawie natychmiastowy: całkowite przywrócenie zdolności widzenia i ogólna rekonwalescencja. Nie był on w żadnym wypadku typem człowieka, o którym można byłoby powiedzieć, że jest tytanem zdrowia, ale był człowiekiem naprawdę zdrowym i przeprowadzane regularnie badania nigdy nie ujawniły jakichkolwiek dolegliwości sercowych.

Profesor Rama zwrócił moją uwagę na to, że Luciani miał stosunkowo niskie ciśnienie krwi, wahające się w granicach 120/80. Dwudziestu trzech lekarzy, z którymi rozmawiałem, było zgodnych co do tego, że niskie ciśnienie jest *najlepszym z możliwych prognostyków długiego życia*.

Podczas pełnienia swej funkcji w Wenecji, Luciani cierpiał od czasu do czasu na puchlinę kostek. Lekarze uważali, że należało to przypisać niskiemu ciśnieniu krwi i niedostatkowi ruchu. W lipcu 1978 r. Luciani spędził 10 dni w Instytucie Stella Maris na Lido, by się poddać kuracji profilaktycznej przeciw możliwemu nawrotowi kamieni żółciowych. Wyznaczono mu lekką dietę, a rano i wieczorem udawał się na długie spacery, mające sprzyjać likwidacji lekkiej opuchlizny kostek. Rutynowe badania lekarskie po tym pobycie sanatoryjnym wykazały, że był w wyśmienitym zdrowiu.

To wszystko stanowi pełen opis biografii medycznej Albino Lucianiego. Dane opierają się na rozmowach z lekarzami, którzy go leczyli, z krewnymi, przyjaciółmi i kolegami. Wskazane jest dokonanie porównania między tymi sprawdzalnymi danymi a wypuszczonym przez Watykan stekiem kłamstw na temat jego rzekomych dolegliwości. Pierwsze cisnące się na usta pytanie brzmi: po co te wszystkie kłamstwa? Im dłużej ktoś zajmuje się Albino Lucianim i jego życiem, tym jest pewniejszy, że tego człowieka zamordowano. Puszczone w obieg przez Watykan kłamstwa na temat Jana Pawła I latami pozostawały niezbadane i nikt im nie zaprzeczył. Kuria Rzymska chciała, i chce, by świat uwierzył, że Albino Luciani był człowiekiem o prostym, a nawet ograniczonym umyśle, do tego ciężko chorym, a jego wybór był pożałowania godnym „wypadkiem przy pracy” i w gruncie rzeczy Kościół powinien być zadowolony z jego śmierci. Miała nadzieję na ukrycie prawdy za dymną zasłoną. Odnosi się wrażenie, że 400 lat historii cywilizacji przeszło obok

Kościół nie pozostawiając śladu, i ma się uczucie, że oto nagle znajdujemy się w czasie panowania papieża z rodziny Borgiów.

Środki masowego przekazu na świecie z zapalem nadal rozpowszechniały lansowane przez Watykan legendy o rzekomych cierpieniach Lucianiego, ale nikt nie zwracał się z pytaniami do tych, którzy lepiej znali tę sprawę. Ich wypowiedzi dałyby zupełnie inny obraz:

Znałem go od 1936 r. Poza obu pobytami sanatoryjnymi z powodu podejrzenia o gruźlicę, był całkowicie zdrowy. Po drugim pobycie na kuracji niedomaganie było całkowicie wyleczone. Wiem z całą pewnością, że do 1958 r., kiedy został biskupem w Vittorio Veneto, nie przechodził żadnych godnych wzmianki chorób. (Monsignore Da Rif w rozmowie z autorem)

W okresie pobytu Lucianiego w Vittorio Veneto stan jego zdrowia był wyśmienity. W 1964 r. miał dwie operacje na kamienie żółciowe i hemoroidy. Po tych zabiegach powrócił całkowicie do zdrowia. Zakres wykonywanej przez niego pracy pozostał dokładnie taki sam. Słyszałem o niskim ciśnieniu krwi i obrzękach nóg. Podczas jego pobytu w Vittorio Veneto nie można było zauważyć żadnych objawów ani jednego, ani drugiego. Potem, kiedy poszedł do Wenecji, widzieliśmy się jeszcze wiele razy. Stan jego zdrowia był zawsze doskonały. W okresie od 1958 r. do 1970 r. stan ten, poza obu wspomnianymi operacjami, nie pozostawiał nic do życzenia. (Monsignore Taferal w rozmowie z autorem)

W ciągu ośmiu lat spędzonych przez niego w Wenecji tylko raz widziałem kardynała Lucianiego w łóżku chorego, i to na zwykłą grypę. Przez pozostały okres patriarcha Wenecji był bardzo zdrowy i nie miał żadnych dolegliwości. (Monsignore Giuseppe Bosa, administrator apostolski Wenecji)

Nie wykazywał absolutnie żadnych objawów kardiopatycznych, a poza tym jego niskie ciśnienie krwi powinno było, przynajmniej teoretycznie, być zabezpieczeniem przed atakami sercowo — naczyniowymi. Jedyńm powodem, dla którego musiałem go leczyć, była ta infekcja grypowa. (Dr Carlo Frizziero, lekarz z Wenecji)

Albino Luciani miał zdrowe serce. Kto ma słabe serce, nie wspina się na wysokie góry, jak w latach 1972-1977 robiliśmy to corocznie razem z patriarchą. Jeździliśmy do Pietralby w pobliżu Bolzano i w szybkim tempie marszowym wchodziliśmy na górę Corno Bianco, z 1500 metrów wysokości na 2400 metrów... Nigdy nie można było zauważyć u niego oznak słabości serca. Przeciwnie, wykonany w 1974 r. na mój wniosek elektrokardiogram nie wykazał żadnych nieregularności. Krótco przed udaniem się na konklawe w sierpniu 1978 r. i po pobycie w klinice sanatoryjnej Stella Maris poddał się dokładnym, rutynowym badaniom lekarskim. Wyniki były pod każdym względem korzystne. Jeśli chodzi o teorię stresu i prze-

pracowania, to jest ona nonsensem. Jego dzień pracy w Watykanie nie był dłuższy niż w Wenecji, a ponadto w Watykanie miał więcej asystentów, o wiele większą pomoc i Bóg wie o ilu więcej doradców. Ludzie z gór nie umierają na zawał serca. (Monsignore Mario Senigaglia, w latach 1970-1976 sekretarz Albino Lucianiego w rozmowie z autorem)

Doktor Da Ros zapytał mnie kiedyś: Czy masz jakiś tajny środek? Albino Luciani jest w wysmienitym zdrowiu i o wiele bardziej odprężony. Jaki czarodziejski środek masz na to? (Ojciec Diego Lorenzi, w latach 1976-1978 sekretarz Albino Lucianiego, w rozmowie z autorem)

Wszyscy zacytowani, a także ponad 20 dalszych osób, które znały Albino Lucianiego od dzieciństwa, potwierdzili, że nigdy nie palił, alkohol pił tylko rzadko i zawsze jadł skromnie. Ten sposób życia stanowi właśnie poglądowy przykład tego, jak się należy odżywiać, by możliwie najlepiej zapobiegać problemom z sercem.

Poza zacytowanymi już lekarzami, u których Luciani przechodził specjalistyczne leczenie, jako koronnego świadka możemy wymienić jeszcze lekarza domowego, doktora Giuseppe Da Rosa. To on właśnie sprawował nad Albino Lucianim stałą, regularną opiekę lekarską przez ostatnie 20 lat jego życia. Dr Da Ros był nie tylko lekarzem Lucianiego, lecz również jego przyjacielem. W Vittorio Veneto odwiedzał biskupa raz w tygodniu. Do Wenecji przyjeżdżał raz na dwa tygodnie. Przybywał o godzinie 6.30 rano i zwykle zatrzymywał się co najmniej na półtorej godziny. W tym czasie obaj spożywali śniadanie, ale wizyty miały nie tylko charakter towarzyski, lecz również lekarski.

Te regularne wizyty miały miejsce także wtedy, gdy Lucianiego wybrano na papieża. We wrześniu 1978 r. dr Da Ros przebywał w Watykanie trzykrotnie i za każdym razem badał papieża bardzo dokładnie. Ostatnie takie badania odbyły się w niedzielę, 23 września, bezpośrednio przed pierwszym publicznym ukazaniem się Lucianiego poza murami Watykanu. Celem tego wyjazdu było uroczyste przejęcie kościoła Świętego Jana w Lateranie, jak również pierwsze spotkanie z nadburmistrzem, Arganem. Te wielogodzinne, męczące „ćwiczenia obowiązkowe” z pewnością ujawniłyby problemy zdrowotne papieża, gdyby je miał. Dr Da Ros znalazł swego pacjenta w tak wspaniałym stanie, że obaj uzgodnili przesunięcie o tydzień terminu następnej wizyty lekarza, przewidzianej za 14 dni.

Dr Da Ros konsultował się jeszcze owego 23 sierpnia z doktorem Buzzonettim z watykańskiej służby zdrowia. Mówiono przy tej okazji o historii chorób Lucianiego. Obaj byli zgodni, że na dłuższą metę papież będzie potrzebował lekarza domowego osiadłego w Rzymie. Wyrazili jednak pogląd, że nie ma z tym pośpiechu. Na razie powinno zostać tak, jak do tej pory, tzn. dr Da Ros nadal powinien regularnie przyjeżdżać z Vittorio Veneto.

Jest to być może najistotniejsza poszlaka: lekarz, który opiekował się Lucianim od ponad 20 lat i odpowiedzialny kierownik watykańskiej służby zdrowia nie mieli żadnych zastrzeżeń do rozwiązania przewidującego, że głównym opiekunem lekarskim papieża zostanie na czas nieokreślony dr Da Ros, mieszkający w odległości prawie 600 km od Watykanu. Zaakceptowanie tego rozwiązania przez wszystkich zainteresowanych dopuszcza tylko dwa wnioski: albo dr Da Ros i medycy watykańscy dopuścili się niesłychanego niedbalstwa, za które należałoby właściwie odebrać im uprawnienia lekarskie, albo Albino Luciani był zdrow jak rydz i na kilka dni przed śmiercią na nic się nie skarżał. Jeżeli się uwzględni regularność i pieczołowitość, z jaką dr Da Ros troszczył się o swego pacjenta

— z którym ponadto był również blisko zaprzyjaźniony

— to tę pierwszą możliwość z pewnością można wykluczyć. Jak przedstawiono to już w innym miejscu, dr Da Ros był całkowicie wytracony z równowagi informacją o śmierci Albino Lucianiego.

Dr Da Ros oświadczył, że znalazł papieża w tak dobrym zdrowiu, że w przyszłości będzie przyjeżdżał tylko co trzecią sobotę, zamiast co drugą. Papież czuł się tak dobrze. Ostatniego wieczoru miał wyśmienite samopoczucie. W czasie pontyfikatu nie zdarzały mu się obrzęki stóp. Codziennie spacerował, albo w ogrodach watykańskich, albo w wielkiej sali. (Ojciec Magee, sekretarz papieża Jana Pawła I od końca sierpnia 1978 r. do jego śmierci, w rozmowie z autorem)

Głównie dzięki swej przyjaźni z doktorem Da Rosem Albino Luciani przez ponad 20 lat regularnie korzystał z lepszej i pełniejszej opieki lekarskiej niż większość innych ludzi. Regularne badania odbywały się w tym okresie najpierw co tydzień, potem co dwa tygodnie. Tymczasem ten człowiek, cieszący się najlepszym zdrowiem według orzeczenia lekarzy, którzy go znali, umarł nagle śmiercią, której przyczyny pozostały niewyjaśnione i nie przedstawiono ich w żadnym urzędowym dokumencie, ponieważ nigdy nie opublikowano świadectwa zgonu.

Jak powinniśmy więc wytłumaczyć rzecz trudną do wyjaśnienia? Jedną z teorii, którą chętnie prezentowano po zgonie Jana Pawła I, mówiła, że przyczyną był stres. Prawie żaden z lekarzy, z którymi rozmawiałem, nie uznaje tej teorii. Wielu z uszczypliwą ironią mówiło o „koniunkturze na stesy”, jak to nazywali, o intratnym interesie na określonych, szeroko rozpowszechnionych niepokojach — zbyt duża liczba stosunków płciowych powoduje stres, zbyt mała też, widowiska z kaset magnetowidowych wywołują stres, transmisje sportowe w telewizji wywołują stres, zbyt duży wysiłek fizyczny wywołuje stres, zbyt mały także.

Przychodzi do mnie wielu ludzi z objawami stresu, ale nie cierpią oni na chorobę

wieńcową. Skarżą się na bóle karku. Pracują w godzinach nadliczbowych, są przepracowani, mają sześć- lub siedmiodniowy tydzień pracy, są całkowicie pochłonięci pracą, tracą perspektywę. Odnoszę wrażenie, że po pewnym czasie gromadzi się u nich niesłychane fizyczne saldo ujemne, jeśli się nie odprężają. Odwiedzają potem neurologa skarżąc się na bóle głowy, udają się do internisty z powodu dolegliwości żołądkowych, na przykład wrzodów, przychodzą do mnie z bólami w klatce piersiowej. W szpitalu Św. Bartłomieja mamy poważnie obciążony oddział schorzeń naczyń wieńcowych. Pacjenci, którzy tam przebywają, to jednak nie pędziwiatry z miasta, lecz portierzy i posłańcy. Gdyby legenda o stresie miała realną podstawę, to nie mielibyśmy takiej zmiany przyczyn zgonów, jaką obserwujemy. Rejestrujemy, że liczba zawałów serca spada w warstwach wyższych, natomiast wzrasta w niższych. Gdyby należał pan do najniższej warstwy społecznej, to miałby pan o wiele wyższy wskaźnik ryzyka, niż wtedy gdyby pan pochodził z najwyższej warstwy. Większość ludzi wykazujących objawy stresu nie ma żadnej choroby serca, ale dochodzi u nich do osobliwych bólów w klatce piersiowej, mają charakterystyczne trudności w oddychaniu lub po prostu czują się samotni. To nie jest serce. Potrzebują oni przede wszystkim dużo pocieszenia. Biada, jeżeli im się powie, że wygląda to na objawy rzeczywistej choroby serca — gdyż następnego dnia przyjdą właśnie z tym. (Dr Seamus Banim w rozmowie z autorem)

Jak wykazały badania medyczne, w określonych warunkach stres może prowadzić do chronicznych schorzeń serca, a czasami także do ostrych i śmiertelnych jego ataków, ale uwarunkowane stresem schorzenia tego organu nie pojawiają się bez zapowiedzi, nagle, w ciągu jednej nocy. Kształtowanie się właściwych objawów trwa miesiącami, a nawet latami. Żaden z lekarzy, u których Albino Luciani leczył się za swego życia, nigdy nie zauważył u niego jakiegokolwiek z tych objawów.

Watykan kłamał twierdząc, że postanowienia prawa kościelnego zabraniają przeprowadzenia sekcji zwłok.

Watykan kłamał twierdząc, że nie przeprowadzono jeszcze sekcji zwłok żadnego ze zmarłych papieży.

Strumień kłamstw przekształcił się w rzekę.

Testament papieża. Stan zdrowia papieża. Termin zabalsamowania jego ciała. Tajemnicze, nocne badanie zwłok w noc poprzedzającą pogrzeb. Wszystkie te sprawy Watykan okrył zasłoną kłamstw.

Zajmijmy się sprawą testamentu. Opinii publicznej nigdy nie przedstawiono testamentu Jana Pawła I. Krewnych Lucianiego poinformowano, że taki dokument nie istnieje. Ale:

Z pewnością istnieje taki testament, chociaż nie wiem, jak jest obszerny, ani co zawiera. Pamiętam jednak, że dwa tygodnie przed śmiercią papież mówił o tym przy stole. Eduardo, jego brat, entuzjastycznie wypowiadał się o testamencie Pawła VI. „Mój testament jest utrzymany w innym tonie i nie jest tak istotny”, powiedział na to Luciani. Potem kciukami i palcami wskazującymi zaznaczył w powietrzu wąską ramkę i powiedział: „Mój jest taki”. (Ojciec Diego Lorenzi w rozmowie z autorem)

Jako kardynał Wenecji sporządził testament składający się z trzech wierszy. Wszystko przepisał swojemu seminarium w Wenecji i na wykonawcę tej woli wyznaczył swego biskupa pomocniczego. Kiedy biskup pomocniczy zmarł, skreślił jego nazwisko, napisał moje nad nim i pokazał mi testament. (Ojciec Mario Senigaglia w rozmowie z autorem)

Jego testamentu nie odnaleziono po jego śmierci, ale jestem pewna, że sporządził taki dokument. Pieniądze, które miał na koncie w Wenecji, przekazano mojej rodzinie, ponieważ teoretycznie nie pozostawił żadnego testamentu. Odesłaliśmy te pieniądze z powrotem do Wenecji, dla jego diecezji, ponieważ wiedzieliśmy, że taka była jego wola. Część przejął jego następca, część przeznaczono na wybrane placówki dobroczynne. Wiem, że istniał testament. Kiedy przenosił się z Belluno do Vittorio Veneto, zniszczył ten testament i sporządził nowy. Podobnie postąpił przenosząc się do Wenecji. Zniszczył stary testament i sporządził nowy. Tak samo było, gdy został papieżem. Ojca Carlo, jednego z jego sekretarzy w Wenecji poproszono o przewiezenie potem testamentu do Watykanu. Don Carlo uczynił to. Powinien istnieć albo testament napisany przez Lucianiego w ciągu 33 dni jego pontyfikatu, albo testament z Wenecji. W tych sprawach był zawsze bardzo dokładny. Nie wiem, dlaczego nie potrafiono go znaleźć. (Pia Luciani w rozmowie z autorem)

Dobra doczesne, jak już ustalono, nie miały dla Lucianiego żadnego znaczenia. Jeżeli chodzi jednak o testament papieski, to z pewnością można założyć, że zawiera coś więcej niż tylko wskazówki w sprawie podziału materialnych praw własności. Tradycyjnie w testamencie takim znajdują się również posłania duchowe, komentarze i myśli na temat stanu Kościoła. Czyżby usunięto testament Albino Lucianiego dlatego, że przekazał autentyczny obraz uczuć i poglądów, które przyszyły papieżowi do głowy w pierwszych tygodniach od objęcia funkcji? Czyżby biegły w pisaniu, jeden z najbardziej literacko uzdolnionych papieży czasów nowożytnych nie pozostawił pisemnego świadectwa swoich wrażeń? Czyżby rewolucyjny Luciani zrezygnował z przelania na papier swoich myśli i notatek?

Wielu czytelników może zaszokować fakt, że z Watykanu, miejsca, w którym dla milionów wiernych bije serce chrześcijaństwa, przekazano opinii publicznej tak wiele fałszywych i wprowadzających w błąd informacji. Czyż nie jest jednak równie wstrząsające,

kiedy po śmierci papieża ludzie, którzy poświęcili swoje życie Jezusowi Chrystusowi, niszczą tak istotne dowody? Czyż nie jest tak samo przerażające, kiedy sekretarz stanu, kardynał Villot, uroczyście zobowiązuje członków domu papieskiego do milczenia? Czy nie jest tak samo przerażające, gdy Villot, którego funkcja czyni go niejako zastępcą papieża, usuwa z sypialni papieskiej lekarstwa, okulary i pantofle domowe? Kiedy zmarłemu papieżowi wyjmuje z rąk i usuwa plik dokumentów? Dokumentów, z których można było wyczytać zmiany personalne zaplanowane przez Lucianiego i omówione z kardynałem Villotem na krótko przed całkowicie niespodziewaną śmiercią.

Czy Villot był wtajemniczony w spisek na życie papieża? Jego działania podjęte rankiem 29 września do złudzenia przypominały działania człowieka, któremu zależy na zatuszowaniu prawdziwych okoliczności śmierci. Łatwo mógł zabrać testament, kiedy wczesnym rankiem z jego biurka prowadził swoje rozmowy telefoniczne. Jest oczywiste, że musiało mu zależeć na tym, by nie zachowało się żadne pisemne świadectwo powziętego przez Lucianiego zamiaru odwołania go ze stanowiska. Jeden Bóg tylko wie, co jeszcze ukradziono z apartamentów papieskich.

Ojciec Magee, siostry i ja wszędzie szukaliśmy tych przedmiotów w apartamentach papieskich. Nie znaleźliśmy ich. Poszukiwaliśmy ich dalej przed południem 29 września. (Ojciec Diego Lorenzi w rozmowie z autorem)

Wiemy z całą pewnością, że przedmioty te znajdowały się na miejscu, zanim nie przywołano Villota. Okulary, na przykład, zmarły miał jeszcze na twarzy, kiedy znalazła go siostra Vincenza. Kiedy Villot odszedł, brakowało tych przedmiotów.

Watykan kłamał twierdząc, że to ojciec Magee odkrył ciało *rankiem 29 września około 5.30*. W osobistej rozmowie siostra Vincenza opisała mi, jak i kiedy znalazła zmarłego. Wcześniej swoją historię opisała praktycznie tymi samymi słowami monsignore Mario Senigaglii, bratanicy Lucianiego, Pii i jej siostrze, Ninie. *Cud, że to przeżyłam — mam słabe serce. Nacisnęłam przycisk dzwonka, by przywołać sekretarzy, potem wyszłam, by poszukać pozostałych sióstr i obudzić Don Lorenziego*. Opowiedziała mi dalej, że kiedy przepełniona strachem wlepiła oczy w ciało zmarłego, nagle zadzwonił budzik. Wyciągnęła instynktownie rękę i wyłączyła go.

Istnieje jeden dziwny fakt, który może potwierdzić prawdziwość wypowiedzi siostry Vincenzy. W jednym z opowiadań Conan Doyle'a Sherlock Holmes wyciąga ważny wniosek z prostego faktu, że w pewnej określonej sytuacji pies nie zaszczekał. Na stoliku nocnym papieża znajdował się budzik, który rankiem 29 września nie zadzwonił. Bardzo dokładnie przepytalem na ten temat zarówno obu sekretarzy papieża, jak i innych członków domu

papieskiego. Wszyscy są całkowicie pewni, że tego ranka, kiedy Albino Lucianiego znaleziono martwego w jego łóżku, nie zadzwonił budzik, który nastawiał on codziennie od lat. Budzik był stale nastawiony na 4.45. Według oficjalnych danych, zmarłego odkryto o godzinie 5.30. Diego Lorenzi, który nocował w tak bezpośrednim sąsiedztwie sypialni papieża, oświadczył, że nie słyszał dzwonienia budzika.

Po śmierci papieża Pawła VI w sierpniu 1978 r. upłynęły 24 godziny, zanim zabalsamowano jego ciało — dokładnie tyle, ile wymagają przepisy włoskie. Ciało Lucianiego zabalsamowano 14 godzin po znalezieniu go i 20 po oficjalnie podanej godzinie zgonu. Skąd ten pośpiech? Kilka oznak wskazuje na to, że pierwotnie Villot jeszcze bardziej spieszył się z zabalsamowaniem ciała i zamówił odpowiednich fachowców już wtedy, gdy zmarłego jeszcze „oficjalnie” nie znaleziono. Jeżeli Magee odkrył ciało *około* 5.30, to dlaczego braciom Signoracci polecono przyjść już między 4.45 a 5.00? Czy nie była to zbyt duża przezorność?

Włoska agencja informacyjna ANSA, ciesząca się pod względem wiarygodności nie mniejszą sławą, niż agencja AP lub Reuter, 29 września obok innych informacji związanych ze śmiercią papieża rozpowszechniła także informację, w której między innymi czytamy:

Obu braci Signoracci, Ernesto i Renato (...) obudzono dziś o świcie i o 5.00 odebrano z domu samochodem służbowym Watykanu. Samochód zawiózł ich do kostnicy małego państwa, gdzie zabrali się do pracy.

Odszukałem redaktora odpowiedzialnego za tę informację i rozmawiałem z nim. Mario de Francesco potwierdził ścisłość tej informacji, opartej na wywiadzie przeprowadzonym tego samego dnia z braćmi Signoracci. Sam również wypytywałem braci. Jeśli chodzi o godzinę ściągnięcia ich z łóżek, to dziś, po prawie pięciu latach nie mogą jej sobie tak dokładnie przypomnieć. Mogą jedynie potwierdzić, że było to wczesnym rankiem 29 września. Jeżeli prawdą jest, co swego czasu napisał Francesco, to mamy tu sytuację znaną z poczynąń mafii: grabarzy zamówiono, zanim jeszcze odkryto ciało.

W każdym razie zamówiono ich, zanim nawet zbadano przyczynę zgonu. Jaki interes miał Watykan w uniemożliwieniu autopsji?

Jeżeli istnieje we Włoszech człowiek, który mógłby orzec, czy Luciani zmarł na zawał mięśnia sercowego, to jest nim profesor Giovanni Rama, okulista, leczący go w 1975 r. z powodu krwaka na lewym oku. Uważa on za możliwe, że problem z naczyniami krwionośnymi w jakimś momencie mógłby spowodować śmierć Lucianiego, ale wskazał mi jednak równocześnie na to, iż ocena ta pozostanie teoretyczną tak długo, dopóki nie będzie można jej zweryfikować przez sekcję zwłok. Gdyby kardynał Villot wierzył w to, że Albino

Luciani zmarł śmiercią naturalną, to profesor Rama byłby kompetentnym człowiekiem, aby to potwierdzić. Jak mnie poinformował, po śmierci Lucianiego Watykan w ogóle nie nawiązał z nim żadnego kontaktu. *Byłem bardzo zaskoczony, że nie wezwano mnie, bym przybył i zbadal ciało papieża*, powiedział.

Najbardziej interesująca wypowiedź, jaka w tej sprawie padła z ust lekarza, pochodzi od profesora Mario Fontany (w każdym razie jemu się ją przypisuje). Z komentarzem tym miał on wystąpić w kręgu prywatnym niemal bezpośrednio po śmierci papieża. Wypowiedź ta stała się znana publicznie jednak dopiero po śmierci profesora Fontany w 1980 r.

Jeżeli w takich okolicznościach po zejściu śmiertelnym jakiegoś zwykłego, mało znaczącego obywatela miałbym wystawić świadectwo zgonu, musiałbym po prostu odmówić i nie dopuściłbym, by go pochowano.

Profesor Mario Fontana był dyrektorem watykańskiej służby zdrowia.

W jaki sposób i dlaczego ciemność ogarnęła rzymskokatolicki Kościół dnia 28 września 1978 roku?

Aby móc udowodnić, że ktoś zmarł gwałtowną śmiercią, niekoniecznie trzeba wykazać, że byli tacy, którzy mieli motyw do popełnienia tej zbrodni. Motyw jest jednak pożytecznym drogowskazem; potwierdzi to każdy doświadczony inspektor kryminalistyki. Jeżeli nie zna się motywu — błądzi się po omacku. Jeśli chodzi o śmierć Albino Lucianiego, to istnieje zastraszająco wiele motywów. Liczne z nich przedstawiłem w tej książce. Wymieniłem również po nazwiskach ludzi, którzy je mieli.

To, że trzy z tych osób — Wlot, Cody i Marcinkus — są duchownymi, wcale nie wyklucza ich z kręgu podejrzanych. Teoretycznie duchowni powinni oczywiście pozostawać poza wszelkimi podejrzeniami. Powinni. Niestety, na przestrzeni dziejów wielu z nich wykazało zdolność do popełnienia zbrodni.

Villot, Cody, Marcinkus, Calvi, Sindona: każdy z nich miał mocne motyw. Czy kardynał Villot mógłby zabić papieża, by zachować swój urząd sekretarza stanu Watykanu, by bronić przed krzywdą innych przewidzianych do wymiany dostojników, a przede wszystkim, by nie dopuścić do wprowadzenia przez Albino Lucianiego nowego stanowiska Kościoła w sprawie kontroli urodzeń?

Czy przy pomocy niektórych ze swoich wielu przyjaciół w Watykanie kardynał Cody mógłby usunąć z drogi papieża, który chciał pozbawić go silnej pozycji w Chicago?

Czy morderstwo mógł popełnić (lub nakłonić do jego popełnienia) biskup Marcinkus, zwierzchnik skorumpowanego do cna banku, aby zapewnić sobie pozostanie na stanowisku przewodniczącego IOR?

To całkiem możliwe, że jeden z tej trójki ma papieża na sumieniu. Jest pewne, że Villot po znalezieniu ciała popełnił przestępstwo — usunął materiały dowodowe, świadomie przedstawił fałszywy opis wydarzeń, zobowiązał naocznych świadków do milczenia. Taki sposób postępowania może wywoływać jedynie podejrzenia.

Z jakiego powodu biskup Paul Marcinkus chodził o tak wczesnej porze po Pałacu Apostolskim?

Przy normalnym dochodzeniu prokuratorskim wszyscy trzej musieliby odpowiedzieć na wiele pytań. Dziś, pięć lat później, wyjaśnienie sprawy tą drogą nie jest już możliwe. Villot i Cody nie żyją, a Marcinkus siedzi w Watykanie nieosiągalny dla włoskiej policji.

Najsilniejszym argumentem, który można byłoby przytoczyć na obronę tych trzech mężczyzn, nie jest z pewnością odwołanie się do ich własnych zapewnień o niewinności, lecz to, że są oni lub byli sługami bożymi, dostojnikami Kościoła rzymskokatolickiego. Licząca 2000 lat historia Kościoła nauczyła tych ludzi działać dalekowzrocznie i z rozważą. Historia Watykanu jest historią licznych papieży, którzy występowali z zamiarami przeprowadzenia reform i musieli przyglądać się, jak system, aparat, hamował i niweczył te inicjatywy. Jeżeli Kościół generalnie, lub Kuria w szczególności, chciałyby tego, mogłyby bardzo poważnie wpłynąć na papieskie decyzje. W innym miejscu pokazano już, jak grupa ludzi, którzy stanowili mniejszość wewnątrz Kościoła, narzuciła papieżowi Pawłowi VI swoją wolę w sprawie regulacji urodzeń. Przypomnijmy sobie również, że kardynał Baggio bez ogródek odmawiał stanowiska następcy Lucianiego w Wenecji.

Jeśli chodzi o zmiany, które chciał wprowadzić Luciani, to z pewnością wielu w Watykanie powitałoby je z zadowoleniem. Jednakże nawet po tych, którzy mieli największe powody do obaw, należało się spodziewać, że najpierw by się uciekli do mniej dramatycznych środków. Rozważania te, jak już powiedziano, nie wykluczają z kręgu podejrzanych Villota, Cody'ego i Marcinkusa, ale przesuwają ich w kierunku końca listy, na której początku stoją tym samym nazwiska Calviego, Sindony i Gelle-go. Czy ci trzej mężczyźni, lub jeden z nich, byli zdolni do takiego czynu? Krótka odpowiedź brzmi: tak.

Niezależnie od tego, kto zamordował papieża Albino Lucianiego, sprawca najwyraźniej liczył na to, że następne konklawe i następny papież wyrzucą na makulaturę osobiste decyzje Jana Pawła I. Dla wszystkich pięciu mężczyzn wybór „właściwego” człowieka na papieża mógłby przynieść ratunek. Z pewnością żaden z nich nie zaryzykowałby morderstwa tylko po to, by zapewnić sobie miesięczną karencję udzieloną z łaski. Chodziło o zatroszczenie się, by wybrano „właściwego człowieka”; wówczas nie obawiano by się już niczego więcej. Dwóch z tej piątki, Villot i Cody, miało daleko sięgające

możliwości wywierania wpływu na wybór dokonywany przez konklawe. Również Marcinkus nie był pozbawiony takiego wpływu. Odpowiednimi możliwościami i środkami dysponowali także Sindona i Gelli.

W willi Ortolaniego, podczas tajnego spotkania, grupa kardynałów ustalała ongiś strategię wyborów papieża, która doprowadziła do zwycięstwa Pawła VI. Gelli i Ortolani jako szefowie P 2 mieli dostęp do wszystkiego i do każdego w Watykanie, również we Włoszech mieli dojścia do centrum władzy państwowej i gospodarczej oraz do kierownictwa policji i aparatu wymiaru sprawiedliwości.

Czy takie przedsięwzięcie da się w ogóle zrealizować? Czy można pokonać systemy bezpieczeństwa Watykanu? To prawda, że w omawianym okresie system bezpieczeństwa Watykanu był tak dziurawy jak ser szwajcarski. Każdy mógł łatwo przedostać się do papieża, tak jak człowiek o nazwisku Michael Fagin w środku nocy wszedł do pałacu Buckingham i po krótkiej wędrówce po pałacu wylądował w sypialni królowej brytyjskiej i poprosił ją o papierosa. Tak samo łatwo, jak człowiekowi o nazwisku John Hinckley udało się wdrzeć do świąty prezydenta Reagana i oddać do niego strzały z odległości kilku metrów. Tak samo łatwo, jak człowiek o nazwisku Ali Agca w środę, 13 maja 1981 r. znalazł się w bezpośredniej bliskości papieża Jana Pawła II i oddał do niego trzy strzały.

Jan XXIII zlikwidował zwyczaj trzymania warty przez szwajcarskich gwardzistów przez całą noc przed papieskimi apartamentami. Nie może to jednak w żaden sposób usprawiedliwiać faktu, że dla ochrony Albino Lucianiego nie podjęto właściwie żadnych kroków. Miasto watykańskie ze swymi sześcioma bramami było otwarte jak wrota stodoły dla każdego nieproszonego gościa, który miał minimalne rozeznanie i trochę sprytu.

Konklawe, które wybrało Lucianiego na papieża, było teoretycznie jedną z najlepiej pilnowanych i odizolowanych imprez, jakie miały miejsce na świecie. Czytelnik przypomni sobie być może te niezwykle drobiazgowo przepisy, które kazał opracować Paweł VI w celu zagwarantowania, by nikt nieupoważniony nie mógł dotrzeć do odbywających posiedzenia w ścisłej izolacji kardynałów. A jednak mimo to, młodemu, zwykłemu księdzu, ojcu Diego Lorenziemu, jak mi to bardzo pogładowo opisał, udało się wejść niezauważenie do Kaplicy Sykstyńskiej, kiedy pewnego razu musiał pilnie rozmawiać z Albino Lucianim. Dopiero kiedy znalazł się w zasięgu wzroku uczestniczących w posiedzeniu kardynałów, ktoś zapytał go, kim jest i czego szuka. Gdyby na jego miejscu znalazł się terrorysta przebrany za księdza i pod sutanną wniósł bombę, nikt nie mógłby mu przeszkodzić w wysadzeniu w powietrze całego konklawe.

Podczas sierpniowego konklawe niektórzy obserwatorzy wyrażali zdziwienie, że

całkowicie zaniedbano wszelkich kroków mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa. By zacytować tylko dwóch:

Podczas tej imprezy istniało jednoznaczne ryzyko zamachu terrorystycznego, nawet jeżeli nikt o nim nie wspomniał. Według mnie w ostatnim tygodniu ochrona wokół Watykanu nie była dostateczna, być może dlatego, że rozległy obiekt pałacowy i liczne dojścia na poziomie parteru stwarzały pod tym względem problemy nie do rozwiązania. Jeszcze jeden dodatkowy powód, by konklawe szybko doprowadzić do końca. (Paul Johnson, „Sunday Telegraph” z 27 sierpnia 1978 r.)

*Według mego rozeznania, dla funkcjonariuszy bezpieczeństwa najbardziej interesującą częścią ich pracy jest flirtowanie z ładnymi dziewczętami w ulicznych kafejkach. Mam nadzieję, że Czerwone Brygady na dzisiejszy wieczór (tj. na uroczystości pogrzebowe Pawia VI) nic nie zaplanowały. Mogłoby to za jednym zamachem przenieść na tamten świat wielu mężów stanu. (Andrew Greeley, *The Making of the Popes*)*

Niecałe dwa miesiące później, podczas pogrzebu Albino Lucianiego środki bezpieczeństwa były, według tego samego autora, zdumiewające... Osobliwe jest to, że po śmierci Lucianiego środki bezpieczeństwa, których za jego życia nie uważano za konieczne, nagle stały się tak zaawansowane i tak bardzo widoczne. Ojciec Diego Lorenzi powiedział, że kiedy przebywał w apartamentach papieskich u Albino Lucianiego, nigdy nie widział w tym rejonie osobistej ochrony papieża.

Rozmawiałem z sierżantem Hansem Rogganem z Gwardii Szwajcarskiej. W nocy, podczas której zmarł Luciani, był on oficerem dyżurnym służby wartowniczej. Jak mi opowiedział, wczesnym wieczorem był ze swoją matką w jednej z restauracji rzymskich. Kiedy wracali o 22.30 widzieli światło w sypialni papieża. Matka Roggana poszła potem spać, a on objął służbę. Opowiadał mi:

Z jakiegoś powodu była to dla mnie straszna noc. Tej nocy byłem oficerem wartowniczym odpowiedzialnym za Pałac Apostolski. Nie mogłem po prostu zasnąć. O wpół do czwartej wstałem i obszedłem cały Pałac; wszędzie panował spokój. Powróciłem do mojego pokoju i wciąż jeszcze nie mogłem zasnąć. W końcu wstałem, poszedłem do biura i wziąłem parę ksiąg. Normalnie mam dobry sen.

Oficer odpowiedzialny za bezpieczeństwo Pałacu Apostolskiego w nocy, przewraca się w łóżku i nie może zasnąć. Wobec takiego stwierdzenia odechciewa się już stawiania więcej pytania, dlaczego nikt nie uważał za konieczne zbadania niezwykle jednak faktu, że w sypialni papieża światło paliło się całą noc. Po zamordowaniu prezydenta Kennedy'ego w 1963 r. w Dallas wiele mówiono o niedoskonałości i zawodności środków bezpieczeństwa.

Jednak w porównaniu z tym, co zapewniono pod tym względem Albino Lucianiemu, Kennedy był nader starannie chronionym człowiekiem.

Jak wykazały moje dociekania, w czasie kiedy Luciani urzędował jako papież, na górnym końcu schodów do drugiej loggi stał na warcie gwardzista. Pełnił on jednak jedynie funkcję ceremonialną, ponieważ prawie nikt i nigdy nie podążał tą drogą do apartamentów papieskich. Wykorzystywana na co dzień droga prowadziła przez windę, do której klucze miało wiele osób. Dojście do windy na parterze nie było strzeżone. Każdy, jeżeli miał tylko na sobie sutannę, mógł niezauważony dostać się na piętro papieskie i opuścić je.

Mnożą się dowody świadczące, jak zawodne są środki bezpieczeństwa stosowane w Watykanie i jak dyletancko się je stosuje. Niedawno odkryto zapomniane schody w pobliżu apartamentów papieskich. Nie zamurowano ich, ani nie uczyniono niedostępnymi w inny sposób. Było po prostu tak, że nikt nie wiedział o istnieniu tych schodów. Albo też był ktoś, kto je znał — i być może wykorzystał we wrześniu 1978 r.?

Gwardziści szwajcarscy, którzy podczas pełnienia służby wartowniczej śpią. Gwardziści szwajcarscy, którzy pilnują nie używanego przez nikogo przejścia. Schody, o których istnieniu nikt nie ma pojęcia. Nawet zamachowiec — amator nie miałby żadnych problemów z zabiciem Albino Lucianiego. A ci, którzy to uczynili, nie byli amatorami. Dziennik „L'Osservatore della Domenica” jakby z zamiarem ułatwienia zadania mordercom papieża opublikował szczegółowy plan mieszkania papieskiego, dodatkowo załączając zdjęcia. Dzień tej publikacji: 3 września 1978 r.

Gdyby Ali Agca trochę lepiej się poinformował, Jana Pawła II nie byłoby dziś już wśród żyjących. Im bardziej dokładnie zajmowałem się tą sprawą, tym wyraźniej było widać, że niezależnie od tego, kto opracował plan zamordowania Albino Lucianiego, człowiek ten miał dość łatwe zadanie. We wrześniu 1978 r. nie było żadną sztuką dostanie się do apartamentów papieskich i zajęcie się w sposób niezauważony albo lekami Lucianiego, albo przeznaczonymi dla niego potrawami i napojami.

Całą sprawę ułatwiało mu jeszcze to, że sprawca niemal z całkowitą pewnością mógł się liczyć z tym, że nie zostanie przeprowadzona sekcja zwłok. Brak było nawet lekarza będącego do dyspozycji przez całą dobę. Urządzenia, którymi dysponowała w owym czasie watykańska służba zdrowia nie odpowiadały standardowi przeciętnego nowoczesnego szpitala. Brak było urządzeń potrzebnych w nagłych przypadkach.

Również po śmierci Lucianiego najwyraźniej nie zlikwidowano niedociągnięć w watykańskim systemie bezpieczeństwa. W trakcie moich dociekań poszedłem kiedyś na spacer do ogrodu Augustinum, po którym podczas konklawe przechadzał się również Luciani.

Była niedziela wrześniowa 1982 r. Naprzeciwko, po drugiej stronie Placu Św. Piotra Jan Paweł II ukazał się na balkonie, by odmówić południową modlitwę Anioł Pański. Z miejsca, w którym stałem miałem niezakłócony widok — a może powinienem powiedzieć linię strzału? — górnej części ciała Jego Świątobliwości. Gdyby Agca lub ktoś inny jego pokroju czyhał w tym miejscu, z całym spokojem mógłby wycelować do papieża, strzelić i minutę później zniknąć w tłumie na ulicach Rzymu. Nikt nie zatrzymał mnie w drodze do ogrodu.

Kilka dni później nie zatrzymany przez nikogo przeszedłem spacerkiem przez Bramę Św. Anny do Watykanu. Trzymając w ręku aktówkę, w której łatwo zmieściłaby się jakaś bomba, znowu nie zaczepiony przez nikogo wkroczyłem do Banku Watykańskiego. Tydzień później razem z dwoma prowadzącymi śledztwo byłem umówiony na rozmowę z kardynałem Ciappi w Watykanie. Do centrum Watykanu weszliśmy nie legitymując się i bez sprawdzania naszych rzeczy (wszyscy trzej mieliśmy aktówki i torby). Było to dwa lata po strzałach Ali Agcy na Placu Św. Piotra, w wyniku których Jan Paweł II o włos uniknął śmierci.

Nie można wykluczyć, że człowiek, który czuje się zdrowym, nagle dostaje ataku serca i umiera. Nie można wykluczyć, że Albino Luciani, który nie palił i nie pił prawie żadnego alkoholu, jadł bardzo skromnie i miał zbyt niskie ciśnienie krwi, odpowiadając tym samym wszystkim kryteriom maksymalnie wykluczającym schorzenia serca, miał po prostu pecha, że jest całkowicie nienormalnym przypadkiem. Że miał pecha, padając ofiarą schorzenia serca, którego nie zauważono po prostu w licznych testach EKG i w badaniach rutynowych, i których nigdy nie odczuwał, nawet w 65 roku życia. Że miał pecha, tak szybko, tak nagle umierając, że nie dał nawet rady nacisnąć dzwonka znajdującego się w zasięgu wyciągniętej ręki. Nie można tego wszystkiego wykluczyć, ale dwaj profesorowie, Rulli i Masini, dwaj eksperci, których wypytywałem w Rzymie, oświadczyli mi: *Jest bardzo, bardzo nieprawdopodobne, że śmierć przychodzi tak szybko, iż chory nie może już niczego więcej zrobić. Zdarza się to tylko rzadko, bardzo rzadko.*

W rzeczywistości prawdopodobieństwo, że Luciani zmarł naturalną śmiercią, jest bardzo nikłe. Tak nikłe, że głupotą byłoby aprioryczne odrzucenie możliwości zabójstwa. Osobiście jestem przekonany nie tylko o tym, że go zamordowano, lecz również o tym, że sprawca lub sprawcy wywodzą się spośród sześciu wymienionych przeze mnie podejrzanych, i że wśród nich należy ich szukać.

Mający 65 lat Albino Luciani był w oczach wybierających go kardynałów w najbardziej właściwym wieku na papieża. Paweł VI miał w chwili swego wyboru 66 lat i kierował Kościołem 15 lat. Jana XXIII wybrano w wieku 77 lat tylko jako kandydata przejściowego, ale pełnił tę funkcję przez 5 lat. Luciani, jak zakładało wybierające go

konklawe, miał kierować Kościołem przez co najmniej 10 lat. Takie konklawe, kosztujące ponad pół miliona dolarów, jest drogą imprezą. Takie koszty Kościół bardzo niechętnie ponosi częściej niż to konieczne. Niespodziewanie szybki koniec Lucianiego spowodował, że w ciągu 2 miesięcy konklawe zbierało się dwukrotnie.

Nie wierzę oczywiście, by decyzję o zamordowaniu Lucianiego podjęto 28 września 1978 r., lub też uknuto w tym dniu konkretny plan działania. O wyroku śmierci na Lucianiego rozmawiano z pewnością już wcześniej. Ile wcześniej, oto jest pytanie!

Być może kilka dni po jego wyborze, kiedy zaczął się bliżej przyglądać sytuacji majątkowej i interesom Watykanu — Spółki z o.o. Być może w ciągu pierwszych dwóch tygodni września, kiedy do uszu niektórych zainteresowanych dotarła wiadomość, że zaczął zasięgać informacji o masonach w Watykanie. Być może w połowie września, gdy wiadomo było z całą pewnością, że Marcinkus i inne osoby piastujące kierownicze stanowiska w Banku Watykańskim zostaną pozbawione swych funkcji. Istnieje także możliwość, że plan zamordowania Albino Lucianiego uknuto dopiero kilka dni przed tym czynem, kiedy podjął już kilka innych, potencjalnie brzemiennej skutki i poważnych decyzji. Niezależnie od tego, kto podjął decyzję, kto uknął plan, jego realizacja nie nastąpiła nawet o chwilę za późno dla ludzi, których wymieniłem jako przypuszczalnych winnych. Gdyby zostawili sobie jeszcze kilka dni, byłoby za późno.

Przedstawiony w tej książce materiał obciążający ma, prawie bez wyjątku, charakter poszlakowy. W wypadku morderstwa zabiegający o jego wyjaśnienie bardzo często muszą się zadowolić dowodami poszlakowymi. Obowiązuje to oczywiście tym bardziej, kiedy morderstwo, jak w tym przypadku, zostaje upozorowane na śmierć naturalną. Ktoś, kto przygotowuje upozorowane w ten sposób morderstwo, nie będzie informował o swoich zamiarach na tytułowych stronach „Timesa”, „Washington Post” czy „Frankfurter Rundschau”. Stosunkowo rzadko zdarza się również, że przy realizacji tego rodzaju przestępstwa są obecni niezależni obserwatorzy, którzy jako naoczni świadkowie mogliby opisać przebieg wypadków.

Jeden fakt zasługuje na szczególne podkreślenie raz jeszcze w związku ze śmiercią Albino Lucianiego: że w znacznym stopniu powiodła się tu próba popełnienia przestępstwa doskonałego — przez upozorowanie śmierci naturalnej. Do dnia dzisiejszego sprawdza się rachunek tych, którzy to morderstwo zaplanowali i popełnili; morderstwo, które z pewnością powinno znaleźć się na czele listy przestępstw stulecia.

Gdybyśmy chcieli rzucić więcej światła na to, kto powinien odpowiedzieć za zamordowanie Albino Lucianiego, powinniśmy zająć się sprawami, do których doszło

podczas drugiego konklawe w 1978 r. oraz późniejszymi zjawiskami. Krytyczne prześwietlenie pewnych wydarzeń powinno nam pomóc zidentyfikować człowieka, który trzymał w ręku nici spisku na życie „Kandydata Boga”.

Korzyść z morderstwa - wszystko pozostaje po staremu

Kiedy w niedzielę 15 października 1978 r. rozpoczęła się procedura wyborcza następcy Jana Pawła I, okazało się, że tym razem Duch Święty świecił nieobecnością. Tury głosowania w pierwszym dniu były nacechowane żmudnymi i zażartymi zmaganiem, głównie między zwolennikami Siriego a tymi, którzy popierali Benellego. Niezależnie od tego, kto zainscenizował zamordowanie Lucianiego, niewiele brakowało, by z deszczu wpadł pod rynnę: w ciągu ośmiu tur głosowania, trwających dwa dni, kardynał Giovanni Benelli uzyskał liczbę głosów minimalnie tylko mniejszą od niezbędnej do zwycięstwa większości dwóch trzecich. Gdyby wybrano Benellego, bez wątpienia kontynuowałby on realizację wielu zapoczątkowanych przez Albino Lucianiego procesów i przedsięwzięć: Cody musiałby ustąpić, Villota pozbawiono by jego stanowiska, Marcinkus, de Strobel i Mennini zostaliby usunięci z Banku Watykańskiego i być może doszłoby do dociekań i odkryć w sprawie śmierci Albino Lucianiego.

Jednak Benellemu zabrakło w końcu dziewięciu głosów, a zwycięzca wyborów, polski kardynał Karol Wojtyła, jest niemal pod każdym względem przeciwieństwem Benellego. Od początku swego pontyfikatu dostarczył niezliczonych przykładów na to, że poza imieniem papieskim Jana Pawła nie ma nic wspólnego ze swoim poprzednikiem.

Na przekór zabiegom takich ludzi jak Benelli, Felici i inni, w Kościele katolickim (łącznie oczywiście z Watykanem—Sp. z o.o.) pod kierownictwem Jana Pawła II wszystko pozostało po staremu. Niezwykle sprzyjające warunki umożliwiające dalszy, niezakłócony bieg interesów, powstały w wyniku śmierci Lucianiego i śmierci wielu innych osób w późniejszym okresie, które zostały zamordowane od czasu, kiedy Jan Paweł I, we wrześniu 1978 r., tak samotnie i w tak osobliwy sposób rozstał się z życiem.

Po objęciu urzędu Jan Paweł II zapoznał się oczywiście ze zmianami personalnymi, zapoczątkowanymi przez Lucianiego. Zapoznano go tak samo z informacjami, jakie w związku z pewnymi problemami zebrał jego poprzednik, jak i z ich rezultatami: raportami na temat finansów watykańskich, sporządzonymi na polecenie Lucianiego przez Benellego, Feliciego i pracowników APSA. Wojtyła trzymał w ręku dokumenty, z powodu których Luciani zdecydował się zwolnić kardynała Cody'ego. Trzymał w ręku dokumenty świadczące o tym, że Watykan był przesiąknięty masonami. Dowiedział się o zapoczątkowanym dialogu Lucianiego z Departamentem Stanu USA i zaplanowanym spotkaniu z członkami komisji Kongresu do spraw demograficznych. Villot zapoznał nowego papieża również ze stanowiskiem, jakie Albino Luciani zajmował w sprawie regulacji urodzeń. Krótko mówiąc, papież Jan Paweł II miał wszelkie dane, by urzeczywistnić wszystko, co zaplanował jego

poprzednik. Jednak żadna z zaawizowanych przez Lucianiego zmian nie stała się rzeczywistością. Niezależnie od tego, kto zamordował uśmiechniętego papieża, nie uczynił tego nadaremnie.

Villot pozostał sekretarzem stanu. Cody zachował swoją bezsporną pozycję w Chicago. Marcinkus i jego asystenci — Mennini, de Strobel i de Bonis — nadal kierowali losami Banku Watykańskiego i w dalszym ciągu troszczyli się o to, by kwitły nielegalne transakcje z Banco Ambrosiano. Calvi oraz jego mistrzowie z P2, Gelli i Ortolani, mieli wolną rękę; pod ochronnym płaszczem Banku Watykańskiego mogli kontynuować wielkie defraudacje i oszustwa. W Nowym Jorku Sindona, przynajmniej czasowo, pozostał na wolności. Baggio nie został przeniesiony do Wenecji. Skorumpowany Poletti pozostał kardynałem — wikariuszem Rzymu.

W ciągu ostatnich pięciu lat podjęto niezliczone próby analizy osobowości Karola Wojtyły. Jakim jest człowiekiem?

Jest więc przede wszystkim człowiekiem, który dopuścił do tego, że swoje urzędy i godności zachowały takie postaci, jak Cody, Marcinkus, Mennini, de Stobel, Villot i Poletti. Nikt, dla ratowania honoru Wojtyły, nie może twierdzić, że nie zna on prawdy. Marcinkus jest odpowiedzialny bezpośrednio przed papieżem i byłoby dziecinną naiwnością wierzenie w to, że papież nie wie, ile rzeczy ma on na sumieniu. Baggio i Benelli osobiście apelowali do papieża, by usunął Cody'ego, i przedstawiali mu materiał obciążający. Wojtyła nie uczynił nic.

Z jednej strony papież ten zupełnie otwarcie gani księży z Nikaragui za ich działalność polityczną, z drugiej zaś udziela swego błogosławieństwa przemycaniu przez Kościół, potajemnie i nielegalnie, milionów dolarów do kas opozycji politycznej w Polsce, „Solidarności”. Mamy do czynienia z pontyfikatem o podwójnej moralności: inny kodeks postępowania dla papieża, a jeszcze inny dla reszty ludzkości. Pontyfikat Jana Pawła II okazał się szczęśliwym trafem dla zonglerów pieniędzy i kramarzy, dla pochlebców i lumpów, dla międzynarodowych gangsterów politycznych i finansowych, jak Calvi, Gelli i Sindona. Podczas gdy Jego Świątobliwość na całym świecie całuje asfalt pasów startowych na lotniskach i zdobywa sobie sławę gwiazdora środków masowego przekazu, którego występy, w ich inscenizowanym oddziaływaniu na masy, mają raczej więcej wspólnego z pogańskim kultem jednostki niż z chrześcijańską religijnością, ludzie za kulisami troszczą się o to, by kasy brzęczały jak nigdy dotąd. Szkoda, że surowe kazania Pontifexa Maximusa o moralności nie docierają do biur APSA i Banku Watykańskiego.

Po wyborze Lucianiego, jak już napisano, biskup Paul Marcinkus przedstawił swoim

współpracownikom w Banku Watykańskim ponurą prognozę: *Nastawcie się na to, że ten papież ma inne poglądy niż poprzedni. Dojdzie tu do zmian. Wielkich zmian.*

Wybór Wojtyły nastawił zwrotnice na bezpośredni powrót do poglądów Pawła VI. Weźmy na przykład przeniknięcie wolnomularstwa do Watykanu. Obecny papież nie tylko dopuścił do tego, że Watykan oficjalnie toleruje w swoich murach wielu masonów z różnych łóż, lecz udzielił także swego błogosławieństwa dla własnej i specyficznej loży Kościoła. Jej nazwa brzmi: Opus Dei (Dzieło Boga).

Albino Luciani pisał o Opus Dei 25 lipca 1978 r. w weneckiej gazecie „Il Gazzettino”. Zadowolił się krótkim naszkicowaniem historii tego ruchu i wyliczeniem niektórych celów duchowych, przyświecających zakonowi. Jeśli chodzi o kontrowersyjne aspekty Opus Dei, to albo Luciani nic o nich nie wiedział, co jest jednak nieprawdopodobne, albo ponownie wykazał tu, charakterystyczną dla niego, dyskrecję.

Od kiedy urzęduje Karol Wojtyła, dyskrecja na temat Opus Dei nie jest już w cenie. Istnieją liczne świadectwa dowodzące, że jest on przyjacielem tej organizacji. Z uwagi na fakt, że ta sekta katolicka w wielu swoich poglądach jest zbliżona do P2, i wewnątrz Kościoła generalnie, a w państwie watykańskim szczególnie, stanowi dziś siłę, którą należy traktować poważnie, celowe wydaje się jej krótkie przedstawienie: Opus Dei jest organizacją katolicką o międzynarodowym zasięgu. Ma ona wprawdzie stosunkowo małą liczbę członków (szacunki wahają się między 60000 a 80000), ale jej wpływ jest znaczny. Opus Dei jest tajnym zakonem — formą organizacji, która według prawa kościelnego jest surowo zakazana. Opus Dei zaprzecza, że jest tajnym związkiem, ale jednocześnie odmawia publicznego udostępnienia listy swoich członków.

Opus Dei została założona w 1928 r. przez hiszpańskiego księdza Jose Marię Escriva de Balagnera. Ucieleśnia ekstremalne, prawicowe skrzydło Kościoła katolickiego i fakt ten sprawił, że organizacja ta zyskała zarówno wiernych zwolenników, jak i zawziętych wrogów. Duchowni, których jest 5 procent, stanowią tylko niewielką część członków; reszta to ludzie świeccy obu płci. W jej szeregach znajdują się wprawdzie ludzie ze wszystkich warstw, ale Opus Dei dąży do przyciągania członków elity akademickiej i politycznej, względnie studentów, ludzi mających szanse i ambicję zdobycia czołowych pozycji społecznych. Dr John Roche, docent uniwersytetu w Oxfordzie i były członek Opus Dei, charakteryzuje tę organizację jako *złowieszczą, tajemną i orwellowską*. Być może do nieprzyjaznego traktowania tej sekty przez środki masowego przekazu w znacznym stopniu przyczyniło się szczególne upodobanie ludzi z Opus Dei do pewnych specyficznych form zamykania się we własnym klanie. Jednak dla większości ludzi u schyłku XX wieku trudne do naśladowania

mogą być takie praktyki jak samobiczowanie ku większej chwale Boga i zakładanie na uda metalowych obręczy z kolcami od wewnątrz. Nie stanowi to oczywiście powodu do powątpiewania w uczciwe poświęcenie i ofiarność członków Opus Dei. Jednym z najistotniejszych celów, jakiemu poświęcają się oni z pełną ofiarnością, jest opanowanie Kościoła rzymskokatolickiego. Powinno to być powodem do większej czujności nie tylko znacznej większości katolików, ale także wszystkich innych. Za pontyfikatu Jana Pawła II ten tajny związek przeżywa nowy rozkwit. Nawet jeśli Karol Wojtyła nie jest członkiem Opus Dei, to dla jego popleczników jest on ucieleśnieniem ideału. Jedną z jego pierwszych czynności urzędowych po wyborze były odwiedziny u grobu założyciela Opus Dei, gdzie papież pogrążył się w modlitwie. Zademonstrował w ten sposób swe osobiste uznanie dla zakonu, co można ocenić jako istotny krok w kierunku poglądów kardynała Cody'ego, zgodnie z którymi jest się odpowiedzialnym tylko przed Rzymem i Bogiem.

Według własnych danych zakonu, członkowie Opus Dei znajdują się w redakcjach ponad 600 dzienników, czasopism i publikacji naukowych, jak również w ponad 50 rozgłośniach radiowych i stacjach telewizyjnych na całym świecie. Trzech członków Opus Dei zasiadało podobno w latach sześćdziesiątych w gabinecie dyktatora hiszpańskiego, Franco, i pomagało mu dokonać hiszpańskiego „cudu gospodarczego”. Człowiek, który do niedawna stał na czele potężnego koncernu hiszpańskiego Rumasa, Jose Mateos, członek Opus Dei, musiał zniknąć, kiedy rząd hiszpański zaczął wyciągać konsekwencje po stwierdzeniu, że wewnątrz tego koncernu, podobnie jak w imperium Calviego, otworzyła się przepaść korupcji. Opus Dei oznacza również ogromne bogactwo, na przykład w formie udziałów kapitałowych i posiadłości ziemskich.

Jose Mateos, uważany za najbogatszego człowieka w Hiszpanii, pompował w Opus Dei miliony, znaczna część tych pieniędzy pochodziła z nielegalnych transakcji, jakich dokonywał razem z Calvim w Hiszpanii i Argentynie. Skarbnik P2 ręka w rękę ze skarbnikiem Opus Dei — czyż nie pasuje to do twierdzenia Kościoła, że drogi Boga są niekiedy zagadkowe?

Od objęcia urzędu przez Jana Pawła II, usunięto za pomocą „włoskiego rozwiązania” wiele problemów, które stały na drodze panów: Marcinkusa, Calviego, Sindony i Gellego. Zastraszająco długa jest lista morderstw i zmasowanych prób zastraszenia w celu przykrycia zasłoną milczenia wypraw rabunkowych o niewyobrażalnych rozmiarach.

Roberto Calvi, Licio Gelli i Umberto Ortolani nie stanęli na ziemi włoskiej, dopóki Luciani był papieżem. Calvi powrócił wreszcie w końcu listopada 1978 r., po wyborze Karola Wojtyły. Gelli i Ortolani pozostali na swych posterunkach obserwacyjnych w Urugwaju. Czy

dziełem przypadku było to, że ci dwaj mężczyźni zatrzymali się w Ameryce Południowej w czasie pontyfikatu Lucianiego? Czy rzeczywiście miesiącami, od sierpnia do października lub listopada, ciągnęły się ich rokowania finansowe? Dlaczego Gelli i Ortolani przywiązywali taką wagę do tego, by przez cały wrzesień 1978 r. mieć Calviego tuż pod bokiem? Czy Calvi wreszcie potrzebował tak dużo czasu na doprowadzenie do końca rokowań w sprawie otwarcia nowych filii Banco Ambrosiano?

Chwila oddechu, jaką skarbnik P2 zyskał dzięki śmierci Lucianiego, nie byłaby długa, jak przekonał się o tym Calvi 30 października, podczas rozmowy z inspektorem bankowym, Giulio Padalino, z włoskiego Banku Państwowego. Również tym razem bankier ograniczył się do wlepiania oczu w czubki swoich butów i unikał wyraźnych odpowiedzi na wiele pytań. Siedemnastego listopada zamknięto dochodzenie włoskiego Banku Państwowego w sprawie Banco Ambrosiano. Mimo oszukańczego listu od Marcinkusa i jego kolegów z Banku Watykańskiego w sprawie ustalenia właściciela Suprafinu, mimo kłamstw i wykrętów Calviego, mimo pomocy jego protektora, Licio Gellego, inspektorzy bankowi w bardzo wyczerpującym raporcie doszli do wniosku, że wiele się psuje w państwie Calviego.

Przedstawiając się swym tajnym pseudonimem, Gelli zatelefonował z Ameryki Południowej do swego kompana, Calviego, do jego rezydencji. Miał dla niego złe wiadomości.

Zaledwie kilka dni po przekazaniu raportu przez inspektora bankowego, Giulio Padalino, kierownikowi włoskiego nadzoru bankowego, Mario Sarcinellemu, Licio Gelli miał jeden egzemplarz tego dokumentu w ręku. Nie otrzymał go od Sarcinellego, ani od Padalino, lecz przez kanały P2. Gelli powiedział Calviemu, że raport ten zostanie przekazany z Rzymu władzom sądowym w Mediolanie, a mówiąc dokładniej — sędziemu Emilio Alessandriniemu, jak to już przepowiedział we wrześniu.

Calvi tym samym znalazł się ponownie na krawędzi przepaści. Emilio Alessandrini nie był przekupny. Jako zdolny prawnik o nieustraszonego charakterze, Alessandrini stanowił realne i poważne zagrożenie dla Calviego, Marcinkusa, Gellego, a także Sindony. Gdyby dochodzenie to przeprowadził ze swoją zwykłą konsekwencją, z pewnością oznaczałoby to koniec Calviego. Ujawniono by machinacje Marcinkusa, co dla Gellego oznaczałoby zamknięcie źródła pieniędzy, Banco Ambrosiano, a Sindona stanąłby w obliczu najbardziej dotychczas przekonującego argumentu, potwierdzającego legalność jego planowanej ekstradykcji do Włoch.

Na początku stycznia 1979 r. pogłoski na temat Roberto Calviego, Rycerza, dostarczyły ponownie tematu do rozmów w mediolańskim świecie finansowym. Sędzia

Alessandrini starannie przestudiował 500-stronicowy raport włoskiego Banku Państwowego; teraz wydał szefowi mediolańskiej policji finansowej, podpułkownikowi Creście, polecenie skierowania jego urzędników do „banku księży”. Ich zadaniem było zbadanie, punkt po punkcie, napiętnowanych w raporcie, sprzecznych z prawem operacji i nieprawidłowości. Nikt spoza kompetentnych władz nie miał wglądu do raportu — nikt, poza Calvim i Gellim.

Czasopismo „L'Espresso” zajęło się 21 stycznia krążącymi po mieście pogłoskami, między innymi także spektakularną wiadomością, że wkrótce ma nastąpić aresztowanie Calviego i całego zarządu banku oraz pozbawienie go paszportu. Był najwyższy czas na podjęcie jakichś działań, zanim wybuchnie powszechna panika i ludzie rzucą się do okienek Banco Ambrosiano.

Rankiem 29 stycznia Emilio Alessandrini pożegnał się pocałunkiem ze swoją żoną. Po drodze do biura odwiózł do szkoły swego małego syna. Około 8.30 stał pod czerwonym światłem na Via Muratori i czekał na zielone. Wciąż wpatrywał się w czerwone światło, gdy nagle obok jego samochodu pojawiło się pięciu mężczyzn, przesywając kulami na wylot jego ciało.

Kilka godzin później zgłosiło się telefonicznie lewackie ugrupowanie terrorystyczne pod nazwą Prima Linea i przyznało się do popełnienia tego morderstwa. W budce telefonicznej na mediolańskim dworcu głównym znaleziono ulotkę podpisaną przez tę samą grupę. Ani w rozmowie telefonicznej, ani w ulotce, sprawcy nie podali przekonującego motywu swego czynu.

Dlaczego lewicowo-ekstremalna grupa miałaby z zimną krwią zamordować sędziego, który znany był w całym kraju dzięki swoim śledztwom przeciw prawicowym ugrupowaniom terrorystycznym? Emilio Alessandrini odgrywał czołową rolę w śledztwie prowadzonym w związku z zamachem bombowym w Piazza Fontana, który w powszechnym przekonaniu był dziełem prawicowych ekstremistów. Dlaczego Prima Linea miałaby usunąć człowieka, który przecież najwyraźniej usiłował dokonać czegoś metodami prawnymi i zgodnymi z przepisami, czegoś, co — przynajmniej teoretycznie — winno się spotkać z całkowitą aprobatą ugrupowań lewicowych, a mianowicie pociągnięcia do odpowiedzialności za ich czyny elementów prawicowo-ekstremistycznych?

Takie grupy jak Prima Linea i Czerwone Brygady nie zabijają tylko z motywów politycznych i ideologicznych; za opłatą realizują także zlecenia. Znane i udokumentowane są kontakty między Czerwonymi Brygadami i mafią neapolitańską.

Kiedy pisałem ten rozdział, przed sądem w Mediolanie stanęło dwóch ludzi, którzy przyznali się do udziału w zamordowaniu Alessandriniego. Sprawa ta, jeśli chodzi o przebieg

zdarzeń, jest praktycznie całkowicie wyjaśniona; jednak w odniesieniu do motywów i tła istniejące punkty zaczepienia budzą więcej pytań, niż wyjaśniają.

Marco Donat Cattin, który jako drugi otworzył ogień do nie uzbrojonego i bezbronnego sędziego, wypowiedział kiedyś godne uwagi zdanie: *Czekaliśmy, aż ukaza się gazety z informacjami o zamachu, by potem we wspomnieniach pośmiertnych o Alessandrini znaleźć motyw, którym moglibyśmy uzasadnić zamach.*

Trzy dni po zamachu, 1 lutego 1979 r. po południu, Roberto Calvi był gościem na pewnym przyjęciu. Rozmowy toczyły się oczywiście wokół tej strasznej zbrodni. Daleki od tego, by wykazać współczucie dla pani Alessandrini i jej pozbawionych teraz ojca dzieci, Calvi próbował natychmiast zbić kapitał na tym wydarzeniu: *To rzeczywiście hańba. Właśnie w dniu poprzedzającym to wydarzenie Alessandrini powiedział mi, że nie będzie podejmował już dalszych czynności i umorzy dochodzenie (przeciw mojemu bankowi).*

Śmierć Lucianiego zapewniła Marcinkusowi, Cal-viemu, Sindonie i ich przyjaciółom z P2 chwilę wytechnienia. Śmierć Emilio Alessandrinię sprawiła, że znowu zyskali na czasie. Wszczęte przez zamordowanego sędziego śledztwo prowadzono dalej, ale w ślimaczym tempie.

Mario Sarcinelli w Rzymie natychmiast zrozumiał, co się wydarzyło w Mediolanie. Razem z prezesem Banku Włoskiego, Paolo Baffim, byli zdecydowani zatroszczyć się o to, by długie i skomplikowane śledztwo, które prowadzili od roku, nie było daremne.

Na polecenie Sarcinellogo, Calvi musiał przybyć w lutym 1979 r. do Rzymu i poddać się dokładnemu przesłuchaniu, podczas którego zadawano mu pytania na temat towarzystwa Suprafin, kontaktów między Banco Ambrosiano i IOR, jego filii na Wyspach Bahama, jak również dokładnych stosunków własności w Banco Ambrosiano. Teraz, gdy Alessandrini już nie żył, Calvi najwyraźniej czuł się jak nowonarodzony lub, mówiąc lepiej: był znowu taki sam, jak niegdyś. Świadomość protekcji, jaką zapewniał mu przyjaciel Gelli, pozwalała mu na jeszcze większą pewność siebie niż normalnie. Stale odmawiał odpowiedzi na pytania Sarcinellogo; rozmowa ta uzmysłowiła mu jednak, że Bank Włoski był zdecydowany kontynuować swoje dochodzenie, i że zamordowanie Alessandrinię nie zmniejszyło niebezpieczeństwa grożącego mu z Rzymu.

Ponownie więc rozważył sytuację z Gellim, który zapewnił go, że niczego nie musi się obawiać. On, Gelli, już się tym zajmie.

Zanim mógł się poświęcić temu zadaniu, musiał zwrócić uwagę na inny problem, przyprawiający masonów z P2 o poważny ból głowy. Problemem tym był Mino Pecorelli. Do zajęć tego wszechstronnego adwokata i dziennikarza należało wydawanie niezwyklego

tygodnika informacyjnego: biuletynu agencji informacyjnej O.P., z którą w tej książce już się zetknęliśmy.

Działalność O.P. często charakteryzowano takimi określeniami, jak *kalanie własnego gniazda*, *dziennikarstwo skandalizujące* i *wywoływanie sensacji*. Wszystkie te nazwy były słuszne, jednak O.P. nie opierała się w swej pracy na zmyślonych czy wyolbrzymionych informacjach, ale na faktach. W latach siedemdziesiątych ujawniła zadziwiającą liczbę wypadków korupcji i informowała o nich w swoim biuletynie. Piśmidło to stało się obowiązkową lekturą dla każdego, kto chciał dokładnie wiedzieć, kto kogo w gospodarce włoskiej szantażował, oszukiwał lub obrabował. Mimo bardzo ostrego prawa prasowego we Włoszech, O.P. pozostawiano w zasadzie w spokoju. Było oczywiste, że Pecorelli musiał mieć wyśmienite i niezawodne źródła informacji. Wiele artykułów ukazujących się w gazetach włoskich powstawało na bazie informacji z biuletynu O.P. Wielu ludzi usiłowało dociec, kto stał za Pecorellim i jego, nie tylko dobrze poinformowaną, lecz najwyraźniej również skutecznie chronioną przed ingerencjami prawnymi, agencją informacyjną. Jednak nikomu to się nie udało. Siostra Pecorellego, Rosita, dała kiedyś w wywiadzie telewizyjnym do zrozumienia, że O.P. finansuje premier Andreotti.

Na początku lat siedemdziesiątych O.P. często łączono z Michele Sindoną. Pecorelli najwyraźniej dysponował informacjami z tajnej służby włoskiej, ale jego najważniejszymi świadkami byli członkowie organizacji, która była potężniejsza i bardziej tajna niż tajne służby rządu. Mino Pecorelli był członkiem P 2 i z szeregow tej tajnej i nielegalnej loży masońskiej uzyskiwał znaczną część informacji, którymi stale wywoływał poruszenie prasy i opinii publicznej. Podobno Licio Gelli podczas jednego posiedzenia loży wezwał obecnych na nim członków do ujawnienia dokumentów i informacji, które można byłoby przekazać do O.P. Można z tego wnioskować, że w owym czasie O.P. rzeczywiście pełniła dla Gellego funkcję wentyla celowych niedyskrecji, które mogły wspierać cele i dążenia P2. Gdzieś w połowie 1978 r. Pecorelli zdecydował się jednak działać na własną rękę i na własny rachunek.

Podrzucano mu informacje o jednej z największych w historii gospodarki włoskiej kradzieży. Inspiratorem tej operacji był Licio Gelli. Wspomniane machinacje, związane z podatkami od ropy naftowej, spowodowały, że włoska kasa państwowa poniosła straty w wysokości 2,5 mld dolarów. We Włoszech ten sam olej napędowy, stosowany do napędu silników wysokoprężnych, stosuje się w dużych ilościach również jako olej opałowy. Paliwo do silników wysokoprężnych jest obłożone 50-krotnie wyższym podatkiem niż olej opałowy i dla odróżnienia ich od siebie do tego ostatniego dodaje się specjalny barwnik. Dla Gellego ta sytuacja była wspianą gratką. Zainspirował potentata w branży naftowej i członka P 2,

Bruno Mussellego, do szeroko zakrojonej machinacji: Musselli zatroszczył się o to, by poważne ilości produktów rafineryjnych, deklarowanych jako olej opałowy, pozostawały niezabarwione, a generał Raffaele Giudice, również członek P2 i szef włoskiej policji skarbowej, fałszywymi wpisami zadbał o to, by władze podatkowe nie dostrzegły tej machinacji. Od paliwa do silników dieslowskich pobierano taki sam podatek jak od oleju opałowego. Uzyskane w ten sposób ze znacznym — by tak powiedzieć — rabatem paliwo sprzedawano potem po normalnych cenach właścicielom stacji benzynowych.

Zyski, przy uprzejmej pomocy członka P2, Michele Sindony, przemycano przez Bank Watykański na liczne tajne konta w szwajcarskiej filii Sindony, Finabanku w Genewie. Licio Gelli stał się „na granicy” dobrze znaną osobą, stale podróżującą między Rzymem i państwem Watykańskim; jednak ci, którzy regularnie widywali go wyjeżdżającego i wjeżdżającego przez Bramę Św. Anny, raczej nie wiedzieli, że dostarczał on do Banku Watykańskiego walizki pieniędzy.

Generał Giudice zawdzięczał swoją nominację na szefa policji skarbowej chrześcijańsko — demokratycznemu premierowi, Giulio Andreottiemu, który ze swej strony był przyjacielem Licio Gellego. Nominacja nastąpiła wkrótce po tym, jak kardynał Poletti, kardynał — wikariusz Rzymu, w liście do premiera ciepło polecił Giudice na to stanowisko. Czytelnik przypomina sobie zapewne, że Poletti był jednym z dostojników, których Albino Luciani chciał usunąć z Rzymu. Pecorelli nie wiedział o tym, że Watykan był uwikłany w machinacje z olejem opałowym, ale to, co wiedział poza tym o tej sprawie, wystarczyło mu do zamieszczenia króciutkiej informacji w swoim biuletynie. Reakcja nastąpiła prawie natychmiast: Pecorellego odwiedziła delegacja, w której skład wchodził: chrześcijańsko-demokratyczny senator Claudio Vitalone, sędzia Carlo Testi i generał Donato Lo Preta z policji skarbowej. Zadaniem delegacji było kupienie jego milczenia. Uzgodniono cenę i Pecorelli zaprzestał pisania o historii z olejem opałowym.

Kierując się logicznymi rozważaniami, że w ten sposób da się, być może, zarobić jeszcze więcej pieniędzy, Pecorelli zaczął pisać o określonych łóżach masońskich. Wrześniowy numer jego biuletynu z 1978 r., zawierający nazwiska ponad 100 watykańskich braci z loży, był pomyślany jako strzał ostrzegawczy pod adresem Gellego. Podwójnie nieprzyjemne dla tego ostatniego musiało być to, że jeden egzemplarz wylądował na biurku Albino Lucianiego, i że ów, zbadawszy sprawę, zaczął wyciągać praktyczne konsekwencje z tych odkryć. Gelli był bowiem świadomy niebezpieczeństwa, jakie ze strony nowego papieża groziło jego skarbnikowi, Roberto Calviemu.

Kiedy Luciani zmarł, Gelli próbował porozumieć się z Pecorellim. Zapłacił mu za

milczeniu. Jak to zawsze bywa w takich wypadkach, Pecorelli zażądał wkrótce więcej pieniędzy. Gelli odmawiał, Pecorelli opublikował więc artykuł będący, jak oświadczył, wstępem do całej serii. Ujawnił w nim, że Gelli, wzorcowy faszysta, prowadził w czasie wojny działalność wywiadowczą dla komunistów, a później także pracował dla nich. Pecorelli, któremu spodobała się tymczasem rola nieustraszonego dziennikarza ujawniającego tajemnice, obiecywał swoim czytelnikom opublikowanie całej prawdy o P2. Dając jakby przedsmak całej afery, ujawnił, że Gelli, były narodowy socjalista, był faszysta i czasami komunistą, utrzymywał bardzo dobre stosunki także z CIA. Było to jednak najwyraźniej już za wiele prawdy dla byłych braci Pecorellego z łoża P 2. Doszli do wniosku, że ich zdradził.

Dwudziestego marca Gelli zatelefonował do Pecorellego, do redakcji. Zachęcał do rozmowy pojednawczej i zaproponował przeprowadzenie jej następnego wieczoru, podczas dobrej kolacji — *jeżeli to panu odpowiada*. Pecorelli oświadczył, że wprowadzie pracuje zwykle do późnego wieczora, ale następnego dnia postara się skończyć pracę wcześniej. Umówili się w restauracji. Gelli mógłby tam oczywiście długo czekać na Pecorellego — gdyby zjawił się na umówione spotkanie. Należy jednak przyjąć, że w ogóle nie miał takiego zamiaru.

Mino Pecorelli pracował, jak zapowiedział, do wieczora i opuścił swoje biuro przy Via Orazio o 21.15. Samochód zaparkował blisko redakcji. Znalaziono go później martwego na przednim siedzeniu. Dochodzenie wykazało, że morderca włożył mu lufę pistoletu do ust, a następnie dwukrotnie nacisnął język spustowy — współczesna wersja klasycznego sposobu uśmiercania przez mafię sycylijską, określanego zwrotem *casso in bocca* (kamień w ustach) zmarłego, jako znak, że już nigdy więcej nie będzie za dużo mówił.

Kiedy spotkanie ze starym przyjacielem nie doszło do skutku, Licio Gelli wykorzystał wolny wieczór do uaktualnienia tajnej kartoteki członkowskiej P2; wpisy znajdujące się pod nazwiskiem Mino Pecorelli uzupełnił słowem „zmarł”.

Po zabójstwie Pecorellego nie zameldował się nikt, kto przyznałby się do popełnienia tego morderstwa. Jednak w 1983 r. aresztowano człowieka o nazwisku Antonio Viezzer, byłego wysokiego oficera tajnej służby SID i zarzucono mu dokonanie zamachu na Pecorellego. Antonio Viezzer był członkiem P2.

Na kilka dni przed uciśnieniem na zawsze Mino Pecorellego, pożegnał się z tym światem jeden z ludzi, których umieścił on na liście watykańskich masonów: kardynał Jean Villot. W chwili swej śmierci wciąż jeszcze piastował wszystkie funkcje, jakie pełnił podczas krótkiego pontyfikatu Albino Lucianiego.

W czasie gdy Watykan chował swego sekretarza stanu, po drugiej stronie Tybru trwał

spór, czy włoski wymiar sprawiedliwości powinien zająć się przypuszczalnym sprawcą milionowych oszustw, czy nie. Szef włoskiego nadzoru bankowego, Mario Sarcinelli, i prezes Banku Państwowego, Paolo Baffi, naciskali teraz niecierpliwie na sprawne postępowanie w sprawie Calviego. Wyrażali zdecydowanie opinię, że istniały więcej niż wystarczające materiały obciążające, usprawiedliwiające natychmiastowe aresztowanie. Gelli i Calvi mieli najwyraźniej taki sam pogląd.

Aresztowań dokonano 25 marca 1979 r. Aresztowanymi nie byli jednak Roberto Calvi i jego współpracownicy, lecz Sarcinelli i Baffi. Rzymski sędzia, Mario Alibrandi, człowiek znany z prawicowych przekonań politycznych, zapewnił Baffiemu, z uwagi na jego podeszły wiek (67 lat), zwolnienie z aresztu za kaucją. Sarcinelli miał mniej szczęścia i wylądował za kratkami. Oskarżenia wniesione przeciw obu tym ludziom — o nie zgłoszenie przestępstwa — były najwyraźniej bezpodstawne i byle jak sklecone, w rezultacie czego po dwóch tygodniach również Sarcinelli znalazł się za kaucją na wolnej stopie. Oskarżenia jednak podtrzymano i obaj musieli żyć z tym jeszcze 9 miesięcy. W styczniu 1980 r. władze wymiaru sprawiedliwości przyznały wreszcie, że oskarżenia były całkowicie nieuzasadnione i obaj mężczyźni zostali zrehabilitowani. Sarcinelli dopiero wtedy mógł powrócić na swoje stanowisko szefa nadzoru bankowego, ponieważ zaraz po aresztowaniu sędzia zakazał mu pełnienia tej funkcji, i później także odmawiał cofnięcia tej decyzji. Paolo Baffi, zaszokowany i przerażony, ustąpił we wrześniu 1979 r. ze stanowiska prezesa Banku Państwowego. Wystarczyła mu próbka potęgi, jaką zademonstrowali Calvi i jego kryminalni sprzymierzeńcy; zrozumiał, że wraz ze swymi ludźmi wystąpił przeciw potędze, która była o wiele większa i sięgała znacznie dalej niż uprawnienia włoskiego Banku Państwowego. Jeżeli aresztowanie jego i Sarcinello w marcu 1979 r. nie wystarczyło jeszcze, by mu to uświadomić, to latem 1979 r. miał okazję, by ostatecznie przekonać się o tym, jak potężne były siły, z którymi chciał się zmierzyć. Widownią tej demonstracji był Mediolan, a jej reżyserem — Michele Sindona.

Podczas gdy Calvi i jego przyjaciele we Włoszech próbowali, we właściwy dla siebie sposób, poradzić sobie ze swoimi problemami, ich brat z loży, Michele Sindona, w Nowym Jorku również nie mógł się uskarżać na brak problemów. Wprawdzie udało mu się zapobiec na pewien czas niebezpieczeństwu ekstradycji do Włoch, ale sukces ten miał nieprzyjemne skazy.

Amerykańskie władze wymiaru sprawiedliwości oskarżyły Sindonę 19 marca 1979 r. o defraudację, krzywoprzysięstwo i sprzeniewierzenie pieniędzy bankowych w 99 wypadkach. Oskarżenia te wynikały bezpośrednio z bankructwa Franklin National Bank. Po

złożeniu kaucji w wysokości 3 mln dolarów, Sindona wyszedł na wolność, nałożono jednak na niego obowiązek codziennego meldowania się na właściwym, z uwagi na miejsce zamieszkania, posterunku policji.

W pierwszym tygodniu lipca 1979 r. sąd federalny orzekł, że nie można dokonać ekstradycji Sindony do Włoch, jeżeli oczekuje go tam oskarżenie o nadużycia finansowe, ponieważ wkrótce należy się liczyć z podobnym oskarżeniem przeciw niemu w Stanach Zjednoczonych. Stosowną klauzulę w tej sprawie zawiera umowa o ekstradycji między Włochami i Stanami Zjednoczonymi. Jak oświadczył zastępca prokuratora okręgowego, John Kenney, władze USA miały zamiar wydalenia Sindony do Włoch po zakończeniu jego procesu w Stanach Zjednoczonych (i odbyciu ewentualnej kary pozbawienia wolności).

Kenney, nadal żywy pomimo kontraktu w wysokości 100000 dolarów na jego życie, zawdzięczał przetrwanie jednemu faktowi. We Włoszech zamordowanie sędziego śledczego lub prokuratora często jest skutecznym środkiem nakłonienia aparatu wymiaru sprawiedliwości do większej powściągliwości w prowadzonym śledztwie. Zamordowanie sędziego Alessandriniego jest tego dobrym przykładem. W Stanach Zjednoczonych zamordowanie funkcjonariusza aparatu wymiaru sprawiedliwości miałyby dokładnie odwrotny skutek. Niezależnie od tego, jak kuszący był kontrakt w wysokości 100 000 dolarów, zawodowi mordercy wiedzieli, że amerykański aparat ścigania zareagowałby na zlikwidowanie Kenneya nie tylko bezwzględnym ściganiem morderców, ale także rygorystycznym zaostreniem śledztwa i oskarżeń przeciwko Sindonie.

Tak więc Sindona musiał pogodzić się z perspektywą procesu, w którym uparty Kenney byłby jego oskarżycielem i przeciwnikiem. Za pomocą „włoskiego rozwiązania” mógł jednak i chciał pozbyć się innego przeciwnika, który w danej chwili przyprawiał go o znacznie większy ból głowy.

Dwudziestego dziewiątego września 1979 r. zarządcą masy upadłościowej Banca Privata Italiana Sindony został zajmujący się sprawami gospodarczymi adwokat, Giorgio Ambrosoli. Banca Privata, jak już wspomniano w innym miejscu, powstał w lipcu 1974 r., przez połączenie obu banków Sindony, Banca Unione i Banca Privata Finanziara — duży niewypłacalny bank zamiast dwóch mniejszych niewypłacalnych banków. Poza samym Sindoną nie było w 1979 r. człowieka, który wiedziałby więcej o jego interesach niż Giorgio Ambrosoli. Po mianowaniu go zarządcą masy upadłościowej przez ministerstwo finansów i prezesa Banku Państwowego, Ambrosoli zagłębił się w skomplikowany proces, jakim było rozwikłanie kłębowa machinacji współczesnego Machiavellego. Już 21 marca 1975 r. rozważny i skrupulatny Ambrosoli w tajnym memorandum dla włoskiej prokuratury

generalnej wyraził przekonanie, że Sindonie można zarzucić działania kryminalne. Materiał, który zdążył już przestudiować, wystarczająco wskazywał, że upadłość Banca Privata absolutnie nie wynikała z błędnych operacji i złego gospodarowania. Sindona i ludzie, którzy w owym czasie kierowali jego bankami, chcieli raczej *swoimi operacjami z lutego świadomie wytworzyć warunki do ogłoszenia upadłości*. Był to oszukańczy manewr, przygotowany z całą premedytacją.

Giorgio Ambrosoli był bardzo odważnym człowiekiem. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy poinformował prokuraturę generalną o swoich tymczasowych odkryciach, zwierzył się swojej żonie z kilku najtajniejszych odczuć: *Bez względu na to, jak się potoczy dalej cała sprawa, z pewnością zapłacę wysoką cenę za podjęcie się tego zadania, ale wiedziałem o tym od samego początku i nie uskarżam się. Była to dla mnie niepowtarzalna szansa uczynienia czegoś dla kraju... To oczywiste, że przysporzę sobie wielu wrogów*.

Powoli i metodycznie Ambrosoli odkrywał sens operacji, których Sindona dokonywał pozornie bezsensownie: blokował akcje, wykupywał je z powrotem, transferował po kryjomu przez liczne przedsiębiorstwa. Kiedy Sindona snuł przed studentami amerykańskimi marzenia o przyszłych koncernach multigalaktycznych, Ambrosoli cichą i cierpliwą pracą gromadził dowody na to, że Sindona był skorumpowany aż po czubek nosa.

W 1977 r. rzymski adwokat Rodolfo Guzzi skontaktował się z Ambrosolim i złożył mu ofertę zakupu Banca Privata, by w ten sposób nie dopuścić do postępowania upadłościowego. Ambrosoli jednak odkrył, że Guzzi działał na polecenie Michele Sindony. Odrzucił propozycję, mimo że mocno popierało ją dwóch ministrów chrześcijańsko — demokratycznych.

To ministerialne poparcie dowiodło, jak potężne było poparcie Sindony. Z kolejnym przykładem takiego poparcia Ambrosoli zetknął się niedługo po inicjatywie Guzziego. Dowiedział się od dyrektora Baffiego, że Franco Evangelisti, zausznik premiera Andreottiego, usiłował nakłonić włoski Bank Państwowy, by zastosował posunięcie, będące pochodną typowego „włoskiego rozwiązania”: Baffi, zgodnie z jego życzeniem, powinien wyrazić zgodę, by Bank Państwowy poręczył za długi Sindony. Baffi z miejsca odmówił. Śledztwo w sprawie Banco Ambrosiano kontynuowano.

W stosach dokumentów, które cierpliwie i pilnie studiował, Ambrosoli stale spotykał się ze wzmianką, która brzmiała: „pięćset”; z innych danych można było wywnioskować, że chodziło tu o 500 najważniejszych eksporterów czarnego rynku we Włoszech, zarówno kobiet jak i mężczyzn, którzy z pomocą Sindony i Banku Watykańskiego dokonywali nielegalnych transferów ogromnych sum za granicę. Jeżeli nawet ich pełna lista nie wpadła w ręce

Ambrosolego, to i tak mógł on wyrobić sobie niemal pełne rozeznanie. W bankach Sindony, jak stwierdził, przy znacznie niższym oprocentowaniu niż normalnie stosowane (8 zamiast 13 procent), ulokowało pieniądze wiele organizacji prywatnych i publiczno-prawnych, godnych zaufania instytucji, jak na przykład koncern ubezpieczeniowy INPDAI oraz różnych firm. Istniało jednak tajne porozumienie, zgodnie z którym Sindona w rzeczywistości wypłacał dużo wyższe odsetki — różnica między oprocentowaniem oficjalnym i nieoficjalnym wpływała bezpośrednio do kieszeni ludzi zajmujących kierownicze stanowiska w INPDAI i innych przedsiębiorstwach.

Ambrosoli zrekonstruował wiele oszukańczych zabiegów, które Sindona stosował przy nielegalnym transferze kapitału za granicę; jedna z metod polegała na przykład na kupowaniu dolarów po zawyżonym kursie i żądaniu od sprzedającego zwrotu marży w twardych dewizach — oczywiście na konto poza terenem Włoch.

Ambrosoli sam zaczął zestawiać listę nazwisk nielegalnych eksporterów dewiz. Nie doszedł wprawdzie do 500 nazwisk, niemniej jednak udało mu się ustalić 77, a wśród nich znalazły się nazwiska dwóch szacownych postaci z Watykanu: Massimo Spady i Luigi Menniniego. Zarządca masy upadłościowej zebrał niepodważalne dowody udzielania Sindonie przez Watykan pomocy w wielu czynach kryminalnych. W czasie śledztwa zleconego przez Bank Państwowy człowiek ten zetknął się z całą paletą szykan i prób zastraszenia ze strony Sindony. „Rekin” oskarżył Ambrosolego o defraudację i wielokrotnie próbował napuścić na niego adwokatów. Potem wycofał swoje oskarżenie i, inaugurując nową taktykę, włączył do akcji swojego zięcia, Piera Sandro Magnoniego; ten zaproponował Ambrosolemowi stanowisko prezesa nowego banku Sindony, *skoro tylko zaprzestanie pan tej męczącej działalności jako zarządca masy upadłościowej.*

Dosłowne zacytowanie przez Magnoniego fragmentu przygotowanego przez Ambrosolego tajnego raportu tymczasowego, który widziała tylko niewielka grupa ludzi ze ścisłego kierownictwa Banku Państwowego, dowodzi, jak dalece Sindona skorumpował przez P2 ludzi, do których Ambrosoli miał pełne zaufanie.

W marcu 1979 r. Ambrosoli posunął się w śledztwie już tak daleko, że w przybliżeniu mógł określić straty Banca Privata w następstwie „krachu Sindony”. Oceniał je na 257 miliardów lirów. W tym samym czasie otrzymywał wiele anonimowych pogróżek telefonicznych. Wszyscy telefonujący bez wyjątku mówili po włosku z amerykańskim akcentem.

Telefony rozpoczęły się już pod koniec 1978 r. i od tamtego czasu groźby i obraźliwe epitetety były coraz częstsze. Od czasu do czasu telefonujący próbowali zmieniać taktykę,

czyniąc ponętne propozycje. Proponowali Ambrosolemu duże sumy pieniędzy. Kiedy jednak nie chciał o tym słyszeć, powracali do poważnych gróźb. Wcale przy tym nie ukrywali, z czyjego polecenia dzwonią. *Dlaczego nie odwiedzi pan Sindony w Stanach Zjednoczonych — jako przyjaciel?* — zapytał pewnego razu ktoś mówiący z wyraźnym akcentem amerykańskim. Ambrosoli wzgardził zaproszeniem i zaczął nagrywać te rozmowy. Opowiadał o tym swoim przyjaciołom i kolegom. Kiedyś jednemu z adwokatów Sindony odtworzył jedno z takich nagrań. Kilka dni później znowu do niego zatelefonowano: *Ty świnio. Wydaje ci się, że jesteś sprytny, bo nagrywasz rozmowy, co?*

Adwokat przyznał później, że po wysłuchaniu taśmy natychmiast zatelefonował do Sindony w Nowym Jorku.

Dziesiątego kwietnia 1979 r. Sindona spotkał się z kolejnym człowiekiem, którego uważał za wroga: Enrico Cuccią, kierownikiem Mediobanca, państwowego banku inwestycyjnego. Ocena Sindony była prawidłowa. Cuccia zapobiegł w 1971 r. przejęciu przez Sindonę koncernu Bastogi. Wcześniej niż wielu innych odniósł wrażenie, że Sindona jest oszustem i hochsztaplerem. Kiedy obaj spotkali się w kwietniu 1979 r., Cuccia przekonał się dobitnie, że dokonana przez niego przed 8 laty ocena Sindony była słuszna. Jego podróż do Nowego Jorku była poprzedzona serią anonimowych telefonów od ludzi mówiących po włosku z akcentem amerykańskim. Były to, jak w przypadku Ambrosolego, telefony z pogrózkami. W odróżnieniu jednak od Ambrosolego, który niezmiennie kontynuował śledztwo w Mediolanie, Cuccia postanowił stawić się na rozmowę z Sindona.

Sindona wysunął wiele żądań. Przede wszystkim domagał się, by Cuccia zatroszczył się o wycofanie obowiązującego we Włoszech nakazu aresztowania go — fakt zaocznego skazania w 1976 r. na 3,5 roku pozbawienia wolności zbył jako nieistotny. Zażądał ponadto od Cucci zebrania 257 mld lirów i uzdrowienia tym Banca Privata. Ponieważ wszystko wyglądało tak pięknie, *zażądał* jeszcze sporej sumy na zaopatrzenie rodziny Sindony. Poza wspaniałomyślną ofertą pozostawienia Cucci przy życiu, nie wiadomo, czym Sindona chciał się zrewanżować za te wszystkie grzeczności.

W pewnym miejscu tej niezwykłej rozmowy, Sindona — zapewne po to, by pokazać Cucciemu, jak niebezpieczna może być odmowa — poruszył sprawę Giorgio Ambrosolego: *Ten cholerny likwidator mojego banku sprawia mi kłopoty i dlatego polecę go zabić. Każę go tak usunąć, że zniknie bez śladu.*

Kiedy Sindona wypowiadał te groźby, nie upłynął nawet miesiąc od chwili, gdy skazano go za 99 przypadków naruszenia prawa. Ponownie zaczął rozumować w ten sam sposób, który kazał mu wierzyć, że gdyby zginął prokurator Kenney, to postępowanie w

sprawie ekstradycji by ustało: gdyby udało się unieszkodliwić Ambrosolego, wówczas rozmyłyby się oskarżenia podnoszone przeciw niemu we Włoszech. Po człowieku, którego rozumowanie porusza się takimi prymitywnymi torami, można się było spodziewać, że podjął stanowczą decyzję usunięcia irytującego go papieża.

Enrico Cuccia w żaden sposób nie dał się zastraszyć. Pół roku po tym spotkaniu, w październiku 1979 r., przed drzwiami do jego mieszkania w Mediolanie wybuchła bomba. Na szczęście nikt nie został ranny. Giorgio Ambrosoli miał mniej szczęścia.

Dla wszystkich stron zainteresowanych nadchodzącym procesem Sindony było oczywiste, że zeznania Giorgio Ambrosolego będą miały ogromne znaczenie.

Sędzia Thomas Griesa, któremu powierzono prowadzenie procesu, ustalił na 9 czerwca 1979 r przesłuchanie pod przysięgą Ambrosolego w Mediolanie. Protokół z tego przesłuchania miał służyć jako materiał dowodowy na procesie w Nowym Jorku.

Kiedy rozpoczął się wyznaczony dzień przesłuchania, w hotelu Splendido w Mediolanie już od 24 godzin przebywał człowiek, który zawarł „kontrakt” na sumę 100000 dolarów za głowę Ambrosolego. Przyjaciele nazywali go „Billy eksterminator”, ale jego prawdziwe nazwisko brzmiało William Arico. Ósmego czerwca wieczorem, w położonym niedaleko mediolańskiego Dworca Centralnego luksusowym hotelu, Arico jadł kolację w towarzystwie pięciu mężczyzn, którzy mieli mu asystować przy zamachu. Dwoma najważniejszymi pomocnikami byli jego syn, Charles Arico, i Rocky Messina. Ich arsenał obejmował między innymi pistolet maszynowy M 11 ze specjalnym tłumikiem i pięć rewolwerów P 38. Arico senior wynajął Fiata i obserwował Ambrosolego.

Wniosek o dokładne i obszerne przesłuchanie Ambrosolego jako świadka złożyli pierwotnie adwokaci Sindony. Mieli nadzieję, że podważą przy tym oskarżenia, z powodu których ich klienta postawiono w Nowym Jorku przed sądem. Ranek 9 czerwca przyniósł im niezwykle nieprzyjemne przebudzenie. Ambrosoli, opierając się na wynikach czteroletniej pracy, na ponad 100 tysiącach stron dokumentów i fotokopii, starannie zebranych danych i notatek, a także na swej bystrości umysłu i wykształceniu prawniczym, spokojnie i rzeczowo zaczął odkrywać prawdę. Jego słuchaczami było grono amerykańskich prawników, dwaj specjaliści szeryfowie reprezentujący sędziego Griesa i sędziego włoski, Giovanni Galati.

Kiedy wieczorem sąd odłożył posiedzenie i uczestnicy procesu opuszczali salę, łatwo było zidentyfikować adwokatów Sindony po ich zmartwionych twarzach.

Ambrosoli miał tego wieczoru jeszcze jedno spotkanie. Nie zauważył w ogóle, że jest śledzony. Człowiekiem, z którym się spotkał, był Boris Giuliano, zastępca dyrektora policji w Palermo i szef tamtejszej sekcji CID. Rozmowa dotyczyła tego samego tematu, na który

Ambrosoli wypowiadał się przez cały dzień — Michele Sindony. W maju 1978 r. zamordowano w Palermo Giuseppe Di Cristinę, „żołnierza” mafii, zatrudnionego przez rodziny Gambino, Inzerillo i Spatola. W jego kieszeniach Giuliano znalazł czek i inne dokumenty, z których wynikało, że Sindona dokonywał przez Bank Watykański transferu zysków z handlu heroiną do swego Amincor Bank w Szwajcarii. Obaj rozmówcy porównali uzyskane niezależnie od siebie wyniki dochodzeń i uzgodnili, że spotkają się w celu dokładnej wymiany informacji, kiedy będzie już gotowy protokół z zeznań Ambrosolego dla prokuratorów amerykańskich.

Ambrosoli raz jeszcze omawiał sprawę Sindony tego dnia. Późnym wieczorem prowadził długą rozmowę telefoniczną z podpułkownikiem Antonio Varisco, szefem rzymskiej służby bezpieczeństwa. Tematem rozmowy była sprawa, w której Varisco prowadził od pewnego czasu dochodzenie — P 2.

Ambrosoli kontynuował swoje zeznania 10 lipca. Wyciągnął jedną z bomb zegarowych, którą trzymał w zanadrzu: opisał szczegółowo, jak Banca Cattolica Veneto zmienił właściciela, względnie właścicieli, i jak Calvi przejął od Sindony firmę Pacchetti; Sindona wypłacił, jak stwierdził Ambrosoli, *provizję maklerską w wysokości 6,5 mln dolarów jednemu z banków mediolańskich i pewnemu biskupowi amerykańskiemu*.

Trzecią i ostatnią część swych zeznań Ambrosoli złożył 11 lipca. Kiedy skończył, uzgodniono, że następnego dnia jeszcze raz przyjdzie do sądu, by podpisać protokół, i że w następnym tygodniu będzie również do dyspozycji w celu udzielenia odpowiedzi na związane z jego zeznaniami pytania prokuratorów amerykańskich i adwokatów Sindony.

Krótko przed północą Ambrosoli wracał do domu. Żona pomachała mu ręką, kiedy zobaczyła go z okna; do tej pory czekała na niego z kolacją. Kiedy Ambrosoli zbliżał się do wejścia, z mroku bramy wyłonili się i zagrodzili mu drogę Arico i dwóch jego pomocników. Głos należący do jednej z trzech sylwetek zapytał:

— Giorgio Ambrosoli?

- Tak.

Arico wymierzył z małej odległości i cztery kule przeszły pierś adwokata. Zginął na miejscu.

Następnego ranka o szóstej Arico był już w Szwajcarii. Na jego konto, założone w Credit Suisse w Genewie na nazwisko Roberta McGovern, przelano z konta Sindony w Banca del Gottardo — banku Calviego - 100 000 dolarów. Numer konta Arico: 415851-22-1.

Niecałe dwie doby po zamordowaniu Ambrosolego, 13 lipca 1979 r., podpułkownik Antonio Varisco jechał na tylnym siedzeniu białego BMW wzdłuż Lungotevere Arnaldo da

Brescia w Rzymie. Było wpół do dziewiątej rano. Obok BMW pojawił się biały Fiat 128. W otwartym oknie samochodu ukazała się obcięta lufa karabinu. Rozległy się cztery strzały i podpułkownik Varisco oraz jego kierowca padli nieżywi. Godzinę później do popełnienia tego podwójnego morderstwa „przyznały się” Czerwone Brygady.

Rankiem 21 lipca 1979 r. na kawę do Lux-Baru na Via Francesco Paolo di Biasi w Palermo wszedł Boris Giuliano. Była godzina 8.05. Po wypiciu kawy podszedł do kasy, by zapłacić. W tym momencie pojawił się jakiś mężczyzna i oddał do Giuliana sześć strzałów. W tym czasie w kawiarni panował duży ruch. Przesłuchanie gości przez policję wykazało jednak, że nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. Następcą Borisa Giuliano mianowano Giuseppe Impallomeniego. Był on członkiem P 2.

Nawet takie kreatury, jak ludzie z Czerwonych Brygad, nie uważały za stosowne przypisania sobie — rzekomej lub rzeczywistej — odpowiedzialności za zamordowanie Giorgio Ambrosolego i Borisa Giuliano. Kiedy wiadomość o zamordowaniu Ambrosolego dotarła do Nowego Jorku, Michele Sindona, człowiek, który zapłacił za zamordowanie likwidatora, zareagował typowo: *Nikł nie powinien łączyć mnie z tym tchórzliwym czynem i podejmę wszelkie kroki prawne przeciw każdemu, kto będzie usiłował to robić.*

Dwa lata wcześniej, w wywiadzie dla „Il Fiorino”, Sindona udzielił interesującej wypowiedzi. Mówił o *wymierzonym przeciw mojej osobie spisku*, wymienił osoby, które uważał za przywódców, wśród nich Giorgio Ambrosolego i dodał: *Jest wielu, którzy powinni się obawiać... Powtarzam, jest ich bardzo wielu.*

Śmierć Giorgio Ambrosolego nie przekreśliła wykonanej przez niego pracy. W rozpoczynającym się wkrótce potem w Nowym Jorku procesie Michele Sindony, decydującym dowodem był protokół z jego zeznań, stanowiących owoc pilnej, wieloletniej pracy, chociaż nie podpisany.

Mediolańskiego bankiera i amerykańskiego biskupa, o których Ambrosoli mówił w swoich zeznaniach, szybko zidentyfikowano jako Roberto Calviego i Paula Marcinkusa. Marcinkus zaprzeczał stanowczo, że otrzymał prowizję. Ambrosoli jednak z całą pewnością nie powiedziałby czegoś takiego nie mając stuprocentowych dowodów. Jeśli zaś chodzi o wiarygodność biskupa Marcinkusa, to należy przypomnieć, że krótko po bankructwie Sindony twierdził, że nigdy nie spotkał osobiście tego człowieka.

Komu przyniosła korzyść ta ohydna seria morderstw? Listę otwierają nasi starzy znajomi: Marcinkus, Calvi, Sindona, Gelli i Ortolani.

W Mediolanie, paraliżujący strach wywołany tą serią morderstw, był najwyraźniej dostrzegalny w Pałacu Sprawiedliwości. Urzędnicy, którzy ręka w rękę pracowali z

Ambrosolim, nagle nie mogli sobie przypomnieć, że udzielali mu pomocy w dochodzeniu w sprawie Sindony. Sędzia śledczy Luca Mucci, który po śmierci Alessandriniego przejął śledztwo, prowadził je niezwykle opieszale. Tymczasowa ocena dochodzeń wszczętych przez włoski Bank Państwowy przeciw Banco Ambrosiano przyniosła zadziwiający wynik — że oświadczenia złożone przez Calviego były całkowicie przekonujące i do zaakceptowania. Tak przynajmniej oceniała to policja skarbowa.

Padalino, inspektora państwowego, który kierował w 1978 r. kontrolą Banco Ambrosiano, raz po raz zapraszano do Mediolanu, gdzie musiał tłumaczyć się przed składem sędziowskim, stawiającym pod znakiem zapytania jego ustalenia. W ciągu lata 1979 r. Padalino odczuwał wzrost nacisków i zagrożenia ze strony mediolańskiego aparatu wymiaru sprawiedliwości. Powiedziano mu, że jego raport o kontroli Banco Ambrosiano spełnia praktycznie wymogi czynu karalnego, jakim jest oszczerstwo. Pod wpływem P2 Gellego i mafii Sindony wzniosłe zadanie ochrony prawa przez aparat wymiaru sprawiedliwości stało się farsą.

Jako ilustracja zakresu władzy osi Calvi-Gelli mogą służyć wydarzenia, które rozegrały się w Nikaragui niemal w tym samym czasie, kiedy zamordowano Emilio Alessandriniego, w styczniu 1979 r. We wrześniu 1977 r. Calvi otworzył w Managui filię swojego imperium finansowego. Nazwał ją Ambrosiano Group Banco Comercial. Oficjalnym celem jej istnienia było *przeprowadzanie międzynarodowych transakcji handlowych*. Rzeczywiste zadanie polegało jednak na przejęciu z szaf pancernych Banco Ambrosiano Overseas w Nassau wielkich ilości papierów wartościowych, z których wynikało, jakimi oszukańczymi i kryminalnymi chwytami posługiwał się macierzysty bank mediolański przy zakupie i przerzucaniu akcji. Przez to przejęcie, które oczywiście odbyło się za wiedzą i aprobatą dyrektora filii w Nassau, dowody zostały jeszcze staranniej ukryte przed Bankiem Włoskim. Oczywiście, należało za to zapłacić pewną cenę. Swoim wstawiennictwem u dyktatora Nikaragui, Anastasio Somozy, Gelli przetaił szlak. Wprawiony w dobry humor kilkoma milionami dolarów dyktator powiedział pewnego dnia, że otwarcie w jego kraju filii banku Calviego uważa za znakomity pomysł. Dla Calviego cennym produktem ubocznym tego układu było otrzymanie nikaraguańskiego paszportu dyplomatycznego, z którego miał korzystać do końca życia.

Calvi i Gelli byli świadomi sytuacji politycznej w Nikaragui i coraz bardziej zarysowującej się możliwości przejęcia władzy przez Sandinistów. Jako doświadczeni strategowie polityczni, którzy podczas drugiej wojny światowej nosili przy sobie zarówno legitymacje członkowskie organizacji faszystowskiej, jak i partyzanckiej, wiedzieli, jak się

zabezpieczyć w takich sytuacjach: Calvi przekazał znaczną sumę również rebeliantom — za część tych pieniędzy kupili oni zboże, a za pozostałą broń.

Na początku 1979 r. reżim Somozy upadł. Tak jak wiele reżimów rewolucyjnych przed nimi, również Sandiniści niezwłocznie upaństwowili wszystkie banki zagraniczne — z jednym wyjątkiem: Ambrosiano Group Banco Comercial pozostał w posiadaniu Roberto Calviego i mógł kontynuować działalność. Nawet lewicowi idealisci mają, jak się wydaje, swoją cenę.

Po dokładnym zastanowieniu się Michele Sindona doszedł w lipcu 1979 r. do przekonania, że teraz, kiedy czasowo lub na zawsze zmuszono do milczenia wszystkich jego najniebezpieczniejszych wrogów we Włoszech, nadszedł dla niego czas powrotu do kraju ojczystego. Można by przypuszczać, że wpłacenie przez niego kaucji w wysokości 3 mln dolarów za zwolnienie z aresztu śledczego oraz konieczność codziennego meldowania się na policji, jak również fakt, że we Włoszech skazano go już na 3,5 roku pozbawienia wolności, a ponadto mógł się spodziewać dalszych oskarżeń, przemawiało raczej przeciwko powrotowi. Jednak Sindonie przyszło do głowy najprostsze rozwiązanie: przy pomocy swoich przyjaciół z mafii w Nowym Jorku i na Sycylii zainscenizował porwanie siebie samego.

Decyzja Sindony w sprawie zakonspirowanego powrotu do Włoch miała wiele przyczyn. Jedną z nich było to, że w obliczu zbliżającego się procesu w Nowym Jorku musiał zbudować optymalną pozycję obronną. Uważał, że bardzo wielu ludzi miało wobec niego dług wdzięczności, teraz więc życzył sobie spłaty tych zobowiązań. Na wypadek, gdyby wdzięczność jego przyjaciół i kolegów za wcześniejsze przysługi nie była wystarczająca, postanowił wyciągnąć z rękawa ostatnią kartę atutową: publikację listy „pięciuset”. Na tę listę, zawierającą nazwiska 500 najważniejszych „czarnych” eksporterów dewiz z Włoch władze włoskie daremnie polują już od ponad 10 lat. Stała się ona Świętym Graalem włoskich władz skarbowych, ale jej istnienie nie jest legendą. Ta lista jest faktem. Sindona i Gelli z pewnością dysponowali jej egzemplarzem, Calvi także miał jeden. Sindona najwyraźniej wierzył, że wystarczy tylko zagrozić opublikowaniem listy, a wówczas społeczeństwo włoskie znowu przyjmie go z honorami, anuluje karę więzienia, poniecha wszystkich oskarżeń i zwróci mu jego włoskie banki. Sądowi w Nowym Jorku mógłby się potem zaprezentować jako niewinna i w pełni zrehabilitowana ofiara złośliwego, sterowanego prawdopodobnie przez komunistów sprzysiężenia. Cała falanga zasługujących na najwyższy szacunek osobistości zaświadczyłaby, że Michele Sindonie wyrządzono gorzką krzywdę. Zaświadczyłaby, że był on najwspanialszym bankierem świata, człowiekiem ucieleśniającym pojęcie dobrego, czystego i zdrowego kapitalizmu. Wszystko to, jak wierzył z przekonaniem,

da się osiągnąć za pomocą techniki, której mistrzem okazał się wielokrotnie w stosunku do swojego współpracownika, Carlo Bordoniego — szantażu. Później Sindona miał złożyć jeszcze oświadczenie na temat spektakularnie zainscenizowanej zmiany swego miejsca pobytu. Dziś każdemu, kto go słucha, mówi, że powrócił do Włoch z zamiarem wyrzucenia z Sycylii przedstawicieli centralnych władz włoskich i ogłoszenia wyspy niepodległym państwem. Potem chciał złożyć ofertę rządowi USA: jeżeli Amerykanie zrezygnują ze wszystkich dochodzeń i oskarżeń przeciw niemu, mogą mieć Sycylię — jako 51 stan. Sindona twierdzi, że ten awanturniczy plan nie udał się tylko dlatego, że z uzgodnionego wcześniej pozorowanego porwania mafia uczyniła przez przeoczenie prawdziwe uprowadzenie. Można śmiać się do rozpuku z tego fantazjowania, ale trzeba myśleć o tym, że odważni, kierujący się prawem ludzie, jak Giorgio Ambrosoli, postradali życie w sposób wcale nie śmieszny.

Jak marzycielskie — by nie powiedzieć szalone — były wizje Sindony, najwyraźniej można dostrzec w jednym, oryginalnym szczególe jego planu: Sindona zapewnia, że rodzina Gambino była gotowa zamknąć swoją fabrykę heroiny na Sycylii, a więc zrezygnować z interesu, który według ocen odpowiednich władz włoskich rokrocznie przynosił rodzinom Gambino, Inzerillo i Spatola co najmniej 600 mln dolarów czystego zysku. W zamian za tę ofiarę dla ogólnego dobra, dotychczasowi królowie narkotyków mieliby otrzymać monopol na handel pomarańczami, a Rosario Spatola miałby uzyskać zezwolenie na budowę kasyna gry w Palermo.

Zgodnie z planem Sindona zniknął z ulic Nowego Jorku po południu 2 sierpnia 1979 r. Był na to już rzeczywiście najwyższy czas, jeżeli oderwanie Sycylii od Włoch i rokowania z prezydentem USA na temat przyłączenia wyspy do Stanów Zjednoczonych chciał doprowadzić do końca przed wyznaczonym na 10 września terminem procesu. Z fałszywym paszportem, wystawionym na nazwisko Josepha Bonamico (co znaczy „dobry przyjaciel”), ucharakteryzowany za pomocą okularów, białej peruki i przyklejonej brody, Sindona udał się w towarzystwie Anthony’ego Caruso na nowojorskie lotnisko Kennedy’ego, a stamtąd na pokład samolotu TWA, mającego odbyć rejs nr 740 do Wiednia. Dalszymi elementami tej komedii były żądania okupu, wysłane do pewnej liczby osób i podpisane przez „porywaczy”, którzy nazwali się *Proletariackim Komitetem Reformy (sic!) Sądownictwa*. Przedstawienie trwało do 16 października; tego dnia *psychicznie i fizycznie wykończony* Michele Sindona, z zagojonym postrzałem na udzie, zameldował się telefonicznie u swoich nowojorskich adwokatów, z budki na rogu 42. ulicy i 10. alei w Manhattanie.

Jego 2,5-miesięczna przygoda pod żadnym względem nie przyniosła sukcesów: Sycylia wciąż jeszcze należała do Włoch; jeśli chodzi o byłych przyjaciół Sindony, to

większość z nich takimi właśnie pozostała — byłymi przyjaciółmi; wbrew wszelkim groźbom „lista 500” pozostała nie opublikowana i Sindona ściągnął na siebie nowe oskarżenia o krzywoprzysięstwo, zlekceważenie obowiązku meldowania się i namawianie do przestępstwa. Jedynym opłacalnym wynikiem tej przygody wydaje się 30 mld lirów. Sumę tę przekazał Roberto Calvi, po tym jak Licio Gelli łaskawie poręczył za Sindonę. Teoretycznie pieniądze te, pochodzące z należącego do Calviego Banca del Gottardo w Szwajcarii, przekazano „porywaczom” Sindony (konkretnie Rosario Spatoli z mafii) jako świadczenie za „uwolnienie” ich „ofiary” — włoska wersja gry w „trzy karty”.

Głównymi reżyserami tego awanturniczego przedsięwzięcia, poza samym Sindoną, byli Anthony Caruso, Joseph Macaluso, Johnny Gambino, Rosario Spatola, Vincenzo Spatola i Joseph Miceli Crimi. Władze włoskie udowodniły, że Rosario Spatola, który normalnie spędzał czas na wędrownie w tę i z powrotem między betoniarkami na terenie swego wielkiego przedsiębiorstwa budowlanego w Palermo, przebywał w Nowym Jorku dokładnie w tym czasie, kiedy zniknął Sindona. Zapytany o powód tego pobytu odpowiedział: *Sprawy rodzinne*.

Proces Sindony rozpoczął się wreszcie na początku lutego 1980 r. Chodziło o ową długą listę oskarżeń, wynikających jeszcze z bankructwa Franklin Bank. Bezpośrednio przed rozpoczęciem procesu nadszedł z Watykanu wyraźny sygnał, że Kościół rzymskokatolicki, skoro już nikt inny nie chce tego uczynić, jest gotów stanąć po stronie swego byłego doradcy finansowego.

Kardynał Giuseppe Caprio, kardynał Sergio Guerri i biskup Paul Marcinkus zgodzili się na spełnienie prośby obrony i nagranie odciążających zeznań na magnetowidzie. Zaciekawiona tym, co ci dostojni ludzie mają do powiedzenia na temat Sindony, strona oskarżająca nie wniosła sprzeciwu wobec tego niezwykle wniosku obrony. Powszechnie przyjęto, że świadkowie, zwłaszcza zaprzysiężeni, składają swoje zeznania w sali sądowej, przed obliczem sędziów i przysięgłych. Dla ludzi z Watykanu sędzia Thomas Griesa uczynił wyjątek. Ustalono, że adwokaci Sindony udadzą się do Rzymu w piątek, 1 lutego. Zeznania świadków miały być nagrane następnego dnia, i w poniedziałek adwokaci mieli znowu stawić się w sali sądowej. I tak się stało. Ich relacja, zawarta w aktach procesowych rozprawy *Stany Zjednoczone Ameryki przeciw Michele Sindonie*, jest niezwykle interesującą lekturą.

W ostatniej minucie, a dokładniej mówiąc na cztery godziny przed ustalonym terminem nagrania zeznań świadków, do sprawy włączył się kardynał Casaroli. Oświadczył kategorycznie, że nie będzie żadnych zeznań. *Stworzyłyby one szkodliwy precedens. Zapowiedź tych zeznań wywołała już pożałowania godną sensację. Jesteśmy bardzo*

nieszczęśliwi z tego powodu, że rząd amerykański nie zapewnia Watykanowi immunitetu dyplomatycznego. obrońcy Sindony, sami najznakomitsi adwokaci, nie otrząsnęli się jeszcze do końca z niesłychanego zdziwienia, kiedy składali sprawozdanie sędziemu Griesa. W sobotę o 11.00 przed południem do ambasady amerykańskiej zatelefonował monsignore Blanchard, sekretarz kardynała Guerriego, by jeszcze raz potwierdzić, że kardynałowie i biskup zjawią się tam o 16.00. Kilka minut później zatelefonował ponownie; wizytę całej trójki, jak poinformował, odwołał Casaroli. Kiedy wspomniano o rozmowie telefonicznej, która odbyła się zaledwie przed kilku minutami, monsignore z miejsca zaprzeczył, że telefonował do ambasady. To bezczelne dementi upiększył jeszcze dodatkowym kłamstwem, że *sędzia amerykański jest o tym wszystkim dokładnie poinformowany.*

Zirytowana pracownica ambasady, która zapewne nie spotkała się jeszcze z takim przykładem bezwstydnosci Watykanu, usiłowała sama osiągnąć kardynała Guerriego. Kiedy po pewnych trudnościach udało jej się wreszcie go znaleźć i przeprowadzić z nim rozmowę telefoniczną, kardynał wyznał, że nie wie, czy zjawi się w celu złożenia swoich zeznań, czy też nie. Oczywiście, nie zjawił się. Guerri, Caprio i Marcinkus zapewniali adwokatów amerykańskich, że ich zeznania, gdyby mogli je złożyć, wypadłyby niezwykle korzystnie dla Michele Sindony; nie w tym leży trudność. Problem wyłonił się dopiero wówczas, gdy kardynał Casaroli zastanowił się nad możliwymi i być może niezwykle nieprzyjemnymi skutkami: gdyby mianowicie przysięgli mimo wszystko uznali Sindonę winnym, trzech wysokich dostojników Kościoła rzymskokatolickiego okazałoby się praktycznie kłamcami. Ponadto należało jeszcze uwzględnić jeden aspekt: zezwolenie całej trójce na złożenie — trzeba przyznać, że dobrowolnych — zeznań otworzyłoby śluzę, przez którą przy następnej okazji usiłowałby się wcisnąć dowolny sędzia włoski i domagałby się takiej samej gotowości do współpracy. Podważyłoby to jednak owe postanowienia Układu Laterańskiego, które gwarantują kardynałom absolutną nietykalność przed ingerencją włoskiego aparatu wymiaru sprawiedliwości. Następnym krokiem byłyby potem próby podniesienia zarzutów pod adresem Watykanu—Sp. z o.o.

Casaroli wyświadczył tym wielką przysługę Watykanowi. Adwokaci amerykańscy nie wiedzieli, że zlekceważył przy tym decyzję papieża. Jan Paweł II wyraził bowiem zgodę, by Marcinkus i dwaj pozostali ogłosili światu swoje wielkie uznanie dla Sindony.

Dwudziestego siódmego marca 1980 r., w 65 punktach aktu oskarżenia, uznano Michele Sindonę winnym oszustw, uczestniczenia w nielegalnym sprzysiężeniu, krzywoprzysięstwa, fałszowania dokumentów i sprzeniewierzenia pieniędzy bankowych. Przewieziono go do ciężkiego więzienia Metropolitan na Manhattanie, by tam oczekiwał na

ogłoszenie wyroku (to znaczy wymiaru kary).

Trzynastego maja, dwa dni przed ustalonym terminem ogłoszenia wyroku, Sindona usiłował popełnić samobójstwo. Lekko podciął sobie żyły i, co należało potraktować poważniej, połknął niebezpieczną dawkę naparstnicy. Za radą swojego wielkiego mistrza z loży, Gellego, Sindona od wielu lat nosił przy sobie pewną ilość tego środka. Gelli udzielił takiej rady nie tylko Sindonie, lecz również innym czołowym członkom P2. Gdyby ktoś usiłował zmusić ich do zdradzenia tajemnic P2, trucizna miała umożliwić ostateczne, dramatyczne wyjście z sytuacji.

Tajemnicą pozostanie sposób, w jaki Sindonie udało się przemycić do celi naparstnicę. On sam twierdził oczywiście, że od wielu lat pakiecik tej trucizny miał zaszyty pod podszewką garnituru. Niezależnie jednak od tego, jak było naprawdę, trudno jest przemycić coś takiego do celi więziennej, w każdym razie o wiele trudniej niż wnieść w sposób niezauważony do pomieszczeń papieskich.

Z początku wydawało się, że Sindona umrze, zwłaszcza że lekarze nie wiedzieli, jaką truciznę zażył. Kiedy wreszcie ustalili, że była to naparstnica, mogli zaaplikować mu antidotum. Wyzdrowiał całkowicie i 13 czerwca 1980 r. skazano go na 25 lat pozbawienia wolności oraz grzywnę w wysokości 200 000 dolarów. Carlo Bordoni, koronny świadek oskarżenia, otrzymał 7 lat pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 20 000 dolarów. W kolejnym procesie, który odbył się zaraz po ogłoszeniu tych wyroków, Sindonę skazano na dalsze dwa i pół roku pozbawienia wolności za zainscenizowanie przestępstwa (za uprowadzenie siebie samego). Za winnych udzielenia Sindonie pomocy w planowaniu i realizacji tego przestępstwa uznano Anthony'ego Caruso i Josepha Macaluso. Obaj otrzymali kary pięciu lat pozbawienia wolności.

W czasie, gdy wszystko to działo się w Nowym Jorku, po drugiej stronie Atlantyku bracia Sindony z loży, Calvi i Gelli, zajmowali się swoimi zwyczajnymi interesami. Roberto Calvi od 1979 r. ubezpieczał się i chronił na wszystkie strony: ośmioosobowa ochrona osobista, ochrona rodziny i siedzib w Mediolanie, Rzymie i Arezzo przez całą dobę, opancerzony wóz Alfa — Romeo z kuloodpornymi oponami. Zaspokajanie osobistej potrzeby bezpieczeństwa tego wielkiego oszusta kosztowało akcjonariuszy Banco Ambrosiano ponad milion dolarów rocznie. Nikt inny we Włoszech, nawet prezydent czy premier, nie był tak dobrze chroniony.

Calvi opłacał jednak swoje bezpieczeństwo jeszcze w inny sposób: zabiegał o protekcję partii politycznych wszystkich kierunków — chrześcijańskich demokratów, socjalistów, komunistów. Wszyscy otrzymywali potajemnie dotacje od Calviego. Do tego

dochodziła jeszcze P 2 Gellego, a także przyjaciele i partnerzy z mafii; ale protekcja, jaką mu zapewniali, była bronią obosieczną, która mogła zwrócić się przeciwko niemu.

Zakupione potajemnie i nielegalnie przez Calviego akcje Banco Ambrosiano leżały w piwnicach firm panamskich, poza zasięgiem jurysdykcji włoskiego Banku Państwowego; mimo to Calvi żył w ciągłym strachu, że ten rozdział jego różnorodnej działalności przestępczej może stać się znany władzom. Do realizacji nielegalnych transakcji wykorzystywał najpierw swoją filię w Nassau. Kiedy niewiele brakowało do uzyskania przez włoski Bank Państwowy dowodów potwierdzających podejrzenia co do tej działalności, przeniósł do Nikaragui dowody rzeczowe swoich transakcji. W 1979 r. ponownie zmienił siedzibę i nowy „bunkier dowodzenia” otworzył w Peru, jeszcze dalej od grożącego niebezpieczeństwa: 11 października 1979 r. powstał w Limie Banco Ambrosiano Andino. Wkrótce potem dokonano do Peru transferu większości poważnych kredytów, które Calvi zapewniał swoim zamaskowanym firmom w Panamie i Liechtensteinie. Tworzenie małych, zamaskowanych firm z nominalnym kapitałem własnym wynoszącym najczęściej tylko 10 000 dolarów, było specjalnością Calviego. Utworzył ich w sumie 17. Większość z nich należała do mającego swą siedzibę w Luksemburgu przedsiębiorstwa pod właściwą nazwą Manic S.A., należącego znowu do Banku Watykańskiego.

Gdyby banki międzynarodowe, które przez wiele lat zabiegały o pożyczanie Calviemu milionów dolarów, trochę dokładniej zajęły się swoim klientem, wówczas z pewnością ujawniono by to wszystko kilka lat wcześniej. Sporządzony w 1978 r. przez włoski Bank Państwowy raport z kontroli Banco Ambrosiano był oczywiście dokumentem ściśle poufnym, a więc trudno dostępnym. Został poufny także w 1981 r., kiedy otrzymałem do ręki jeden jego egzemplarz. Jeżeli do takiego raportu mógł dotrzeć pisarz, mogło to być również możliwe dla przynajmniej kilku z 250 banków na całym świecie, które Calvi oszukał. Bankierów uważa się powszechnie za mistrzów zręczności, odpowiedzialności; dalekowzroczności i wszelkich innych cnót; sami jednak dawali się nabierać na oszukańcze rachunki, jakie przedkładał im Calvi. Wierzyli mu, kiedy mówił, że ogromne kredyty, które u nich zaciągał, są przeznaczone na finansowanie włoskiego eksportu. Czy nikomu nie przyszło do głowy, by to sprawdzić, by po pewnym czasie zbadać, co stało się z pieniędzmi? Druzgocące świadectwo wystawia zwykłym w międzynarodowym systemie bankowym praktykom udzielania kredytów fakt, że możliwe było wypożyczenie 450 mln dolarów przez renomowane międzynarodowe instytucje bankowe nie bankowi z ich własnych szeregów, lecz zwykłemu towarzystwu holdingowemu pod nazwą Banco Ambrosiano Holdings z siedzibą w Luksemburgu — firmie, której wcale nie patronował żaden bank centralny. Ludzie, którzy zasiadają w zarządach i radach

nadzorczych tych banków, powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności przez akcjonariuszy i wszystkich posiadaczy kont. Dla Anglika nie będzie zbyt pocieszająca wiadomość, że jako klient banku w konkretnych okolicznościach sam dopomógł rządowi argentyńskiemu w zakupie owych rakiet Exo-cet, które w wojnie o Falklandy spowodowały śmierć tak wielu jego rodaków. Nie ma jednak żadnych wątpliwości, że istnieje taki związek przyczynowy. Calvi zaopatrywał Gellego w miliony, które pożyczał również od banków brytyjskich, a Gelli z kolei wykorzystał część tych pieniędzy na zakup rakiet Exocet dla Argentyny. Ludzie, którzy udzielili Calviemu tych ogromnych kredytów, z pewnością usprawiedliwialiby się dziś tym, że cała sprawa wyglądała swego czasu na wspaniały interes.

Jak bardzo plugawa była ta właśnie transakcja, można prawidłowo ocenić dopiero wówczas, gdy człowiek uzmysłowi sobie, że transferu pieniędzy, za pomocą których Gelli sfinansował wstępnie zakup rakiet Exocet, dokonano przez firmę panamską należącą do Watykanu.

Firmę tę, noszącą nazwę Bellatrix, kontrolował biskup Marcinkus. Utworzyło ją jednak trio, złożone z członków P2: Licio Gellego, Umberto Ortolaniego i Bruno Tassana Dina. Ostatni z nich był urzędującym dyrektorem i strategiem finansowym grupy wydawnictw Rizzolego. Ci trzej masoni wydoili z dojnej krowy, jaką był Banco Ambrosiano, 184 mln dolarów. Na papierze sumę tę wykazano jako kredyt dla firmy Bellatrix w Panamie, która jednak, ze swoim kapitałem własnym w wysokości 10 000 dolarów, w żadnym wypadku nie mogła udzielić na nią jakichkolwiek gwarancji. Tak więc ten ogromny kredyt zabezpieczono tylko pro forma dużym pakietem akcji grupy Rizzolego, którego mocno trzymały w swych rękach P 2 i Watykan. Kurs, po jakim zaproponowano złożone w charakterze gwarancji akcje Rizzolego, był bardzo zawyżony.

Firma Astolfine, inne przedsiębiorstwo panamskie należące do Watykanu, potrafiła, przy kapitale własnym wynoszącym 10 000 dolarów, zgromadzić górę długów w wysokości 486 mln dolarów.

Jak można wytłumaczyć zjawisko, że ENI, jeden z największych koncernów na świecie, zaczął nagle pożyczać pieniądze Calviemu? Że to potężne państwowe towarzystwo naftowe nagle zaczęło zachowywać się jak bank i pożyczało pieniądze Banco Ambrosiano Holdings w Luksemburgu, zamiast odwrotnie? Czy miało to może coś wspólnego z tym, że dyrektor generalny ENI, Giorgio Mazzanti, i dyrektor wydziału finansowego tego koncernu, Leonardo di Donna, byli członkami P 2? Na szczeblu dyrektorskim wielu banków międzynarodowych, które w latach 1978-1980 nieprzerwanie wrzucały Calviemu do gardła miliony dolarów, nie ujawniono do tej pory jeszcze ani jednego członka P 2.

Drobni klienci w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku, Kopenhadze, Tokio, Ottawie, Frankfurcie, Sydney lub Wellingtonie, wymyślający na wysokie opłaty pobierane przez ich banki, nie powinni zaniedbać wzniesienia toastu na cześć ducha Roberto Calviego i niewidzialnego Licio Gellego. Do toastu tego powinien przyłączyć się również Watykan. Naszymi opłatami bankowymi pomagamy płacić jego rachunki.

Punkty zaczepienia przemawiające za tym, że Bank Watykański jest właścicielem owych tajemniczych firm panamskich, sięgają wstecz do 1971 r., kiedy to Calvi i Sindona powołali biskupa Marcinkusa do zarządu filii Ambrosiano w Nassau.

W Mediolanie sędzia Luca Mucci podjął w 1979 r. dyletancką próbę przesłuchania Calviego. Calvi ograniczył się w trakcie przesłuchania do intensywnego wpatrywania się w czubki swoich własnych butów, mrużenia czegoś o „tajemnicy bankowej” i mówienia o perspektywach zwycięstwa drużyny Inter Mediolan w następnym meczu. Kiedy się pożegnali, sędzia Mucci był tak samo mądry jak przedtem.

W końcu 1979 r. zobowiązania zamaskowanych firm kontrolowanych przez Calviego i nominalnie należących do Watykanu osiągnęły sumę ponad 500 mln dolarów. Nie spełniły się na szczęście lunatyczne wizje Sindony o intergalaktycznym kapitalizmie; określone działania finansowe podlegają jeszcze staromodnym, ziemskim prawom, na które nie mógł wywrzeć wpływu nawet ktoś taki jak Calvi. Kurs dolara wobec lira zaczął wzrastać. Aktywa Banco Ambrosiano składały się w znacznym stopniu z akcji opartych na lirze. Teraz rozpoczęło się szaleństwo. Dla podtrzymania chociażby samej fasady, Calvi musiał dokonać zapierających dech tricków finansowych, i to w dodatku w okresie, kiedy do kosztów bieżących doszły jeszcze wydatki specjalne: 30 mld lirów na wykupienie dziennika weneckiego „Il Gazzettino” (gest, który miał zapewnić utrzymanie przychylności chrześcijańskich demokratów) i 20 000 mld lirów „kredytu” dla rzymskiego dziennika „Paese Sera” (dla uspokojenia komunistów). Wszyscy trzymali wyciągnięte ręce, a jeden z nich miał, jak się wydawało, dłonie wielkie jak szufle: Lilo Gelli.

W styczniu 1980 r. w Buenos Aires otworzył swoje podwoje Banco Ambrosiano de America del Sud. Prawie nigdy nie dokonywano tam normalnych operacji bankowych; za to ta filia imperium Calviego pomagała rządowi argentyńskiemu finansować zakup rakiet Exocet. Również innym reżimom południowoamerykańskim zapewniała środki na zakup broni.

Tymczasem w Mediolanie sędzia Mucci, będący pod wrażeniem wyników dochodzeń policji skarbowej (która prowadziła je nadal na podstawie raportu Banku Państwowego z 1978 r.), zdobył się na decyzję: w lipcu 1980 r. zażądał od Calviego złożenia jego paszportu i

poinformował go o wszczęciu postępowania karnego. Był to mały krok naprzód w imieniu sprawiedliwości.

Następny nie kazał na siebie długo czekać, ale był to krok wstecz: kilka miesięcy później Calvi otrzymał paszport z powrotem. To Gelli wykorzystał swoje dobre stosunki. Mniej skłonności do udzielenia takiej pomocy wykazał Wielki Mistrz wobec Massimo Spady, niegdyś współpracownika Banku Watykańskiego, a obecnie przewodniczącego zarządu Banca Cattolica del Veneto, aresztowanego i postawionego w stan oskarżenia z powodu różnych naruszeń prawa w związku z „wielkim krachem” Sindony. Następnym, który przynajmniej czasowo wdychał powietrze celi więziennej, był Luigi Mennini, będący nadal w służbie Banku Watykańskiego.

Kiedy mimo usilnych zabiegów Gellego o przekupienie wszystkich równocześnie lub każdego z osobna, sieć wokół Calviego zaczęła się zaciskać, nadzieje bankiera mediolańskiego na utrzymanie nad swymi poczynaniami płaszczyka uczciwości zaczęły się coraz bardziej opierać na Marcinkusie. Sytuacja stawała się niebezpieczna i bez gotowości Banku Watykańskiego do dalszego ręczenia za Calviego cała ta fasada musiałaby natychmiast runąć. Wprawdzie często już tak bywało, ale teraz Bank Watykański odczuwał znacznie silniejszy nacisk ze strony aparatu wymiaru sprawiedliwości niż kiedykolwiek przedtem; aresztowanie Menniniego wyraźnie to potwierdziło. Calvi obawiał się, że mimo ogromnych dotacji pieniężnych, którymi w przeszłości rozpieszczał Marcinkusa, wkrótce może się okazać, że ten człowiek w Watykanie odmówi mu swego aktywnego wsparcia i tym samym wyda go, bezbronnego, na pastwę prześladowców.

I rzeczywiście, włoski minister finansów Beniamino Andreatta, piastujący to stanowisko od października 1980 r., doszedł na początku 1981 r. do wniosku, że Watykan powinien niezwłocznie wycofać swoje poparcie dla Calviego. Przystudiował gruntownie raport Banku Państwowego z 1978 r. i uważał za pilnie potrzebne podjęcie kroków dla oszczędzenia Kościołowi jeszcze większych trudności. Udał się do Watykanu i przeprowadził długą rozmowę z kardynałem Casarolim. Przedstawił mu sytuację i doradził, by Watykan zerwał wszelkie kontakty z Banco Ambrosiano, póki jeszcze nie jest za późno. Radą tą wzgardzono. Marcinkus miał później zapewnić, że o tej rozmowie nic nie wiedział. Niezależnie od tego, jak było w rzeczywistości, jeżeli zarliwy katolik Andreatta znał całą prawdę, to musiał wiedzieć, że zerwanie stosunków z Calvim było dla Watykanu rzeczą zupełnie niemożliwą, gdyż de facto państwo kościelne było przecież właścicielem Banco Ambrosiano! Przez tę sieć zamaskowanych firm w Panamie i Liechtensteinie Watykan posiadał ponad 16 procent udziałów w Banco Ambrosiano. Z uwagi na fakt, że pozostałe

akcje były rozproszone, Watykan, ze swymi 16 procentami, praktycznie kontrolował ten bank.

Wydział prasowy Watykanu opublikował 2 marca 1981 r. oświadczenie, które było zagadką dla wielu obserwatorów. Wszystkim katolikom przypomniano w nim postanowienia prawa kanonicznego odnoszące się do wolnomularstwa oraz to, że obowiązujący kodeks *zabrania katolikom, pod karą ekskomuniki, wstępowania do stowarzyszeń masońskich lub podobnych*. Zagadkowe w tym oświadczeniu było to, że nie było żadnego aktualnego powodu do opublikowania czegoś takiego. Postanowienie mówiące, że niedopuszczalna jest przynależność katolika do loży masońskiej i grożące za to ekskomuniką, obowiązywało od 1738 r. Dlaczego Watykan właśnie teraz, w marcu 1981 r., ponownie zwrócił na to uwagę? Odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać i dowiodła, że wywiad wewnętrzkościelny funkcjonuje przynajmniej tak samo dobrze jak prywatna służba tajna Licio Gellego. Komunikat Watykanu nie wspominał oczywiście nic o tym, w jaki sposób ci wszyscy dobrzy katolicy, którzy znajdowali się na listach członków P2, powinni doprowadzić do zniknięcia ich nazwisk z tych wykazów, zanim wpadną one w ręce władz włoskich. Dla członka P2, Roberto Calviego, z tego nierozwiązywalnego najwyraźniej problemu miały wyniknąć fatalne skutki.

Kiedy dosięgnęło go wreszcie przeznaczenie, mógł to — o ironio! — zawdzięczać swoim stosunkom z Licio Gellim, jego protektorem i obrońcą. W 1981 r. włoski aparat wymiaru sprawiedliwości wciąż jeszcze starał się wyjaśnić bliższe okoliczności zainscenizowanego przez Sindonę uprowadzenia siebie samego. Policja przeszukała 17 marca 1981 r. pałac Gellego w Arezzo i jego pomieszczenia biurowe w fabryce włókienniczej w Giole. Funkcjonariusze aparatu ścigania poszukiwali dowodów na to, że Gelli maczał palce w zorganizowaniu potajemnej wizyty Sindony w starej ojczyźnie; to, co znaleźli, było puszką Pandory. W szafie pancерnej Gellego odkryli listę z nazwiskami 962 członków P2. Wpadły im również w ręce dossier i tajne raporty rządowe.

Listę członków P 2 czytało się dosłownie jak włoskie „Kto jest kim”. Siły zbrojne reprezentowało na niej 50 generałów i admirałów, aktualny rząd — dwóch wysokiej rangi ministrów; do nich dochodzili jeszcze przemysłowcy, dziennikarze (wśród nich redaktor naczelny „Corriere della Sera” i liczni redaktorzy tego pisma), 36 deputowanych do parlamentu, gwiazdy piosenki, naukowcy i wysocy urzędnicy policji. Było to państwo w państwie. Często mówiono, że Gelli planował rozciągnięcie swojej kontroli nad Włochami. Nie jest to zupełnie słuszne: on je już miał pod kontrolą.

Funkcjonariusze aparatu ścigania nie znaleźli jednak żadnych śladów samego

Wielkiego Mistrza. Przygotowania do tej akcji prowadzono w najściślejszej tajemnicy, co oznaczało, że wiedzieli o nich tylko nieliczni, godni zaufania wyżsi funkcjonariusze policji i — oczywiście — Licio Gelli. W porę więc wyjechał do Ameryki Południowej.

Skandal, jaki po tym nastąpił, doprowadził do upadku rządu i nadał znaczne przyspieszenie dochodzeniom prowadzonym przez mediolański wymiar sprawiedliwości przeciw Calviemu. Sędziego Mucci zastąpił jego kolega, Gerardo d'Ambrosio. Od zamordowania sędziego Alessandriniego minęły ponad dwa lata — dwa lata bezczynności. Nowy sędzia śledczy, który mógł oprzeć się na kompromitujących dokumentach znalezionych w szafie pancernej Gellego, po dwóch miesiącach zaszedł w śledztwie już tak daleko, że mógł aresztować Calviego i osadzić go w celi więzienia w Lodi.

Teraz rozległ się apel do wszystkich dobrych przyjaciół o przyjęcie z pomocą człowiekowi, który tak często pomagał innym wydostać się z kłopotów (finansowych); po aresztowaniu Calviego głos w parlamencie podnieśli Bettino Craxi, silny człowiek w Partii Socjalistycznej i Flaminio Piccoli, przywódca Partii Chrześcijańskich Demokratów, wyrażając się pozytywnie o samym aresztowanym i jego banku. Watykan zachował milczenie. Było to zrozumiałe o tyle, że całą uwagę musiał poświęcić znacznie ostrzejszemu kryzysowi: siedem dni przed aresztowaniem Calviego, papież Jan Paweł II został na Placu Św. Piotra postrzelony przez Mehmeta Ali Agcę.

Kiedy katolicy na całym świecie modlili się, by papież przeżył, Roberto Calvi w więziennej celi łamał sobie głowę nad problemem, który o wiele bardziej leżał mu na sercu: nad własnym przetrwaniem. Przez swoją rodzinę zaczął wywierać nacisk na Marcinkusa; Watykan powinien, jak chciał tego Calvi, przyznać publicznie, że przez całe lata współpracował z nim ręką w rękę.

Po wielu daremnych telefonach, synowi Calviego, Carlo, udało się wreszcie osiągnąć Marcinkusa. Wyjaśnił biskupowi z naciskiem, jak poważna jest sytuacja jego ojca i jak bardzo by mu pomogło, gdyby Watykan przyznał się do współodpowiedzialności. Z uwagi na bardzo rygorystycznie strzeżone w Szwajcarii tajemnice bankowe, należący do Calviego *Banca del Gottardo* w Lugano nie mógł ujawnić prawdy, ale Bank Watykański jest sam sobie panem, a więc stosownymi oświadczeniami mógłby pospieszyć Calviemu z pomocą. Marcinkus nie myślał jednak o publicznym przyznaniu się do współodpowiedzialności. Synowi Calviego oświadczył więc: *Gdybyśmy to uczynili, wówczas ucierpiałyby nie tylko IOR i reputacja Watykanu. Stracilibyście na tym również wy, ponieważ nasze problemy są także waszymi problemami.*

Tak też było w rzeczywistości: oba banki były ze sobą wewnętrznie powiązane, i to

już od lat. Biskup Marcinkus stanął przed dylematem. Powiedzenie prawdy oznaczałoby narażenie Watykanu na gniew włoskiej opinii publicznej. Milczenie zaś oznaczałoby pozostawienie na lodzie Calwiego, w nadziei że głębokie uwikłanie Watykanu w ciemne interesy Calwiego pozostałoby tajemnicą i że po jego procesie wszystko zostanie po staremu. Biskup Marcinkus zdecydował się na tę ostatnią drogę. Bez wątplenia na podjęciu tej decyzji zaważył fakt, że ze wszystkich kryminalnych poczynań Calwiego tylko dwa były przedmiotem zbliżającego się procesu: przypadek Toro, i przypadek Credito Varesino; Calvi sprzedał sam sobie, po bardzo zawyżonym kursie, akcje obu tych firm. W trakcie tej operacji Calvi popełnił przestępstwo, polegające na nielegalnym wywozie kapitału z Włoch. Mediolański wymiar sprawiedliwości miał nadzieję, że w tym wypadku będzie mógł udowodnić mu naruszenie przepisów. Marcinkus ze swej strony liczył na to, że jeżeli zainteresowanych nie zawiodą nerwy i będą milczeli, wszystko będzie można zakwalifikować jako drobny wypadek przy pracy, bez poważnych następstw. Calvi w więzieniu Lodi nie był tak ufny, jak jego porywczy przyjaciel od finansów z Watykanu. Za mało pocieszające uważał jego hasła o potrzebie przetrwania. Tymczasem w międzynarodowym świecie bankowym mocno potrząsano z niedowierzaniem głowami, że Roberto Calvi ze swej celi więziennej nadal kierował interesami Banco Ambrosiano.

Siódmego lipca włoski wymiar sprawiedliwości oskarżył oficjalnie Michele Sindonę o podżeganie do morderstwa na Giorgio Ambrosolim. Szczególnie interesująca jest reakcja Calwiego na ten fakt: następnego wieczoru podjął próbę samobójstwa. Zażył środki nasenne i podciął sobie żyły. Motywy tego czynu wyjaśnił potem następująco: *...z powodu rozpaczliwego impulsu wewnętrznego. Ponieważ we wszystkim, co mi wyrządzono, nie było ani krzty sprawiedliwości. Nie mówię tu o procesie. Gdyby rzeczywiście chciał odebrać sobie życie, wystarczyłoby tylko przemycić do celi i zażyć zalecaną przez Gellego dawkę naparstnicy. Nie wywarło to specjalnego wrażenia na jego sędziach. Dwudziestego lipca skazano go na cztery lata pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 16 mld lirów. Jego adwokaci natychmiast odwołali się od tego wyroku i Calwiego wypuszczono za kaucją na wolność. W ciągu tygodnia po zwolnieniu z więzienia rada nadzorcza Banco Ambrosiano jednomyślnie zatwierdziła go na stanowisku dyrektora generalnego banku. W międzynarodowym świecie bankowym znowu z niedowierzaniem potrząsano głowami. Jak przewidział Marcinkus wszystko zostało po staremu.*

P2 najwyraźniej nadal była czynnikiem władzy. Włoski Bank Państwowy nie wniósł żadnych zastrzeżeń wobec powrotu Calwiego na jego stanowisko. Rząd włoski nie poczynił żadnych kroków, by skończyć z tym nadzwyczajnym zjawiskiem, że na czele jednego z naj-

większych banków w kraju staje człowiek skazany za poważne uchybienia finansowe.

Z krytyką wystąpił tylko jeden bankier: Roberto Rosone, urzędujący dyrektor Banco Ambrosiano; doradzał pilnie włoskiemu Bankowi Państwowemu, by zabiegał o odwołanie Calviego i zastąpienie go byłym przewodniczącym zarządu banku, Ruggiero Mozzaną. Włoski Bank Państwowy pozostał jednak głuchy, przejęty najwyraźniej szacunkiem dla potęgi P 2 i wpływów politycznych, jakie z biegiem lat kupił sobie Calvi.

Druga, potencjalnie zagrażająca imperium bankowemu Calviego sytuacja wytworzyła się w Peru i Nikaragui. Aby uporać się z nią, Calvi zmobilizował pomoc Marcinkusa. Podczas procesu biskup odmówił mu wszelkiej pomocy, ale teraz był gotowy udzielić wsparcia, by zapobiec ujawnieniu operacji kryminalnych, przeprowadzonych wspólnie przez nich obu.

W czasie procesu Calviego, Watykan podał do publicznej wiadomości, że papież Jan Paweł II powołał komisję składającą się z 15 kardynałów i postawił przed nią zadanie zbadania finansów Kościoła rzymskokatolickiego. W rzeczywistości komisja ta miała za zadanie opracowanie propozycji umożliwiających pomnożenie dochodów Watykanu.

Biskup Paul Marcinkus nie wchodził w skład komisji; miał jednak uczucie, że jako szef Banku Watykańskiego może wnieść duży wkład w jej prace, jeśli chodzi o zawile problemy finansów watykańskich. Wielokrotnie prowadził rokowania ze skazanym tymczasem i wypuszczonym na wolność za kaucją Calvim. Efektem rokowań było oficjalne opublikowanie przez Bank Watykański informacji, że jego zadłużenie jest niemal o miliard dolarów większe niż dotychczas zakładano. Odpowiadało to dokładnie sumie wierzytelności banków Calviego w Peru i Nikaragui, a dokładniej mówiąc kredytów, które zapewniły one wielokrotnie już wspomnianym pozornym firmom panamskim. Gwarancje tych ogromnych kredytów były równe zero. Dla odpowiedzialnych w Peru i Nikaragui było to straszne. Kto zapłaciłby w razie czego rachunek? Do kogo konkretnie należały te tajemnicze firmy panamskie? Kto pożyczył sobie tak dużo pieniędzy, nie mając żadnego zabezpieczenia? Martwili się przede wszystkim kierownicy filii peruwiańskiej, gdyż ich wierzytelności opiewały na okrągłą sumę 900 mln dolarów.

Tak wyglądały sprawy, kiedy w sierpniu 1981 r. Calvi i Marcinkus zainscenizowali swoje największe oszustwo.

Dokumenty te były później znane pod nazwą „listy pocieszenia”. Nie przyniosły jednak pociechy żadnemu katolikowi, nie przyczyniły się do uwierzenia w moralną nieskazitelność Watykanu. Listy te mają nagłówek firmowy Istituto per le Opere di Religione i datę 1 września 1981 r. Ich adresatami były Banco Ambrosiano Andino w Limie i Ambrosiano Group Banco Comercial w Managui. Tekst przygotowany i podpisany na

polecenie biskupa Paula Marcinkusa przez Luigi Menniniego i Pellegrino de Strobla brzmi:

Szanowni Panowie,

Niniejszym potwierdzamy, że bezpośrednio lub pośrednio kontrolujemy większość udziałów w niżej wymienionych firmach: Manic S.A., Luksemburg Astolfine S.A., Panama Nordeurop Establishment, Liechtenstein U.T.C. United Trading Corporation, Panama Bellatrix S.A., Panama Starfield S.A., Panama Balrose S.A., Panama.

Potwierdzamy także fakt zadłużenia wymienionych firm u Panów w wysokości wynikającej z załączonego wykazu sald na 10 czerwca 1981 r.

Z załączonego wykazu wynikało, że zadłużenie wymienionych firm u samej tylko peruwiańskiej filii Ambrosiano wynosiło 907 mln dolarów.

Personel kierowniczy w Nikaragui i Peru odetchnął z ulgą. Ludzie ci mieli teraz wykazane czarno na białym, że tak wiele pieniędzy był im winien nikt inny, jak sam Watykan. Tym samym za długi te ręczył Kościół rzymskokatolicki. Lepszych gwarancji nie mógłby sobie życzyć żaden bankier.

Cała sprawa miała tylko jeden mały haczyk. Dyrektorzy banków w Peru i Managui nie wiedzieli wszystkiego. Był jeszcze jeden list. Napisał go Roberto Calvi z datą 27 sierpnia 1981 r. Adresatem był Bank Watykański. Marcinkus otrzymał go, zanim Bank Watykański przyznał się do swojej odpowiedzialności za wspomniane wyżej miliardowe długi. List Calviego zawierał najpierw formalną prośbę o owe „listy pocieszenia”, w których Watykan miał dać do zrozumienia, że jest właścicielem firm luksemburskich, panamskich i w Liechtensteinie. Z wyznania tego, jak wyraźnie zapewnił Calvi, *nie wynikną jednak dla IOR żadne zobowiązania*. Jego list kończyło zapewnienie, że Bank Watykański, niezależnie od tego, co się wydarzyło, nie poniesie *w przyszłości żadnych szkód lub strat*. Tym samym potajemnie znowu zwolniono Bank Watykański od odpowiedzialności, którą oficjalnie miał przejąć.

To poufne pismo Calviego do Marcinkusa mogło uzyskać jakieś znaczenie prawne tylko wówczas, gdyby o jego istnieniu i dokładnej treści poinformowano dyrektorów filii Ambrosiano w Peru i Nikaragui. Ponadto ta umowa między Calvim i Marcinkusem wymagałaby zatwierdzenia większością głosów przez zarząd Banco Ambrosiano w Mediolanie. Wreszcie, aby uzyskać moc prawną, jego pełna treść powinna była być przekazana do wiadomości akcjonariuszom Banco Ambrosiano, włącznie z wieloma drobnymi akcjonariuszami w Mediolanie i okolicy.

Porozumienie między Calvim i Marcinkusem w formie udokumentowanej w obu listach miało bez wątpienia znamiona przestępstwa. Fakt, że historia ta zrodziła się dokładnie

w trzecią rocznicę wyboru Albino Lucianiego na papieża, nadaje całej sprawie jeszcze bardziej wstrętnego posmaku. Człowieka, który postanowił zlikwidować korupcję w Watykanie, zastąpił na tronie papieskim ktoś, kto z całego serca wierzył biskupowi Marcinkusowi.

Do kolejnego makabrycznego zbiegu okoliczności doszło w trzecią rocznicę śmierci Albino Lucianiego, kiedy 28 września 1981 r. papież Jan Paweł II mianował Marcinkusa zastępcą przewodniczącego komisji pontyfikalnej dla państwa watykańskiego. Oznaczało to, że Marcinkus został praktycznie gubernatorem lub szefem rządu państwa watykańskiego. Objęcie tego stanowiska było automatycznie związane z nominacją na arcybiskupa. Obok swego nowego urzędu Marcinkus zachował dotychczasową funkcję szefa Banku Watykańskiego.

Jego litewskie pochodzenie, jego tradycyjnie bliski stosunek z Polakiem i znajomość trudności jego narodu, jego osobista bliskość z papieżem z uwagi na pełnione funkcje osobistego ochroniarza i „szefa bezpieczeństwa” podczas podróży zagranicznych, wszystko to razem spowodowało, że Paul Marcinkus znalazł w osobie Karola Wojtyły najpotężniejszego protektora i obrońcę, jakiego mógłby sobie tylko życzyć członek Kurii. W oficjalnym stanowisku Watykanu, Sindona, Calvi i im podobni są złoczyńcami, na których wyrafinowane oszustwa dali się nabrać naiwni, prostoduszni duchowni. Istnieją tu tylko dwie możliwości: albo Marcinkus przez lata całe okłamywał Jana Pawła II i pozostawiał go w nieświadomości, albo papież był i jest we wszystko wtajemniczony; w tym wypadku sam powinien stanąć pod pręgierzem.

W tym samym czasie, gdy Karol Wojtyła promieniejąc swą charyzmą oświadcza całemu światu, że mężczyzna patrzący na swą żonę z pożądaniem może w sercu popełnić cudzołóstwo, Marcinkus nadal bez trudu uwodzi wielu bankierów tego świata. W czasie gdy papież z Krakowa wskazuje Kościołowi katolickiemu kierunek (do tyłu), oświadczając, że rozwiedziony i ponownie ożeniony katolik może przyjąć komunię tylko wówczas, gdy powstrzymuje się od wszelkich stosunków płciowych ze swoim nowym partnerem w małżeństwie, bankierzy papieża okazują się mało wybredni przy wyborze partnerów, z którymi chcą utrzymywać stosunki.

Po wyborze Wojtyły ateista Licio Gelli wielokrotnie demonstrował swoją własną potęgę i charyzmę. Nikt nie nazwałby go zastępcą Boga, ale wielu jeszcze dziś zerwałoby się i tańczyło tak, jak by im zagrał.

Ze swej siedziby w stolicy Urugwaju, Montevideo, Licio Gelli utrzymywał stały kontakt z Roberto Calvim. Wielki Mistrz, który wciąż jeszcze pociągał za ważne sznurki i

ciągle jeszcze wymuszał na bankierze duże sumy pieniędzy, telefonował często, kiedy Calvi przebywał w swojej willi w Arezzo. Żona Calviego, Clara, i jego córka, Anna, potwierdziły, że oprócz nich numer telefonu znali tylko Gelli i Umberto Ortolani — „gorąca linia” P2. Gelli nigdy nie wymieniał swego nazwiska, gdy przy telefonie była pani Calvi lub któreś z jej dzieci i pytała, z kim rozmawiają. Używał zawsze określonego pseudonimu: Luciani.

Wielki Mistrz P2 używał w kontaktach z Calvim pseudonimu Luciani już od 1978 r. Dlaczego właśnie tego nazwiska? Czy na pamiątkę po pewnym wydarzeniu? Czy jako stałej, dyskretnej groźby, że on, mistrz w sztuce szantażu znalazł bliższe szczegóły tego wydarzenia i mógłby ujawnić swoją wiedzę, gdyby nie otrzymywał regularnie wystarczających ilości pieniędzy? Bez wątplenia Gelli otrzymywał pieniądze tak jak dawniej. Calvi płacił mu aż do gorzkiego końca. Wielki mistrz Gelli wpadł we Włoszech i musiał osiąść w Ameryce Południowej, a włoski aparat wymiaru sprawiedliwości ścigał go z wielu powodów; dlatego nie mógł już zapewnić Calviemu dużej protekcji. Za co więc te miliony dolarów, które po każdym telefonie „Lucianiego” wpływały na konta Gellego? Calvi osobiście szacował, że Gelli i Ortolani ostatecznie zgromadzili około 500 mln dolarów.

Kilka miesięcy przed wybuchem skandalu z P2, a więc w czasie, kiedy wielki mistrz przebywał jeszcze we Włoszech, Calvi podjął zupełnie wyraźnie próbę zerwania wszelkich mostów z Gellim. Dlaczego unikał podchodzenia do telefonu? Dlaczego członkom swojej rodziny polecił, by mówili, że jest chory lub że nie ma go w domu? Sądząc z wypowiedzi rodziny Calviego, Gelli, nienasycony zbieracz tajemnic i kompromitujących informacji, musiał mieć coś, co umożliwiało mu trzymanie Roberto Calviego w szachu. Cóż to musiała być za tajemnica, którą znał Gelli, i jaka straszna musiała ona być, skoro Calvi na samo tylko wspomnienie nazwiska Gellego pocił się ze strachu na całym ciele?

Gelli panował nad Calvim aż do jego śmierci. Kiedy zagwizdał, Calvi się podrywał. W końcu 1981 r., na życzenie Calviego, stanowisko jednego z zastępców przewodniczącego zarządu Banco Ambrosiano objął Carlo de Benedetti, dyrektor generalny firmy Olivetti. Calvi słusznie obiecywał sobie po tym człowieku pozytywnego wpływu na wizerunek Banco w oczach opinii publicznej. Gelli i Ortolani w Urugwaju odnotowali natomiast tę nowość z przerażeniem. Praworządny człowiek w zarządzie — to kłóciło się z ich zamiarem kontynuowania plądrowania Banco Ambrosiano.

„Luciani” chwycił za słuchawkę i wybrał numer prywatnego telefonu Calviego w willi w Arezzo. Od tego momentu Calvi utrudniał życie człowiekowi z Olivetti, którego sam sprowadził do Banco Ambrosiano. *Musi pan być szczególnie ostrożny*, powiedział do Benedettiego. *P2 kompletuje pana dossier. Radzę panu być ostrożnym, ponieważ wiem o tym.*

Niecały miesiąc później Benedetti zrezygnował ze swej funkcji w zarządzie Banco Ambrosiano.

Grupa akcjonariuszy Banco Ambrosiano z Mediolanu wysłała do Jana Pawła II obszerny list ze skargą, zaopatrzony w szczegółowy, dokumentujący wszystko załącznik. List nosił datę 12 stycznia 1982 r. i był jednym wielkim atakiem na bank. Wskazano w nim na stosunki między Marcinkusem, Calvim, Gellim i Ortolanim. Akcjonariusze byli oburzeni zwłaszcza tym, że właśnie ten, kiedyś zacny, katolicki Banco Ambrosiano i Bank Watykański wdały się w sojusz z tak niecnymi ludźmi. Wstrząśnięci katolicy mediolańscy stwierdzili:

IO R nie jest jedynie zwykłym akcjonariuszem Banco Ambrosiano. Jest ściśle powiązany interesami z Roberto Calvim. Jak wykazuje rosnąca liczba postępowań sądowych, Calvi jako człowiek, który przejął dziedzictwo Sindony, stoi na głównym skrzyżowaniu wolnomularstwa najbardziej zdegenerowanego rodzaju (P2) z kołami mafii. Również ta działalność odbywa się przy współudziale osób wspaniałomyślnie hołubionych i ochraniających przez Stolicę Apostolską, na przykład Ortolaniego, który utrzymuje kontakt między Watykanem i potężnymi grupami międzynarodowego świata podziemnego.

Jeżeli ktoś jest partnerem w interesach Calwiego, oznacza to, że jest partnerem w interesach Gellego i Ortolaniego, pod których władczy wpływem pozostawał ten człowiek. Tym samym Watykan, chcąc nie chcąc, przez swoje powiązania z Calvim jest także aktywnym partnerem Gellego i Ortolaniego.

List kończył się usilną prośbą do papieża Jana Pawła II o radę i pomoc. Mimo że papież mówi wieloma językami, w tym także włoskim, mediolańczycy zlecili przetłumaczenie listu na polski i poczynili niezbędne kroki gwarantujące, by ani następca Villota, Casaroli, ani ktokolwiek inny z aparatu Kurii, nie miał możliwości przechwycenia go, zanim trafi do rąk papieża. Autorzy listu do dziś daremnie czekają na odpowiedź. Nie otrzymali nawet formalnego potwierdzenia, że ich list dotarł do adresata.

Calvi wiedział o tym liście i wiedział także, że napisano go i wysłano za zgodą jego urzędującego dyrektora, zastępcy przewodniczącego zarządu, Roberto Rosonego. Ze swoim przyjacielem, z którym był po imieniu i bratem z łoża P2, Flavio Carbonim, rozmawiał o niebezpieczeństwie, jakie sprowadzały na bank starania Rosonego o zaprowadzenie porządku.

Flavio Carboni miał wszędzie dobrych przyjaciół i stosunki. Do jego zaufanych należeli także obaj królowie rzymskiego podziemia, Danilo Abbruciati i Ernesto Diotavelli.

Rankiem 27 kwietnia 1982 r., kilka minut przed ósmą, Rosone wychodził ze swego mieszkania. Miał szczęście, że mieszkał bezpośrednio nad filią Banco Ambrosiano, która, jak wszystkie banki włoskie, jest całą dobę strzeżona przez uzbrojony personel. Kiedy Rosone

wyszedł na ulicę, zbliżył się do niego jakiś człowiek i otworzył ogień. Rosone trafiony w nogi upadł na ziemię. Strażnicy bankowi odpowiedzieli ogniem. Kilka sekund później na ziemi leżał również zamachowiec. Był martwy. Był nim Danilo Abbruciati.

Następnego dnia po próbie zabójstwa Rosonego, 28 kwietnia, Flavio Carboni przekazał pozostałemu przy życiu drugiemu szefowi rzymskiego podziemia 530000 dolarów. Zadanie zostało wprawdzie spartaczone, ale Calvi był człowiekiem, który płacił swoje rachunki — oczywiście pieniędzmi należącymi do innych.

Calvi, który bez wątpienia polecił zamordować swojego zastępcę, pospieszył się z odwiedzeniem rannego i nie zapomniał przy tym także o obligatoryjnym bukiecie kwiatów. *Madonna! Cóż to za świat szaleńców. Chcą nas zastraszyć, Roberto, by w ten sposób przechwycić w swoje ręce grupę, która jest warta 20 000 miliardów lirów.*

W maju 1982 r. wokół szyi Calviego zaczęła się zaciskać pętla. Włoski urząd nadzoru giełdowego Consob zobowiązał go do przedłożenia na giełdzie mediolańskiej pełnej listy akcjonariuszy Banco Ambrosiano. Takie publiczne ujawnienie stosunków własnościowych pociągało za sobą niezależną kontrolę ksiąg Banco.

Jak zeznała pod przysięgą żona Calviego, Clara, kilka miesięcy wcześniej papież Jan Paweł II przyjął na audyencji prywatnej jej męża. Omawiano przy tym problem zadłużenia w wysokości miliarda dolarów, którego Watykan „dorobił się” z pomocą Calviego, Ortolaniego i Marcinkusa. Papież dał Calviemu obietnicę: *Jeżeli uda się panu uwolnić Watykan od tych długów, wówczas może pan mieć wolną rękę w uporządkowaniu na nowo naszych finansów.*

Jeżeli tę propozycję rzeczywiście uczyniono, można z tego wnioskować, że Jego Świątobliwość jest najwyraźniej przekonany o słuszności aforyzmu, że pieniędzy nigdy nie można mieć za wiele. Ze strony papieży, którzy tak myślą, zonglerzy finansowi Watykanu— Sp. z o.o. niczego nie muszą się obawiać.

Karol Wojtyła i Roberto Calvi nie byli jedynymi, którym ciężko zalegał w żołądku miliard dolarów, który napłynął do kas egzotycznych filii watykańskich. W piśmie skierowanym do Calviego i jego kolegów z zarządu Bank Włoski zażądał 31 maja 1982 r. kompletnego przedstawienia kredytów zagranicznych grupy Ambrosiano. W zbyt spóźnionym, niestety, akcie protestu przeciw Calviemu członkowie zarządu stosunkiem głosów 11:3 postanowili spełnić żądanie Banku Państwowego.

Tymczasem Licio Gelli potajemnie powrócił z Argentyny do Europy. Penetrował rynek raketowy, by dopomóc swojej ojczyźnie z wyboru w zdobyciu rakiet Exocet na wojnę o Falklandy. Konta zagraniczne państwa argentyńskiego były w większej części zamrożone i handlarze bronią na czarnym rynku mieli pewne wątpliwości, czy Gelli rzeczywiście może

zapłacić cenę, którą im zaoferował: cztery miliony dolarów za raketę, a więc sześciokrotnie więcej od ceny oficjalnej, przy zamówieniu opiewającym na minimum 20 sztuk. Sam Gelli był człowiekiem znanym w kołach handlarzy bronią. W imieniu i na rachunek Argentyny kupował urządzenia radarowe, samoloty, broń strzelecką, działa i czołgi. Czy teraz jednak, w środku toczącej się wojny, będzie mógł wyłożyć na stół 80 mln dolarów za 20 rakiet Exocet, które chciał nabyć?

Na Roberto Calviego, który w tym czasie miał do czynienia z tak różnorodnymi problemami, jak życzenia papieża Jana Pawła II, nakaz urzędu nadzoru giełdowego Consob, żądania Banku Włoskiego, krnąbrność swoich kolegów z zarządu i zawód sprawiony przez zaangażowanego za duże pieniądze zamachowca, spadł jeszcze — ponownie — problem trzymającego wyciągniętą rękę Licio Gellego. Gelli poszukiwał 80 mln dolarów.

Calvi dostrzegał tylko dwie drogi, które mogły zapewnić mu przeżycie: albo Watykan pomoże mu wyrównać lub przynajmniej zamaskować stale rosnące niedobory w bilansach jego banku, albo Gelli musiałby dowieść, że baza jego władzy w establishmencie włoskim wciąż jeszcze była wystarczająco duża, by zapobiec rozpadnięciu się oszukańczego przedsiębiorstwa Banco Ambrosiano i ruinie skarbnika P 2.

Calvi rozważał te możliwości z Flavio Carbonim, który tak jak dotychczas potajemnie nagrywał te rozmowy na taśmę.

Z uwag poczynionych przez Calviego wynika wyraźnie, że uważał on za obowiązek Watykanu pokrycie brakujących należności Banco Ambrosiano, chociażby tylko z tego powodu, że brakujące miliony przyniosły pożytek głównie Watykanowi. Ponadto Marcinkus i spółka byli, jak uważał Calvi, prawnie zobowiązani do udzielenia pomocy: *Watykan powinien wywiązać się ze swoich zobowiązań przez zlikwidowanie części majątku kontrolowanego przez IOR. Jest to ogromny majątek. Wyceniam go na dziesięć miliardów dolarów. Aby pomóc Ambrosiano, IOR mógłby zacząć sprzedaż w ratach po miliardzie dolarów.*

Jeżeli w owym czasie był na świecie, poza Kościołem, ktoś, kto mógł ocenić wartość majątku watykańskiego, to był nim z pewnością Roberto Calvi. Był on wtajemniczony we wszystkie sprawy finansowe Kościoła. Ponad 10 lat był człowiekiem, do którego Watykan zwracał się w sprawach finansowych. W jednym z wcześniejszych miejsc tej książki wyceniłem ostrożnie na trzy miliardy dolarów wartość majątku zarządzanego przez obie sekcje APSA i Banku Watykańskiego w chwili wyboru Lucianiego. Roberto Calvi, na swój sposób bardzo ostrożny człowiek, oceniał na początku 1982 r. majątek samego tylko IOR na dziesięć miliardów dolarów.

Nie ma wątpliwości, że w roku 1982 sytuacja była coraz groźniejsza dla człowieka,

którego błędnie obdarzono tytułem „bankiera Boga”. Za większą część tych trudności był sam odpowiedzialny. Na określenie „bankier Boga” zasłużył w ciągu minionych dwóch dziesięcioleci tylko jeden człowiek: arcybiskup Marcinkus.

Mimo niebezpiecznej sytuacji, w jakiej znajdował się Calvi, podczas wywiadu telefonicznego, jaki przeprowadziłem z nim wczesnym wieczorem 9 czerwca 1982 r., wydawał mi się — a nie wiedziałem wówczas nic o jego poważnych trudnościach — niezwykle spokojny, przynajmniej początkowo. Rozmowę zaaranżował pośrednik, najwyraźniej cieszący się zaufaniem Calviego.

Nasza prowadzona przy pomocy tłumacza rozmowa dotyczyła wielu tematów. W końcu zacząłem dokładnie wypytywać Calviego o dokonaną swego czasu zmianę właściciela Banca Cattolica del Veneto. Calvi wiedział, że pisałem książkę o Watykanie i kiedy wspomniałem o Banca Cattolica, zapytał mnie, jaki będzie główny temat książki. Odpowiedziałem: *Jest to książka o życiu papieża Jana Pawła I, papieża Lucianiego.*

Nastrój Calviego zmienił się gwałtownie. Znikł spokój i opanowanie; ze słuchawki zabrzmiała głośna tyrada. Głos Calviego był teraz podenerwowany i w najwyższym stopniu nieopanowany. Mój tłumacz usiłował za nim nadążyć. *Kto pana na mnie nasłał? Kto jest pańskim zleceniodawcą? Zawsze ja płacę. Zawsze ja płacę. Jak dobrze zna pan Gellego? Czego chce pan ode mnie? Ile pan chce?*

Zapewniałem, że nigdy nie widziałem Licio Gellego. Nie słuchając mnie grzmiał dalej: *Kimkolwiek pan jest, i tak nie napisze pan tej książki. Nie mogę panu nic powiedzieć. Niech pan nigdy więcej nie telefonuje. Nigdy więcej.*

Osiem dni później znaleziono ciało Roberto Calviego; wisiało na stryczku pod Blackfriars Bridge w Londynie, tylko kilka kilometrów od mojego mieszkania.

W ciągu kilku dni wyszły na światło dzienne pełne rozmiary nie pokrytych długów mediolańskiego Banco Ambrosiano: deficyt wynosił 1,3 mld dolarów.

Głównym przedmiotem moich dociekań była śmierć innego człowieka, któremu Roberto Calvi nie był godzien nawet zawiązać rzemienia u obuwia: Albino Lucianiego, który wybrał ubóstwo i skromność, który cenił drobne sprawy życiowe i spokój. Villot, Calvi, Marcinkus, Sindona, Cody: jeden z tych ludzi musiał pociągać za nitki przysiężenia, którego celem było zamordowanie Albino Lucianiego. Zanim, czytelniku, wydasz swój wyrok, pozwól nam wspólnie rzucić ostatnie spojrzenie na tych ludzi.

Kardynała Jeana Villota, którego Luciani zdecydował się zwolnić, jego następcą, Karol Wojtyła, zatwierdził na stanowisku watykańskiego sekretarza stanu. Zachował on także wiele swoich innych funkcji. APSA, zarząd majątku Stolicy Apostolskiej, którego

kierownikiem był Villot, odegrał rolę swata w zawarciu finansowego małżeństwa między Sindoną i Watykanem. Biskupa Marcinkusa często krytykowano za to, że wprowadził Sindonę do Watykanu. Nie jest to słuszne. Decyzję tę podjęli papież Paweł VI, monsignore Macchi, Umberto Ortolani i panowie z APSA, oczywiście przy miarodajnym współdziałaniu szefa APSA, Villota. Zarządzone przez Lucianiego zwolnienie Villota z funkcji sekretarza stanu pociągnęłoby za sobą automatycznie odwołanie ze stanowiska kierownika APSA. Jest to ów wydział watykański z ogromnymi udziałami kapitałowymi, a nie kierowany przez Marcinkusa Bank Watykański, uznawany jako bank centralny przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i Bank Rozliczeń Międzynarodowych w Bazylei. APSA jest instytucją, która ma wiele do ukrycia, zwłaszcza z okresu jej ścisłej współpracy z Sindoną.

Kiedy Lucianiego wybrano na papieża, Villot nie miał już przed sobą długiego życia. Był wyczerpanym, ułomnym człowiekiem, świadomym swego złego stanu zdrowia. Zmarł niecałe sześć miesięcy po Lucianim, 9 marca 1979 r. Jako oficjalną przyczynę jego zgonu Watykan podał *obustronne, bronchitowe zapalenie płuc z komplikacjami, zapaść, zatrzymanie pracy nerek i wątroby*. Nie było żadną tajemnicą, że miał on zamiar podać się do dymisji; nie było jednak również tajemnicą to, że sam życzył sobie ustalenia, kto będzie jego następcą, a człowiekiem, którego on miał na myśli, nie był w żadnym wypadku Benelli. Gdyby Benelli, jak zaplanował to Luciani, został następcą Villota, i odkrył, co niedobrego działo się w APSA, bez wątpienia uderzyłby na alarm. Stwarzało to, w połączeniu ze znajomością innych zmian zamierzonych przez Lucianiego, ważki motyw przestępstwa.

Gdyby Villot miał być zakulisowym inspiratorem zamordowania Lucianiego, wówczas bez wątpienia musielibyśmy przyjąć, że motywem jego działania była troska o przyszłość Kościoła — tak jak on ją rozumiał. Według świadectwa danego przez trzech zaufanych ludzi z Watykanu, Villot widział w zainicjowanych przez Lucianiego zmianach *zdradę testamentu Pawła, triumf restauracji*. Obawiał się, że Kościół cofnie się tym samym do okresu sprzed Drugiego Soboru Watykańskiego. Bez znaczenia jest to, że obawy te były nieuzasadnione. W oczach Villota niebezpieczeństwo to istniało i uważał je za fatalne. Był też zagorzałym krytykiem rozważanego przez Lucianiego planu takiego zmodyfikowania stanowiska Kościoła wobec sztucznych metod regulacji urodzeń, które zezwalałoby katolikom na używanie pigułki antykoncepcyjnej. Villot musiał się z bliska przyglądać, jak — ledwie tylko pochowano Pawła VI, który ogłosił encyklikę *Humanae vitae* — rozpoczął się demontaż tego manifestu mądrości papieskiej, tak często wychwalanego publicznie przez niego, Villota. Być może Villot uważał, że śmierć Lucianiego była szczęśliwszym rozwiązaniem w sensie

kościelnej „racji stanu”.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, jego zachowanie się po odkryciu zmarłego Lucianiego świadczyło albo o tym, że wiedział o wszystkim, albo nawet o tym, że uczestniczył w tym spisku, lub też o zaawansowanym zamęcie umysłowym. Usunął dowody rzeczowe. Rozpowszechniał kłamstwa. Od członków papieskiego domu przyjął ślubowanie zachowania milczenia. W wielkim pośpiechu przeforsował zabalsamowanie ciała, zanim przybyła do Rzymu większość kardynałów, których można było zapytać o radę. Nawet jeżeli Villot nie współdziałał w zamordowaniu papieża, to z dużym prawdopodobieństwem możemy przyjąć, że pochwalał ten czyn i ukrywał sprawcę lub sprawców. Słowami i czynami zadbał o to, by morderca lub mordercy wyszli z tego cało. On sam jednoznacznie miał motyw i oczywiście możliwość popełnienia tego czynu. Należy też uwzględnić, że z uwagi na rolę kamerlinga, która przypadła mu automatycznie wraz ze śmiercią papieża, trzymał praktycznie w ręku wszystkie sznurki i mógł wywrzeć decydujący wpływ na to, co wydarzyło się po śmierci papieża, lub — jeżeli pomyślimy o autopsji — nie wydarzyło się.

Kardynałowi Johnowi Cody’emu, którego Luciani również chciał zwolnić z funkcji, jego następcą, Karol Wojtyła, pozostawił urząd i godności. Ojciec Andrew Greeley w swojej książce *The Making of the Popes* pisze:

Kardynał Cody ze swoich wcześniejszych (a według informacji z Chicago, także z nowych) przekazów pieniędzy do Polski, z wielkości udziału Polaków w społeczeństwie Chicago i z przyjacielskich stosunków, które rzekomo łączyły go z papieżem, zbił kapitał do owocnej kontrofensywy przeciw swoim wrogom. Kardynał opowiadał na początku grudnia (1978 r.) swoim gościom, że Jan Paweł II zaproponował mu stanowisko w Watykanie, które jednak odrzucił. Papież powiedział wyraźnie, jak dawał do zrozumienia kardynał, że sprawa jest załatwiona. Własnymi dociekaniem potwierdziłem tę relację. Wykazały one ponadto, że pieniądze, które Cody przekazywał odtąd Watykanowi i które tajnymi kanałami przekazywano dalej do Polski, stanowiły część składową o wiele szerszej operacji finansowej, którą Marcinkus i Calvi przeprowadzali na polecenie papieża Jana Pawła II.

Kardynał Cody nadal okazywał się wspaniałomyślnym ofiarodawcą. W październiku 1979 r. papież Jan Paweł II odwiedził Stany Zjednoczone. Na chicagowskim lotnisku O’Hare powitał go kardynał Cody, który wcisnął mu do rąk małą drewnianą szkatułkę jako „osobisty prezent”. Szkatułka zawierała 50 000 dolarów. Nikt nie odmawia kardynałowi prawa wręczenia papieżowi prezentu, ale — pomijając już prostą bezpośredniość tego gestu — rodzi się jednak pytanie, skąd pochodziły te pieniądze. Ze środków diecezji? Z wyłącznie i osobiście zarządzanego przez Cody’ego funduszu? Z jakiego źródła Cody mógł odprowadzić

taką sumę?

Niecały rok po wizycie papieża w USA toczyło się urzędowe dochodzenie amerykańskich organów wymiaru sprawiedliwości przeciw kardynałowi Cody'emu. Prokuratura zaczęła interesować się zarzutami wypłacenia przez Cody'ego swej przyjaciółce, Helen Wilson, prawie miliona dolarów pochodzących z majątku kościelnego. W szczegółach badała, czy prawdą jest, że pomieszał on swoje prywatne fundusze z kościelnymi, czy potajemnie całymi latami wypłacał Helen Wilson pieniądze, czy zapewnił jej niedopuszczalnie wysoką rentę i za 90 000 dolarów kupił dla niej dom na Florydzie. Cała sprawa stała się interesująca dla władz dlatego, że Cody wszystkie te dobrodziejstwa finansował rzekomo pieniędzmi kościelnymi, a jak wiadomo dochody Kościoła są zwolnione od podatków. Jeżeli uwzględnia się drażliwe implikacje polityczne takiego śledztwa, wówczas już sam fakt, że rząd amerykański polecił jego przeprowadzenie, należy ocenić jako niezawodną wskazówkę, że musiał istnieć przekonujący materiał obciążający. Śledztwo rozpoczęło się we wrześniu 1980 r.

W styczniu 1981 r. zespół oskarżający wydał Cody'emu wiele dyspozycji; przede wszystkim wezwano go do przedłożenia wszystkich dokumentów dotyczących dochodów oraz spraw finansowych diecezji i jego własnych. Jeżeli Cody był czysty, to jego reakcja i postępowanie w następnym okresie były niezrozumiałe.

O dochodzeniu i dyspozycjach wiedzieli tylko kardynał, jego adwokaci i dwóch lub trzech bliskich zaufanych. Cody pozostawił wiernych w Chicago i posłał watykańskiego w Waszyngtonie w pełnej nieświadomości tego, co się działo. Odmawiał też wykonania dyspozycji sądu i wydania żądanych dokumentów. Taki opór zwykłego obywatela pociągnąłby za sobą zarządzenie z rygorem przymusu wykonania; jednakże nie dotyczyło to Cody'ego, który jest autorem powiedzenia: *Nie rządzą krajem, ale rządzą Chicago*. Teraz demonstrował, że w żadnym wypadku nie było to puste gołosłowie.

Kiedy we wrześniu 1981 r. „Chicago Sun Times” ujawnił tę historię, Cody wciąż jeszcze nie spełnił dyspozycji. „Sun Times” przez dwa lata prowadził na własną rękę dochodzenie przeciw kardynałowi. Teraz zaprezentował swoim czytelnikom szczegółowy raport o wielu uchybieniach, których według jego informacji dopuścił się Cody.

Kardynał odmówił przedstawienia choćby strzępka dowodu na to, że oskarżenia są fałszywe; zamiast tego, odwołał się do 244 000 katolików chicagowskich, by go poparli, stwierdzając: *To nie jest atak na mnie. To jest atak na cały Kościół*. Wielu zaakceptowało to całkowicie błędne hasło, ale było też wielu takich, którzy nie przyłączyli się do niego. W każdym razie wizerunek Kościoła rzymskokatolickiego odniósł wielkie szkody, jakie

przepowiedział Luciani. Poglądy w Chicago były podzielone. Najpierw spora większość katolików stała za swoim kardynałem, ale z upływem miesięcy na świadomość wielu ludzi oddziaływał zasadniczy fakt, że Cody wciąż jeszcze nie wykonał dyspozycji wydanych przez sąd. Niektórzy z jego najwierniejszych wasali zaczęli domagać się podporządkowania decyzjom sądu. Do tej pory ustami swoich adwokatów usprawiedliwiał on swoje zachowanie następującym argumentem: *Jestem odpowiedzialny tylko przed Bogiem i Rzymem*. To przekonanie zabrał ze sobą do grobu. Kardynał Cody zmarł w kwietniu 1982 r., kiedy władze wymiaru sprawiedliwości wciąż czekały na spełnienie ich żądań. Mimo że był on od dawna chory, jego ciało — inaczej niż w wypadku Albino Lucianiego — poddano autopsji. Wykazała ona, że zgon nastąpił w wyniku *poważnego uszkodzenia naczyń wieńcowych*.

Cody pozostawił oświadczenie z poleceniem opublikowania go po jego śmierci. Nie zawierało ono niczego, co mogłoby służyć jako dowód jego niewinności w odniesieniu do jakiegokolwiek z podnoszonych przeciw niemu zarzutów. Dostarczył za to jeszcze raz dobitnego przykładu swej bezczelnej arogancji, którą odznaczał się przez całe swoje życie: *Wybaczam moim wrogom, ale Bóg tego nie uczyni*.

Śmierć despoty Cody'ego oczywiście wywołała natychmiast spekulacje na temat jego następcy. Często wymienianym kandydatem był arcybiskup Paul Marcinkus, urodzony na chicagowskim przedmieściu Cicero. Przeciw Marcinkusowi przemawiało oczywiście to, że w tym czasie tkwił po szyję w skandalu we Włoszech. Kierownictwo Kościoła amerykańskiego zgłosiło swoje zastrzeżenia i dało Watykanowi do zrozumienia, że jeżeli Marcinkus otrzyma Chicago, to nic się tam nie zmieni. W końcu diecezję Chicago otrzymał arcybiskup Joseph Bernardin z Cincinnati, który zapowiedział natychmiastowe wewnętrzkościelne zbadanie „sprawy Cody'ego”.

W zamian rząd zapowiedział wstrzymanie własnych dochodzeń i postępowanie sądowe umorzono bez wnoszenia jakiegokolwiek oskarżenia. Uwzględniając fakt, że człowiek, przeciw któremu takie oskarżenie winno być skierowane, był martwy, nie było alternatywy.

W grudniu 1982 r. Bernardin opublikował dwustronicowy list duszpasterski, przeznaczony dla katolików diecezji chicagowskiej. Bez posługiwania się konkretnymi danymi ani nawet dokumentami, Bernardin oświadczył w nim, że kontrola spraw finansowych kardynała Cody'ego nie dostarczyła żadnych dowodów popełnienia nieprawidłowości; możliwe jest co najwyżej, że ustalił nieuzasadnioną rentę dla Helen Wilson i *nie zawsze przestrzegał normalnych metod prowadzenia ksiąg*. Bardziej jednak niż to wszystko był znaczący fakt, że inspektorzy finansowi, którym Bernardin powierzył zbadanie

całej sprawy, odmówili poświadczenia *prawidłowości szacowanych sum i wydatków*, nawet jeśli liczby te mieściły się według nich *w granicach możliwych do zaakceptowania jako rozsądne dla celu takiej kontroli*. Odmowa uwierzytelnienia przez kontrolerów finansowych rozliczeń Cody'ego miała swoją przyczynę głównie w tym, jak przyznał Bernardin, że nie można było znaleźć części rozliczeń; Bernardin zapewnił, że *jeżeli (te dokumenty) będą w przyszłości do dyspozycji, konieczna może okazać się nowa ocena*. Tymczasem minął już ponad rok i nie znaleziono nawet śladu dokumentów.

Trudno nie dostrzec, że arogancki despota Cody miałby mocny motyw, by uczestniczyć w sprzysiężeniu mającym na celu zamordowanie Albino Lucianiego. Moglibyśmy pozostawić nierozstrzygnięty fakt, czy i w jakich rozmiarach dopuścił się sprzeniewierzenia funduszy kościelnych. W całym tym kontekście chodzi o to, że Cody bez wątpienia cierpiał na ostrą manię prześladowczą. Skoro był paranoikiem, to poniekąd całkiem naturalne było dla niego poszukiwanie gwałtownego rozwiązania jego — rzeczywistych lub domniemanych — problemów. Każdą podjętą przez jakiegoś papieża próbę usunięcia go z Chicago Cody traktowałby jako wypowiedzenie walki i prowadziłby tę walkę do gorzkiego końca — do śmierci swej lub papieża. W ciągu swojej wcześniejszej, wieloletniej działalności w Rzymie i podczas wielu późniejszych wizyt w Watykanie, Cody'emu udało się pozyskać sympatię i protekcję dwóch późniejszych papieży: Pacellego i Montiniego. Utworzył także rozgałęzioną sieć kontaktów, przyjaciół i informatorów. Fakt, że ten człowiek mógł sobie pozwolić na publiczne porozumiewanie się z papieżem Pawłem VI za pomocą ruchów ręki, wskazuje na rozmiary jego wpływów. Specyficzną lojalność zapewniły mu ponadto liczne prezenty w gotówce, które przekazywał nie tylko Kościołowi polskiemu, lecz także wybranym członkom Kurii Rzymskiej. Cody dysponował w Watykanie własną mafią lub P 2; ludzie, którzy stale mieli wolny dostęp do prywatnych pomieszczeń papieskich, znajdowali się tym samym pod jego bezpośrednim wpływem.

Arcybiskup Paul Marcinkus, trzeci z owych ludzi, którzy zgodnie z wolą Albino Lucianiego mieli być pozbawieni swoich urzędów, pozostał przy papieżu Janie Pawle II szefem Banku Watykańskiego. Mało tego, mianowano go, jak już wspomniano, arcybiskupem i przyznano jeszcze dalej idące uprawnienia. Jak na człowieka, który z okazji powołania do Banku Watykańskiego oświadczył: *Moje jedyne doświadczenia w sprawach finansowych uzyskałem do tej pory przy rozliczaniu niedzielnej zbiórki na tacę*, Marcinkus zaszedł bardzo daleko. Zdobył o wiele bardziej uzasadnione prawo do tytułu „bankiera Boga”, niż każdy z obu jego byłych przyjaciół i partnerów w interesach, Roberto Calvi i Michele Sindona. Może też rościć sobie prawo do opinii, że w większym stopniu niż

jakikolwiek inny dostojnik kościelny nowej ery zdyskredytował Kościół rzymskokatolicki.

Jednoznacznie dowiedziono, że w połowie lat siedemdziesiątych Calvi i Marcinkus stworzyli plan operacji finansowych, których realizacja wielokrotnie naruszała prawo. Tak samo pewne jest to, że panamskie i inne egzotyczne firmy, których właścicielem był i jest nadal Watykan, działały ku obustronnym korzyściom Banco Ambrosiano i Banku Watykańskiego.

Po śmierci Calviego Watykan twierdził, że o istnieniu tych egzotycznych firm i o tym, że należały one właśnie do Stolicy Apostolskiej, dowiedział się dopiero w sierpniu 1981 r. Fakty dowodzą, że to nieprawda. Można udowodnić za pomocą dokumentów, że biskup Marcinkus już w 1978 r. podjął kroki mające zapobiec ujawnieniu faktu, że Watykan jest właścicielem tych firm. Jeśli chodzi o twierdzenia Watykanu, że nie wiedział nic o znajdujących się w jego posiadaniu firmach, to możemy się zadowolić przykładem UTC, United Trading Corporation w Panamie. Jest ona jedną z firm, d6 których posiadania Watykan przyznał się w zacytowanych wyżej „listach pocieszenia”. Istnieje dokument z 21 listopada 1974 r., prawidłowo podpisany przez jednego z członków kierownictwa Banku Watykańskiego list z prośbą do stanowiącego własność Roberto Calviego Banca del Gottardo o utworzenie dla Banku Watykańskiego firmy pod nazwą United Trading Corporation.

Z takich jak powyższe nielegalnych porozumień Calvi czerpał wiele korzyści. A co z tego miał Bank Watykański? Zarabiał pieniądze, niesłychanie dużo pieniędzy. Calvi sam dla siebie kupował po znacznie zawyżonym kursie akcje, które na papierze należały jednak — i należą do dziś — do zamaskowanych firm panamskich, a te z kolei należały lub należą do Watykanu. Przypadające corocznie na ten ogromny pakiet akcji dywidendy Calvi przekazywał Bankowi Watykańskiemu. Chodziło przy tym o sumy, które wprawdzie z roku na rok wahały się, ale przeciętnie wynosiły około 2 mln dolarów rocznie. Był to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. Można udokumentować jeszcze bardziej zyskowe interesy, które Bank Watykański mógł robić dzięki partnerskiej współpracy z Calvim. Tak więc na przykład bank ten sprzedał w 1980 r. dwa miliony akcji mieszczącej się w Rzymie międzynarodowej firmy budowlanej pod nazwą Vianini. Akcje kupiło małe przedsiębiorstwo pod nazwą Laramie, z siedzibą w Panamie. Sprzedaż tego pakietu była wstępem do zaplanowanej większej transakcji, w wyniku której Watykan miał sprzedać Laramie ogółem sześć milionów akcji Vianini, i to po mocno zawyżonym kursie. Dwa miliony akcji kosztowały Laramie dwadzieścia milionów dolarów.

Nie zaskoczy już czytelnika to, że Laramie również należała do Watykanu. Być może jednak zapyta, jaki sens ma to, że ktoś sam sobie sprzedaje akcje po zawyżonym kursie. Być

może cała sprawa stanie się jaśniejsza niż początkowo się wydaje, jeżeli uwzględnimy fakt, że zainteresowany finansuje to pieniędzmi innych ludzi, tak jak przez całe lata praktykował to Calvi. Niezbędna do zapłacenia za akcje suma 20 mln dolarów pochodziła od Roberto Calviego. Bank Watykański ze swej strony zatrzymał akcje, które i tak już do tej pory należały do niego i otrzymał za to 20 mln dolarów.

Zresztą w żadnym okresie nie posiadał sześciu milionów akcji firmy Vianini. Jego maksymalne udziały u Vianiniego nigdy nie przekraczały trzech milionów akcji. Calvi posługiwał się oszukańczymi transakcjami, jak ta, by dawać w łapę Marcinkusowi.

W marcu 1982 r. arcybiskup Marcinkus udzielił włoskiemu tygodnikowi „Panorama” jednego ze swoich rzadkich wywiadów. Jego uwagi na temat Roberto Calviego były szczególnie pouczające. Wypowiedź ta miała miejsce osiem miesięcy po skazaniu Calviego na cztery lata pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 13,7 mln dolarów, i tylko siedem miesięcy po tym, jak — według ich własnych zapewnień — Watykan i Marcinkus po raz pierwszy odkryli, że Calvi zdefraudował i roztrwonił ponad miliard dolarów, zostawiając Watykanowi sfalszowany rachunek do zapłaty.

Calvi zasługuje na nasze zaufanie. Nie mam żadnych podstaw, by w to wątpić. Nie mamy zamiaru rozstać się z posiadanymi akcjami Banco Ambrosiano; mamy ponadto dalsze inwestycje w tej grupie, na przykład w Banca Cattolica, które przynoszą bardzo dobre efekty.

Słowa te pokrywają się z inną pochwałą wyrażoną przez Marcinkusa innemu człowiekowi, kiedy w kwietniu 1973 r. prowadzący śledztwo urzędnicy ministerstwa sprawiedliwości USA i FBI przesłuchiwali go z powodu jego przypuszczalnego udziału w miliardowej machinacji ze sfalszowanymi papierami wartościowymi. Jak czytelnik sobie przypomina, Marcinkus przy każdej okazji sławił umiejętności człowieka, o którym dziś twierdzi, że prawie go nie znał. Zainteresowany ze swojej strony jednak oświadczył: *Spotykaliśmy się wielokrotnie w okresie, kiedy byliśmy partnerami w interesach. Marcinkus był moim partnerem w dwóch bankach.* Człowiekiem, który to powiedział jest Michele Sindona, odpowiedzialny za największe, jednostkowe bankructwo banku w historii Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o jego wielu innych czynach karalnych. O tym człowieku Marcinkus powiedział kiedyś, że ongiś swoimi umiejętnościami w sprawach bankowych znacznie wyprzedzał wszystkich pozostałych.

Można byłoby jeszcze rozgrzeszyć Marcinkusa z tego, że w najlepszej wierze wydał tę ocenę rok przed „krachem Sindony”. Jednakże jeszcze w 1980 r., sześć lat po bankructwie Sindony, Marcinkus był również gotowy wypowiadać się na jego korzyść i uniemożliwił mu to tylko fakt, że na przeszkodzie stanął kardynał Casaroli (bez wiedzy i aprobaty papieża Jana

Pawła II).

To, że Marcinkus nie jest dziś jeszcze kardynałem, wynika tylko z jednej przyczyny. Jan Paweł II miał zamiar przyznania kapelusza kardynalskiego temu człowiekowi z Cicero, mimo poważnych szkód, jakie jego machinacje wyrządziły wizerunkowi Kościoła katolickiego na całym świecie. Jedyne energiczna interwencja Casarolego zaoszczędziła tego Kościołowi. Wydaje się, że papież jest skłonny raczej wybaczyć grzechy popełnione za biurkiem bankowym niż w sypialni.

Jeżeli chodzi o zamordowanie Albino Lucianiego, to Marcinkus miał zarówno motyw, jak i środki oraz możliwości popełnienia tego czynu. Poza innymi funkcjami, jakie pełnił za papieża Pawła VI, był również osobistym ochroniarzem i doradcą papieża w sprawach bezpieczeństwa. Znał przedsięwzięcia podjęte (lub nie) dla ochrony papieża lepiej niż ktokolwiek inny. Do dziś nie wiadomo, z jakiego powodu tego ranka, w którym odnaleziono ciało Lucianiego, chodził po Watykanie już przed siódmą. Zazwyczaj nie można było go tu spotkać o tak wczesnej porze. W odróżnieniu od Villota, Marcinkus nie mieszkał w Watykanie, lecz w Villa Stritch w Rzymie. Marcinkus pracując w Banku Watykańskim wykorzystywał swe liczne doświadczenia, szczególnie zaś te, które wyniósł z wczesnego dzieciństwa w Cicero, gangsterskiego przedmieścia Chicago. *Paul, jak się mają w Chicago twoi przyjaciele gangsterzy?* — powiedzenie to było dowcipem często słyszany w Watykanie we wczesnych latach siedemdziesiątych. Po wyroku skazującym na Sindonę tego dowcipu już tak często się nie słyszało. Po upadku Calviego nie słychać go już w ogóle.

Jeżeli Marcinkus nie uczestniczył czynnie w sprzysiężeniu mającym na celu zamordowanie Albino Lucianiego, to możliwe, że — świadomie lub nieświadomie — odgrywał rolę katalizatora. Kilkaset lat temu król angielski zawołał: *Czyż nikt nie uwolni mnie od tego dokuczliwego kapłana?*, i wkrótce potem Kościół rzymskokatolicki miał nowego męczennika w osobie Thomasa Becketta. Nie ulega wątpliwości, że Marcinkus zwierzał się Calviemu z poważnych obaw, będących wynikiem rządów papieża. Wiadomo również, że Albino Luciani miał zamiar usunąć Marcinkusa z Banku Watykańskiego i zerwać wszystkie kontakty handlowe Kościoła z Banco Ambrosiano. Czyż nie mogło tak być, że obawy, którymi Marcinkus dzielił się nie tylko z Calvim, lecz również z innymi osobami, wywołały reakcję łańcuchową, która zakończyła się odnalezieniem martwego Albino Lucianiego wczesnym rankiem 29 września i spotkaniem sierżanta gwardii szwajcarskiej z biskupem Marcinkusem, który zareagował na informację o śmierci papieża szeroko otwartymi ustami i wyraźną konsternacją oraz zdumieniem?

Michele Sindonę często określano błędnie „bankierem Boga”. Lepsze i bardziej trafne

byłoby określenie „spekulant Boga”. W chwili gdy zamordowano Albino Lucianiego, Sindona walczył z wnioskiem o ekstradycję, wysuniętym przez rząd włoski. Także w wielu innych krajach interesowały się nim władze wymiaru sprawiedliwości. We wrześniu 1978 r. z dnia na dzień coraz bardziej realna stawała się możliwość, że amerykańskie władze wymiaru sprawiedliwości zapoczątkują śledztwo przeciw Sindonie w związku z bankructwem Franklin Bank. Śledztwo takie uchroniłoby go wprawdzie początkowo przed ekstradycją, ale pogorszyłyby jego sytuację w Stanach Zjednoczonych. Jediną kartą atutową, na którą mógł jeszcze liczyć, były jego dobre kontakty z Watykanem; możliwość jej rozegrania zależała jednak całkowicie od gotowości jego tamtejszych przyjaciół do okazania mu pomocy. Jeżeli biskup Marcinkus, kardynał Guerri i kardynał Caprio zeznaliby na jego korzyść, to wypowiedzi trzech tak wysokich dostojników kościelnych z pewnością wpłynęłyby korzystnie na ławę przysięgłych. Jednak za pontyfikatu Lucianiego możliwość składania przez ludzi z Watykanu jakichkolwiek zeznań, nie mówiąc już o stronniczych, absolutnie nie wchodziła w rachubę.

Sindona, będący członkiem zarówno P 2, jak i mafii, nie tylko miał motyw, ale także, jak to już udowodniono, był zdolny do morderstwa. Był na tyle pomyłony, by sądzić, że zamordowanie zastępcy prokuratora generalnego USA zakończy jego problemy w Ameryce, na tyle obłąkany, by wierzyć, że jeśli zleci zamordowanie Giorgio Ambrosolego, to skończą się jego problemy we Włoszech. Taki człowiek z pewnością był zdolny do zamordowania uczciwego, postępowego papieża.

Sindona stał się człowiekiem pilnie poszukiwanym przez wymiar sprawiedliwości. We Włoszech skazano go już na trzy i pół roku pozbawienia wolności. W czerwcu 1981 roku rząd włoski wystąpił wobec niego z aktem oskarżenia o zlecenie zamordowania Ambrosolego. Akt ten zawierał także nakaz aresztowania jego syna, Nino Sindony, i zięcia Piera Sandro Magnoni. W styczniu 1982 roku w Palermo na Sycylii wniesiono oskarżenie, w którym zarzuca mu się, że wraz z sześćdziesięcioma pięcioma członkami rodzin mafijnych Gambino, Inzerillo i Spatola, prowadził handel heroiną między Stanami a Włochami, która to działalność przynosiła rocznie 600 milionów dolarów dochodu. Na Sycylii oskarżono go również o nielegalne posiadanie broni, oszustwa, posługiwanie się fałszywym paszportem oraz naruszanie przepisów dewizowych. W lipcu 1982 roku rząd włoski wszczął dochodzenie przeciw Sindonie i innym (w tym Massimo Spadzie i Luigi Manniniemu z Watykanu) w sprawie licznych wykroczeń popełnionych w związku z oszukańczym bankructwem Banca Privata Italiana. Należy zwrócić uwagę, że w tej ostatniej sprawie oskarżenie opiera się głównie na wynikach odważnej i cennej pracy Giorgio Ambrosolego.

Sam nie potrafiłbym powiedzieć, jakim człowiekiem jest Sindona i jaką spłodził progeniturę, tak dobitnie, jak uczynił to ostatnio jego syn, Nino, w nagranej na taśmie rozmowie z pisarzem Luigi di Fonzo. (Taśma znajduje się wśród dowodów rzeczowych prokuratury nowojorskiej.) Rozmowa zaczęła się wieczorem 18 marca 1983 r. i trwała do późnej nocy:

Ojciec zwierzył mi się w tajemnicy, że to Arico... dokonał tego morderstwa⁹. Najpierw grozili Ambrosolemu i przez pewien czas było to skuteczne. Billy'ego Arico, na polecenie mojego ojca, wysłał do Mediolanu Venetucci (przemytnik heroiny przypuszczalnie należący do rodziny Gambino). Arico miał tam strzelać do Ambrosolego, ale nie miał go zabić. To on popełnił to morderstwo... Rodzina Ambrosolego nie zasługuje na współczucie. Nie mam żadnego współczucia dla tej kanalii. To, co dostał, to jeszcze za mało dla takiego skurwysyna. Szkoda, że zmarł bez cierpień. Chcę, żebyśmy się w tym miejscu dobrze rozumieli: nigdy nie potępię mojego ojca, ponieważ Ambrosoli nie zasługiwał, by żyć na tej ziemi... Mój ojciec dość wycierpiał. Teraz nadszedł czas, by pocierpieli wreszcie trochę nasi wrogowie. Griesa, Kenney, oni powinni teraz cierpieć, a nie mój ojciec, nie my. Nic nie zrobiliśmy... Nie zawaham się przed popełnieniem żadnego przestępstwa, jeżeli trzeba wymierzyć sprawiedliwość. Tacy ludzie, jak Kenney i Griesa powinni umierać w najstraszniejszych męczarniach, a dla mnie byłby to powód do oblewania go szampanem. Uznaję zabijanie w imię słusznej sprawy.

Thomas Griesa był sędzią w procesie „Stany Zjednoczone przeciw Michele Sindonie”. John Kenney był głównym oskarżycielem. Luigi di Fonzo zapytał Nino Sindone, jak mógłby usprawiedliwić morderstwo.

Potrzebowałbym tylko półtorej sekundy, aby je usprawiedliwić. Tak samo, jak potrzebowałbym tylko półtorej sekundy na usprawiedliwienie morderstwa politycznego. Przypuśćmy, że chciałbym zlikwidować sędziego Griesę. Byłaby to dla mnie obrona konieczna..., ponieważ popełnił on ciężkie przestępstwo, pakując mojego ojca na resztę życia do więzienia. Nie istnieje w dodatku żadna szansa wznowienia procesu, dopóki sędzia Griesa żyje. Oznacza to, że zabijając go, otwieramy szansę wznowienia procesu. A więc jest to obrona konieczna.

Dla ludzi takich jak Michele Sindona i jego syn zamordowanie papieża, który stał im

⁹ W niedzielę, 19 lutego, William Arico podczas próby ucieczki z ciężkiego więzienia Metropolitan na Manhattanie runął z dużej wysokości i poniósł śmierć. Dwa dni przed posiedzeniem sądu w sprawie wniesionego przez władze włoskie wniosku o ekstradycję, Arico i Sindona mieli być oskarżeni we Włoszech o zamordowanie Giorgio Ambrosolego.

na drodze, byłoby oczywistym przypadkiem „obrony koniecznej”.

Roberto Calvi. Były czasy, kiedy dla człowieka honoru, który zbankrutował, jedynym wyjściem z rozpaczliwej sytuacji i możliwością uniknięcia hańby było samobójstwo. Pierwsza komisja śledcza zajmująca się śmiercią Roberto Calviego, najwyraźniej uważała tego zbankrutowanego oszusta na wielką skalę za człowieka honoru: orzekła, że było to „samobójstwo”. Urzędnikom w Londynie badającym podejrzane okoliczności śmierci i mającym rozstrzygnąć, czy chodziło tu o *samobójstwo*, czy o *morderstwo*, widocznie nie przeszkadzał fakt, że na zbadanie całej sprawy mieli do dyspozycji tylko jeden dzień, że zabrakło jednych świadków, a inni dopuścili się krzywoprzysięstwa, że nie mówiono prawie nic o niezwykle ważnych kulisach tej sprawy. We Włoszech zareagowano na wyniki śledztwa z wielkim zdumieniem. W 1983 r. druga komisja była bliższa prawdy, oświadczając, że nie mogła ustalić, w jaki sposób nastąpiła śmierć człowieka, którego znaleziono powieszono w pobliżu ujścia ścieku do Tamizy.

Nie wątpię w to, że „samobójstwo” Calviego było dziełem jego przyjaciół z P2 — co jest jeszcze jednym przykładem na to, jak niebezpieczna może być kariera bankiera we Włoszech. Kilka godzin przed śmiercią Calviego, z okna na czwartym piętrze centrali Banco Ambrosiano w Mediolanie wykonała „samobójczy” skok jego sekretarka, Graziella Corrocher. Jej „list pożegnalny”, zawierający stek złorzeczeń pod adresem Calviego, odkrył Roberto Rosone, który po dokonaniu na niego zamachu chodził jeszcze o kulach. Kilka miesięcy później, 2 października 1982 r., również z okna mediolańskiej centrali rzucił się Giuseppe Dellacha, członek kierownictwa Banco Ambrosiano. Być może wyjdą kiedyś na światło dzienne prawdziwe okoliczności śmierci Roberto Calviego. Zadaniem tej książki nie jest dociekanie, kto był odpowiedzialny za jego śmierć, chociaż po starannym zbadaniu wielu punktów zaczepienia jestem prawie pewien, gdzie należy szukać winnych. Clara Calvi, wdowa, była również pewna swego: *Mojego męża kazał zamordować Watykan, by móc w ten sposób zatuszować bankructwo Banku Watykańskiego*.

Gdyby tak było — a nie podzielam tego poglądu — wówczas być może byłby to wzorcowy przykład kompensującej sprawiedliwości, ponieważ wiele, bardzo wiele przemawia za tym, że Roberto Calvi bezpośrednio uczestniczył w zamordowaniu Albino Lucianiego.

Roberto Calvi był centralną figurą afery gospodarczej o budzących grozę rozmiarach: kradzieży ponad miliarda dolarów. Kradzież ta zostałaby ujawniona, gdyby Luciani żył dłużej. Wykryto ją jeszcze w 1978 r. Po śmierci Lucianiego Calvi mógł kontynuować niesłychaną wręcz serię oszustw. Ponad 400 mln dolarów, więcej niż dwie piąte łącznej sumy,

która wyparowała — prawdopodobnie zaginęła w trójkącie panamskim — Calvi pożyczył sobie dopiero po śmierci Albino Lucianiego.

Calvi doradzał wszystkim swoim znajomym, by czytali powieść *Ojciec chrzestny*, gdyż, jak zwykł mawiać: *Wówczas będziecie wiedzieli, co się dzieje na świecie*. W jego świecie działo się tak bez wątpienia.

Do końca życia zajmował się „praniem” pieniędzy mafii, a więc pełnił rolę, którą przejął od Michele Sindony. W taki sam sposób troszczył się również o pieniądze P2. „Prania” pieniędzy dokonywał z pomocą Banku Watykańskiego: „brudne pieniądze”, dochody z okupów, handlu narkotykami, handlu bronią, napadów na banki, kradzieży biżuterii i dzieł sztuki, wędrowały z Banco Ambrosiano na włoskie konto Banku Watykańskiego, a stamtąd do Banca del Gottardo lub Szwajcarskiego Towarzystwa Bankowego. Powiązania Calwiego ze światem kryminalnym rozciągały się od kierownictwa mafii aż do zwykłych, prymitywnych morderców, od skorumpowanych bossów gospodarczych do prawicowo-ekstremistycznych grup terrorystycznych.

Niedobór 1,3 mld dolarów w bilansie Banco Ambrosiano był wynikiem nie tylko oszukańczych praktyk Calwiego, polegających na kupowaniu akcji swego własnego banku. Wiele milionów popłynęło do kieszeni jego protektorów i obrońców politycznych we Włoszech. Milionowe sumy otrzymywali także Gelli i Ortolani.

Calvi przekazał z Peru 55 mln dolarów na konto w Szwajcarskim Towarzystwie Bankowym w Zurychu (U.B.S.). Właścicielem tego konta był Licio Gelli. Dalsze 30 milionów dolarów wylądowało na kontach, które brat Calwiego z loży P2, Flavio Carboni, utrzymywał w bankach szwajcarskich.

Na początku 1982 r. Calvi przekazał do Peru 470 mln dolarów bezpośrednio z mediolańskiego banku macierzystego. Potem wcisnął swojej sekretarce do ręki bilet lotniczy do Monte Carlo i stertę depsz. Rozesłane zgodnie z poleceniem z Monte Carlo dalekopisem, spowodowały, że pieniądze z Peru przekazano dalej, na kilka kont w Szwajcarii.

Włoscy chrześcijańscy demokraci, komuniści i socjaliści nie byli jedynymi ugrupowaniami politycznymi, które otrzymywały pieniądze od Calwiego. Na bezpośrednie polecenie Gellego miliony przekazywano juntom wojskowym, które panowały wówczas, względnie panują jeszcze dziś w Argentynie, Urugwaju i Paragwaju. Za pieniądze, które ukraść Calvi, między innymi argentyńska junta wojskowa zakupiła we Francji rakiety Exocet; w zrealizowaniu finansowej strony tego kontraktu pomogła filia Calwiego w Peru. Potajemnie i nielegalnie miliony płynęły do kas „Solidarności” w Polsce. Sumy te stanowiła mieszanina pieniędzy z łupów Calwiego i środków Banku Watykańskiego, które w końcu pochodziły ze

skarbonek wypełnianych przez katolickich wiernych. Calvi często mówił o tych transferach pieniędzy do Polski, kiedy rozmawiał z przyjaciółmi lub ludźmi zaufanymi. Jednym z tych zaufanych był Carboni, który — jak przystoi solidnemu członkowi P2 — potajemnie włączał magnetofon:

Marcinkus musi uważać na Casarolego, który jest przywódcą grupy opozycyjnej. Gdyby Casaroli spotkał kiedyś w Nowym Jorku jednego z tych finansistów pracujących dla Marcinkusa, i wysyłających pieniądze dla „Solidarności”, wówczas z Watykanu nie pozostałby kamień na kamieniu. Albo gdyby Casaroli znalazł chociażby jeden z tych dokumentów, o których ja wiem — wówczas żegnaj Marcinkusie, żegnaj Wojtyło. Żegnaj „Solidarności”. Wystarczyłaby tylko ostatnia operacja na sumę 20 mln dolarów. Opowiedziałem o tym także Andreottiemu, ale nie wiadomo dokładnie, po czyjej stronie on stoi. Gdyby sprawy we Włoszech przybrały niekorzystny obrót, wówczas Watykan musiałby wynająć sobie budynek w Waszyngtonie, na tyłach Pentagonu. W każdym razie bardzo daleko od Bazyliki Św. Piotra.

Ogólna suma pieniędzy, które na polecenie Watykanu przemycono potajemnie i nielegalnie do kas „Solidarności”, wynosi ponad 100 mln dolarów. Wielu z tych, którzy sympatyzują z ruchem związkowym Wałęsy, przyjmie tę wiadomość być może z aprobatą i aplauzem. Jednak ingerując za pomocą takich środków w sprawy wewnętrzne innego kraju stwarza się potencjalnie niebezpieczny precedens. Dlaczego ktoś inny nie miałby potajemnie przekazać IRA 100 milionów, by dzięki temu mogła kontynuować swoje zamachy? Miliard dolarów sandinistom, by wysadzili w powietrze kilka drapaczy chmur w Nowym Jorku, Chicago i San Francisco? Odgrywanie Boga nawet dla papieża może być niebezpiecznym zajęciem. W wypadku Karola Wojtyły ogromną hipokryzją jest publiczne piętnowanie księży nikaraguańskich za włączanie się do działalności politycznej, skoro ingeruje on tak głęboko w sprawy Polski.

Nie możemy wymieniać żadnych dóbr doczesnych, ani rozważać żadnych interesów gospodarczych. Nasze możliwości interwencji są ograniczone pod względem ich rodzaju i zakresu oraz mają szczególny charakter. Nie stoją one na przeszkodzie sprawom czysto doczesnym, technicznym i politycznym, którymi zajmują się Wasze rządy.

Tak przemawiał Luciani do dyplomatów akredytowanych w Watykanie. Wyraźnie widać, że jego następcą ma w tej sprawie dokładnie odwrotny punkt widzenia.

Jeżeli chodzi o zamordowanie Albino Lucianiego, to Calvi — tak samo jak Sindona — miał motyw, dysponował odpowiednimi środkami i był zdolny do popełnienia takiego czynu. Już przed zamordowaniem Lucianiego przyjaciele Calviego z P2 serią potwornych

zamachów bombowych udowodnili swoje kwalifikacje morderców. Zlikwidowaniem Vittoria Occorsio zademonstrowali, że byli gotowi i zdolni do popełnienia morderstw również na pojedynczych ofiarach. Po śmierci papieża morderstwa i terror szerzyły się w równie szybkim tempie jak gigantyczne kradzieże Calviego. Lista zamordowanych — Emilio Alessandrini, Mino Pecorelli, Giorgio Ambrosoli, Antonio Varisco, Boris Giuliano — mówi wszystko o środowisku, w jakim poruszał się Roberto Calvi. To, że prezes Banku Włoskiego i jeden z jego najbardziej zaufanych współpracowników padli ofiarą fałszywego oskarżenia, że Sarcinelli musiał z tego powodu spędzić sześć tygodni w areszcie, że ludzie, którzy znali prawdę, całymi latami milczeli ze strachu, dowodzi zastraszającej siły jaką dysponował Calvi — siły, którą zapewniało mu wiele źródeł, w tym jego symbioza z Licio Gellim, Wielkim Mistrzem P 2.

Licio Gelli. *Il Burattinaio*, człowiek pociągający za sznurki marionetek, które miał wszędzie — w Watykanie, w Białym Domu, w pałacach rządowych wielu krajów. Gelli, który najwyższym rangą braciom z loży udzielił znamiennej rady, by zawsze nosili przy sobie śmiertelną dawkę naparstnicy, dawkę, która wystarczała do spowodowania śmiertelnego ataku serca, mówiąc językiem laików. Lekarz, który tylko zewnętrznie zbada ciało zmarłego, dojdzie do wniosku, że śmierć nastąpiła w wyniku zawału mięśnia sercowego. Naparstnica jest bezwonna i nie pozostawia żadnych śladów. Doskonały środek do popełnienia morderstwa — ale tylko wtedy, gdy nie zostanie dokonana autopsja.

Licio Gelli, człowiek, który zawsze, kiedy telefonował do Calviego, używał szczególnego pseudonimu: „Luciani”, nazwiska zmarłego papieża — nazwiska, które wystarczyło wymienić, by skłonić Calviego do przekazania milionowych sum na konto Gellego.

Jeżeli można wierzyć zeznaniom rodziny Calviego, to bankier obciążał winą za wszystkie swoje problemy „kapłanów”. Dokładnie sprecyzował nawet, których kapłanów miał na myśli — tych w Watykanie. We wrześniu 1978 r. był to jeden konkretny kapłan, który stanowił największe zagrożenie dla Roberto Calviego, najniebezpieczniejsze, z jakim miał kiedykolwiek do czynienia. W sierpniu 1978 r. Calvi spotkał się w Ameryce Południowej z Gellim i Ortolanim, by zaplanować nowe oszukańcze manipulacje. Któż zechciałby uwierzyć, że Gelli i Ortolani wzruszyli jedynie bezradnie ramionami, kiedy Calvi wyjawiał im, że Albino Luciani szykował się do przedsięwzięć, które mogą spowodować, że gra będzie skończona?

Nietrudno zainscenizować zamordowanie policjanta lub sędziego śledczego. Można to zrobić tak, że albo nieznane pozostaną motywy i sprawcy, albo obarczyć odpowiedzialnością

jedną z wielu grup terrorystycznych grasujących we Włoszech. Uśmiercenia papieża należało jednak dokonać tak zręcznie, by na zewnątrz nie sprawiało wrażenia morderstwa, ale wyglądało na śmierć naturalną.

Koszty — a więc łapówki, kontrakty, premie, opłaty, prowizje — niezależnie od tego, jak wysokie, nie odgrywały żadnej roli. Jeżeli celem przyświecającym zamordowaniu papieża było utrzymanie fasady ochronnej, za którą Roberto Calvi mógł bez przeszkód wyludzać miliony, to można było sobie pozwolić na zapłacenie każdej sumy. Były oczywiście problemy, na przykład w postaci zastępcy przewodniczącego zarządu Banco Ambrosiano, Roberto Rosonego; problem ten, bardzo szczegółowo omówiony przez Calviego z jego bratem z łoża P2, Carbonim, miał zostać zlikwidowany dzięki kontraktowi. Rosone przeżył zamach, ale Carboni mimo to wypłacił następnego dnia 530000 dolarów pozostałemu przy życiu partnerowi zabitego zamachowca, Ernesto Diotavellemu. Pół miliona dolarów za zastępcę przewodniczącego zarządu. A ile za papieża? I ile pieniędzy stanowi dużą sumę, jeżeli ma się do dyspozycji własny bank?

Najbardziej trafne wspomnienie pośmiertne o Calvim pochodzi z ust Marco Sarcinello, jednego z wielu, którzy osobiście odczuli jego potęgę. *Rozpoczął jako sługa, wzniósł się potem na wyżyny i został panem po to tylko, by w końcu znowu stać się sługą innych panów.* Ostatnim, rzeczywistym panem Calviego był człowiek, którego uważam za właściwego, zakulisowego inspiratora sprzysiężenia w celu zamordowania Albino Lucianiego: Licio Gelli.

W książce tej wymieniono wiele przykładów obrazujących potęgę i wpływy, jakimi dysponował Licio Gelli. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że w czasie wydarzeń, które pozostają w centrum uwagi tej książki, we wrześniu 1978 r. Licio Gelli był potajnym władcą Włoch.

Dzięki swemu kompanowi, Umberto Ortolanemu, miał kontakty i możliwości nacisku wewnątrz Watykanu. To, że w chwili śmierci Jana Pawła I obaj przebywali w Ameryce Południowej, zgodnie z kryteriami klasycznej powieści kryminalnej, zapewnia im wprawdzie doskonałe alibi, ale cóż to znaczy w wypadku człowieka, który może kazać tańczyć marionetkom? Sindona siedział w Nowym Jorku przy Dry Martini, kiedy w Mediolanie William Arico zastrzelił Giorgio Ambrosolego. Niewiele jednak pomogłoby to Sindonie, gdyby włoski aparat wymiaru sprawiedliwości dostał go kiedyś w swoje ręce.

Licio Gelli, który przy szczególnych okazjach posługiwał się tajnym pseudonimem „Luciani”, nadal w spektakularny sposób demonstrował swoje niezwykle wpływy. W 1979 r. wraz z Ortolanem, zaczął je wykorzystywać w celu doprowadzenia do pojednania między

byłym, chrześcijańsko — demokratycznym premierem Andreottim i przywódcą Partii Socjalistycznej, Craxim. Odkrycie listy prawie tysiąca członków P2 w 1981 r. spowodowało urwanie się na pewien czas tych delikatnych rokowań. Ostatecznie jednak zaowocowały — w chwili, gdy piszę tę książkę Bettino Craxi jest premierem Włoch, a jego minister spraw zagranicznych nazywa się Giulio Andreotti. Obaj mają spory dług wdzięczności wobec Licio Gellego.

Ósmego kwietnia 1980 r. Gelli napisał z Włoch do Phillipa Guarino, jednego z czołowych funkcjonariuszy Partii Republikańskiej w USA, która w tym czasie skoncentrowała wszystkie wysiłki na przeforsowaniu kandydatury Ronalda Reagana w batalii o fotel prezydencki w Białym Domu. Gelli pisał: *Jeżeli pan uważa, że byłoby pożyteczne opublikowanie we Włoszech czegoś korzystnego dla pańskiego kandydata na prezydenta, to proszę przysłać mi materiał, a ja go zamieszczę w tutejszych gazetach.*

Dziwne wrażenie robi taka propozycja z ust kogoś, kto ani nie miał własnej gazety, ani też nie był wpływowym działaczem jawnego życia politycznego. Jak taki człowiek mógł obiecywać pozytywne publikacje o Ronaldzie Reagane w gazecie włoskiej? Trzeba jednak wiedzieć, że członek P2, Roberto Calvi, miał większość udziałów w Koncernie Rizzoli, do którego należała najbardziej ceniona gazeta włoska „Corriere della Sera”. Ponadto członkowie P2 zasiadali w redakcjach innych gazet w tym kraju oraz na ważnych pod względem strategicznym stanowiskach w radiu i telewizji.

Na uroczystym zaprzysiężeniu Ronalda Reagana w styczniu 1981 r. jednym z honorowych gości był Licio Gelli. Guarino zauważył potem obrażony: *Miał lepsze miejsce niż ja.*

W maju 1981 r., po tym jak pojawienie się listy z nazwiskami prawie tysiąca członków P 2 (w tym wielu urzędujących ministrów) doprowadziło do upadku rządu włoskiego, Gelli, ze swoich licznych baz w Ameryce Południowej, nadal pociągał za sznurki. Dowodem na to, że Gelli wcale nie utracił swoich wpływów, było przekazanie przez Roberto Calviego po wybuchu skandalu z lożą P2 95 mln dolarów z Banco Ambrosiano panamskiej firmie Bellatrix, będącej — jak już wiemy — fikcyjnym przedsiębiorstwem, którego utworzenie zainscenizowała P 2. Przy tej transakcji, dokonanej przez wiele zamorskich państw pośrednich (Rothschild na Guernsey, Banque Nationale de Paris w Panamie) z jakiegoś zagadkowego powodu 20 mln dolarów zostało po drodze w małym banku handlowym Ansbacher and Co w Dublinie.

Rok później, w maju 1982 r., Licio Gelli, człowiek, który się ukrywał, który stale uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, którego poszukiwano z powodu licznych

przestępstw, przybył spokojnie do Europy, by wyświadczyć przysługę swoim argentyńskim przyjacielom. Toczyła się wojna o Falklandy. Rakiety Exocet, które Gelli kupił dla junty, przyniosły ogromny pożytek. Jak już napisano wcześniej, Gelli chciał ich kupić więcej. Jako gość Ortolaniego przebywał w willi w Cap Ferrat i podjął tajne rokowania nie tylko z wieloma handlarzami bronią, lecz również z firmą Aerospatale, produkującą te rakiety. Brytyjska tajna służba uzyskała informację o tych rokowaniach i zaalarmowała kolegów z włoskich służb tajnych, które natychmiast wysłały specjalny oddział do Cap Ferrat. Kiedy Włosi chcieli wdrzeć się do willi, przeszkodzili im w tym ludzie z francuskiej tajnej służby DST. Francuzi udaremnili wszystkie podjęte przez Włochów próby aresztowania Gellego. Dowodzi to raz jeszcze, jaką potęgą dysponował ten człowiek.

Podczas rokowań z wieloma potencjalnymi dostawcami rakiet Exocet, Gelli utrzymywał stały kontakt z Calvim. Obaj masoni wciąż jeszcze mieli wiele wspólnych interesów. Calvi także się ukrywał, co najmniej od drugiego tygodnia czerwca 1982 r. W obliczu zbliżającego się i nieuniknionego krachu jego imperium — Ambrosiano — uciekł potajemnie z Włoch i przez Austrię dostał się do Londynu. Gelli i on znowu byli sobie potrzebni. Calvi, ponieważ szukał ochrony przed władzami włoskimi, Gelli, ponieważ potrzebował wielu milionów na zakup rakiet Exocet. Moje dociekania zaowocowały pewnymi poszlakami wskazującymi na to, że Francuzi zamierzali znaleźć drogę obejścia obowiązującego wówczas embarga na dostawy broni dla Argentyny. Najprawdopodobniej rakiety miały dotrzeć do Argentyny przez Peru. Technicy z firmy Aerospatale byli gotowi do odlotu do Ameryki Południowej i dostosowania na miejscu rakiet Exocet do wykorzystania ich przez samoloty lotnictwa argentyńskiego.

Obaj, Gelli i Calvi, tym razem doznali niepowodzenia. Calviego, który za radą Gellego na miejsce przejściowej emigracji wybrał Londyn, dosięgła śmierć. Rozstał się z tym światem 17 czerwca 1982 r. przez „samobójstwo”. W tym samym dniu z funkcji prezydenta zwolniono w Argentynie generała Galtieriego, zastępując go generałem Bignone. Argentyna przegrała wojnę. Starania Gellego o zdobycie nowych rakiet były spóźnione. On i jego przyjaciele z P2 winią za to Calviego, który ich zdaniem niewystarczająco szybko zapewnił pieniądze potrzebne na zakup rakiet Exocet.

W sierpniu 1982 r. junta argentyńska postanowiła zdobyć ponownie Wyspy Falklandzkie niespodziewanym uderzeniem odwetowym przeciw garnizonowi brytyjskiemu. Argentyńscy wojskowi wierzyli, że za pomocą pewnej liczby rakiet Exocet mogliby pokonać Brytyjczyków.

Tym razem Gelli prowadził rokowania z byłym oficerem tajnej służby włoskiej,

pułkownikiem Massimo Pugliese (oczywiście członkiem P2). Wywiad brytyjski znowu dowiedział się o całej sprawie i zatroszczył się o to, by transakcja nie doszła do skutku.

W tym samym miesiącu, w sierpniu 1982 r., Gelli stanął w obliczu małego problemu: zacięło się coś w jednym z jego tajnych kont bankowych w Szwajcarii. Ilekroć zlecał genewskiej filii Schweizerische Bankgesellschaft przekazanie pieniędzy na jego konta, wnioszek wracał nie załatwiony. Oświadczone Gellemu, że w celu zlikwidowania tego problemu powinien osobiście przybyć do Genewy.

Gelli zaopatrzony w sfalszowany paszport argentyński poleciał we wrześniu do Madrytu, a stamtąd do Genewy. Wszedł do banku i wylegitymował się fałszywymi dokumentami. Poproszono go, by chwilę zaczekał. Kilka minut później został aresztowany. Wpadł w starannie przygotowaną pułapkę. O zablokowanie konta poprosił rząd włoski, kiedy otrzymał od Szwajcarów informację o prawdziwej tożsamości jego właściciela.

Konto założył Roberto Calvi. Mediolański bankier przerzucił przez nie ponad 100 mln dolarów. W chwili aresztowania Gelli próbował przetransferować do Urugwaju pozostałe na koncie 55 mln.

Niezwłocznie wszczęto postępowanie ekstradycyjne. Gelli zareagował na to tą samą śpiewką, którą wcześniej posłużył się Sindona i Calvi: *Jestem ofiarą prześladowań politycznych. To spisek lewicy.* Do czasu rozważenia sprawy przez sąd szwajcarski Gelli został osadzony w areszcie o najostrzejszym rygorze, Champ Dollon. Jak już opisano w tej książce, postępowania ekstradycyjne wobec członków P2 zazwyczaj ciągnęły się w nieskończoność. Gelli siedział w Champ Dollon jeszcze w lecie 1983 r.

Tymczasem we Włoszech, z uwagi na wybory mające się odbyć w czerwcu 1983 r., przejściowo wstrzymano prace komisji parlamentarnej powołanej do zbadania afery P2. Z obozu chrześcijańskich demokratów kandydowało co najmniej pięciu polityków, których nazwiska znajdowały się na opublikowanej liście członków P2. Na pytanie, co sądzi o P2 po dwuletnich, intensywnych dochodzeniach, przewodnicząca parlamentarnej komisji śledczej, Tina Anselmi, powiedziała:

P2 w żadnym wypadku nie zginęła. Wciąż ma wpływy. Działa w instytucjach. Infiltruje społeczeństwo. Wciąż jeszcze ma do dyspozycji pieniądze, rozmaite instrumenty i możliwości wywierania wpływów. Dysponuje dobrze funkcjonującym centrum władzy w Ameryce Południowej. Może jeszcze także wywierać wpływ na życie polityczne we Włoszech, przynajmniej na niektóre jego dziedziny.

Fakty w pełni potwierdzają wypowiedź pani Anselmi. Kiedy informacja o aresztowaniu Gellego dotarła do Argentyny, członek junty, admirał Emilio Massera,

oświadczył: *Pan Gelli wyświadczył Argentynie nieocenione usługi. Kraj ten ma mu wiele do zawdzięczenia i na wsze czasy pozostanie jego dłużnikiem.*

Admirał Massera jest członkiem argentyńskiej sekcji P 2, podobnie jak generał Carlos Suarez Mason, dowódca pierwszej armii, i Jose Lope Rega, organizator argentyńskich szwadronów śmierci. W Urugwaju członkiem P2 jest były dowódca naczelny sił zbrojnych, generał Gregorio Alvarez.

Gdyby ktokolwiek we Włoszech lub gdzie indziej imputował Tinie Anselmi, że uwagami na temat P2 usiłowała jedynie zgromadzić punkty w związku ze zbliżającymi się wyborami, to z pewnością zostałby wyprowadzony z błędu 10 sierpnia 1983 r. W więzieniu w Champ Dollon brakowało tego dnia jednego więźnia. Licio Gelli uciekł. Władze szwajcarskie próbując zatuszować tę kompromitację obciążyły odpowiedzialnością za tę ucieczkę przekupnego strażnika, Umberto Cerdanę, który przyznał się do przyjęcia od Gellego łapówki w wysokości ponad 9000 dolarów¹⁰. Za sumę odpowiadającą mniej więcej czterem pensjom miesięcznym strażnik więzienny dopuszcza się czynu, za który może spędzić siedem i pół roku za kratkami!

Dziewięć dni po ucieczce Gellego władze szwajcarskie przychyliły się do włoskiego wniosku o ekstradycję. Najśmieszniejsze było to, że nie było już kogo deportować. Jego syn przemycił go wynajętym BMW przez granicę do Francji. Stamtąd, nie mający o niczym pojęcia pilot śmigłowca, przerzucił go do Monte Carlo. Aby nakłonić pilota do wylądowania w Monte Carlo, a nie lecieć bezpośrednio z powrotem do Nicei, użyto pretekstu, że Gelli musi natychmiast się udać do dentysty. Na pokładzie jachtu, należącego do niejakiego Francesco Pazienny (który twierdził, że był dobrym przyjacielem zmarłego Roberto Carboniego), Gelli przybył do Urugwaju. Kiedy piszę te słowa, Licio Gelli przebywa w hacjendzie położonej kilka kilometrów na północ od Montevideo, i przypuszczalnie pociąga za nowe sznurki. W wielu krajach rozesłano za nim listy gończe, ale potężne zasoby informacji, które pilnie gromadził przez lata niewątpliwie zapewnią mu długotrwałe bezpieczeństwo.

Wybory parlamentarne we Włoszech przyniosły spodziewane wyniki: Bettino Craxi, jeden z wielu korzystających ze wspaniałomyślności Calviego, został premierem. Zapytany o sensacyjną informację z Genewy, oświadczył: *Ucieczka Gellego potwierdza, że Wielki Mistrz ma krąg potężnych przyjaciół.*

Jeśli, podkreślam, jeśli Gelli kiedykolwiek wpadłby w ręce włoskiego aparatu

¹⁰ Na początku 1984 r. Cerdana został skazany na 18 miesięcy więzienia. Wyrok został zawieszony. Sąd otrzymał list od Gellego, w którym zalecał on wyrozumiałość w stosunku do oskarżonego. Jednocześnie przeproszał za ucieczkę, usprawiedliwiając się twierdzeniem, iż był ofiarą prześladowań politycznych.

wymiaru sprawiedliwości, musiałyby się liczyć z oskarżeniami o wiele przestępstw, w tym: szantażu, przemytu narkotyków, przemytu broni, sprzysiężenia w celu obalenia legalnego rządu, szpiegostwa politycznego, szpiegostwa wojskowego, bezprawnego przywłaszczenia sobie tajemnic państwowych, udziału w wielu zamachach bombowych, w tym zamachu na dworzec główny w Bolonii, gdzie zginęło 85 osób.

Solidny jest łańcuch poszlak, prowadzący, ogniwo za ogniwo, od zamordowanego papieża, przez biskupa Paula Marcinkusa, przez Roberto Calviego i przez Umberto Ortolaniego, do Licio Gellego. Argumentacja tych poszlak musi być solidna, musi sprostać najostrejszym sprawdzianom, zanim sąd wyda orzeczenie o winie. Żadna ława przysięgłych, gdyby skonfrontowano ją z przedstawionymi w tej książce materiałami poszlakowymi, nie mogłaby orzec, że chodzi tu o *śmierć z naturalnych przyczyn*. W obliczu przedstawionego materiału takiego orzeczenia nie zaakceptowałyby żaden sędzia. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Nic nie przemawia także za tym, że śmierć Albino Lucianiego była następstwem jakiegoś wypadku. Pozostaje więc tylko morderstwo. W moim przekonaniu popełnione nie przez jakichś nieznanych sprawców, ale przez bardzo dobrze znane osoby. Inspiratorem i organizatorem tego morderstwa był według mnie Licio Gelli. Wśród członków jego loży masonskiej P2 był Francesco Baggio, brat kardynała Baggio. Do jego przyjaciół, z którymi był na ty, należał kardynał Paolo Bertoli. Umberto Ortolani, najbliższy towarzysz Gellego w P2, miał w państwie watykańskim o wiele lepsze rozpoznanie niż wielu kardynałów. Ortolani, posiadający liczne ordery i odznaczenia watykańskie, które wypełniały całą szufladę, stał tak blisko centrum władzy watykańskiej, że grupa wpływowych kardynałów wybrała jego willę na miejsce potajemnego spotkania w celu wyboru strategii, która zaowocowała wyborem Pawła VI. Ortolani, który ukartował plan sprzedaży wartych setki milionów dolarów udziałów watykańskich w Societa Generale Immobiliare, w Ceramiche Pozzi i Condotte. Ortolani, który skojarzył swego brata z loży P2, gangstera Michele Sindonę z Jego Świątobliwością Pawłem VI, za co pierwszy wynagrodził go ogromnymi prowizjami, a drugi odznaczeniami kościelnymi. Ortolani, który jednym skinieniem otwierał wszystkie drzwi w państwie watykańskim.

Gelli kolekcjonował wszelkie informacje, ale także takie *rzeczy*, jak fotografie zupełnie nagiego papieża Jana Pawła II w jego basenie. Kiedy Gelli pokazywał te zdjęcia zasłużonemu politykowi, socjaliście Vanni Nistico, poczynił następującą uwagę: *Sam pan widzi, jakie trudne zadanie ma większość tajnych służb. Jeżeli możliwe jest zrobienie takich zdjęć papieża, to może pan sobie wyobrazić, jak łatwo byłoby go zastrzelić*. Jakież to prawdziwe. Zastrzelić. Albo otruć jego poprzednika.

A Jezus wszedł do świątyni i wyrzucił wszystkich sprzedających i kupujących w świątyni; a stoły zmieniających pieniądze i ławki sprzedawców gołębi poprzewracał.

I rzekł do nich: „Jest napisane: mój dom ma być domem modlitwy; a wy czynicie z niego jaskinię zbójców”. (Mat.21;12,13)¹¹

Albino Luciani miał jedno marzenie. Marzył o Kościele katolickim, który w istotnych dla ludzkości sprawach, takich jak regulacja urodzeń, zająłby stanowisko odpowiadające rzeczywistym potrzebom swoich wiernych. Marzył o Kościele, który odrzuciłby od siebie bogactwo, władzę i fałszywe miary sukcesu, które przyjął pod określonym wpływem Watykanu—Sp. z o.o.; o Kościele, który wycofałby się z towarzystwa handlarzy i spekulantów, w którym zapomniał o posłaniu Chrystusa; o Kościele, który oparłby się znowu na tym, co od zarania było jego największym atutem, największą potęgą i trwałym bogactwem: na Ewangelii.

Dwudziestego ósmego września 1978 r. Albino Luciani uczynił pierwsze kroki na drodze do realizacji tego marzenia. O wpół do dziesiątej wieczorem zamknął drzwi swojej sypialni i to marzenie się skończyło.

We Włoszech mówi się teraz o kanonizacji Albino Lucianiego. Pod odpowiednimi petycjami zebrano już wiele tysięcy podpisów. Jeżeli kiedyś dojdzie do tego, że ten prawdziwie ubogi i przyzwyczajony do małych rzeczy i spokoju człowiek zostanie ogłoszony świętym, będzie to słuszne i sprawiedliwe. Za swoje przekonania zmarł śmiercią męczennika. Wobec człowieka zdecydowanego podjąć kroki niebezpieczne dla potężnych osób w Kościele i poza nim, jego przeciwnicy zdecydowali się na „włoskie rozwiązanie”: „Kandydat Boga” musiał umrzeć.

¹¹ Biblia Tysiąclecia

Epilog

Jeśli dobro, które reprezentował Albino Luciani, zostało pogrzebane wraz z jego doczesnymi szczątkami, to zło ucieleśnione w osobie Roberto Calviego żyło nadal mimo jego śmierci.

Ledwie odkryto i zidentyfikowano ciało Calviego w Londynie, a już u wielu ludzi we Włoszech rozległy się dzwonki alarmowe. W poniedziałek 22 czerwca, w dniu, w którym banki po raz pierwszy po znalezieniu ciała Calviego (w pobliżu miejsca, gdzie w średniowieczu karmelici zapewniali schronienie oszustom, złodziejom i kuglarzom) otworzyły znowu swoje podwoje, Banco Ambrosiano w Mediolanie przeżył zmasowany atak klientów, opróżniających swe konta. Opinia publiczna nie wiedziała (i nie wie do dziś), że Bank Watykański przeżywał to samo. Ludzie z establishmentu włoskiego wycofali wiele milionów dolarów. Byli wystarczająco dobrze poinformowani, by wiedzieć, że wieść o wynoszącym 1,3 mld dolarów deficycie w bilansie Banco Ambrosiano w krótkim czasie przedostanie się do wiadomości publicznej i przede wszystkim wiedzieli, że deficyt ten miał wiele wspólnego z wieloletnimi, ścisłymi kontaktami handlowymi i osobistymi między Roberto Calvim i Paulem Marcinkusem z IOR.

Człowiek, który jeszcze podczas podróży papieża do Wielkiej Brytanii w maju i czerwcu 1982 r. nie odstępował na krok Pontifexa, we wrześniu tego samego roku stał się praktycznie więźniem Watykanu. Rolę organizatora i osoby odpowiedzialnej za kwatery papieża podczas jego podróży zagranicznych przejął z konieczności ktoś inny, ponieważ opuszczenie państwa watykańskiego oznaczałoby dla Marcinkusa bezpośrednie niebezpieczeństwo aresztowania przez włoską policję.

Marcinkus pozostał na stanowisku szefa Banku Watykańskiego i ogłosił, że Watykan nie ponosi żadnej odpowiedzialności za straty w wysokości 1,3 mld dolarów.

Z właściwą sobie bezczelną arogancją Kuria Rzymska odmówiła uznania jakichkolwiek dyspozycji wydanych przez sądy włoskie przeciw Marcinkusowi i innym współpracownikom Banku Watykańskiego. Kuria oświadczała uporczywie, że zawsze należy zachowywać protokół obowiązujący w stosunkach międzypaństwowych, nawet jeśli chodzi o wyjaśnienie kradzieży sumy przekraczającej miliard dolarów. Jeżeli władze włoskie mają jakąś sprawę, to proszę bardzo, powinny przedstawić ją przez ambasadora włoskiego w Watykanie.

Po długotrwałych sporach z rządem włoskim Watykan raczył wreszcie powołać komisję śledczą. Równocześnie adwokaci Banku Watykańskiego prowadzili dochodzenie na własną rękę. Komisję śledczą powołał także rząd włoski. Wyniki dochodzenia najpierw

przedstawili adwokaci działający na polecenie Marcinkusa:

1. Instytut Dzieł Religijnych (**IOR**) nie przyjmował ani od grupy Ambrosiano, ani też od Roberto Calviego jakichkolwiek pieniędzy, stąd też nie ma żadnych zobowiązań płatniczych.

2. Zadłużone u grupy Ambrosiano firmy zagraniczne nigdy nie podlegały IOR, który nie ma żadnego rozeznania operacji dokonywanych przez te firmy.

3. Wszystkich wypłat grupy Ambrosiano dla wymienionych wyżej firm dokonano, jak udowodniono, przed wystawieniem tak zwanych listów pocieszenia.

4. Te listy, z uwagi na czas ich wystawienia, nie miały żadnego wpływu na wymienione wypłaty.

5. Każde przeprowadzane w przyszłości sprawdzenie faktów potwierdzi prawdziwość powyższego.

Jak już udowodniłem w tej książce, te watykańskie „fakty” są dalekie od prawdy.

Raport komisji śledczej powołanej przez Watykan nie jest jeszcze gotowy. Zapowiedziano go najpierw na koniec marca 1983 r., potem na koniec kwietnia, następnie na koniec sierpnia 1983 r., potem na koniec października, a potem jeszcze na koniec listopada.

Watykan odpowiada przynajmniej za miliard dolarów z całej sumy pieniędzy, którą Calvi pożyczył od różnych banków. Na ironię zakrawa fakt, że Watykan — niezależnie od tego, jakie zyski osiągnął z uplasowanych w Panamie i gdzie indziej fikcyjnych firm — był właścicielem tych firm w okresie, kiedy powstały długi. Osiągał oczywiście wielkie zyski, ale pomijając ten fakt, dla banków wierzycielskich istnieje tylko jedna logiczna metoda, jeżeli rzeczywiście chcą odzyskać swoje pieniądze: oskarżenie Watykanu, a dokładniej mówiąc Banku Watykańskiego i papieża Jana Pawła II, ponieważ zyski Banku Watykańskiego w 85 procentach płyną bezpośrednio do szkatuły papieża.

Według złożonych pod przysięgą zeznań krewnych Calviego, tuż przed śmiercią prowadził rokowania z Opus Dei, które wyraziło gotowość przejęcia od Watykanu jego 16-procentowego udziału w Banco Ambrosiano. Gdyby dokonano tej transakcji, 1,3-miliardowa dziura w bilansie byłaby zatkana, imperium Calviego by przetrwało, a arcybiskup Paul Marcinkus straciłby stanowisko. Jednak wielu ludzi Kościoła, wśród nich sam Marcinkus, było zdecydowanie przeciwnych korzystaniu z pomocy Opus Dei w wyjściu z kłopotów.

Po śmierci Calviego Watykan był zmuszony do rozpoczęcia rokowań z przedstawicielami rządu włoskiego i międzynarodowego konsorcjum bankowego ustalających, za jaką część długów pozostawionych przez Calviego ma odpowiadać IOR. Rozpoczęły się uporczywe przetargi, ciągnące się ponad dwa lata. Wreszcie w lutym 1984 r. z sali

konferencyjnej w Genewie przedostała się wiadomość, że osiągnięto porozumienie: z ogólnej sumy 600 mln dolarów, pożyczonej należącemu do Calviego Luksemburskiemu Towarzystwu Holdingowemu, banki międzynarodowe powinny otrzymać z powrotem dwie trzecie, a największą część, mianowicie 250 mln dolarów, od Banku Watykańskiego. Termin transferu tej sumy wyznaczono na 30 czerwca 1984 r. Watykan dokona tej wpłaty, jak stwierdza porozumienie, *bez uznania swojej winy wynikającej z gwarancji, lecz w świadomości współodpowiedzialności moralnej.*

Wierzący katolicy powinni zignorować apele o datki, które bez wątpienia rozlegną się od tej pory z ambon na całym świecie. Bank Watykański spłaca ogromne sumy, które uzyskał w wyniku kryminalnej działalności Calviego i Marcinkusa. Na koncie IOR pozostaje nadal wiele milionów dolarów z pieniędzy, na które Calvi oszukał tak wielu swoich kolegów-bankierów, i które oni muszą teraz spisać na straty.

Kiedy piszę te słowa, arcybiskup Paul Marcinkus nadal pełni swoją funkcję. Jego upadek już często przepowiadano, ale do tej pory przetrwał wszystkie kryzysy. Nadal obwarowuje się w Watykanie, którego nie opuszcza, ponieważ może mu grozić natychmiastowe aresztowanie przez policję włoską. Podobnie obwarowani żyją w Watykanie jego współpracownicy i wspólnicy, Luigi Mennini i Pellegrino de Strobel. Przy pomocy tych ludzi papież Jan Paweł II sprawuje nadzór nad Bankiem Watykańskim w maju 1984 roku.

Chociaż wszyscy trzej pozostają nieosiągalni dla włoskiego wymiaru sprawiedliwości, to władze włoskie skonfiskowały cały majątek Menniniego i de Strobela we Włoszech. Organy ścigania wielu miast włoskich rozpiisały listy gończe za całą trójką. Inny dostojnik kościelny, którego Luciani szybko by usunął ze stanowiska, gdyby żył nadal, monsignore Donato de Bonis, sekretarz IOR, ukrywa się za murami Watykanu przed sądem turyńskim, który go ściga z powodu zamieszania w skandal z aferą podatkową na sumę 1 mld dolarów. De Bonis, któremu prokuratura odebrała paszport, również do dziś pracuje w Banku Watykańskim. Ludzie ci cieszą się życzliwością Jana Pawła II.

Jego Eminencja Ugo Poletti, kardynał — wikariusz Rzymu, także był na liście osób, które Albino Luciani zamierzał usunąć z pełnionych funkcji; on także dostarczył dość dowodów na to, że jego zwolnienie byłoby mądrą decyzją. Z rekomendacji Polettiego premier Andreotti mianował szefem włoskiej policji skarbowej byłego generała, Raffaele Giudicego. Dzięki temu członek P2, Giudice, w decydującym stopniu dopomógł w zorganizowaniu owego (licząc w dolarach) miliardowego oszustwa z podatkami od produktów z ropy naftowej, na którym tak wspaniale zarobił Licio Gelli. Zapytany o tę sprawę kardynał Poletti ostro zaprzeczył, by kiedykolwiek udzielał Giudicemu jakichkolwiek referencji. Prokuratorzy

turyńscy przedstawili kardynałowi kopię jego listu do Andreottiego. Poletti nadal pełni funkcję kardynała — wikariusza Rzymu. Przy pomocy tych ludzi Jan Paweł II kieruje Kościołem katolickim.

Podpisany niedawno nowy konkordat między Watykanem i państwem włoskim może stanowić odpowiednie epitafium dla pontyfikatu obecnego papieża. Włochy, przez całe stulecia uważane przez katolików wszystkich krajów za ojczyznę i bastion ich wiary, nie uznają już rzymskiego katolicyzmu za religię państwową. Kościół zaczyna tracić swą uprzywilejowaną pozycję we Włoszech.

Zmieniło się coś jeszcze, i owa zmiana musiała wywołać uśmiech zadowolenia na twarzy Licio Gellego. Nowe Prawo Kanoniczne, które weszło w życie 27 listopada 1983 r., zawiera postanowienie, że przynależność do loży masońskiej nie jest już karana natychmiastową ekskomuniką. Ludzie wymienieni na dostarczonej Albino Lucianiemu liście masonów watykańskich nie muszą więc się niczego obawiać. Uzdrawienie Kościoła zaplanowane przez Lucianiego nie będzie kontynuowane przez jego następcę.

Nie dokonano żadnej z postanowionych przez Albino Lucianiego zmian personalnych i programowych. Watykan—Sp. z o.o. funkcjonuje nadal. Na wszystkich rynkach.